

# PETER JAMES

AUTOR **BESKONIECZNY** ŚMIERCI NA SPRZEDAŻ I NIE DOŚĆ MĄDROŚCI

## TROPY UMARŁEGO



**Fabryka  
kryminalu**

Peter James

## TROPY UMARŁEGO

Dla Dave'a Taylora

Niektóre wydarzenia przedstawione w tej książce mają związek z tragicznymi wydarzeniami jedenastego września 2001 roku.

Dedykuję ją z wyrazami najgłębszego szacunku pamięci ofiar oraz ich bliskim.

Gdyby Ronnie Wilson wiedział, że umrze za kilka godzin, pewnie inaczej zaplanowałby ten dzień. Na przykład zrezygnowałby z golenia. Nie marnował

cennego czasu na układanie włosów żelem. Nie poświęciłby również tyle czasu na glansowanie butów czy wiązanie kosztownego, jedwabnego krawata w perfekcyjny sposób. I z pewnością nie zapłaciłby wygórowanej ceny osiemnastu dolarów za ekspresowe prasowanie garnituru. Bo na taką usługę nawet nie było go stać.

Byłoby jednak przesadą twierdzenie, że żył w błogiej nieświadomości swojego przeznaczenia. Od dłuższego czasu nie miał powodów do radości, wręcz zapomniał o tym, co znaczy szczęście. Nawet nie odczuwał rozkoszy w czasie ulotnych chwil orgazmu, gdy kochał się z Lorraine. Podczas tych sporadycznych okazji jego narządy płciowe drętwiały, podobnie jak reszta ciała.

Ostatnio, kiedy znajomi pytali go o samopoczucie, najpierw wzruszał ramionami, a potem, zawstydzając Lorraine, odpowiadał: „Moje życie jest gówniane”.

Pokój hotelowy też był gówniany, tak maleńki, że nawet upadając, nie uderzyłoby się o podłogę. Wybrał najtańszy hotel, ale przynajmniej miał taki adres, by pomógł mu zachować pozory, bo gdy zatrzymujesz się na Manhattanie, jesteś kimś. Nawet jeśli wynająłeś garderobę.

Ronnie wiedział, że musi zmienić swoje życie. Ludzie wyczuwają sygnały, które się wysyła, zwłaszcza gdy w grę wchodzi pieniądze. Nikt nie pożyczyci pieniędzy ofermie, nawet stary kumpel. Przynajmniej takiej sumy, jakiej obecnie potrzebował, i z pewnością nie ten stary przyjaciel, o którym myślał.

Wyrzwał przez okno, żeby sprawdzić pogodę. Zerknął na 39. Ulicę, a

potem dostrzegł

wąski ślad na niebie. Zdawał sobie sprawę, że ten piękny poranek nie podniesie go na duchu. Poczuł, jakby chmury wyparowały z niebieskiej pustki ponad nim i ukryły się w jego sercu.

Podrabiany zegarek marki Bulgari wskazywał godzinę 7.43. Kupił go przez Internet za czterdzieści funtów, ale chwileczkę, kto mógłby powiedzieć, że był fałszywy?

Dawno temu przekonał się, że drogie zegarki robią wrażenie na ludziach, którym się chce zaimponować. Jeśli zabiegasz o kupno najlepszego zegarka, pewnie w ten sam sposób troszczysz się o gotówkę. Stwarzanie pozorów jest bardzo ważne.

Była 7.43, czas zacząć dzień. Podniósł również podrabianą aktówkę firmy Louis Vuitton, umieścił ją na torbie, którą spakował tylko na jedną noc, zamknął pokój i ruszył, ciągnąc bagaż za sobą. Po wyjściu z windy przemknął obok recepcji. Jego karty kredytowe były wybrane do zera. Z pewnością nie mógłby uregulować hotelowego rachunku, ale teraz postanowił nie zawracać sobie tym głowy. Jego niebieski, bajerancki kabriolet bmw, którym Lorraine lubiła się przejechać, żeby szpanować przed koleżankami, miał być odebrany. A wierzyliście mieli lada dzień zająć jego dom. Dzisiejsze spotkanie jest ostatnią nadzieją, pomyślał ponuro. Upomni się o spełnienie obietnicy, którą otrzymał dziesięć lat temu. Ufał, że nadal była aktualna.

Bagaze kołysały się mu między kolanami, gdy siedział w metrze. Ronnie wiedział, że coś poszło źle w jego życiu, ale nie umiał tego dokładnie sprecyzować. Mnóstwo kolegów ze szkolnych czasów osiągnęło sukces, on zaś pozostawał daleko w tyle za nimi i był coraz bardziej zdesperowany. Dzisiaj szkolni koledzy to doradcy inwestycyjni, deweloperzy, księgowi, prawnicy. Mają wille, które postawili za ciężką kasę, żony na pokaz oraz dzieci, dla których zrobiliby wszystko. A on?

Żył z neurotyczną Lorraine trwoniącą jego wirtualne pieniądze na zabiegi upiększające, które wcale nie były jej potrzebne. Kupowała markowe ciuchy, choć nie było ich na nie stać. Płaciła absurdalne rachunki za wystawne lunche, których menu składało się z liści sałaty i wody mineralnej. Owe posiłki spędzała ze swoimi zamożniejszymi od nich, anorektycznymi przyjaciółkami. Pomimo fortuny wydanej na leczenie bezpłodności Lorraine nie mogła urodzić upragnionego przez niego dziecka. Jedynie powiększenie biustu było wydatkiem, który naprawdę pochwalił.

Ronnie był zbyt dumny, żeby się przyznać, w jakie gówno wdepnął, i wierzył nieco na wyrost, że zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie. Był jak kameleon, perfekcyjnie potrafił dostosować się do okoliczności. Na przykład sprawdzał się jako sprzedawca używanych samochodów, handlarz antyków czy agent nieruchomości. Był wygadany, ale nie miał głowy do interesów. Gdy biznes z nieruchomościami upadł, spokojnie odnalazł się jako deweloper. W dzinsach i sportowym swetrze prezentował się całkiem nieźle. Gdy bank przejął jego kolejną nieudaną inwestycję mieszkaniową, ponownie zamienił swój image \* na doradcę inwestycyjnego. Niestety ta zmiana też nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

Teraz pokładał nadzieję w obietnicy otrzymanej od starego przyjaciela Donalda Hatcooka, który odkrył tajemnicę kolejnego sukcesu komercyjnego, a mianowicie \*

biopaliwa. Krążyły plotki, że zarobił miliard na derywatach (nie wiadomo, czy akcjach, czy obligacjach). Dziesięć lat temu stracił jedynie marne dwieście tysięcy, gdy zainwestował w upadającą agencję handlu nieruchomościami Ronniego. Po nieudanym przedsięwzięciu zapewnił Ronniego, że kiedyś się zrewanżuje.

Z pewnością Bili Gates oraz inni inwestorzy naszej planety już się zainteresowali rynkiem zbytu dotyczącym nowego, przyjaznego dla środowiska biopaliwa. Mieli pieniądze, żeby zainwestować, ale Ronnie stwierdził, że swoim pomysłem wypełni lukę rynkową. Tego ranka pragnął przekonać o tym Donalda. Tylko że Donald nie był

głupi, i on o tym wiedział. Dopnie swego. Musi być dobrze, a mówiąc językiem nowojorczyków, to będzie łatwizna.

Pociąg metra zbliżał się do centrum, a on czuł się coraz pewniej, powtarzając gadkę przygotowaną dla Donalda. Był jak Michael Douglas w filmie Wall Street. Nawet wyglądał identycznie. Podobnie jak wielu hazardzistów z Wall Street podróżujących tym kołyszającym się wagonem. Gdyby ktokolwiek z nich borykał się choć z połową jego problemów, potrafiliby to świetnie ukryć. Wyglądali na cholernie zarozumiałych.

Jeśli tylko zechciałoby się im spojrzeć na niego, zobaczyliby wysokiego, szczupłego, dobrze ostrzyżonego mężczyznę. Był tak samo pewny siebie jak oni.

Mówi się, że jeśli nie osiągniesz sukcesu przed czterdziestką, to już nigdy ci się nie uda. Za trzy tygodnie miał skończyć czterdzieści trzy lata.

Wysiadł na Manhattanie, gdzie powitał go piękny poranek, i sprawdził na

mapie otrzymanej wczoraj od konsjerża, w którym miejscu dokładnie się znajduje. Miał

mapę, którą otrzymał od konsjerża wczoraj wieczorem. Potem spojrzął na zegarek, była ósma dziesięć. Z doświadczenia wiedział, że w ciągu piętnastu minut powinien dojść do biura Donalda. Konsjerż poinformował go, że z tego miejsca to będzie dobre pięć minut piechotą. Tak czy inaczej, nie zgubi się.

Minął tabliczkę z napisem Wall Street, potem pijalnię soków po prawej stronie.

Przeczytał reklamę usług krawieckich i wszedł do zatłoczonej restauracji DowntownDell. Poczł zapach kawy i smażonych jajek. Usiadł na stołku barowym z czerwonej skóry i zamówił sok ze świeżych pomarańczy, kawę latte, jajecznicę, bekon oraz tosta. W oczekiwaniu na posiłek ponownie kartkował swój biznesplan.

Zerknął na zegarek i w myślach obliczył różnicę czasu pomiędzy Nowym Jorkiem a Brighton. W

Anglii była pierwsza po południu. Lorraine pewnie jadła lunch. Zadzwoił na jej komórkę i powiedział, że ją kocha. Ona życzyła mu powodzenia podczas spotkania.

Łatwo można zadowolić kobiety. Trochę czułości, jakieś poetyckie strofy czy drobiazgi z biżuterii o kosztownym wyglądzie, ale oczywiście nie za często.

Dwadzieścia minut później zapłacił rachunek i usłyszał potężny wybuch w oddali.

Facet, który siedział na stołku obok niego, krzyknął: „Co to było, do cholery!?”.

Ronnie zabrał resztę, zostawił przyzwoity napiwek i skierował się w stronę biura Donalda Hatcooka, które znajdowało się na osiemdziesiątym siódmym piętrze południowej wieży WTC. Była ósma czterdzieści siedem rano, wtorek, 11 września 2001 roku.

## 2

Październik 2007

Abby Dawson wybrała to mieszkanie, ponieważ czuła się w nim bezpiecznie. O ile gdziekolwiek może poczuć się bezpiecznie.

Oprócz wyjścia pożarowego, które można otworzyć od wewnątrz, i wejścia do piwnicy, do tego domu były tylko jedne drzwi wejściowe. Poniżej znajdowało się osiem pięter, okna zaś gwarantowały dobry widok na zewnątrz.

Z mieszkania urządziła fortecę. Założyła wzmocnione zawiasy, stalowe okucia, trzy zamki w drzwiach i przy wyjściu pożarowym małego pomieszczenia gospodarczego oraz podwójny łańcuch. Każdy złodziej próbujący się włamać do jej mieszkania odszedłby z pustymi

rękami. Nikt nie był w stanie dostać się do środka, chyba że miałby czołg albo zostałby zaproszony. Na wszelki wypadek miała jeszcze pod ręką spray z gazem pieprzowym, nóż myśliwski oraz kij baseballowy.

Pierwszy raz stać ją było na większe i luksusowe mieszkanie, do którego mogła zapraszać gości, ale *jak na ironię losu* musiała żyć samotnie. Utrzymywać to w tajemnicy.

Mieszkanie miała naprawdę niezłe. Dębowe podłogi, olbrzymie beżowe kanapy, na których leżały białe i brązowe poduszki. Współczesne malowidła na ścianach, kino domowe, kuchnia w postmodernistycznym stylu. Wielkie, rozkosznie wygodne łóżka.

Ogrzewanie podłogowe w łazience i elegancka kabina prysznicowa dla gości, której jeszcze nie używała. Przynajmniej nie w tym celu, w jakim była zaplanowana.

Czuła, jakby żyła w designerskim gniazdku, takim, jakie dotąd z zazdrością oglądała w kolorowych magazynach. Przy dobrej pogodzie popołudniowe słońce oświetlało mieszkanie. A w tak wietrzne dni jak dzisiaj, gdy otwierała okno, czuła sól w powietrzu i słyszała krzyk mew. W odległości około dwustu metrów na końcu ulicy, przy skrzyżowaniu z zatłoczonym nadmorskim deptakiem Marine Parade, była plaża, gdzie mogła swobodnie spacerować.

Okolica też jej odpowiadała. Wyprawy do małych sklepów tuż obok były bezpieczniejsze niż do dużych supermarketów, ponieważ tu miała wszystko

pod kontrolą i mogła błyskawicznie zniknąć. Wszystko po to, aby pewien człowiek jej nie rozpoznał.

Tylko jeden.

Najgorzej było w windzie. Miała klaustrofobię, a ostatnio nawet zdarzały jej się ataki paniki. Dlatego Abby nigdy sama nie jeździła windą, chyba że musiała. Na dodatek ta głupia trumna zaciniała się kilka razy w ciągu miesiąca. Kiedyś zdarzyło się to, gdy nią jechała, i było to jedno z najgorszych przeżyć w jej życiu. Na szczęście nie była wtedy sama.

Zwykle chodziła piechotą. Ale w ostatnich tygodniach robotnicy remontujący mieszkanie pod nią zamienili klatkę schodową w tor przeszkód. Spacer po schodach były dobrym ćwiczeniem. Jeśli miała ciężkie zakupy, ułatwiała sobie życie i wysyłała torby windą, a sama szła. Gdy spotkała jakichś sąsiadów, podawała im rękę. Ale to była rzadkość, bo większość, ze względu na podeszły wiek, w ogóle nie wychodziła z mieszkań. Niektórzy wydawali się tak starzy jak ten blok.

Było kilku młodych mieszkańców, na przykład Hassan, młody Irańczyk, który mieszkał dwa piętra niżej. Czasem wydawał przyjęcia, ale ona zawsze uprzejmie odrzucała zaproszenia. Miała wrażenie, że przez większość czasu gdzieś podróżował.

W weekendy, jeśli Hassan był nieobecny, w zachodniej części bloku panowała cisza.

Miało się wrażenie, jakby mieszkały tam duchy.

Abby zdawała sobie sprawę, że w pewnym sensie też była duchem. Tylko po zmroku mogła bezpiecznie opuścić swoją kryjówkę. Niegdyś długie blond włosy obcięła na krótko i przefarbowała na czarno. Zawsze zakładała przeciwsłoneczne okulary, nosiła postawiony kołnierz marynarki. Czuła się jak obcy w mieście, w którym się urodziła i dorastała. Potem studiowała zarządzanie, pracowała w barach, odbyła biurowy staż, miała chłopaków, a nawet planowała założyć rodzinę, dopóki nie połknęła bakcyli podróżowania.

Teraz wróciła. Ukrywała się. Była jak zesłaniec. Rozpaczliwie nie chciała, aby ktoś ją rozpoznał. Odwracała twarz, gdy przechodziła obok kogoś znajomego. Natychmiast wychodziła, kiedy zobaczyła starego przyjaciela w barze. Była samotna jak cholera! I przerażona. Nawet jej matka nie wiedziała, że wróciła do Anglii.

Trzy dni temu skończyła dwadzieścia siedem lat i „urządziła sobie

przyjęcie urodzinowe” \* wspominała z ironią. Była załamana, piła szampana, oglądała erotyczne filmy w telewizji i sięgnęła po wibrator, choć miał wyczerpane baterie.

Dawniej była dumna ze swojego wyglądu. Piekielnie pewna siebie, mogła wybierać chłopaków w dowolnym barze, dyskotecie czy na imprezach. Potrafiła interesująco zagadać, korzystała z uroku osobistego, sprawiała wrażenie zagubionej. Mężczyźni takie lubią najbardziej, przekonała się o tym dawno temu. Teraz była zagubiona na serio, a to jej nie odpowiadało.

Nie jest miło być uciekinierem. Nawet jeśli wiadomo, że kiedyś się to zmieni.

W całym mieszkaniu na regałach, stołach, podłogach leżały książki i płyty zamówione przez Internet. W czasie minionych dwóch miesięcy „wygnania”

przeczytała mnóstwo książek, obejrzała więcej filmów i programów telewizyjnych niż kiedykolwiek przedtem. Poza tym większość czasu spędzała na nauce hiszpańskiego online.

Wróciła, ponieważ sądziła, że tutaj będzie bezpieczna. Dave się zgodził. Było to jedyne miejsce na całym świecie, w którym tamten nie ośmieliłby się pojawić. Ale nie mogła być tego pewna.

Istniał też inny powód powrotu do Brighton. Sprawa pierwszorzędnej wagi. Jej matka podupała na zdrowiu, więc postanowiła znaleźć jej miejsce w jakimś odpowiednim domu opieki, gdzie spokojnie mogłaby spędzić resztę życia. Abby nie chciała, aby jej matka wylądowała na jednym z tych okropnych oddziałów geriatrycznych w państwowych ośrodkach. Znalazła już dla niej piękny, choć kosztowny dom w okolicy. Jednakże obecnie było ją stać, aby zamieszkały razem. Musiała tylko pociągnąć tę maskaradę jeszcze przez jakiś czas.

Nagle telefon zaterkotał. Spojrzała na wyświetlacz, przeczytała tekst i uśmiechnęła się, gdy zobaczyła nadawcę. Te krótkie wiadomości, które otrzymywała co kilka dni, pokrzepiały ją.

„Rozłłka osłabia mierne uczucie, a wzmaga wielkie, jak wiatr gasi świecę, a rozpała ogień”.

Przez chwilę się zamyśliła. Jediną korzyścią obecnej sytuacji było to, że bez wyrzutów sumienia mogła swobodnie surfować w necie. Uwielbiała cytaty, dlatego teraz wysłała jeden z ulubionych.

„Miłość nie polega na tym, aby wzajemnie sobie się przyglądać, lecz aby



patrzeć razem w tym samym kierunku”.

Pierwszy raz w życiu spotkała mężczyznę, który patrzył w tym samym kierunku. Na razie był tylko człowiekiem „z mapy”, obrazkiem wyświetlonym na monitorze.

Wkrótce mieli się spotkać. Musi tylko zachować spokój jeszcze przez jakiś czas.

Oboje tego potrzebowali.

Zamknęła czasopismo, w którym oglądała „domy marzeń”, zgasiła papierosa i pocieszyła się ostatnią kroplą czerwonego wina. Rozpoczęła rutynową kontrolę otoczenia, ponieważ zamierzała wyjść.

Najpierw podeszła do okna. Przez żaluzje zerknęła na szeroką ulicę, przy której stały staroświeckie domy. Światło latarni rzucało pomarańczowe cienie. Było wystarczająco ciemno, a szalejąca wichura i ulewa sprawiały, że miała wrażenie, jakby ktoś celował z wiatrówki prosto w okno. Będąc dzieckiem, bała się ciemności.

Paradoksalnie teraz ciemności dawały jej poczucie bezpieczeństwa.

Znała wszystkie samochody zaparkowane po obu stronach ulicy.

Ogarnęła je wzrokiem. Kiedyś ich nie rozróżniała, a teraz znała na pamięć. Był tam brudny, obsrany przez ptaki czarny golf. Ford galaxy, popularne auto karierowiczów, którym jeździła para mieszkająca naprzeciwko niej. Mieli parę marudnych bliźniaków.

Sprawiali wrażenie, jakby nieustannie taszczyli po schodach zakupy i wózki spacerowe. Stała również toyota yaris o dziwnym wyglądzie. Stary porsche boxer należał do młodego mężczyzny, którego określiła jako lekarza prawdopodobnie pracującego w pobliskim szpitalu. Zardzewiały, biały van marki Renault ze zniszczonymi oponami. W oknie pasażera widniał przyklejony wykonany czerwonym kolorem na brązowej tekturze napis: „Na sprzedaż”. Zobaczyła jeszcze wiele innych samochodów, których właściciele znała z widzenia. Nie zauważyła nic nowego, nic niepokojącego. Nikt nie czaił się w ciemnościach.

Jakaś para się śpieszyła. Szli pod rękę, zmagając się z otwartym parasolem, który w każdej chwili mógł się wywrócić na zewnątrz.

Okna w sypialni, pokoju gościnnym, łazience, salonie, jadalni są zamknięte.

Natomiast włączone są regulatory czasowe lamp, telewizora i radia. W przedpokoju, aż do drzwi wejściowych, na wysokości kolan jest rozciągnięta bawełniana nitka.

Mam paranoję? Nie ma się co dziwić.

Włożyła płaszcz przeciwdeszczowy, zdjęła parasol z haczyka, przekroczyła nitkę i zerknęła przez wizjer w drzwiach. Przez niewyraźnego, żółtego fisheya zarejestrowała puste półpiętro. Zdjęła łańcuchy, ostrożnie otworzyła drzwi i wyszła.

Natychmiast poczuła zapach świeżo pociętego drewna. Zatrzasnęła drzwi i zamknęła na klucz wszystkie trzy zamki.

Chwilę nasłuchiwała. Gdzieś na dole dzwonił telefon. Zadrzała, a potem otuliła się płaszczem. Po latach spędzonych w słonecznym klimacie nie przyzwyczała się dotąd do wilgoci i zimna ani samotnych piątkowych wieczorów. Zaplanowała wyjście do kina na film Pokuta, potem coś zje \* może spaghetti \* a jeśli starczy jej odwagi, wypije kilka kieliszków wina w barze. Przynajmniej w ten sposób mogła spędzić czas między ludźmi.

Z rozwągała wybrała modne džinsy, botki i czarny golf z dzianiny. Chciała ładnie wyglądać, ale nie rzucać się w oczy, na wypadek wycieczki do baru. Otworzyła drzwi klatki schodowej i z przykrością odkryła, że robotnicy zatarasowali wyjście płytami gipsowymi oraz stosem drewna. Przeklinając ich, zastanawiała się, czy da radę zejść na dół, potykając się o zaistniałe przeszkody. Rozważając tę możliwość, nacisnęła przycisk windy. Wpatrywała się w odrapane, metalowe drzwi. Chwilę później usłyszała brzęczenie i rytmiczne podnoszenie się kabiny. Trzęsąc się i szczękając, winda dojechała na górę. Abby otworzyła zewnętrzne drzwi, które zgrzytnęły, jakby ktoś wygładzał żwir łopatą.

Weszła do windy, z podobnym zgrzytem zamknęła podwójne, bardzo szczelne drzwi.

Wdychała zapach czyichś perfum i cytrynowego mleczka do czyszczenia. Winda szarpnęła w górę tak mocno, że Abby prawie upadła. Gdy było za późno, żeby wyjść, bo metalowe ściany szczelnie ją otoczyły, a w małym, matowym lustrze ujrzała swą wykrzywioną paniką twarz, winda gwałtownie ruszyła w dół.

Abby zdała sobie sprawę, że popełniła wielki błąd.

### 3

Październik 2007

Nadinspektor Roy Grace siedział przy biurku w swoim biurze. Odłożył słuchawkę telefonu, odchylił się, rękami objął oparcie krzesła, które dotknęło ściany. Cholera.

Była szesnasta czterdzieści pięć w piątek, a on już wiedział, że weekend będzie do niczego. Wszystko zmarnowane.

Wczoraj wieczorem, podczas cotygodniowego pokera z chłopakami, karta szła mu kiepsko. Stracił prawie trzysta funtów. Wycieczka do kanału spływowego w to ulewne, piątkowe popołudnie nigdy nie przyszłaby mu do głowy. Wiedział, że tylko pogorszy sobie nastrój. Wsłuchiwał się w bębnienie deszczu, a przez nieszczelne okna czuł lodowate podmuchy wiatru. To nie był dobry dzień, aby ruszać się gdziekolwiek.

Przeklął informację otrzymaną od telefonisty z centrali i pomyślał: zabić posłańca.

Miał już przygotowany plan, jak spędzi jutrzejszą noc z Cleo w Londynie. Teraz będzie musiał odwołać wyjazd, ponieważ zgodził się zastąpić chorego kolegę. Nie zapowiadało się na wesoły weekend.

W pracy głównie zajmował się morderstwami. W Sussex było ich od piętnastu do dwudziestu na rok, ale zdarzały się też w Brighton i Hove i w okolicy. Wtedy starsi rangą detektywi mogli się wykazać umiejętnościami. Takie rozumowanie wydaje się niemoralne, jednakże Roy wiedział, że tylko prowadzenie śledztw dotyczących brutalnych, spektakularnych morderstw otwierało drogę do kariery. Wtedy interesują się tobą media, ludzie, współpracownicy, a przede wszystkim szefowie. Aresztowanie winnego i skazanie go dostarczało ogromnej satysfakcji. Było czymś więcej niż tylko dobrze wykonaną robotą. Dzięki temu rodzina ofiary mogła zamknąć pewien rozdział

w życiu i spróbować żyć dalej. Grace uważał, że to najważniejszy aspekt w jego policyjnej pracy.

Lubił zajmować się morderstwami, jeżeli trop był jeszcze świeży. Wtedy, czując adrenalinę we krwi, mógł wkroczyć do akcji, błyskawicznie podejmować decyzje, dopingować zespół do pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu i miał szansę na zatrzymanie

przestępcy. Lecz z raportu telefonisty wywnioskował, że znalezisko w kanale z pewnością nie pochodzi ze świeżego morderstwa. Były to szczątki kościotrupa. Może nawet nie doszło do morderstwa, może to było samobójstwo lub po prostu naturalna śmierć. Istniało też znikome prawdopodobieństwo, że był to manekin sklepowy, bo tak się kiedyś zdarzyło. Takie szczątki mogły tam leżeć od wielu lat. Więc kolejne kilka dni nie zmieniłyby ich w żaden sposób.

Był zły na siebie za ten przypływ irytacji. Popatrzył na dwadzieścia niebieskich pudeł. Oprócz okrągłego stołu i czterech krzeseł zajmowały resztę jego biura.

W pudłach znajdowały się akta nierozwiązanych spraw dotyczących morderstw.

Pozostałe akta zalegały gdzieś w szafach centrali wydziału kryminalnego. Inne pleśniały w wilgotnym policyjnym garażu albo były archiwizowane w nieuczęszczanej części piwnicy razem z opisanymi i poukładanymi dowodami rzeczowymi.

Od dwudziestu lat prowadzi śledztwa w sprawie morderstw. Teraz miał uczucie, że kolejne niebieskie pudło wypełni się aktami szczątków w kanale, które oczekiwały jego przyjazdu.

Był zavalony papierkową robotą, dlatego jego biurko pokrywały stosy dokumentów.

Dla prokuratora musiał zebrać wszystkie informacje o czasie zbrodni, dowodach, zeznaniach w dwóch sprawach, których procesy rozpoczynały się w przyszłym roku.

Jedna dotyczyła morderstwa Carla Vennera, skorumpowanego drania, który kombinował w Internecie, a druga psychopaty Normana Jecksa.

Zerkając na dokumenty przygotowane przez Emily Gaylor, młodą kobietę z sądu w Brighton, podniósł słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny. Niewielką satysfakcję sprawiło mu poczucie, że jeszcze komuś zepsuje nadchodzący weekend.

*Inspektor Branson* usłyszał prawie natychmiast.

\* Co robisz?

\* Miło mi, że pytasz, stary, ale idę do domu \* odparł Glenn Branson.

\* To zła odpowiedź.

*Nie, to jest dobra odpowiedź* stwierdził Glenn \* Ari ma zajęcia w ujeżdżalni i muszę się zająć dziećmi.

\* W ujeżdżalni? O co chodzi?

- \* Jazda konna, której godzina kosztuje trzydzieści funtów.
  - \* Będzie musiała wziąć dzieciaki ze sobą. Spotkajmy się na dole przy samochodzie za pięć minut. Trzeba sprawdzić jakieś zwłoki.
  - \* Wolałbym pojechać do domu.
  - \* Ja też. A nieboszczyk też pewnie wolałby siedzieć w domu przed telewizorem i pić herbatę, zamiast gnić w ścieku kanalizacyjnym \*
- odparował Grace.

## 4

Październik 2007

Po kilku sekundach winda ostro szarpnęła, a potem się zatrzymała. Kołysała się, obijała o ściany, wywołując echo, jakby zderzały się dwie beczki. Potem znowu ruszyła w górę, a Abby upadła na drzwi. Po chwili winda znowu gwałtownie opadła.

Dziewczyna zaczęła płakać. Przez ułamek sekundy podłoga oddaliła się od niej, jak w stanie nieważkości. Znowu nastąpił ogromny trzask, podłoga zaczęła się podnosić. Abby przewróciła się, nie mogła zapanować nad ciałem.

Winda szalała, rzucała Abby jak zepsuta, szmacianą lalką. Była prawie nieruchomo, potem znowu szarpała. Lekko się huśtała, a podłoga falowała, jakby miała gumowe kąty.

*O Jezu szepnęła Abby.*

Lampy migotały, wyłączały się, a potem znowu zapalały. Poczwała gryzący zapach spalonych przewodów elektrycznych i zobaczyła cienką smugę dymu, która powoli prześlizgnęła się obok niej. Wstrzymała oddech. Krzyk uwiązł jej w gardle. Czuła, że ta cholerna winda jest zawieszona na jednej, wytartej linie.

Nagle rozległ się dźwięk podobny do rozrywania czegoś metalowego. Przerażona zamknęła oczy. Nie знаła się na windach, ale miała wrażenie, że ktoś coś przecina.

Wyobraziła sobie, że klamra spinająca linę zostaje zerwana.

Abby wrzasnęła. Winda opadła o kilka centymetrów, a jej wnętrze zdawało się powiększać. Gwałtownie przechyliła się w lewo i rozległ się potężny, metaliczny huk. Nad głową Abby pojawiła się rysa, jakby coś pękło. Potem winda znowu ruszyła w dół.

Gdy Abby próbowała wstać, przewróciła się, ramieniem wyrznięła w ścianę, a głową w drzwi. Leżała nieruchomo, wdychała kurz wykładziny, wpatrywała się w sufit, bała się wykonać jakikolwiek ruch. Patrzyła na płytę z matowego szkła, która była oświetlona z każdej strony. Pomyślała, że musi się stąd wydostać, i to natychmiast. W

sufitach filmowych wind można odsunąć klapę ewakuacyjną. Dlaczego z

tą tak nie było?

Nie potrafiła dosięgnąć płytki z przyciskami. Próbowwała zbliżyć się na kolanach, ale winda zaczęła się wściekle kołysać. Uderzała o ściany szybu, jakby rzeczywiście była zawieszona na pojedynczej linie. Abby znieruchomiła, w tym momencie dodatkowy ruch nie był wskazany.

W panicznym strachu ciężko oddychała, nasłuchiwała, czy może ktoś mógłby jej pomóc. Nic nie słyszała. Jeśli Hassan wyjechał, a pozostali mieszkańcy też wyszli lub głośno oglądali telewizję, nikt nie usłyszy, co się dzieje.

Alarm. Naciśnij przycisk alarmowy.

Wzięła kilka głębokich oddechów, czuła ucisk w głowie. Miała wrażenie, że ściany się kurczą, a potem rozluźniają. Są jak oddychające płuca. Dostała ataku paniki.

Cześć chrapliwie wyszeptała. Terapeuta nauczył ją, że tak powinna się zachować w przyпадzie paniki \* jestem Abby Dawson. Czuję się dobrze. To tylko niepożądana reakcja chemiczna. Nic mi nie jest. Czuję się dobrze w swoim ciele. Nie umarłam. To minie.

Przesunęła się w stronę przycisku alarmowego. Podłoga się zakołysała. Czuła się jak na tratwie, która w każdej chwili może się przechylić. Poczekala, aż się uspokoi, wtedy znowu się podczołgała. Kolejna smuga niebieskiego, gryzącego dymu pojawiła się jak dżin z butelki. Z ogromnym wysiłkiem wyciągnęła rękę i trzęsącym się palcem nacisnęła szary guzik z czerwonym napisem ALARM.

Nic się nie wydarzyło.

Październik 2007

Słońce powoli zachodziło. Pograżony w rozmyślaniach Roy Grace jechał nieoznakowanym, szarym hyundaiem w stronę Trafalgar Street. Wjechał w ulicę nazwaną tak ku pamięci zwycięskiej bitwy. Jednakże po obu stronach obskurnej drogi stały niechlujne, zaniedbane domy i sklepy, gdzie nieustannie kręcili się dilerzy narkotyków. Na szczęście paskudna pogoda udaremniła większości dzisiejszy handel. Glenn Branson miał na sobie elegancki, brązowy garnitur w prążki i jedwabny krawat. Zasepiony siedział w milczeniu obok Roya.

Mimo że hyundai, którym jechali, był często używany, nie zalatywał jeszcze jak wyrzucone pudełko z McDonald'sa, tylko zachował świeży zapach nowiutkiego samochodu. Grace skręcił w prawo obok dużego billboardu rozpiętego na ścianie firmy budowlanej. To tutaj remontowano dość sporą i zaniedbaną część miasta.

Przerabiano dwa nieużywane obiekty kolejowe na kolejne szykowne miejskie osiedle.

Wizja architekta lśniła na banerze. NOWA ANGIELSKA DZIELNICA. DZIĘKI NAM ZMIENISZ STYL ŻYCIA, DOM I PRACĘ. Podobne napisy można spotkać we wszystkich nowoczesnych osiedlach, pomyślał Grace, gdzie domy mają dużo szklanych elementów, stalowe wzmocnienia są wyeksponowane, na skwerach rosną urocze krzaki oraz drzewa i nie widać żadnych bandziorów. Pewnego dnia cała Anglia będzie tak wyglądać, a wtedy się nie rozróżni miast od wsi. Czy to ma jakieś znaczenie, zastanawiał się. Mam trzydzieści dziewięć lat, może jestem już starym pierdołą? Czy chciałbym, aby moje ukochane miasto się nie zmieniało mimo upływu czasu?

Jednakże w tej chwili miał poważniejsze zmartwienie niż polityka mieszkaniowa Brighton i Hove oraz ludzkie szczątki, które jechał obejrzeć. Powodem zmartwienia był Cassian Pewe.

W poniedziałek, po długiej rekonwalescencji spowodowanej wypadkiem samochodowym, Cassian Pewe miał rozpocząć pracę w wydziale kryminalnym na tym samym stanowisku co Grace. Miał tylko jedną zaletę. Pomimo atrakcyjnej powierzchowności nie był za bardzo lubiany przez Alison Vosper, zastępcę szefa policji.



Choć ostatnio zdarzały mu się sukcesy, Roy Grace wiedział, że jeśli da plamę, to przeniosą go z policji hrabstwa Sussex gdzieś na odludzie. Nie chciał opuszczać Brighton i Hove, a przede wszystkim Cleo.

Uważał, że Cassian Pewe jest jednym z tych aroganckich mężczyzn, którzy są niesamowicie przystojni i świetnie zdają sobie z tego sprawę. Miał blond włosy, anielskie, błękitne oczy, ciągłą opaleniznę i przejmujący głos. Zawsze sztywnie ubrany, chodził dumnym krokiem, promieniejąc poczuciem własnego autorytetu.

Stale zachowywał się, jakby kierował jakąś sprawą, nawet jeżeli nie był zaangażowany w żadne śledztwo.

Roy wszedł z nim w konflikt, gdy stołeczna policja przysłała posiłki na czas zjazdu laburzystów. Pewe *wtedy jeszcze inspektor, a nie komisarz* z właściwą sobie arogancją aresztował dwóch informatorów. Roy dyskretnie kontaktował się z nimi od lat, ale po aresztowaniu stanowczo odmówili współpracy. Wtedy, jak na złość, Alison Vosper wzięła stronę Pewe'a.

Nie mógł pojąć, co ona widziała w tym człowieku. Czasem podejrzewał, że mieli romans, choć było to nieprawdopodobne. Pewe został przeniesiony ze stołecznej, dostał awans, a obowiązki Roya, z którymi spokojnie poradziłby sobie bez niczyjej pomocy, podzielono.

Glenn Branson, zazwyczaj bardzo rozgadany, siedział w milczeniu, odkąd wyjechali z biura. Na pewno był wściekły, że nie mógł spędzić piątkowego wieczoru z rodziną.

A może wkurzał się, bo Roy nie pozwolił mu prowadzić. Zdecydował się przerwać ciszę.

*Widziałeś film W upalną noc?* zapytał.

*Nie sądzę* odpowiedział Grace. \* Czemu pytasz?

\* To jest o takim rasistowskim gliniarzu z Missisipi. \* No i...?

Branson wzruszył ramionami.

\* Uważasz, że jestem rasistą?

\* Mogłeś komuś innemu zawalić weekend. Dlaczego mnie?

\* Bo zawsze wybieram czarnych.

\* Ari też tak myśli.

\* Chyba żartujesz?

Kilka miesięcy temu Roy przygarnął Glenna, gdy żona wyrzuciła go z domu. Już po kilku dniach wspólnego mieszkania ich przyjaźń wisiła na włosku. Potem Glenn wrócił do żony.

\* Mówię poważnie.

\* No to Ari ma problem, nie ja.

*Jest tam słynna sekwencja strzelaniny na moście. W historii kina to jedna z najdłuższych scen w takim ujęciu* ciągnął Glenn.

\* Super, kiedyś go obejrzę. Posłuchaj stary, Ari się myli.

Glenn podał mu gumę do żucia. Grace ożywił się pod wpływem miętowego smaku.

\* Naprawdę musiałeś mnie dzisiaj wyciągać? Nie mogłeś zabrać kogoś innego? \*

zapytał Glenn.

Na zakręcie Grace zobaczył mężczyznę w niechlujnym dresie. Rozmawiał z nastolatkiem ubranym w bluzę z kapturem. Wprawnym okiem ocenił, że sprawa podpada pod paragraf. Diler narkotyków prezentował swoją ofertę.

\* Myślałem, że między wami się poprawiło.

\* Też tak myślałem. Kupiłem jej cholernego konia. Teraz okazało się, że to nie był

właściwy koń.

W końcu Grace zobaczył kilka koparek, samochód policyjny, niebiesko\*białe taśmy rozciągnięte w poprzek wjazdu na plac budowy. Przemoczony, zafrasowany posterunkowy w żółtej, odbłaskowej kamizelce trzymał segregator w plastikowej siatce. Grace ucieszył się na ten widok. Mundurowi dobrze zabezpieczyli miejsce zbrodni.

Zaparkował przed policyjnym autem i odwrócił się w stronę Glenna.

\* Wiesz, że czeka cię awans?

\* Uhm. \* Glenn znów wzruszył ramionami.

\* Może to śledztwo pomoże ci się wykazać podczas rozmowy z kierownictwem.

Trzeba dbać o własne interesy.

\* Powiedz to Ari.

Grace położył rękę na ramieniu Glenna. Bardzo go lubił, uważał, że jest jednym z najbystrzejszych detektywów, jakich kiedykolwiek spotkał. Glenn miał ogromne szanse zrobić policyjną karierę, lecz nie bez wyrzeczeń. Niektórzy nie akceptowali tych warunków, ponieważ nienormalne godziny pracy zniszczyły wiele małżeństw.

Przetrwali tylko ci, którzy też się ożenili z policjantkami albo pielęgniarzkami. W grę wchodziły także inne zawody, ale tylko te, gdzie

nietypowe godziny pracy były na porządku dziennym.

\* Poprosiłem cię, bo jesteś najlepszy. Jednak do niczego cię nie zmuszam. Możesz iść ze mną albo wrócić do domu. Zrób, jak uważasz.

\* No jasne, stary, wróć do domu i co potem? Zdegradują mnie i będę ścigał

ekshibicjonistów na deptaku. Zgadza się?

\* Pewnie tak.

Grace i Branson wysiedli z samochodu. Zmagając się z deszczem i wiatrem, nałożyli białe kombinezony oraz kalosze, co nadało im wygląd dwóch plemników, po czym tak wystrojzeni podeszli do posterunkowego i wpisali się na listę.

*Zabierzcie latarki* poradził posterunkowy.

Grace i Branson sprawdzili, czy latarki są sprawne. Drugi posterunkowy poszedł

przodem. Przez olbrzymi plac brnęli w koszmarnym błocie, szli koleinami wyżłobionymi przez opony ciężkich maszyn.

Minęli wysoki dźwig, koparkę i stertę desek przykrytych folią, która powiewała na wietrze. Przed nimi, tuż przy fundamentach parkingu, pojawiła się rozpadająca ściana starego budynku. W ciemnościach otaczała ich pomarańczowa poświata miejskich latarni. Słychać było szelest targanego wiatrem kawałka billboardu i brzęk obijających się o siebie kawałków metalu.

Grace przyglądał się ziemi. Fundamenty tonęły w wodzie. Ciężki sprzęt przejeżdżał

tędy od kilku miesięcy. Pewnie w kanale burzowym nie pozostał żaden ślad, a jeśli coś było na zewnątrz, uległo całkowitemu zniszczeniu.

Posterunkowy zatrzymał się i wskazał na wykopany kanał, który miał około sześciu metrów. Grace spojrział w dół. Zobaczył coś, co wyglądało jak zakopany prehistoryczny wąż z wyciętą dziurą. Stare cegły prawie straciły kolor; zatopione w wodzie, lekko tylko wystawały nad powierzchnię błota. To był kanał spływowy na starej trasie kolejowej z Brighton do Kemp Town.

*Nikt o nim nie wiedział* powiedział posterunkowy \* koparka najechała na niego dzisiaj.

Roy Grace cofnął się na chwilę, musiał opanować lęk wysokości. Wziął głęboki oddech i zszedł po śliskiej pochyłości. Poczul ulgę, kiedy bez szwanku znalazł się na dole. Wtedy „wąż” zrobił się większy, bardziej realny, niż gdy patrzył z góry. Stał w okrągłej dziurze wysokości kilku metrów. W

środku było ciemno jak w jaskini.

Włączył latarkę i energicznie ruszył. Wiedział, że Branson i posterunkowy idą za nim, więc musi dać im przykład.

Cienie rzucane przez latarkę niespokojnie podskakiwały. Schylił głowę, uderzył go cuchnący odór wilgoci. Był silniejszy, niż wydawało się na zewnątrz. Czuł się jak w starożytnym grobowcu.

\* Trzeci człowiek *nagle odezwał się Branson* znasz ten film, zdaje się, że masz go w domu.

*Tam gra Orson Welles i Joseph Cotten?* upewnił się Grace.

\* Tak, masz świetną pamięć! Kanały ściekowe zawsze przypominają mi o tym filmie.

Grace poświecił w prawo. Oprócz migoczących kałuż wody i wiekowego muru ceglanego nic nie ujrzał. Potem skierował światło w lewo i natychmiast odskoczył.

\* Cholera! \* krzyknął Branson, a echo poniosło jego głos. Grace, mimo iż był

przygotowany na to, co zobaczy, wystraszył się.

Pod ścianą leżał, częściowo zatopiony w błocie, szkielet. Wyglądał, jakby specjalnie czekał tam na niego. Oprócz kości, zgniłych części ciała, maleńkich kawałków skurczonej skóry, pozostało jedynie trochę włosów.

Grace podszedł bliżej, starając się nie poślizgnąć w tym kompoście. Dwa czerwone światełka pojawiły się na chwilę i zniknęły. To był szczur. Grace skierował światło na czaszkę, której pusty grymas był niepokojący.

Coś jeszcze go zaniepokoiło.

Włosy. Choć dawno straciły swój blask, miały tę samą długość i pszeniczny kolor jak włosy Sandy, jego żony, która zniknęła dawno temu.

Starając się pozbyć natrętnej myśli, odwrócił się do posterunkowego i zapytał: \* Czy przeszukaliście cały kanał?

\* Nie. Czekaliśmy na was.

\* To dobrze.

Grace odetchnął. Ucieszył się, że młody człowiek nie ryzykował utraty lub zniszczenia ewentualnych dowodów, które mogły nadal tu być. Zaczął drzeć.

Ponownie skierował latarkę w stronę czaszki. Patrzył na kosmyki włosów.

W jego trzydzieste urodziny, czyli prawie dziewięć lat temu, uwielbiana przez niego żona Sandy zniknęła. Prawie do dziś jej szukał. Codziennie się

zastanawiał, co się wydarzyło. Czy ktoś ją porwał i uwięził? Czy uciekła z tajemniczym kochankiem?

Została zamordowana? Popęłniła samobójstwo? A może nadal żyła? Zwrócił się do medium, jasnowidzów i innych mistyków, żeby pomogli mu ją odnaleźć.

Niedawno pojechał do Monachium, bo pojawił się pewien trop. Sandy miała tam krewnych ze strony matki, więc ta wycieczka wydawała się logiczna. Jednakże nikt nic o niej nie słyszał, więc wszystkie jego poszukiwania, jak zwykle, spełzyły na niczym. Zawsze kiedy widział martwą kobietę w wieku Sandy, zastanawiał się, czy to nie ona.

Wydawało mu się, że znaleziony szkielet w kanale ściekowym miasta, w którym się urodził, dorastał, a potem się zakochał, zarzuca mu: „Nie śpieszyłeś się!”.

## 6

Październik 2007

Abby siedziała na wykładzinie i wpatrywała się w szarą ścianę, a konkretnie w małe napisy obok panelu z przyciskami. Na białym tle, czerwonymi, drukowanymi literami wypisano:

W RAZIE AWARII

DZWOŃ POD NUMER

**013 228 7828**

**LUB**

## 999

Napis nie brzmiał przekonująco. Pod panelem z przyciskami była wąska, pęknięta szybka. Powoli podczołgała się w jej stronę. Była zaledwie kilka centymetrów od niej, ale w tej rozhuśtanej windzie wydawało się, że jest na drugim końcu świata.

Wreszcie dotarła do celu. Wyważyła okienko i zdjęła słuchawkę, za którą ciągnął się skręcony sznur.

Słuchawka była zepsuta.

Naciskała na widełki, winda się zakołysała. W słuchawce panowała cisza. Na wszelki wypadek wybrała podane numery telefoniczne, ale bez rezultatu.

Świetnie, pomyślała. Wspaniale. Ostrożnie wyciągnęła swoją komórkę z torebki i wybrała numer 999.

Usłyszała ostry dźwięk. Na wyświetlaczu pojawił się komunikat: „Brak zasięgu”.

\* Chryste, nie rób mi tego.

Szybko oddychała, wyłączyła telefon, potem znowu włączyła, czekała na jakikolwiek znak, ale żaden się nie pojawił.

Wybrała 999 i ponownie po ostrym sygnale przeczytała tę samą wiadomość.

Nieustannie próbowała, za każdym razem coraz mocniej stukała w klawisze.

\* No dalej, proszę cię.

Patrzyła na wyświetlacz. Czasem sygnał się pojawiał, ale zaraz znikał. Może gdyby dłużej czekała...

Wtedy zawołała. Zaczęła niepewnie.

\* Pomocy!

Jej głos był cichy i stłumiony. Oddychając pełną piersią, potężnie krzyknęła: \* HALO, PROSZĘ MI POMÓC! POMOCY! JESTEM UWIĘZIONA W WINDZIE!

Czekała na odzew. Panowała cisza.

Cisza była tak potworna, że wszystko doskonale słyszała. Na przykład buczenie świetlówki nad głową. Łomot serca. Krew przepływająca w żyłach. Gwałtowny syk jej oddechów.

Miała wrażenie, że ściany się kurczą.



Miarowo oddychała. Spoglądała na telefon. Dłoń drżała jej tak mocno, że prawie nie potrafiła czytać cyfr. Głęboko nabierała powietrza. Próbowwała połączyć się z numerem 999, ale bezskutecznie. Odłożyła telefon i potężnie uderzyła w ścianę.

Rozległ się huk i winda niepokojąco się zakołysała, uderzała w ściany szybu, potem opadła o kilka centymetrów.

*NA POMOC!* wrzeszczała.

Kabina znowu się bujała, więc Abby leżała bez ruchu. Winda się uspokoiła.

Z powodu sytuacji, w jakiej się znalazła, poczuła przypływ histerycznego gniewu.

Podczołgała się jeszcze kilka centymetrów, a potem zaczęła się wydierać i walić w metalowe drzwi. Od tego wrzasku bolały ją uszy i gardło odmówiło posłuszeństwa.

Zakaszła, pełnymi płucami wdychała kurz.

**\* WYPUŚĆCIE MNIE!**

Wydawało się jej, że winda troszkę się poruszyła. Jakby ktoś nacisnął ją z góry.

Zamknęła oczy. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała.

Otaczała ją tylko cisza.

11 września 2001

Półnaga Lorraine Wilson odpoczywała na leżaku w ogrodzie. Korzystała z ostatnich dni lata, by utrwalić opaleniznę. Przez ogromne przeciwsłoneczne okulary spoglądała na złotego roleksa, który Ronnie kupił jej w czerwcu na urodziny. Twierdził, że jest prawdziwy, ale ona mu nie wierzyła. Znała go zbyt dobrze. Nie wydałby dziesięciu tysięcy funtów na zegarek, jeśli mógł znaleźć identyczny za jedyne pięćdziesiąt.

Sz szczególnie teraz, kiedy miał kłopoty finansowe.

Nie skarżył się, ale domyślała się wszystkiego, ponieważ kazał jej zaciskać pasa.

Sprawdzał rachunki ze sklepu spożywczego, narzekał, że za dużo wydaje na ciuchy, fryzjera i obiady z koleżankami. Część domu była żenująco zaniedbana, ale Ronnie zabronił jej zamówić malarzy, bo muszą oszczędzać.

Bardzo go kochała, ale nigdy całkowicie nie rozszyfrowała. Jakby miał jakiś sekret, z którym zmagał się samotnie. Poniekąd domyślała się powodu jego niepokoju. Za wszelką cenę chciał udowodnić światu, a w szczególności znajomym, że jest człowiekiem sukcesu. Dlatego kupił dom, na który nie było ich stać, tuż przy Shirley Drive. Nie był duży, ale znajdował się w jednej z najdroższych dzielnic okręgu Brighton i Hove. Spokojna okolica z willami, okazałymi ogrodami ułożonymi wzdłuż trzypasmowej drogi biegnącej wśród wzgórz. Nowoczesny kilkupoziomowy dom. Różnił się od innych, tradycyjnych budowli w stylu Tudorów, które przeważały w okolicy, dlatego ludzie nie zdawali sobie sprawy, że był mały. Tarasy z drewna tekowego i mały basen dodawały przepychu rodem z Beverly Hills.

Była prawie druga po południu. Miło, że zadzwonił. Strefy czasowe wprawiały ją w zakłopotanie. Dziwiła się, że szedł na śniadanie, podczas gdy ona jadła lunch złożony z twarożku i jagód. Cieszyła się, że wraca dziś wieczorem. Był flirtiarzem, ale tęskniła za nim, kiedy wyjeżdżał. Zawsze się zastanawiała, co wyprawia podczas tych wyjazdów. Tym razem wyjechał tylko na trzy dni, więc nie było tak źle.

Ta część ogrodu, w której się znajdowała, leżała nieco na uboczu. Wysoka winna latorośl przeplatana potężnym bluszczem i ogromnym rododendronem oddzielała ją od sąsiadów. Lorraine obserwowała robota

uwijającego się w wodzie. Pływał w górę i dół, czyszcząc basen. Alfie, ich pręgowany kot, znalazł coś intrygującego w krzewie rododendronu. Wolno spacerował, przyglądał się, potem znowu ruszał i obserwował.

Nigdy nie wiesz, o czym myśli kot. Pomyślała, że podobnie jest z Ronniem.

Odłożyła talerzyk na trawę i sięgnęła po codzienną gazetę. Za półtorej godziny była umówiona u fryzjera. Miała zrobić sobie pasemka, a potem pójść do manikiurzystki.

Zawsze chciała atrakcyjnie wyglądać dla niego.

Rozkoszując się gorącymi promieniami słońca, przewracała strony. Za chwilę będzie musiała wstać i uprasować jego koszule. Ronnie kupował podrabiane zegarki, ale nie koszule. Zawsze nabywał je w centrum Londynu na Jermyn Street. Obsesyjnie pilnował, żeby były starannie odprasowane. Odkąd odeszła sprzątaczką, sama musiała wykonywać domowe czynności.

Uśmiechnęła się na wspomnienie początków ich związku, kiedy właściwie lubiła zmywać i prasować. Pierwszy raz spotkali się dziesięć lat temu. Ona pracowała jako sprzedawczyni w sklepie wolnoctwem na lotnisku Gatwick. On próbował złożyć swoje życie do kupy. Jego piękna, głupiutka żona poznała pewnego reżysera podczas babskiego wypadu. Uciekła z nim do Los Angeles, ponieważ obiecał, że zrobi z niej gwiazdę filmową.

Przypomniała sobie ich pierwsze wakacje w Hiszpanii, kiedy wynajęli małe mieszkanie przy porcie w Puerto Banus. Ronnie popijał piwo na balkonie i z zazdrością patrzył na jachty; obiecywał jej, że kiedyś będą mieć największy z nich wszystkich. Wiedział, jak zauroczyć kobietę. W tym osiągnął mistrzostwo.

Uwielbiała prac jego ubrania, żeby poczuć koszulki, kąpielówki, bieliznę, skarpetki, chusteczki w swoich rękach i ich różnorodne zapachy. Czuła satysfakcję, kiedy po wyprasowaniu je wkładał. Jakby byli jednością.

Teraz to był dla niej przykry obowiązek, nie znosiła jego skąpstwa.

Wróciła do artykułu na temat hormonalnej terapii zastępczej. Studiowała debatę, czy zmniejszenie objawów menopauzy, a zatem zachowanie młodzieńczego wyglądu, zwiększa ryzyko wystąpienia raka piersi i innych chorób. Strzepnęła natrętną oś, która kręciła się wokół jej głowy, i spojrzała na swoje piersi. Miała trzydzieści osiem lat i ciało nie było już takie jędrne, z wyjątkiem jej „kosztownego” biustu.

Lorraine nie była obłądną, powalającą pięknnością, ale mówiąc językiem Ronniego, zawsze była niezłą laską. Po babci z Norwegii odziedziczyła blond włosy. Nie tak dawno temu, podobnie jak milion innych blondyn na całym świecie, obcięła się w stylu księżnej Diany. Mnóstwo razy pytano ją, czy przypadkiem nie jest tą księżną Walii.

Muszę coś zrobić z ciałem, rozmyślała posępnie. Brzuch przypominał torbę kangura.

Wyglądała, jakby urodziła gromadkę dzieci, mięśnie dawno zanikły, a skóra była rozciągnięta. Góra ud pokryła się cellulitisem.

Jej ciało wyglądało katastrofalnie pomimo ćwiczeń pod okiem osobistego trenera trzy razy w tygodniu, nie mówiąc już o niezadowoleniu Ronniego z powodu ich kosztu.

Osa znów przyleciała, brzęczała dookoła głowy.

*Spieprzaj!* krzyknęła Lorraine, odganiając ją. \* Idź sobie. Zadzwoił telefon.

Pochyliła się i podniosła bezprzewodową słuchawkę.

\* Masz włączony telewizor? \* Dzwoniła jej siostra Mo. Zwykle mówiła spokojnym głosem, ale teraz była dziwnie poruszona.

\* Nie, siedzę w ogrodzie \* odpowiedziała Lorraine.

\* Ronnie jest w Nowym Jorku, prawda?

\* Tak, właśnie z nim rozmawiałam. Czemu pytasz?

\* Stało się coś okropnego. Mówią o tym na wszystkich kanałach. Przed chwilą samolot uderzył w World Trade Center.

## 8

Październik 2007

Deszcz padał coraz mocniej. Walił jak kulki gradu w dach policyjnego vana.

Przyciemnione okna nie pozwalały zaglądać ciekawskim. Na zewnątrz widać było przebłyski światła. Ponury zmierzch jawił się kolorem rdzy w blasku tysięcy miejskich latarni.

Mimo że z zewnątrz wyglądał na obszerny wóz, w środku transita było ciasno. Roy Grace kończył rozmowę telefoniczną. Miał rozpocząć spotkanie, więc wyciągnął notatnik z plecaka.

Oprócz Glenna Bransona, w okropnej ciasnocie, przy stole siedzieli szef dochodzeniówki, doradca ze służby wspomagającej, doświadczony biegły, jeden z posterunkowych oraz Joan Major, archeolog sądowy, która regularnie pomagała w identyfikacji szkieletów. Służyła też pomocą w razie znalezienia kości na placach budów, w lesie przez dzieci albo wykopanych przez działkowiczów w ogródkach, dzięki analizom stwierdzając, czy są ludzkie, czy zwierzęce.

W vanie było chłodno i wilgotno, roznosił się syntetyczny smród. Na półkach znajdowały się spakowane zwoje taśmy ochronnej. W innym miejscu umieszczono torby z kombinezonami, namioty, karimaty, liny, kable, młotki, piły, siekiery i plastikowe butelki z chemikaliami. Grace zawsze czuł, że coś ponurego było w tych vanach. Wyglądały jak wozy kempingowe, ale nigdy nie jeździły na pola namiotowe, tylko na miejsca zbrodni.

Była szósta trzydzieści po południu.

*Nie ma Nadiuski.* Odłożył telefon i poinformował nowo powstały zespół.

*Czy to znaczy, że jest tylko Frazer?* posępnie zapytał Glenn.

\* Tak.

Wszystkim zrzędył miny. Nadiuska De Sancha była patologiem, z którym każdy policjant w Sussex lubił współpracować. Pracowała błyskawicznie, była interesująca, zabawna i atrakcyjna. W przeciwieństwie do niej Frazer Theobald był uparty, powolny, choć, trzeba przyznać, pracował pedantycznie.

\* Tylko że problem polega na tym, iż Frazer kończy robotę w Esher.

Najwcześniej może tu być na dziewiątą.

Uchwycił wzrok Glenna. Oboje wiedzieli, co oznacza ta informacja \* całonocną pracę.

Grace otworzył pierwszą stronę swojego notatnika. Wstępna odprawa na miejscu zbrodni. Piątek, 19 października, godz. 18.30. Plac budowy: osiedle dzielnicy New England.

\* Mam pewną sugestię \* odezwała się Joan Major.

Pani archeolog miała czterdzieści lat, miłą aparycję, długie, brązowe włosy i kwadratowe, modne okulary. Na spotkanie ubrała się w czarny golf, brązowe spodnie i solidne buty na gumowej podeszwie. Grace dał jej znak gestem ręki.

\* Proponuję zrobić tylko wstępną ocenę sytuacji, ale może niekoniecznie teraz musimy rozpoczynać poważną robotę, zwłaszcza że robi się ciemno. Przy świetle dziennym łatwiej nam będzie pracować. Wydaje się, że ten szkielet był tutaj od dłuższego czasu, więc jedna noc nie sprawi żadnej różnicy.

*To dobra myśl* potwierdził Grace. *Musimy tylko sprawdzić, czy prace budowlane nadal są prowadzone.* Porozumiewawczo spojrział na doradcę ze służby pomocniczej. Ned Morgan był wysokim, brodatym mężczyzną o ciemnej karnacji. \*

Musisz się skontaktować z kierownikiem robót, Ned. Należy przerwać prace dookoła tego kanału burzowego.

\* W drodze tutaj rozmawiałem z nim. Był zmartwiony, ponieważ czas ich goni \*

powiedział Ned. \* Prawie dostał szału, gdy mu powiedziałem, że możemy spędzić tutaj nawet tydzień.

*To duży plac budowy* kontynuował Grace \* nie musimy zamykać go całego.

Zadecydujcie, którą część należy odciąć na wasze prace. \* Potem odwrócił się do pani archeolog. \* Masz rację Joan. Lepiej będzie zacząć jutro, przy dziennym świetle.

Grace zadzwonił do Steve'a Curry'ego, inspektora policji tej dzielnicy, który koordynował prace mundurowych, żeby zabezpieczali teren aż do kolejnego powiadomienia. Ta informacja nie zachwyciła nadinspektora, ponieważ ochrona miejsca zbrodni była wielkim obciążeniem finansowym.

Następnie Grace zwrócił się do szefa dochodzeniówki, Joego Tindalla,

który z początkiem roku awansował na to stanowisko. Tindall uśmiechnął się pełen samozadowolenia.

\* Wszystko jest jak zwykle, Roy powiedział z akcentem typowym dla środkowej Anglii ale teraz jestem szefem, więc należy mi się przyzwoity odpoczynek. Minęły czasy, kiedy ty i twój kolega zawalaliście mi weekendy. Teraz ja rujnuję innym weekendy dla ciebie.

Grace w cichości zazdrościł mu. Co więcej, rzeczywiście owe szczątki mogłyby poczekać aż do poniedziałku, ale teraz musieli się nimi zająć, bo zostały znalezione i opisane. Nie było innego wyjścia.

Dziesięć minut później, ubrani w stroje ochronne, zeszli do kanału ściekowego.

Grace prowadził, za nim szli Joan Major i Ned Morgan. Doradca ze służby pomocniczej zasugerował, aby pozostali siedzieli w vanie, by jeszcze bardziej nie zacierać śladów zbrodni.

Cała trójka zatrzymała się przed szkieletem i skierowała latarki w tę stronę. Joan Major, grzęznąc w błocie, podeszła tak blisko, że mogła go dotknąć.

Roy Grace poczuł ucisk w gardle, gdy znowu wpatrywał się w tę twarz. Wiedział, że jest małe prawdopodobieństwo; to przypuszczalnie nie Sandy. Mimo to... Zęby były nienaruszone, a Sandy miała idealne zęby. Była to jedna z tych rzeczy, którą bardzo cenił. Jej zęby były piękne, białe i równe. Zawsze się rozklejał pod wpływem jej uśmiechu.

*To mężczyzna czy kobieta, Joan?* Jego głos zabrzmiał nienaturalnie.

Przyglądała się czaszce.

*Czoło jest dość proste, mężczyźni mają raczej inny kształt* odpowiedziała. Jej głos brzmiał upiornie. Potem, trzymając latarkę w lewej dłoni, wskazującym palcem prawej pokazała na tył czaszki. *Grzebień potyliczny jest zaokrąglony.* Postukała o wystające wzgórze. *Jeśli dotkniesz tyłu swojej czaszki, Roy, to będą one bardziej wystające, bo tak mają mężczyźni* potem zajrzała do wnętrza lewego ucha \*

wyrostek sutkowy też potwierdza, że to kobieta, mężczyźni mają bardziej wyraźny \*

następnie przesunęła ręką przed oczami \* popatrz na wypukłości brwi. Gdyby był to mężczyzna, byłyby wyraźniej zarysowane.

\* Czyli prawie jesteś pewna, że to kobieta? \* zapytał Grace.

\* Tak. Gdy obejrzę miednicę, będę pewna na sto procent. Ale sądzę, że się nie mylę.

Zrobiłam też pomiary. Męski szkielet jest potężniejszy, ma inne proporcje przez chwilę się zawahała jest coś, co trzeba natychmiast sprawdzić. Jestem ciekawa opinii Frazera.

\* Co masz na myśli?

\* Kość gnykową.

Skierowała jego wzrok na kość zawieszoną na cienkim skrawku wysuszonej skóry.

\* Widzisz tę kość w kształcie podkowy? Dzięki niej język jest na swoim miejscu.

Zdaje się, że wskaże nam przyczynę śmierci. Kość gnykowa zazwyczaj łamie się w czasie duszenia.

Grace był tym zaabsorbowany. Wpatrywał się w kość, potem znów studiował idealne zęby. Usiłował przypomnieć sobie oględziny ostatnich zwłok w sprawie, którą zajmował się kilka lat temu.

\* Co powiesz na temat wieku?

*Jutro powiem ci bardziej precyzyjnie* odparła. \* Na pierwszy rzut oka wygląda na najlepsze lata życia, to znaczy przedział od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat.

Grace się zamyślił, patrząc na czaszkę. Sandy miała dwadzieścia osiem lat, gdy zniknęła. Kątem oka dostrzegł, że Ned Morgan świeci latarką po kanale.

\* Musi to obejrzeć jakiś inżynier, Roy powiedział Ned. Ktoś, kto świetnie zna kanalizację miejską. Trzeba sprawdzić, czy inne kanały są połączone z tym. Może jej ubrania lub rzeczy osobiste gdzieś popłynęły.

*Czy sądzisz, że ten kanał jest splewny?* zapytał Grace. Morgan świecił latarką w zamyśleniu.

\* Dzisiaj mocno pada przez cały dzień, choć nie ma tu zbyt dużo wody, ale jest to możliwe. Ten kanał zbudowano pewnie, żeby zapobiec zalewaniu torów kolejowych.

Ale... \* Zawahał się.

*Wygląda na to, że spędziła tu wiele lat. Gdyby kanał był splewny, pewnie wyrzuciłoby ją gdzieś i połamało. Ona jest nietknięta. Stan skóry wskazuje na to, że dość długo było tu sucho. Jednakże całkowicie nie możemy określić stopnia zalewania tego kanału* wtrąciła Joan.

Grace gapił się na czaszkę targany emocjami. Nagle poczuł, że nie chce czekać do jutra. Miał ochotę nakazać, żeby zespół rozpoczął pracę



natychmiast.

Zamiast tego rzucił tylko posterunkowemu, żeby szczelnie zamknął wejście i zabezpieczył cały plac budowy.

## 9

Październik 2007

Abby nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Chciało się jej sikać. Popatrzyła na zegarek. Minęła godzina i dziesięć minut, odkąd weszła do tej choleralnej windy.

Dlaczego? Dlaczego była tak cholernie głupia?

Odpowiedź była następująca \* z powodu tych zasranych budowlańców na dole.

Chryste. Trzydzieści sekund zajmowało jej zejście na dół. Było świetnym ćwiczeniem. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

A teraz ta nagła potrzeba. Wyszła z mieszkania niedawno, a czuła się, jakby od tego czasu wypijała pięć litrów kawy i cztery litry wody.

Nie ma mowy, nie zleję się. Strażacy nie zobaczą mnie w kałuży sików. Dziękuję za takie upokorzenie. Mocno przyciskała kolana, drżała, patrzyła w górę na dach windy; siatkową, matową obudowę świateł. Nasłuchiwała. Wsłuchiwała się w odgłos kroków, które, była pewna, że słyszała.

Albo wydawało się jej, że słyszała...

W filmach ludzie wypychają drzwi albo wspinają się przez okienko dachowe. Ale w filmach windy nie kołyszą się w ten sposób.

Ochota na sikanie przeszła, ale pewnie wróci. W tej chwili czuła się lepiej. Chciała dotknąć stóp, ale winda zaczęła szaleńczo się kołysać. Obijała się o ściany szybu z hałasem. Abby wstrzymała oddech, czekała, aż się uspokoi. Modliła się, żeby liny się nie zerwały. Uklękła, wzięła komórkę z podłogi i wybrała numer alarmowy.

Usłyszała ten sam ostry sygnał, tę samą wiadomość.

Palcami próbowała poszerzyć lukę w drzwiach, ale bezskutecznie. Zerknęła do torebki, szukała czegoś, co mogłaby wetknąć w cienką szparę. Nie znalazła niczego oprócz metalowego pilnika do paznokci. Wepchnęła go w cieniutki prześwit, ale po kilku centymetrach pilnik wbił się w coś twardego. Ruszała nim w prawo i lewo, aż w końcu się skrzywił.

Naciskała na przyciski panelu, potem z wściekłością waliła otwartą dłonią w ściany windy.

To przyniosło jej chwilową ulgę.

Jak długo jeszcze pociągnie?

Rozległo się kolejne złowieszcze skrzypnięcie nad jej głową. Wyobraziła sobie, że skręcone liny powolutku się rozwijają i robią się coraz cieńsze, a śruby przykręcone w dachu stopniowo się odkształcają. Przypomniała sobie rozmowę sprzed kilku lat, kiedy wspólnie roztrząsali, co zrobić, kiedy winda się urwie i spadnie. Podczas imprezy niektórzy ludzie twierdzili, że trzeba podskoczyć, zanim winda sięgnie fundamentu. Ale skąd mam wiedzieć, kiedy uderzę w dno? Poza tym, jeśli winda będzie spadać z prędkością stu kilometrów na godzinę, ja też będę poruszać się w tym samym tempie. Inni sugerowali, że dobrze jest się położyć. Pozostali twierdzili, że najlepiej byłoby w ogóle nie być w tej windzie.

A jej się to przydarzyło.

O Jezuu, co za ironia losu. Tyle przeszła, żeby być znowu w Brighton. Ogromnie ryzykowała, podejmowała wszelkie środki ostrożności, by nie zostawiać po sobie żadnych śladów.

Widocznie to musiało się stać.

Wyobraziła sobie, jak ta historia będzie przedstawiona. Niezidentyfikowana kobieta zamordowana w niewyjaśniony sposób w windzie. O nie, nie ma mowy.

Spojrzała na matową szybę, próbowała ją wypchnąć, ale ta nawet nie drgnęła. Pchała coraz mocniej. Bez reakcji.

Musi się poruszyć. Naciskała obiema rękami z całej siły, ale ponownie rozkołysała windę. Odbijała się o ściany szybu z tym samym ponurym odgłosem.

Nagle usłyszała skrobanie. Wyraźne, długie skrobanie, jakby ktoś próbował ją ratować.

Wysłuchiwała się. Usiłowała zignorować głośny oddech i łomot serca. Chyba ze dwie minuty słuchała tego skrobania. Uszy jej pękały, jakby źle znosiła ciśnienie wysokościowe w samolocie. Bała się.

Potem słyszała jedynie miarowe zgrzytanie liny i z rzadka trzaski rozdieranego metalu.

## 10

11 września 2001

Trzymając bezprzewodowy telefon przy uchu, odczuwając okropny mętlik w głowie, Lorraine ruszyła w stronę domu. Prawie przewróciła się o Alfiego. Z falującym biustem i brzęczącym złotym łańcuszkiem na kostce wpadła przez drzwi patia, rolując w biegu miękkie, biały dywan.

*On tam jest* drżącym szeptem poinformowała siostrę \* właśnie teraz tam jest.

Chwyciła pilota i włączyła wiadomości BBC. Wprawdzie obraz się urywał \* jak to bywa przy ręcznym nagrywaniu *ale natychmiast rozpoznała dwie wysokie, srebrne wieże World Trade Center. Gęsty, czarny dym rozchodził się z jednej z nich, prawie nie było jej widać. Czarnobiały maszt wznosił się w stronę bezchmurnego, metalicznego nieba.*

O Chryste. Ronnie tam był. W której z wież miał spotkanie? Na którym piętrze?

*O Boże! O mój Boże!* krzyczał wzburzony amerykański prezenter, ale Lorraine ledwie słyszała jego głos.

*Oddzwonię do ciebie, Mo* powiedziała zaraz *oddzwonię*. Wybrała numer Ronniego, ale był zajęty. Próbowała jeszcze kilka razy. O Boże! Ronnie, trzymaj się.

Kochanie, proszę cię, trzymaj się.

Usłyszała ryk syren w telewizji. Na ekranie ludzie patrzyli w górę. Dziesiątki ludzi \*

turyści i pracownicy \* stoją w bezruchu, zmrozeni dziwną sytuacją, pełną dramatycznego napięcia. Jedni trzymają się za głowy, inni uwieczniają tę chwilę kamerami. Potem znów pokazano WTC. Rozprzestrzeniający się czarny dym zasłonił

błękit nieba.

Zadrżała. Nie potrafiła się poruszyć.

Syreny wyły coraz głośniej.

Prawie nikt się nie ruszał. Kilku ludzi rzuciło się w stronę budynku. Przyjechał wóz strażacki. Słyszała przeszywające powietrze wycie syren.

Kolejny raz wybrała numer Ronniego. Zajęty. Wiele razy starała się dodzwonić, ale numer zawsze był zajęty. Zadzwoiła do siostry.

*Nie mogę się dodzwonić do niego* płakała.

\* Wszystko będzie dobrze, Lori. Złego licha nie bierze. Ronnie wyjdzie z tego.

\* Jak to się mogło stać? *zapytała Lorraine*. W jaki sposób samolot mógł tak uderzyć? To znaczy...

\* Jestem pewna, że Ronnie czuje się dobrze. To, co się stało, jest okropne, wprost nie do uwierzenia. To jak jedna z tych katastrof, które znamy z filmów grozy.

\* Rozłączę się, może będzie próbował się do mnie dodzwonić. Też będę próbowała.

\* Daj mi znać, jeżeli ci się uda.

\* Dobrze.

\* Obiecujesz?

\* Tak.

\* Kochanie, nic mu nie jest, na pewno.

Lorraine się rozłączyła, relacje telewizyjne ją zahipnotyzowały. Zaczęła wydzwaniać do Ronniego. Niestety, bez rezultatów.

Październik 2007

Czy jestem miłością twego życia? *zapytała*. Jestem, Grace?

*Jesteś*. Uśmiechnął się.

\* Nie kłamiesz, Grace, prawda?

Było cudowne czerwcowe popołudnie. Zjedli zakrapiany alkoholem lunch w restauracji La Coupole w dzielnicy St Germain. Następnie, przed powrotem do hotelu, wybrali się na przechadzkę brzegiem Sekwany.

Zawsze trafiali na piękną pogodę, gdy byli razem. Teraz też tak było. W przytulnym pokoju Sandy stała mu nad głową, zasłaniając promienie słońca. Blond warkocze spadały po obu stronach jej piegowatej buzi, łaskocząc go w policzki niczym pędzelki strzepujące kurz z jego twarzy.

\* Hej! Muszę przeczytać raport prokuratury. Ja...

*Nie marudź, Grace. Zawsze musisz coś czytać. Przecież spędzamy romantyczny weekend w Paryżu! Czy już ci się nie podobam?* Pocałowała go w czoło. *No to czytaj, czytaj, czytaj!* Ponownie go pocałowała. \* Jesteś taki nudny, nudny, nudny!

Tańczyła, drażniąc się z nim, omijała jego wyciągnięte ramiona. Miała na sobie skąpą sukienkę, a jej biust prawie wylewał się z dekoltu. Przelotnie zerknął na jej długie, ozłoczone słońcem nogi, zgrabne uda i poczuł się bardzo napalony.

Podeszła do niego i dotknęła pulsującej wypukłości.

\* To wszystko dla mnie, Grace? Uwielbiam to! Taki jest czegoś wart!

Z powodu ostrego słońca trudno było mu zobaczyć jej twarz. Nagle jej rysy się rozmyły i patrzył na pusty, czarny owal oprawiony w długie blond włosy, który wyglądał jak zaćmienie słońca. Zaczął panikować. Przez ułamek sekundy nie mógł

sobie przypomnieć jej wyglądu.

Wreszcie znowu ją widział.

*Kocham cię bardziej niż...* Uśmiechnął się.

Wydawało mu się, że słońce niespodziewanie zaszło za chmury. Zrobiło się zimno.

Jej twarz zbladła, jakby była chora, wręcz umierała. Mocno ją przytulił.

*SANDY!* krzyknął przeraźliwie. \* *SANDY*, kochanie! Dziwnie pachniała. Miała chropowatą skórę, nie taką delikatną jak zwykle. Pachniała zjełczalym tłuszczem, zgnilizną, ziemią i gorzkimi pomarańczami.

Potem zrobiło się całkowicie ciemno, jakby ktoś wykręcił bezpieczniki.

W zimnej i pustej przestrzeni Roy słyszał echo swojego głosu.

\* *Sandy!* \* krzyczał, ale głos uwiązł mu w gardle.

Zrobiło się jasno. Uderzyło go ostre światło kostnicy. Znow wpatrywał się w jej oczy i wrzeszczał.

Gapił się na oczodoły czaszki, trzymał szkielet w ramionach. Czaszka miała idealne zęby i uśmiechała się do niego.

\* *Sandy!* *wołał.* *Sandy!*

Wtedy światło się zmieniło. Zrobiło się delikatnie żółte. Łóżko skrzypnęło i usłyszał głos.

\* *Roy?*

To był głos Cleo.

\* *Roy?* Obudź się!

Patrzył na sufit, był zmieszany, zalewał go pot.

\* *Roy?*

\* *Ja... ja... \* Drżał.*

\* *Strasznie głośno krzyczałeś.*

\* *Przepraszam. Przykro mi.*

Cleo usiadła, jej długie blond włosy opadały wokół bladej, przerażonej twarzy.

Oparła się o jego ramię i patrzyła z wyrazem skargi. Wiedział, co zaraz usłyszy.

\* *Sandy rzekła z wyrzutem znowu to samo.*

Miała podobny kolor włosów jak Sandy, identyczny kolor oczu, może były odrobinę bardziej szare niż niebieskie. Bardziej stalowe. Kiedyś czytał, że rozwiedzeni albo owdowiali mężczyźni często zakochują się w kobietach podobnych do ich żon. Aż do teraz ta myśl nigdy nie przyszła mu do głowy. Ale one nie były za bardzo podobne do siebie. Sandy była ładna, ale nie była klasyczną pięknnością, jaką jest Cleo.

Gapił się na biały sufit i ściany sypialni Cleo. Patrzył na rozpadającą się czarną, lakierowaną toaletkę. Cleo nie lubiła bywać w jego domu. Uważała, że za bardzo czuje tam obecność Sandy, wołała spędzać z nim czas tutaj.

*Przepraszam* powiedział \* to był tylko zły sen, koszmar. Delikatnie pogłaskała go po policzku.

\* Może powinieneś zgłosić się do tego terapeuty, do którego już chodziłeś?

Pokiwał głową. Koniec końców wrócił do niespokojnego, nerwowego snu. Był przerażony, że coś może mu się znowu przyśnić.



# 12

Październik 2007

Skurcze były coraz bardziej uciążliwe, boleśniesz i łapały ją coraz częściej. Prawie co kilka minut. Może podobnie jest przy rodzeniu...

Zegarek wskazywał osiem minut po trzeciej nad ranem. Abby spędziła w windzie prawie dziewięć godzin. Może pozostanie tutaj aż do poniedziałku, jeśli wcześniej winda się nie urwie i nie spadnie.

Cholera. Jak ci minął weekend? Ja spędziłam weekend w windzie. Było super. Było tam lustro, panel z przyciskami i brudny, szklany dach ze świetlówkami. Na ścianie było zadrapanie, jakby ktoś zaczął ryć swastykę, ale potem się rozmyślił. Był też drukowany napis zrobiony przez jakiegoś głupka, który ani nie umie porządnie pisać, ani utrzymać w dobrym stanie tej pieprzonej windy.

W RAZIE AWARII DZWOŃ POD NUMER

**013 228 7828**

**LUB**

Drżała z wściekłości, gardło miała wyschnięte, obolałe od krzyku, prawie całkiem straciła głos. Po chwili odpoczynku spróbowała wstać. Nie obchodziło ją, że winda może się zacząć kołysać i runąć w dół. Wiedziała, że musi stamtąd wyjść, nie może czekać, aż winda się zerwie, śruby się odkształcą lub cokolwiek innego przyczyni się do jej śmierci.

*Próbuję stąd wyjść, dranie* chrypiała, wpatrywała się w napis i czuła, że ściany znów się kurczą, nadchodził kolejny atak paniki.

Telefon windy nie działał. Wzięła komórkę, trzymała blisko ucha, głęboko oddychała, starała się uspokoić, czekała na sygnał, przeklinała operatora sieci; wszystko przeklinała. Ból rozsadzał jej czaszkę, obraz się zamazywał i znowu pojawiła się ta przekłeta ochota na sikanie, która przeszywała jej wnętrzności.

Ścisnęła kolana, wdychała powietrze, uda jej drżały. Czuła okropny ból w brzuchu, jakby ktoś kręcił w nim ostrym nożem. Płakała, trzęsła się i skręcała z bólu.

Wiedziała, że dłużej już nie da rady.

Wytrzyma, zaciśnie zęby *pamięta o wyższości ducha nad materią* stoczy walkę z własnym ciałem, zdeterminowana nie podda się niczemu. Przypomniała sobie swoją mamę, która mając niecałe siedemdziesiąt lat, nie potrafiła kontrolować swoich odruchów z powodu demencji.

Ale ja potrafię utrzymać ten cholerny mocz. Tylko mnie stąd wypuście. Wypuście mnie. Powtarzała to jak mantrę, kiedy nagle potrzeba sikania się wzmogła, a potem cholernie powoli zaczęła się oddalać.

Na szczęście potrzeba sikania minęła, a ona wyczerpana osunęła się na podłogę.

Zastanawiała się, jak długo można się powstrzymać od wysiusiania się, zanim pęcherz pęknie.

Ludzie czasem przeżywają na pustyni, ponieważ piją swój mocz. W obłędzie pomyślała, że może powinna zrobić to do buta i użyć go jako pojemnika? Zrobić zapasy picia w tej awaryjnej sytuacji? Jak długo można wytrzymać bez wody?

Kiedyś czytała, że ludzie tygodniami mogą żyć bez jedzenia, ale tylko kilka dni bez wody.

Chwiejąc się na rozkołysanej podłodze, zdjęła prawy but. Potem wysoko

wyskoczyła i szpilką kubańskich butów uderzyła w dach. To nie był dobry pomysł. Winda wściekle się zakołysała i uderzyła o szyb, Abby odbijała się od ścian. Wstrzymała oddech, ponieważ tym razem z pewnością coś się złamało. Może ostatni postrzępiony kabel, który oddzielał ją od wielkiej niewiadomej.

Chwilami nawet chciała, żeby winda się urwała. Wiele pięter było pod nią, więc rozwiązałyby to, wprawdzie nieelegancko, ale jednak rozwiązało, wszystkie problemy. Co za ironia losu.

W odpowiedzi na jej rozważania zgasły światła.

## 13

11 września 2001

Gdy Ronnie Wilson mieszkał w dzielnicy Coldean w Brighton, pewien dom spłonął

niedaleko jego mieszkania. Ubrany w szlafrok i pantofle stał w ciemnościach i obserwował. Pamiętał smród, hałas, wozy strażackie... prawdziwe piekło. Był

zafascynowany i wystraszony jednocześnie. Ale przede wszystkim nie zapomniał

tego zapachu. Okropnego fetoru zniszczenia i rozpacz.

Teraz czuł ten sam odór w powietrzu. Nie był to przyjemny, słodki zapach ogniskowego dymu czy żarzącego się węgla, tylko ostry, zjadliwy fetor spalonej farby, osmolonego papieru, przypalonej gumy i gryzące opary roztopionego winylu i plastiku. Duszący dym szczypał w oczy. Musiał zakryć nos, powinien się wycofać, uciekać do kawiarni, którą opuścił przed chwilą.

Stał jednak nieruchomo, podobnie jak wszyscy dookoła.

Surrealistyczna chwila ciszy na Manhattanie, jakby ktoś włączył stop\*klatkę na ulicy.

Jakby po włączeniu czerwonego światła wszystko zamarło.

Ludzie się wpatrywali. Jakiś czas zajęło im uświadomienie sobie, na co się gapią.

Ronnie najpierw rozglądał się wokół, wzrokiem omiótł hydrant, stoły przed sklepami, na których leżały czasopisma oraz turystyczne przewodniki. Potem zobaczył markizę sklepu popularnej sieci Butter and Eggs. Następnie spojrzał na rozświetlony napis „Nie przechodzić”, sygnalizację świetlną zawieszoną nad skrzyżowaniem z Warren Street oraz na rząd zgromadzonych samochodów i płonące światła.

Zdał sobie sprawę, że wszyscy patrzyli w górę.

Podążając za ich spojrzeniem, najpierw zobaczył gęstą chmurę czarnego dymu wznoszącą się nad drapaczem chmur niedaleko niego. Była tak gęsta, jakby pochodziła z komina rafinerii naftowej.

Budynek płonął. Ronnie stał zszokowany i przerażony, serce mu zamarło,

gdy uświadomił sobie, który to budynek. To wieża World Trade Center.

Cholera, cholera, cholera.

Ośłupiały i zmieszany jak wszyscy ludzie, był przykuty do tego miejsca, nie mógł

uwierzyć w to, co zobaczył, i zrozumieć, co się dzieje.

Gdy zapaliło się zielone światło i ruszyły samochody, vany, ciężarówki, pomyślał, że pewnie kierowcy dokładnie nie widzieli, co się stało.

Przez chwilę chmura się skurczyła, a dym rozwiął. Na tle niebieskiego nieba widoczny był czarno\*biały maszt. To była Północna Wieża. Rozpoznał ją. Poczul

ulgę. Donald Hatcook miał biuro w Południowej Wieży. To dobrze. Nadal miał

nadzieję, że uda mu się z nim spotkać.

Słyszał wycie syren. Potem coraz głośniejszy, wręcz ogłuszający odgłos „eeeeoo”, który echem odbijał się w ciszy. Odwrócił się i zobaczył radiowóz, w którym siedzieli trzej policjanci. Mężczyzna z tyłu pochylał się do przodu i patrzył w górę.

Samochód pędził niewłaściwą stroną ulicy, posypał się grad czerwonych iskier, ponieważ zahaczył o drzwi trzech żółtych taksówek. Ostro zahamował, opony zapiszczały, przód samochodu obniżył się, potem auto powoli przesunęło się przez skrzyżowanie, przejechało pomiędzy piekarnią i samochodem dostawczym i zablokowało porsche oraz kolejną żółtą taksówkę.

*O mój Boże! Chryste, o Boże!* jęczała kobieta, która stała obok niego. \* O mój Boże, uderzył w wieżę! O mój Boże!

Syreny wyły gdzieś w oddali. Było je słychać podczas kolejnej chwili ciszy.

Chambers Street zamarła. Nagle zrobiło się pusto. Ronnie obserwował mężczyznę, który przechodził przez ulicę. Miał na głowie bejsbolówkę, cienką kurtkę, buty robocze, niósł plastikową torebkę, pewnie z lunchem. Słyszał kroki tego mężczyzny, który ostrożnie rozglądał się po pustej ulicy. Jakby obawiał się, że potrąci go kolejny policyjny radiowóz.

Jednak kolejny policyjny samochód nie nadjeżdżał. Jakby wystarczył tylko ten jeden, który miał poradzić sobie z „incydentem”. Panowała tylko cisza.

\* Widział to pan? \* zapytała kobieta, która stała za nim.

\* Ale co się stało? \* Ronnie się odwrócił.

Miała długie, brązowe włosy i wytrzeszczone oczy. Dwie siatki z zakupami leżały na chodniku obok niej, marchewki i puszki wysypały się na ziemię.

\* Samolot! O Jezus, to był pieprzony samolot! Uderzył w tę pieprzoną wieżę! Nie mogę uwierzyć w to, co widziałam. To był samolot. Uderzył w tę cholerną wieżę! \*

Jej głos drżał.

\* Samolot?

\* Uderzył w wieżę, w tę cholerną wieżę.

Zawyła kolejna syrena. Inna niż policyjna. Był to głęboki odgłos klaksonu ciężkiego samochodu gaśniczego.

Wspaniale, pomyślał, po prostu wspaniale jak cholera! Akurat teraz, kiedy mam zaplanowane spotkanie z Donaldem, jakiś głupek uderza samolotem w tę cholerną wieżę WTC!

Popatrzył na zegarek. Cholera! Jest prawie za pięć dziesiąta. Wyszedł z kawiarni za kwadrans dziesiąta, żeby mieć dużo czasu. Czy naprawdę stał tam przez dziesięć minut? Nadęta sekretarka Donalda powiedziała, że musi być punktualny, ponieważ Donald za godzinę będzie miał samolot do Wichity czy gdzieś tam. Albo może do Waszyngtonu. Miał tylko godzinę.

W ciągu jednej godziny musiał załatwić sprawę.

Usłyszał kolejną syrenę. Jasny gwint. Z pewnością zrobi się zaszranie zamieszanie.

Cholerne służby porządkowe jak nic zablokują ten teren. Musi stąd uciec, zanim to zrobią. Musi dotrzeć na spotkanie.

Musi tam być.

Nie pozwoli, żeby jakiś pierdolony idiota, który rozbił się samolotem, spieprzył mu spotkanie!

Ronnie przyspieszył kroku, ciągnąc bagaże za sobą.

Październik 2007

W kanale ściekowym roznosił się nieprzyjemny odór, którego wczoraj nie było. Z

pewnością był to smród rozkładającego się zwierzęcia, na przykład jakiegoś gryzonia. Roy przyjechał tuż po dziewiątej rano i od razu poczuł ten zapach.

Marszczył nos, kiedy ponownie wszedł do kanału. Trzymał dwie reklamówki z ciepłymi napojami, które z pobliskiej kawiarni Costa przyniósł rozentuzjasmowany oficer straży miejskiej.

Deszcz padał bezlitośnie, zmieniając ziemię w grzęzawisko. Jednakże Grace zdał

sobie sprawę, że poziom wody w kanale się nie podniósł. Zastanawiał się, ile wody tam spadło. Przypomnił sobie ciało młodego mężczyzny, które znaleziono w kanale ściekowym w Brighton. Wiedział, że wszystkie kanały ściekowe wypływają do morza niedaleko

Peacehaven. Jeśli ten kanał zalewała woda, to jest bardzo prawdopodobne, że większość dowodów, na przykład ubrania ofiary, zostało stąd zniesionych dawno temu.

Roy zignorował ironiczne uwagi, że awansował na herbaciarkę. Był roztrzęsiony po nocnym koszmarze i rozmyślaniach na temat szkieletu. W geście przeprosin, że zepsuł kolegom weekend, niczym pokutnik zaczął rozdawać herbatę i kawę.

W kanale było jak w ulu. Ned Morgan, doradca z oddziału pomocniczego, policjanci, kryminali stycy, wszyscy niczym duchy w białych kombinezonach, byli rozproszeni.

Przeszukiwali każdy skrawek podłoża. Chcieli znaleźć choćby kawałek buta, ubrania, biżuterii, jakiś strzępek czy kawałek czegoś, co mogło należeć do ofiary. Części ze skóry lub sztucznego materiału miały największą szansę przetrwać w tej mokrej dziurze. Pracując w mrocznym kanale, wśród światłocieni i blasku latarek, zespół

przedstawił upiorny widok.

Joan Major, archeolog sądowy, też ubrana od stóp do głów na biało, pracowała w ciszy i skupieniu. Jeśli dojdzie do procesu, będzie musiała



przedstawić w sądzie dokładny, trójwymiarowy model szkieletu w jego pierwotnym ułożeniu. Skończyła szczegółowe oględziny, usiłowała przywrócić sygnał w ręcznym GPS\*ie, który służył

do ustalenia położenia i zapisu współrzędnych zwłok. Teraz precyzyjnie szkicowała pozycję szkieletu w bagnie kanału. Kryminalistyk robił zdjęcia i co kilka minut oślepił ich fleszem.

*Dzięki, Roy* powiedziała nieobecny głosem. Odebrała dużą kawę latte.

Postawiła ją na drewnianej skrzyni ze sprzętem, którą umieściła na statywie, żeby nie zmkła.

Grace postanowił, że przez weekend popracuje bez udziału detektywów, a z dalszą robotą ruszy od poniedziałku. Branson, ku ogromnej radości, miał wolne w ten weekend. Pracowali spokojnie, bez pośpiechu, ponieważ to nie był świeży wypadek.

Poniedziałkowy poranek był odpowiednim terminem na zwołanie konferencji prasowej.

Może nadal istniała szansa, że razem z Cleo wybiorą się do Londynu i wykorzystają resztkę romantyki tego weekendu. Jeśli tylko, a było to znaczące jeśli, Joan skończy pomiary i odtwarzanie ułożenia szkieletu, a lekarz sądowy szybko wykona autopsję.

Myśl o Frazerze Theobaldzie dała mu cień nadziei. Ale gdzie on jest, do cholery?

Powinien się pojawić godzinę temu.

Jak na zawołanie dr Frazer Theobald, tak jak reszta ubrany w biały kombinezon, wślizgnął się do środka, ostrożnie, jak mysz, która zwęszyła ser. Był krępy męczyzną mającym niecały metr sześćdziesiąt wzrostu. Obnosił się ze swoimi niechlujnymi, sztywnymi włosami. Miał grubego wąsa a la Hitler i szeroki nochal.

Glenn Branson powiedział kiedyś, że z długim cygarem byłby sobowtórem Groucho Marxa.

Wymamrotał słowa przeprosin, że niby samochód żony nie chciał zapalić, a on musiał zawieźć córkę na lekcję gry na klawirze. Szerokim łukiem okrążył szkielet, podejrzliwie spiorunował go wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy to jego przyjaciel, czy wróg.

*Tak* powiedział w przestrzeń *aha*. Potem odwrócił się do Roya i wskazał na szkielet. \* To jest to ciało?

Grace zawsze uważał Theobalda za dziwaka, ale nie aż takiego.

Tak odpowiedział, choć poniekąd odebrało mu mowę po usłyszeniu tego pytania.

\* Wyglądasz na opalonego, Roy zauważył patolog, a potem zrobił krok w stronę szkieletu. Stał tak blisko, jakby to jemu zadawał pytania. Wyjeżdżałeś gdzieś?

Byłem w Nowym Orleanie odparł Grace, podnosząc wieczko swojego kubka kawy. Pomyślał, że miło by było znaleźć się z powrotem w tym mieście, zwłaszcza w tej chwili. \* Byłem na Międzynarodowym Sympozjum Stowarzyszenia Detektywów.

\* Jak idzie robota? \* zapytał Theobald.

\* Powoli.

\* Są zniszczenia spowodowane powodzią?

\* Sporo.

\* Czy wiesz, że dużo ludzi gra tam na klarnecie?

\* Na klarnecie? O tak. Byłem na kilku koncertach, słuchałem Ellisa Marsalisa.

Theobald spojrział na niego z zadowoleniem.

*Czyli ojca!* powiedział z aprobatą. *Szczęściarz z ciebie, że go słyszałeś.*

Potem odwrócił się w stronę kościotrupa i zapytał: \* Co my tu mamy?

Grace poprosił o przyśpieszenie tempa pracy. Theobald i Joan rozpoczęli dyskusję, czy szkielet powinien być przeniesiony nietknięty, czy należy go zabrać w kawałkach. Postanowili, że pozostawią go w nienaruszonym stanie, ponieważ tak został odnaleziony.

Przez chwilę Grace obserwował krople deszczu, które miarowo kapały przez dziurę w kanale. Wyglądały jak podłużne pyłki kurzu w promieniach światła. Przypomniał

sobie Nowy Orlean. Zdmuchiwał parę z kawy, pił ostrożnie, nie chciał poparzyć języka gorącym napojem. Razem z Cleo spędził jeszcze tydzień po konferencji w Nowym Orleanie. Świetnie się bawili.

Miał wrażenie, że wszystko dobrze się między nimi układało, gdy byli poza Brighton, z dala od Sandy. Umieili się wyluzować. Upał nie przeszkadzał im w spacerach po terenach zalanych powodzią, które dotąd nie zostały odbudowane. Jedli afrykańskie potrawy, a także jambalayę, krabowe ciasteczka i ostrygi Rockefellera, które są znane jako specjalność restauracji w Nowym Orleanie już od końca XIX wieku. Pili margaritę, mojito, a także kalifornijskie i miejscowe wina. Wieczorami słuchali jazzu w klubach,

między innymi w Snug Harbor. Grace czuł, że bardzo kocha Cleo.

Rozpierała go duma, gdy obserwował ją na konferencji. Była piękną kobietą, która wykonywała taki specyficzny zawód. Pięciuset najlepszych gliniarzy świata odbierało to trochę lekceważąco, choć byli ciekawi, a niektórzy nawet pokusili się o kiepski podryw. Zawsze zachowywała się stosownie. Dzięki ekscentrycznemu i seksownemu ubiorowi sprawiała, że ludziom oczy wyskakiwały z orbit.

\* Wczoraj pytałeś mnie o jej wiek, Roy \* pani archeolog przerwała jego rozmyślenia.

\* Tak. \* Natychmiast skupił się z powrotem na szkielecie.

\* Zęby mądrości wskazują, że skończyła osiemnaście lat. Widoczne są ślady wizyt u dentysty, na przykład białe plomby, które są popularne dopiero od dwudziestu lat i bardziej kosztowne. Może chodziła do prywatnego gabinetu. Jest też korona na siekaczu \* powiedziała, patrząc na szczękę.

Ta informacja zagrała mu na nerwach. Sandy wyszczerbiła sobie lewą jędynkę na jednej z pierwszych randek, ponieważ natrafiła na kość, jedząc tatara. Musiała zrobić sobie koronę.

\* Jest coś jeszcze? \* zapytał.

\* Ogólna kondycja i kolor zębów potwierdzają moje wczorajsze przewidywania, że mamy do czynienia z osobą w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat. \*

Popatrzyła na Frazera Theobalda, który z kamienną miną pokiwał głową, jakby potwierdzał jej odkrycia, ale nie podzielał jej entuzjazmu.

\* W kości długiej wyróżnia się koniec bliższy, trzon i koniec dalszy. Chrzątki nasadowe rosną, przekształcają się w kość, a proces zaniku chrząstek nasadowych ustaje około trzydziestego piątego roku życia. W tym wypadku widać, że jeszcze się nie zakończył *mówiła, pokazując na ramię. Potem wycelowwała w obojczyk*. To samo odnosi się do obojczyka. Popatrz na stronę przymostkową. Proces kostnienia kończy się w wieku około trzydziestu lat. Bardziej precyzyjne dane podam w kostnicy.

*Więc miała około trzydziestki. Jesteś tego prawie pewna?* zapytał Grace.

\* Tak. Przeczucie mi mówi, że mogła być ciut młodsza.

Roy stał w milczeniu. Sandy była dwa lata młodsza od niego. Zniknęła w dniu jego trzydziestych urodzin, miała dwadzieścia osiem lat. Miała te same włosy, koronę na zębie...

\* Dobrze się czujesz, Roy? \* zapytała Joan Major.

Pogrążony w myślach usłyszał jej głos, jakby to było echo gdzieś w oddali.

- \* Roy? Wszystko w porządku? Zdołał się opanować.
- \* Tak, tak. Wszystko dobrze, dzięki.
- \* Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

11 września 2001

Ronnie pędził ulicami Manhattanu, przeciął Murray Street, Park Place, a potem Barclay Street. WTC, dwa srebrne, monolityczne drapacze chmur były tuż przed nim, na końcu Vesey Street. Zapach ognia był coraz silniejszy, a kawałki zmiętego i nadpalonego papieru fruwały w powietrzu. Fragmenty budowli zawałyły się i roztrzaskały o ziemię.

Przez gęsty, czarny dym widział karmazynową łunę, jakby jedna z wież krwawiła.

Potem jasnopomarańczowe przebłyski. Płomienie. Jezu *pomyślał*, czując *ogromny strach* to nie może być prawda.

Ludzie wybiegali z budynku. Mężczyźni w eleganckich koszulach i krawatach, niektórzy z komórkami w rękach, patrzyli w osłupieniu w górę. Przez chwilę obserwował przystojną brunetkę w modnym garniturze, która potykała się, idąc tylko w jednym bucie. Chwyciła się za

głowę, patrzyła z bólem, jakby spadający budynek właśnie w nią uderzył. Wtedy zobaczył spływającą po jej policzku krew.

Wahał się. Było bardzo niebezpiecznie. Ale on musiał dotrzeć na spotkanie, bardzo tego potrzebował. Daj sobie szansę, myślał. Biegnij, ile sił w nogach. Zakaszłał. Dym drapał go w gardle, zszedł z chodnika. Krawężnik był dość wysoki, kółka walizki ciężko opadły, rączka przekreśliła się w jego dłoni i walizka się przewróciła.

Cholera, tylko nie teraz.

Gdy schylił się, żeby ją podnieść i chwycił rączkę walizki, usłyszał ryk samolotu odrzutowego. Spojrzał w górę. Nie wierzył własnym oczom. Zanim zdążył sobie uświadomić, co zobaczył, nastąpił wybuch. Metaliczny grzmot brzmiał jak zderzenie dwóch kubłów na śmieci. Dźwięk rozniósł się echem w jego mózgu, dudnił w czaszce aż do chwili, kiedy zatkał uszy. Poczł fale uderzeniową. Każda cząsteczka jego ciała zadrżała.

Ze szczytu Południowej Wieży ogromna kula pomarańczowych płomieni sypała gradem iskier, które wyglądały jak sztuczne diamenty, oraz buchał czarny dym. Przez moment uderzyło go piękno tego widoku, kolor pomarańczowy i czarny ostro kontrastowały z błękitem nieba. Miał wrażenie, jakby miliard piórek fruwało w powietrzu dookoła płomieni. W zwolnionym

tempie unosiły się nad ziemią.

Wtedy dopadła go rzeczywistość.

Drewniane płyty, szkło, krzesła, biurka, telefony, szafki roztrzaskiwały się na ulicy tuż przed nim. Radiowóz zatrzymał się obok niego, drzwi się otworzyły, zanim wóz całkowicie zahamował. Jakieś sto metrów po prawej stronie, na ulicy Vesey Street, z potężnym hukiem upadło coś na kształt płonącego, latającego talerza. Wyrwało głęboki lej, a potem, odbijając się i gubiąc części, rozpryskiwało płomienie. Gdy się zatrzymało, nadal gwałtownie się paliło.

W otępieniu i przerażeniu Ronnie zobaczył silnik samolotu, który uderzył w Południową Wieżę.

Biuro Donalda Hatcooka znajduje się na osiemdziesiątym siódmym piętrze. Patrząc w górę, próbował liczyć piętra.

Dwa samoloty.

Zlokalizował biuro Donalda. Po krótkim obrachunku stwierdził, że było tam, gdzie uderzył samolot.

Co, do diabła, się stało? Chryste, co się dzieje?

Gapił się na płonący silnik. Czuł gorąco, widział policjantów, którzy biegli z radiowozu.

Wewnętrzny głos podpowiadał mu, że nie pójdzie na żadne spotkanie, ale próbował

go zignorować. Ten głos się mylił. Również jego oczy źle widziały. Jakoś dotrze na to spotkanie. Musi tam być. Trzymaj się. Stawisz się na czas. Dasz radę. To cholerne spotkanie musi się odbyć!

Umysł sugerował, że jeżeli uderzenie jednego samolotu można uznać za wypadek, to dwóch raczej nie bardzo. Nie można tego oceniać w kategorii wypadku.

Całkowicie zdesperowany, ale i zdeterminowany szedł do przodu i kurczowo trzymał

walizkę. Chwilę później usłyszał tępy łomot, jakby spadł worek z ziemniakami.

Poczuł mokre uderzenie na policzku. Zobaczył, że coś białego i poszarpanego toczy się po ulicy w jego kierunku. To była ludzka ręka, która zatrzymała się kilka centymetrów od niego. Coś mokrego spływało mu po policzku. Podniósł ręce i dotknął palcami tego płynu. Gdy spojrział na nie, były usmarowane krwią. Żołądek przewrócił mu się jak cement w betoniarce.

Ronnie odwrócił się i zwymiotował całe śniadanie, nieświadomy kolejnego wybuchu. Syreny zawyły. Zewsząd dobiegał ich ryk. Potem nastąpił kolejny huk i znowu coś rozprysło się na jego twarzy i dłoniach.

Patrzył w górę. Płomienie i dymy, postacie wielkości mrówek i człowiek w koszuli i spodniach, który nagle upadł z wysokości. Jeden but poleciał w inną stronę i potoczył

się po ulicy. Ronnie przyglądał się. Z nieba spadali ludzie, jak plastikowe żołnierzyki, oraz gruzy; na pierwszy rzut oka nie można ich było rozróżnić.

Stał i gapił się. Przypomniała mu się kolekcja znaczków pocztowych, upamiętniająca holenderskiego malarza, którą kiedyś sprzedał. Tak w rzeczywistości wygląda wizja śmierci i piekła według Boscha.

Cuchnący, dławiący dym oraz hałas wypełniały powietrze. Słysząc było krzyki, syreny strażackie, płacz oraz ryk łopat helikoptera. Policjanci i strażacy biegli w stronę budynków. Wóz strażacki z napisem „Drabina 12” stanął tuż przed nim i zasłonił mu widok. Przesunął się, a umundurowani strażacy rzucili się biegiem.

Nastąpił kolejny wybuch. Ronnie zobaczył zażywnego mężczyznę w garniturze, który spadł, a jego ciało eksplodowało.

Ronnie zwymiotował, chwiał się, kręciło mu się w głowie. Upadł na kolana, ukrył

twarz w dłoniach i drżąc, pozostał tak przez chwilę. Zamknął oczy, jakby dzięki temu wszystko miało zniknąć. W panice odwrócił się, by sprawdzić, czy ktoś nie zabrał

jego walizki i aktówki. Stały tuż za nim. Jego elegancka, podrabiana aktówka marki Louis Vuitton. W tym momencie nikogo nie obchodziło, czy jest prawdziwa, czy fałszywa.

Chwilę później Ronnie zebrał się w sobie i wstał. Spluwał, bo chciał się pozbyć smaku wymiocin z ust. Poczował gwałtowny przypływ gniewu, przeradzający się w furję. Dlaczego dzisiaj, a nie w jakimś innym, cholernym dniu? Dlaczego to musiało się stać dzisiaj?

Zobaczył falę ludzi. Niektórzy byli pokryci białym kurzem, inni krwawili. Wszyscy szli powoli, jak w transie, od wyjścia Północnej Wieży. Usłyszał dźwięk klaksonu kolejnego wozu strażackiego. A potem przyjechały kolejne. Ktoś obok niego trzymał kamerę filmową.

Wiadomości, pomyślał, telewizja. Cholernie głupia Lorraine będzie panikować, jeśli zobaczy te informacje. Wpada w panikę przy byle okazji.

Jeżeli był karambol na drodze, natychmiast dzwoniła do niego, żeby się upewnić, czy nic mu się nie stało.

Nawet wtedy, gdy musiała wiedzieć *gdyby tylko pomyślała* że był setki kilometrów od tego wypadku.

Wyciągnął komórkę z kieszeni i wybrał jej numer. Usłyszał piknięcie, a potem zobaczył informację:

„Numer zajęty” Próbował jeszcze kilka razy.

Gdy zastanawiał się nad tym później, zdał sobie sprawę, jakim był szczęściarzem, nie uzyskując połączenia.



Październik 2007

Powinieneś, do cholery, świecić! W czarnych jak smoła ciemnościach Abby sięgnęła po zegarek i przybliżyła go do twarzy. Czuła zimny metal przy nosie, ale nadal nie mogła nic odczytać.

Kupiłam zegarek z fluorescencyjnym podświetleniem. Niech cię szlag!  
Zwinięta na twardej podłodze miała uczucie, że spała, ale nie była pewna jak długo.

Czy był teraz dzień, czy noc?

Miała odrętwiałe ciało. Zaczęła robić wymachy ręką, która była jak z ołowiu, chcąc ją rozruszać. Podczołgała się kilka centymetrów, znów pomachała ręką i wykrzywiła się z bólu, kiedy z głuchym odgłosem uderzyła w ścianę windy.

*Halo* wychrypiała.

Zaczęła walić w ściany.

Jej wysiłki doprowadziły do tego, że winda się zakołysała.

Abby waliła w ściany bez ustanku.

Ponownie zachciało się jej sikać. Jeden but był prawie pełny. Smród moczu coraz bardziej dawał się we znaki. Miała spieczone usta. Zamknęła oczy, potem otworzyła.

Przybliżyła zegarek i poczuła zimno na nosie, ale nadal nic nie widziała.

W panice pomyślała, że może oślepla.

Która jest godzina, do cholery? Gdy patrzyła na zegarek ostatni raz, zanim zgasły światła, była trzecia osiem nad ranem. Jakiś czas później nasikała do buta. Starła się nie nabrudzić, na ile to było możliwe, w tych ciemnościach.

Potem czuła się trochę lepiej, mogła myśleć jaśniej. Teraz potrzeba oddania moczu ponownie ją zablokowała. Chciała odpędzić tę myśl. Kilka lat temu oglądała film dokumentalny o ludziach, którzy przeżyli katastrofy. Młoda kobieta, mniej więcej w jej wieku, jako jedna z nielicznych przeżyła wypadek lotniczy, podczas którego samolot roztrzaskał się przy lądowaniu i zapalił. Ta kobieta twierdziła, że przeżyła, ponieważ zachowała spokój, podczas gdy inni ludzie panikowali; bez emocji wykalkulowała, gdzie wśród

dymu i ciemności jest wyjście.

Ten sam motyw przewijał się w wypowiedziach innych ocalonych. Należy być spokojnym i myśleć trzeźwo. Teraz ona też tak musi się zachować.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Oni mieli drzwi w tych samolotach. A profesjonalne stewardesy, choć na oko wyglądają jak mentalnie opóźnione i głuchonieme żony ze Stepford, wskazują wyjścia, rozdają pomarańczowe kamizelki ratunkowe i maski z tlenem. Anglia jest cholernym państwem opiekuńczym, więc dlaczego nie wprowadzili nakazu, że w każdej windzie ma być stewardesa? Dlaczego nie spotkałam głupiutkiej blondyny z identyfikatorem, która poinformowałaby mnie, gdzie są drzwi? Dałaby mi pomarańczową kamizelkę ratunkową, na wypadek gdyby zalało windę! No i gdzie są maski z tlenem?

Nagle usłyszała niespodziewane piknięcie. To był jej telefon!

Nerwowo szukała torebki. Rozbłysło światelko. Jej telefon działał! Był sygnał!

Telefon miał oczywiście zegar, o którym całkowicie zapomniała w panice!

Wyciągnęła go i przeczytała słowa, które pojawiły się na wyświetlaczu: „Nowa wiadomość”.

Ledwie zdołała powstrzymać podekscytowanie. Nadawca był nieznany, ale treść wiadomości oczywista. „Wiem, gdzie jesteś”.

Październik 2007

Grace dygotał. Miał grube dzinsy, ciepłą bluzę i porządne buty pod papierowym kombinezonem, a mimo to przenikała go wilgoć w kanale i deszcz padający na zewnątrz.

Kryminaliści i policjanci operacyjni, którym przypadła niewdzięczna robota sprawdzenia każdego centymetra kanału, musieli pracować wręcz na kolanach. Do tej pory znaleźli tylko kilka szkieletów gryzoni, poza tym nic interesującego. Zdaje się, że ubrania kobiety usunięto, zanim została tam umieszczona. A może woda je zmyła, zgniły lub zwierzęta zabrały je do budowy swoich siedzib. Pracując powoli, z mozołem, Joan Major i Frazer Theobald za pomocą skrobaka zbierali muł z miednicy.

Oznaczali etykietką i pakowali każdą warstwę brudu w oddzielne, czyste torebki celofanowe. Grace pomyślał, że w takim tempie spędzą tu jeszcze ze dwie lub trzy godziny.

Grace powrócił do „uśmiechniętej” czaszki. Towarzyszyło mu wrażenie, że duch Sandy był przy nim. Czy to naprawdę ty? Wpatrywał się i zastanawiał. Wszyscy jasnowidze, których odwiedził w ciągu dziewięciu lat, powtarzali, że jego żona nie należy do świata duchów. To, jeśli wierzyć ich słowom, oznaczało, że żyje. Ale nikt nie umiał powiedzieć, gdzie jest.

Poczuł chłód. To nie było zwykłe uczucie zimna, tylko coś innego. Od dłuższego czasu był zdeterminowany zamknąć tę sprawę i zacząć życie od nowa, jednak za każdym razem, gdy próbował odciąć się od przeszłości, coś się wydarzało i zaczynał

mieć wątpliwości. Tym razem było tak samo.

Trzask telefonu wyrwał go z zadumy. Podniósł aparat do ucha.

*Roy Grace* rzucił sucho.

*Dobry, stary Roy. Twoja kariera skończyła się w kanale, co?* usłyszał gardłowy chichot Normana Pottinga.

\* Bardzo śmieszne, Norman. Gdzie jesteś?

\* Z mundurowymi. Mam się odpicować i zejść na dół?

\* Nie, przyjdę do ciebie. Spotkajmy się w vanie.

Grace ucieszył się, że może skorzystać z okazji i wyjść. Nie był

szczególnie potrzebny i mógł spokojnie wrócić do pracy biurowej, ale lubił być widoczny w zespole. Jeśli mieli spędzić sobotę w zawilgoconym, wstrętnym kanale, to widzieli, że on nie ma lepiej.

Z ulgą zamknął drzwi vana i usiadł na tapicerowanych siedzeniach przy stole, choć wizja spędzenia czasu z Normanem Pottingiem nie napawała go radością. Jego ubrania pachniały tytoniem fajkowym, a z ust dobywał się zapach przetrawionego czosnku.

Detektyw Norman Potting miał wąską jak z gumy twarz o popękanych żyłkach, wydatne usta, przeredzone, sterczące na wszystkie strony włosy. Miał pięćdziesiąt trzy lata, choć nieżyczliwi rozsiewali plotki, że nie podawał swojego prawdziwego wieku, by dłużej zostać w firmie. Podobno panicznie bał się emerytury.

Grace zawsze widział Pottinga w krawacie i dziś było tak samo.

Mężczyzna miał

długi płaszcz przeciwdeszczowy, identyfikator na tweedowej marynarce, koszulę marki Viyella, postrzępiony, zielony krawat, szare, flanelowe spodnie i niezłe kowbojki. Sapiąc, ostrożnie usiadł naprzeciwko Grace'a. Patrząc triumfująco, rzucił

dużą, przemoczoną teczkę na stół.

\* Czemu ludzie zawsze wybierają tak cholernie okropne miejsca, żeby kogoś zamordować albo pozbyć się ciała? \* Pochylił się do przodu, dysząc prosto w twarz Roya.

Grace usiłował nie okazać wstrętu, po tym jak owionął go podmuch gorącego i zjełczałego smrodu. Pomyślał, że pewnie takie są smocze wyziewy.

\* Może mógłbyś nakreślić jakieś wskazówki *powiedział z irytacją* zgodnie z pięćdziesiątym punktem kodeksu postępowania w sprawach ofiar przestępstw.

Subtelność nigdy nie była mocną stroną Normana Pottinga, więc chwilę czasu zajęło mu odczytanie ironii nadinspektora. Potem uśmiechnął się, pokazując przebarwione, zakrzywione zęby, które wyglądały jak nagrobki na zapadającej się ziemi.

*Nie jestem dziś w formie, Roy. Miałem ciężką noc. Li była jak prawdziwy tygrys*

oznajmił, machając palcem.

Potting znalazł sobie ostatnio narzeczoną z Tajlandii i bezustannie raczył

wszystkich, którzy byli w zasięgu słuchu, opowieściami o jego świeżo odkrytym męstwie w zmaganiach łożkowych.

*Masz te plany?* Grace szybko zmienił temat, wskazując na teczkę.

\* Cztery razy zeszłej nocy, Roy! Ona jest niesamowita, potrafi zrobić te wszystkie cudenka. O rany. Jestem przy niej bardzo szczęśliwy!

\* To dobrze.

Przez chwilę Grace cieszył się jego radością. Potting nigdy nie miał szczęścia w miłości. Trzy razy był żonaty, miał wiele dzieci, które \* jak przyznawał ze smutkiem

\* rzadko widywał. Najmłodsza dziewczynka urodziła się z zespołem Downa, bardzo starał się o opiekę nad nią, ale

przegrał. Nie był złym czy głupim człowiekiem, był kompetentnym detektywem, o czym Roy wiedział. Jednak nie miał tej wrażliwości towarzyskiej, niezbędnej, aby awansować w firmie. Norman Potting nadal był solidnym, niezawodnym wołem roboczym. Czasem wykazywał się zaskakującą inicjatywą, a jego zdolności były bardzo istotne w każdym poważnym śledztwie.

\* Też tak powinieneś zrobić, Roy.

\* Co mam zrobić?

\* Zorganizować sobie tajską narzeczoną. Setki z nich szukają angielskich mężów.

Podam ci stronę internetową. One są cholernie interesujące, zapewniam cię. Gotują, sprzątają, prasują, zapewnią ci najlepszy seks w życiu i mają takie drobne ciała...

\* Plany? \* ponowił Grace, ignorując ostatnią uwagę.

\* A tak.

Wyrzucił mnóstwo kopii ulic miasta, siatki sieci wodociągowej oraz rysunki z teczki i rozłożył je na stole. Niektóre pochodziły z dziewiętnastego wieku.

Wiatr wstrząsnął vanem. Gdzieś w oddali rozległ się sygnał karetki pogotowia, który potem ucichł. Deszcz miarowo bębnił o dach.

Roy niezbyt dobrze potrafił czytać plany, więc pozwolił Pottingowi omówić złożone systemy kanalizacyjne Brighton i Hove na podstawie materiałów i informacji, które dziś rano otrzymał od głównego inżyniera przedsiębiorstwa budowlanego. Detektyw przesunął brudny palec wierz, w dół i do góry, omawiał kolejno każdy rysunek, wskazywał przepływ wody, która zawsze wpadała do morza.

Roy starał się podążać za jego objaśnieniami, ale pół godziny później wiedział

niewiele więcej niż na początku. Jego zdaniem z powodu ciężaru ciała kobiety osiadło w mule, podczas gdy pozostałe rzeczy zmyła woda i popłynęły do morza.

Potting się z nim zgadzał.

Ponownie zadzwonił telefon Grace'a. Przeprosił i odebrał. Zamarł, gdy usłyszał

świdrujący jak wiertło dentystyczne głos świeżo upieczonego nadinspektora Cassiana Pewe'a. Drania ze stołecznej, który przybył, by pozbawić go chleba.

*Witam, Roy* zaczął Pewe. \* Alison Vosper zasugerowała, żebym cię zapytał, czy nie potrzebujesz pomocnej dłoni.

\* To bardzo uprzejme z twojej strony, Cassian *odparł* ale ciało jest nietknięte, więc mam aż dwie pomocne dłonie.

Nastąpiła cisza. Pewe zaskrzeczał, jakby poraził go prąd po wysikaniu się na elektrycznego pasterza. To był taki rodzaj wymuszonego śmiechu.

*Och, bardzo śmieszne, Roy* odezwał się protekcjonalnie, a potem dodał po chwili męczącej ciszy: \* Czy nie potrzebujesz jeszcze kryminalistyków albo policjantów operacyjnych?

Grace poczuł, jak obręcz ściska jego wnętrzości. Powstrzymał się, żeby mu nie powiedzieć, aby znalazł sobie inne zajęcie na sobotę.

\* Dziękuję, ale nie \* odpowiedział.

\* To dobrze. Alison będzie zadowolona. Poinformuję ją.

*To ja ją poinformuję* odparował Grace. \* Jeżeli będę potrzebował twojej pomocy, poproszę cię. W tej chwili świetnie sobie radzimy. Poza tym sądziłem, że zaczniesz dopiero od poniedziałku?

\* Zgadza się, Roy. Po prostu Alison uważała, że jeśli pomogę ci przez weekend, będę dobrze zorientowany w przyszłej robocie.

*Doceniam twoją troskę* zdołał wykrztusić Grace, zanim się rozłączył. Zagotowało się w nim.

*Nadinspektor Pewe?* zapytał Potting i uniósł brwi.

\* Spotkałeś go?

\* Spotkałem. Znam ten typ. Pompatyczny dupek, sam się pograży, ale nigdy się nie podda.

*A ty się nie pograżasz?* zapytał Grace.



11 września 2001

Ronnie Wilson całkowicie zatracił poczucie czasu. Stał w bezruchu, przykuty do tego miejsca. Trzymał rączkę walizki, jakby była jego opoką. Obserwował coś, co rozegrało się przed jego oczami, a czego nie pojmował.

Sprzęty wysypywały się na plac i okoliczne ulice. Po prostu spadały z nieba. Kawałki budynków, ścianki działowe, biurka, krzesła, szkło, obrazy, oprawione zdjęcia, kanapy, monitory, klawiatury, szafy, kosze na śmieci, sedesy, umywalki, kartki A4, które wyglądały jak konfetti. Spadały również ciała. Mężczyźni i kobiety jeszcze żyli, lecąc w powietrzu. Przy zderzeniu z ziemią ich ciała eksplodowały i rozpadały się. Chciał krzyknąć i uciec stamtąd, ale jakiś potężny, ciężki jak z ołowiu palec wwiercał się w jego głowę, w ten sposób zmuszając do obserwacji w paraliżującej ciszy.

Czuł, że obserwuje koniec świata.

Miał wrażenie, że pod WTC zjechali się wszyscy policjanci i strażacy z Nowego Jorku. Niekończąca się fala ludzi przepychała się obok zdezorientowanych mężczyzn i kobiet, którzy wychodzili powoli, zataczając się, jakby byli nie z tego świata.

Zszokowani, pokryci pyłem, w nieładzie, niektórzy mieli ślady krwi na rękach i twarzy. Wielu z nich dzwoniło przez komórki.

Nastąpiło trzęsienie ziemi. Najpierw poczuł delikatne drgnięcie pod stopami, które się stawało coraz mocniejsze, tak że musiał się podeprzeć na rączce walizki.

Wydawało mu się, że nagle wszystkie zombi z Południowej Wieży powstały ze zmarłych, ożyły i zaczęły uciekać.

Ronnie spojrział w górę i wiedział, dlaczego tak się stało. Choć przez chwilę sądził, że się pomylił. To niemożliwe! To tylko optyczne złudzenie. To musi być złudzenie!

Budynek zaczął się zapadać jak domek z kart.

Radiowóz, który stał niedaleko, nagle został zrównany z ziemią. Potem z powierzchni ziemi zniknęła również wóz strażacki.

Chmura pyłu, jak w czasie burzy piaskowej, toczyła się w jego kierunku. Usłyszał

dudniący grzmot, który otaczał go z każdej strony. Fala ludzi zniknęła



pod gruzami.

Ciemnoszara chmura unosiła się w powietrzu jak rój wściekłych owadów. Grzmot go ogłuszył. To było coś niewyobrażalnego. Ta cholerna wieża się rozpadała!

Ludzie w amoku biegli, by się uratować. Pewna kobieta zgubiła but, potem utykała, aż w końcu zrzuciła drugi. Straszny dźwięk rozdierania przenikał powietrze, zagłuszał wycie syren, jakby jakiś gigantyczny potwór swoimi szponami rozpruwał

świat na połowę.

Ludzie biegli obok niego. Mieli panikę wyrytą na twarzy jak maskę. Niektórzy przytykali chusteczki do ust, inni ociekali wodą z hydrantów lub krwią albo byli pokryci odłamkami szkła. Wyglądali jak aktorzy z epizodów podczas kręcenia dziwacznej, wczesnorannej sceny filmowej.

Niespodziewanie samochód marki BMW wyskoczył w powietrze kilka metrów od niego, potem spadł na dach, ale bez przedniej części. Wówczas zobaczył czarny obłok, który jak niepowstrzymana fala wznosił się i opadał w jego kierunku.

Trzymając rączkę walizki, odwrócił się i podążył za resztą ludzi. Nie wiedział, gdzie biegnie, po prostu stawiał nogę za nogą, holował walizkę i nie dbał, czy aktówka nadal była na górze. Uciekał przed tym czarnym obłokiem, rozpadającą się wieżą, grzmotami, które huczały mu w uszach, sercu i duszy.

Uciekał, żeby żyć.

Październik 2007

Wydawało się, że winda ożyła jak jakieś nadprzyrodzone stworzenie. Gdy Abby oddychała, ona też wzdychała, zgrzytała i jęczała. Gdy się poruszyła, ona się kołysała, kręciła, trzęsła. Usta i gardło Abby były wyschnięte. Język był jak suchy papier i natychmiast chłonał każdą drobną kropelkę śliny.

Zimny, niezmienny przeciąg owiewał jej twarz. W ciemnościach nerwowo szukała przycisku na telefonie i wywołała światelko na wyświetlaczu. Robiła tak co kilka minut. Sprawdzała, czy jest sygnał, poza tym chciała mieć trochę jasności w tej chwiejnej celi więziennej.

Nie było żadnego sygnału.

Odczytała godzinę. Była pierwsza trzydzieści dwie po południu.

Próbowała dodzwonić się pod numer 999, ale słaby sygnał zniknął.

Dygotała. Przeczytała jeszcze raz otrzymaną wiadomość: „Wiem, gdzie jesteś”.

Mimo że numer był zastrzeżony, wiedziała, kto to był. Tylko jeden człowiek mógł to przysłać. Ale skąd znał jej numer? W tej chwili ta sprawa naprawdę ją martwiła.

Skąd, do diabła, znałeś mój numer?

Kupiła telefon bez żadnych formalności. Obejrzała wystarczająco dużo policyjnych programów, żeby wiedzieć, iż tak robią oszuści, by nikt ich nie wytropił. Takich telefonów używali też handlarze narkotyków. Kupiła go, żeby mieć kontakt z mamą, która mieszkała niedaleko niej w Eastbourne. Chciała wiedzieć, jak się czuje, a poza tym nadal udawała, że jest za granicą. Ważny dla niej był również kontakt z Dave'em, któremu czasem posyłała zdjęcia. Ciężko jest być daleko od ukochanej osoby.

Nagle przyszło jej do głowy, że może tamten odwiedził jej matkę? Nawet gdyby, to nie zdobyłby jej numeru. Zawsze był zastrzeżony. Zresztą, gdy dzwoniła wczoraj, mama czuła się dobrze i nie wspominała o niczym zaskakującym.

Może ją śledził, widział, gdzie kupiła telefon, i w ten sposób zdobył jej numer? Nie, bez szans. Kupiła go w małym sklepie z komórkami, który znajduje się niedaleko budynku Preston Circus. Była pewna, że nikt jej nie

obserwował. Starła się.

Czy był teraz w budynku? A jeżeli to on jest odpowiedzialny za jej uwięzienie? I obecnie włamuje się do jej mieszkania... Jeśli był w jej mieszkaniu i je przeszukał?

A jeżeli znalazł...

Mało prawdopodobne.

Jeszcze raz spojrzała na wyświetlacz.

Te słowa bardzo ją przerażały. Trzęsła się ze strachu. W panice wstała, naciskała klawisz, który w końcu zniknął. Setki razy wciskała palce w szparę w drzwiach, płakała z bezsilności.

Drzwi nawet nie drgnęły.

Proszę, otwórzcie się. O Boże, proszę Cię, otwórz je.

Winda zakołysała się wściekle. Wyobraziła sobie płetwonurków w klatce, a rekin ludojad przesuwiał nosem po kratkach. On był podobny. Był jak rekin ludojad.

Otępiały, bezduszny drapieżca. Chyba oszalała, że się na to kiedyś zgodziła.

W tej chwili nie potrzebowała już żadnego sukcesu, z radością pozbyłaby się wszystkiego, co ma. Żeby tylko cofnąć czas.

Październik 2007

Muchy plujki czy „muchy kręcidupy”, jak je nazywają Australijczycy, potrafią wywęszyć truposza z odległości siedmiu kilometrów. W znaczący sposób są podobne do dziennikarzy śledczych. Takiej informacji udzielił Roy swoim współpracownikom. Żywią się białkiem wyciekającym z rozkładających się zwłok.

Chciał dodać, że w tym też są podobne do reporterów.

Na potwierdzenie jego słów za drzwiami vana czekał jeden z najbardziej wytrwałych i najlepiej poinformowanych dziennikarzy kryminalnych gazety „Argus”, Kevin Spinella. Czasem był zbyt dobrze poinformowany.

Grace zakomunikował mundurowemu, który przekazał mu wiadomość o tym przez radio, że zaraz spotka się ze Spinellą. Wszedł z vana zadowolony, że wyrwał się z kręgu obrzydliwego zapachu Normana Pottinga. Idąc w stronę dziennikarza, zauważył dwóch fotografów czyhających obok.

Spinella stał bez parasola i trzymał ręce w kieszeniach. Miał przemoczony płaszcz przeciwdeszczowy z pagonami i pasem oraz postawiony kołnierz; wyglądał jak tajniak. Był drobnym mężczyzną o szczupłej twarzy, czujnych oczach i ciągle żuł

gumę. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Cienkie, czarne włosy, zwykle wyszczotkowane i nażelowane, w tej chwili były matowe z powodu deszczu.

Grace dostrzegł, że reporter miał pod płaszczem ciemny garnitur i koszulę, która wydawała się za duża przynajmniej o jeden numer. Kołnierz luźno odstawał, pomimo pokraccznego, poliestrowego, purpurowego i ciasno zawiązanego węzła krawata. Rzucające się w oczy czarne buty oblepiało błoto.

*Trochę się spóźniłeś, stary* przywitał go Grace.

*Spóźniłem?* Reporter zmarszczył brwi.

\* Muchy pobiły cię o kilka godzin.

Spinella uśmiechnął się nieznacznie, nie był pewny, w jakim stopniu Grace żartował

sobie z niego.

\* Czy mogę panu zadać kilka pytań, nadinspektorze?

\* W poniedziałek zwołam konferencję prasową.  
\* Może powie pan coś przedtem?  
\* Sądziłem, że może to pan poinformuje mnie o czymś. Zwykle jawi się pan jako lepiej poinformowany.

Reporter zrobił zmieszaną minę.

\* Słyszałem, że znalazł pan szkielet kobiety w kanale na tym placu budowy. Zgadza się? \* zaczął, lekko się uśmiechając.

Grace'a irytował ten swobodny sposób zadawania pytań, jakby chodziło o nic nieznaczące szczątki. Wiedział, że musi być spokojny. Nic nie osiągnie, jeśli zrazi do siebie Spinellę. Z doświadczenia wiedział, że zawsze lepiej jest rzucić prasie to i owo.

\* To są ludzkie szczątki *odpowiedział* do tej pory płeć nie została ostatecznie ustalona.

\* Słyszałem, że to na pewno kobieta. Grace się uśmiechnął.

\* Widzi pan, mówiłem, że jest pan lepiej poinformowany ode mnie.

\* Więc tak czy nie?

\* Kto jest dla pana wiarygodny, pańskie źródła czyja? Dziennikarz patrzył na Grace'a, jakby chciał odczytać jego myśli.

Czuł, że kapie mu z nosa, ale nie wytarł go.

\* Mogę jeszcze o coś zapytać?

\* Tylko szybko.

\* Słyszałem, że od poniedziałku zaczyna pracę nowy kolega z policji stołecznej, nadinspektor Pewe.

Grace poczuł ucisk. Jeszcze jedna gładka uwaga, a gołą pięścią zetrze mu tego gluta spod nosa.

\* Dobrze pan słyszał.

\* Wiem, że policja stołeczna była pierwszą jednostką w Zjednoczonym Królestwie, która odpowiednio ukróciła biurokrację.

\* Jest pan tego pewien?

Szyderczy uśmiezek reportera był prawie nie do zniesienia. Zachowywał się, jakby znał wszystkie tajemnice, których nie ujawni. Przyszedł mu do głowy szalony pomysł, że może dziennikarz wie coś poufnego od Alison Vosper.

*Cywilni urzędnicy wpisują ludzi do aresztu, więc policjanci mogą prowadzić patrole, zamiast marnować czas na wypełnianie formularzy* powiedział Spinella. \*

Czy sądzi pan, że oddział policji w Sussex skorzysta z doświadczeń nadinspektora Pewe'a?

Grace powstrzymywał gniew.

\* Jestem pewny, że nadinspektor Pewe będzie nieocenionym członkiem oddziału policji w Sussex \* zdecydował się na ostrożną odpowiedź.

\* Czy mogę zacytować to zdanie? \* Jego uśmiech stawał się coraz wredniejszy.

Co ty wiesz, mały gnojku?

Zadzwoił telefon Roya. Podniósł go do ucha.

\* Roy Grace.

*Pomyślałem, że chcesz wiedzieć. Wygląda na to, że znaleźliśmy pierwszy ślad.*

Dzwonił jeden z kryminalistyków, którzy pracowali w kanale, Tony Monnington.

Grace uprzejmie przeprosił reportera, skierował się w stronę kanału i zadzwonił do Normana Pottinga, że wróci za kilka minut. To dziwne, jak życie nieustannie się zmienia, pomyślał Grace. Chwilę temu nie mógł się doczekać, gdy będzie mógł

wyść z kanału. Teraz, gdy miał do wyboru stać i moknąć w towarzystwie Spinelli lub być zamkniętym z Normanem Pottingiem, nagle cieszył się, że może tam wrócić.

Październik 2007

sue, współlokatorka Abby, nieświadomie zmieniała jej życie. Poznały się, gdy pracowały w barze na przedmieściach dzielnicy portowej Yarra w Melbourne. Od razu zostały przyjaciółkami. Były w tym samym wieku i obydwie wyjechały z Anglii w poszukiwaniu przygód.

Pewnego dnia Sue powiedziała Abby, że dwóch facetów gawędziło z nią w barze. Byli przystojni, bardzo ujmujący, choć trochę starsi. Mówili, że w niedzielę idą na imprezkę z grillem. Zaprosili ją, wspominając, że jeśli chce, może zabrać koleżankę.

Nie miały innych atrakcyjnych propozycji, więc poszły. Okazało się, że przyjęcie organizował jakiś kawaler w swojej szpanerskiej chacie. Był to apartament na najwyższym piętrze z doskonałym widokiem na zatokę w supermodnej dzielnicy miasta. Niestety, przez pięć pierwszych, odurzających godzin Abby nie zwracała uwagi na otoczenie, ponieważ od początku była totalnie zauroczona gospodarzem przyjęcia Dave'em Nelsonem.

Na przyjęciu było mnóstwo ludzi. Najmłodszy był starszy o dziesięć lat od niej.

Niektórzy mieli dobrze po siedemdziesiątce i wyglądali jak statyści z filmów gangsterskich. Kobiety były ubrane jak z żurnala, jakby właśnie wyszły z salonu piękności. Ale ich też nie dostrzegła. Prawie z nikim nie rozmawiała, odkąd tam przyszła.

Dave był wysokim, szczupłym, mocno opalonym, „nieoszlifowanym diamentem” po czterdziestce. Jego okolona krótkimi, błyszczącymi włosami zmęczona życiem twarz wskazywała, że był pewnie dość przystojny w młodości, ale i teraz czuł się dobrze w swoim ciele. Natychmiast ona również poczuła się komfortowo w jego towarzystwie.

Poruszał się z lekkością, wręcz ze zwierzęcym wdziękiem i nie żałował szampana; rozlewał hojnie markowego kruga z półtoralitrowych butelek. Był zmęczony, ponieważ przez trzy ostatnie dni grał w pokera podczas turnieju Aussie Millions w kasynie Crown Plaża. Do puli wpłacił tysiąc dolarów, grał przez cztery rundy, zdobył

sto tysięcy, zanim został wyeliminowany. Trójka asów, wyznał Abby ze

skruczą.

Skąd mógł wiedzieć, że gość miał dwa asy w rękawie? Podczas gdy on miał

schowane trzy króle, na miłość boską!

Abby nigdy nie grała w pokera. Ale tego wieczoru, gdy goście poszli, Dave ją uczył.

Zauroczył ją gadką na temat jej piękności, sposobem, w jaki na nią patrzył, i opowieściami, jak dobrze się czuje w jej towarzystwie. Prawie nie odrywał od niej wzroku, jakby nic innego nie miało znaczenia. Miał pogodne, brązowe oczy z domieszką zieleni, czujne, ale zabarwione smutkiem, jakby jakiś cień tkwił w nim głęboko. Dlatego zapragnęła chronić go, niańczyć.

Podobały się jej historie, które opowiadał na temat zdobycia majątku dzięki sprzedaży oryginalnych znaczków i grę w internetowego pokera. Prowadził pewien system gry hazardowej, który wydawał się taki oczywisty i pomysły, gdy objaśniał jego reguły.

W pokera można grać przez Internet dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Korzystał na zmianach czasowych. Logował się tam, gdzie akurat były wczesne godziny poranne, więc ludzie byli już zmęczeni i często trochę nietrzeźwi. Chwilę obserwował grę, a potem włączał się do akcji. Dla niego to była łatwizna, ponieważ był rozbudzony, trzeźwy i czujny.

Abby zawsze interesowali starsi mężczyźni. Ten facet, który wydawał się twardzielem, namiętnie zbierał drobne, delikatne, piękne znaczki. Zachwycał się związkami historycznymi pomiędzy Anglią i Australią, a Abby była tym zafascynowana. Dla dziewczyny z porządnej angielskiej rodziny był kimś zupełnie innym od dotychczasowych znajomych. Wrażliwy, a jednocześnie bardzo silny, męski. Przy nim czuła się bezpiecznie.

Pierwszy raz złamała swoją żelazną regułę i przespała się z nim na pierwszej randce.

Kilka tygodni później wprowadziła się do niego. Obsypywał ją prezentami i jednocześnie zachęcał do kupowania drogich ciuchów. Gdy wygrywał w pokera, wracał do domu z jakimś małym cackiem z biżuterii, nowym zegarkiem czy ogromnym bukietem kwiatów.

Sue odradzała Abby tę znajomość. Podkreślała, że był od niej dużo starszy. Jakaś tajemnica ciążyła na jego reputacji, zdaje się, że był



zigolakiem, a mówiąc bez ogródek, męską dziwką.

Abby ignorowała te wiadomości. Porzuciła ich przyjaźń, a następnie zerwała znajomości ze wszystkimi, których poznała w Melbourne. Obecnie spotykała się z dużo starszymi od niej osobami z kręgu Dave'a. Byli olśniewający i urzekający. Duża forsa zawsze ją kręciła, a ci ludzie nie liczyli się z pieniędzmi.

W dzieciństwie podczas wakacji czasami pomagała ojcu, który miał małą firmę.

Układał kafelki. Uwielbiała z nim pracować. Dla niej największą atrakcją było oglądanie domów bogaczy, które były nieziemskie. Jej matka pracowała w bibliotece.

Mały dom bliźniak w Holling\*bury, schludny ogródek, którym rodzice zajmowali się pieczołowicie, były szczytem ich możliwości.

Skromne warunki ograniczały Abby, gdy dorastała. Jako nastolatka czytała gorliwie prozę Danielle Steel, Jackie Collins, Barbary Taylor Bradford oraz inne powieści, które opisywały życie sławnych i bogatych. Pożerała również od deski do deski czasopisma w stylu „Życie na gorąco” lub „Party”. W tajemnicy ukrywała marzenia o poważnej fortunie, eleganckich domach, jachtach cumujących w promieniach słońca.

Pragnęła podróżować i wiedziała, że pewnego dnia jej marzenie się spełni. Obiecała sobie, że w wieku trzydziestu lat będzie majętna.

Gdy jeden z przyjaciół Dave'a został aresztowany za popełnienie trzech morderstw, była zbulwersowana, ale jednocześnie nie potrafiła ukryć podekscytowania. Z kolei inny znajomy został zastrzelony na oczach swoich bliźniąt, gdy oglądał mecz futbolowy. Zdała sobie sprawę, że należała teraz do zupełnie innego świata niż ten, w którym dorastała. Mimo szoku spowodowanego tym morderstwem pogrzeb uznała za podniecający. Była częścią tego światka, ci ludzie ją akceptowali, to był największy zwrot w jej życiu.

Równocześnie zastanawiało ją, co naprawdę Dave kombinował. Zauważyła, że się przymila do kolesiów, o których mówił, że są najlepszymi graczami. Próbował

namówić ich na wspólne interesy. Przypadkiem usłyszała, jak opowiadał, że handel znaczkami jest najlepszym sposobem na pranie pieniędzy, jakby usiłował sprzedać im swój pomysł.

Nie podobało się jej to. Lubiała ich ekstremalny sposób życia, wałęsanie się po barach, bywanie na przyjęciach z tymi ludźmi. Jednakże stracił w jej

oczach, kiedy musiał

ich błagać o pozwolenie prowadzenia interesów. Czuła, że mogłaby mu jakoś pomóc.

Gdyby tylko potrafiła się przebić przez mur, który stworzył wokół siebie. Po kilku miesiącach znajomości wiedziała niewiele więcej o nim, niż gdy się poznali. Zdaje się, że miał dwie żony i bardzo przeżył obydwie rozwody.

Aż pewnego dnia gruchnęła sensacja.

Wrzesień 2007

Pikap marki Holden w kolorze niebieski metalik wyjeżdżał z Melbourne i kierował

się na zachód. MJ miał dwadzieścia osiem lat. Był wysokim mężczyzną, luzacko ubranym w żółtą koszulkę i bermudy, miał czarne włosy i urodę surfera. Jedną ręką kierował, a drugą opierał na ramieniu Lisy.

Pikap miał niskie zawieszenie, a szerokie opony dobrze się trzymały nawierzchni drogi. Samochód był jego radością i dumą. Gdy jechali przez bezkresną przestrzeń, z zadowoleniem wsłuchiwał się poprzez ryk rur wydechowych w szum prawie sześciolitrowego silnika. Po prawej stronie kilometrami ciągnęła się wysuszona roślinność. Po lewej, za zniszczonym drutem kolczastym, rysowały się delikatne kontury brązowych wzgórz, spieczone i jałowe z powodu sześcioletniej, nieprzerwanej suszy. Kilka przypadkowo rozrzuconych wątych drzew widać było na wzniesieniach.

W ten sobotni poranek mógł zapomnieć o trudach studiowania. W ciągu miesiąca przystąpi do egzaminów maklerskich, które musi zdać, żeby mieć pewność, że obecni pracodawcy zatrudnią go na stały etat w banku Macquarie. Wiosna zaczęła się późno.

Mimo suszy to miał być pierwszy udany weekend po ponurej zimie. Chciał

skorzystać z tego czasu jak najlepiej.

Jechali powoli. Miał sześć punktów karnych na koncie, więc prowadził ostrożnie, zgodnie z przepisami. Poza tym nie śpieszył się. Był bardzo szczęśliwy. Wybrał się na wakacje z dziewczyną, którą kochał, i rozkoszował się jazdą, widokami, sobotnim porankiem. Czuł radość nadchodzącego weekendu.

Przypomniała mu się złota myśl, którą kiedyś przeczytał: „Szczęście nie polega na zdobywaniu tego, czego chcesz, ale na zaakceptowaniu tego, co już masz”.

Głośno zacytował tę myśl. Lisa w zupełności zgodziła się z tą piękną ideą i pocałowała go.

*Mówisz tyle wspaniałych rzeczy* stwierdziła, a on oblał się rumieńcem.

Włączyła odtwarzacz i z obłądnie drogich głośników, które zainstalował, grzmotnęła muzyka zespołu The Whitlams. Słysząc też było głuchy odgłos uderzenia sprzętu turystycznego i kartonu puszek piwa pod brezentowym zabezpieczeniem na bagażniku. Jego serce biło mocno. Cieszył się pełnią życia, ciepłym powietrzem owiewającym go z otwartego okna, zapachem perfum Lisy, dotykiem jej blond włosów, które muskały jego rękę. *Gdzie jesteśmy?* zapytała z zaciekawieniem, bez żadnych objawów niepokoju.

Też cieszyła się z tego wyjazdu. Przyjemnie było zrobić sobie wolne. Odpocząć od codziennej rutyny odwiedzania gabinetów lekarskich. Jako przedstawiciel ogromnej firmy farmaceutycznej Wyeth reklamowała lek na hemofilię. Dobrze się czuła w luźnym, białym topie i różowych szortach. Zwykle musiała wkładać kostium. Jednak najbardziej ceniła czas, który spędzała z MJ.

*Prawie dojechaliśmy* odpowiedział.

Minęli żółty, sześciokątny znak drogowy z czarnym rowerem. Zatrzymali się na skrzyżowaniu obok przywędłej sosny, na której szczycie wystawały grube skupiska igieł wyglądające jak niedopasowana peruka. Przed nimi pojawił się stromy, wyłysiały pagórek, na którym sporadycznie, jakby były przyłączone na rzepach, rosły kępki krzewów.

Lisa była Angielką, a w Australii mieszkała dopiero od dwóch lat. Kilka miesięcy temu przeprowadziła się z Perth do Melbourne, więc nie znała tej okolicy.

*Kiedy byłeś tu ostatni raz?* spytała.

*Może z dziesięć lat temu. Kiedy byłem małym chłopcem, zwykle przyjeżdżałem tu z rodzicami na biwaki* odpowiedział. \* To było nasze ulubione miejsce. Juhu!

Pod wpływem nagłego entuzjazmu nadepnął na pedał gazu. Pikap przyśpieszył z piskiem opon i rykiem rur wydechowych i ostro skręcił w lewo.

Po kilku minutach minęli znak z informacją „Rzeka Barwon”, wtedy MJ zwolnił, zaczął rozglądać się w prawo, aż przejechali obok kolejnego znaku z napisem

„Zakątek Stonehaven and Pollocks”.

Następnie ostro zahamowali i skręcili w piaszczystą drogę w prawo.

\* Jestem pewny, że to tu \* powiedział.

Podskakiwali na nierównej drodze mniej więcej przez pięćset metrów. Po prawej była otwarta przestrzeń. Po lewej krzaki i nabrzeże rzeki, której nie widzieli. Minęli stalowy most z ceglanymi podporami, a następnie ogromny krzew, który zasłonił im widok. Samochód nagle zjechał w dół, a potem znowu w górę. Po kilku minutach droga rozszerzyła się i skończyła. Widać było tylko zagajnik i gęste krzaki.

MJ zatrzymał auto i zaciągnął hamulec ręczny. Obok nich przepłynął obłok dymu.

\* Witaj w rajku \* oświadczył i pocałowali się.

Wysiedli z samochodu. Panowała cisza. W gorącym powietrzu roznosił się zapach suszonej trawy. Jakiś ptak wydawał dźwięki podobne do gwizdania. A potem znowu było cicho. Świeciło niesamowite słońce, niedaleko nich połyskiwała i wiła się jak wąż rzeka, trzy ubogie pagórki zaś były udekorowane rosnącymi z rzadka akacjami oraz eukaliptusami. Cisza była tak przejmująca, że przez chwilę czuli, jakby byli jedynymi ludźmi na ziemi.

\* O Boże *powiedziała Lisa* jak tu pięknie.

Mucha latała wokół jej twarzy, ale ją odgoniła. Potem przyleciała kolejna, ale Lisa też sobie z nią poradziła.

*Stare, dobre muchy* rzekł MJ. \* Teraz wiem, że to jest to miejsce!

\* Oczywiście, one też cię pamiętają! \* stwierdziła Lisa, gdy trzecia mucha usiadła jej na czole.

Dał jej kuksańca, potem zamachnął się kilka razy ręką, odganiając muchy, które go denerwowały. Objął Lisę ramieniem i skierował się w stronę przecinki w zaroślach.

\* Stąd wodowaliśmy canoe \* wyjaśnił.

Lisa spojrzała w dół na piaszczyste zbocze porośnięte paprociami. Jakies trzydzieści metrów w dół tworzyło naturalną pochylnię okrętową. Spokojna woda rozlewała się na szerokość około dwudziestu metrów. Kilka ważek sunęło po powierzchni, żywiąc się larwami komarów lub składając jajka, albo po prostu unosiło się nad wodą.

Odbicia ich mięsniac tworzyły ostre kształty.

\* Ojej *krzyknęła* to jest niesamowite!

Wtedy dostrzegła szereg białych palików ustawionych wzdłuż zbocza. Każdy z nich miał wyraźny czarny znak.

*Gdy byłem dzieckiem zaczął* MJ \* woda sięgała aż tutaj. Wskazał na

najwyższy znak.

\* Tak nisko opadła? \* Lisa doliczyła się ośmiu znaków.

\* Stare dobre globalne ocieplenie \* odrzekł.

Popatrzyła na linę przewieszoną przez gałąź grubego drzewa.

\* Skakaliśmy z niej *powiedział MJ* to nie było wysoko. Teraz było dobre pięć metrów.

Zdjął koszulkę.

\* Idziesz?

\* Najpierw rozłożmy namiot.

*O rany, Lisa. Cały dzień mamy na rozkładanie namiotu. Jest mi gorąco!*

Rozbierał

się z kolejnych ciuchów. \* Poza tym muchy nie znoszą wody.

\* Powiedz mi, jaka jest woda, to się namyślę!

\* Jesteś cienias!

Lisa się roześmiała. MJ stał nago, potem znikł pod wodą. Następnie zobaczyła, jak płynie kraulem w stronę zawieszanej liny. Dosięgnął jej. Lina była całkiem postrzępiona, a on okręcił się i kurczowo się jej przytrzymał.

\* Uważaj! \* krzyknęła Lisa, nagle przestraszona.

Jedną ręką trzymał się liny, a drugą bił po piersiach jak Tarzan. Kołysał się nad rzeką, stopami ledwo dotykał powierzchni wody. Huśtał się tam i z powrotem, a potem z głośnym pluskiem wpadł do rzeki.

Lisa patrzyła z niepokojem. Minutę później wypłynął, potrząsnął głową, odrzucając mokre włosy z twarzy.

\* Jest cudnie! Wskakuj, mięczaku!

Zaczął pływać, wykonując kilka potężnych zamachów. I nagle wyłonił się z wyrazem bólu.

*Cholera!* parsknął \* Kurde! Auuuu! Uderzyłem w coś palcem. Lisa się roześmiała.

MJ zanurkował, a potem wypłynął z wyrazem paniki na twarzy.

\* Niech to szlag, Lisa! *krzyknął.* Tutaj jest samochód! W tej rzece jest pieprzony samochód!

11 września 2001

Lorraine stała w odrętwieniu. Zapomniała o papierosie, którego trzymała między palcami. Młoda dziennikarka pilnie przekazywała relację do kamery. Widać było, że nie zdaje sobie sprawy, iż w odległości kilkuset metrów za nią Południowa Wieża właśnie się rozpada.

Spadała wprost z nieba, znikająca, zapadając się w siebie, z lekkością niemal szokującą.

Jakby przez krótką chwilę Lorraine była świadkiem najwspanialszego triku w dziejach magii. Dziennikarka mówiła. W tle widać było samochody, ludzi, którzy znikali pod gruzami i tumanami kurzu. Inni biegli w kierunku kamery; biegli, by ratować życie.

O Jezu, czy ona nie zdaje sobie sprawy z grozy sytuacji?

Nieświadoma dziennikarka nadal czytała informacje z telepromptera lub odtwarzała je ze słuchawki.

SPÓJRZ ZA SIEBIE! \* Lorraine chciała krzyknąć do tej kobiety.

Reporterka w końcu się odwróciła. Całkowicie zgubiła wątek. Zszokowana, potknęła się, ustąpiła na bok. Ludzie biegli po obu jej stronach, przepychali się, prawie ją przewrócili. Grzyb wybuchu unosił się aż do nieba i na całą szerokość miasta, schodził jak lawina wprost na nią. Patrzyła w konsternacji i przekazywała informacje jeszcze przez chwilę. Ale nic nie było słychać, jakby kable się rozłączyły. Potem na ekranie pojawiły się rozmazane, szare postaci, zapanował chaos, jakby kamerę pochłonęły płomienie.

Lorraine, stojąc jedynie w majtkach, usłyszała różne krzyki. Obraz na ekranie zmniejszył się do urywanych ujęć ogromnego kawału stalowych murów i szkła, które rozbiły się o czerwono\*biały wóz strażacki, robionych najwyraźniej z ręcznej kamery. Szczątki roztrzaskały się o drabinę, a następnie zrównały z ziemią środek auta, niczym plastikową zabawkę, na którą przypadkowo stanęło dziecko.

*O mój Boże! O mój Boże! O mój Boże!* słychać było powtarzający się kobiecy głos.

Wokół rozlegał się płacz. Obraz zniknął, a potem widać było kolejne ujęcie z ręcznej kamery. Młody mężczyzna utykał, trzymał zakrwawiony

ręcznik przy twarzy kobiety, której pomagał iść. Usiłował przyspieszyć, by nie dać się zbliżającej lawinie.

Następnie pojawił się obraz ze studia. Lorraine patrzyła na prezentera, który miał

około czterdziestki i był ubrany w garnitur i krawat. Miał ponurą minę. Zdjęcia, które widziała przedtem, teraz były prezentowane na monitorach tuż za nim.

\* Otrzymaliśmy informację, że Południowa Wieża WTC się zawaliła. Za kilka chwil podamy również aktualną sytuację Pentagonu.

Lorraine próbowała zapalić papierosa, ale ręka tak bardzo jej drżała, że zapalniczka upadła na podłogę. Czekala. Nie potrafiła odwrócić wzroku od telewizora w nadziei, że zobaczy Ronniego. Na ekranie wzburzona kobieta krzyczała coś niezrozumiałego.

Lorraine obserwowała atrakcyjną reporterkę, która trzymała mikrofon, a za nią rozpościerał się gęsty, czarny dym zabarwiony pomarańczowymi płomieniami. Po niskich zarysach dachów rozpoznała, że to Pentagon.

Wybrała numer Ronniego, ale znów był zajęty.

Próbowała wiele razy. Serce jej łomotało, drżała, desperacko chciała usłyszeć jego głos, dowiedzieć się, że czuje się dobrze. Cały czas huczała jej w głowie myśl, że Ronnie miał spotkanie w Południowej Wieży, która właśnie się zawaliła.

Chciała oglądać zdjęcia Manhattanu, a nie pieprzonego Pentagonu. Ronnie był na Manhattanie, a nie w cholernym Pentagonie. Włączyła kanał Sky News. Zobaczyła kolejne urywane zdjęcia robione ręczną kamerą. Obecnie oglądała trzech pokrytych kurzem strażaków, którzy nieśli starszego rannego mężczyznę. Ich żółte opaski podskakiwały, ponieważ się śpieszyli.

Wtedy zobaczyła płonący samochód i karetkę, która też stała w płomieniach. Postaci wyłaniały się z mroku tuż za nimi. Ronnie? Pochyliła się bliżej w stronę dużego ekranu. Ronnie? Sylwetki wychodzące z dymu wyglądały jak te ze świeżo wywoływanych zdjęć. Nigdzie nie było widać Ronniego.

Znów wystukała jego numer. Przez moment myślała, że jest dobry sygnał. Ale kolejny raz spotkało ją niepowodzenie.

Wiadomości Sky News przeniosły się do Waszyngtonu. Nacisnęła inny przycisk na pilocie. Wszystkie stacje pokazywały te same zdjęcia i przekazywały identyczne informacje. Obejrzała powtórkę pierwszego uderzenia, a potem drugiego.



Wielokrotnie powtarzali te zdjęcia.

Zadzwonił jej telefon. Z radością odebrała, ale ze zdenerwowania prawie nie mogła wydobyć głosu.

\* Halo?

Dzwonił spec od naprawy pralek, potwierdził swoje jutrzejsze przyjście.

Październik 2007

Na celowniku znalazł się Ricky. Abby spotkała go na kilku przyjęciach. Zawsze ciągnął do niej jak mucha do miodu i musiał z nią pogawędzić. Prawdę mówiąc, Abby uważała go za atrakcyjnego i lubiła z nim flirtować.

Był przystojnym czterdziestolatkiem, trochę tajemniczym, bardzo pewnym siebie, starzejącym się, wyluzowanym surferem. Podobnie jak Dave, umiał rozmawiać z kobietami tak, że zadawał więcej pytań, niż na nie odpowiadał. Również był

zaangażowany, ale na dużą skalę, w handel znaczkami.

Nie wszystkie znaczki należały do niego. Mówiąc ściśle, jego kolekcja warta była cztery miliony funtów. Pokłócili się na temat ich własności. Dave powiedział jej, że on i Ricky zawarli umowę, aby dzielić się po połowie. Teraz Ricky chciał wycofać się z danego słowa i zażądał dziewięćdziesięciu procent. Gdy zapytała go, dlaczego nie poszedł z tym na policję, tylko się uśmiechnął. W ich sytuacji kontakt z policją nie wchodził w grę.

Dave szykował lepszy plan.

Październik 2007

Mimo światła skierowanego wprost na filigranowy przedmiot, który Fraze Theobald trzymał w szczypcach ze stali nierdzewnej, Roy Grace niewiele zobaczył. Zauważył

tylko coś niebieskiego i rozmazanego.

Mrużył oczy. Niechętnie się przyznawał, że powinien nosić okulary. Patolog umieścił

małeńki kwadracik w szczypcach i podał mu lupę, aby mógł lepiej zobaczyć. Był to rodzaj włókna, cieńszego niż ludzki włos. Coś na kształt nici pajęczej. Pod pewnym kątem wydawało się, że jest to coś prześwitującego, innym razem, że jest to niebieskie. Końce tego czegoś poruszały się pod wpływem lekkiego drżenia ręki Theobalda i lodowatego powiewu w kanale.

*Ktoś, kto zabił tę kobietę, zatarł wszystkie ślady* powiedział patolog. \* Moim zdaniem położył ją tu dlatego, bo liczył, że kanałami kanalizacyjnymi woda zniesie ją do morza. Myślał pewnie, że to wystarczająco szeroki odcinek, aby ciało spłynęło.

Grace znów wpatrywał się w szkielet, nie mógł pozbyć się myśli, że to Sandy.

\* Być może zabójca nie wiedział, że ten kanał jest niespławny *ciągnął Theobald*.

Nie pomyślał, że ciało osiadzie w mule. Poza tym poziom wód podziemnych się obniżył i woda nie mogła spływać swobodnie. A może przestano go używać.

Grace kiwnął głową i ponownie spojrzął na drżącą nitkę.

\* Sądzę, że to włókno z dywanu. Mogę się mylić, ale uważam, że analiza laboratoryjna to potwierdzi. Jest zbyt twarde na część swetra, spódnicy lub poduszki.

To na pewno włókno dywanowe.

Joan Major pokiwała głową na potwierdzenie.

\* Gdzie to znaleźliście? \* zapytał Grace.

Patolog sądowy wskazał na prawą rękę szkieletu, która częściowo była

pograżona w mule. Tylko palce wystawały. Skupił uwagę na środkowym palcu.

\* Widzisz? To sztuczny paznokieć, jeden z tych, które można zrobić sobie w studiu manikiuru.

Grace poczuł, że przeszedł go dreszcz. Sandy obgryzała paznokcie. Kiedy oglądali telewizję, żuła je i wydawała odgłosy jak chomik. Dostawał od tego świra. W łóżku też tak robiła. Często, gdy chciał zasnąć,

słyszał, jak obgryzała paznokcie, jakby miała jakieś zmartwienie, którym nie mogła albo nie chciała się z nim podzielić. Któregoś dnia niespodziewanie wściekła się na siebie i powiedziała mu, że ma zwracać jej uwagę, żeby tego nie robiła. W ten sposób jej pomoże. Potem poszła do profesjonalnego studia manikiuru i zrobiła sobie koszmarnie drogie tipsy.

*Nałożona na żywą płytkę plastikowa masa sprawiła, że w jakiś sposób paznokcie nie uległy zniszczeniu. Podczas gdy ciało zgniło kontynuował Frazer Theobald \**

kawałek włókna był pod tym paznokciem. Może napastnik ciągnął ją po dywanie, a ona wczepiała się paznokciami. To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, skąd wziął się ten strzępek w tym miejscu. Mamy trochę szczęścia, że go nie zmyło.

\* Szczęścia... o tak \* chłodno potwierdził Grace. W głowie mu się kotłowało. Ciągnął

po dywanie. Niebieskie włókno dywanu. Błady niebieski. Błękitny jak niebo.

W ich domu był bladoniebieski dywan. W sypialni, którą dzielili ostatniej nocy przed jej zniknięciem.

11 września 2001

Ronnie biegł może z minutę, gdy dzień zamienił się w noc. Jakby nagle nastąpiło zaćmienie słońca, a on znalazł się w dusznej, śmierdzącej przestrzeni. W uszach dźwięczał, jak z piekła, odgłos grzmotów.

Czuł, jak gdyby ktoś tuż nad jego głową rozlał miliardy ton cuchnącej, gorzkiej, szaroczarnej substancji, która kłuła w oczy i wypełniała usta. Połknął nieznaczną ilość tej „mąki”, wykrztusił ją natychmiast, a potem znowu przełknął. Szare postaci jak duchy przemknęły obok. Zahaczył o hydrant i boleśnie uderzył się w palec. Przewrócił się i ciężko upadł na chodnik.

Grunt pod nim się przesuwał. Drżał, trząsał się, jakby jakiś gigantyczny potwór obudził się i uwolnił z wnętrza ziemi.

Muszę stąd uciekać. Muszę uciec daleko.

Ktoś stanął mu na nogę i upadł na niego. Usłyszał głos kobiety, która jednocześnie klęła i przeproszała. Przelotnie poczuł powiew dobrych perfum. Wykręcił się spod niej, próbował wstać. Wówczas ktoś uderzył go w plecy i ponownie zablokował.

W panice zbyt szybko oddychał. Gramolił się, żeby wstać. Zobaczył kobietę wyglądającą jak szary bałwan. W ręce trzymała czółenka i podnosiła się z ziemi.

Natomiast na niego wpadł barczysty mężczyzna o rozwianych włosach. Prawie go staranował, biegł, aż zniknął we mgle.

Znowu ktoś go uderzył. Muszę wstać. Wstać!

Przypomniawszy sobie opowieści o ludziach, którzy zostali przygnieci przez tłum biegnący w panice. Wstał, odwrócił się i zobaczył coraz więcej szarych postaci wyłaniających się z ciemności. Ktoś potrącił go z boku. Wśród zbliżających się nóg, butów, bosych stóp usiłował odnaleźć walizkę i aktówkę. Zobaczył je, pochylił się, żeby je podnieść. Gdy je chwycił, ktoś ponownie wpakował mu się na plecy.

*Chrzań się!* ryknął.

Cienki obcas szpilki przeleciał mu nad głową jak kolczasty cień.

Niespodziewanie zapadła cisza.

Łoskot ustał. Grzmoty zniknęły. Ziemia przestała drzeć. Syreny nie wyły.

Przez chwilę poczuł radość. Ocalał! Żył!

Ludzie szli wolniej, już się nie przepychali. Niektórzy podskakiwali, inni podtrzymywali się wzajemnie. Kilka osób miało we włosach szkło, które wyglądało jak kryształki lodu. Czerwień krwi była jedynym widocznym kolorem w tym szaroczanym świecie.

*To jakiś koszmar* usłyszał męski głos \* to nie może być prawda.

Ronnie zobaczył Północną Wieżę. Potem po prawej stronie ukazało się wzgórze wykręconych, przechylonych na jedną stronę ruin. Widać było gruzy, ramy okienne, zniszczone samochody, płonące ciężarówki, poranione ciała leżące nieruchomo na ziemi. Wtedy spojrział na niebo i wzrokiem szukał Południowej Wieży, bo zawsze tam była.

Teraz jej nie było.

Przed chwilą jeszcze tam stała, a teraz nie było ani śladu. Zamrugał oczami, żeby przekonać się, że to nie jest żaden trik ani złudzenie optyczne. Jeszcze więcej suchego pyłu wpadło mu do oczu, tak że zaczęły łzawić.

Ronnie dygotał. Czuł, że nawet jego dusza drży.

Zawiesił wzrok na czymś dryfującym w dół. Coś trzepotało w powietrzu, potem się unosiło, na chwilę zatrzymało się, a potem znów opadało. To był jakiś materiał.

Wyglądał jak filcowa szmatka, którą kładzie się na ekran laptopa, jeśli nie chce się go porysować przy zamykaniu.

Obserwował, jak opada. Była podobna do martwego motyla. Upadła kilka metrów od niego. W całym tym chaosie przez moment pomyślał, że powinien ją podnieść, bo jakiś czas temu zgubił podobną ze swojego laptopa.

Coraz więcej ludzi szło w mozolnym marszu. Niekończący się rząd szaroczarnych postaci, które wyglądały jak ze starego filmu wojennego albo dokumentu opisującego losy uchodźców. Wydawało mu się, że słyszy dzwonek telefonu. Czy to jego telefon?

W strachu sięgnął do kieszeni. Telefon był cały. Dzięki Ci, Boże! Wyciągnął aparat, ale nikt nie dzwonił, nie miał też żadnych nieodebranych rozmów. Spróbował

dodzwonić się do Lorraine, ale nie było sygnału. Słyszał tylko głuchoe bip\*\*bip\*bip, które chwilę później i tak zagłuszył odgłos helikoptera latającego tuż nad domami.

Nie miał pojęcia, co robić. Miał mętlik w głowie. Wielu ludzi było poszkodowanych, ale on czuł się dobrze. Może powinien im pomóc?

A może znajdzie Donalda? Przecież musieli ewakuować budynek. Na pewno wszyscy wyszli, zanim budynek runął. Donald z pewnością gdzieś tam był, może wałęsał się i go szukał? Gdyby tylko się odnaleźli, mogliby pójść do kawiarni lub hotelu i odbyć umówione spotkanie...

Nagle wybuchł wóz strażacki. Prawie zwałił się na niego, a potem pochłonęły go czerwone płomienie, syreny i klakson zaczęły wyć.

*Gnoje!* ryczał \* zasmańcy, prawie mnie zabiliście... Wyłoniła się grupa czarnoskórych kobiet obsypanych szarym pyłem.

Jedna niosła torbę, a rastafarianka masowała tył głowy. Szły w jego stronę.

\* Przepraszam? \* zagadnął Ronnie, przystępując w ich kierunku.

\* Po prostu idź \* odpowiedziała jedna z nich.

\* No *dodała druga* ale nie tą drogą!

Coraz więcej samochodów służb porządkowych wybuchalo. Ziemia trzeszczała. Pod stopami rozpościerał się papierowy śnieg. Oszczędność papieru, pomyślał ironicznie.

Nowoczesne i oszczędne społeczeństwo. Droga w całości była pokryta szarym papierem. Niebo było zakryte fruującymi kartkami papieru. Niektóre były czyste, pozostałe zapisane, postrzępione we wszystkie możliwe kształty, jakie można sobie wyobrazić. Miał wrażenie, że kartki wysypały się ze wszystkich szafek i koszy na śmieci.

Zatrzymał się na chwilę, musiał pomyśleć. Do głowy przychodziła mu tylko jedna myśl. Dlaczego dzisiaj? Cholera, dlaczego dzisiaj? Czemu to gównie zdarzyło się dzisiaj?

Było jasne, że Nowy Jork zaatakowali terroryści. Wewnętrzny głos podpowiadał mu, że powinien się bać. Ale on był tylko wściekły.

Szedł do przodu, papier trzeszczał mu pod stopami, mijał dezorientowanych ludzi.

Gdy dotarł do chaosu rozgrywającego się na placu, został zatrzymany przez dwóch policjantów. Jeden był niski i miał krótko przycięte, jasne włosy. Prawą rękę opierał

na kolbie glocka, a lewą trzymał krótkofalówkę. Zdawał relację, a potem nasłuchiwał. Drugi policjant był o wiele wyższy, miał ramiona jak gracz futbolowy.

Jego twarz ze śladami po ospie wyrażała życzenie: nie wpieprzaj się tu; wystarczy, że my jesteśmy w to wpierdzieleni po uszy.

*Przepraszam pana* zaczął ten wyższy \* ale nie może pan iść dalej, ta

część jest zamknięta.

\* Idę na spotkanie biznesowe *wyjaśnił Ronnie ja... wskazał palcem w górę*

muszę się zobaczyć...

\* Radzę przełożyć spotkanie na inny termin. Nie sędzę, aby jakiegokolwiek spotkanie teraz się odbywało.

\* Chodzi o to, że dziś wieczorem mam samolot do Wielkiej Brytanii. Naprawdę muszę...

\* Sir, zaręczam panu, że zarówno pańskie spotkanie, jak i samolot są nieaktualne.

Ziemia zaczęła dudnić. Rozległ się przerażający trzask. Jak na komendę dwóch gliniarzy się odwróciło. Patrzyli na srebrnoszarą Północną Wieżę, która zaczęła się osuwać.



Październik 2007

Winda się przesuwała. Abby czuła, że ruch windy wciska ją w podłogę. Podnosiła się w urywany sposób, jakby ktoś ciągnął ją ręcznie. Nieoczekiwanie się zatrzymała.

Usłyszała łomot, a potem plusk jakiejś cieczy.

Cholera.

Jej but się przewrócił. Ten, do którego nasikała.

Wówczas winda ponownie się rozkołysała, jakby ktoś ją popchnął. Uderzała o ściany szybu. Abby odbijała się od ścian, a potem upadła na mokrą podłogę.

Jezu.

Spod sufitu rozległ się potężny huk. Trzask rozniósł się echem, aż zaboląło w uszach.

Później nastąpiły kolejne wybuchy. Próbowwała wstać, ale winda szarpnęła ostro.

Uderzała w ściany szybu tak mocno, że Abby czuła, jak drżą stalowe ściany. Wtedy winda przechyliła się i wtoczyła Abby w przeciwległą ścianę.

Rozlegały się następne wybuchy.

Chryste, nie!

Czy on tu był? Ricky? Torował sobie drogę, żeby do niej dotrzeć?

Winda ruszyła w górę, ciągle się kołysząc. Abby płakała przerażona.

Wyciągnęła komórkę, naciskała klawisz. Światelko się zapaliło, a ona zobaczyła wgniecenie w suficie windy.

Następowały kolejne uderzenia, a wgniecenie się powiększało. Drobiny kurzu spadały na jej twarz.

Usłyszała jeszcze jeden huk i kolejne, było coraz więcej pyłu.

Potem zapanowała długa cisza, po której zadźwięczał miarowy łomot. To było jej serce, które mocno waliło. Bam... bam... bam.

Czuła, że krew jak wzburzony ocean przepływa w żyłach.

Światelko na wyświetlaczu komórki zniknęło. Nacisnęła klawisz i znowu się pojawiło. Rozpaczliwie rozmyślała. Jak będzie się bronić, jeśli ktoś dostanie się do środka? Miała spray z gazem pieprzowym w torebce, ale to

powstrzyma go jedynie na minutę. No, może na kilka, jeżeli trafi prosto w oczy. Musi znaleźć coś, czym go znokautuje.

Jedynie użycie buta jako narzędzia zbrodni przyszło jej do głowy. Podniosła go ostrożnie, uważając na mokrą skórę, dotknęła ostrego obcasa. Uspokoila się, ponieważ był naprawdę ostry. Ukryje go za sobą, poczeka, aż jego twarz się pokaże i wtedy zaatakuje. Ale się zdziwi.

Mnóstwo pytań przychodziło jej do głowy. Czy na pewno wiedział, że ona jest w tej windzie? Czy czekał na klatce schodowej, a potem jakoś zatrzymał windę, bo miał pewność, że wsiadła?

W ciszy słyszała jedynie głośnie bicie serca, które waliło jak rękawica bokserska w worek treningowy.

Pomimo strachu poczuła ogromny gniew.

Było już tak blisko, tak cholernie blisko!

Niesamowicie blisko, żeby spełniły się jej marzenia!

Winda znów zaczęła się powoli podnosić, a po następnym szarpnięciu się zatrzymała.

Rozległ się odgłos miażdżenia metalu. Ostry koniuszek łomu pojawił się w szczelinie drzwi.

Wrzesień 2007

Ciężarówka całodobowej pomocy drogowej firmy R&K miała włączony jałowy bieg.

Rozlegało się tylko zgrzytanie wciągarki. Lisa odganiała krążącą wokół niej chmarę much.

*Odwalcie się!* krzyczała. \* Nie możecie sobie gdzieś polecieć?! Terkot zamienił

się w ryk, gdy stalowa lina się naprężyła, bo kierowca w szoferce zwiększył moc.

Lisę intrygowało, co się teraz wydarzy. W jaki sposób samochód znalazł się tutaj?

\* Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś jechał trzy kilometry polną drogą, a potem przypadkowo wpadł do rzeki *zawyrokował MJ* nawet gdyby kierowcą była kobieta \* dodał, a Lisa kopnęła go w kostkę.

Jeden z dwóch policjantów z Geelong, ten niższy i spokojniejszy, odwrócił się do nich. Zasugerował, że pewnie samochód posłużył w jakiejś zbrodni, a potem go porzucono. Ktoś, kto go tutaj ukrył, nie przewidział, że z powodu suszy woda aż tak nisko opadnie.

Muchy siadały na policzku Lisy. Uderzyła się w twarz, ale były szybsze. Czas dla much płynie inaczej. Tę prawdę kiedyś objawił jej MJ. Jedna ludzka sekunda była jak dziesięć w świecie much. To oznacza, że muchy wszystko widzą w zwolnionym tempie. Na całym globie, zawsze uciekną ci spod ręki.

MJ na temat much wiedział wszystko. Nie dziwiło ją to. Mieszkał w Melbourne i lubił chodzić do lasu. Można zostać ekspertem, nawet jeśli się tego nie planowało.

Podczas ostatniego pikniku powiedział jej, że muchy rozmnażają się na gnoju. W

związku z tym postanowiła, że nie zje niczego, na czym usiadła mucha.

Lisa patrzyła na biały radiowóz z niebieskim paskiem i na policyjnego vana w tych samych, policyjnych kolorach. Oczywiście obydwie miały czerwono\*niebieskie koguty. Dwóch pletwonurków ubranych w pianki, pletwy i maski stało na brzegu rzeki. Obserwowali, jak naprężona stalowa lina wyłania się z wody.

Muchy też odwalały swoją robotę. Pomagały w pozbywaniu się martwych szczątek, na przykład ptaków, królików, kangurów, a także ludzi. Były małykami pomocnikami Matki Natury. Miały jedynie kiepskie maniery, bo zanim zaczęły jeść, najpierw rzygały na swoje jedzenie. Razem wzięwszy, nie były stosownymi gośćmi, których można zaprosić na obiad, pomyślała Lisa.

Pot spływał jej po twarzy. MJ opierał rękę na jej ramieniu, a drugą trzymał butelkę wody mineralnej. Lisa obejmowała go w pasie, trzymała rękę na pasku i czuła jego mokry podkoszulek. „Muchy czyhają na ludzki pot”, to była kolejna złota myśl, którą MJ podzielił się z Lisą. Pot nie zawiera białka, ale minerały, których one potrzebują.

Ludzki pot był zamiennikiem wody mineralnej, na przykład perrier, badoit czy jakiegokolwiek innej.

W miejscu, gdzie lina się podnosiła, nagle zrobił się potężny wir. Woda wyglądała, jakby się zagotowała. Eksplodujące bąbelki zamieniły się w pianę. Wyższy, bardziej nerwowy policjant zaczął wykrzykiwać instrukcje, które zdaniem Lisy były niepotrzebne, ponieważ wszyscy wiedzieli, co mają robić. Według niej miał około czterdziestu lat. Był obcięty na jeża i miał orli nos. Obydwaj policjanci mieli rozpięte koszule z naramiennikami i naszytymi na ramieniu tarczami z napisem Victoria Police, granatowe spodnie i solidne buty. Muchy też ich nękały.

Lisa patrzyła na tył sedana, który wyłonił się spod powierzchni. Pomimo ryku wyciągarki słyhać było spływającą wodę. Odczytała tablicę rejestracyjną \* OPH

010. Tuż obok był slogan „Victoria \* the place to be”.

Nie była ekspertem od samochodów, ale trochę się na nich znała. Rozpoznała, że to starszy model forda falcona *pięć* lub dziesięcioletni. Wyłoniła się tylna szyba, a potem dach. Farba błyszczała od wody, ale stalowe części kompletnie zardzewiały.

Opony były prawie płaskie. Gdy samochód pacnął na jałową, piaszczystą glebę, wyciągany tyłem na strome zbocze, woda wylała się przez szczeliny drzwi i spoza kół.

Co za niesamowity widok, pomyślała.

Po kilku chwilach samochód znajdował się już nieruchomo na drodze. Lina luźno zwisała, a kierowca dźwigu stał pod wysięgnikiem i ją rozwiązywał. Ustało zgrzytanie wyciągarki i ucichł silnik holownika. Słyhać było tylko miarowe kapanie wody z samochodu.

Policjanci obeszli auto dookoła i bacznie przyglądali się wnętrzu. Wyższy i bardziej spięty glina trzymał dłoń na kaburze pistoletu, jakby oczekiwał, że z samochodu ktoś wyskoczy, a on będzie musiał interweniować. Niższy odganiał muchy. W ciszy znów usłyszeli śpiew jakiegoś ptaka, zdaje się, że był to altannik.

Wyższy policjant chciał otworzyć bagażnik, który nawet nie drgnął. Spróbował

jeszcze raz, podważając jednocześnie pokrywę. Z głośnym piskiem zardzewiałych zawiasów podniosła się o kilka centymetrów. potem policjant całkowicie ją otworzył.

Zszokowany cofnął się o krok do tyłu. Poczł smród, zanim w ogóle ją zobaczył.

*Na Boga!* krzyknął, odwrócił się i zwymiotował.

Październik 2007

Grace stwierdził, że szary to typowy kolor śmierci. Szare są kości, popiół po skremowaniu ciała, nagrobki, zdjęcie rentgenowskie, ściany kostnicy. Bez względu na to, czy się zgnije w trumnie, czy w kanale ściekowym, coś, co pozostanie po nas, też będzie szare.

Na szarym stole kostnicy leżały szare kości. Miały zostać zbadane szarymi, stalowymi instrumentami. Nawet światło było szare. Przedziwnie rozpraszało promienie słońca, które przenikały przez matowe okna. Kobiety, mężczyźni, a nawet duchy też są szare. Całkiem sporo ich było w Kostnicy Miejskiej Brighton i Hove, gdzie snuły się duchy tysięcy nieszczęśników. W tym ponurym bungalowie o szarych ścianach pokrytych mozaiką ich szczątki zakończyły wędrówkę. Miały stały pobyt w szarych, zamykanych chłodniach, przed przedostatnią podróżą do zakładu pogrzebowego, a potem pochówkiem czy kremacją.

Przeszedł go dreszcz, nic nie mógł na to poradzić. Ostatnio mniej przeszkadzało mu odwiedzanie tego miejsca, bo pracowała tam kobieta, którą kochał. Jednak zawsze miał gęsią skórkę.

Miał gęsią skórkę, gdy patrzył na szkielet z doprawionymi sztucznymi paznokciami i przyklejonymi do czaszki płowymi lokami.

Włosy jeżyły się mu na karku, gdy patrzył na ludzi ubranych w zielone fartuchy. Był

tam Frazer Theobald, Joan Major i Barry Heath, ostatni, który dołączył do zespołu.

Był niskim, elegancko ubranym mężczyzną, którego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Ostatnio przeszedł na emeryturę. Zakres jego smutnych obowiązków obejmował nie tylko uczestniczenie w śledztwach o morderstwo. Musiał też zajmować się sprawami przypadków nagłej śmierci, na przykład ofiar wypadków drogowych czy samobójstw, a potem przeprowadzać sekcję zwłok. W kostnicy był

również fotograf, który rejestrował każdą część procedury. Należy wspomnieć również o Darrenie, asystencie Cleo. Był bystrym, przystojnym dwudziestolatkiem o miłym usposobieniu i modnie ułożonych włosach. Na początku kariery zawodowej terminował u rzeźnika. A Christopher Ghent był

wysokim, pracowitym odontologiem sądowym, który akurat teraz był zajęty robieniem odcisków zębów ofiary.

No i przede wszystkim była Cleo. Nie miała dyżuru. Postanowiła jednak, że skoro on ma obowiązki, ona też może popracować.

Royowi czasem trudno było uwierzyć, że spotyka się z taką boginią.

Obserwował ją. Wysoka, długonoga, nieziemsko piękna, z upiętymi wysoko blond włosami. Pracowała w zielonym fartuchu i białych kaloszach. Poruszała się po tym pomieszczeniu, jej pomieszczeniu, jej terytorium z taką łatwością, gracją, czułością, a jednocześnie była odporna na te wszystkie potworności.

Zastanawiał się, czy to możliwe, by jakimś fatalnym zrzędzeniem losu patrzył na ukochaną osobę, która przeprowadza sekcję zwłok kobiety, którą kiedyś kochał.

W pomieszczeniu roznosił się zapach środków dezynfekcyjnych. Jeden stół

przytwierdzony był na stałe do podłogi, drugi, na którym leżały szczątki, miał kółka.

Przed rzędami drzwiczek rozpościerających się od podłogi do sufitu stał hydrauliczny niebieski podnośnik. Ściany były pokryte szarymi kafelkami, a dookoła biegły kanały odprowadzające

nieczystości. Wzdłuż jednej ściany stał rząd zlewów ze zwiniętymi, żółtymi węzami.

Wzdłuż przeciwległej znajdowała się szeroka przestrzeń przeznaczona do pracy, metalowa tablica, szafka ze szklanymi drzwiczkami, w której były ułożone narzędzia, paczki baterii duracell i przerażające „pamiątki” usunięte z ciał ofiar, których nikt nie chciałby mieć, w tym liczne rozruszniki serca.

Obok szafki była tablica, na której spisywano dane nieboszczyków \* ciężar mózgu, płuc, serca, wątroby, nerek i śledziony. Na temat tej nieboszczki dotychczas napisano

„Wkrótce zostaną podane pozostałe informacje. Kobieta”.

To był duży pokój, ale tego popołudnia było tam tłoczno. Jak zawsze, gdy w kostnicy pracuje sądowy patolog.

\* Są trzy wypełnienia *powiedział Christopher Ghent* jedna złota korona, górny most, kilka wielowarstwowych, amalgamatowych plomb.

Grace przysłuchiwał się uważnie, ale nie pamiętał, jakim zabiegom dentystycznym poddawała się Sandy. Wyrażenia, które usłyszał, były zbyt

fachowe.

Joan Major wypakowywała z ogromnej skrzynki gipsowe odlewy. Ustawiła je na czarnym plastikowym cokole, gdzie wyglądały jak połamane fragmenty ciał z wykopalisk archeologicznych. Grace widział je wielokrotnie, ale trudno było mu odnaleźć subtelne różnice między nimi.

Gdy Christopher Ghent zakończył omówienie swoich analiz, Joan rozpoczęła wykład na temat zmian rozwoju kości. Wyciągnęła wniosek, że szczątki należą do kobiety w wieku około trzydziestu, może trzydziestu trzech lat.

Miała mniej więcej tyle lat, ile Sandy, kiedy zniknęła.

Zdawał sobie sprawę, że powinien odrzucić te myśli. To było takie nieprofesjonalne ulegać emocjom. Ale jak miał z tym walczyć?



11 września 2001

Ziemia się poruszyła. Mnóstwo kluczy, które wisały na haczykach w sklepie, pobrzękiwało. Wiele puszek z farbą spadło z półek. Pokrywka jednej z nich otworzyła się i emulsja w kolorze magnolii wylała się. Z tekturowego pudełka wysypały się mosiężne śrubki, które pokryły linoleum jak rojące się robaki.

Zaledwie kilkaset metrów od WTC w sklepie z narzędziami było bardzo ciemno.

Ronnie poszedł za jednym z policjantów i tam znalazł schronienie. Kilka minut wcześniej wysiadło zasilanie. Działała tylko jedna, awaryjna żarówka. Szalejący wir tornada wpadł przez okna, dlatego nie było prądu.

Jakaś bosa kobieta w eleganckim kostiumie, która wyglądała, jakby nigdy przedtem nie była w sklepie żelaznym, płakała rzewnymi łzami.

Przygnębiony mężczyzna z siwymi włosami ściągniętymi w kucyk stał za ladą, która nagle opadła z jednej strony, przeszywając ostrym dźwiękiem ponurą grozę bezradnej ciszy.

Ronnie wciąż mocno ścisnął rączkę walizki. Cudownym zrządzeniem losu jego aktówka nadal znajdowała się na górze.

Na zewnątrz policyjny samochód wywrócił się na dach i zatrzymał. Drzwi się otworzyły, włączyło się oświetlenie na dachu. W środku nie było nikogo, a mikrofon dyndał na poskręcany kabl.

Na lewej ścianie od strony Ronniego pojawiło się pęknięcie. Wszystkie półki wyładowane pędzlami do malowania runęły na podłogę. Kobieta, która płakała, krzyknęła.

Ronnie się cofnął, oparł o ladę i zaczął rozmyślać. Pewnego razu, gdy był w Los Angeles, doświadczył niewielkiego trzęsienia ziemi. Towarzysze powiedzieli mu, że drzwi mają najmocniejszą konstrukcję. Jeśli budynek runie, najlepiej znaleźć się blisko drzwi, bo wtedy rosą szanse na przeżycie.

Skierował się w stronę drzwi.

*Nie wychodziłbym w tej chwili, kolego poradził policjant.*

Wtedy przed oknem zeszła potężna lawina gruzu i szkła, która pochłonęła radiowóz.

Włączył się alarm sklepowy, kolejny przeszywający, upiorny wyjec. Na chwilę zniknął mężczyzna z kucykiem, hałas i dyndanie kluczy ucichło.

Podłoga przestała drżeć.

Nastąpiła długa cisza. Bardzo szybko na zewnątrz kurz tornada zaczął się robić jaśniejszy. Miało się wrażenie, że wstaje świt. Ronnie uchylił drzwi.

*Nie wychodziłbym teraz. Rozumiesz, co mówię?* powtórzył policjant.

Ronnie popatrzył na niego, zawahał się, a potem otworzył drzwi szeroko. Wyszedł, holując swój bagaż.

Znalazł się w całkowitej ciszy wśród spadającego śniegu. Wszędzie leżał szary śnieg.

Panowała szara cisza.

Wówczas usłyszał jakieś odgłosy. Włączyły się alarmy strażackie, sklepowe, samochodowe. Latały helikoptery. Ludzie się wydzielali.

Szarzy ludzie przechodzili obok niego. Niekończący się marsz kobiet i mężczyzn o pustych twarzach. Niektórzy przechodzili powoli, inni biegli. Ronnie dołączył do tych, którzy rozmawiali przez komórki.

Szedł na oślep, szara mgła piekła go w oczy, zatykała usta i nos.

Po prostu szedł za ludźmi. Holował bagaże, podążał za innymi, dotrzymywał im tempa. Po obu stronach zobaczył belki nośne mostu. Most Brookliński, przypomniał

sobie fragment wiadomości na temat Nowego Jorku. Biegł przez niekończący się most, bezkresne, wirujące, dławiące szare piekło, aby dostać się na drugi brzeg.

Ronnie stracił poczucie czasu, nie wiedział, gdzie jest. Po prostu szedł za szarymi upiorami. Nagle przez ułamek sekundy poczuł intensywny zapach czegoś spalonego, jak benzyna lotnicza, farba i guma. Czy w każdej chwili może wybuchnąć kolejny samolot?

To retoryczne pytanie go uderzyło. Być może miał szczęście i Donald Hatcook żyje.

A jeśli nie, to co? Przecież on przygotował zachwycający biznesplan. W ciągu najbliższych pięciu lat mieli zarobić miliony. Ale jeżeli Donald nie żyje, to co on robi?

W oddali zobaczył kontury dzielnicy. Nierówne zarysy wysokich budowli. To był

Brooklyn. Nigdy przedtem nie był na Brooklynie. Widział go tylko przez rzekę. Z

każdym krokiem był coraz bliżej. Powietrze było czystsze. Czuło się już

zapach morza. Mgła stawała się coraz rzadsza.

Gdy zbliżał się do końca mostu, zatrzymał się i odwrócił. Przypomniawsobie biblijną historię o żonie Lota, która odwróciła głowę. Wtedy zamieniła się w słup soli.

Pomyślał, że ludzie obok niego przypominają słupy soli.

Przytrzymał się metalowej balustrady i patrzył w tył. Promienie słoneczne skrzyły się w wodzie. Miliony cudownych, białych pyłków tańczyło na falach. Za tym obrazkiem widać było, że prawie cały Manhattan płonie. Drapacze chmur były pokryte szarym pyłem. Brązowy, biały i czarny dym kłębił się wysoko w stronę niebieskiego nieba.

Nie potrafił opanować drżenia, koniecznie musiał pozbierać myśli. Nerwowo pogrzebał w kieszeni, wyciągnął paczkę marlboro i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko cztery razy, ale papieros mu nie smakował. Przeszkadzało mu to, co miał w gardle, więc wrzucił go do wody. W głowie mu się kręciło, w gardle poczuł jeszcze większą suchość.

Ponownie dołączył do procesji duchów, które w pewnym miejscu drogi rozchodziły się w różnych kierunkach. Zatrzymał się, ponieważ uderzyła go pewna myśl.

Potrzebował ciszy i spokoju. Odwrócił się, samotnie szedł drugą stroną ulicy, minął

budynki biurowe. Kółka walizki wciąż podskakiwały obok niego.

Przemierzał opustoszałe ulice, pochłonięty sobą, aż znalazł się przy zjeździe na autostradę. Tuż przed nim na wysokim słupie znajdowała się reklama przyozdobiona jednym czerwonym słowem „Kentle”. Usłyszał warkot silnika i natychmiast znalazł

się obok niego czterodrzwiowy pikap.

Mężczyzna w rozchełstanej koszuli opuścił szybę i Ronnie zobaczył czapeczkę z napisem „New York Yankees”.

\* Podwieźć cię, kolego?

Ronnie, pocąc się jak wieprz, zatrzymał się przestraszony i zmieszany tym pytaniem.

Czy chciał gdzieś jechać? Nawet gdyby, to gdzie?

Nie był przekonany. A może jednak?

Zobaczył jakichś ludzi w samochodzie. Duchy ścisnęły się w bezwładnej masie.

\* Znajdzie się jeszcze jedno miejsce.

*A dokąd jedziecie?* zapytał niepewnie, jakby miał mnóstwo innych propozycji.

*Jest kilka pomysłów. Chcemy po prostu uciekać. Mamy z dziesięć możliwości albo więcej. Cholera, człowieku, dopiero zaczęliśmy jazdę* powiedział mężczyzna nosowym i głębokim głosem.

*Ja muszę się spotkać...* Ronnie umilkł. Gapił się na otwarte drzwi, niebieską tapicerkę i na kombinezon mężczyzny. Był starszym człowiekiem, któremu jabłko Adama przeskakiwało jak indykowi. Miał mądrą i dobrą twarz.

\* Wskakuj, podwiozę cię.

Ronnie obszedł auto i usiadł z przodu obok mężczyzny. Radio głośno nadawało wiadomości. Kobieta powiedziała, że Wall Street i Battery Park są nieprzejezdne.

Ronnie sięgał po pas, a kierowca podał mu butelkę wody mineralnej. Nie zdawał

sobie sprawy, jak bardzo był spragniony, więc wylewnie podziękował.

\* Myję okna. W WTC.

*Tak* odpowiedział Ronnie w zamyśleniu.

\* Wszystkie moje narzędzia pracy zostały w Południowej Wieży. Wiesz, o co mi chodzi?

Ronnie nie wiedział, ponieważ nie słuchał uważnie.

*Tak* odpowiedział mimo wszystko.

\* Wrócę po nie później.

*Później* Ronnie powtórzył jak echo, nieprzekonany co do słuszności tej decyzji.

\* Dobrze się czujesz?

\* Ja?

Pikap jechał przed siebie, w środku czuć było zapach psiej sierści i kawy.

\* Musimy wiać. Oni uderzyli w Pentagon. Jakieś dziesięć pieprzonych samolotów krąży nad nami. To jest yuge. Yuge!

Ronnie odwrócił się. Cztery osoby siedziały ściśnięte za nim. Nikt nie spojrzał mu w oczy.

\* Arabowie *wyjaśnił kierowca*. Arabowie to zrobili.

Ronnie wpatrywał się w owinięty w papier i poplamiony kawą kubek ze Starbucksza.

Obok w uchwycie wetknięta była również butelka wody.

*Dopiero się zaczęło* ciągnął kierowca. \* Mamy szczęście, że mamy silnego prezydenta. Na szczęście mamy George'a.

Ronnie milczał.

\* Wszystko w porządku? Nie jesteś ranny?

Jechali autostradą. Niewiele samochodów zmierzało w przeciwną stronę. Przed nimi pojawił się duży, zielony znak informacyjny. Po lewej stronie było napisane EXIT 24

EAST 27 PROSPECT EXPWY. Po prawej 278 WEST VERRAZANO BR, STATEN IS.

Ronnie nie odpowiadał, ponieważ nie słyszał słów kierowcy. Był głęboko pogrążony w swoich myślach.

Rozważał pewien zwariowany pomysł, który przyszedł mu do głowy w tym szaleństwie. Chociaż miał wątpliwości. Ale im dłużej rozmyślał, tym bardziej zaczynał wierzyć, że może się uda. Skoro nie powiódł się plan z Donaldem Hatcookiem, rozpatrywał plan B.

Może to będzie nawet lepszy plan? Wtedy wyłączył telefon.

Październik 2007

Abby w przerażeniu obserwowała koniuszek łomu. Chaotycznie przesuwał się to w prawą, to w lewą stronę, oddzielając skrzydła drzwi od siebie. Za każdym razem po kilka centymetrów, zanim znowu ciasno zamknęły się na łomie.

Rozległ się kolejny potężny trzask na dachu windy, tym razem naprawdę czuła, jakby ktoś na niego zeskoczył. Winda się kołysała, uderzała w szyb. Abby traciła równowagę. Maleńki pojemnik z gazem pieprzowym upadł z łoskotem, kiedy usiłowała utrzymać się na nogach.

Nagle usłyszała, że drzwi otwierają się z głośnym, metalicznym piskiem. Oblał ją zimny pot.

Pochyliła się, chcąc znaleźć spray na podłodze. Gdy zapaliło się światło, zobaczyła pojemnik z gazem. Ogarnięta paniką, chwyciła go. Potem, nie czekając ani chwili, ruszyła do przodu, rozpylacz trzymała w pogotowiu, celowała wprost w rozszerzającą się szczelinę w drzwiach. Wprost w mocne ramiona, które porwały ją i wyszarpnęły z windy.

Wrzeszczała, desperacko się wrywała, chciała się uwolnić. Gdy ponownie nacisnęła na rozpylacz, gaz nikogo nie obezwładnił.

*Odpierdol się* płakała \* chrząć się!

\* Kochana, już dobrze. W porządku, złotko. Nie rozpoznała tego głosu. To nie był jego głos.

*Wypuść mnie!* wrzeszczała i kopała bosymi stopami. Trzymał ją w uścisku jak w imadle.

\* Kochana? Panienko? Uspokój się. Wszystko w porządku. Już dobrze. Jesteś bezpieczna.

Spod żółtego kasku uśmiechała się do niej jakaś twarz. To był kask strażaka. Zielony kombinezon z żółtymi paskami. Usłyszała trzask krótkofalówki.

Dwóch strażaków stało na schodach wyżej, inni na stopniach w dole. Mężczyzna, który ją trzymał, uśmiechnął się uspokajająco.

\* Wszystko dobrze, kochana. Jesteś uratowana \* powtórzył. Trzęsła się. Czy oni byli prawdziwi? Czy to jakaś pułapka? Wydawali się prawdziwi, ale

ona wciąż mocno ścisnęła gaz pieprzowy. Po Rickym wszystkiego można się spodziewać.

Spostrzegła gburowatą twarz pochodzącego z Polski starego dozorcę. Posapując, wspinał się po schodach, miał na sobie ubrudzony sweter i brązowe spodnie.

\* Nie płacą mi za weekendy *zrzędził* to sprawa właścicieli. Od miesiący gadałem im o tej windzie! Od miesiący. *Popatrzył na Abby i zmarszczył brwi. Palcem z poczerwiałym paznokciem wskazał w górę.* Mieszkanie osiemdziesiąt dwa, zgadza się?

*Tak* odpowiedziała.

*Zarządcy* sapnął gardłowym akcentem \* są do niczego. Codziennie mówię im o tym.

\* Jak długo tu byłaś, kochana? \* zapytał ratownik.

Miał około trzydziestki, chłopięcą urodę i tak piękne czarne brwi, że aż niemożliwe, by były prawdziwe. Obserwowała go z rezerwą. Był zbyt przystojny, by być strażakiem. Poza tym mógł być częścią podstępного planu Ricky'ego. Nie mogła mówić, bo za bardzo się trzęsła.

\* Chcesz pić?

Chwilę później dostała butelkę. Piła chciwie, kilka kropel wylało się jej na brodę i ściekało po szyi. Wypiła do końca, potem się odezwała: \* Dziękuję.

Podawała butelkę, a jakaś niewidzialna ręka ją zabrała.

\* Od wczoraj wieczorem *wyjaśniła*. Siedzę tu, w tym pieprzonym miejscu, od wczorajszego wieczoru. Czy teraz jest sobota?

\* Tak, jest sobota, godzina siedemnasta dwadzieścia.

\* Od wczoraj. Siedzę tu od wczoraj, od osiemnastej trzydzieści. *Z wściekłością spojrzała na dozorcę.* Nie sprawdzał pan, czy działa ten cholerny alarm? Albo ten cholerny telefon?

*Właściciele.* Wzruszył ramionami, jakby chciał zrzucić na nich wszystkie problemy tego świata.

*Powinnaś pojechać do szpitala* zasugerował przystojniak ze straży. Propozycja wprowadziła ją w panikę.

\* Nie... nie... naprawdę nic mi nie jest, dziękuję. Ja... ja... tylko...

\* Zadzwońmy po karetkę.

*Nie* ucieła stanowczo \* nie muszę jechać do szpitala. Spojrzała na swoje buty, na wilgotną plamę na podłodze. Nic nie czuła, ale wiedziała, że musiało

tam śmierdzieć.

Krótkofalówka zatrzeszczała. Strażak odebrał rozmowę.

\* Jesteśmy na miejscu, uwięziona osoba jest bezpieczna. Pomoc medyczna nie jest potrzebna. Powtarzam, pomoc medyczna nie jest potrzebna.

\* Myślałam, że winda się urwie. Rozumiesz? Cały czas myślałam, że się urwie, a ja...

\* Nie było takiego niebezpieczeństwa. Ma zniszczone liny, ale by się nie urwała. \*

Jego głos zanikał, w zamyśleniu spoglądał na dach windy. \* Mieszkasz tutaj?

Pokiwała głową. Strażak rozluźnił uścisk.

\* Powinnaś sprawdzić, czy twoje ubezpieczenie obejmuje awarię windy.

Dozorca rzucił jakiś komentarz na temat właścicieli, ale ledwie go słyszała. Poczucie ulgi po uwolnieniu było przelotne. Super, że uwolniono ją z tej cholernej windy, ale nadal była w niebezpieczeństwie.

Uklękła, próbowała zabrać buty, ale nie chciała wchodzić z powrotem do windy. Buty były za daleko. Strażak pochylił się, wyciągnął je swoim toporem. Nie był głupi, żeby tam wchodzić.

\* Kto was zawiadomił? \* zapytała.

\* Kobieta z... *zawahał się i przeczytał informację z notesu* spod numeru czterdzieści siedem. Próbowała ściągnąć windę wiele razy tego popołudnia, a potem zadzwoniła, że słyszała wołanie o pomoc.

W myślach Abby zanotowała, że musi jej podziękować. Potem bacznie spojrzała na schody pokryte zakurzonymi płachtami i zaśmiecone płytami gipsowymi oraz materiałami budowlanymi pozostawionymi przez robotników.

*Powinnaś coś zjeść* doradził strażak \* coś lekkiego. Na przykład zupę. Odprowadzę cię do mieszkania, upewnię się, że wszystko w porządku.

Podziękowała mu, zerknęła na swój gaz pieprzowy, zastanawiając się, dlaczego nie zadziałał. Zobaczyła, że nie zwolniła blokady. Wrzuciła go do torebki, w ręce trzymała buty. Idąc po schodach, ostrożnie przekraczała budowlany bałagan i rozmyślała.

Czy to Ricky zepsuł windę? A potem alarm i telefon? Może było to zbyt daleko idące podejrzenie?

Gdy dotarła do drzwi mieszkania, z ulgą odetchnęła, widząc wszystkie zamki nietknięte. Podziękowała strażakowi i ostrożnie weszła. Sprawdzała



nitkę w przedpokoju, która była wciąż napięta, zamknęła za sobą wszystkie zamki. A potem dla pewności obeszała wszystkie pokoje.

Wszystko było w porządku. Nikogo tam nie było.

Poszła do kuchni, by zrobić sobie herbatę, i wyciągnęła kit\*kata z lodówki. Zaledwie przełknęła kawałek, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, a potem ktoś głośno zapukał.

Przeżuwała. Dzwonek zagrał jej na nerwach, pomyślała, że to może być Ricky.

Pośpieszyła do drzwi i zerknęła przez judasza. Zobaczyła drobnego mężczyznę w garniturze, w wieku około dwudziestki, z krótkimi włosami zaczesanymi na czoło.

Kim jest, do cholery? Domokrążcą? Świadkiem Jehowy... ale oni zwykle chodzą parami. Może ma coś wspólnego z tymi strażakami? Właśnie teraz, gdy była całkowicie wykończona, głodna, chciała zrobić sobie herbatę, coś zjeść, wypić kilka kieliszków czerwonego wina i położyć się.

Świadomość, że mężczyzna musiał minąć się z dozorcą i strażakami, troszkę zmniejszyła strach. Sprawdziła, czy oba łańcuchy są odpowiednio zaczezione. Potem otworzyła zamki i uchyliła drzwi na kilka centymetrów.

*Katherine Jennings?* zapytał ostrym, napastliwym tonem. Na twarzy poczuła jego ciepły oddech; pachniał miętową gumą do żucia.

Pod takim nazwiskiem wynajęła mieszkanie.

*Tak* odpowiedziała.

\* Kevin Spinella z gazety „Argus”. Mam prośbę, czy mogłaby pani podzielić się wrażeniami ze swojej przygody?

\* Do widzenia \* odparła i natychmiast chciała zamknąć drzwi, ale on zdążył wcisnąć but.

\* Proszę tylko o kilka słów, które mógłbym napisać.

\* Przykro mi, ale nie mam nic do powiedzenia.

\* Nie jest pani wdzięczna strażakom, którzy panią uratowali?

\* Tego nie powiedziałam... Cholera. Coś pisał w swoim notatniku.

\* Pani, panno Jennings...

Nie dała się sprowokować. Ale on kontynuował.

\* Rozumiem, że przeżyła pani gehennę, ale czy w takim razie mógłbym przysłać tutaj fotografa, żeby tylko zrobił zdjęcia?

*Nie* zaprotestowała \* jestem bardzo zmęczona.

\* Może jutro rano? O której pani pasuje?

\* Nie, dziękuję. Proszę zabrać stopę.

\* Jak zniosła pani to niebezpieczeństwo?

\* Jestem bardzo zmęczona *powtórzyła* dziękuję jeszcze raz.

\* W porządku, rozumiem, wiele pani zniosła. Coś pani powiem, jutro przyjdę tu z fotografem. Pasowałoby pani około dziesiątej rano? Nie za wcześnie jak na niedzielę?

\* Przykro mi, ale nie życzę sobie żadnego rozgłosu.

*Dobrze, a zatem do zobaczenia jutro rano.* Reporter wyciągnął but z drzwi.

*Nie, dziękuję* powtórzyła stanowczo i dokładnie zamknęła wszystkie zamki.

Cholera, tylko tego brakowało, żeby jej zdjęcie znalazło się w gazecie.

Myśli kotłowały się w jej głowie, wyciągnęła paczkę papierosów i zapaliła jednego.

Potem poszła do kuchni.

Mężczyzna, który siedział na tylnym siedzeniu białego vana zaparkowanego tuż obok na ulicy, również zapalił papierosa. Potem strzelił kapslem piwa foster i wypił łyk.

Uważał, by nie rozlać na elektryczny zestaw rozłożony obok. Przez obiektyw zamontowany w maleńkiej dziurze w dachu miał zwykle doskonały widok na jej mieszkanie. Jednak dzisiaj było ono częściowo przysłonięte przez zaparkowane wozy strażackie. Przynajmniej nastąpiła jakaś odmiana w jego monotonnym czuwaniu.

Teraz z satysfakcją obserwował jej cień przesuwający się po mieszkaniu.

Nie ma to jak w domu, pomyślał i uśmiechnął się kpiąco. Sytuacja była nawet zabawna.

11 września 2001

Lorraine usiadła na barowym stołku. Nadal miała na sobie jedynie majtki bikini i złoty łańcuszek na kostce. Patrząc w ekran telewizora zamontowanego tuż nad kuchennym blatem, czekała, aż woda się zagotuje. W popielniczce leżał tuzin niedopałków papierosów. Właśnie zapaliła kolejnego i zaciągała się głęboko. Przy uchu trzymała słuchawkę, ponieważ rozmawiała z Sue Klinger, swoją najlepszą przyjaciółką.

Sue z mężem mieszkała w domu, który Lorraine wręcz uwielbiała. Była to olśniewająca rezydencja na Tongdean Avenue. Wielu ludzi uważało ją za jedną z najlepszych w Brighton i Hove, gdyż roztaczał się z niej widok na całe miasto i morze. Klingerowie byli także właścicielami willi w Portugalii. Mieli czwórkę wspaniałych dzieci, a Stephen *w przeciwieństwie do Ronniego* obdarzony był

dobrą ręką do interesów. Ronnie obiecał Lorraine, że gdy Sue i Stephen będą chcieli sprzedać kiedyś ten dom, on zdobędzie pieniądze i go odkupi. No, pewnie. Tylko w marzeniach, kochanie.

W telewizji wciąż pokazywano nagrania, gdy samoloty uderzyły w obie wieże. Miała wrażenie, że reżyser tego programu chyba nie mógł uwierzyć, że obecne wydarzenia są prawdziwe, dlatego wciąż je powtarzał. Być może ktoś będący w szoku pomyślał, że przez powtarzanie tych obrazów samoloty ostatecznie ominą wieże i polecą dalej bezpiecznie. Wtedy nastąpi zwyczajny wtorkowy poranek na Manhattanie, a interesy będą się kręcić jak zawsze. Obserwowała niespodziewane pojawienie się pomarańczowej kuli ognia, gęste, czarne chmury i czuła się coraz gorzej.

Wtedy pokazano upadek obu wież. Najpierw południowej, potem północnej.

Woda w czajniku zaczęła wrzeć, ale ona nawet się nie poruszyła. Nie mogła oderwać oczu od ekranu, by nie przeoczyć Ronniego. Nie zwracała uwagi na Alfiego, który łąsił się do jej stóp. Sue coś mówiła, ale ona nie słuchała. W skupieniu patrzyła na ekran telewizora, przypatrywała się każdej twarzy.

\* Lorraine? Halo? Jesteś tam?

\* Tak.

\* Ronnie na pewno ocalał. Wszystko będzie dobrze.

Czajnik sam się wyłączył. Ocalony. Jej siostra też użyła tego słowa. Ocalony.

Cholera, Ronnie, lepiej żebyś był.

Usłyszała sygnał, że czeka kolejna rozmowa. Ledwie mogła się pohamować, krzyknęła tylko w podnieceniu.

\* Sue, to może być on! Oddzwonię!

O Boże. Ronnie, proszę cię, zadzwoń. Proszę, niech to będzie rozmowa z tobą!

Dzwoniła jej siostra.

*Lori, właśnie się dowiedziałam, że wszystkie loty ze Stanów są zawieszane.* Mo pracowała jako stewardesa w brytyjskich liniach lotniczych na trasach międzynarodowych.

\* A co to znaczy?

\* Że żadne samoloty nie wylecą ze Stanów ani nie zostaną tam wpuszczone. Jutro miałam lecieć do Waszyngtonu. Wszystkie rejsy są odwołane.

Lorraine poczuła nowy przypływ paniki.

\* Do kiedy?

\* Nie wiem. Aż podadzą nowe komunikaty.

\* Czy to znaczy, że Ronnie nie wróci jutro rano?

\* Obawiam się, że nie. Później dowiem się czegoś więcej, ale zawracają wszystkie samoloty ze Stanów, więc mogą się znaleźć w różnych miastach. Na pewno zapanuje chaos.

*Super* powiedziała Lorraine ponuro. \* Po prostu, cholera, świetnie. Jak myślisz, kiedy wróci?

\* Nie wiem. Przekażę ci najświeższe informacje. Lorraine usłyszała wołanie dziecka.

*Poczekaj chwilę, kochanie, mama rozmawia przez telefon!* odkrzyknęła Mo.

Lorraine zgasiła papierosa. Zeskoczyła ze stołka, cały czas obserwując ekran telewizora. Wyciągnęła torebkę herbaty, kubek i nalała wody. Nie odrywała oczu od telewizora ani na sekundę. Cofnęła się i boleśnie uderzyła biodrem o kant stołu.

\* Cholera jasna!

Popatrzyła na biodro. Zobaczyła świeży ślad pomiędzy liniami siniaków.

Niektóre były czarne i świeże, inne, starsze, żółtawe. Ronnie był sprytny. Zawsze bił ją tak, by nie było widać. Nigdy po twarzy, dlatego łatwo mogła zakryć siniaki.

Po coraz częstszych pijackich napadach furii płakał i błagał o przebaczenie. Zawsze mu wybaczła.

Wybaczła mu, ponieważ miała poczucie winy. Wiedziała, jak mocno pragnął jednej rzeczy, której ona nie potrafiła mu dać. Desperacko pragnął mieć dziecko.

Wybaczła mu, gdyż bała się go stracić, a poza tym go kochała.

Październik 2007

Siedząc w maleńkiej, ciasnej poczekalni dentystycznej, wertując strony magazynu

„Sussex Life”, Roy doszedł do wniosku, że to nie był najlepszy weekend w jego życiu. Właściwie czuł się, jakby poprzedni tydzień się nie skończył.

Sekcja zwłok, którą wykonywał doktor Theobald Frazer, ciągnęła się niemiłosiernie, aż do dziewiątej wieczorem. Cleo zaś, która w czasie sekcji zachowywała się jak zwykle, potem była dziwnie wkurzona na niego.

Oboje wiedzieli, że nikt nie zawinił w sprawie zrujnowanego weekendu. Jednakże czuł, że miała pretensje do niego. Podobnie jak Sandy, gdy przyjeżdżał późno do domu albo gdy odwoływał ich wcześniej ustalone plany w ostatniej chwili, ponieważ nastąpiła sytuacja awaryjna. Jakby to była jego wina, że natknęto się na ludzkie szczątki w kanale w piątkowe popołudnie, a nie w jakimś bardziej dogodnym czasie.

Cleo, lepiej niż ktoś inny, rozumiała powody tej sytuacji, ponieważ znała policyjny świat i jego nieregularne godziny pracy. Podobnie było z jej pracą. Mogła być wezwana o dowolnej porze dnia i nocy i często tak się działo. Więc co ją ugryzło?

Wściekła się, gdy pojechał na kilka godzin do domu i skosił zaniedbany trawnik.

*Nie mógłbyś kosić, gdybyś był w Londynie zauważyła \* więc czemu teraz?*

Jego dom był rzeczywistym problemem. Dom jego i Sandy działał na Cleo jak płachta na byka. Chociaż ostatnio usunął stamtąd wiele rzeczy Sandy, Cleo nadal rzadko tam przychodziła. Jeżeli przyszła, to zawsze czuła się nieswojo. Kochali się tam tylko raz i byli niezadowoleni z tego seksu.

Od tamtej pory zawsze spał w domu Cleo. Coraz częściej spędzali razem czas, więc na stałe przyniósł zestaw do golenia i inne kosmetyki. Miał również u niej czarny garnitur, czyste białe koszule, krawaty i parę czarnych butów, tak zwany tygodniowy mundurek.

Zadała mu dobre pytanie, ale on nie powiedział prawdy, ponieważ wiedział, że tylko pogorszy sytuację. Prawdą było, że szkielet wprawił

go w przerażenie. W związku z tym chciał побыć w samotności przez kilka godzin, żeby się zastanowić.

Musiał przemyśleć, co robi, jeśli to Sandy.

Związek z Cleo był najbardziej trwały ze wszystkich dotychczasowych, odkąd Sandy zniknęła, jednak miał świadomość, że pomimo wysiłków Sandy zawsze będzie między nim a Cleo. Kilka tygodni temu, podczas kolacji, Cleo wyznała, że boi się tykania biologicznego zegara. Wiedział, że chciała sformalizować ich związek, ale Sandy zawsze stanowiła przeszkodę. Nie do końca było to prawdą, ponieważ on ją kochał. Poważnie rozmyślał o wspólnym życiu. Dlatego poczuł się dotknięty, gdy wczoraj przyjechał do jej domu z dwoma butelkami ich ulubionego czerwonego wina pod pachą, a w drzwiach przywitał go maleńki, czarny szczeniak. Piesek w entuzjastycznym powitaniu obsikał mu tenisówki.

\* Humphrey, poznaj Roya! *oznajmiła Cleo.* Roy, poznaj Humphreya.

*Kogo? Czyj on jest?* zapytał skonsternowany Roy.

\* Mój. Kupiłam go dziś po południu. To pięciomiesięczny szczeniak rasy obronnej, krzyżówka labradora i collie.

Roy poczuł ciepło na prawej stopie, ponieważ mocz psa wsiąknął w skarpetkę.

Poczuł się niekomfortowo z tego powodu, poza tym ogarnęło go zakłopotanie, gdy ukląkł i poczuł szorstki jak papier ścierny język psiaka na ręce. Wtedy kompletnie zgłupiał.

\* Nigdy mi nie mówiłaś, że chcesz kupić psa!

*Cóż, Roy, jest wiele rzeczy, o których ty mi nie mówisz* odpowiedziała impulsywnie.

Starsza kobieta weszła do poczekalni i posłała mu krzywe spojrzenie, które mówiło:

„Najpierw ja wejść, chłoptasiu”, a potem usiadła.

Roy miał ściśle zaplanowany program dnia. O dziewiątej rano był umówiony z Alison Vosper, by rozmawiać na temat Cassiana Pewe'a. Dlatego spotkanie z zespołem Operacji Dingo *którą to nazwę dla ich sprawy wybrał losowo komputer w Sussex* wyznaczył później niż zwykle, na za kwadrans dziesiąta. O wpół do jedenastej był gotów na „poranne modlitwy”, jak żartobliwie nazwano przywrócone na nowo cotygodniowe spotkania kierownictwa.

W południe szykował się na konferencję w sprawie szczątków

znalezionych w kanale. Na tym etapie śledztwa nie miał zbyt wiele do przekazania. Miał nadzieję, że jeśli ujawni wiek kobiety, cechy fizyczne, w przybliżeniu określi rok, w którym umarła, te fakty odświeżą czyjaś pamięć na temat osób zaginionych w tamtym czasie.

\* Roy, jak dobrze cię widzieć!

Steve Cowling, ubrany w biały fartuch, błysnął idealnymi, białymi zębami i stanął w progu gabinetu. Był mężczyzną po czterdziestce, miał wyprostowaną po wojskowemu sylwetkę, nieskazitelne włosy, które stopniowo pokrywały się siwizną.

Steve emanował wdziękiem i pewnością siebie powiązaną z chłopięcym entuzjazmem, jak gdyby leczenie zębów było najbardziej ekscytującą sprawą na tym świecie.

\* Wchodź, bracie!

Grace przeprasząco skłonił się w stronę starszej damy, która wyglądała na wyraźnie wkurzoną, i podążył za dentystą w stronę jasnej i przestronnej komnaty tortur.

Z każdą wizytą Steve wydawał się starszy, jego asystentki zaś coraz młodsze i bardziej atrakcyjne. Obecna, długonoga brunetka około dwudziestki, trzymała szarą kopertę i uśmiechała się do niego. Potem wyciągnęła kilka negatywów i podała Steve'owi.

Podniósł odlew, który Roy dostarczył mu dwadzieścia minut temu.

\* Co my tu mamy, Roy? To jest nawet interesujące. Choć najpierw muszę stanowczo stwierdzić, że to nie jest Sandy.

\* Nie jest? \* Roy powtórzył matowym głosem.

\* Zdecydowanie nie *Cowling* wskazał na negatywy to są zęby Sandy i między nimi nie ma żadnego podobieństwa. Ale odlew może okazać się bardzo przydatny. \*

Radośnie uśmiechnął się do Roya.

\* To dobrze.

\* Kobieta miała implanty, które jak na tamte czasy były bardzo drogie. Tytanowe wkrętki zrobione przez szwajcarską firmę Straumann. To takie puste cylindry, które nakłada się wokół korzenia, one wrastają i tworzą stabilną podstawę, na której mocuje się koronki.

Słuchając Steve'a, Grace poczuł nagły przypływ emocji, próbował się skoncentrować, ale było mu bardzo ciężko.

\* Interesujące jest, bracie, że przybliżona data wykonania implantów jest podobna do czasu śmierci tej kobiety. Jakieś piętnaście lat temu przestano je



stosować. Widać, że zrobiła sobie jeszcze kilka kosztownych operacji, odnawiała zęby i miała też mostki.

Jeśli mieszkała w tych stronach, to najwyżej pięciu lub sześciu dentystów wykonywało taką robotę. Można sprawdzić. Na dobry początek Chris Gebbie, który miał praktykę w Lewes i Eastbourne. Mogę zrobić ci listę pozostałych dentystów, a to oznacza, że musiała być nieźle nadziana.

Grace słuchał, ale jego myśli krążyły gdzieś daleko. Gdyby okazało się, że to szczątki Sandy... Boże, ten uśmiech go prześladował \* wtedy skończyłby się pewien rozdział

jego życia. A tak agonია niepewności trwała.

Nie czuł ani ulgi, ani rozczarowania.

Wrzesień 2007

Smród, który wydobył się z bagażnika samochodu, obezwładnił wszystkich. Jakby nagle odblokowano zatkany od miesięcy lub lat

kanał ściekowy i stężone, rozkładające się w nim gazy zostały uwolnione.

Lisa cofnęła się, zatkała swędzący nos i na chwilę zamknęła oczy. Z powodu piekącego słońca i bezlitosnych much czuła się jeszcze gorzej. Gdy otworzyła oczy i ustami nabrała powietrza, poczuła ten sam odór. Walczyła, żeby nie zwymiotować.

MJ sprawiał wrażenie, że radzi sobie z sytuacją, ale oboje nadrabiali miną. Trzymali fason lepiej niż spanikowany policjant, który upadł na kolana i zaczął rzygać. Lisa wstrzymała oddech, zignorowała ostrzegawczy ruch ręki MJ, podeszła kilka kroków i zajrzała do bagażnika.

Natychmiast pożałowała swojej decyzji. Ziemia pod stopami nagle zawirowała jej tak, że musiała mocniej chwycić rękę MJ.

Na pierwszy rzut oka zobaczyła coś, co wyglądało jak manekin sklepowy roztopiony pod wpływem ognia, a potem zdała sobie sprawę, że to ciało kobiety. Wypełniało bagażnik, częściowo było zanurzone w zamulonej, lśniącej, czarnej wodzie, która stopniowo wypływała. Długie, jasne włosy rozpościerały się jak wodorosty. Piersi miały mydlany wygląd, a ogromne, czarne plamy pokrywały większość jej ciała.

*Czy ona została spalona?* ciekawski MJ zapytał niższego policjanta.

\* Nie, kolego, to nie ślady podpalenia. Skóra ludzka tak się rozkłada.

Lisa popatrzyła na twarz rozkładających się zwłok, która była wyдутa i bezkształtna, jak połowicznie roztopiona głowa bałwana. Włosy łonowe były nietknięte. Gęsty, brązowy trójkąt wydawał się taki prawdziwy. Jakby ktoś, robiąc dziwaczny żart, położył go tam. Patrząc w tę stronę, czuła się winna, że gapi się na to martwe ciało, jakby śmierć była prywatną sprawą, a ona się wtrącała.

Nie mogła odwrócić wzroku. W myślach wciąż powtarzała te same pytania:

„Biedactwo, co ci się przydarzyło? Kto ci to zrobił?”.

Znerwicowany glina w końcu się uspokoił i szorstkim tonem kazał im się

cofnąć, ponieważ to jest miejsce zbrodni, które należy zabezpieczyć taśmą.

Cofnęli się o kilka kroków, nie mogli odwrócić oczu, jakby oglądali na żywo odcinek serialu CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas. Oszołomieni, odrętwiali, ale zaciekawieni, jak w cyrku. MJ przyniósł z samochodu wodę mineralną i czapki. Lisa napiła się z wdzięcznością, a potem nałożyła czapeczkę, by uchronić głowę przed piekącym słońcem.

Najpierw przyjechał biały van kryminalistyków. Wysiedli dwaj mężczyźni i zaczęli ubierać się w kombinezony ochronne. Następnie pojawił się niebieski van, przyjechał

nim fotograf wydziału kryminalnego. Chwilę później niebieskim volkswagenem golfem przyjechała młoda kobieta. Miała około dwudziestu lat, mocno kręcone włosy i była ubrana w dżinsy oraz białą bluzkę. Przez moment stała i obserwowała sytuację.

W ręce trzymała notatnik i mały dyktafon. Podeszła do Lisy i MJ.

\* To wy znaleźliście samochód? \* Miała miły, choć stanowczy głos.

\* On znalazł. \* Lisa wskazała na swojego chłopaka.

\* Jestem Angela Parks *wyjaśniła* z gazety „Age”. Możesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło?

MJ opowiadał swoją historię, gdy podjechał złoty, zakurzony holden. Lisa obserwowała dwóch mężczyzn w koszulach i krawatach, którzy wysiedli z auta.

Jeden był krępy, miał poważną, choć chłopięcą twarz. Drugi \* w typie mięśniaka, był

wysoki, dobrze zbudowany (może trochę za gruby), łysy i miał wąskie, rude wąsy.

Jego wzrok ciskał gromy. Lisa pomyślała, że pewnie zaraz da komuś popalić w odwecie za zepsuty weekend, i za moment miała okazję się przekonać, że miała rację.

\* Ty cholerny idioto! *w formie powitania ryknął na spanikowanego policjanta, który stał za taśmą.* Wszystko spierdoliliście! Nie byliście na podstawowym szkoleniu? Co zrobiliście z moim miejscem

zbrodni? Nie tylko zatarliście ślady, po prostu sprofanowaliście! Kto, do cholery, kazał wam wyciągać to auto z wody?

*Przepraszam. Spieprzyliśmy* wyjąkał przestraszony glina, który zapomniał języka w gębie.

\* Do cholery, stoicie teraz na samym środku miejsca zbrodni!

\* Jak się masz, Angela. \* Krępy mężczyzna podszedł w stronę Lisy i MJ i

kiwnął

głową w stronę dziennikarki.

\* W porządku. Miło pana widzieć, detektywie Burg \* odpowiedziała.

Wówczas policjant mięśniak pewnym krokiem władcy całego brzegu rzeki i okolic podszedł do nich. Niedbale pozdrowił reporterkę, a potem zwrócił się do Lisy i MJ.

\* Jestem detektyw George Fletcher *przedstawił się w niespodziewanie miły i uprzejmy sposób*. Wy znaleźliście ten samochód?

*Tak*. MJ pokiwał głową.

\* Muszę mieć wasze zeznania. Proszę zgłosić się na posterunek policji w Geelong.

\* Teraz? \* MJ popatrzył na Lisę, a potem na detektywa.

\* Pora jest dowolna, byle dzisiaj.

\* Oczywiście, ale nie sądzę, żebyśmy mogli dużo panu opowiedzieć.

\* Rozumiem, ale zeznania ja ocenię. Sierżant spíše wasze nazwiska, adresy, numery telefonów, zanim odjedziemy.

Dziennikarka skierowała dyktafon w stronę detektywa.

\* Detektywie Fletcher, czy sądzi pan, że istnieje jakiś związek pomiędzy gangami Melbourne a tą martwą kobietą?

\* Pani ma chyba więcej informacji, bo była tu pani dłużej ode mnie. W tej chwili nie mam żadnych komentarzy na ten temat. Najpierw musimy się dowiedzieć, kim jest ta kobieta.

*Chyba była?* poprawiła go dziennikarka.

\* Jeśli chce pani być pedantyczna, to należy poczekać na patologa, który stwierdzi, że ona nie żyje.

Uśmiechnął się wyzywająco, ale nikt nie odpowiedział uśmiechem.

11 września 2001

Nikt się nie odzywał, z wyjątkiem kierowcy, któremu gęba się nie zamykała. Był jak denerwujący telewizor w barze, którego nie można wyłączyć ani zmienić w nim programu. Ronnie usiłował słuchać wiadomości radiowych, próbował zebrać myśli, niestety, kierowca przeszkadzał mu w obydwu tych rzeczach.

Ponadto Ronnie miał trudności w rozszyfrowaniu jego słów z powodu silnego brooklyńskiego akcentu. Ale ten mężczyzna był uprzejmy wobec niego, zaoferował

mu podwiezienie, więc nie mógł mu zwrócić uwagi. W związku z tym tylko siedział, potakiwał i okazjonalnie mruczał pod nosem: „No”, „Cholera” albo „Chyba żartujesz” w zależności od tego, co według niego było najbardziej odpowiednie.

Mężczyzna najpierw zmieszał z błotem większość mniejszości narodowych „tego wspaniałego kraju”, a potem zaczął opowiadać o drabinach, które zostawił w Południowej Wieży. Był tym faktem bardzo przejęty. Wkurzony był również z powodu amerykańskiego urzędu podatkowego, więc kontynuował bluzgi na temat płacenia podatków.

Wtedy nastąpiła chwila błogiej ciszy, więc można było posłuchać radia. Duchy, które siedziały za Ronniem, jechały w całkowitej ciszy. Może słuchały wiadomości albo były zbyt wstrząśnięte, żeby się odzywać.

W audycji przypominano fakty, które Ronnie już znał. Za kilka minut miał

przemawiać George Bush. W tym czasie podano, że burmistrz Giuliani jedzie w stronę Manhattanu. Ameryka znalazła się w centrum ataków. Wiadomości będą podawane na bieżąco.

Ronnie powoli układał nowy plan.

Jechali szeroką, pustą ulicą. Po prawej stronie mijali latarnie i drzewa. Za trawiastym poboczem widać było chodnik albo ścieżkę rowerową, potem płot i kolejną ulicę biegnącą równolegle. Wzdłuż drogi stały zaparkowane samochody, a okalały ją rzędy budynków z czerwonej cegły. Nie były tak wysokie jak wieżowce na Manhattanie.

Przejechali może z pół kilometra i skręcili w stronę ogromnych domów w

cichej i miłej okolicy. Widać było, że to bogata dzielnica.

Przejechali obok znaku „Ocean Parkway”.

Obserwował starszych ludzi, którzy niespiesznie szli chodnikiem, zastanawiał się, czy zdają sobie sprawę z tego, jaki dramat rozegrał się po drugiej stronie rzeki.

Pewnie nie. Gdyby wiedzieli, co się wydarzyło, z pewnością byliby przyklejeni do ekranu telewizora. Oprócz nich na ulicach nie było żywej duszy. Z pewnością o tej porze dnia większość ludzi była w pracy. Jednakże teraz matki powinny wozić dzieci w wózkach, właściciele psów powinni być na spacerach, a młodzież się wałęsać. Ale nie było nikogo. Ruch uliczny był niewielki. O wiele za mały.

*Gdzie jesteśmy?* zapytał kierowcę.

\* W Brooklynie.

\* *Dzięki odpowiedział Ronnie* nadal w Brooklynie. Dostrzegł informację „Yeshiva Center”. Miał wrażenie, że jechali już całą wieczność. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że Brooklyn jest taki ogromny.

Wystarczająco ogromny, żeby się w nim zgubić lub zniknąć.

Przypomniał sobie pewien cytat. Słowa ze sztuki Żyd z Małty Marlowe’a, którą oglądał ostatnio razem z Lorraine i Klingerami w teatrze w Brighton.

Ale to miało miejsce w innym kraju, poza tym służący nie żyje.

Ulice były nadal puste. Przejechali przez skrzyżowanie, gdzie widać było nowoczesne, betonowe bloki. Nagle znaleźli się pod ciemnozieloną estakadą metra linii L, która prowadzi z Manhattanu do Brooklynu.

*Roszjanie. Cała ta pieprzona okolica należy teraz do Roszjan* powiedział kierowca.

*Roszjanie!* zapytał Ronnie; nie miał pojęcia, o czym mówi kierowca.

Kierowca wskazał na rząd jaskrawych witryn sklepowych. Studio manikiuru, Szkoła Muzyki, Sportu i Sztuki Szostakowicza. Wszędzie były rosyjskie napisy. Na szyldzie apteki widniała cyrylica. Jeśli nie znałbyś rosyjskiego, nie wiedziałbyś, co jest w tych sklepach. On nie znał ani słowa.

Roszjanie. Teraz Ronnie zrozumiał.

*Mała Odessa* zaczął kierowca \* ogromna, pieprzona kolonia. Nie było jej tu, kiedy byłem małym chłopcem. Pieriestrojka, głośność, kapujesz? Pozwolili im wyjeżdżać, wiedziałeś o tym? Wszyscy tu przyjechali! Świat się zmienia, kapujesz?

Ronnie miał ochotę zamknąć gębę gościowi zdaniem, że kiedyś Indianom też zmienił

się cały świat, ale nie chciał zostać wykopany z samochodu.

\* No \* ograniczył się tylko do jednego mruknięcia.

Skręcili w prawo, w ślepią uliczkę dzielnicy mieszkaniowej. Na końcu znajdował się czarny płot, za nim plaża i ocean.

\* Plaża Brighton. Dobre miejsce. Będziesz tu bezpieczny. Bezpieczny od samolotów

\* powiedział kierowca, sugerując, że to koniec podróży Ronniego.

Kierowca odwrócił się do zjaw siedzących z tyłu.

\* Coney Island. Plaża Brighton. Muszę wrócić, żeby odzyskać moje drabiny, pasy bezpieczeństwa i cały sprzęt, który jest bardzo drogi, rozumiecie?

Ronnie odpiął pas, gorąco podziękował kierowcy i uściśnął jego potężną, spracowaną dłoń.

\* Trzymaj się, kolego.

\* Ty też.

\* Sie wie.

Ronnie wysiadł na asfaltowy chodnik. W powietrzu czuł intensywny zapach morskiej soli oraz lekką woń palącego się paliwa samolotowego. Na tyle lekką, że poczuł się bezpiecznie, ale nie aż tak odległą, by mógł zapomnieć to, co przeżył.

Nie oglądając się na towarzyszące mu duchy, dziarskim krokiem ruszył chodnikiem.

Wyciągnął telefon komórkowy, aby się upewnić, że jest wyłączony.

Zatrzymał się i patrzył na piaszczystą plażę, ogromny, płaski obszar porażającego zielononiebieskiego oceanu i mgliste smugi lądu gdzieś w oddali. Głęboko oddychał.

Jego plan był zbyt ogólnikowy i musiał nad nim popracować. Ale czuł się podekscytowany i podniecony.

Niewielu ludzi w Nowym Jorku przyjęło dzień 11 września z radością, w przeciwieństwie do Ronniego Wilsona.

Październik 2007

Abby cała się trzęsła, w drżących rękach trzymała kubek z herbatą. Przez żaluzje patrzyła na ulicę. Prawie nic nie widziała, ponieważ nie spała przez trzy noce.

Dygotała ze strachu.

Wiem, gdzie jesteś.

Spakowana, zamknięta walizka stała przy drzwiach. Popatrzyła na zegarek, była 8.55.

Za pięć minut wykona telefon, jak tylko biura zaczną funkcjonować. O ironio, pomyślała. Całe życie nie lubiła poniedziałków, a od wczoraj nie mogła się go doczekać.

Nigdy nie była tak przerażona.

Jeśli się nie pomyliła i panikowała słusznie, to pewnie on gdzieś się przyczaił.

Podążał jej śladem. Czekał, obserwował ją i był wściekły.

Czy to on zepsuł windę i telefon alarmowy? Wiedział, jak to zrobić? Ciągle zadreślała się tymi pytaniami.

W przeszłości był mechanikiem. Potrafił naprawiać mechaniczne i elektryczne urządzenia. Ale czemu miałby psuć windę?

Próbowała pozbierać myśli. Jeśli wiedział, gdzie mieszka, czemu po prostu nie zaczekał na nią? Co osiągnął, więzając ją w windzie? Jeśli potrzebował czasu na włamanie, to czemu poczekał, aż wydostanie się z tej windy?

Czyżby, będąc w szoku, nie umiała dodać dwa do dwóch, bo wychodziło jej pięć?

Może tak, a może nie. Nie wiedziała. Wczoraj zamiast wyjść na miasto i kupić prasę, a potem siedzieć przed telewizorem, jak zawsze robiła, cały dzień obserwowała ulicę.

Nie ruszyła się z miejsca, jedynie słuchała lekcji hiszpańskiego przez słuchawki, trenując wymowę i głośno powtarzając słówka i zdania.

Była paskudna niedziela. Południowo\*zachodni wiatr wiał od kanału La Manche, a potężny deszcz oblewał drogę, kałuże, samochody i



przechodniów.

Poprzez strugi, jak jastrząb, obserwowała okolicę. Z samego rana sprawdziła zaparkowane samochody osobowe i vany. Od wieczora tylko kilka się zmieniło. W

tej okolicy ciężko było zaparkować. Ludzie stawali tam, gdzie było wolne miejsce.

Gdyby odjechali choć na chwilę, ktoś zająłby je. Po powrocie musieliby szukać parkingu nawet o kilka ulic dalej.

Wczoraj miała dwóch gości. Jeden to dziennikarz z gazety „Argus” którego odprawiła przez domofon. Drugim był Tomasz, dozorca. W trosce o swoją pracę wyraził nadzieję, że Abby nie złoży na niego zażalenia. Tłumaczył, że pewnie robotnicy musieli wozić zbyt dużo ładunku w windzie i dlatego się zepsuła. Jednak nie potrafił w przekonujący

sposób wyjaśnić, dlaczego system alarmowy, który połączony jest z jego mieszkaniem, również nie działał. Zapewniał, że specjaliści od wind naprawią tę zepsutą, ale ze względu na szkody, które wyrządzili strażacy, będzie czynna dopiero za kilka dni.

Szybko się go pozbyła, ponieważ musiała wrócić do czuwania i obserwacji.

Zadzwoiła do mamy, ale nie wspominała o żadnych wiadomościach, które otrzymała. Abby nadal kłamała, że jest w Australii i świetnie się bawi.

Czasem SMS\*y mogą pomylić drogę, zostają wysłane do kogoś innego. Czy to była pomyłka?

„Wiem, gdzie jesteś”.

Być może.

Gdy była uwięziona, miała wrażenie, że wpada w paranoję. Wygodnie było tak myśleć. Ale nie mogła pozwolić sobie na samozadowolenie. Wiedziała, że ryzykuje, pakując się w tę sytuację. Wiedziała, że tylko dzięki nieuczciwości może żyć tak bezkarnie. Tak długo, jak się jej uda.

Tylko jedna rzecz przyniosła jej wczoraj ulgę. Był to jeden z tych uroczych tekstów:

„Nie kocha się kobiety, ponieważ jest piękna, ona jest piękna, ponieważ jest kochana”.

Abby odpisała:

„Piękno zwraca naszą uwagę, osobowość uwodzi duszę”.

Przez całą niedzielę nie dostrzegła nic niepokojącego na ulicy. Żaden podejrzany typ jej nie obserwował. Życie toczyło się po swojemu.

Normalne życie, do którego nie należała, choć obiecała sobie, że pozostanie w tym świecie troszkę dłużej.

Ale wszystko miało się wkrótce zmienić.

Październik 2007

krople deszczu bębniły o dach, a podmuchy wiatru kołysały vanem. Choć był ciepło ubrany, czuł zimno. Nie chciał zbyt często włączać silnika, ponieważ starał się nie przyciągać niczyjej uwagi. Przynajmniej był dobrze zorganizowany. Miał materac, niedaleko była kawiarnia Star\*bucks, a muzyki słuchał przez iPod. Niedaleko na promenadzie była toaleta, można też było się umyć. Było to bardzo wygodne, ponieważ wszystko znajdowało się z dala od miejskich kamer.

W książce, którą kiedyś otrzymał, było napisane, że „Seks to najbardziej zabawna rzecz, jaką można przeżyć, a nie trzeba się śmiać”. Pomyślał, że to zły cytat. Czasem zemsta może też być zabawna. Tak samo zabawna jak seks.

Van, w którym siedział, nadal miał w oknie pasażera, wypisaną czerwonym tuszem na tekturze informację „Na sprzedaż”. Dwa tygodnie temu kupił go za trzysta pięćdziesiąt funtów. Wiedział, że Abby jest bystra i bacznie obserwuje ulicę. Nie usunął tego napisu, żeby nie wzbudzać jej czujności. Poprzedni właściciel pewnie był

zmęczony telefonami w sprawie kupna. Ale on nie nabył go w celach komunikacyjnych. Kupił go z powodu dobrego widoku na wszystkie okna mieszkania Abby.

To było doskonałe miejsce na parkowanie. Van miał nadal ważne plakietki parkingowe mieszkańca osiedla. Ich ważność kończyła się za trzy miesiące.

Do tego czasu będzie już daleko stąd.

Październik 2007

Nastał kolejny cholerny dzień. Roy Grace zwykle wierzył we własne siły przed przyjazdem do tego imponującego budynku, ale pewność siebie opuszczała go natychmiast po przybyciu na miejsce.

Do Mailing House, komendy głównej policji w Sussex, dojeżdżał ze swojego biura po piętnastu minutach. Jednakże panująca tam atmosfera robiła wrażenie innej planety. Ta myśl go uderzyła, gdy przejeżdżał pod podniesionym szlabanem ochrony.

Poczuł się jak w innym wszechświecie.

Komenda znajdowała się pomiędzy innymi budynkami na peryferiach Lewes, stolicy hrabstwa East Sussex. W jej progach mieściła się administracja oraz dowództwo dla pięciuset oficerów i pracowników obsługi sił policyjnych Sussex.

Dwa budynki znacząco się wyróżniały. Jeden z nich był trzypiętrowy, miał

futurystyczną strukturę ze szkła i cegieł. W nim mieściło się Centrum Dowodzenia, Biuro Kryminalne, Centrum Telefoniczne i Dowództwo Sił Zbrojnych, a także większość sprzętu komputerowego wojska. Drugi, budzący respekt, był zbudowany z czerwonej cegły i wyglądał jak rezydencja królowej Anny. Kiedyś był to prywatny budynek, a obecnie numer 1, siedziba dowództwa.

Rezydencja prezentowała się godnie, chociaż była połączona ze zrujnowanym parkingiem, piętrowymi prefabrykatami, nowoczesnymi, niskimi budynkami. Jej wysokie kominy zawsze przypominały Royowi o włókienniczych fabrykach Yorkshire. Wewnątrz budynku były setki biur, na przykład szefa policji, zastępcy szefa policji oraz zastępcy naczelnika policji, a Alison Vosper zajmowała jedno z nich.

Grace znalazł miejsce, zaparkował alfę romeo i skierował się do biura Alison, które znajdowało się na parterze. Przez pionowe, rozsuwane okno roztaczał się widok na żwirowy podjazd i kolisty trawnik. Pomyślał, że pewnie przyjemnie pracuje się w takim spokojnym otoczeniu. Z dała od zatłoczonych biur w Sussex. Czasem rozważał

możliwość wzięcia na siebie takiej odpowiedzialności, a co za tym idzie,

przejęcia władzy, ale nie był pewien, czy dałby radę z polityczną poprawnością, przekłęta, podstępna czołobitnością, której więcej nie potrafiłby z siebie wykrzesać.

Biuro szefostwa może stać się twoim nowym przyjacielem, a następnego dnia być twoim wrogiem. Już od dawna przestał poważać Alison, zwłaszcza w takich chwilach jak ta. Gdy musiał stać przed nią, bo ona nie miała zwyczaju proponować, by goście usiedli w celu odbycia z nią krótkiego i treściwego spotkania.

Dzisiaj nawet chciał, by nie zaproponowała mu zajęcia miejsca. Miał zamiar przekazać jej złą nowinę na stojąco, tak by spoglądać na nią z wysokości. Nie zawiodła go, ponieważ na powitanie spojrziała zimno i nieuprzejmie.

\* Słucham, Roy?

Poczuł, że drży. Jakby został wezwany na dywanik do dyrektora w szkole średniej.

Alison Vosper ledwo przekroczyła czterdziestkę. Miała rzadkie blond włosy ścięte w tradycyjny sposób i pomimo ostrych rysów atrakcyjną buzię. Choć dzisiaj z pewnością nie miała dobrego dnia.

Ubrana zgodnie z obowiązującą normą, to znaczy w granatowy kostium i konserwatywną białą bluzkę, siedziała za eleganckim, idealnie posprzątanym palisandrowym biurkiem. Na jej obliczu malowała się złość.

Grace'a zawsze ciekawiło, w jaki sposób jego zwierzchnicy mają tak wysprzątane biurka. Przez całe zawodowe życie jego biurka były zawsze zawalone. Aby dostać się na szczyt \* jak to kiedyś postanowił \* powinien popracować nad organizacją prac biurowych.

Krążyła plotka, że trzy lata temu Alison Vosper przeszła operację z powodu raka piersi. Ale Grace wiedział, że to były tylko plotki, ponieważ ona zawsze otaczała się szczelnym murem prywatności. Niemniej za tą skorupą twardego gliny Grace wyczuwał wrażliwość. Prawdę mówiąc, nie była aż taka zła. Bywały dni, że te wściekłe, brązowe oczy tryskały humorem, a on odbierał te sygnały jako przejaw flirtu. Jednakże ten ranek nie należał do takich dni.

\* Dzięki, że poświęca mi pani czas.

\* Mam dosłownie pięć minut.

\* W porządku.

Cholera. Czuł, że jego pewność się rozpływa.

\* Chciałbym porozmawiać na temat Cassiana Pewe'a.

\* Nadinspektora Pewe'a? \* powtórzyła, jakby chciała podkreślić jego funkcję.

Pokiwał głową.

Rozłożyła dłonie w wylewnym geście.

\* Słucham.

Miała smukłe dłonie i staranny manikiur, który, szczerze mówiąc, nieco ją postarzał.

Na nadgarstku uwidaczniał się ogromny, męski zegarek, jakby chciała podkreślić, że chociaż świat policji nie należy już tylko do mężczyzn, oni nadal dominują.

*Chodzi o to, że...* Zawahał się. Słowa, które przygotował w myślach, uciekły.

*Tak?* Jej głos brzmiał niecierpliwie.

\* Cóż... on jest bystrym facetem.

\* Bardzo bystrym.

*No właśnie* Roy usiłował przebić się przez jej piorunujące spojrzenie \* ale chodzi o to, że zadzwonił do mnie w sobotę w sprawie Operacji Dingo. Oznajmił, że to był

pani pomysł, aby mi pomóc.

\* Zgadza się. \* Elegancko upiła łyk wody ze szklaneczki.

\* Nie jestem pewny, czy to dobry pomysł \* zaznaczył, czując się niezręcznie pod wpływem jej spojrzenia.

\* Zdaje się, że to ja o tym decyduję \* odparowała.

\* Oczywiście, ale...

\* Ale?

\* To wygląda na długofalową sprawę. Ten szkielet znajdował się tam od dziesięciu\*piętnastu lat.

\* Zidentyfikowałeś go już?

\* Nie, ale mam pewne wskazówki. Liczę na wynik ekspertyz stomatologicznych.

Zakręciła butelkę i postawiła ją na podłodze. Potem rozsiadła się przy palisandrowym biurku i splotła palce rąk. Wyczuł zapach jej perfum, który różnił się od tego sprzed kilku miesięcy. Był piżmowy i podniecający. W najbardziej szalonych fantazjach wyobrażał sobie seks z nią. Pewnie przez cały czas chciałaby mieć całkowitą kontrolę. I pewnie, gdyby tylko usiłował zaprezentować się jako mężczyzna, sprawiłaby, że jego ptaszek skurczyłby się z przerażenia.

\* Roy, przecież wiesz, że stołeczna policja najszybciej uporała się z biurokracją podczas aresztowań. Obecnie osoby cywilne pomagają policjantom podczas zatrzymań. W ten sposób skracają ich papierkową robotę.

\* Tak, słyszałem o tym.

\* To największa i najbardziej nowatorska jednostka policji w Zjednoczonym Królestwie. Więc nie sądzisz, że możemy się czegoś nauczyć od Cassiana?

\* Nie wątpię, że możemy \* zauważył, że użyła imienia tego pacana.

\* Przemyślałeś swoje tegoroczne osiągnięcia, Roy?

\* Moje osiągnięcia?

\* Tak. Jak oceniasz swoją pracę? Wzruszył ramionami.

\* Nie chwając się, sędzę, że radzę sobie dobrze. Doprowadziłem do skazania Suresha Hossaina. Z sukcesem rozwiązałem trzy sprawy kryminalne. Dwie kolejne czekają w sądzie. Nastąpił również postęp w kilku starych sprawach.

Chwilę patrzyła na niego w milczeniu, a potem zadała to pytanie: \* Jak rozumiesz pojęcie sukcesu?

Wiedział, że musi ostrożnie dobierać słowa, ponieważ czuł, co może nastąpić.

\* Zatrzymanie sprawców, przedstawienie im aktów oskarżenia i doprowadzenie do ich skazania.

\* Zatrzymanie podejrzanych bez względu na niebezpieczeństwo, na jakie naraziłeś ludność i policjantów?

\* Ryzyko zawsze musi być w kalkulowane w akcję. A w ogniu nie zawsze było możliwe, aby go uniknąć. Wie pani, jak to jest. Z pewnością była pani w sytuacjach, gdy musiała podjąć błyskawiczne decyzje.

Pokiwała głową i milczała.

\* No, pięknie, Roy. Pewnie dlatego możesz spać w nocy. \* Milczała i kiwała głową w sposób, którego nie lubił.

W odległym biurze usłyszał sygnał telefonu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Potem usłyszał sygnał SMS. Alison Vosper przeczytała wiadomość i odłożyła komórkę.

\* Patrzę na tę sprawę trochę inaczej. Spróbujmy podsumować twoją pracę. Dobrze?

*Ale jak?* Wzruszył ramionami. Chyba znał już pewne odpowiedzi.

\* Zanalizujmy twoje trzy poważne sprawy, które prowadziłeś w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Operacja Salsa. W czasie pościgu, którym dowodziłeś osobiście, jakiś starszy mężczyzna został porwany i okaleczony. Dwóch podejrzanych zginęło w wypadku samochodowym, a ty w czasie pościgu byłeś w aucie tuż za nimi. Podczas Operacji Nightingale jeden z policjantów został postrzelony, inny poszkodowany; nawet oficer niebędący na służbie został poraniony.

Tym oficerem był Cassian Pewe, dlatego jego początek pracy tutaj się opóźniał.

Alison kontynuowała.

\* Helikopter, którym leciałeś, uległ wypadkowi, a pewien budynek, w którym znaleziono trzy niezidentyfikowane ciała, doszczętnie spłonął. Podczas Operacji Kameleon pozwoliłeś, aby podejrzany wymknął się na stację kolejową, gdzie został

okaleczony. Jesteś dumny z tych faktów? Nie sądzisz, że nadszedł czas na zmianę metod pracy?

Właściwie to Roy Grace był dumny ze swojej pracy. Był całkowicie zadowolony ze swoich metod. Z wyjątkiem sytuacji, gdy ranni zostali policjanci. Zawsze się o to obwiniał. Może nie znała tych spraw dokładnie, a może ignorowała fakty.

Roztropnie rozważał odpowiedź.

\* Gdy ocenia się sprawę po jej zakończeniu, zawsze znajdzie się coś, co należałoby poprawić.

*No właśnie* powiedziała. \* Dlatego jest tutaj nadinspektor Cassian Pewe. Będzie nam służył swoim doświadczeniem najlepszej policji w kraju.

Gdyby tylko mógł odpowiedzieć: „Myli się pani. Ten facet to totalny dupek”. Ale coraz mocniej upewniał się, że Alison Vosper ma wiadomości na temat Pewe’a z zupełnie innego źródła niż on. Może rzeczywiście mają romans? Było to nieprawdopodobne, ale coś musiało ich łączyć. Cokolwiek to było, Roy zdawał sobie sprawę, że jest na straconej pozycji.

Postanowił odezwać się dyplomatycznie, co rzadko mu się zdarzało w policyjnej karierze.

*Rozumiem* oświadczył. \* I dzięki za wyczerpujące wyjaśnienia.

\* W porządku \* odparła.

Po wyjściu z biura się zamyślił. Zawsze pracowało czterech detektywów starszych rangą. Ten system się sprawdzał. Nie potrzebowano więcej. Teraz



miało być ich pięciu. W chwili gdy nie przyjmowano stażystów, a budżet świecił pustkami.

Całkiem niedawno Vosper i jej koledzy obniżyli liczbę etatów do czterech. Nie było wiadomo, kto będzie zwolniony albo przeniesiony gdzieś indziej.

Musiał wymyślić jakiś plan. Coś, co spowodowałoby, że Cassian Pewe sam sobie strzeli w stopę. Jednakże w tym momencie nie miał żadnego pomysłu.

Październik 2007

Dałby się pokroić za filizankę kawy latte ze Starbucksa albo za jakąkolwiek kawę.

Jednakże nie mógł opuścić miejsca obserwacji. Z budynku było tylko jedno wyjście.

Nieważne, czy wybrałaby się drogą pożarową, czy windą \* wyjście było tylko przez drzwi wejściowe, które obserwował. Nie chciał zaprzepaścić szansy. A ona przebywała w mieszkaniu znacznie dłużej niż poprzednio. Miał przeczucie, że Abby coś knuje.

Odnalezienie jej było bardzo trudne i kosztowne. Było w tym też trochę szczęścia.

Przypomniał sobie o starym, dobrym przyjacielu, który aktualnie przebywał w niezbyt komfortowym miejscu. Albowiem Donny Winters siedział w więzieniu za kradzież i wyłudzenia. Garował w Ford Open Prison, gdzie wprowadzono rozsądne godziny odwiedzin, i w godzinę z tego miejsca mógł tam dojechać. Odwiedziny u niego były ryzykowne i dużo go kosztowały, ponieważ Donny potrzebował gotówki na łapówki.

Przechucie go nie myliło. Wszystkie dziewczęta dzwonią do swoich matek, a matka Abby była chora. Abby sądziła, że będzie bezpieczna, jeśli będzie dzwonić z przypadkowego telefonu o zastrzeżonym numerze. Głupia krowa.

Głupia, chciwa krowa.

Spojrzał na podsłuch, który umieścił na drewnianym pudle tuż przed sobą. Jeśli znajdował się w zasięgu danej sieci, to podczas wykonywania lub odbierania telefonów mógł swobodnie kogoś podsłuchać. Można również zlokalizować numer zastrzeżonego telefonu i odbiorcę. Bez względu na to, czy ktoś dzwonił z komórki, czy z telefonu stacjonarnego. Oczywiście ona nie miała o tym pojęcia.

Przez pewien czas koczował w przyczepie niedaleko miejsca, gdzie mieszkała matka Abby w Eastbourne. Szybko doczekał się telefonu od Abby. Wtedy zadzwonił do skorumpowanego kolegi Donny'ego, który pracował w telefonii. W ciągu dwóch dni ustalił nadajnik, z którego odbierała sygnał.

Odkrył, że w dużych miastach nadajniki znajdowały się niedaleko siebie.

Donny powiedział mu również, że nadajniki pracują jak latarnie morskie. Nawet jeśli działają w trybie awaryjnym, zawsze utrzymują kontakt nawigacyjny z najbliższym nadajnikiem. Nieustannie przekazują i odbierają sygnał.

Zgodnie z sygnałami telefonu Abby odkrył, że nadajnik firmy telekomunikacyjnej Vodaphone znajdował się na skrzyżowaniu Eastern Road i Boundary Road w Kemp Town.

Niedaleko znajdował się deptak Marine Parade, który rozciągał się od Pałacu Pier aż do przystani. Z jednej strony znajdowały się wille w stylu regencji, z drugiej promenada z widokami na plażę i kanał La Manche. Była to gęsto zaludniona dzielnica mieszkaniowa z mnóstwem tanich hoteli i miejsc typu „B&B”.

Wiedział, że ona uwielbiała widok ze swojego pokoju na morze i pewnie teraz też się ulokowała gdzieś niedaleko morza. Prawie natychmiast odnalazł jej lokum. Wziął

pod uwagę kilka ulic, gdzie mogła zamieszkać. Zamaskowany patrolował tę okolicę w nadziei, że kiedyś

się pojawi. Spotkał ją, gdy szła do kiosku na Eastern Road, a potem ją śledził aż do drzwi.

Kusiło go, żeby po prostu porwać ją tu i teraz. Jednak było to zbyt ryzykowne. Za dużo ludzi kręciło się w okolicy. Mogłaby zacząć krzyczeć, a wtedy byłoby po zabawie. Pod tym względem miała nad nim przewagę, a on o tym wiedział.

Deszcz padał mocniej niż zwykle, echem roznosił się wokół niego. W takim dniu jak ten marzyła mu się obsługa kelnerska. Ale przecież nie można mieć wszystkiego.

Może przy odrobinie cierpliwości...

Kiedy był małym chłopcem, chodził z ojcem na ryby. Podobnie jak on, ojciec zawsze lubił różne gadżety. Kupił sobie nowoczesne, jak na tamte czasy, elektroniczne takie.

Gdy tylko ryba się złapała i pociągnęła linę w dół, rozlegał się wysoki dźwięk z małego nadajnika umieszczonego na ziemi za składanymi krzesłami, na których siedzieli.

Dźwięk rozlegający się teraz z jego podsłuchu był podobny. Przerzucał strony tabloidu „Daily Mail”, a wtedy usłyszał wyraźny, wysoki dźwięk, który wielokrotnie się powtórzył.

Ta dziwka Abby telefonowała.



Październik 2007

Odezwał się głos automatycznej sekretarki: „Dziękujemy za skorzystanie z usług firmy Global Express. Aby kontynuować połączenie, proszę wybrać podany numer.

Dziękujemy. Aby sprawdzić status wysyłki, proszę nacisnąć 1. Zgłoszenie żądania odbioru przesyłki, numer 2.

Jeśli posiadasz konto w naszej firmie i zgłaszasz żądanie odbioru przesyłki, numer 3.

Jeśli dzwoniś pierwszy raz i zgłaszasz żądanie odbioru przesyłki, numer 4. Jeśli dzwoniś w innej sprawie, wybierz numer 5”. Abby nacisnęła numer 4.

\* Przesyłki w Zjednoczonym Królestwie, wybierz numer 1. Przesyłki zagraniczne, numer 2.

Nacisnęła 1.

Nastała cisza. Nie znosiła tych automatycznych systemów. Usłyszała kilka trzasków, a potem głos młodego mężczyzny.

\* Global Express. Mówi Jonathan. W czym mogę pomóc?

Głos Jonathana brzmiał, jakby był sprzedawcą w sklepie z męską odzieżą.

*Witaj Jonathanie* zaczęła Abby. \* Chciałabym wysłać przesyłkę.

\* Nie ma sprawy. Ma rozmiar listu, paczki czy jest jeszcze większa?

*Koperta wielkości A cztery i grubości dwóch i pół centymetra* wyjaśniła.

*Nie ma problemu* zapewnił ją Jonathan. \* Gdzie mieszka adresat?

\* Tuż za Brighton \* podała.

\* Oczywiście. Skąd mamy ją odebrać?

*Z Brighton* powiedziała \* a dokładnie z Kemp Town.

\* Oczywiście.

*O której godzinie możecie ją odebrać?* spytała.

\* W tej okolicy będziemy, proszę chwileczkę poczekać, pomiędzy szesnastą a dziewiętnastą.

\* Tak późno?

\* Nie ma sprawy, możemy przyjechać wcześniej, ale to będzie

dodatkowy koszt.

Intensywnie rozmyślała. Jeśli pogoda się nie zmieni, to o siedemnastej będzie już bardzo ciemno. Ale czy to dobrze, czy źle?

\* Przyślecie kuriera rowerem czy samochodem? \* zapytała.

\* Na wieczór wysyłamy vana \* wyjaśnił Jonathan. Skorygowany plan układał się w jej myślach.

\* Czy moglibyście przyjechać nie wcześniej niż przed siedemnastą trzydzieści?

\* Nie wcześniej niż przed siedemnastą trzydzieści? Muszę sprawdzić. Nastąpiła cisza. Gwałtownie rozmyślała. Nasuwało się tyle czynników. Usłyszała trzask i głos Jonathana.

\* Nie ma problemu.

Wrzesień 2007

Z pewnością to nie najwspanialsze miejsce na poniedziałkowy poranek, pomyślał

detektyw George Fletcher. Zwykle o tej porze i w tym dniu miał kosmicznego kaca.

Fatalne samopoczucie pogłębiał fakt, że znajdował się w Wydziale Patologii Sądowej Instytutu Medycyny Sądowej Stanu Wiktorii. Nienawidził tej dętej mowy. Ponieważ był, na miłość boską, w miejskiej kostnicy. W tym miejscu nawet nieboszczyki stawały się jeszcze bardziej martwe. Było to ostatnie przed przejazdem na cmentarz miejsce, gdzie można było otrzymać status gościa w rejestrze.

Nieustannie przeszywał go monotonny dźwięk, gdy stał w ciasnej sali i spoglądał na ciało NN, które wolno przesuwano się w stronę otworu tomografu.

Jej ciało pozostało nietknięte od momentu, gdy wyciągnięto je z bagażnika i przywieziono tutaj. Noc spędziło w lodówce. Roznosił się nieprzyjemny zapach.

Mdły odór ścieków i ostry, cierpki smród przypominały o pełzających pędach rdestnicy. George walczył nie tylko z uporczywym hałasem w głowie, ale również ze swoimi wnętrznościami. Skóra kobiety była zmydlona i opuchnięta. Niektóre fragmenty wyglądały jak czarny marmur. Kiedyś pewnie miała blond włosy. Teraz też miały jasny kolor, ale były matowe, siedziało w nich robactwo, znajdowały się tam kawałki papieru, a także coś, co wyglądało jak kawałek filcu lub jakiejś papy. Trudno było rozpoznać rysy twarzy, ponieważ część uległa rozkładowi lub była zjedzona.

Określając na oko, patolog stwierdził, że mogła być przed trzydziestką.

George był ubrany w zielony fartuch, białą koszulę, krawat, spodnie od garnituru i białe gumowce, podobnie jak jego kolega Troy Burg, który stał tuż za nim. Szczupły, o sztywnych włosach i drażniącej osobowości. Barry Manx, starszy technik medycyny sądowej, obsługiwał maszynę. Patolog przesuwiał wzrokiem po ciele kobiety, odczytując szczegóły jak z książki.

Wszystkie ciała, które przywożono do kostnicy, były standardowo poddawane badaniu tomograficznemu. Przynajmniej sprawdzano ślady

jakichkolwiek chorób, zanim rozpoczęto sekcję zwłok.

Ciało kobiety było niekompletne; brakowało części ust i jednego ucha, pomiędzy palcami lewej dłoni widać było kości. Chociaż leżało w zamkniętym bagażniku, mnóstwo wodnej fauny znalazło sposób, aby tam dotrzeć i ucztować w szczątkach.

Wczoraj George też świetnie się bawił ze swoją żoną Janet. Rozkoszowali się potrawami, które przyrządził. Kilka miesięcy temu zapisał się na kurs gotowania w szkole gastronomicznej w Geelong. Wczoraj przygotował smażone homary, marynowany w czosnku stek z wołowiny, panacottę z kiwi oraz... Na samo wspomnienie cicho ziewnął. Wypił zbyt dużo wina Margaret River Zinfandel.

Czuł, jak jego jelita pracują.

Marzył o szklance wody i mocnej kawie. Snuł się za Burgiem przez wypolerowany, nieskazitelnie czysty i ciemny korytarz.

Kostnica nie była jego ulubionym miejscem. Zwłaszcza gdy miał kaca. Była jak ogromna arena, połączenie sali operacyjnej z fabryczną podłogą. Sufit był z aluminium, z potężnymi otworami wentylacyjnymi, we wnękach znajdowały się światła. Wiele wysięgników z lampami podłączono do gniazdek elektrycznych umieszczonych w ścianach, tak by można je było swobodnie skierować na dowolną część ciała w czasie sekcji. Podłoga była ciemnoniebieska, chyba po to, by trochę rozweselić to miejsce. Przy każdej ścianie znajdowały się blaty, wózki z chirurgicznymi instrumentami, czerwone kosze na śmieci z żółtymi workami oraz węże z wodą.

W ciągu roku przywożono tu pięć tysięcy zwłok.

Przełykając ślinę, z trudem połknął tabletki paracetamolu. Sądowy fotograf robił

zdjęcia, a znany mu od lat emerytowany policjant, który był wyznaczony na koronera do tej sprawy, stał po drugiej stronie sali przy jednym z blatów, kartkował informacje na temat denatki, łącznie ze zdjęciami zrobionymi nad rzeką wczoraj.

Patolog pracował szybko, co kilka chwil nagrywał swoje spostrzeżenia. Poranek mijał, a jego obecność, jak również Troya, była zbyt liczna.

Większość czasu spędzał

w cichym kątku z telefonem komórkowym. Organizował grupę śledczą i każdemu wyznaczał obowiązki. Przygotowywał się także do swojej pierwszej konferencji.



Opóźniał ją jak tylko mógł, gdyż miał nadzieję usłyszeć od patologa jakąkolwiek posuwającą sprawę do przodu informację, którą mógłby przekazać prasie.

Najważniejsze dla niego teraz było ustalenie dwóch szczegółów \* tożsamości kobiety i powodu jej śmierci. Niefortunny dowcip Troya, że może kobieta chciała powtórzyć sztuczki Houdiniego albo Davida Blainiego, pewnie kiedy indziej by go ubawił, ale nie dzisiaj.

Patolog poinformował George'a, że została złamana kość gnykowa, co było rezultatem duszenia. Niestety, jej oczy się rozpadły, więc nie można było ustalić, czy były w nich wybroczyny. Płuca uległy rozkładowi, co z kolei daje powód, aby sądzić, że była martwa, zanim włożono ją do bagażnika i zatopiono samochód.

Stan ciała tej kobiety był straszny. Długie zanurzenie w wodzie spowodowało zanik nie tylko delikatnych tkanek i części włosów, ale wartościowego kodu DNA, który można by z nich pobrać. Jeśli włosy uległy zbyt dużemu rozkładowi, musieliby polegać tylko na materiale pobranym z jej kości, który byłby mniej dokładny.

George, jeżeli nie wykonywał żadnego telefonu, podpierał ścianę i marzył, aby usiąść i zamknąć oczy choć na krótką chwilę. Czuł na sobie oddech czasu. Ostatnio niejednokrotnie utwierdzał się w przekonaniu, że zabawa w policję jest dla młodych.

Za trzy lata czekała go emerytura. Choć nadal lubił swoją robotę, chciał odetchnąć od dyspozycyjnego telefonu i wysyłania go do każdego ponurego znaleziska podczas niedzielnego, porannego leniuchowania w łóżku.

\* George! \* zawołał Troy.

Poszedł w stronę stołu, gdzie leżała kobieta. Patolog trzymał w uniesionych szczypcach coś, co wyglądało jak półprzeźroczysty parasol meduzy bez macek.

\* Implant piersi wyjaśnił patolog. Miała operację biustu.

*Rekonstrukcja z powodu raka?* zapytał George. Koleżanka Janet przeszła niedawno mastektomię, dlatego trochę orientował się w tym temacie.

*Nie, powiększenie* powiedział patolog \* to dobra wiadomość dla nas.

George zmarszczył brwi.

\* Silikonowe implanty mają numery seryjne *kontynuował patolog*. Każdy implant ma taki numer, który zapisywany jest przy nazwisku pacjentki. *Podsunął implant tak blisko, że George mógł zobaczyć maleńki rząd wytłoczonych cyfr*. Ten numer wskaże nam producenta. To pewniak w

ustaleniu jej tożsamości.

George powrócił do swoich telefonów. Zadzwoił do Janet, żeby powiedzieć, że ją kocha. Zawsze dzwonił do niej przynajmniej raz dziennie, od czasu ich pierwszej randki. Doskonale wiedział, co jej powiedzieć. Przez te wszystkie lata kochał ją tak samo intensywnie. Po odkryciu patologa trochę poprawił mu się nastrój. Poza tym zaczął działać paracetamol. Nawet zaczął rozmyślać o lunchu. Z zamyślenia wyrwał go okrzyk patologa.

\* George, mam coś, co może być bardzo ważne! Pośpiesznie wrócił do stołu.

\* Ścianka macicy jest gruba *powiedział patolog*. Macica, pomimo że ciało było zatopione tak długo, rozkładała się najwolniej. Mamy naprawdę sporo szczęścia!

*Naprawdę?* wątpił George.

*W ten sposób zdobędziemy DNA!* Patolog pokiwał głową i wskazał na tablicę, która znajdowała się nad szczątkami kobiety.

W chaosie mieszały się płyny ustrojowe. W środku znajdował się kremowy, wewnętrzny narząd w kształcie litery U, wyglądający jak rozkrojona kiełbaska.

George nie potrafił odgadnąć, co to jest. Jednakże przedmiot widoczny wewnątrz ciągle odwracał jego uwagę. Przez chwilę sądził, że była to niestrawiona krewetka.

Ale przyglądając się dokładniej, odkrył, co to było. Wówczas stracił apetyt na lunch.

Październik 2007

Znaczącym znakiem zmian dla wyższych rangą oficerów komendy policji w Sussex było wydzielenie na ich użytek parkingu tuż przed wejściem do budynku. Oznaczało to, że Grace, by znaleźć miejsce, nie potrzebował już więcej okrążyć biurowca ani parkować na ulicy lub potajemnie zostawiać samochodu naprzeciwko, na parkingu supermarketu ASDA, jak większość kolegów. Potem musiał wlec się z powrotem, nawet gdy łało jak z cebra, albo iść w błocie na skróty i, ryzykując życie, przeskakiwać przez ceglany mur.

Budynek policji, zainspirowany architekturą art deco, był usytuowany na wzgórzu, w bezpiecznej odległości od Brighton i Hove. Został wybudowany jako szpital zakaźny.

Później nastąpiło mnóstwo zmian, zanim przejęła go policja. Pod pewnym względem dzięki temu rozwinęły się przedmieścia miasta. Budynek wyglądał teraz wręcz osobliwie w tej przemysłowej okolicy tuż naprzeciwko supermarketu, który nieoficjalnie służył jako poręczna stołówka i parking.

Starszy, ciągle rozgadany Gary Weston niedawno odszedł, gdyż dostał awans na zastępcę szefa policji w Midlands. Jego obowiązki przejął twardy, konkretny, ciągle palący fajkę Jack Skerritt. Poprzednio Skerritt był szefem drogowki Brighton i Hove.

Miał pięćdziesiąt dwa lata. Twardziel ze starej, dobrej szkoły, ale potrafił nieźle kojarzyć. Był ogólnie lubiany i szanowany. Powrót cotygodniowych spotkań był

dotąd jego najnowszą innowacją w pracy.

Inną dostrzegalną zmianą, którą Grace zauważył po wejściu i wymianie pozdrowień z dwoma ochroniarzami, była nowoczesna tablica umieszczona nad schodami. Zbiór zabytkowych pałek policyjnych został wyeksponowany do muzeum. Na beżowych, świeżo odmalowanych ścianach zawisła szeroka, niebieska tablica. Znajdowały się na niej zdjęcia wszystkich wyższych rangą oficerów, którzy obecnie pełnili swoje funkcje.

Najbardziej rzucającą się w oczy była fotografia Jacka Skerritta. Był szczupły, przystojny i miał kwadratową szczękę. Wyglądał trochę jak popularny aktor z dawnych hollywoodzkich filmów. Miał stanowczy wyraz twarzy i gładkie, brązowe włosy. Był ubrany w ciemną marynarkę i

kratkowany, stonowany krawat. Z jego twarzy emanowało zdecydowanie, jakby chciał powiedzieć: „Nie pogrywaj ze mną, a ja będę wobec ciebie lojalny”. Tym zdaniem można go było opisać. Grace go szanował i podziwiał. Chciał być takim gliną. Jacki miał trzy lata do emerytury, ale nigdy się nie podłożył w imię politycznej poprawności ani też szczególnie nie przejmował się odgórnymi poleceniami. Postrzegał siebie w roli strażnika bezpieczeństwa i porządku działającego w imieniu obywateli Sussex, którzy przestrzegają prawa. W ciągu dwóch ostatnich lat, gdy był szefem drogówki Brighton i Hove, zanim objął to nowe stanowisko, miał istotny wpływ na poprawę bezpieczeństwa w mieście.

Na szczycie schodów był szeroki, wyłożony dywanem podest. Stał na nim fikus, który wyglądał, jakby wyrósł na sterydach, oraz palma, która z kolei wyglądała na umierającą.

Grace przytknął swoją kartę do panelu bezpieczeństwa i wszedł do elitarnego pomieszczenia dowództwa. W pierwszej części, na ogromnej, otwartej przestrzeni z ciemnopomarańczowym dywanem stało mnóstwo biur personelu pomocniczego.

Szefowie wydziału mieli swoje biura. Drzwi do jednego z nich były otwarte i Grace wymienił pozdrowienie ze swoim przyjacielem Brianem Cookiem, szefem wydziału naukowego, który właśnie rozmawiał przez telefon. Potem spieszenie przemknął obok dużego, oszklonego biura Jacka Skerritta. Chciał jeszcze zamienić słówko z Eleanor Hodgson, osobistą asystentką, gdyż w ostatnich dniach otrzymał od niej mnóstwo wiadomości.

Na ścianach plakaty w kolorach czerwonym i pomarańczowym grzmiąły:  
ZDRADA

DILERZY NARKOTYKÓW RUJNUJĄ INNYM ŻYCIE POWIADOM  
WSZYSTKICH O ICH DZIAŁANIU.

Przeszedł obok swojego biura i następnego oznaczonego wizytówką „Detektyw Gaynor Allen, Wywiad i Operacje Wojskowe” i wszedł tam, gdzie siedziała Eleanor.

W tej części wszystkie biurka były zagracone, pełne przepełnionych, czerwonych i czarnych tacek na korespondencję, klawiatur, telefonów, teczek z aktami śledztw, notatników i notatek. Tabliczka z literą „L” lwią przypięta przez jakiegoś dowcipnisa do jednego z monitorów w tylnej części.

Jedynym wysprzątanym miejscem było biurko Eleanor. Eleanor, kobieta w kwiecie wieku, była pruderyjna i zrównoważona. Miała czarne, schludnie uczesane włosy i pospolitą urodę. Załatwiała wiele spraw dla Roya. Teraz

wydawała się zdenerwowana, gdy Roy zbliżał się do niej. Jakby oczekiwała, że zacznie na nią krzyczeć, bo coś spieprzyła, chociaż nigdy nie podniósł głosu podczas ich półtorarocznej współpracy. Ale to jej nie przekonywało.

Poprosił, by sprawdziła rozmiar stołów w hotelu Thistle w związku z obiadem dla klubu rugby w grudniu. Potem szybko przejrzał e\*maile, w których sprawie Eleanor monitowała. Następnie popatrzył na zegarek, minęły dwie minuty po wpół do dziesiątej, i wkroczył w przestronne, robiące wrażenie terytorium Skerritta.

Podobnie jak on, Skerritt przeniósł się ostatnio do tej części budynku i miał ten sam widok na centrum ASDA. Jednakże na tym podobieństwo się kończyło. Jego miejsce pracy z trudem mieściło jedynie biurko i mały okrągły stół, w ogromnym biurze Skerritta zaś znajdowało się nie tylko olbrzymie biurko, ale także prostokątny stół.

Tutaj też zaszły zmiany. Zniknęły fotografie z wyścigów konnych i psów rasy greyhound, które dominowały za czasów Gary'ego Westona. Cóż, były odzwierciedleniem jego zainteresowań. Zastąpiono je zdjęciami dwóch nastolatków i mnóstwem fotografii labradora oraz podobnych szczeniaków. Należały do hodowli jego żony, ale w czasie rzadkich chwil wolnego czasu od policyjnej roboty była to również i jego pasja.

Skerritt emanował delikatnym zapachem tytoniu fajkowego, podobnie jak Norman Potting, jednakże zapach Pottinga Grace postrzegał jako okropny, a zapach Skerritta mu się podobał. Pasował do niego, podkreślał jego image twardziela.

Skonsternowany stwierdził, że przy stole razem z innymi siedział też Cassian Pewe.

Jakoś nie wyobrażał sobie, żeby Cassian Pewe mógł kiedykolwiek palić fajkę.

*Cześć, Roy, miło cię widzieć* Pewe powitał go przesłodzonym tonem, a potem podał wilgotną dłoń.

Roy szybko uwolnił rękę, potem zajął jedyne wolne miejsce i wymruczał słowa przeprosin za spóźnienie. Skerritt był pedantem, jeśli chodzi o punktualność.

*Cieszę się, że zdążyłeś,* Roy powiedział Skerritt.

Miał silny, beznamiętny głos, brzmiący sarkastycznie, jakby kłamliwy ton podejrzanych, których przesłuchiwał, przeniósł się na niego. Choć właściwie w tej chwili Roy nie mógł powiedzieć, czyjego ton był sarkastyczny, czy nie.

Zaczynamy kontynuować Skerritt \* plan na dzisiaj.

Siedział wyprostowany, pewny siebie, niezniszczalny, jak wykuty z granitu. Czytał z kartki, którą miał przed sobą. Ktoś podał kopię Royowi. Popatrzył przelotnie, gdyż znajdowały się tam rutynowe sprawy.

Streszczenie poprzedniego spotkania.

Raport o stanie wypadków.

2010 \* Challenge Programme \* niedobór środków.

Połączenie sił policyjnych \* Sussex i Surrey.

Skerritt energicznie kierował uwagę grupy na każdy z tematów. Gdy zaczęli omawiać aktualności, Roy ponaglił, aby zerknęli na Operację Dingo. Nie miał zbyt wielu nowości, ale wyraził nadzieję, że opinia dentystyczna przyniesie postęp w określeniu tożsamości kobiety. Kiedy przeszli do akt innych spraw, Skerritt nagle odwrócił się do Roya.

\* Wprowadzam kilka zmian w naszym zespole.

Przez chwilę Grace czuł, że traci grunt pod nogami. Czyżby miała się ujawnić intryga uknuta przez Vosper i Pewe'a?

\* Poprowadzisz tę sprawę \* zawyrokował Skerritt.

Grace nie wierzył własnym uszom, jakby rzeczywiście się przesłyszał albo nie zrozumiał.

\* Właśnie tę?

*Tak, Roy. Ta sprawa nie daje mi spokoju* podrapał się po głowie \* gdzieś tu w zakamarkach szarych komórek. Nadal będziesz wykonywał stałą robotę, ale będziesz dowodził operacją. Będziesz moim zastępcą wtedy, gdy będę nieobecny.

Awansował.

Kątem oka dostrzegł, że Cassian Pewe wygląda, jakby właśnie ugryzł cytrynę.

Grace zdawał sobie sprawę, że jego pozycja pozostanie taka sama. Mimo to zastępowanie Jacka w czasie jego nieobecności i tak było ogromnym krokiem naprzód.

\* Dzięki, Jack. Jestem zaszczycony. *Po chwili wahania dodał: Czy Alison Vosper zgadza się z twoją decyzją?*

*Alison zostaw mnie* odparł Skerritt lekceważąco, a następnie zwrócił się do Pewe'a: \* Cassian, witamy cię w naszym zespole. Roy będzie miał teraz pełne ręce roboty, więc proszę, żebyś zajął się jego starymi śledztwami, niewyjaśnionymi sprawami. O przebiegu swojej pracy będziesz informował

Roya.

Grace z trudem opanował uśmiech. Cassian Pewe miał nieruchomą twarz. Wyglądał

jak obrazek przedstawiający mapę pogody na ekranie telewizora. Widać było tylko symptomy deszczu i chmur burzowych, żadnych oznak promieni słońca. Nawet jego opalenizna wydawała się blednąć. Spotkanie zakończyło się dokładnie o wpół do dwunastej. Gdy wychodzili, Cassian Pewe zatrzymał Roya w drzwiach.

\* Roy zaczął Alison uważa, że dobrze byłoby, gdybym towarzyszył ci dzisiaj podczas konferencji prasowej, a także podczas wieczornej odprawy. Żebyś wiedział, na czym stoję, poznał istotę twojej pracy. Mimo że Jack wyznaczył mi inne zadanie, sądzę, że to będzie okej.

Nie, pomyślał Grace, w ogóle nie będzie okej. Ale nie powiedział tego.

\* Sądzę, że lepiej będzie, jeśli zapoznasz się z pozostałymi aktami śledztwa i zaczniesz swoją robotę.

Ucieszył się, że mógł mu przytrzeć nosa.

Wyraz twarzy Pewe'a jasno pokazywał, że Skerritt też zrobił swoje.

Październik 2007

Grace nie wdawał się w szczegóły. Obecnie był czas politycznych konferencji prasowych. Mnóstwo dziennikarzy, którzy nawet nie byli zainteresowani polityką, zjechało do Blackpool razem z przedstawicielami Partii Konserwatywnej. Chcieli przekazać jakiś interesujący news. Informacje o szkielecie znalezionym w ścieku raczej nie znajdowały się w kręgu ich zainteresowań.

Jednakże sprawa nieznannej martwej kobiety interesowała społeczność lokalną.

Szczałki odkryto w miejscu jednego z największych przedsięwzięć budowlanych w mieście. Rozwiązanie tej zagadki mogło dostarczyć szczegółów dotyczących zarówno historii, jak i dnia dzisiejszego. Wskazywano na analogie do morderstw w przewodach wentylacyjnych Brighton. W 1934 roku zaszły dwa niezależne od siebie wypadki. W przewodach wentylacyjnych znaleziono poćwiartowane ciała. Wtedy Brighton otrzymało niechlubny przydomek „Stolicy Zbrodni Anglii”.

Na konferencji zjawili się między innymi ekipa BBC, radia Southern Counties, młody człowiek z internetowego kanału telewizji Absolute Television Brighton; kilku znanych Grace’owi dziennikarzy z londyńskich gazet, reporter z „Sussex Express” i oczywiście Kevin Spinella z codziennego „Argusa”.

Spinella denerwował Grace’a, choć z czasem zaczął żywić pewien wymuszony szacunek wobec młodego reportera. Podobnie jak on, Spinella ciężko pracował. A podczas poprzedniego śledztwa, gdy Spinella obiecał dotrzymać tajemnicy, udowodnił, że jest wiarygodnym współpracownikiem. Niektórzy policjanci postrzegali dziennikarzy jako ścierwojadów, jednakże Grace miał inne zdanie. Prawie wszystkie ważne sprawy kryminalne opierały się na zeznaniach i wspomnieniach świadków. Jeżeli policja umiejętnie współpracowała z prasą, mogła mieć z tego wiele korzyści.

Dziś rano Grace miał niewiele do przekazania, skupił się jedynie na kilku informacjach przewodnich. Na przykład wieku kobiety oraz niektórych detalach dotyczących jej wyglądu. Istotne było również podanie wstępnych przypuszczeń, kiedy umieszczono kobietę w kanale. Miał nadzieję, że może



ktoś z rodziny lub przyjaciół skojarzy tę datę z zaginioną w tym czasie osobą.

Grace dodał także, że nieznana jest nadal przyczyna śmierci, ale najprawdopodobniej było to uduszenie. Ktokolwiek był mordercą, świetnie znał Brighton i Hove.

Krótko przed 12.30, gdy wyszedł z konferencji, usłyszał swoje nazwisko.

Wkurzający Kevin Spinella zastąpił mu drogę i skierował na bok, tak aby inni dziennikarze ich nie słyszeli.

\* Detektywie Grace, możemy chwilę porozmawiać?

Roy zastanawiał się, czy Spinella wie o jego awansie. Byłoby niemożliwością dowiedzieć się o tym w tak krótkim czasie, ale Grace podejrzewał, że ma jakąś wtyczkę w policji w Sussex. Zawsze pierwszy wiedział o wszystkich wypadkach w mieście. Z pewnych względów Roy był zdecydowany to sprawdzić, ale nie było to takie proste. Gdy zacznie się kopać wokół przyjaciół, można ich przypadkiem stracić.

Młody dziennikarz miał na sobie garnitur, koszulę i krawat. Wyglądał bardziej elegancko i schludnie niż w przemokniętym płaszczu w niedzielny poranek.

\* To nie ma związku z tą sprawą zaczął, nie przestając żuć gumy Spinella jest coś, o czym pomyślałem, że powinienem panu powiedzieć. W sobotnie popołudnie zadzwonił do mnie kolega ze straży pożarnej, ponieważ zostali wezwani do jednego z bloków w Kemp Town, by uwolnić kogoś, kto utknął w windzie.

*Chłopie, ależ ty masz fascynujące życie!* ironizował Grace.

*No tak poważnie* odpowiedział Spinella, celowo nie zwracając uwagi na ten docinek *chodzi o to, że ta kobieta...* zawahał się i przytknął palec do nosa

\* pan ma taki policyjny zmysł, prawda?

Grace wzruszył ramionami. Zawsze był ostrożny w rozmowach ze Spinellą.

\* To ludzie tak mówią. Spinella znów dotknął nosa.

\* Też go mam. Mam nosa do chwytnych historii, rozumie pan?

\* Tak *potwierdził Grace i popatrzył na zegarek.* Spieszę się...

\* Rozumiem, nie będę pana zatrzymywał. Tylko chciałem pana ostrzec. Kobieta, która została uwolniona, ma około trzydziestki, jest bardzo ładna, ale jest z nią coś nie w porządku.

\* To znaczy?

\* Była bardzo wzburzona.

\* Nie dziwię się, jeżeli utknęła w windzie.

*Ale to był inny rodzaj wzburzenia.* Spinella potrząsnął głową. Grace przyjrzał mu się uważnie. Znał wachlarz tematyczny historii,

które Spinella posyłał do lokalnych gazet. Były to opisy nagłych przypadków śmierci, wypadków drogowych, napaści, włamań, zaginionych rodzin lub pojedynczych osób. Dziennikarze tacy jak Spinella spotykali wzburzonych ludzi od rana do wieczora. Mimo młodego wieku i niewielkiego doświadczenia Spinella pewnie potrafił rozpoznać różne rodzaje zdenerwowania.

\* To znaczy jaki?

\* Bała się czegoś. Odmówiła chwili rozmowy, gdy następnego dnia przyszedł do niej fotograf. Zachowywała się, jakby się ukrywała.

*Jakiej była narodowości?* Grace pokiwał głową, kilka myśli przyszło mu do głowy.

*Angielka. Biała... to chyba mogę powiedzieć.* Uśmiechnął się w wymuszony sposób.

Grace zignorował ten komentarz. Wykluczył możliwość, że była przetrzymywana w celach seksualnych, gdyż seksniewolnicami były głównie kobiety z Europy Wschodniej i Afryki. Mogło być wiele wytłumaczeń. Milion rzeczy może doprowadzić człowieka do wzburzenia. Ale zdenerwowanie nie jest wystarczającym powodem, aby interweniowała policja.

*Jaki jest jej adres, nazwisko?* zapytał, a potem zapisał „Katherine Jennings” i podany adres. Zleci komuś, aby sprawdził w kartotekach. Poza tym mógł tylko czekać, czy jej nazwisko nie pojawi się przy jakiejś innej okazji.

Zanim Roy przytknął kartę do panelu bezpieczeństwa, Spinella krzyknął ponownie:

\* Detektywie!

\* Co znowu? \* Grace odwrócił się, rozdrażniony.

\* Gratulacje z okazji awansu.

11 września 2001

W promieniach słońca Ronnie stał na opuszczonej promenadzie i ponownie sprawdził, czy jego komórka jest wyłączona. Patrzył przed siebie. Spoglądał ponad ławki, balustradę, złoty piasek i opustoszałą plażę.

Wpatrywał się w spienione fale oceanu. W oddali majaczyła szaropomarańczowa chmura dymu, która równomiernie wypełniała niebo, nadając mu kolor rdzy.

Właściwie to zabrał ze sobą niewiele. Zdał sobie sprawę, że zostawił paszport w hotelowym sejfie. Czy mógł skorzystać z takiego obrotu sprawy? Zaczął myśleć intensywnie. Myśli kotłowały mu się w głowie. Musiał je uporządkować.

Potrzebował relaksu albo mocnego drinka.

Patrząc w lewo, widział promenadę. Po prawej stronie widniały zarysy parku rozrywki na Coney Island. Bliżej rysował się brudny wieżowiec otoczony rusztowaniami. Miał sześć pięter. Afroamerykanin w skórzanej marynarce rozmawiał

z Azjatką w lotniczej kurtce. Rozglądali się, jakby sprawdzali, czy ktoś ich nie obserwuje. Potem spojrzeli na niego. Może finalizowali jakiś interes narkotykowy i sądzili, że jest gliną. Może rozmawiali o piłce nożnej, baseballu lub pieprzonej pogodzie. A może byli jedynymi ludźmi na tej pieprzonej planecie, którzy nie wiedzieli, co stało się z WTC.

Ronnie nie zwracał na nich uwagi. Dopóki go nie zaatakują, mogą sobie tam stać i rozmawiać w nieskończoność. Mogą tam tkwić nawet do śmierci. To akurat wydawało się prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę dzisiejsze wypadki.

Cholera. O kurwa. Co to był za dzień. Przeklęty dzień na przyjazd tutaj. Nawet nie miał numeru komórki Donalda Hatcooka.

I... Próbował zagłuszyć pewną myśl. Jednakże była tak uporczywa, że w końcu dopuścił ją do świadomości.

Donald Hatcook mógł nie żyć.

Cholernie dużo ludzi mogło nie żyć.

Zobaczył deptak, przy którym sklepy miały napisy jedynie w języku rosyjskim.

Ruszył w ich kierunku. Za sobą ciągnął walizkę. Zatrzymał się przy ogromnym napisie w półokrągłej, zielonej ramie. Jednej z tych, które zwykle obwieszczają na mapie „Tu jesteś”. Przeczytał: „Riegelmann Walkway.

Brighton Beach. Brighton 2nd Street”.

Pomimo kotłujących myśli wyszczerzył się w uśmiechu. Przecież to jakiś rodzaj domu. W innych okolicznościach byłoby zabawne zrobić zdjęcie takiej informacji.

Lorraine pewnie byłaby ubawiona.

Usiadł na ławce w pobliżu napisu, oparł się wygodnie, rozwiązał krawat, zwinął go w kłębek i schował do kieszeni. Potem odpiął górny guzik koszuli. Poczul powiew powietrza na szyi. Potrzebował tego. Trząś się. Serce mu kołatało. Popatrzył na zegarek. Było prawie południe. Strzepywał kurz z włosów i ubrania. Poczul

nieodpartą ochotę napicia się czegoś mocniejszego. Zwykle nie pił w ciągu dnia, a przynajmniej do lunchu, ale teraz przydałaby mu się dobra whisky. Albo brandy. Albo nawet typowy rosyjski alkohol, czyli wódka.

Wstał, chwycił walizkę i ponownie, ciągnąc ją za sobą, ruszył do przodu. Zobaczył

pierwszy napis sklepowy. Był w niebieskich, czerwonych i białych kolorach.

Przeczytał: „Moscow” oraz „Bar”. Poniżej była zielona markiza z żółtym napisem: „Tatiana”.

Wszedł do baru Moscow, który był prawie pusty. Panowała tam ponura atmosfera. Po lewej spostrzegł długi, drewniany kontuar, przy którym stały pokryte czerwoną skórą okrągłe stołki barowe na chromowanych nogach. Po prawej stała skórzana czerwona ława oraz metalowe stoliki. Kilku łysych mężczyzn, którzy wyglądali jak goryle z przygód Bonda, siedziało na barowych stołkach. Byli ubrani w czarne podkoszulki bez rękawów. W całkowitej ciszy, jak zahipnotyzowani, wpatrywali się w ekran telewizora.

Przed nimi stał rząd kieliszków. Była tam również butelka wódki w kubelku z lodem.

Wszyscy palili papierosy, na ladzie stała pełna popielniczka. Inni miłośnicy tego baru, a byli nimi dwaj młodzi przystojniacy, siedzieli na ławie przy jednym ze stolików. Byli ubrani w bajeranckie skórzane kurtki i nosili na palcach wielkie pierścienie. Pili kawę i też palili.

W powietrzu roznosił się przyjemny zapach kawy i papierosów, mocnych, rosyjskich.

Niektóre informacje przy barze napisano cyrylicą. Wokół rozwieszono banery i flagi drużyn piłkarskich \* głównie angielskich. Rozpoznał symbole Newcastle, Manchester United, Chelsea.

Na ekranie telewizora rozgrywał się dramat. Nikt nic nie mówił. Ronnie też zaczął

oglądać, bo właściwie nie miał innego pomysłu. Zobaczył dwa samoloty, które uderzyły po kolei w bliźniacze wieże. Potem każda z nich powoli się osuwała.

Nieważne, ile razy to widział. Za każdym razem dostrzegał coś innego. Obrazy wydawały się jeszcze gorsze.

\* Co podać?

Usłyszał łamaną angielszczyznę. Barman był karłem. Miał krótko przystrzyżone, czarne włosy, bardzo brudny fartuch i dżinsową, wygniecioną koszulę.

\* Czy ma pan wódkę Kałasznikow? Barman spojrzał tępym wzrokiem.

\* Kraszakow?

*Nieważne* powiedział Ronnie \* poproszę jakakolwiek i espresso. Ma pan espresso?

\* Tylko kawę po rosyjsku.

\* To poproszę. Karzeł kiwnął głową.

\* Jedna wódka i kawa. \* Był przygarbiony, jakby bolały go plecy. Na ekranie widać było poranionego mężczyznę. Łysy Afroamerykanin cały pokryty szarym pyłem. Na twarzy miał maskę ułatwiającą oddychanie, która była przyczepiona do nadmuchanej torebki. Mężczyzna w czerwonym kasku i masce na twarzy ponaglił go, aby wycofywał się z tego szarego śniegu.

\* Tyle gówna! *oznajmił karzeł swoim fatalnym angielskim* Manhattan. Nie do uwierzenia. Wiedziałeś o tym? Wiesz, co się stało?

*Byłem tam* powiedział Ronnie.

\* Co? Byłeś tam?

\* Proszę, nalej mi. Muszę się napić \* warknął Ronnie.

\* Już nalewam, spokojnie. Więc byłeś tam.

*Tak, nie zrozumiesz tego* odrzekł Ronnie.

Barman odwrócił się z obrażoną miną i wyciągnął butelkę wódki. Jeden z osiłków Bonda zwrócił się w stronę Ronniego i podniósł kieliszek.

\* Trzydzieści lat temu powiedziałbym do ciebie „kamracie”, a teraz powiem „buddy”.

Kapujesz?

\* Nie za bardzo. \* Ronnie też podniósł kieliszek.

\* Jesteś gejem czy jak? \* zapytał mężczyzna.

\* Nie, nie jestem gejem.

*Nie mam problemu z gejami. W ogóle nie mam problemów.* Mężczyzna odstawił

kieliszek i rozłożył ręce.

*To dobrze, bo ja też nie mam* rzucił Ronnie.

Mężczyzna uśmiechnął się. Miał okropne zęby, wyglądały jak połamane.

*Na zdrowie!* Ronnie stuknął się kieliszkiem z mężczyzną.

Teraz na ekranie pojawił się George Bush. Siedział w szkolnej klasie. Miał czarny garnitur i pomarańczowy krawat. Przed nim stała mała tablica z obrazkami. Na jednym niedźwiedź z szalikiem w paski jechał na rowerze. Jakiś mężczyzna stał obok Busha i coś szeptał mu do ucha. A potem obraz przeskoczył na wrak samolotu na ziemi.

*Dobrze się czujesz?* mężczyzna zapytał Ronniego. *Podobasz mi się. Jesteś w porządku.* Nalał sobie sporo wódki. Potem zmrużył oczy i spojrzał na kieliszek Ronniego, który był prawie pełny, więc odstawił butelkę do kubelka.

*Powinieneś się napić* stwierdził i wysączył swój kieliszek. *Dzisiaj musimy się napić.* Z powrotem popatrzył na ekran. \* To jest nie do uwierzenia. Przecież to niemożliwe.

Ronnie wypił łyk. Wódka gryzła go w gardło. Później wychylił znowu kilka łyków.

Efekt był natychmiastowy. Poczuł, że cały przętyk ma wypalony. Nalał sobie i nowym kolegom, którzy siedzieli w milczeniu. Po prostu gapili się w telewizor. Po kilku kolejkach Ronnie poczuł się pijany. Zachwiał się na stołku, potykając się, dotarł do jednego z wolnych boksów i zasnął.

Po obudzeniu poczuł okropny ból głowy i dotkliwą suchość w gardle. Nagle spanikował.

Moje walizki.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Z ulgą odkrył, że stoją przy stołku barowym, tam, gdzie je zostawił.

Była druga po południu.

Ci sami ludzie siedzieli nadal przy barze. Te same obrazy wciąż pojawiały się na ekranie telewizora. Wgramolił się z powrotem na stołek i kiwnął na kolegę.

\* A co z ojcem? \* zapytał jeden z osiłków Bonda.

\* No... czemu nic o nim nie mówią? \* dodał drugi osiłek.

\* O ojcu? \* zdziwił się barman.

\* Ciągłe słyszymy, że to sprawka syna Bin Ladena. No to gdzie jest ojciec?\*

Burmistrz Giuliani poważnie przemawiał w telewizji. Zachowywał spokój. Wyglądał

na człowieka zatroskanego, który jednakże kontroluje sytuację.

*Znasz Sama Colta?* nowo poznany kolega zapytał Ronniego.

*Nie* odpowiedział Ronnie, który usiłował słuchać przemowy burmistrza.

\* Ten gość wynalazł rewolwer, zgadza się?

\* Ach, jego.

\* Wiesz, co ten gość powiedział?

\* Nie.

\* Wątpliwości rozmawiających odnoszą się do określenia „bin” w nazwisku Bin Ladena, który w poprawnej, niezamerykanizowanej wersji powinien brzmieć „Ibn”, a który oznacza „syn”, w tym wypadku „syn Ladina”.

\* Sam Colt powiedział: „Teraz wszyscy będą równi!” *Rosjanin uśmiechnął się, obnażając obrzydliwe zęby. Kapujesz?*

Ronnie pokiwał głową i zamówił wodę mineralną i kawę. Od śniadania nic nie jadł, ale nie miał apetytu.

Giulianiego zastąpiły obrazy potykających się szarych duchów, które widział już wcześniej. Nagle przypomniał mu się wiersz z czasów szkolnych. Autorem był jeden z jego ulubionych pisarzy, Rudyard Kipling. To był prawdziwy Człowiek.

Rudyard rozumiał znaczenie władzy, wpływów i dochodzenia do władzy.

Jeżeli zdołasz zachować spokój, chociażby wszyscy go stracili... Jeżeli umiesz przyjąć sukces i porażkę, traktując jednakowo oba te złudzenia... \*

Na ekranie telewizora pojawił się strażak, który płakał. Siedział, jego hełm był

pokryty szarym pyłem, miał podniesioną osłonkę, rękami zasłaniał twarz.

\* Halo! \* Ronnie pochylił się do przodu i stuknął w ramię barmana, który oderwał się od telewizora.

\* Wynajmujesz też pokoje? Potrzebuję na jakiś czas.

*Żadnych lotów, no nie?* zasugerował nowy kolega.

\* No właśnie.

\* Tak w ogóle, to skąd jesteś?

*Z Kanady, z Toronto.* Ronnie zawahał się, zanim podał odpowiedź.

*Toronto* powtórzył Rosjanin *Kanada. To dobrze.* Przez chwilę milczał, a potem zapytał: \* Tani pokój?

Ronnie wiedział, że nie może użyć żadnej ze swoich kart, nawet jeśli były wiarygodne. W portfelu miał zaledwie czterysta dolarów, dzięki którym jakoś przeżyje, dopóki nie wymieni na walutę skarbów schowanych w walizce. Gdyby tylko znalazł nabywcę, który go nie oszuka i nie będzie dociekliwy.

\* Tak. Im tańszy, tym lepszy \* odpowiedział Ronnie.

\* Jesteś w dobrym miejscu. Zapewne chcesz SJ. Tego ci właśnie trzeba.

\* SJ?

\* Stosowną Jedynekę. Tego potrzebujesz. Płacisz gotówką, a oni nie zadają pytań. Mój kuzyn prowadzi dom, gdzie wynajmuje SJ. Piechotą dojdiesz w dziesięć minut.

Chcesz, to dam ci adres.

*Masz wszystko przygotowane, jak dobry plan* pochwalił go Ronnie.

\* Plan? A ty masz jakiś plan? Jakiś dobry plan?

\* Carpe diem!

\* Co?

\* Tak się mówi.

*Carpe diem?* powoli i nieporadnie powtórzył Rosjanin. Ronnie uśmiechnął się, a potem zamówił kolejnego drinka.



Październik 2007

W budynku policji znajdowały się dwie sale konferencyjne, gdzie omawiano główne śledztwa. Do bardziej przestronnej sali numer 1 tuż przed szóstą wkroczył Roy Grace. W ręce trzymał kubek z kawą.

Nowoczesna sala w kształcie litery L była podzielona na trzy sektory. W każdym z nich stało duże, drewniane biurko, przy którym mogło zasiąść osiem osób, i wisiały potężne tablice. Obecnie większość była czysta, z wyjątkiem tej z napisem „Operacja Dingo”. Na innej, opatrzonej napisem

„Nieznana kobieta”, znajdowały się fotografie wykonane w kanale, a także kilka zdjęć budowy. Na jednym zdjęciu zaznaczono czerwonym markerem pozycję ciała w kanale.

Przy tak poważnych śledztwach wykorzystywano całą przestrzeń tego pomieszczenia. Jednakże ze względu na brak pośpiechu w tych sprawach i oszczędności zespół Grace’a zajął jedynie jedno stanowisko. Pozostałe były puste, choć ta sytuacja mogła w każdej chwili ulec zmianie.

W przeciwieństwie do pozostałych biur było tam niewiele śladów osobistych pamiątek na biurkach czy ścianach. Nie było tam rodzinnych zdjęć, notowań piłkarskich czy obrazków z dowcipami. Oprócz mebli i specjalistycznego sprzętu większość przedmiotów w tym pomieszczeniu była związana z prowadzonymi śledztwami. Nikt nie żartował. Wszyscy pracowali w ciszy i ogromnym skupieniu, słychać było jedynie stłumione odgłosy telefonów i drukarki wypluwającej kartki.

Zespół wybrał materiały do Operacji Dingo. Grace gorąco wierzył, że uda mu się zatrzymać tych ludzi, z którymi pracował przez minione miesiące. Miał wątpliwości jedynie co do Normana Pottinga, który nieustannie wszystkich denerwował, choć był niezwykle zdolnym detektywem.

Zastępcą Grace’a była Lizzie Mantle. Grace bardzo ją lubił. Prawdę mówiąc, długo usiłował się jej przypodobać. Była atrakcyjną kobietą po trzydziestce, miała piękne jasne włosy do ramion. Emanowała kobiecością, pod którą skrywała się twarda osobowość. Zwykle nosiła garnitury. Dziś miała taki w prążki, który z męską koszulą byłby stosowny dla maklera

giełdowego.

Podobnie wyglądała detektyw Kim Murphy. Krążyły plotki, że jeśli się chce zrobić karierę w firmie, to należy wyglądać jak słodka idiotka.

Oczywiście Grace wiedział, że to były jedynie plotki. Obydwie kobiety zdobyły stanowiska w młodym wieku, ponieważ na nie zasłużyły.

Niewątpliwie awans Roya wiązał się z nowymi wyzwaniem. W związku z tym będzie musiał w dużej mierze polegać na Lizzie. Oprócz niej w zespole znaleźli się Glenn Branson, Norman Potting oraz Bella Moy. Bella miała trzydzieści pięć lat, uśmiechniętą twarz i burzę farbowanych włosów. Obok klawiatury leżało, jak zwykle, otwarte pudełko czekoladowych drażetek. Roy obserwował, jak pisała w wielkim skupieniu. Co jakiś czas jej prawa ręka sięgała do pudełka po czekoladkę i umieszczała ją w ustach, a potem wracała na klawiaturę.

Bella była szczupła, ale jadła więcej czekolady niż ktokolwiek ze znajomych Roya.

Obok niej siedział bardzo oddany pracy detektyw Nick Nicholl. Miał dwadzieścia siedem lat, tyczkowaną figurę i rozczochrane włosy. Niegdyś zachęcony przez Roya porzucił rugby i stał się cennym nabytkiem policji w Sussex. Obecnie jednak nie spełniał oczekiwań, ponieważ był świeżo upieczonym ojcem i stale niedosypiał.

Naprzeciwko niego, za grubą stertą komputerowych wydruków, siedziała zadziorna detektyw Emma\*Jane Boutwood. Kilka miesięcy temu została poważnie ranna. W

czasie pościgu przygniótł ją skradziony van. Obecnie powinna być na rehabilitacji, jednakże błagała Roya, aby pozwolił jej wrócić i wykonywać lżejsze zadania.

Do zespołu należeli też ekspert, osoba prowadząca indeks działań, stenografista i szef monitoringu.

*Witaj, stary. Jest jakaś szansa na chwilę rozmowy później?* zapytał Glenn Branson. Był ubrany w czarny garnitur, niebieską koszulę i szkarłatny krawat.

*Oczywiście.* Grace kiwnął głową.

Grace pokiwał również na powitanie w stronę pozostałych osób.

*Nadchodzi Bóg!* zaczął Norman Potting, zdejmując nieistniejący kapelusz z głowy. \* Mogę pierwszy pogratulować wejścia do kręgu mosiężnych tabliczek?

\* Dziękuję, Norman, ale mosiężna tabliczka na drzwiach to nic

specjalnego.

*I tu się mylisz, Roy ripostował Potting. Większość metali rdzewieje, mosiądz zaś ulega korozji.* Tryskał dumą, jakby właśnie zaprezentował kompletną, bezsporną teorię wszechświata.

Bella, która go nie znosiła, zaperzyła się. W ręce trzymała czekoladkę, niczym ptak drapieżny ofiarę w szponach.

\* To tylko semantyka, Norman. Rdza, korozja, a jaka jest między nimi różnica?

\* Właściwie całkiem spora \* zawyrokował Norman.

\* Może powinieneś zostać metalurgiem, a nie policjantem \* odcięła się i połknęła kolejną czekoladkę.

Grace usiadł przy końcu biurka pomiędzy Pottingiem a Bellą i natychmiast zmarszczył nos pod wpływem odoru tytoniu, który rozchodził się od Normana.

\* Gratulacje, Roy. Zasłużyłeś na awans. \* Bella odwróciła się do Roya.

Roy przyjął gratulacje od pozostałych osób, a następnie położył przed sobą notatnik i plan zebrania.

\* Witam. Spotykamy się na drugim zebraniu na temat Operacji Dingo, czyli śledztwa dotyczącego niezidentyfikowanej kobiety i trzech odkryć związanych z tym śledztwem.

Przez kilka minut streszczał raport ekspertów medycyny sądowej. Potem przeczytał

wskazówki z obszernej pracy Theobalda. Śmierć nastąpiła przez uduszenie, wskazówką była złamana kość gnykowa. Prowadzono badania zebranych próbek. Nie znaleziono żadnych innych śladów obrażeń.

Grace przerwał, aby napić się wody, i zobaczył zadowoloną twarz Normana Pottinga.

*Podsumowując obecną sytuację, nie zamierzam powiększać zespołu, który będzie pracował nad tym śledztwem.* Następnie nakreślił plan spotkań: codziennie o ósmej trzydzieści, a potem o osiemnastej trzydzieści. Podkreślił, że system HOLMES działa od piątkowej nocy.

Przeczytał punkty związane ze strategiami śledztwa, które dotyczyły współpracy z mediami. Zaznaczył, że konferencje prasowe są konieczne i mogą być pozytywne.

Rozważał również możliwość przedstawienia tej sprawy w programie Crimewatch w przyszłym tygodniu, choć telewizja nie była tym szczególnie zainteresowana, jako że sprawa nie była wystarczająco „newsowa”.

Następnie udzielił głosu zespołowi, zaczynając od Emmy\*Jane.

Młoda pani detektyw przedstawiła listę zaginionych osób w hrabstwie Sussex, w przybliżonym czasie śmierci ofiary. Nie zasugerowała żadnego wniosku. Grace poinstruował ją, by poszerzyła poszukiwania o osoby zaginione na terenie całego kraju w tamtym czasie.

Nick Nicholl zakomunikował, że pobrane z włosów kobiety próbki DNA zostały wysłane do laboratorium w Huntingdon. Wysłano również fragment kości udowej w celu ustalenia szczegółów dotyczących ofiary.

Bella Moy zdała relację ze spotkania z kierownikiem miejskiej elektrociepłowni.

\* Pokazał mi schemat miejskiej kanalizacji i obecnie usiłuję ustalić na mapie, w jakich miejscach jeszcze można było zejść do tego kanału. Jutro powinnam skończyć.

\* To dobrze \* powiedział Grace.

\* Jest coś, co może być istotne *dodała Bella*. Ujście systemu kanalizacyjnego jest rozbudowane daleko w morze, dla pewności, by przybrzeżne prądy nie cofały ścieków.

Grace pokiwał głową ze zrozumieniem.

\* Być może morderca zdawał sobie z tego sprawę, może nawet był inżynierem sanitarnym.

Grace podziękował Belli i zwrócił się do Normana Pottinga. Był ciekaw powodu jego zadowolenia.

Potting wyciągnął z szarej koperty kilka zdjęć rentgenowskich. Trzymał je triumfalnie.

\* Ja mam prawdziwy hit! \* oznajmił.

Nastąpiła chwila ciszy. Wszyscy zastygli w milczeniu.

\* Mam je od dentysty, którego mi poleciłeś *wyjaśnił*. Ta kobieta miała wiele do czynienia z dentystami. Nazywa się, czy też nazywała się, Joanna Wilson.

*Świetna robota* ucieszył się Grace. \* Była singlem czy mężatką?

\* Cóż, mam dobrą i złą wiadomość \* zaczął Potting, a potem z zadowoleniem milczał. Szczerzył zęby jak kretyn.

\* Słuchamy \* ponaglił go Grace.

\* Miała męża. Był to dość burzliwy związek. Dowiedziałem się tego od dentysty, pana Gebbiego, który wiedział co nieco o tym małżeństwie. Jutro dowiem się więcej na ten temat. Ona była aktorką. Nie znam jeszcze całej historii, ale wiem, że się rozstali i ona wyjechała. Wybrała się do Los

Angeles, aby tam robić karierę. Taką wersję rozpowszechnił jej mąż.

*Wygląda na to, że musimy z nim pogawędzić* uznał Grace.

*Z tym będzie problem* odparł Potting, w zamyśleniu kiwając głową. Usta miał

ściągnięte z wysiłkiem, jakby dźwigał na ramionach cały świat \* zginął podczas zamachów na WTC jedenastego września.

Październik 2007

o godzinie osiemnastej czterdzieści pięć Abby zaczęła się martwić, że firma kurierska zapomniała o niej. Od wpół do szóstej była gotowa na przyjazd kuriera. Walizkę spakowała, na niej położyła płaszczyk, kopertę wyłożoną folią bąbelkową zaadresowała i zakleiła.

Na dworze było kompletnie ciemno. Poprzez strugi deszczu prawie nic nie widziała.

Czekała na vana z firmy Global Express. Któryś raz z rzędu wyciągnęła gaz pieprzowy z kieszeni dzinsów i przyjrzała mu się.

Był to mały, czerwony cylinder, którego mechanizm działał niezawodnie. Gość, który go sprzedawał w Los Angeles, kiedy była w drodze powrotnej do Anglii, powiedział

jej, że można strzelić z niego dziesięć razy i że oślepi człowieka na dziesięć sekund.

Przemyciła spray w kosmetyczce.

Z powrotem wsadziła go do kieszeni i wyciągnęła komórkę z torebki. Chciała zadzwonić do Global Express, gdy odezwał się domofon.

Popędziła w stronę drzwi. Na czarno\*białym monitorze zobaczyła kask motocyklowy. Serce jej waliło. Ten pacan Jonathan powiedział jej, że przyjedzie van.

Liczyła na przyjazd vana.

Cholera.

Nacisnęła przycisk domofonu.

*Proszę wejść na ósme piętro* powiedziała. \* Obawiam się, że winda nie działa.

Myśli kotłowały się w jej głowie, musiała wszystko przemyśleć. Podniosła kopertę.

Musiała wrócić do poprzedniego planu. Zrozumiała to w tym krótkim czasie, który minął od chwili, gdy usłyszała dzwonek u drzwi.

Jak zwykle czujnie spojrzała przez judasza i zobaczyła motocyklistę. Był ubrany w skózaną kurtkę, miał czarny kask z przyciemnianą, opuszczoną zasłoną. Trzymał

tabliczkę z zaciskiem na papiery.

Otworzyła drzwi.

\* Myślałam, że pan przyjedzie vanem... \* zaczęła.

Mężczyzna upuścił tabliczkę i mocno uderzył Abby w brzuch. Upadła, zwijając się z bólu.

\* Miło cię widzieć, Abby *powiedział* nie podoba mi się twoja nowa fryzura.

Potem uderzył jeszcze raz.

Październik 2007

Tuż przed siódmą Cassian Pewe mknął samochodem wśród szalejącego wiatru po drodze rozświetlonej neonami. Przejechał dwa mini\*ronda w stronę Peacehaven.

Następnie mijał niekończącą się aleję sklepów, biura pośredników handlu nieruchomościami i krzykliwe budki fast foodów. To miejsce przypominało mu obrzeża małych amerykańskich miasteczek, które pamiętał z filmów.

Nie znał tej wschodniej części Brighton, ale prowadził go kobiecy głos systemu nawigacyjnego. Minął Peacehaven. Przed nim włókł się samochód kempingowy.

Wietrznym wzgórzem jechali w stronę Newhaven. GPS poinformował go, że musi jechać prosto mniej więcej przez kilometr. Wtedy zadzwonił telefon.

Spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła Lucy, jego dziewczyna, sięgnął ręką, by odebrać.

*Tak, kochanie zagruchał \* jak się miewa mój słodki aniołek?*

*\* Masz włączony telefon bezprzewodowy? zapytała. Twój głos brzmi jak głos robota.*

*\* Przykro mi, kochanie, ale prowadzę.*

*\* Nie dzwoniłeś powiedziała urażonym i nieco zdenerwowanym głosem miałaś zadzwonić rano i umówić się na wieczór.*

Lucy była sekretarką w firmie inwestycyjnej w Londynie. Jego wyjazd jej się nie spodobał. Oczywiście dlatego, że nie zabrał jej ze sobą. Zawsze trzymał kobiety na dystans. Rzadko dzwonił do nich i często odwoływał randki w ostatniej chwili.

*Doświadczenie nauczyło go, jak traktować kobiety.*

*Byłem bardzo zajęty, aniołku zagruchał ponownie \* nie miałem wolnej chwili.*

*Cały dzień byłem na spotkaniach.*

*\* Za sto pięćdziesiąt metrów skręć w lewo poinstruował go kobiecy głos GPSu.*

*Kto to był? zaniepokoiła się Lucy. \* Czy ktoś jest z tobą w samochodzie?*

*\* Tylko nawigacja, kochanie.*



\* Więc spotykamy się wieczorem?

\* Nie sądzę, żeby nam się udało, słonko. Przydzielono mi pilną sprawę. To może być początek poważnego śledztwa w sprawie morderstwa, a konsekwencje poniosą lokalni policjanci. Ściągnęli mnie, ponieważ uważają, że jestem tutaj właściwym człowiekiem ze względu na moje doświadczenie ze stołecznej policji.

\* Może później?

\* Cóż, gdybyś wsiadła do pociągu, moglibyśmy zjeść późny obiad. Co o tym sądzisz?

\* Nie ma mowy, Cassian! Muszę być w biurze za kwadrans siódma.

\* To była tylko taka luźna propozycja \* odpowiedział.

Jechał w stronę mostu Newhaven. Mijał znaki informacyjne. Jeden prowadził

kanalem na prom, inny do Lewes. Nagle, ku swojemu zadowoleniu, zobaczył znak wskazujący cel jego podróży, drogę do Seaford.

\* Skręć w drugą ulicę w lewo \* dyktował nawigacyjny głos.

Pewne zmarszczył brwi, ponieważ znak drogowy nakazywał jazdę prosto. *Kto to był?* zapytała Lucy.

\* Mówiłem ci, że nawigacja *powtórzył*. Nie zapytasz mnie, jak minął mi dzień?

Pierwszy dzień w Sussex?

*Jak minął ci dzień?* zapytała niechętnie.

*Właściwie zaczął* \* to dostałem awans.

\* Teraz? Sądziłam, że przeniesienie ze stołecznej policji było awansem. Ze starszego inspektora stałeś się nadinspektorem.

\* Jest jeszcze lepiej. Przydzielono mi kilka starych, nierozwiązanych spraw.

Wszystkie dotyczą zaginionych osób, których los nie jest znany.

Milczała.

Skręcił w drugą ulicę w lewo.

Nagle zniknął obraz nawigacyjny. Kobięcy głos polecił mu, aby zawrócić.

\* Cholera \* wściekł się.

\* Co się dzieje? \* zapytała Lucy.

\* Nawigacja nie wie, gdzie, do cholery, jestem.

*Przesyłam jej wyrazy sympatii* powiedziała Lucy.

\* Aniołku, zadzwonię później.

\* To byłeś ty czy twoja koleżanka z nawigacji?

\* Bardzo śmieszne!

\* Proponuję, żebyś umówił się z nią na romantyczną kolację. \* Lucy się rozłączyła.

Dziesięć minut później system nawigacyjny znalazł właściwe namiary. Pokierował

go pod wskazany adres, którego poszukiwał w Seaford, cichej, nadmorskiej dzielnicy mieszkaniowej oddalonej o kilka kilometrów od Newhaven. Rozglądał się w ciemnościach, patrzył na numery domów. Zatrzymał się przed małym, nijakim bliźniakiem pokrytym kamyczkowym tynkiem. Na podjeździe stał zaparkowany nissan micra.

Wyłączył światła, poprawił krawat, przyczesał włosy i wysiadł z samochodu. Kiedy spiesznie kroczył uroczą dróżką w stronę drzwi frontowych, podmuch wiatru rozwichrzył jego staranną fryzurę. Nacisnął dzwonek, przeklinając, że dom nie ma werandy. Rozległ się pojedynczy dzwon, prawie jak na pogrzebie.

Chwilę później drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Stała przed nim kobieta gdzieś około sześćdziesiątki, lustrując go surowym wzrokiem zza staroświeckich okularów. Stwierdził, że pewnie dwadzieścia lat temu, gdyby miała lepszą fryzurę i nie byłoby widać zmarszczek mimicznych, byłaby całkiem atrakcyjna. W tej chwili miała krótkie, siwe włosy, luźną, pomarańczową bluzę, brązowe poliestrowe spodnie i tenisówki. Według Pewe'a wyglądała jak jedna z tych dzielnych Angielek o silnym charakterze, które można spotkać na kościelnych festynach.

\* Czy pani Margot Balkwill? \* zapytał.

\* Tak? \* Zawahała się i potwierdziła z pewną dozą podejrzliwości.

Pokazał jej swoją legitymację.

\* Jestem nadinspektor Pewe z policji w Sussex. Przepraszam za kłopot, ale czy mógłbym porozmawiać z panią i pani mężem na temat waszej córki Sandy?

Jej małe usta otworzyły się i zobaczył rząd kosztownych porcelanowych zębów w stosownym do jej wieku kolorze kości słoniowej.

*Sandy?* zszokowana powtórzyła jak echo.

\* Czy pani mąż jest w domu?

Przez chwilę rozważała odpowiedź na to pytanie, jak nauczycielka, którą w nieprzyjemny sposób i nieoczekiwanie zaskoczył uczeń.

\* Cóż, jest w domu. \* Wahała się przez moment, a potem pozwoliła mu wejść do środka.

Pewo stanął na wycieraczkę z napisem „Witamy”. Znalazł się w maleńkim, pustym przedpokoju, w którym trochę pachniało pieczonymi potrawami z obiadu, ale znacznie silniej roznosił się zapach kotów. Słyszał odgłosy telenoweli.

Zamknęła za nim drzwi, a potem niepewnie krzyknęła:

\* Derek! Mamy gościa. Przyszedł pan z policji. Detektyw.

Poprawiając ponownie włosy, Pewo poszedł za nią w stronę nieskazitelnie czystego salonu. Stał tam brązowy, welurowy, trzyczęściowy komplet wypoczynkowy i stół do kawy ze szklanym blatem. Na ekranie staroświeckiego telewizora znani aktorzy wymieniali ogólne zdania. Na telewizorze stała oprawiona w ramkę fotografia atrakcyjnej blondynki w wieku około siedemnastu lat. Bez wątplenia była to Sandy. Pewo domyślił się, ponieważ po południu oglądał jej zdjęcia w aktach sprawy.

W głębi pokoju, obok okropnego kredensu w wiktoriańskim stylu wypełnionego niebiesko\*białym serwisem o wierzbowym desenie siedział mężczyzna. Na małym stoliku leżało mnóstwo powycinanych kawałków, będących częściami modelu samolotu. Znajdowały się tam również paski drewna balsa, kółka, części podwozia, wieżyczka strzelnicza i inne drobne przedmioty, których Pewo od razu nie rozpoznał.

W pokoju zalatywało klejem i farbą.

Pewo szybkim spojrzeniem ogarnął pokój. Zauważył włączony kominek ze sztucznym ogniem. Wieża stereo przeznaczona była raczej na analogi niż płyty CD.

Wszędzie stały fotografie Sandy w różnym wieku, od niemowlęctwa aż do dwudziestki. Na głównym miejscu na kominku stało zdjęcie Roya Grace'a i Sandy.

Ona miała długą, białą sukienkę i bukiet. Grace jako młodzieniec miał dłuższe niż teraz włosy, na fotografii był ubrany w ciemnoszary garnitur i srebrny krawat.

Pan Balkwill był postawnym mężczyzną o szerokich ramionach. W przeszłości zapewne był człowiekiem o wielkiej krzepie. Był łysy, jedynie na bokach widać było drobne, szare włosy. Zwiotczały, podwójny podbródek nikał w załamaniach kolorowego golfa wyglądającego na zrobiony na drutach przez żonę. Wstał, ale nie podchodził, jak ktoś zmęczony życiem. Potem powoli wyszedł zza stolika. Oprócz swetra, który sięgał mu prawie do

kolan, miał na sobie luźne szare spodnie i czarne sandały.

Otyły, pręgowany kot, który wyglądał, jakby był jeszcze starszy od nich, wynurzył

się spod stołu, spojrzął na Pewe'a, przeciągnął się i wymaszerował z pokoju.

*Derek Balkwill* przedstawił się cichym, nieśmiałym głosem, który nie pasował do jego postury. A potem powitał go miazdzącym uściskiem dłoni, który zdziwił i zabolął Pewe'a.

*Nadinspektor Pewe* odpowiedział, krzywiąc się z bólu. \* Czy mógłbym zająć państwu chwilę rozmową na temat Sandy?

Mężczyznę zmroziło. Ślad rumieńca zniknął z jego bladej twarzy, a ręce zaczęły mu drżeć. Pewe przestraszył się, że mężczyzna może dostać ataku serca.

\* Właśnie wstawiłam wodę *zagadała Margot Balkwill* napije się pan herbaty?

*Z przyjemnością* odparł Pewe \* cytrynowa byłaby idealna.

\* Pracuje pan z Royem? \* zapytała.

\* Oczywiście \* kontynuował, nieprzerwanie gapiąc się na jej męża.

\* Jak on się miewa?

\* Dobrze. Prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa.

\* On jest zawsze zajęty *zaczął Derek Balkwill*. Wyglądało na to, że się trochę uspokoił. Tak ciężko pracuje.

*Margot Balkwill* wyszła z pokoju.

*Lancaster*. Derek wskazał na samolot.

*Z drugiej wojny światowej?* Pewe chciał wyjść na znawcę tematu.

*Więcej mam na górze.* Tak?

*Mam mustanga P45. Jest też spit, hurricane, mosquito, wellington.*

Niedbale się uśmiechnął.

Nastąpiła niezręczna cisza. Na ekranie telewizora dwie kobiety omawiały suknię ślubną. Wtedy Derek wskazał na model typu Lancaster.

\* Ojciec latał taką maszyną. Siedemdziesiąt pięć lotów bojowych. Widział pan film *The Dambusters!*

Pewe kiwnął głową.

\* Był jednym z nich. Jednym z nielicznych, którzy wrócili.

\* Był pilotem?

\* Obsługiwał karabin maszynowy. Nazywali go Tail End Charlie.

*Był bohaterem* uprzejmie dodał Pewe.

*Nie bardzo. Po prostu robił swoją robotę. Po wojnie stał się bardzo zgorzkniały.*

Po chwili dodał: \* Był wrakiem człowieka, rozumie pan?

\* Mogę sobie wyobrazić.

*Nie. Nikt sobie tego nie może wyobrazić.* Derek Balkwill potrząsnął głową. \*

Długo pracuje pan w policji?

\* W styczniu minie dziewiętnaście lat.

\* Tyle samo co Roy.

Gdy jego żona wróciła z herbatą i ciasteczkami, Derek nerwowo szukał pilota.

Wyłączył głos, ale pozostawił obraz na ekranie telewizora. Potem usiedli. Pewe na fotelu, a oni na sofie. Pewe sięgnął po elegancką filiżankę. Miał wypielęgnowane dłonie. Dmuchnął, by schłodzić herbatę, wypił łyk i odstawił filiżankę.

\* Niedawno przeniosłem się z policji w Londynie do Sussex zaczął. Przydzielono mi ponowne rozpatrzenie przedawnionych spraw. Nie wiem, jak to ująć, ale przeglądałem akta z zaginionymi osobami i nie sądzę, aby sprawa zniknięcia państwa córki była prowadzona odpowiednio.

Szeroko rozłożył ręce.

*Oczywiście nic nie zarzucam Royowi, ale...* zatrzymał się, poczekał na ich aprobujące kiwnięcia głowami i kontynuował *jestem obiektywny i patrzę na sprawę z boku. Wydaje mi się, że Roy Grace jest zbyt emocjonalnie zaangażowany, aby bezstronnie przeprowadzić rewizję śledztwa zniknięcia swojej żony.* Przerwał i napił się herbaty. \* Zastanawiałem się, jakie macie państwo zdanie na ten temat?

\* Czy Roy wie, że pan tu jest? \* zapytał Derek Balkwill.

\* Prowadzę śledztwo niezależnie \* odparł wymijająco. Matka Sandy zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała.

\* Mam nadzieję, że nie przysporzy to nikomu krzywdy \* w końcu zawyrokował jej mąż.

11 września 2001

Ronnie był pijany. Szedł chwiejnym krokiem, z trudem ciągnąc walizkę. Czuł się jak na pokładzie łodzi, która zaraz wywróci się do góry dnem. Czuł suchość w ustach.

Miał wrażenie, że jego głowa została ściśnięta w imadle. Powinien coś zjeść. Ale posili się później. Najpierw musi wynająć pokój, a potem ukryć gdzieś swój skarb.

W lewej ręce trzymał zmięty rachunek z baru. Jego nowy kolega o zapomnianym już imieniu napisał na odwrocie adres i narysował mapę. Była piąta po południu. Tuż nad głową przeleciał helikopter. Poczłł nieprzyjemny smród spalenizny w powietrzu.

Czyżby gdzieś był pożar?

Zdał sobie sprawę, że to był ten sam odór, który wcześniej czuł na Manhattanie.

Gęsty i mdły. Przenikał do niskich budynków z czerwonej cegły, wdzierał się do jego ubrań i w pory ciała. Głęboko, pełną piersią wdychał ten smród.

Na końcu ulicy spojrział na mapę. Wydawało mu się, że powinien skręcić w prawo na następnym skrzyżowaniu. Minął mnóstwo sklepów z napisami wykonanymi cyrylicą, a następnie bank, przed którym był bankomat. Zatrzymał się i zawahał, czy nie wybrać gotówki. Wiedział jednak, że to nie byłoby rozsądne. Przecież maszyna rejestruje czas

dokonania transakcji. Poszedł dalej. Mijał nowe sklepy. W oddali widział oderwany baner z napisem „Dbajmy o czystość plaży w Brighton”.

Nagle dotarło do niego, że idzie kompletnie opustoszałą ulicą. Po obu stronach stały zaparkowane samochody, ale nie było żadnych ludzi. Sklepy również były prawie puste. Miał wrażenie, jakby cała dzielnica była na przyjęciu, na które on nie został zaproszony.

Wiedział, że wszyscy siedzą w domach z nosami przy ekranach telewizorów.

Czekając na coś nieuniknionego, jak powiedział mężczyzna w barze.

Przeszedł obok blado oświetlonego miejsca z neonem „Mail Box City”.  
Zatrzymał się.

Wewnątrz, po lewej stronie, było długie okienko pocztowe, a po prawej mnóstwo rzędów metalowych schowków. Gdzieś w oddali siedziała młoda kobieta z długimi, czarnymi włosami, zgarbiona przed monitorem komputera. Za długim blatem starszy, siwy mężczyzna ubrany w tanie ciuchy przeprowadzał jakąś transakcję.

Ronnie powoli trzeźwiał. Zaczynał myśleć logicznie. W tym miejscu może łatwiej zrealizować swój plan. Poszedł dalej. Liczył mijające ulice po lewej stronie. Po jakimś czasie, zgodnie ze wskazówkami, skręcił w lewo. Szedł ulicą, gdzie domy wyglądały, jakby były złożone z przypadkowych klocków lego. Bliźniaki dwu i trzypiętrowe składały się z różnych połówek. Miały schodki przed głównym wejściem, markizy przed drzwiami garażowymi, te same dachówki, mur ceglany, odrapany tynk, niedopasowane okna, jakby kupiono je w pomyślonych zestawach.

Według mapy powinien skręcić w lewo na pierwszym skrzyżowaniu w wąską ulicę Brighton Path 2. Minął dwa białe jeepy zaparkowane przed podwójnym garażem, którego drzwi były zasmarowane bohomazami graffiti, potem szereg parterowych domów i skręcił w prawo,

w dzielnicę jeszcze bardziej zaniedbanych bliźniaków. Dotarł do domu pod numerem 29. Obie części wykonane były z betonu. Podarty plakat zwiślał ze słupa telegraficznego. Ledwo mógł coś zobaczyć. Popatrzył w górę i ponad brudnymi schodami spostrzegł białą tabliczkę z czerwonym napisem „SJ”.

Podnosząc walizki, wszedł po schodach i zadzwonił. Za matową szybą pojawiła się rozmazana postać i drzwi się otworzyły. Przywitała go wychudzona dziewczyna ubrana w brudny fartuch i kapcie. Miała tłuste, postrzępione, jasne włosy, które wyglądały jak kosmyki wodorostów, i szeroką jak lalka twarz, oczy zaś grubo podkreślone czarną kredką. Stała w milczeniu.

*Szukam pokoju zaczął Ronnie. \* Wiem, że wynajmujecie pokoje.*

W środku zobaczył telefon na kartę i poczuł ostry zapach starego, wilgotnego dywanu. Słyszał, że telewizor jest włączony i ktoś ogląda wiadomości.

Dziewczyna coś powiedziała, ale nie zrozumiał. Nie był pewien, ale chyba mówiła po rosyjsku.

\* Znasz angielski? \* zapytał.

Gestem ręki zasugerowała, że powinien poczekać, a potem zniknęła wewnątrz domu.

Po chwili pojawił się ogolony na łyso mężczyzna około pięćdziesiątki. Miał na sobie białą rubaszkę, brudne, czarne, rozciągnięte bawełniane spodnie na szelkach i adidas. Wpatrywał się w Ronniego, jakby był głównym zapychającym ubikację.

\* Pokój? \* spytał gardłowym głosem.

\* Borys na szczęście Ronnie przypomniał sobie imię jego niedawno poznanego kumpla poradził mi, żebym tu przyszedł.

\* Na jak długo?

\* Na kilka dni. \* Ronnie wzruszył ramionami.

Mężczyzna otaksował go spojrzeniem. Może chciał się upewnić, czy nie ma do czynienia z terrorystą.

\* Trzydzieści dolarów za dzień, pasuje?

\* Oczywiście. Ale ponury dzień, nie?

\* Fatalny dzień. Najgorszy. Cały świat ocipiał. Płacisz od dwunastej do dwunastej, jasne? Z góry. Jeśli zostaniesz po południu, płacisz za kolejny dzień.

\* Rozumiem.

\* Gotówka?

\* Jasna sprawa.

Dom był większy, niż wydawało się z zewnątrz. Ronnie szedł korytarzem za mężczyzną. Ściany były prawie brązowe od dymu papierosowego; wisiało na nich kilka tanich landszaftów. Mężczyzna na chwilę zniknął w jakimś pokoju, a potem wyłonił się z kluczem na drewnianym uchwycie. Otworzył drzwi do pomieszczenia naprzeciwno.

Ronnie wszedł i od razu uderzył go zatechły smród papierosów. Pokój miał małe okno, które wychodziło wprost na sąsiedni dom. Stało tam podwójne łóżko okryte różową kapą z frendzelkami, tu i ówdzie przypaloną papierosami. W rogu była umywalka i mała kabina prysznicowa z poszarpaną żółtą zasłonką. Zdezelowany fotel, komoda, tanie drewniane stoliczki, stary telewizor z historycznym pilotem oraz dywan w kolorze grochówki dopełniały całości.

\* Jest idealny \* oznajmił Ronnie. Rzeczywiście, wtedy był dla niego doskonały.

Gospodarz założył ręce na piersi i patrzył na niego wyczekująco. Ronnie



wyciągnął

portfel i zapłacił za trzy dni. Otrzymał klucz i wtedy mężczyzna wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Ronnie sprawdził pokój. W kabinie prysznicowej zobaczył zużyte do połowy mydło, które pokryte było czymś, co przypominało brązowe włosy łonowe. Obraz telewizora był rozmyty. Zapalił wszystkie lampy, zasłonił zasłony, usadowił się na łóżku, które ugięło się pod jego ciężarem i zaskrzypiało. Uśmiechnął się. Da radę przez najbliższych kilka dni. Nie musi się martwić.

Zdjął aktówkę z góry walizki. Wyciągnął dokumenty tygodniami przygotowywane dla Donalda Hatcooka. Na końcu dotarł do plastikowego portfela. Wyciągnął

czerwony skoroszyt, którego nie zostawiłby ani w pokoju hotelowym, ani nawet w sejfie. Otworzył go.

Twarz mu pojaśniała.

\* Witam, moje śliczności \* powiedział.

Październik 2007

Czy to źle lubić guinnessa? \* zapytał Glenn Branson.

\* A czyja powiedziałem, że źle?

Roy Grace postawił kufel piwa, szklanekę whisky i paczkę czipsów o smaku bekonu na stole, a potem usiadł naprzeciwko kolegi. Knajpa Black Lion w poniedziałek o ósmej wieczorem była prawie pusta. Mimo to usiedli w odległym kącie, tak by nikt ich nie podsłuchał. Poczucie prywatności zapewniała im również dość głośna muzyka.

*Patrzysz tak na mnie za każdym razem, gdy zamawiam piwo* powiedział Branson \* jakbym popełniał jakąś zbrodnię albo coś w tym stylu.

Dzięki żonie z pewnego siebie mężczyzny stajesz się paranoikiem, pomyślał Grace, ale tego nie powiedział. Zamiast tego zacytował: \* „Człowieka, który się boi, wszystko denerwuje”.

*Kto to powiedział?* Branson zmarszczył brwi.

\* Sofokles.

\* W jakim filmie?

Grace uśmiechnął się i pokiwał głową.

\* Na Boga, ty ignorancie! Nie znasz już niczego, co nie pochodzi z filmów?

\* Dzięki, Einsteinie. Wiesz, jak kopnąć leżącego.

*Na zdrowie!* Grace uniósł szkło.

Branson podniósł kufel bez entuzjazmu i stuknęli się.

*Sofokles był greckim filozofem* wyjaśnił Grace po wypiciu kilku łyków.

\* Nie żyje?

\* Zmarł w czterysta szóstym roku przed naszą erą.

\* No to było, zanim się urodziłem, stary. Ale ty pewnie byłeś na jego pogrzebie?

\* Bardzo śmieszne.

\* Pamiętam, gdy mieszkałem u ciebie, to filozoficzne książki wały się wszędzie.

Grace ponownie rozkoszował się smakiem whisky i uśmiechał się.

\* Przeszkadza ci, że ludzie chcą się uczyć?

\* Chyba dorównać komuś, no nie?

Grace się zaczerwienił. Branson miał rację. Cleo zapisała się na kurs filozofii na uniwersytecie, a on usilnie próbował się znaleźć w tym temacie.

\* Uderzyłem w czuły punkt, prawda? \* Branson nieznacznie się uśmiechnął.

Grace milczał.

Słuchali piosenki w wykonaniu zespołu Rhinestone Cowboy. Grace bezgłośnie wymawiał słowa piosenki i kiwał głową w rytm muzyki.

\* Chryste, człowieku! Nie mów mi, że jesteś jak Glen Campbell.

\* Chyba jestem.

\* Im dłużej cię znam, tym częściej myślę, że jesteś strasznym smutasem.

\* On robi prawdziwą muzykę. Lepszą niż ten twój chałowaty rap.

Branson poklepał się po piersiach.

\* To moja muza, ziom. Tak się teraz zapodaje.

\* Ari też tak uważa?

Branson wyglądał, jakby nagle powietrze z niego uleciało. Wpatrywał się w kufel piwa.

\* Kiedyś tak, ale teraz to już nie wiem, co lubi.

Grace pił whisky, czując, jak ciepło powoli rozchodzi się po jego ciele.

*Mów, stary. Chcesz pogadać o niej?* Rozerwał paczkę czipsów, wyciągnął kilka sztuk i wpakował sobie do ust. Mlaskając, zaczął rozmowę.

\* Wyglądasz jak kupa nieszczęścia, ale wiesz o tym, prawda? Od dwóch miesięcy, odkąd wróciłeś do niej, wyglądasz okropnie. Myślałem, że się poprawiło, bo kupiłeś jej tego konia, a ona była zadowolona. Pomyliłem się?

Pożarł kolejną porcję czipsów.

Branson pił piwo.

Pub pachniał nieskazitelnym wyczyszczonym dywanem. Grace tęsknił za zapachem papierosów, smrodem cygar i dymem fajek. Według niego puby straciły swój urok, odkąd wprowadzono zakaz palenia. Teraz miał ochotę zapalić.

Cleo nie zaprosiła go na wieczór, ponieważ musiała napisać pracę na kurs. Szykował

się, że zamówi coś do jedzenia albo zje później jakąś mrożonkę w domu.

Gotowanie nigdy nie było jego mocną stroną. Zdał sobie sprawę, że uzależnił się od jej kuchni. Przez ostatnie kilka miesięcy gotowała mu niezwykle zdrowe posiłki, na przykład pieczoną albo przyrządzoną na parze

rybę z warzywami. Nie tolerowała fast foodów, którymi przeważnie żywili się policjanci. Rhinestone Cowboy przestali grać, a oni siedzieli w milczeniu.

\* Wiesz, że się nie kochamy? \* Glenn przerwał ciszę.

\* Od czasu, gdy wróciłeś do niej?

\* Zgadza się.

\* Ani razu?

\* Ani razu. Chce mnie przez to ukarać.

\* Za co?

Branson wysączył ostatni łyk, spojrzął na pustą szklanekę i wstał.

\* Zamówić ci jeszcze?

\* Tylko jedną kolejkę \* powiedział Grace, mając na względzie, że musi prowadzić.

\* Jak zwykle whisky z odrobiną wody?

\* Więc jednak nie jest z tobą tak całkiem źle.

\* Wal się.

Grace wrócił w myślach do swojej pracy. Rozmyślał o spotkaniu, które ledwo co zakończyli. Joanna Wilson. Ronnie Wilson. Znał Ronniego od wielu lat. W Brighton był jednym ze znanych łobuzów. Więc Ronnie zginął 11 września? To byłby niezwykle przypadek. Czy Ronnie zabił swoją żonę? Jego zespół rozpracowuje tę zagadkę. Od jutra zaczną sprawdzać życiorysy Ronniego i jego żony.

Branson wrócił i usiadł.

\* Co miałeś na myśli, kiedy powiedziałaś, że Ari chce cię ukarać?

\* Kiedy się poznaliśmy, bzykaliśmy się przez cały dzień. Budziliśmy się rano i od razu było bzykanko. Wychodziliśmy na miasto, na przykład na lody i wygłupialiśmy się. A wieczorem znowu bzykanko. Ale to nie był prawdziwy świat *sięgnął po piwo i wypił prawie pół kufla* teraz wiem, że to nie mogło trwać wiecznie.

*To był prawdziwy świat* odezwał się Roy \* ale prawdziwy świat też się zmienia.

Moja mama mówiła, że świat zmienia się jak rozdziały w książce. Różne rzeczy dzieją się w różnym czasie. Życie się zmienia nieustannie. Wiesz, jaka jest jedna z tajemnic szczęśliwych małżeństw?

\* Jaka?

\* Nie być policjantem.

\* Zabawne. Co za ironia. Przecież ona tego właśnie chciała ode mnie. \*

Potrząsnął

głową. \* Jednego nie rozumiem. Czemu ona jest taka wściekła na mnie przez cały czas? Wiesz, co powiedziała dziś rano?

\* Mów.

\* Powiedziała, że celowo ją budzę, dasz wiarę? Kiedy idę się wysikać w nocy, to specjalnie robię hałas. Powiedziała, że gdybym kochał ją naprawdę, to sikałbym na boki muszli.

Grace przelał nowego drinka do używanej szklanki.

\* Mówisz poważnie?

\* Chłopie, jak najbardziej. Wszystko robię źle. Powiedziała mi, że potrzebuje wolności, a ja spieprzyłem karierę jako policjant. Musi wychodzić wieczorami. Nie jest przygotowana, żeby zajmować się dziećmi, bo to są moje obowiązki. Jeśli chcę pracować do późna, to mam załatwić opiekunkę.

Grace pił drinka i zastanawiał się, czy przypadkiem Ari nie ma romansu. Nie powiedział tego, ponieważ nie chciał jeszcze bardziej zdenerwować kumpla.

*Nie możesz tak żyć* stwierdził tylko.

Branson sięgnął do swojej paczki chipsów i wyciągnął następną garść.

*Kocham dzieci* powiedział \* nie mogę wpakować się w jakiś gówniany rozwód, a potem widywać je tylko przez kilka godzin raz w miesiącu.

\* Jak długo to trwa?

\* Odkąd nabiła sobie głowę tymi pierdołami na temat samodoskonalenia.

W

poniedziałki wieczorem chodzi na zajęcia z literatury angielskiej, w czwartki na lekcje rysowania. A między tym zalicza inne gówna. Nie rozumiem jej. Już za nią nie nadążam.

Siedzieli w milczeniu. Branson się uśmiechnął.

\* Tak czy owak, sam muszę sobie poradzić z tym łajnem, no nie?

*Chyba tak* odparł Roy, choć wiedział, że jeśli Ari znów go wyrzuci, będzie musiał

ponownie przyjąć lokatora z piekła rodem. Glenn mieszkał z nim przez ostatnie kilka miesięcy i mieszkanie było w gorszym stanie, niż gdyby przyszło mu mieszkać z naćpanym słoniem. \* Czuję, że obaj siedzimy w tym po uszy.

Tego wieczoru Glenn uśmiechnął się szczerze pierwszy raz. Ostatecznie rozdarł

następną paczkę czipsów, zajrzał do środka z lekkim rozczarowaniem, jakby oczekiwał, że znajdzie tam nie wiadomo co.

\* Więc, co słyhać u Cassiana Pewe'a? Sorki, u nadinspektora Cassiana Pewe'a?

Grace wzdrygnął się.

\* Wpieprza się w twoje sprawy?

\* Sądzę, że taki miał plan. Ale przywołaliśmy go do porządku. \* Grace roześmiał się.

Październik 2007

Cassian Pewe ponownie spróbował herbaty. Skrzywił się, gdy gorący płyn podrażnił

mu nerwy. Poprzedniego wieczoru zasnął ze specjalnym żelem wybielającym na zębach, więc teraz były one szczególnie wyczułone na taką temperaturę. Odstawił

filiżankę na spodek i odezwał się do rodziców Sandy.

\* Chcę, żeby pewna rzecz była wyjaśniona. Nadinspektor Grace jest bardzo szanowanym policjantem. A dla mnie odkrycie prawdy o zniknięciu państwa córki jest sprawą pierwszorzędnej wagi.

\* Musimy ją poznać \* powiedział Derek Balkwill.

\* To jedyna rzecz, która ma dla nas znaczenie. \* Jego żona pokiwała głową.

\* To dobrze *powiedział* upewnić się, że wszyscy myślimy tak samo \* uśmiechnął

się do nich \* *ale kontynuował* nim zaczniemy obrzucać kogoś oszczerstwami, muszę przyznać, że jest kilku starszych policjantów, którzy uważają, że prawidłowe śledztwo nigdy nie zostało przeprowadzone. To jeden z głównych powodów mojej obecności tutaj.

Zrobił przerwę. Z satysfakcją obserwował pełne aprobaty potakiwania głowami.

\* Czytałem akta sprawy przez cały dzień i napotkałem wiele niewyjaśnionych zagadek. Na państwa miejscu nie czułbym się usatysfakcjonowany z dotychczasowej pracy policji.

Oboje znowu milcząco przytaknęli.

\* Naprawdę nie rozumiem, dlaczego Roy mógł prowadzić śledztwo samodzielnie, skoro był osobiście zaangażowany.

*Z tego, co wiemy, zaraz po zniknięciu córki został powołany zespół śledczych*

powiedziała Margot Balkwill.

*A kto zdawał państwu relacje z przebiegu śledztwa?* dopytywał się Pewe.

*Cóż* powiedziała \* to był Roy. Pewe rozłożył ręce.

\* W tym problem. Zawsze gdy znika żona, mąż jest pierwszym podejrzanym, dopóki nie zostanie oczyszczony z zarzutów. Z tego, co przeczytałem, to wasz zięć nigdy nie znalazł się w gronie podejrzanych.

*Czy obecnie uważa go pan za podejrzanego?* zapytał Derek.

Sięgnął po filiżankę i ponownie dostrzegł dreszcz przeszywający jego rozmówców.

Zastanawiał się, czy mężczyzna był aż tak nerwowy, czy może dopadała go choroba Parkinsona.

*Na tym etapie nie mogę tak powiedzieć* Pewe uśmiechnął się z wyższością \* ale oczywiście zamierzam podjąć odpowiednie kroki, aby odsunąć podejrzenia od niego, czego dotąd nie zrobiono.

\* To dobrze. \* Margot Balkwill pokiwała głową. Jej mąż również potaknął.

\* Czy mogę zadać państwu osobiste pytanie? Czy kiedykolwiek mieliście wrażenie, że Roy Grace mógł coś ukrywać przed wami?

Nastąpiła długa cisza. Margot zmarszczyła brwi, zacisnęła usta, a potem ręce, i ponownie je otworzyła. Pewe dostrzegł szorstkie dłonie ogrodniczki. Jej mąż milczał

i siedział przygarbiony, jakby nagle został czymś przytłoczony.

*Sądzę, że powinien pan wiedzieć* zaczęła Margot Balkwill *że między nami nie ma żadnych animozji* mówiła jak wychowawczyni, która zdaje relację rodzicowi.

*Żadnych* stanowczo odezwał się Derek.

*Ale* dodała Margot \* jest coś, czego się nie odgadnie... To ludzka natura. W końcu jak dobrze można poznać drugiego człowieka? Zgadza się pan, detektywie?

\* Całkowicie \* niepewnie potwierdził Pewe.

W ciszy Margot Balkwill mieszała herbatę. Pewe zapamiętał, że nie nasypała sobie cukru, mimo to nadal mieszała.

\* Czy spostrzeżliście kiedyś coś niepokojącego w sposobie traktowania przez zięcia państwa córki? *zapytał.* Czy oni byli dobrym małżeństwem?

*Myślę, że nie jest łatwo komukolwiek być żoną policjanta. Zwłaszcza tak ambitnego.* Popatrzyła na męża, który wzdrygnął się z aprobatą. \* Musiała radzić sobie z samotnością. Była rozczarowana, gdy nagle wzywano go, kiedy mieli jakieś plany.

\* Czy pracowała zawodowo?



\* Przez kilka lat pracowała w biurze podróży w Brighton. Chcieli mieć dziecko, ale nic z tego nie wychodziło. Lekarz powiedział jej, że powinna mieć mniej stresującą pracę. Więc się zwolniła i pracowała na pół etatu jako recepcjonistka w szpitalu. Właśnie miała zmienić pracę, gdy... \* Jej głos się załamał.

*Zniknęła* dopowiedział Pewe. Pokiwała głową, łzy wypełniły jej oczy. *Było nam ciężko* powiedział Derek. \* Zwłaszcza Margot. Ona i Sandy były sobie bliskie.

\* Oczywiście. *Pewe wyciągnął notes i zrobił kilka notatek.* Jak długo starali się o dziecko?

*Kilka lat* odpowiedziała Margot zduszonym głosem.

*Rozumiem, że to była ciężka próba dla ich małżeństwa* powiedział Pewe.

*W małżeństwie wszystko jest trudne* rzekł filozoficznie Derek. Zapadła cisza.

*Sugeruje pan, że mogły być między nimi jakieś problemy, o których nie wiedzieliśmy?* zapytała Margot, pijąc herbatę.

\* Nie, na tym etapie nie spekulowałbym. Po prostu, jako detektyw z dziewiętnastoletnim doświadczeniem w najlepszej policyjnej jednostce, muszę ustalić podstawowe elementy śledztwa zniknięcia państwa córki. To wszystko.

\* My nie podejrzewamy Roya *powiedziała Margot Balkwill* więc proszę nie wyciągać niewłaściwych wniosków.

\* Nie zrobię tego. Być może powinienem ustalić pewną rzecz na początku. Moje śledztwo to nie polowanie na czarownice. Chodzi jedynie o zamknięcie sprawy.

Wtedy i państwo moglibyście zamknąć pewien etap życia.

\* To zależy od tego, czy nasza córka żyje, czy nie.

*Zgadza się* powiedział Cassian Pewe. Wypił herbatę i językiem przejechał po zębach. Wyciągnął wizytówkę i położył na stole. \* Jeśli coś się państwu przypomni, proszę dzwonić do mnie o każdej porze.

\* Dziękuję *powiedziała Margot Balkwill.* Jest pan dobrym człowiekiem. Znam się na ludziach.

Grymas uśmiechu wykrzywił twarz Pewe'a.

Październik 2007

Abby mrugnęła. Wybudziła się z męczącego snu i usłyszała burczący dźwięk. Bolał

ją brzuch. Twarz miała sparaliżowaną. Było jej zimno i drżała. Patrzyła na beżowe kafelki na ścianach. Przez chwilę zastanawiała się, czy jest w samolocie, czy może w kajucie statku.

Potem powoli zaczęła przypominać sobie, że jest źle. Nie mogła się poruszyć. Czuła zapach plastiku, tynku, kafelków i środków dezynfekujących.

Zaczęła zdawać sobie sprawę z sytuacji. Przeszywający dreszcz sprawił, że wszystko sobie przypomniała.

Trzęsła się ze strachu. Próbowwała podnieść prawą rękę i dotknąć twarzy, ale przekonała się, że nie może ruszyć ręką ani otworzyć ust.

Czuła ogromne obciążenie na plecach, ponieważ coś było przyklejone do jej kręgosłupa. Uświadomiła sobie, że to spłuczka. Siedziała na sedesie. Nie widziała niczego poza widokiem rozpościerającym się tuż przed nią. By coś dostrzec, musiała wysilać wzrok, spoglądając w bok. Gdy jej się to udało, zdała sobie sprawę, że jest naga. Jedynie szara taśma była obwiązana dookoła jej brzucha, piersi, nadgarstków, kostek u nóg, ust, a przede wszystkim czoła.

Znajdowała się w łazience dla gości. Wpatrywała się wabinę prysznicową, w nierozpakowane drogie mydła leżące na talerzyku, kilka wieszaków z ręcznikami i przepiękne kafelki w romańskie wzory oraz cudowne wykończenia. Po prawej stronie były drzwi, które prowadziły do maleńkiego składziku, gdzie była wepchnięta pralka i suszarka. Drugie wiodły na schody przeciwpożarowe. Główne drzwi do przedpokoju były lekko uchylone.

Zaczęła drzeć, prawie zwymiotowała. Nie wiedziała, jak długo była uwięziona w tym małym pomieszczeniu. Usiłowała zmienić pozycję, ale więzy były zbyt silne.

Czy on sobie poszedł? Zabrał wszystko i tak ją zostawił?

Bolał ją brzuch. Była tak mocno związana taśmą, że nie czuła niektórych części ciała, jedynie mrowienie prawej ręki. Twarde siedzenie odciskało się

na pośladkach i udach. Starła się przypomnieć sobie, co było za toaletą. Może coś, czym mogłaby przeciąć taśmę? Ale nie potrafiła sobie przypomnieć. Światło było włączone, dzięki czemu wentylator też pracował. Słyszała równomierny, posępny warkot. Strach przerodził się w rozpacz. On pewnie sobie poszedł. Po tym wszystkim, co przeżyła, teraz znalazła się w takiej sytuacji. Jak mogła do tego dopuścić? Jak mogła być taka głupia? Jej desperacja przeszła w gniew. A potem znowu w strach, gdy zobaczyła przesuający się cień.

11 września 2001

Lorraine usiadła na sofie w kształcie litery L. Odkręciła miniaturową butelkę wódki i wlała jej zawartość do szklanki z lodem i plastrem cytryny. Jej siostra dopiero co przyniosła siatkę pełną miniaturowych alkoholi. Mo miała zawsze ich niekończące się zapasy. Lorraine była pewna, że podwędzała je z pracy.

Była dziewiąta wieczorem. Na dworze się ściemniało. Wiadomości były włączone.

Lorraine oglądała je przez cały dzień i płakała. Ciągłe były powtarzane te same przerażające zdjęcia i oświadczenia polityków. Obecnie występowała grupa ludzi w pakistańskim studiu. Był tam lekarz, informatyk, prawnik, krzykliwa reżyserka filmów dokumentalnych, szef firmy. Lorraine nie mogła uwierzyć słowom, które usłyszała. Wszyscy twierdzili, że dzisiaj wydarzyło się „coś dobrego”\*

Lorraine pochylała się, żeby zgasić papierosa. Popielniczka przesypywała się od niedopałków. Mo robiła jakąś sałatkę w kuchni i podgrzewała makaron.

Skonsternowana Lorraine słuchała tych ludzi. Robili wrażenie inteligentnych, ktoś się śmiał, ktoś inny uśmiechał.

\* Nadszedł czas, by Stany Zjednoczone przestały napadać na resztę świata. Nie chcemy ich systemu wartości. Dzisiaj odebrały stosowną lekcję. Dzisiaj im się dostało!

Dokumentalistka pokiwała głową i z werwą rozwinęła tę myśl.

Lorraine spoglądała na słuchawkę telefonu. Ronnie nie dzwonił. Tysiące ludzi zginęło. Czy ludzie, którzy wyskakiwali z drapaczy chmur, byli winni? Im się dostało.

Chwyciła za słuchawkę i przytuliła ją do mokrych policzków. Ronnie, kochanie, zadzwoń.

Mo zawsze była opiekuńcza wobec Lorraine. Choć była starsza tylko o trzy lata, traktowała ją tak, jakby dzieliła je różnica pokoleń.

Bardzo różniły się od siebie. Nie tylko ze względu na karnację. Mo miała prawie czarną skórę, poza tym miała zupełnie odmienne podejście do życia i

inaczej pojmowała szczęście. Mo miała kształtną, okrągłą, zmysłową figurę. A ona była delikatna i co ją spotkało? Pięć lat upokorzenia, porażająco kosztownego i ostatecznie nieudanego leczenia w celu zapłodnienia in vitro. Mo mogłaby zająć w ciążę, gdyby tylko pomyślała o fiucie swojego męża.

Ma trójkę dzieci, które urodziła jedno po drugim, wychowuje je, by wyrosły na porządnych ludzi. Żyła szczęśliwie ze swoim cichym mężem, skromnym rysownikiem, w ich małym, przytulnym domku. Czasem Lorraine chciała być tak zadowolona jak ona. A nie wiecznie tęsknić, pożądać lepszego życia.

*Lori!* Mo krzyknęła podniecona.

Wbiegła do pokoju, Lorraine poczuła iskierkę nadziei. Może dostrzegła Ronniego w wiadomościach?

Jednakże twarz Mo była stężała w napięciu.

\* Szybko! Ktoś kradnie ci wóz!

Lorraine podniosła się z sofy, pobiegła do drzwi frontowych i otworzyła je. Przed domem, na podjeździe stała ciężarówka. Miała włączone światła awaryjne. Jakies dwa ponure typy wciągały jej bmw na ciężarówkę.

\* Hej! *krzyknęła i wściekła podbiegła do nich* co wy, do cholery, robicie?

Oni dalej podnosili samochód, który gładko przesuwiał się po pochylni. Gdy Lorraine się pojawiła, wyższy z mężczyzn wyciągnął plik papierów z kieszeni.

\* Czy pani nazywa się Wilson?

Nagle jej pewność siebie zamieniła się w niepokój.

\* Tak.

\* Czy Ronnie Wilson jest pani mężem?

\* Tak. \* Jej gniew powracał.

Pokazał jej dokumenty. Potem przybrał inny ton, prawie ją przeproszał.

\* Reprezentuję Inter\*Alliance Autofinance. Obawiam się, że musimy zabrać ten samochód.

\* Dlaczego?

\* Od sześciu miesięcy nie dokonano za niego wpłat. Pan Wilson nie wywiązał się z umowy.

\* Zaszła jakaś pomyłka.

\* Nie sędzę. Pani mąż nie odpowiadał na ponaglenia, które wysyłaliśmy. Przy kupnie na raty firma ma prawo zająć samochód.

Lorraine wybuchła płaczem, gdy tylne koła niebieskiego bmw znikły na

platformie.

\* Proszę, nie. Oglądaliście dzisiejsze wiadomości? Mój mąż tam jest. On jest w Nowym Jorku. Usiłuję się do niego dodzwonić. Jestem pewna, że możemy wyjaśnić tę sytuację.

\* Powinien jutro porozmawiać z kimś w firmie. \* Poczła sympatię w głosie mężczyzny, ale nadal był stanowczy.

\* Proszę, zostawcie go choć na dziś wieczór.

*Dam pani numer telefonu, proszę zadzwonić jutro rano* powiedział.

\* Ale jak ja sobie poradzę bez samochodu? Poza tym pełno w nim moich rzeczy.

Płyty CD, kwity parkingowe, okulary przeciwsłoneczne.

\* Proszę je wziąć. \* Gestem ręki wskazał samochód.

\* Dzięki *odpowiedziała* stokrotne dzięki.

Październik 2007

Abby trzęsa się w przerażeniu na widok skradającego się cienia. Słyszała szelest papieru i pisk adidasów na błyszczącej podłodze.

Wtedy pojawił się Ricky.

Stanął w drzwiach. Niedbale oparł się o ścianę. Miał kurtkę motocyklisty, brudną białą koszulkę, kilkudniowy zarost i tłuste, ulizane włosy, jakby nieustannie nosił

kask. Gdy widziała go ostatni raz, wyglądał inaczej. Nie był już tym beztrojskim kolesiem, tylko jakąś udreńczoną istotą. Postarzał się w ciągu tych kilku miesięcy.

Schudł. Miał zapadniętą twarz i okropne worki pod oczami. Obrzydliwie cuchnął.

Boże, jak ona mogła się w nim zakochać?

Uśmiechnął się, jakby czytał w jej myślach.

Wiedziała, że to nie był szczery uśmiech. To nie był uśmiech Ricky'ego. Po prostu przybrał jakąś maskę. Spojrzała na jego zegarek. Była 20.50. Czyżby była nieprzytomna przez cztery godziny?

Zobaczyła kopertę z folią bąbelkową, którą Ricky odwrócił tak, że wysypała się zawartość. Na podłogę wypadły piątkowe numery gazet „Times” i „Guardian”.

*Dobrze cię widzieć, Abby* powiedział ponurym tonem. Chciała poprosić, żeby ją rozwiązał, ale wydała z siebie jedynie stłumiony bulgot.

*Cieszę się, że też tak uważasz! Ciekawi mnie tylko, dlaczego chciałaś przesłać komuś przesyłką kurierską stare gazety?* Popatrzył na adres. Laura Jackson, 6

Stable Cottages, Rodmell. \* Stara znajoma? Ale czemu chciałaś posłać jej starą prasę? Nie widzę w tym żadnego sensu. Chyba że czegoś nie wiem, oczywiście. A nie wiem czegoś? Może do Rodmell nie dostarczają gazet?

Patrzyła na niego.

Rozerwał boki koperty. Obejrzał ją od środka. Potem delikatnie oderwał taśmę. Gdy skończył i ostatni strzępek spadł na podłogę, pokiwał głową.

\* Czytałem te gazety. Nic nie znalazłem. Ale one nie mają teraz aż takiego znaczenia, prawda?

Abby intensywnie myślała. Wiedziała, czego on chce. Żeby wyciągnąć od niej informacje, musiałby zdjąć jej knebel. Desperacko usiłowała coś wymyślić. Nic nie przychodziło jej do głowy.

Ricky zniknął na chwilę. Potem wrócił z jej niebieską walizką i rzucił ją na środek podłogi. Klęknął i otworzył.

*Nieźle spakowana* zauważył, gapiąc się na zawartość. *Schludnie i czysto* mówił zawziętym głosem \* przypuszczam, że masz nieźle doświadczenie w pakowaniu się i uciekaniu.

Spojrzał na nią. Wtedy dostrzegła coś nowego w jego szarych oczach, czego nigdy przedtem nie widziała. Zobaczyła „jądro ciemności”. Jakby jego dusza umarła.

Zaczął ją rozpakowywać. Najpierw sięgnął po dziergany sweter, który był ułożony na kosmetyczce. Pośpiesznie go rozwinął. Dokładnie sprawdził szwy, a potem zadowolony wrzucił go za siebie.

Okropnie chciało jej się sikać. Ale zacisnęła zęby i postanowiła, że nie upokorzy się przed nim. Nie zobaczy jej strachu, nie da mu tej satysfakcji. Trzymała się i gapiła na niego.

Ricky się nie śpieszył. Był niewiarygodnie, wręcz boleśnie powolny. Jakby czuł jej potrzebę.

Na jego zegarku zobaczyła, że minęło prawie dwadzieścia minut od momentu, gdy zaczął wywalać jej rzeczy z walizki. Ostatnia była suszarka, którą rzucił w stronę korytarza tak, że uderzyła o listwę przypodłogową.

Cały czas usiłowała się poruszyć. Bez rezultatu. Okropnie bolały ją nadgarstki i kostki u nóg. Tyłek był zdrętwiały. Zaciskała kolana, żeby się nie posikać.

Bez słowa odrzucił walizkę na bok i wyszedł na korytarz. Strasznie chciało się jej pić, ale to był najmniej ważny problem. Musiała się uwolnić. Ale jak?

Zsikała się. Przynajmniej to mogła zrobić, bo tam jej nie zakneblował. Poczowała się lepiej. Była wyczerpana. Czuła pulsowanie w głowie, ale przynajmniej mogła myśleć jaśniej.

Gdyby tylko uwolnił ją od tej taśmy, wtedy mogłaby z nim porozmawiać, przekonać go.

Może nawet dogadać się z nim.

Ricky był biznesmenem.

Wszystko zależało od tego, jak ostro chciał grać.

Wracał. Trzymał szklaneczkę whisky z lodem i papierosa. Słodki zapach



drażnił.

Oddałyby wszystko, gdyby tylko mogła się raz zaciągnąć i napić czegokolwiek.

Kostki lodu grzechotały, a Ricky poruszył nozdrzami. Podeszedł do przodu i spojrzał

za nią. Usłyszała szum spłuczki i poczuła zimne krople wody na pupie.

\* Ty krowo *zaczęła* nie wiesz, że się spuszcza wodę w toalecie? \*

Strzepnął popiół

na podłogę. \* Niezłe gniazdko tu sobie urządziłaś. Prawie nic nie widać z ulicy, co? \*

Zrobił pauzę i zastanawiał się. \* Choć z drugiej strony mój van nie wygląda jak większość tutejszych samochodów.

Te słowa spadły na nią jak cios. Van. Ten stary, biały van? Ten, który nigdzie nie odjeżdżał? Była aż tak głupia, że nie zwróciła na niego uwagi?

Błagalnie spojrzała na niego. Ale on tylko patrzył kpiąco, pił więcej whisky, palił

papierosy i gasił je na podłodze.

\* Masz rację, Abby, musimy pogawędzić. To będzie prosta rozmowa. Zadam ci kilka pytań, a ty skierujesz oczy w prawo, jeżeli odpowiedź będzie brzmiała „tak”, w lewo, jeżeli „nie”. Zrozumiałaś wszystko?

Chciała pokiwać głową, ale nie potrafiła. Starła się przekrzywić ją na bok.

\* Nie, Abby, chyba mnie nie słuchałaś. Powiedziałem, że masz poruszyć oczami, a nie głową. Pokaż, że rozumiałaś.

Po chwili wahania popatrzyła w prawo.

*Zuch dziewczynka!* powiedział, jakby nagradzał domowe zwierzątko. \* Dobra mała!

Odstawił szklankę, wyciągnął papierosa i włożył go do ust. Ponownie podniósł

szklankę i poruszył kostkami lodu.

\* Przyzwoita whisky *powiedział* ma dobry rodzaj słodku. Widać, że droga. Ale ty chyba nie masz problemu z kasą, prawda?

Klęknął, przybliżył się do niej, wpatrywał się w jej oczy.

\* Co? Forsa? Nie masz z tym problemu?

Skostniała gapiła się na niego, dygotała z zimna. Zaciągnął się i wypuścił dym prosto w jej twarz. Zapiekły ją oczy.

\* Pieniądze *powtórzył jeszcze raz* nie są dla ciebie problemem? \* Potem wstał.

\* Chodzi o to, Abby, że niewielu ludzi wie, że tu jesteś. To znaczy, że nikt nie będzie tęsknił za tobą. Nikt nie będzie cię szukał. *Pił kolejną porcję whisky.* Przyjemna łazienka *powiedział.* Nie żałowałaś pieniędzy. Sądzę, że dobrze będziesz się tu czuła. Jestem uczciwym człowiekiem!

Znów bawił się lodem, wpatrywał w szklankę. Przez chwilę Abby miała wrażenie, że dogada się z nim.

\* Moja oferta jest następująca. Albo cię okaleczę, a potem ty mi wszystko oddasz.

Albo po prostu oddasz mi wszystko \* uśmiechnął się \* to chyba jest zrozumiałe samo przez się.

Powoli się zaciągnął, jakby bawiło go obserwowanie jej i fakt, że pewnie desperacko wybierze to drugie wyjście. Pochylił głowę, a papierosowy dym się uniósł.

\* Powiem ci coś *odezwał się.* Pozwolę ci tu spać. Wyszedł i zamknął drzwi.

Październik 2007

Kiedy Roy Grace zasiadł do pracy, wzywał wszystkich świętych na pomoc, ponieważ miał okropnego kaca. W ustach czuł smak trocin, które wykladała się papugom w klatce. Miał wrażenie, jakby piła łańcuchowa piłowała mu zęby na kształt stalowych kolców.

Jedynym pocieszeniem był widok Glenna Bransona siedzącego po przekątnej, który czuł się podobnie. Do diabła, co im wczoraj strzeliło do głowy?

Poszli do knajpy Black Lion tylko na szybkiego drinka, bo Glenn chciał pogadać o swoim małżeństwie. Wytoczyli się stamtąd o północy. Ileż to oni wypili whisky, piw, wina z Rioja? Grace nawet nie chciał o tym myśleć. Jak przez mgłę pamiętał jazdę taksówką do domu. Glenn jechał razem z nim, gdyż żona zabroniła mu pokazywać się w domu w takim stanie.

W domu wypili kolejną porcję whisky. Glenn posortował kompaktki Roya i jak zwykle je skrytykował.

Cały ranek Glenn zrzędził w pokoju gościnnym, że boli go głowa i że poważnie myśli, by skończyć z tym wszystkim.

*Jest ósma trzydzieści, wtorek dwudziestego trzeciego października* przeczytał.

Jego notatnik i streszczenie odprawy wydrukowane przez sekretarkę pół godziny wcześniej leżały tuż przed nim. Obok stał kubek kawy. Chyba przesadził z ilością połkniętych tabletek paracetamolu, który notabene nie działał. Żuł gumę, żeby zamaskować zapach alkoholu. Wczoraj w nocy zostawił samochód przed pubem.

Postanowił pójść po niego w południe. Spacer mu się przyda.

Zaczynał się poważnie zastanawiać nad brakiem kontroli picia. Nie pocieszała go myśl, że Cleo pije alkohol jak smok. Sądził, że to pomaga jej radzić sobie z okropnościami pracy. Sandy lubiła wypić kieliszek wina lub dwa w czasie weekendów, piwo w upalne dni. I to wszystko. Cleo z kolei piła wino codziennie *i nie jest tu mowa o jednym kieliszku* z wyjątkiem tych dni, kiedy była pod telefonem. Często wypijali butelkę wina, whisky, a czasem dobrze im szło i wypijali dwie butelki.

Podczas ostatnich badań lekarz zapytał go, ile jednostek alkoholu pije

tygodniowo.

Grace skłamał. Powiedział, że siedemnaście, ponieważ przypuszczał, iż dwadzieścia to odpowiednia ilość dla mężczyzny.

Lekarz zmarszczył brwi i poradził mu, aby zmniejszył ilość do piętnastu. Później Roy znalazł w Internecie informację, że przeciętnie może pozwolić sobie na czterdzieści dwie jednostki tygodniowo. Czyli w zeszłą noc wyrobił podwójną normę. Przysiągł

sobie w duchu, że już nigdy nie sięgnie po alkohol.

Bella Moy siedziała naprzeciw niego. Mimo wczesnej pory jadła draże kakaowe.

Choć zwykle go nie częstowała, dziś podsunęła mu paczkę.

*Sądzę, że potrzebujesz cukru, Roy!* powiedziała.

\* Widać?

\* Niezła imprezka?

Grace pokiwał w stronę Glenna.

\* Chciałbym.

Wypluł gumę. Zjadł drażetkę, a potem kolejne trzy ze smakiem. Dzięki nim poczuł

się lepiej. Wypił łyk kawy i ponownie zaczął żuć gumę.

\* *Coca\*cola poradziła Bella* ale prawdziwa, nie żadna dietetyczna. Jest dobra na kaca, no i coś smażonego na śniadanie.

*Słyszę, że ktoś ma doświadczenie* wtrącił się Norman Potting.

*Prawdę mówiąc, ja nie miewam kaca* odparła lekceważąco.

*Nasza cnotliwa dziewczica* gderał Potting.

*Wystarczy, Norman* uciął Grace i uśmiechnął się do Belli, nie chcąc, by zaczęła się wkurzać.

Wrócił do notatki trzymanej w ręce. Przeczytał informację, którą Norman Potting przygotował wczoraj wieczorem. Dotyczyła męża Joanny Wilson Ronniego, który zginął 11 września 2001 roku w gruzach WTC. Gdy skończył, zwrócił się do Pottinga.

\* Dobra robota.

Potting przyjął to bez komentarza, ale uśmiechnął się z zadowoleniem.

\* Czy mamy jakieś informacje na temat Joanny Wilson? Jakąś rodzinę, z którą moglibyśmy pogadać? \* zapytał Grace.

\* Pracuję nad tym *powiedział Potting*. Ustaliłem, że jej rodzice nie żyją. Żadnego rodzeństwa. Usiłuję znaleźć jakichś krewnych.

Grace rzucił spojrzenie Lizzie Manile i powiedział:

\* W porządku, skoro nie mamy żadnych członków rodziny, musimy skupić poszukiwania na znajomych i przyjaciółach Wilsonów. Norman i Glenn zajmą się tym. Bella, ciebie proszę, żebyś przez FBI znalazła jakiś kontakt w ambasadzie w Londynie. Sprawdź, czy Joanna Wilson była w USA w latach dziewięćdziesiątych.

Jeżeli pracowała tu, to potrzebowała wizy. Poproś FBI, żeby sprawdzili, czy miała zgodę na pobyt w Stanach oraz w bazie danych, czy mają cokolwiek na temat jej życia tutaj.

\* Mamy kogoś zaufanego w ambasadzie? \* zapytała.

\* Tak, znam Brada Garretta, jest attache. Pomoże ci we wszystkim, o co poprosisz.

Gdybyś miała problemy, mam jeszcze dwóch przyjaciół w biurze prokuratora okręgowego w Nowym Jorku. Właściwie to najlepiej byłoby pójść prosto do nich.

Ominęlibyśmy całą biurokrację. Potrzebujemy rzetelnych dowodów, zachowamy wszystkie niezbędne procedury. *Zamyślił się na chwilę.* Brada zostaw mnie.

Zadzwoń do niego i powiem, o co chodzi.

Następnie zwrócił się do Nicholla.

\* Sprawdź krajowe poszukiwania Ronniego Wilsona. Czy przypadkiem nie chciał przekroczyć granicy.

Młody detektyw kiwnął głową. Wyglądał na wyczerpanego, jak zwykle miał bladą twarz. Bez wątplenia spędził kolejną bezsenłą noc, rozkoszując się urokami ojcostwa, pomyślał Grace.

\* Czy chcesz coś dodać? \* zapytał Lizzie Mantle.

\* Myślę, jaki też mógł być ten Ronnie Wilson *powiedziała.* Z dużą dozą prawdopodobieństwa w tym momencie jest naszym jedynym podejrzanym.

Grace wypluł gumę i wrzucił do kosza.

*Zgadzam się odparł* \* musimy dowiedzieć się czegoś więcej o nim i jego żonie, jakim byli małżeństwem. Musimy znaleźć motyw. Czy miał kochankę? A może ona go zdradzała? Coś musimy wykluczyć.

\* Z pewnością jedną rzecz możesz wyeliminować. Cokolwiek pozostało, nieważne, jak by to było nieprawdopodobne, musi być prawdą \* przerwał Norman Potting.

Nastąpiła cisza. Potting wyglądał jak zadowolony kot.

\* Bardzo dobrze, Sherlocku Holmesie. Ty i on odbieracie na tych samych falach \*

sarkastycznie zauważyła Bella Moy.

Grace posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, ale ona tylko wzruszyła ramionami i przegryzła kolejną drażetkę. Wtedy zwrócił się do Emmy\*Jane Boutwood.

\* Proszę, żebyś przygotowała drzewo genealogiczne rodziny Wilsonów.

\* Właściwie to muszę coś wyjawić *zaczął Potting*. Wczoraj odrobiłem pracę domową i dowiedziałem się, że Ronnie Wilson był karany.

*Dawno?* zapytał Grace.

\* Tak. Był częstym gościem na policji w Sussex. Pierwszy raz w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku. Pracował w jakiejś podejrzananej firmie, która handlowała używanymi samochodami. Przekręcali liczniki, składali do kupy skasowane wcześniej samochody.

\* Co się stało? \* pytał Grace.

\* Zawisnął na dwanaście miesięcy. A potem znowu zaczął kombinować.

*Przepraszam, czy powiedziałaś, że „zawisnął”?* wtrąciła się Bella.

*Tak, nasza gwiazdeczko Potting* zasugerował gestem, że wisi na sznurze \* dostał

wyrok w zawieszeniu.

\* Jest jakaś szansa, żebyś mówił językiem zrozumiałym dla nas? \* zaripostowała.

\* Sądziłem, że to znacie. Tak zawsze mówią czarne charaktery.

*W filmach z lat pięćdziesiątych* odparła \* czarne charaktery z twojego pokolenia.

\* Bella \* delikatnie ostrzegł Grace. Wzruszyła ramionami i zamilkła.

\* W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku Terry Biglow poszedł do więzienia na cztery lata *Norman kontynuował*. Był domokrążcą, który okradał

starsze panie *przerwał na chwilę i spojrzął na Bellę* domokrążca... To rozumiesz?

Nie mam na myśli żadnych cycków.

‘Knocker boy *domokrążca, również knocker* „zderzaki”, piersi.

*Wiem, kim są domokrążcy* odpowiedziała.

*To dobrze* mówił dalej. \* Ronnie Wilson pracował dla niego. Został zatrzymany jako współwinny. Ale sprytny obrońca pomógł mu uniknąć kary. Rozmawiałem z Dave'em Gaylorem, który prowadził to śledztwo.

\* Pracował nad sprawą Bigłowa?

Wszyscy znali ród Bigłowów. Byli znaną przestępczą rodziną. Od trzech pokoleń sprzedawali narkotyki, kradli antyki, zastraszali call girls, po prostu zajmowali się takimi sprawami.

Grace popatrzył na Lizzie Mantle.

\* Zdaje się, że masz rację, Lizzie. Wystarczy ogłosić, że mamy podejrzanego.

Alison Vosper będzie zadowolona. Zawsze jest ukontentowana, gdy słyszy słowa „Mamy podejrzanego”. To podnosi jej akcje u szefa. A gdy szef jest zadowolony, to ona też.

A gdy ona jest zadowolona, wtedy nie czepia się Grace'a.

11 września 2001

Ronnie rozłożył się na różowej kapie z frędzlami pełnej dziur wypalonych papierosami. Odświeżający prysznic zmył szary pył z włosów i poniekąd pomógł mu wytrzeźwieć. W jego pokoju, wynajętym za trzydzieści dolarów dziennie, łóżko nie miało zagłówka, więc opierał się o ścianę. Wpatrywał się w niewyraźny obraz zdezelowanego telewizora i palił papierosa.

Oglądał sceny przedstawiające dwa samoloty, które po kolei uderzyły w wieże.

Płonący Pentagon. Opanowanego burmistrza Giulianiego, który chwalił nowojorskich policjantów i strażaków. Oficjalną minę prezydenta Busha deklarującego walkę z terroryzmem i odrętwiałe twarze prezentowanych kredowych duchów.

Mżące się pod sufitem słabe światło brudnej żarówki sprawiło, że Ronniego opanował refleksyjny nastrój. Zastłonił bezbarwne zasłony, tak że nie widział niczego za oknem. W tym momencie cały świat poza jego małym pokojem wydawał się ponury i mroczny.

Mimo okropnego bólu głowy spowodowanego wczorajszym pijaństwem, nie czuł się przygnębiony. Był zszokowany obrazami, które widział, i tym, co się stało z jego planami. Jednak teraz czuł się bezpiecznie, pogrążony w myślach na temat życiowej szansy, która pojawiała się przed nim.

Wiedział, że zostawił sporo rzeczy w pokoju hotelowym w Nowym Jorku. Były tam bilety, paszport i trochę bielizny. Ale zamiast czuć zdenerwowanie, był raczej zadowolony.

Popatrzył na telefon komórkowy i tysięczny raz sprawdził, czy był wyłączony.

Wpadał w paranoję, że może mimowolnie włączył go z powrotem. Wtedy nieoczekiwanie mógłby usłyszeć okrzyk radości Lorraine. Lub, co bardziej prawdopodobne, jej przekleństwa, że nie zadzwonił.

Zobaczył, że coś przesuwa się po dywanie. To był ciemnobrązowy karaluch wielkości około czterech centymetrów. Karaluchy to jedne z niewielu stworzeń, które przeżyłyby katastrofę nuklearną. Osiągnęły doskonałość w swoim rozwoju.



On też czuł się dość dobrze. Zwłaszcza że jego plan nabierał kolorów.

Podszedł do kosza na śmieci i zabrał plastikową torbę, która stała obok. Następnie wziął czerwoną teczkę z aktówki i wrzucił do plastikowej reklamówki. Stwierdził, że nikt go nie napadnie, jeśli wyjdzie z plastikową torbą. Wiedział, jak bardzo ryzykował, taszcząc walizkę i aktówkę przez całą drogę. Zatrzymał się i nasłuchiwał.

Podawane informacje go zainteresowały. Powtarzano, że wszystkie loty cywilne z i do Ameryki zostały zawieszony do odwołania.

Doskonale.

Nałożył marynarkę i wyszedł.

Była 18.45. Powoli zmierzchało, choć było jeszcze dość jasno. Huśtał torbą, idąc tą samą trasą ruchliwej ulicy pod estakadą. Nic nie jadł od śniadania, ale nie był głodny.

Najpierw musiał wykonać zadanie.

Z ulgą stwierdził, że poczta jest nadal otwarta. Przeszedł przez ulicę i wszedł do środka. Po prawej stronie znajdowały się rzędy metalowych skrytek. Mężczyzna o długich włosach, którego widział już poprzednio, pracował przy komputerze. Za nim stały dwie budki telefoniczne. Po lewej stronie troje ludzi czekało w kolejce do lady.

Pierwszy był mężczyzna w budowlanym kasku i roboczych spodniach. Trzymał

dziwną książeczkę bankową i odbierał plik banknotów. Za nim stała starsza, naburmuszona kobieta w dżinsowej sukience. Ostatnią osobą w kolejce była naćpana dziewczyna. Miała długie, pomarańczowe włosy i szkliste oczy. Rozglądała się i co jakiś czas machała bezładnie rękami.

Ronnie ustawił się w kolejce tuż za nią. Pięć minut później siwy mężczyzna podał mu maleńki klucz i kartkę papieru. W zamian otrzymał pięćdziesiąt dolarów.

*Numer trzydzieści jeden* powiedział gardłowym głosem i pokiwał palcem \* na tydzień. Jeśli się spóźnisz, otwieramy skrytkę i zabieramy zawartość. Zrozumiałeś?

Ronnie pokiwał głową i popatrzył na kartkę papieru. Była tam data i godzina oraz termin wygaśnięcia umowy podany co do minuty.

\* Nie ma tam narkotyków?

\* Jasne, że nie.

Mężczyzna spojrział na niego smutnym wzrokiem i niespodziewanie złągodniał.

\* Dobrze się czujesz?

\* Tak, dzięki. Mężczyzna skinął głową.

\* Szaleństwo. To jakieś szaleństwo. Czemu oni nam to zrobili? Przecież to jakiś obłąd, prawda?

\* Zgadza się.

Ronnie wycofał się z kolejki, odnalazł swoją szafkę i złożył depozyt. Była bardziej przestronna, niż się spodziewał. Wsunął pakunek, bacznie rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje, i zamknął drzwiczki. Wrócił do lady, ponieważ nagle go olśniło.

Zapłacił za trzydzieści minut korzystania z Internetu i zalogował się w serwisie Hotmail.

Pięć minut później wszystko było załatwione. Miał nowe nazwisko i adres e\*mailowy. To był początek nowego życia.

Wtedy poczuł głód. Wyszedł z poczty w poszukiwaniu burgera, frytek i korniszonów.

Nagle pomyślał, że za korniszona, smażone krążki cebulowe, keczup i coca\*colę oddałby wszystkie skarby świata.

Szampana napije się później.

Październik 2007

Proszę wejść \* powiedziała Alison Vosper, ponieważ ktoś zapukał do drzwi.

Cassian Pewe starannie wybrał strój na to spotkanie. Włożył najbardziej elegancki granatowy garnitur, najlepszą koszulę i ulubiony krawat w dyskretne biało\*niebieskie wzory. Szczodrze skropił się wodą kolońską marki Calvin Klein Eternity. Pachniał tak, jakby tuż nad nim rozbiła się perfumeria.

Zawsze wiemy, czy znaleźliśmy nić porozumienia z drugim człowiekiem. Pewe wiedział to od pierwszego spotkania z Alison. Było to w styczniu podczas konferencji na temat przeciwdziałania terroryzmowi i islamskich gróźb pod adresem Brytanii.

Wyczuł coś więcej niż seksualną chemię pomiędzy nimi. Był całkowicie pewny, że planowała z nim romans, skoro tak entuzjastycznie zachęcała go do przenosin do Sussex. No i obroniła jego awans.

Dla niego sytuacja była oczywista. Zdawał sobie sprawę, że jest atrakcyjny. W swojej karierze zawsze zdobywał kobiety, które piastowały wysokie stanowiska. Niestety, nie wszystkie były podatne na jego wdzięki, gdyż były twardzielami jak ich koledzy.

Jednak całkiem sporo koleżanek było standardowymi kobietami \* inteligentnymi, silnymi, ale rozchwianymi emocjonalnie. On wiedział, jak uderzyć w ich czuły punkt.

Dlatego reakcja szefowej na jego widok go zaskoczyła.

*\* Usiądź powiedziała, nie podnosząc wzroku nad sterty papierów rozłożonych na biurku jak talia pokera albo może powinnam powiedzieć „klapnij sobie”.*

*Och, jakie to zabawne* zagruchał Pewe.

Niestety, na jej lodowatej twarzy nie zagościł nawet cień uśmiechu. Siedziała za palisandrowym biurkiem i czytała artykuł w „Guardianie”, trzymając go w dłoniach o nienagannym manikiurze. Wyraźnie dawała mu znać, gdzie jest jego miejsce.

Z ulgą osunął się na skórzany fotel. Minęły już cztery miesiące od czasu,

gdy jechał

taksówką, w którą uderzył skradziony van. Lewą nogę miał złamaną w czterech miejscach, więc nadal dłuższe stanie było dla niego bolesne.

Jednakże tę prawdę zachował dla siebie. Nie chciał ryzykować kariery z powodu etykiety, że jest półinwalidą.

Alison Vosper nadal czytała. Pewe studiował zdjęcia jej męża, sporo starszego od niej krzepkiego, łysiego policjanta, oraz dwóch chłopców w szkolnych mundurkach i debilnych okularach.

Kilka oprawionych certyfikatów z jej nazwiskiem wisiało na ścianach. Były także zdjęcia z Brighton, jedno przy torze wyścigowym, a drugie na molo.

Zadzwoił telefon. Pochyliła się, po czym spojrzała na wyświetlacz, podniosła słuchawkę i warknęła:

*Teraz mam spotkanie, oddzwonię.* Odłożyła słuchawkę i wróciła do czytania. *A więc jak sobie radzisz?* spytała nagle, nie odrywając oczu od gazety.

\* Na razie nieźle.

Spojrzała na niego. Instynktownie chciał nawiązać kontakt wzrokowy, ale ona natychmiast popatrzyła ponownie na biurko. Sięgnęła ręką, coś podniosła, potem znowu przesuwiała papiery, jakby szukała czegoś w tym stosie raportów.

\* Ufam, że zająłeś się starymi, nierozwiązanymi sprawami?

\* Tak.

Miała czarną, dopasowaną marynarkę, a pod nią białą bluzkę ze stójką spiętą pod szyją srebrną broszką. Biust, na którego temat fantazjował, został w tym stroju znacznie spłaszczony. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. Posłała mu długi, zachęcający uśmiech.

Poczuł, jak nogi mu miękną. Niestety, ich spojrzenia się rozeszły, gdyż ona znów szukała czegoś wśród papierów.

Jego zdaniem rozsiewała niezwykły aromat. Nie była piękna, ale magicznie atrakcyjna. Skórę miała jedwabiście gładką, nawet jej mały pieprzyk na szyi go intrygował. W pokoju roznosił się cytrynowy zapach, który rozpałał w nim żądzę.

Była silna i emanowała autorytetem. Pragnął podejść do niej, zedrzyć z niej ubranie i posiąść ją na podłodze.

Na samą myśl dostał wzwołu.

A ona wciąż wpatrywała się w biurko, mieszając wśród cholernych papierów!

\* Miło widzieć cię ponownie! \* stwierdził na dobry początek.

Wyczekująco zawiesił głos. Czy ona czuła to samo, czy była niepewna? Może miała zamiar zasugerować miejsce spotkania? Coś przytulnego, gdzie mogliby pójść na drinka?

Mógłby zaprosić ją do swojej sypialni w domku na przystani, z której rozchodził się piękny widok na jachty. Wróciła do czytania „Guardiana”.

\* Szukasz czegoś? *zapytał*. Są jakieś wzmianki o policji w Sussex?

*Nie* odpowiedziała lekceważąco *czytam aktualności*. Potem, nie patrząc na niego, zapytała: \* Rozumiem, że zacząłeś audyt zaległych spraw?

\* Och tak *odparł* zacząłem.

\* Mordercy, podejrzane okoliczności śmierci, osoby długo poszukiwane, nierozwiązane poważne zbrodnie...

\* Wszystkim się zająłem.

Sięgnęła po „Telegraph” i rzuciła okiem na pierwszą stronę. Niepewnie na nią popatrzył. Między nimi rozpościerała się jakaś niewidzialna bariera. Czuł się kompletnie zagubiony.

\* Posłuchaj, zastanawiałem się, czy mógłbym porozmawiać z tobą, zanim złożę oficjalny raport.

*Mów*. Błyskawicznie przejrzała kilka stron.

\* Wiem, że powinienem najpierw złożyć raport u Roya Grace’a, ale mam pewne wątpliwości co do niego.

*Mów*. Nareszcie skupił całą jej uwagę.

*Oczywiście pamiętasz sprawę jego zaginionej żony zaczął*.

*Wszystkie jednostki zajmowały się tą sprawą przez ostatnie dziewięć lat odparła*.

\* Wczoraj wieczorem rozmawiałem z jego rodzicami. Są bardzo zaniepokojeni.

Twierdzą, że policja w Sussex nie prowadzi bezstronnego śledztwa.

\* Możesz to sprecyzować?

\* Oczywiście. Do tej pory jedynym policjantem, który prowadził dochodzenie w tej sprawie, był Roy. Moim zdaniem to nie jest w porządku. To znaczy taka sytuacja nie miałaby miejsca w stołecznej jednostce.

\* O czym myślisz?

Cóż kontynuował Pewe obłudnie \* z tego powodu jej rodzice czują się bardzo skonsternowani. Wywnioskowałem, że podejrzewają, iż Roy coś

ukrywa.

\* A ty jak sądzisz? \* Popatrzyła na niego.

\* Chcę, żebyś mi pozwoliła nadać tej sprawie rangę priorytetową.

Chciałbym dokładniej poszperać. Mieć swobodę we wszystkich działaniach, które uznam za konieczne.

*Załatwione* zgodziła się. Powróciła do lektury i odprawiła go jednym gestem.

Machnęła ręką, na której był pierścionek zaręczynowy z diamentem i obrączka.

Gdy wstał, nie czuł erekcji, ale inny rodzaj podniecenia.

Październik 2007

Światło i wentylator cały czas były włączone, miała wrażenie, jakby minęły wieki. W

małym pomieszczeniu bez okna Abby straciła poczucie czasu. Nie wiedziała, jaka była pora dnia. Usta i gardło bolały ją z pragnienia. Była piekielnie głodna. Prawie każda część jej ciała była zdrętwiała lub koszmarne ją bolała z powodu skrępowania.

Drżała z zimna. Panował lodowaty przeciąg. Strasznie chciało się jej oczyścić nos, który był coraz bardziej zatkany, więc miała trudności z oddychaniem. Nie mogła również oddychać przez usta. Czuła, że zbliża się atak paniki.

Starła się uspokoić, spowolnić oddech. Miała wrażenie, że nie czuje już swojego ciała, tylko unosi się obok niego. Jakby ta naga osoba nie była nią, tylko kimś innym.

Umarła.

Serce jej waliło. Chciała coś powiedzieć, ale usłyszała tylko stłumiony pomruk w ustach. Żyję, słyszę bicie serca.

Czuła ból w głowie, jakby cała orkiestra zebrała się wokół mózgu. Oczy miała sklezione, na niczym nie mogła skupić wzroku. Nagle zaczęła trząść się niepoohamowanie. Zimny pot oblał ją na myśl, która uderzyła ją jak obuchem.

Co będzie, jeśli on wyszedł i ją zostawił?

Na śmierć...

Kiedy go poznała, uważała tak jak on. Przemoc jest jego środkiem komunikacji, dowodem pewności siebie, sposobem, by nadążyć za kolegami. Pewnej nocy złapał

pająka w wannie i spalił każde jego odnóże zapalniczką. Potem zostawił go żywego w słoiku, by zginął z głodu i pragnienia.

Świadomość, że z nią może zrobić to samo, sprawiła, że zaczęła szybciej myśleć.

Atak paniki był coraz bliżej.

Musi się skoncentrować, skupić. Spokojnie, to tylko atak paniki, pomyślała. Nie umieram. Nie opuściłam swojego ciała. Trzeba to sobie powtarzać.

Oddychała. Cześć, mówiła do siebie w myślach, jestem Abby Dawson. Czuję się świetnie. To tylko reakcja emocjonalna. Czuję się w porządku w moim ciele. Nie umarłam, a to wszystko minie.

Usiłowała przeanalizować kolejno wszystkie elementy skrepowania. Zaczęła od taśmy na czole. Szyja bolała ją coraz bardziej z powodu tego, że głowa była wciąż odchylona. Starła się nie ruszać w żadnym kierunku.

Ręce miała skrepowane w taki sposób, że jej dłonie opierały się na udach. Palce rozciągnięte i przyklejone taśmą, tak że nie mogła uchwycić się niczego. Próbowwała poruszyć nogami, ale były tak mocno związane, jakby były w gipsie. Nie mogła nic zrobić. Nigdzie nie było żadnego luzu.

Gdzie nauczył się tak krepować ludzi? Może po prostu improwizował? Może nawet uśmiechał się przy tej robocie?

O tak, z pewnością się uśmiechał.

A ona nawet nie mogła go o nic obwiniać.

Nagle pomyślała, że nigdy nie chciała, aby sprawy tak się potoczyły. Przecież nie była taką silną osobą. Ani nawet sprytną. Jak, do cholery, mogła pomyśleć, że zdoła odnieść sukces? Jak mogła być taka głupia?

Hałas zagłuszył jej myśli. Usłyszała pisk gumowej podeszwy butów i cień pojawił się w drzwiach. Ricky patrzył na nią z wysokości. W jednej ręce trzymał plastikową reklamówkę, a w drugiej kubek kawy. Czowała piękny aromat. Boże, jaki cudny.

\* Ufam, że się wyspałaś, Abby. Chcę, żebyś się odświeżyła. Wyspałaś się?

Wydała z siebie niski jęk.

\* Przepraszam za taśmę, ale ściany w tym budynku nie wydają się zbyt grube.

Przecież nie mogę ryzykować. Jestem pewien, że mnie rozumiesz. Może łóżko było trochę niewygodne? Ale bardzo odpowiednie dla postawy ciała. Takiej prościutkiej.

Czy ktoś mówił ci kiedykolwiek, jak ważna jest właściwa postawa?

Nic nie odpowiedziała.

*Pewnie nie. Nie sądzę, aby ktoś kiedykolwiek mówił ci o właściwej postawie.*

Położył plastikową torbę na podłodze. Rozległ się hałas, jakby w środku było mnóstwo metalowych przedmiotów.

\* Przyniosłem kilka rzeczy. Właściwie to nigdy wcześniej nikogo nie



torturowałem.

Oczywiście widziałem w filmach i czytałem o tym.

Ścisnęło ją w gardle.

\* Chcę tylko, żebyś zrozumiała, Abby, że nie chcę cię skrzywdzić. Chcę tylko, żebyś mi powiedziała, gdzie są rzeczy, które mi zabrałaś. Cały mój zapasik.

Milczała, drżała.

Podniósł torbę i zagrzechotał nią. Usłyszała głośny, metaliczny szczęk.

\* Mam tu wszystko, czego potrzeba. Choć większość to prymitywne rzeczy. Mam tu wiertło, by powiercić ci w rzepekach. Mały młotek i paczkę igieł, żebym mógł wbić ci je pod paznokcie. Obcęgi do zębów. Chyba że będziemy mogli być trochę bardziej kulturalni.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął czarnego iPoda. Potem podsunął wprost pod jej oczy.

\* Muzyka *oznajmił* posłuchamy.

Włożył słuchawki, popatrzył na wyświetlacz i nacisnął start. Potem dał głośniej.

*Foolfor Love* Ricky przypomniawszy jej tytuł \* to mógłbym być ja, prawda?

Patrzyła na niego ze strachem, nie wiedząc, jakiej reakcji oczekuje. Nie chciała pokazać mu, jak bardzo się boi.

\* Lubię to nagranie *powiedziała* a ty? Pamiętasz, oczy w prawo „tak”, oczy w lewo „nie”.

Przesunęła oczy w prawo.

\* Świetnie! No, to teraz przyśpieszmy. Czy to jest tutaj, czy gdzieś indziej?

Uproszczę pytanie. Czy to jest w tym mieszkaniu?

Skierowała oczy w lewo.

\* Okej. Czy to jest gdzieś w Brighton? Skierowała oczy w prawo.

\* Czy to jest w depozycie? Ponownie popatrzyła w prawo.

Wyciągnął malutki klucz z kieszeni dzinsów.

\* Czy to ten klucz? Wzrokiem odpowiedziała „tak”.

*Dobrze. Teraz musimy ustalić bank i adres. Czy to Nat West?* Uśmiechnęła się.

Skierowała oczy w lewo.

\* Lloyds TSB? Oczy poszły w lewo.

\* HSBC?

Oczy ponownie były po lewej stronie. Nie potwierdziła również pytania o Barclays.

*Okej, kumam* powiedział i odsunął się od drzwi. Wrócił z kopią stron firm ubezpieczeniowych. Przesuwał palcem w dół, jeśli odpowiedź Abby była negatywna.

Gdy doszedł do nazwy Southern Deposit Security, jej oczy skierowały się w prawo.

Przeczytał nazwę, adres, jakby chciał zapamiętać, i zamknął informator.

\* Dobrze. Teraz ustalmy szczegóły. Czy rachunek jest na nazwisko Abby Dawson?

Oczy poszły w lewo.

\* Katherine Jennings?

Prawa strona. Uśmiechnął się, wyglądał na zadowolonego. Wpatrywała się w niego, chcąc mu coś powiedzieć. Ale on nie był zainteresowany.

*Hasta la vista, baby!* krzyknął wesoło \* tak jak w moim ulubionym filmie.

Pamiętasz? \* Spojrzał na nią uważnie.

Przesunęła oczy w prawo. Pamiętała. Znała tę kwestię. Pochodziła z filmu Terminator z Arnoldem Schwarzeneggerem. Wiedziała, co oznacza.

Do zobaczenia!

Październik 2007

Po spotkaniu Roy Grace uciekł do swojego biurowego sanktuarium. Kilka minut spędził, patrząc na główną ulicę, parking supermarketu i brzydki budynek sklepowy.

Myślał, jaki miałby piękny widok na Brighton i Hove, gdyby nie było tego sklepu.

Przynajmniej mógł obserwować niebo. Pierwszy raz od kilku dni niektóre jego fragmenty były niebieskie, a promienie słońca przebijały się przez chmury.

Trzymał kubek z kawą i przeglądał szuflady, w których przechowywał swoje kolekcje. Leżał tam tuzin klasycznych zapalniczek, których nigdy nie eksponował, i niezły zbiór policyjnych czapek. Był również wypchany, brązowy pstrąg, którego złowił podczas wycieczki do Irlandii wiele lat temu. Prócz niego był też spreparowany karp, którego niedawno otrzymał na urodziny od Cleo. Ów karp miał

wygrawerowane koszmarnie słowa „Carpe diem”.

Na stole leżała otwarta aktówka, komórka, dyktafon i pełno nagrań z rozpraw sądowych, które pomagał przygotować prawnikowi.

W związku z awansem wokół niego piętrzyło się coraz więcej stert dokumentów, którymi Eleanor systematycznie zapełniała całe biurko. Musiał przejrzeć streszczenia najważniejszych spraw kryminalnych, którymi obecnie zajmowała się policja w Sussex.

Zrobił listę rzeczy potrzebnych, by kontynuować Operację Dingo. Potem przez godzinę zajmował się stenogramem. Gdy skończył, otworzył notatnik i przeczytał

ostatni wpis. Pisał niewyraźnie, więc chwilę zajęło mu rozszyfrowanie własnego pisma.

## 29 Lower Arundel Terrace

Tępo wpatrywał się w podany adres. Czekał, aż mózg przypomni mu powód, dla którego to zapisał. Chodziło o wczorajsze spotkanie z Kevinem Spinellą po konferencji prasowej. Opowiadał mu o dziewczynie uwolnionej z windy, która czegoś się obawiała.

Większość ludzi uwięzionych w windzie byłaby przestraszona. On jako umiarkowany klaustrofobik mający lęk wysokości też byłby wystraszony. To pewnie jakaś rozhisteryzowana idiotka, choć nigdy nie wiadomo. Postanowił zlecić to zadanie wydziałowi East District. Wybrał wewnętrzny numer najskuteczniejszego w tym oddziale inspektora, Stephena Curry'ego. Podał mu nazwisko kobiety, adres i wyjaśnił okoliczności zgłoszenia.

\* Ale nie musisz się z tym śpieszyć, Steve. Może oficerowie z tego rewiru mogliby tam zajrzeć przy okazji. Sprawdzić, czy wszystko w porządku.

*\* Oczywiście odparł Stephen Curry, którego głos brzmiał, jakby mu się śpieszyło*

zostaw to mnie.

*Z największą przyjemnością odpowiedział Grace.*

Odłożył słuchawkę, spojrzął na górę papierów na biurku i postanowił w porze lunchu pójść na przechadzkę, by zabrać zostawiony pod knajpą samochód. Musi się trochę odświeżyć. Nacieszyć słońcem, które tak rzadko się pojawia, i poukładać myśli.

Spróbuje odnaleźć jednego z dawnych znajomych, Ronniego Wilsona. Wiedział, gdzie rozpocznie poszukiwania.

12 września 2001

Ronnie przeżył niespokojną noc. Miotał się pomiędzy brudnym, nylonowym prześcieradłem, poduszką, która była chyba wypełniona kamieniami, i materacem, którego sprężyny wwiercały się w niego jak korkociąg. Miał również kolejny dylemat. Zamknąć okno i znosić klimatyzację, która hałasowała, jakby dwa szkielety w metalowych zbrojach walczyły ze sobą, czy otworzyć okno i słyszeć nieustanne wycie syren i warkot helikopterów.

Około szóstej rano był już całkowicie obudzony. Drapał czerwone plamki ugryzień, które miał na nogach. Szybko zauważył, że ma ich więcej \* na klatce piersiowej i brzuchu. Swędziały jak diabli.

Nerwowo szukał pilota, a potem włączył telewizor. Niepokój zewnętrznego świata wypełnił pokój. Na ekranie pojawiły się sceny z Nowego Jorku. Zobaczył

zrozpaczonych ludzi, którzy trzymali ręcznie wykonane tablice z napisami, zdjęciami, niektóre tylko z nazwiskami. Napisy były wykonane w kolorach niebieskich, czerwonych lub czarnych. Wszystkie zawierały pytanie „Czy widziałeś go/ją?”.

Prezenter wiadomości podał szacowaną liczbę zabitych. Na ekranie pojawił się numer telefonu kontaktowego oraz kolejne krytyczne informacje.

W głowie, z powodu przeżyć minionej nocy, kotłowały mu się złe myśli. Widział

Lorraine, Donalda Hatcooka, płomienie, krzyki i upadające ciała.

Miał plan.

Czy Donald Hatcook żył? Jeśli przeżył, czy jest jakaś gwarancja, że zgodzi się na jego przedsięwzięcie związane z biopaliwem? Ronnie zawsze był ryzykantem. Nie zastanawiał się, jakie są szanse powodzenia nowego planu. Choć teraz fakt, czy Donald Hatcook żyje, czy nie, był bez znaczenia.

Lorraine będzie urażona. Ale w odpowiednim czasie zrozumie, że kto nie ryzykuje, ten nie jedzie.

Już wkrótce ta głupia krowa zrozumie wszystko, gdy obsypie ją pięćdziesięciofuntowymi banknotami i kupi jej to, co zawsze chciała, a może

jeszcze więcej!

Będą bogaci!

Teraz musi trochę pocierpieć.

Ponownie sprawdził zegarek, była 6.02. Był zmęczony, również z powodu długiego lotu samolotem. Chwilę się zastanawiał, zanim ustalił, czy czas w Zjednoczonym Królestwie powinien obliczyć do przodu, czy do tyłu. W końcu zdecydował, że do przodu. Więc w Brighton będzie teraz tuż po jedenastej rano. Rozmyślał, co Lorraine może robić. Pewnie zadzwoniła do hotelu i biura Donalda Hatcooka. Może jest u swojej siostry albo, co bardziej prawdopodobne, siostra jest u niej.

W tym momencie z ekranu przemawiał jakiś policjant. Ogłaszał, że są potrzebni wolontariusze do pracy przy zburzonym gmachu. Potrzebni są ludzie do pomocy przy odkopywaniu i rozdawaniu wody. Policjant był wyczerpany, pewnie pracował całą noc. Wyglądał jak człowiek doprowadzony do ostateczności wskutek zmęczenia, emocji i zwyczajnego obciążenia pracą.

Ochotnicy. Ronnie rozmyślał o tym przez chwilę. Wolontariusze.

Wygramolił się z łóżka i wszedł pod mizerny prysznic. Czuł się wolny, ale zdenerwowany. Mógł na tysiąc sposobów schrzanić wszystko. Ale mógł też się zachować przytomnie. Naprawdę sprytnie. Ochotnicy. Oni coś mogli! Mogli puścić w obieg informację!

Wycierał się. Uważnie słuchał wiadomości, prognoz na dzisiaj dla Nowego Jorku.

Czyżby kolejna bomba, o której mówili ludzie? Kolejne ataki? A może dzisiaj zacznie już funkcjonować giełda? Może przynajmniej w niektórych częściach Manhattanu wszystko wróci do normy?

Musiał to wiedzieć, gdyż chciał przeprowadzić swoje transakcje. Jego nowy biznes wymagał środków finansowych. Trzeba spekulować, jeśli chce się mieć korzyści.

Potrzebne mu rzeczy były kosztowne. Gdziekolwiek je zdobędzie, musi mieć gotówkę. Informacja, której potrzebował, właśnie nadeszła w wiadomościach. Część Nowego Jorku będzie zamknięta, pozostałe otwarte, tam gdzie są drogi tranzytowe.

Miał wrażenie, że większa część miasta zostanie otwarta. Spikerka oświadczyła poważnie, że wczoraj zmienił się świat.

Miała rację. Choć dla niektórych to będzie normalny pracowity dzień.

Ronnie ucieszył się z tego powodu. Po wczorajszej popijawie w barze, wieczornym posiłku i zapłaceniu pokoju jego majątek skurczył się o trzysta dwa dolary.

Musiał to sobie jakoś wytłumaczyć. Wydał trzysta dwa dolary, zanim zrobił

jakikolwiek biznes. Mógłby zastawić laptopa, ale to było zbyt ryzykowne. Przekonał

się o tym na własnej skórze. Gdy kilka lat temu skonfiskowano komputer tam, gdzie sprzedawał samochody, nie można było skasować pamięci w całości. Laptop zawsze będzie prowadził do niego.

Znów podawano apel na temat wolontariuszy potrzebnych przy odgruzowywaniu.

Myślał \* ochotnicy. Ten pomysł zaczynał nabierać sensu.

Dzięki porannym wiadomościom dołączył kolejną część do swojej układanki.

Październik 2007

Budynek policji w Sussex początkowo zaplanowano jako główną kwaterę wydziału kryminalnego, lecz ostatnio, pomimo że budynek pękał w szwach, mundurowi z East Brighton zostali ściśnięci w tym lokalu. Policja środowiskowa, która rozwiązuje problemy społeczności lokalnej, zajmuje jasne pomieszczenia tuż za podwójnymi drzwiami, które wiodą wprost od recepcji.

Jednym z minusów lokalizacji tego budynku było to, że inspektor Stephen Curry każdego ranka musiał być w dwóch miejscach. Tutaj na codziennej odprawie, która kończyła się tuż po dziewiątej. Potem rzucał się w szalony wir ruchu miejskiego Brighton, żeby zdążyć do głównego budynku policji przy John Street na codzienny przegląd informacji prowadzony przez nadinspektora do spraw kryminalnych policji w Brighton i Hove.

Stephen Curry miał trzydzieści dziewięć lat, pogodne usposobienie, lecz surowe spojrzenie. Dzisiaj śpieszył się bardziej niż zwykle. Z napięciem patrzył na zegarek.

Była dziesiąta czterdzieści pięć. Właśnie wrócił z policji przy John Street i chciał

podzielić się kilkoma ważnymi sprawami. Właśnie wychodził ze swojego biura, gdy zadzwonił Roy Grace.

Starannie zapisał nazwisko Katherine Jennings, adres i obiecał Grace'owi, że wyśle tam jakiegoś dzielnicowego.

Sprawa nie była pilna, więc postanowił zająć się tym później. Zerwał się, chwycił

czapeczkę i spiesznie wyszedł.



12 września 2001

Lorraine ponownie siedziała w białym szlafrocisku przy kuchennym stole, paliła papierosa i piła kawę. W głowie czuła pulsowanie, oczy miała przekrwione, w nocy prawie nie spała. Serce ciążyło jej, jakby było z ołowiu, czuła ból w żołądku.

Zgasiała papierosa w popielniczce. Był to już piąty tego ranka. Obok niej leżała gazeta

„Daily Mirror”, telewizor był włączony. Pierwszy raz od wczoraj jej myśli były skupione na czymś innym.

Tuż przed nią leżał list, który przyszedł rano, podobnie jak inne wczoraj i w poniedziałek. Ponadto znalazła korespondencję w biurze Ronniego, które urządził

sobie w pokoju gościnnym.

Patrzyła na list, który przyszedł z agencji ściągania długów EndCol Financial Recovery. Potwierdzenie długu, jaki Ronnie zaciągnął na zakup telewizora do salonu.

Kolejny również pochodził z agencji ściągania długów, która informowała, że linia telefoniczna zostanie odłączona, chyba że w ciągu siedmiu dni zostanie wpłacona kwota sześciuset dwóch funtów.

Otworzyła następny list, który przyszedł z Urzędu do spraw Poboru Podatków.

Domagano się zapłaty prawie dwunastu tysięcy funtów w ciągu trzech tygodni, grożąc zajęciem mienia przez komornika.

Lorraine kręciła głową z niedowierzaniem. Połowa korespondencji dotyczyła wezwań do zapłaty zaległych rachunków. Jeden list został wysłany przez kierownika banku, który nie przychylił się do prośby Ronniego i odmówił przyznania mu kolejnej pożyczki.

Najgorszy był z towarzystwa budowlanego. Informowali Ronniego, że przejmują hipotekę i rozpoczynają sądową procedurę odzyskania domu.

Lorraine zgasiała dopiero co zaczętego papierosa, podparła twarz dłońmi i zaszlochała. Kochanie, dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wszystkim? Czemu zataiłaś, że ty *my* znaleźliśmy się w takim bagnie? Mogłabym pomóc,

poszłabym do pracy. Może nie zarabiałabym wiele, ale mogłabym pomóc. To byłoby już coś.

Wyciągnęła papierosa i tępo gapiła się w telewizor. Oglądała ludzi chodzących z tabliczkami ze zdjęciami ukochanych, którzy zaginęli. Wiedziała, że musi to zrobić.

Musi tam polecieć i go znaleźć. Może był ranny i leżał gdzieś w szpitalu...

W kościach czuła, że on żył. Był jednym z tych, którzy przeżyli. Poradziłby sobie z tymi wszystkimi długami. Gdyby Ronnie był tutaj zeszłego ranka, nie pozwoliliby, żeby zabrano ich wóz. Dogadałby się z nimi albo wyciągnął skądś gotówkę, albo ich rozwalił.

Milionowy raz wybrała jego numer. Od razu usłyszała głos sekretarki. To nie był jego głos. Jakiś bezosobowy głos, który przeproszał, że abonent jest niedostępny i jeżeli chce, to może zostawić wiadomość.

Rozłączyła się, wypła łyk herbaty, zapaliła papierosa i zakaszła. Głęboki, suchy kaszel sprawił, że oczy jej załzawiły. W telewizji pokazywali obrazy gęstego dymu nad gruzami, szkielet ścian i tę apokaliptyczną scenę, jaka rozegrała się wczoraj rano w WTC. Bacznie analizowała transmitowane sytuacje. Najpierw krótka migawka na strażaka w tle, który miał maskę na twarzy i szedł, potykając się o górkę niestabilnych, palących się kamieni. Potem pokazano szersze ujęcie jakiejś płyty (wysokiej na blisko trzydzieści metrów) i zrównany z ziemią samochód policyjny. W

miejscu, gdzie stała lewa strona Południowej Wieży. Kiedy i jak Ronnie się stamtąd wydostał?

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Potem ktoś głośno zapukał.

Cholera.

Przemknęła na górę do sypialni, której Ronnie też używał, by spojrzeć na dół. Na zewnątrz, blokując jej wyjazd, stał niebieski van, dwóch krzepkich kolesiów sterczało przed drzwiami. Jeden był łyсы, miał kurtkę z kapturem i dżinsy. Drugi był krótko obcięty, miał potężne złote kolczyki i trzymał jakieś dokumenty.

Leżała nieruchomo, prawie wstrzymywała oddech. Znów zapukali do drzwi.

Ponownie zadzwonił dzwonek. W końcu odjechali.

Październik 2007

lala \* i palant!

Cassian Pewe pracował w Sussex już od kilku tygodni, Tony Case zaś podsumował

go w ciągu trzech minut.

Case, niegdyś oficer operacyjny, pracował obecnie jako administrator czterech głównych komisariatów w Littlehampton, Horsham i Eastbourne oraz oczywiście tego, w którym służył. Do jego obowiązków należała ocena ryzyka progresji napadów, planowanie budżetu na potrzeby śledczych, zakup nowego wyposażenia, kontrola przestrzegania przez policję ogólnych zasad oraz rozpoznawanie bieżących potrzeb pracowników. Ale także wbijanie gwoździ.

\* Popatrz *zaczął lizusowsko Pewe* chciałbym, żeby to zdjęcie wisiało siedem i pół

centymetra w prawo i piętnaście centymetrów wyżej. Dobrze? To drugie, proszę, żeby było dokładnie dwadzieścia centymetrów wyżej. Rozumiesz? Nic nie zapisujesz.

*Pewnie chciałbyś, żebym przyniósł ci haczyki, młotek i linijkę, żebyś powiesił to sobie sam?* zasugerował Case. Tak robił każdy oficer, włącznie z nadinspektorem służby kryminalnej.

Pewe zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Zaczął przechadzać się po pokoju, strzelając czerwonymi szelkami.

*Nie jestem wyznawcą filozofii „zrób to sam”* zawyrokował \* a poza tym nie mam czasu. Musisz przysłać tu kogoś z personelu.

\* Oczywiście *powiedział Case* znaczy się mnie.

Pewe patrzył przez okno na ponury blok. Deszcz powoli przestawał padać.

*Nie za bardzo rozległy ten widok* zrzędził Pewe.

\* Nadinspektor Grace był z niego całkiem zadowolony. Pewe zrobił minę, jakby połknął żabę.

\* To było jego biuro?

\* Tak.

- \* To bardzo podły widok.
- \* Może, jeśli poprosisz zastępcę naczelnika policji Alison Vosper, zburzą ten budynek dla ciebie.
- \* To nie jest śmieszne \* powiedział Pewe.
- \* Śmieszne? *odparł Case*. Ja nie żartuję, ja tu pracuję. My tu nie mamy poczucia humoru, tylko poważną, policyjną robotę. Pójdę i przyniosę ci młotek, chyba że ktoś go buchnął.
- \* Co z moimi asystentami? Prosiłem o dwóch. Gdzie oni będą siedzieć?
- \* Nikt mi nic nie mówił o dwóch asystentach.
- \* Chciałbym, żeby byli cały czas pod ręką.
- \* Mogę załatwić mniejsze biurko *zasugerował Tony Case* wtedy dwaj ludzie się jeszcze zmieszczą \* oświadczył i wyszedł.

Pewe nie potrafił wyczuć, czy facet żartował, czy mówił poważnie. Jego myśli przerwał dzwonek telefonu.

- \* Nadinspektor Pewe \* przybrał dostojny ton.
- \* Dzwoni ktoś z Interpolu w imieniu policji stanu Wiktorii w Australii. Prosił, by połączyć go z osobą zajmującą się nierozwiązanymi sprawami \* dzwonił dyżurny oficer.

\* Dobrze, proszę go połączyć. *Usiadł, nogi położył na biurku między plikami dokumentów, potem podniósł słuchawkę do ucha, nie śpieszył się.* Nadinspektor Cassian Pewe, słucham \* powiedział.

\* Ach, dzień dobry, Cashon, mówi detektyw James Frank z biura Interpolu w Londynie.

Frank miał specyficzny akcent świadczący o tym, iż uczęszczał do prywatnych szkół.

Pewe nie lubił tych urzędników z Interpolu. Uważali, że są lepsi i zupełnie nie liczyli się z innymi policjantami.

*Proszę podać mi swój numer, to oddzwonię* powiedział Pewe.

- \* W porządku, nie musisz.
- \* Środki bezpieczeństwa to nasza dewiza w Sussex \* zauważył Pewe poważnie, rozkoszując się chwilką przewagi.

Frank odpłacił mu w ten sposób, że włączył na dobre cztery minuty samograja w postaci arii Niech nikt nie śpi, zanim odebrał telefon. Byłby pewnie jeszcze bardziej szczęśliwy, gdyby wiedział, że Cassian Pewe, fan muzyki poważnej, a zwłaszcza oper, nie znosił tej melodii.

\* No dobra, Cashon, nasze biuro kontaktowało się z oddziałem w

Melbourne w Australii. Znaleźli ciało niezidentyfikowanej kobiety w bagażniku samochodu. Ciało wydobyto z rzeki, było tam prawdopodobnie przez dwa i pół roku. Pobrali DNA jej oraz płodu. Nie znaleźli niczego w australijskiej bazie danych. Ale odkryli coś szczególnego...

Frank przerwał na chwilę. Pewe usłyszał siorbanie, jakby pił kawę, po czym wrócił do sprawy.

\* Kobieta miała silikonowe implanty. Implanty mają numer fabryczny i numer seryjny przypisany pacjentce. Ten konkretny numer seryjny znajduje się w kartotece szpitala Nuffield Woodingdean w Brighton i Hove z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.

Pewo zdjął nogi z biurka. Z nadzieją rozejrzał się w poszukiwaniu notesu. Skorzystał

w końcu z odwrotu koperty, gdzie zapisał szczegóły. Potem poprosił Franka o przesłanie faksem informacji na temat DNA matki i płodu, obiecał, że natychmiast rozpocznie śledztwo w tej sprawie. Na koniec zauważył cierpko, że nazywa się Cassian, a nie Cashon i odłożył słuchawkę.

Stażysta był mu niezmiernie potrzebny. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż topielec wyłowiony w australijskiej rzece. A jedna z nich była najważniejsza.

Październik 2007

Abby śmiała się, jej ojciec też.

\* Głupiutka dziewczyno, nie zrobiłaś tego umyślnie, prawda?

\* Nie, tatusiu!

Patrzyli na częściowo ułożone białe kafelki z granatową listwą wykończeniową na ścianie łazienkowej. Pewna część wyglądała jak płaskorzeźba, ponieważ ona położyła kafelek odwrotnie. Widoczna szorstka, szara strona wyglądała jak kwadracik cementu.

*Miałaś mi pomóc, młoda damo, a nie przeszkadzać* strofował ją ojciec.

*Nie zrobiłam tego specjalnie, tatusiu.* Śmiała się.

W odpowiedzi ojciec klepnął ją kielnią w czoło, zostawiając małą bryłkę zaprawy.

*Hej!* płakała \* nie jestem ścianą łazienki, nie możesz mnie wykafelkować.

\* O tak, mogę.

Twarz ojca spochmurniała, a uśmiech zbladł. To już nie był ojciec. To był Ricky.

Trzymał wiertarkę w ręce. Uśmiechał się, naciskał na start. Wiertarka wyła.

\* Najpierw prawe czy lewe kolano, Abby?

Trzęsa się. Ciało miała obolałe z powodu skrępowania. Wnętrznosci skręcały się i kurczyły.

Widziała wirujące wiertło zbliżające się do jej prawego kolana. Było kilka centymetrów od skóry. Krzyczała. Policzki jej pękały. Nie wydała jednak żadnego dźwięku. Tylko niekończący się, zdławiony jęk.

Głos u wiążł jej w gardle.

Ricky przybliżył się z wiertarką.

Krzyknęła ponownie. Nagle światło się zmieniło. Poczowała ostry, suchy zapach świeżego tynku, zobaczyła kremowe kafelki.

Hiperwentylacja.

To nie był Ricky. Widziała torbę, którą położył po lewej stronie przy drzwiach. Była nietknięta. Czowała zapach potu. Słyszała równomierny warkot wentylatora, czowała zimny powiew. Była spragniona, gardło miała wyschnięte.

Pragnęła tylko jednej szklaneczki czegoś do picia.

Patrzyła na kafelki.

Boże, co za ironia być tu uwięzioną i patrzeć na te kafelki. Być tak cholernie blisko!

Jej myśli szybko krążyły. Musi znaleźć się blisko Ricky'ego. Zmusić go, żeby usunął

taśmę z jej twarzy. Gdyby pomyślał, zrobiłby to zaraz po przyjściu, ale on nie myślał.

Czuła, że każda cząstka jej ciała przemarzła do szpiku kości.

12 września 2001

Ronnie wyszedł z domu po siódmej trzydzieści. Mimo zmęczonych oczu czuł się dobrze fizycznie i psychicznie. Po wyjściu natychmiast uderzył go smród. Niebo było mgliste, metaliczno granatowe. Rano powinien poczuć zapach rosy. Zamiast tego zjadliwy, cierpki dym wypełnił jego nozdrza.

Sądził, że fetor pochodzi ze śmietników. Ale im dłużej szedł ulicą, tym zapach ów stawał się silniejszy. Roznosił się smród czegoś wilgotnego, chemicznego, kwaśnego i mdłego oraz gęsty dym. Bolały go oczy. Miał wrażenie, jakby tkwiły w nich małe strzępki papieru ściernego.

Na głównej ulicy panowała osobliwa atmosfera. Był środowy poranek, a na drodze znajdowało się zaledwie kilka aut. Ludzie poruszali się powoli, mieli wynędzniałe twarze i obłęd w oczach, jakby również źle spali. Miał wrażenie, że miasto coraz bardziej pogrąża się w szoku. Paralizujące wydarzenia wczorajszego dnia odbiły się na psychice ludzi i przyniosły jeszcze bardziej ponurą rzeczywistość dziś rano.

Znalazł bar. Między rosyjskimi napisami w witrynach przeczytał angielskie słowa, czerwone litery napisane przez szablon na oświetlonym plastiku „Ali day breakfast”.

W barze siedziała garstka ludzi. Między innymi dwaj gliniarze, którzy jedli w milczeniu i oglądali wiadomości w telewizorze zawieszonym wysoko na ścianie.

Usiadł przy stoliku w tyle. Przygnębiona kelnerka nałóżła mu kawy i szklankę wody z lodem. On zaś gapił się bezmyślnie w rosyjskie menu, zanim zorientował się, że angielska wersja jest na odwrocie. Zamówił sok ze świeżych pomarańczy, naleśniki z bekonem i oglądał telewizję w oczekiwaniu na posiłek. Trudno było mu uwierzyć, że minęły dwadzieścia cztery godziny od wczorajszego śniadania. Wydawało mu się, że minęły dwadzieścia cztery lata.

Po wyjściu z baru szedł ulicą w stronę poczty. Ten sam młody człowiek siedział przy stanowiskach internetowych, stukał w klawisze. Szczupła, młoda kobieta, która z trudem powstrzymywała płacz, wpatrywała się w ekran sąsiedniego komputera. Łysy mężczyzna w roboczych spodniach nerwowo trząsł się i rozglądał dookoła.



Wyjmował jakieś rzeczy z torby podróźnej i wkładał do depozytu. Co chwilę spoglądał ukradkiem, czy ktoś go nie obserwuje. Ronnie zastanawiał się, co mógł

mieć w tej torbie, ale lepiej było się nie wpatrywać.

Obecnie należał do świata ludzi biednych, przypadkowych, wywłaszczonych i uciekinierów. Ich świat skupił się wokół takich miejsc jak poczta, gdzie mogli ukryć skromne skarby i odbierać korespondencję. Nie przychodzili tutaj, żeby nawiązywać znajomości, ale by pozostać anonimowymi. Dokładnie tego potrzebował.

Popatrzył na zegarek, była ósma trzydzieści. Za pół godziny ludzie, z którymi chciałby porozmawiać, powinni być w swoich biurach. Zakładając, że przyjdą dziś do pracy. Zapłacił za pół godziny korzystania z Internetu i usiadł przy stanowisku.

O dziewiętej trzydzieści Ronnie wszedł do jednej z budek telefonicznych, włożył

ćwierć dolara w szczelinę na monety i wybrał pierwszy z numerów telefonicznych z listy, którą sporządził, grzebiąc w Internecie. Czekaając na połączenie, patrzył na perforowane rogi dźwiękoszczelnej kabiny.

Przypominała mu więzienny telefon.

Głos po drugiej stronie słuchawki zaskoczył go w tych rozmyślaniach.

\* Spółka Abe Miller. Mówi Abe Miller.

Głos tego człowieka nie był nieuprzejmy, ale Ronnie nie wyczuł żadnego zainteresowania ani chęci ubicia interesu. Może Abe Miller odkrył, że świat pewnie się skończy któregoś pięknego dnia, więc po co robić jakieś podłe biznesy? Czy coś miało jeszcze znaczenie? Według Ronniego tak brzmiał głos Abe Millera.

\* Znaczki jednofuntowe z Wyspy Księcia Edwarda, niewłożone do klasera, nie były w obiegu *Ronnie najpierw się przedstawił, a potem wygłosił takie oświadczenie*

klej w doskonałym stanie, nie ma żadnych papierów klejących.

\* Czego pan oczekuje?

\* Mam cztery takie. Wziąłbym cztery tysiące za każdy.

\* Rany, to lekka przesada.

\* Ale one są idealne. Katalogi podają podwójną cenę.

\* Chodzi o to, że nie wiem, jak się potoczą sprawy w interesach. Akcje idą w dół, chyba pan rozumie.

\* Ten interes jest lepszy niż akcje, bardziej stabilny.

\* Nie jestem pewien, czy będę obecnie coś kupować. Wolałbym ten czas przeczekać, zobaczyć, co się stanie. Jeśli są rzeczywiście w tak świetnym stanie, jak pan mówi, teraz mógłbym je wziąć za dwa. Nie więcej niż za dwa.

\* Dwa tysiąki za każdy?

\* Teraz nie dam rady więcej. Jeśli pan poczeka z tydzień, zobaczymy. Może podniosę cenę, a może nie.

Ronnie rozumiał powściągliwość tego człowieka. Wybrał pewnie najgorszy poranek do robienia interesów od czasów czarnego czwartku na nowojorskiej giełdzie w 1929 roku. Nie tylko w Nowym Jorku, pewnie na całym świecie, ale nie miał wyboru. Nie miał za dużo czasu. Tak wyglądało jego życie.

Kupił drogo, sprzedał tanio. Dlaczego świat zawsze tak cholernie się z nim obchodził?

\* Odezwę się do pana \* obiecał Ronnie.

\* Pewnie, nie ma sprawy. Proszę mi przypomnieć pańskie nazwisko... W głowie mu się kotłowało, ponieważ zapomniał, jakie nazwisko wprowadził na koncie e\*mailowym.

*Nelson wypalił.*

*Czy jest pan krewnym Mike'a Nelsona z Birmingham? Pan jest Anglikiem, zgadza się? Mężczyzna się ożywił.*

*Mike Nelson?* cicho zaklął Ronnie. Nie byłoby wskazane mieć jeszcze jedną osobę z podobnym nazwiskiem w tej grze. Ludzie mogliby pamiętać, a on chciał, żeby zapomniano o nim *nie, to nie mój krewny oświadczył.*

Podziękował za rozmowę i odłożył słuchawkę. Rozmyślał o nowym nazwisku, które może warto zatrzymać. Jeśli działał biznesmen o tym nazwisku, ludzie pomyślą, że jest jego krewnym, i potraktują go z szacunkiem. W tym biznesie wiele zależało od reputacji.

Zadzwoił jeszcze do sześciu innych handlarzy. Żaden z nich nie był skłonny zaproponować lepszej ceny niż pierwszy. Dwaj z nich powiedzieli, że obecnie w ogóle nie zamierzają niczego kupować, co go zaniepokoiło. Jeżeli rynek nawet się poprawi, może należy skorzystać z oferty Abe Millera, skoro jest aktualna. Jeśli dwadzieścia pięć minut w tym niepewnym świecie również coś znaczy.

Osiem tysięcy dolarów. Były warte przynajmniej dwadzieścia. Miał przy sobie jeszcze inne. Na przykład z serii Plate 11 i kolekcjonerskie Penny Blacks z klejem na odwrocie. W normalnych warunkach zażyczyłyby sobie dwadzieścia pięć tysięcy za każdy, ale Bóg jeden wie, ile były teraz warte.

Nawet nie próbował ich sprzedać.

Pomogą mu przetrwać jeszcze prawdopodobnie przez bardzo długi czas.

Październik 2007

Grace zaczął karierę jako gliniarz pracujący w centrum Brighton. Potem szybko awansował do wydziału kryminalnego i zajął się zwalczaniem narkotyków. Znał

większość dilerów oraz odbiorców. Spotykał ich podczas nalotów policyjnych.

Niestety, ludzie, których przymykał, to były najczęściej zwykłe płotki. Policja przeważnie ignorowała tych gości. Obserwowała, czasem nawet starała się z nimi zaprzyjaźnić, w nadziei, że trafią przez nich do grubszych ryb. To znaczy pośredników, dostawców lub głównej partii towaru. Za każdym razem, gdy udało się przymknąć kilku graczy, rezerwowi zawsze czekali na ławce.

Zaparkował samochód przy Church Street, wyłączył silnik, przerywając piosenkę, którą akurat wykonywała Maria Glenn. Ufał, że w tym narkotykowym półświatku znajdzie odpowiedzi na swoje pytania.

Ubrany w garnitur i jasny płaszcz nieprzemakalny szedł ulicą, przedzierając się przez tłumy, które w porze lunchu wyłoniły się z biur, pubów i kafejek. Skręcił w lewo w Malborough Place, gdzie zatrzymał się i udawał, że dzwoni. Obszar, w którym się znajdował, zarówno na zachód, jak i na wschód był od dłuższego czasu głównym terytorium dilerów narkotykowych.

Po pięciu minutach zlokalizował dwóch mężczyzn w zniszczonych ubraniach.

Spieszyli się jakoś inaczej niż przeciętni ludzie, więc łatwo mógł ich namierzyć.

Ruszył za nimi, zachowując jednak pewien dystans. Wyższy, o mocnych ramionach, był ubrany w wiatrówkę, szare spodnie i trampki. Niższy, przysadzisty, miał na sobie dres i czarne buty. Szedł w dziwny sposób, trzymał ręce z dala od ciała i co chwilę rzucał niespokojne spojrzenie przez ramię, sprawdzając, czy ktoś ich nie śledzi.

Wyższy niósł w ręku plastikową torbę, w której z pewnością miał puszkę piwa. Picie na ulicy jest zabronione, więc większość kloszardów nosi otwarte puszki w plastikowych torebkach. Szli bardzo szybko. Może skubnąć

pieniądze? Może trafiła się jakaś większa okazja? Albo zwyczajna kradzież sklepowa? Może szli spotkać się z dilerem i kupić działkę? A może to oni są dilerami i szli na spotkanie z klientem, zastanawiał się Grace.

Dwa autobusy, jeden czerwony, drugi żółty, przejechały z łoskotem, za nimi taksówka, a potem kilka prywatnych samochodów. Zawyła syrena i wtedy obaj mężczyźni się obejrzeni. Ten przysadzisty oglądał się tylko przez prawe ramię, więc Grace starał się trzymać lewej strony, blisko wystaw sklepowych, chowając się za plecami innych ludzi.

Mężczyźni skręcili w lewo na Trafalgar Street, więc Grace był więcej niż pewien swoich przeczuć. Po kilkudziesięciu metrach skręcili w lewo i dotarli do celu wędrówki.

Pelham Square był małym, eleganckim placem w stylu regencyjnym, w środku znajdował się ogrodzony park, zabudowę stanowiły szeregowe domy. Ławki na Trafalgar Street były popularnym miejscem spotkań urzędników podczas słonecznych dni. Teraz, nawet mimo zakazu palenia, stały się jeszcze bardziej uczęszczane. Kilku ludzi jadło kanapki lub ukradkiem paliło popołudniowego papierosa. Pewnie w ogóle nie zauważyli dziwnych ludzi zgromadzonych przy ławce na końcu parku.

Grace oparł się o latarnię i obserwował ich przez chwilę. Niall Foster był jednym z nich. Podobnie jak pozostali, pił piwo z puszki ukrytej w plastikowej torebce.

Mężczyzna miał około czterdziestki. Jego ponura twarz nie budziła zaufania. Miał

fryzurę jak źle wygolony mnich. Choć było chłodno, był ubrany w koszulkę bez rękawów, dzinsy i obuwie robocze.

Grace znał go dość dobrze. Był włamywaczem i drobnym handlarzem narkotyków. Z

pewnością nadawał ton tej grupie. Obok niego siedziała naćpana kobieta o matowych, brązowych włosach. Niedaleko koczował równie niechlujny mężczyzna około trzydziestki, który zwiesił głowę między kolana.

Mężczyźni, których śledził, podeszli do Fostera. Zachowali się podręcznikowo.

Foster musiał powiedzieć każdemu z nich, że spotkają się w tym miejscu w parku o określonej godzinie. Gdyby zobaczył, że jest śledzony, wycofałby się. Opuścił park, wybrał nowe miejsce i zadzwonił do każdego klienta z informacją. Czasem odbywało się kilka takich wędrówek, zanim diler poczuł się bezpiecznie. Zazwyczaj mieli jakiegoś pomocnika do rozdawania towaru.

Foster był tani, pewnie nie chciał nikomu płacić. Poza tym znał zasady. Wiedział, że jest tylko płótką, więc teoretycznie mógłby przyciąć swoje zapasy, a potem wydobyć je z jakiejś publicznej toalety.

Niall Foster spojrział w jego kierunku. Grace ruszył w stronę chodnika i prawie zderzył się z mężczyzną, którego szukał.

Minęło wiele lat, ale Grace był zaskoczony, jak ów bandzior się postarzał. Terry Biglow był potomkiem słynnej przestępczej rodziny. Jej historia wywodzi się z czasów działalności gangów brzytw, które walczyły o swoje, wyłudzając haracze w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. W Brighton i Hove żyło mnóstwo ludzi, których ogarniało przerażenie nawet na wzmiankę o nich. Obecnie większość starszyzny nie żyła, młodzi zaś odsiadywali długie wyroki lub zbiegli do Hiszpanii.

Ci, którzy pozostali, jak Terry, byli zepsuci dawnym bogactwem.

Terry Biglow zaczął karierę jako domokrążca, potem miał melinę paserską i dorywczo handlował narkotykami. Zwykle był szykowny, z ulizaną fryzurą zaczesaną do tyłu w stylu lat pięćdziesiątych, nosił tanie, ale eleganckie ciuchy. Teraz musiał mieć z sześćdziesiąt lat, choć wyglądał starzej.

Stary drań nadal miał starannie uczesane włosy, choć tłuste, przerzedzone i posiwiałe.

Jego twarz była bladożółta i zapadnięta, pewnie z powodu wycieńczenia, a ostre, małe zęby miały rdzawy kolor. Wyglądał jak jakiś gryzoń. Nosił sfatygowany garnitur, spodnie przepasane tanim paskiem. Grace miał wrażenie, że Terry skurczył

się i pachniał stęchlizną. Jedynymi znakami, które zostały po tamtym Biglowie, był

ogromny, złoty zegarek i potężny pierścień ze szmaragdem.

\* Pan Grace, detektyw Grace, miło pana widzieć! Co za niespodzianka!

Właściwie to taka znowu niespodzianka, prawie stwierdził Roy.

Cieszył się, że spotkanie wygląda na przypadkowe.

\* Jestem nadinspektorem! \* poprawił go.

\* Och tak, oczywiście! Zapomniałem *powiedział piskliwym głosem* awans.

Zasłużył pan, inspektorze, przepraszam, nadinspektorze. Jestem czysty. Odnalazłem Boga w więzieniu.

*Sporo czasu to zajęło, no nie?* zaripostował Grace.

*Teraz nie robię nic nielegalnego* oznajmił śmiertelnie poważny Biglow, całkowicie nie zauważając lub ignorując żart Grace'a.

\* Więc to tylko przypadek, że stoisz tutaj, podczas gdy Niall Foster sprzedaje narkotyki w parku?

\* Kompletny przypadek \* bronił się Biglow, ale jego rozbiegane oczy temu przeczyły

\* kolega i ja idziemy sobie na spacer. Tylko przechodziliśmy.

Biglow odwrócił się do obszarpanego kompana. Grace znał tego człowieka. To był

Jimmy Bardolph, popychadło Biglowów. Choć pewnie już nie jest. Mężczyzna śmierdział alkoholem, miał potargane włosy i twarz pokrytą strupami. Chyba nie mył

się od chwili, gdy opuścił łóżysko matki.

\* To mój przyjaciel, nadinspektor Grace, Jimmy. To dobry człowiek. Zawsze był w porządku wobec mnie. Takiemu gliniarzowi jak pan Grace możesz zaufać.

Mężczyzna wyciągnął żylastą, brudną rękę z przydługiego rękawa płaszcza nieprzemakalnego.

\* Miło pana widzieć, sir. Może mógłby mi pan pomóc?

*Muszę pogadać z tobą o twoim dawnym kumplu Ronniem Wilsonie.* Grace zignorował słowa Jimmy'ego.

*Ronnie!* wykrzyknął Biglow.

Kątem oka Grace zobaczył, że Foster bez wątpienia teraz go rozpoznał. Gorączkowo przemierzał park. Chyłkiem zbliżał się do wyjścia, rzucił czujne spojrzenie w stronę Grace'a i wyszedł na ulicę. Podążył szybkim krokiem, trzymając komórkę w ręce.

*Ronnie!* powtórzył Biglow. Tęsknie się uśmiechnął i pokiwał głową. \* Dobry, stary Ronnie. Nie żyje. Wie pan o tym, prawda? Panie świeć nad jego duszą.

Świeże powietrze nie wpływało zbawiennie na ból głowy, więc postanowił pójść za radą Belli i zjeść gorące, tłuste śniadanie.

\* Jadłeś już lunch? \* zapytał.

\* Nie, właśnie szliśmy do baru. *Terry Biglow nagle się uśmiechnął, zadowolony ze swojego alibi.* Widzi pan, dlaczego Jimmy i ja tu jesteśmy. Właśnie szliśmy coś zjeść w tak piękny poranek.

\* W porządku. W takim razie prowadź. Ja stawiam.

Podążył za nimi. Jimmy stawiał małe, gwałtowne kroki, jak mechaniczna zabawka, którą trzeba nakręcić. Po chwili weszli do pubu.



Październik 2007

abby usłyszała trzaśnięcie drzwi. Na chwilę jej nadzieje wzrosły. Może zdarzył się cud i przyszedł dozorca?

Rozległ się pisk butów. Najpierw zobaczyła cień.

Ricky wbiegł do łazienki jak tornado i uderzył ją w twarz. Wzdrygnęła się.

\* Ty cholerna mała suko!

Uderzył ją mocniej. Prawie go nie poznała. Był zamaskowany. Miał granatową czapkę nasuniętą na twarz, ciemne okulary, wielką brodę i wąsy. Zrobił krok do tyłu, podniósł torbę i wysypał zawartość na podłogę.

Wypadła wiertarka, duże szczypce, młotek, strzykawki, brzytwa.

\* Od czego mam zacząć, dziwko?

Jęk przerażenia wy dostał się z jej gardła. Czowała, jak rozpada się wewnątrz. Oczami dawała mu błagalny znak.

*Słyszałaś mnie?* Patrzył prosto na nią.

Usiłowała sobie przypomnieć, w którą stronę było „nie”. W lewo. Przesunęła oczy w lewo.

Ricky ukląkł, podniósł brzytwę i zbliżył do jej prawego oka. Potem przyłożył ją do ciała. Abby czowała zimną stal na brwi. W przerażeniu płytko oddychała.

\* Mam wyciąć jedno z oczu? I zabrać sobie? Dałoby radę? Wtedy byłoby ciemniej.

Desperacko trzymała oczy po lewej stronie.

\* Spróbuję, przecież mogę. Zabiorę ze sobą i zobaczymy, co się stanie.

Nie, nie, nie.

\* Bardzo sprytne. Biometria. Identyfikacja tęczówki. Myślisz, że to bardzo sprytne, no nie? Zamknęłaś wszystko w depozycie, który wymaga rozpoznania tęczówki. Co by było, gdybym wyjął ci oko i zabrał ze sobą? Sprawdził, czy zadziała? Jeśli nie, to wrócę po drugie.

Szaleńczo przesuwiała oczy w lewą stronę.

\* Oczywiście, gdyby się nie udało, to obydwójce będziemy mieli problem, bo będziesz ślepa i nic z tego nie wyjdzie. A ty wiesz o tym, zgadza się?

Nagle wyciągnął rękę. Nagłym ruchem zdarł taśmę z jej ust. Krzyknęła w

udręce.

Zabolało, jakby wyrwał jej kawał skóry. Wyschniętym gardłem połknęła powietrze, twarz jej płonęła.

\* Mów do mnie, zdziro.

\* Proszę, daj mi trochę wody. \* Jej głos brzmiał jak skrzek.

\* No pięknie! *wykrzyknął*. No ładnie! Ukradłaś wszystko, co miałem, zmusiłaś do wycieczki przez pół świata i co masz mi do powiedzenia?

*Naśladował jej głos.*

„Och, proszę, Ricky, daj mi trochę wody”. *Potrząsnął głową*. Jaką wolisz gazowaną czy nie? Z kranu czy z butelki? A co powiesz na wodę z toalety, do której nasikałaś? Będzie ci pasować? Przynieść z lodem czy z cytryną?

*Cokolwiek skrzeczała.*

*Zaraz ci coś przyniosę oświadczył wczoraj powinnaś była powiesić na drzwiach menu, wtedy miałbym wszystko, czego sobie życzysz. Ale nie zrobiłaś tego, bo byłaś związana przez swojego okradzionego, starego kochanka Ricky’ego. Wyszczерzył*

*zęby. \* Związana, śmieszne, no nie?*

Nic nie odpowiedziała. Usiłowała myśleć trzeźwo. Upewniała się, że nie powiedziała niczego, czym mogłaby go zrazić. Było dobrze, że w końcu pozwolił jej się odezwać.

Wiedziała, że rozpaczliwie chciał odzyskać to, co ukradła.

Nie był głupcem. Potrzebował jej. Czy chciał, czy nie, musiał zawrzeć z nią jakiś układ. Przysunął komórkę do jej ucha. Uruchomił pocztę głosową. Wiadomość trwała kilka sekund, ale jemu wystarczyła.

To była rozmowa pomiędzy Abby i jej matką. Niedzielna rozmowa, którą dobrze pamiętała.

\* Posłuchaj, mamó, musisz wytrzymać. Jestem w kontakcie z domem opieki Cuckmere House. Mają tam piękny pokój z widokiem na rzekę. Będzie wolny za kilka tygodni, zarezerwowałam go. Znalazłam w Internecie. Wygląda nieźle.

Oczywiście przyjadę i pomogę ci w przeprowadzce.

Potem Abby usłyszała odpowiedź matki, Mary Dawson, która mimo choroby oponowała.

\* A skąd weźmiesz pieniądze, Abs? Wiem, że pokoje w takich miejscach są bardzo drogie. Dwieście funtów dziennie albo nawet więcej...

\* Nie martw się, mamó. Zadbłam o to. Ja... Nagranie nagle się urwało.

*I to w tobie lubię, Abby* powiedział Ricky, uporczywie patrząc jej w oczy

\* jesteś ucieleśnieniem dobroci.

Październik 2007

W pubie panował smród smażonego tłuszczu. Grace pomyślał, że samo przebywanie w takim miejscu może podnieść cholesterol do poziomu zawału serca. Mimo to zamówił jajka, bekon, kiełbaski i frytki, tosty i colę. Był zadowolony, że Glenn Branson i Cleo go nie widzą. Mogliby go zbesztać za taką dietę.

Ronnie Biglow zamówił jajka i frytki. Jego bezmyślny kolega chciał tylko herbatę.

Rozpaczliwie patrzył na nadinspektora, jakby był jedynym człowiekiem na ziemi, który mógłby uratować go przed czymś, czego sam dokładnie nie potrafił

sprecyzować. Chyba przed samym sobą, stwierdził Roy. Jimmy łyknął potężny haust whisky. Roy policzył, ile tatuaży ma na kostkach. Jedna kropka to jeden rok w więzieniu. Doliczył się siedmiu.

*Jestem teraz czysty, panie Grace* nagle zakomunikował Terry Biglow.

\* Już mówiłeś. To sprawka Boga.

\* Mój brat jest bardzo chory, ma raka trzustki. Pamięta pan Eddiego? Przepraszam, nadinspektorze Grace?

Grace pamiętał, nawet gdyby nie chciał. Nigdy nie zapomni zeznań jednej z ofiar Eddiego Biglowa. Twarz tego człowieka była pocięta szkłem od czoła aż do brody, ponieważ powiedział coś niegrzecznego przy barze w momencie, gdy Biglow się tam przepychał.

\* Tak, pamiętam go.

\* Właściwie *kontynuował Biglow* to ja też mam raka.

*To smutne* odparł Grace.

\* Mój żołądek, rozumie pan?

\* Jest aż tak źle? \* zapytał Grace.

Biglow wzruszył ramionami, jakby to było coś nic nieznaczącego, ale w oczach miał strach.

\* Nie wiem, kto się mną zaopiekuje, gdy on odejdzie \* rozsądnie zawyrokował

Jimmy i pociągnął kolejny łyk. Potem zaskomlał w stronę Grace'a: \*

Potrzebuję ochrony.

Grace nie zwrócił na niego uwagi. Kelnerka przyniosła colę, więc natychmiast się napił.

\* Terry, ty i Ronnie Wilson byliście kumplami, prawda?

\* No, byliśmy.

\* Zanim poszedłeś do więzienia?

\* No. Wie pan, że nie wkopałem go w odsiadkę? *W zamyśleniu mieszał cukier w herbacie.* Wszystko wziętem na siebie.

\* Znałeś jego żonę?

\* Obydwie.

*Obydwie?* Grace był zdziwiony.

\* No, Joannę, a potem Lorraine.

\* Kiedy ożenił się ponownie? Terry podrapał się po głowie.

\* Cholera, kilka lat po tym, jak opuściła go Joanna. Ona była irytującą ślicznotką.

Nie lubiłem jej. Naciągała mężczyzn na pieniądze.

Uczepiła się Ronniego, bo był wystrzałowy. Nie wiedziała, że on nie miał forsy. \*

Poklepał się znacząco po nosie. \* Ronnie nie był dobrym biznesmenem. Zawsze dużo gadał i miał wielkie plany. Ale nie miał nosa do interesów. Więc kiedy Joanna go rozpracowała, to związała.

\* Dokąd?

\* Do Los Angeles. Jej matka zmarła i ona coś tam dostała. Pewnego dnia Ronnie obudził się, a jej nie było. Zostawiła tylko kartkę, że wyjeżdża robić karierę jako aktorka.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Terry maczał frytki w occie, a potem wysypał na nie połowę zawartości solniczki. Grace nalał trochę sosu gravy, a potem sięgnął po butelkę z keczupem.

\* Z kim kontaktowała się po wyjeździe do Los Angeles?

*Myślę, że z nikim. Nikt z nas jej nie lubił. Moja była jej nie znosiła. A Joanna nie miała żadnego interesu w tym, żeby się z nami przyjaźnić* powiedział Biglow i nabił frytkę na widelec.

\* Stąd pochodziła?

\* Nie, z Londynu. Poznał ją chyba w jakimś barze erotycznym w Londynie. \*

Ponownie sięgnął po frytkę.

\* A jego druga żona?

\* Lorraine. Była w porządku. Też była ślicznotką. Długo mu zajęło, zanim ją poślubił. Około dwóch lat. Nie mógł dostać rozwodu z powodu Joanny, która gdzieś związała.

Bardzo trudno byłoby podpisać dokumenty rozwodowe komuś, kto butwieje w kanale, pomyślał Grace.

\* Gdzie znajdzie Lorraine?

Biglow popatrzył na niego nieprzyjemnie.

*Ktoś musi się mną zaopiekować ponownie zaskamlał Jimmy.*

*Widzisz, że rozmawiam? Więc się zamknij i daj spokój.* Biglow zwrócił się do kumpla, a potem do Grace'a. *Lorraine? Cóż, gdyby chciał pan ją znaleźć, to musiałby pan wsiąść na łódź i założyć kombinezon pletwonurka. Popęłniła samobójstwo. Pewnej nocy wyskoczyła za burtę promu linii NewhavenDieppe.*

Grace stracił zainteresowanie jedzeniem.

\* Wiesz coś więcej na ten temat?

\* Była w depresji po śmierci Ronniego. Zostawił ją w strasznym finansowym dołku.

Zabrano jej dom, prawie wszystko oprócz kilku znaczków.

\* Znaczków?

\* No, to był konik Ronniego. Cały czas nimi handlował. Chciał je upłynnić, by mieć gotówkę.

\* Myślałem, że rodziny ofiar ataku z jedenastego września dostały duże odszkodowania. Ona nie?

\* Nigdy o tym nie wspominała. Stała się samotniczką. Gdy zabrali jej dom, wynajmowała mieszkanie na Montpellier Road.

\* Kiedy zaginęła?

\* To było chyba w listopadzie. Ataki były w roku dwutysięcznym pierwszym, więc ona odeszła w listopadzie dwa tysiące drugiego roku. Szły święta. Wie pan, co mam na myśli? Boże Narodzenie to trudny czas dla samotników. Więc wyskoczyła z promu. \* Terry myślał chwilę, po czym poukładał wydarzenia.

\* Czy znaleziono ciało?

\* Nie wiem.

Grace zrobił notatkę, podczas gdy Biglow jadł. Grace skubnął trochę, ale jego myśli krążyły wokół innych spraw. Jedna żona wyjechała do Ameryki i

skończyła w kanale ściekowym w Brighton. Druga żona wyskoczyła z promu. Miał teraz mnóstwo pytań.

\* Czy mieli dzieci?

\* Gdy widziałem Ronniego ostatni raz, mówił, że się starali. Ale mieli problemy.

\* Z kim oprócz ciebie przyjaźnił się jeszcze Ronnie Wilson? \* Grace był zadowolony.

\* Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Kumplami, ale nie przyjaciółmi. Był taki jeden Donald Hatcook. Najpewniej Ronnie był w jego biurze jedenastego września. W

jednej z wież WTC. Donald był skurczybykiem *zastanawiał się przez chwilę* był

jeszcze Chad Skeggs, ale on wyjechał. Zdaje się, że do Australii.

\* Chad Skeggs?

\* No.

Grace kojarzył to nazwisko z człowiekiem, który kilka lat temu był w kłopotach. Nie umiał sobie przypomnieć, z jakiego powodu.

\* Widzi pan, wszyscy odeszli. Myślę, że tutaj zostali chyba tylko Klingerowie. Steve i Sue, zna pan ich? Mieszkają na Tongdean.

Grace pokiwał głową. Znał ich wystawny dom na Tongdean Avenue. Policja interesowała się Stephenem od niepamiętnych czasów. Każdy wiedział, że Klinger, który obecnie był sprzedawcą samochodów, nie zbił fortuny w uczciwy sposób.

Wszystkie jego nocne kluby, bary, kafejki, wynajmowanie pokoi studentom było tylko praniem pieniędzy z jego prawdziwych interesów, czyli narkotyków. Ale odkąd stał się baronem narkotykowym, wymagającym bossem, starał się, by nic nie można było na niego znaleźć.

\* Ronnie zaczął z nim pracować *kontynuował Biglow* ale wpadli na dużej liczbie przebitych aut. Dokładnie to nie wiem, co się stało, ale zwinęli interes w ciągu nocy.

Spalili garaż ze wszystkimi dokumentami. Tak było im wygodniej. Nigdy nie postawiono im zarzutów.

Grace dodał nazwisko Klingerów do listy osób, które muszą być przesłuchane przez jego zespół. Zamaczał kawałek tostów w żółtku jajka.

*Terry* zaczął \* jak postrzegasz Ronniego?

\* Ale o co panu chodzi?

\* Jakim on był facetem?

\* Pieprzonym psycholem! \* niespodziewanie Jimmy wtrącił swoje trzy grosze.

\* Zamknij się! *ryknął Biglow*. Ronnie nie był psycholem. Ale miał charakterek, to potwierdzam.

*Był pieprzonym psycholem* upierał się Jimmy. Biglow uśmiechnął się do Grace'a.

\* Miał trochę nie po kolei w głowie, był swoim własnym wrogiem. Wkurzał się na świat, bo nie miał takich sukcesów jak jego koledzy, rozumie pan?

Jak ty? Grace zachował tę myśl dla siebie.

\* Chyba tak \* odpowiedział.

\* Wie pan, co mój ojciec o nim powiedział?

Grace jadł tłustą kiełbasę, więc tylko pokręcił głową.

*Powiedział, że to był taki facet, który chwyciłby każdą okazję, żeby cię wykorzystać, ale nie był groźny* Biglow zachichotał \* taki był nasz Ronnie. Panie świeć nad jego duszą!



12 września 2001

Ronnie czuł się o wiele lepiej. Ponownie miał przy sobie pieniądze. A konkretnie w lewej kieszeni. Zbiór mamony, tak lubił to nazywać. Cały czas trzymał lewą rękę w kieszeni, dzierżąc zwitek nowych studolarowych banknotów w drodze z Manhattanu do stacji Brighton Beach, gdzie wysiadł.

Nie wyciągając ręki z kieszeni, wszedł na pocztę, gdzie zdeponował pięć tysięcy sześćset dolarów. Potem wstąpił do sklepu, gdzie kupił kilka białych koszul, skarpetki, bieliznę, dzinsy i lekką kurtkę. W sklepie obok kupił bejsbolówkę z napisem „Brighton Beach”. Następnie w sklepie ze sportowymi ciuchami nabył parę tanich adidasów.

Po drodze kupił kanapkę z wołowiną i korniszonem oraz colę i wrócił do wynajętego pokoju. Włączył telewizję, przebrał się. Stare ubrania włożył do plastikowej torby, w której przyniósł nowe ciuchy.

Oglądał telewizję i jadł lunch. Widział sceny, które były mu bardzo dobrze znane. Na przykład przemówienia George’a Busha, który deklarował rozpoczęcie walki z terroryzmem, i komentarze innych przywódców państw. Zdjęcia rozradowanych ludzi w Pakistanie, którzy skakali ze szczęścia na ulicach, śmiali się, dumnie pokazywali wulgarne antyamerykańskie transparenty.

Ronnie był zadowolony z siebie. Zmęczenie minęło. Był w euforii. Zrobił coś niezwykłego, pojechał do strefy wojny i wrócił cało. Był na fali!

Skończył posiłek, wziął torbę ze starymi ubraniami i wyszedł. Wyrzucił wszystko do śmierdzącego kontenera wypełnionego po brzegi zgniłym jedzeniem. Z nową energią udał się do baru Moskwa.

Było pusto jak wczoraj. Ucieszył się, że przy barze siedział jego Nowy Najlepszy Przyjaciel Borys. Trzymał papierosa w ręce, komórkę przy uchu, opróżniona do połowy butelka wódki stała tuż przed nim. Z tą różnicą, że dzisiaj miał różową koszulkę ze złotym napisem „Genesis World Tour”.

Ten sam karzeł barman przecierał szklanki brudną ścierką. Rozpoznał Ronniego i skinął głową.

*Wróciłeś zaczął łamaną angielszczyzną. Myślałem, że może poszedłeś pomóc*

wskazał ekran telewizora \* potrzebują ochotników do odkopywania ciał.

Sądziłem, że się zgłosiłeś.

\* Może odpowiedział Ronnie może się zgłoszę.

Wspiął się na stółek barowy, obok swojego przyjaciela, czekał, aż skończy rozmowę, która wyglądała na biznesową, a potem walnął go w plecy.

\* Witaj Borys, co słychać?

W odpowiedzi otrzymał potężne uderzenie, po którym o mało co nie wypadły mu wszystkie plomby.

\* Przyjacielu! Jak się masz? Znalazłeś pokój wczoraj? Wszystko okej?

*Jest wspaniały* Ronnie pochylił się i podrapał po kostce u nogi \* cudowny, dziękuję ci.

\* To dobrze. Dla znajomego z Kanady zrobię wszystko.

Bez ponagleń barman podał im półlitrowkę alkoholu, a Borys nalał wódkę do kieliszków.

Trzymając delikatnie naczynie w ręce, wznosił toast.

\* Carpe diem!

Wódka dobrze wchodziła. Był uzależniony od jej cytrynowego smaku. Drugi kieliszek spłynął jeszcze lepiej.

Rosjanin ostrzegawczo pomachał ręką w stronę Ronniego i spojrzał mu prosto w oczy. Grymas przekształcił się w uśmiech.

\* Pamiętasz, co ci mówiłem wczoraj?

\* Co konkretnie?

\* Gdy wznosisz toast w Rosji, zawsze pijesz cały kieliszek. Pije się do dna. Pokażę ci! \* Borys opróżnił naczynie jednym haustem.

Dwie godziny później, wymieniając się niezwykłymi historiami na temat przeszłości, Ronnie czuł zawroty głowy i z trudem utrzymywał się na barowym stolku. Borys maczał palce w wątpliwych interesach. Na przykład w imporcie podróbek markowych perfum i wód kolońskich czy załatwianiu zielonych kart dla rosyjskich imigrantów. Pośredniczył w organizowaniu pracy dla rosyjskich dziwek, które chciały zrobić karierę w Ameryce. Zapewniał jednak Ronniego, że nie był sutenerem.

Co jak co, ale nigdy nie był alfonsiem.

\* Wiem, kolego, że masz kłopoty. Pomogę ci! Nie ma takiej sprawy, w której nie mógłbym ci pomóc \* oświadczył Borys i objął Ronniego ramieniem.

Ronnie dostrzegł w przerażeniu, że Borys jeszcze raz napełnił kieliszki. W telewizji wciąż nadawano relacje na ten sam temat. Czy może zaufać temu

gościowi? Komuś będzie musiał. Mimo otumanionego umysłu stwierdził, że Borys nie jest facetem, który będzie mu prawił morały.

\* Właściwie *powiedział* mam kolejną prośbę.

*Dla mojego kanadyjskiego przyjaciela wszystko. Co mogę dla ciebie zrobić?*

Rosjanin nie odrywał oczu od telewizora, w którym przemawiał burmistrz Giuliani.

Ronnie zdjął czapkę, przybliżył się, zniżył głos, prawie szeptał.

\* Znasz kogoś, kto zrobiłby nowy paszport i wizę?

\* A ty myślisz, że to jest ambasada? Przecież to bar. Jasne? \* Rosjanin popatrzył na niego surowo.

Ronnie przestraszył się gwałtowności mężczyzny. Wtedy ten szeroko się uśmiechnął.

\* Paszport i wiza. Oczywiście. Nie bój żaby. Wszystko, co tylko chcesz. Nie ma problemu. Mam przyjaciela, który to załatwi. On potrafi załatwić każdą sprawę. Masz forszę?

\* Ile potrzeba?

\* To zależy od tego, jaka będzie wiza. Dam ci namiary na niego. Ja nie potrzebuję niczego. Jasne?

\* Jesteś równy gość.

\* Carpe diem! \* Rosjanin wznosił kolejny toast. Reszta wieczoru była jedynie mglistym wspomnieniem.

Październik 2007

Abby patrzyła w odrętwieniu przez przednią szybę szarego wypożyczonego forda focusa. Nie myślała, że koszmar może się pogłębić, a jednak tak było.

Niebo było niebieskie, gdy dojechali do obwodnicy A27 Brighton. Po prawej znajdowała się dzielnica Patcham, po lewej zaś roztaczał się wiejski krajobraz.

Myślała o wolności. Wciąż była więźniem, choć zdjął z niej krępujące więzy i była ubrana w dżinsy, sweter, polarową kurtkę i adidasy. Po niedawnych deszczach trawa była bujna i zielona. Gdyby nie hałas klimatyzacji w aucie, można by pomyśleć, że jest lato. Niestety, w jej sercu gościła najsroźsza zima.

By zdobyć nagranie rozmowy, musiał założyć podsłuch w telefonie jej matki.

Ricky prowadził w męczącej ciszy. Ostrożnie trzymał się dozwolonej prędkości, nie chciał ryzykować zatrzymania. Miał w sobie złość, którą dusił od dwóch miesięcy.

Zaczynał się zjazd na autostradę, więc włączył kierunkowskaz. Znał drogę, bo jechał

nią już dziś rano. Słuchała równych kliknięć i obserwowała mrugającą strzałkę.

Wreszcie wypila wodę i zjadła kawałek chleba i banana. Czuła, że wraca powoli do siebie, choć bardzo bała się o matkę. W jaki sposób Ricky ją znalazł? Pewnie w ten sam, co ją. Myślała intensywnie. Usiłowała przypomnieć sobie, czy zostawiła jakąś wskazówkę w Melbourne. Jak, do cholery, znalazł jej adres? Może to nie było aż tak trudne. Znał jej nazwisko i pewnie w rozmowach wspominała swoją owdowiałą matkę, która mieszka w Eastbourne. Ilu ludzi o nazwisku Dawson trzeba sprawdzić w książce telefonicznej? Prawdopodobnie niewielu. Z pewnością nie tak wielu dla zdeterminowanego mężczyzny.

Nie odpowiadał na żadne pytania.

Jej matka była bezbroną kobietą. Dopadła ją skleroza, choć nadal posługiwała się telefonem komórkowym. Chociaż była niesamowicie

niezależna, nie miała sił

fizycznych. Dziecko mogłoby ją powalić, więc była narażona na atak jakiegokolwiek intruza. Stanowczo odmówiła założenia alarmu. Abby wiedziała, że czasem odwiedzali ją sąsiedzi i że miała koleżankę, z którą chodziła na bingo w soboty. Ale to było wszystko, więc tak właściwie, matka była samotna.

Ricky znał jej adres. Wiedziała, jakim potrafi być sadystą, toteż bardzo bała się o matkę. Nie chodziło mu o powrót do dawnych relacji. Chciał ją po prostu zranić, wciągając w to jej matkę. Pamiętał z ich rozmów w Australii, jak bardzo ją kocha.

Mówiła o niej, kiedy otworzyła się przed nim, starając się zdobyć jego zaufanie.

Opowiadała o poczuciu winy, że przeprowadziła się na drugi koniec świata, gdy matka bardzo jej potrzebowała. Ricky będzie celebrował zemstę na matce, by jak najbardziej ją zranić.

Dojeżdżali do ronda. Skręcił w drugą ulicę w prawo i jechał w dół. Po prawej stronie rozciągał się widok na pola i domy. Po lewej przemysłowe osiedle Hollingbury.

Wielokilometrowe skupisko sklepów, fabryk i hurtowni z lat pięćdziesiątych, które przekształcono w biura i nowoczesne firmy. Jeden z budynków, słabo teraz widoczny, bo zasłaniał go supermarket ASDA, był główną siedzibą policji w Sussex. Ale Abby nie wiedziała o tym. Nawet gdyby wiedziała, nie podjęłaby ryzyka, żeby tam pójść.

Mimo wszystko, nieważne w jaki sposób, Ricky zdobył te rzeczy. To ona była złodziejką. Nie usprawiedliwiał jej fakt, że okradła oszusta.

Poza tym, gdyby zaczęła go atakować, mogłaby stracić wszystko. Oboje znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Jednocześnie wiedziała, że nawet jeśli odda mu pieniądze, to nie ma gwarancji, że jej nie zabije.

Zobaczyła ogromny gmach z napisem „British Bookshops”, potem budynek gazety

„Argus”, napis „Matalan” i salon Renault. Prawie zapomniał skręcić. Ricky zaklął, gwałtownie zahamował, aż zapiszczały opony, i skręcił kierownicą. Jechał szybko i zatrzymał się raptem o kilka centymetrów od volvo, które prowadziła drobna kobieta.

Wyjeżdżała wprost z parkingu.

*Ty głupia krowo* powiedział cicho. Kobieta odpowiedziała mu, pukając się w czoło. Abby miała nadzieję, że wysiądzie z samochodu i zacznie

kłótnię.

Niestety volvo pojechało w swoją stronę, a oni ruszyli dalej stromą ulicą. Minęli parking i zaplecze hurtowni. Wjechali przez masywną, stalową bramę na plac, gdzie napotkali znaki informujące o monitoringu. Parkowały tam pancerne vany do przewożenia gotówki i tracki. Każdy miał charakterystyczny czarny kolor ze złotym napisem oraz emblematem Southern Deposit Security.

Dotarli do nowoczesnego budynku o małych oknach, który sprawiał wrażenie fortecy. Prawdę mówiąc, był prawdziwą fortecą.

Ricky zaparkował na miejscu z napisem „Dla klientów” i wyłączył silnik. Potem zwrócił się do Abby.

\* Spróbujesz jakiejś sztuczki, a twoja matka umrze. Rozumiesz?

\* Tak \* wykrztusiła z siebie.

Cały czas gorączkowo myślała. Usiłowała ułożyć plan, jak rozegra najbliższe chwile.

Starła się to sobie wyobrazić. Przypomnieć sobie swoją siłę.

Tak długo, jak miała jego „skarb”, on musiał z nią negocjować. Mógł się odgrażać, ale musiał się z nią liczyć. Musiał pozostawić ją nietkniętą. Ufała, że przy odrobinie szczęścia matka też będzie żyć.

Miała plan. Ale nie przeanalizowała go dokładnie i wszystko się rozmyło, gdy wysiadła z auta. Poczula się jak galareta, strzępek nerwów. Musiała się chwycić dachu, ponieważ chciało się jej wymiotować.

Gdy poczuła się lepiej, Ricky wziął ją pod rękę i weszli do środka. Wyglądali jak inne pary, które przyszły złożyć depozyt lub wypłacić pieniądze albo po prostu sprawdzić kondycję rodzinnego srebra. Gdy spojrzała na jego kamienne oblicze, poczuła obrzydzenie. Zastanawiała się, jak mogła kiedykolwiek robić z nim te wszystkie fikuśne rzeczy.

Nacisnęła na dzwonek przy wejściu, została zlustrowana przez czujną kamerę i podała swoje nazwisko. Drzwi otworzyły się, przeszli przez podwójne zabezpieczenia i weszli do surowego, jakby wykutego z granitu wnętrza.

Dwóch krzepkich, beznamiętnych mundurowych stało tuż za drzwiami. Dwóch pozostałych obsługiwało okienko za szklaną szybą. Podeszła i rozmawiała przez dziurki. Zastanawiała się, czy powinna dać jakiś rozpaczliwy sygnał, ale nie zaryzykowała.

\* Katherine Jennings *powiedziała nieśmiałym głosem* chcę odebrać mój depozyt.

Przesunął dziennik pod szybą.

\* Proszę to wypełnić. Czy oboje państwo wchodzić?

\* Tak.

\* To proszę złożyć dwa podpisy.

Abby wpisała nazwisko, datę i godzinę. Potem przesunęła dziennik w stronę Ricky'ego. Gdy skończył, wsunęła dziennik z powrotem. Strażnik wpisał ich dane do komputera. Wydrukował identyfikatory, włożył do plastikowych osłonek, dodał

spinacz i przesunął na ladzie.

\* Wie pani, co należy robić? \* zapytał Abby.

Kiwnęła głową. Prawą stroną przeszli do zabezpieczonych drzwi.

Przyłożyła prawe oko do skanera siatkówki i nacisnęła zielony przycisk.

Drzwi szczęknęły. Pchnęła je, przytrzymała, żeby Ricky również mógł wejść. Stanęli na progu klatki schodowej. Abby szła pierwsza, słyszała kroki Ricky'ego tuż za sobą.

Na dole były masywne, stalowe drzwi i kolejny biometryczny skaner. Przysunęła prawe oko i ponownie nacisnęła zielony przycisk. Usłyszeli głośny trzask i weszli do długiej, wąskiej, lodowatej krypty.

Pomieszczenie miało ze sto metrów długości i dwadzieścia szerokości. Na dalekim końcu były depozyty, każdy z osobnym numerem.

Szafki miały różne rozmiary. Po prawej stronie były głębokie na prawie dwanaście centymetrów, po lewej na cztery, te na końcu zaś miały wysokość dwunastu centymetrów. Abby zastanawiała się, jakie skarby kryją się w tych depozytach. Czy zostały nabyte legalnie, czy w inny sposób?

Ricky trzymał klucz, chciwie spoglądał na numery szafek.

\* Cztery\*dwa\*sześć? \* powtarzał.

Wskazała dolny depozyt po lewej stronie. Ricky prawie pobiegł we wskazanym kierunku.

Wsunął mały, płaski klucz w szczelinę i niepewnie przekręcił. Dobrze naoliwiony zamek gładko chodził. Obracając klucz, nasłuchiwał chrzęstu mechanizmu. Uwielbiał

zamki. Miał świadomość, jak wiele od nich zależało. Pociągnął za klucz, ale drzwiczki ani drgnęły. Miał przed sobą bardziej skomplikowany mechanizm, niż sądził. Jeszcze raz przekręcił klucz, wyczuwając pracę urządzenia. Wtedy ciężkie, metalowe drzwiczki ustąpiły. Ricky zajrzał do środka. Zamurowało go ze zdumienia, ponieważ szafka była pusta.

Odwrócił się, głośno przeklinając Abby. Kolejny raz się zdumiał, gdyż klął sam do siebie.



Październik 2007

Abby biegła sprintem. W Melbourne biegła prawie codziennie rano. Mimo że ostatnio nie ćwiczyła za dużo, nadal była w znośnej kondycji.

Biegła, nie oglądając się za siebie. Przez parking, mijając samochody i bramę, prosto na wzgórze. Zanim skręciła w prawo, w krzaki rozpościerające się przed sklepami, obejrzała się. Na szczęście Ricky jeszcze się nie pojawił.

Brnęła przez zarośla. Nie chciała, żeby zobaczył ją jakiś listonosz albo wścibskie baby, kiedy gnała przez parking w stronę sklepu MFI. Zatrzymała się, gdy dobiegła do wejścia. Nadal nie było śladu Ricky'ego.

Weszła do budynku. Uderzył ją charakterystyczny zapach świeżych mebli.

Przemykała się między klientami. Minęła salon z meblami biurowymi, umeblowany pokój gościnny i sypialnię. Znalazła się na końcu sklepu przy akcesoriach łazienkowych. Dookoła niej było mnóstwo pryszniców i pojedynczych kabin.

Patrzyła na główne przejście; nie widziała Ricky'ego.

Serce jej dygotało, jakby Ricky rozwalił jej wnętrzności. Nadal trzymała plastikowy identyfikator. Ricky nie pozwolił jej zabrać torebki, ale zdołała ukryć komórkę z gotówką, kartę kredytową i klucz do mieszkania matki. Wyłączyła telefon, ponieważ zawsze istniała możliwość, że może zadzwonić. Wyciągnęła go teraz i włączyła.

Natychmiast zadzwoniła do matki.

Nie odbierała. Od dawna błagała ją, żeby zainstalowała automatyczną sekretarkę, ale nadal tego nie zrobiła. Abby wiele razy nie mogła się do niej dodzwonić.

W jednej z kabin prysznicowych była maleńka ławeczka. Weszła do środka, usiadła i słuchała dźwięków nieodebranych połączeń. Cały czas rozmyślała. Była spanikowana. Wszystkie pomysły gry na zwłokę teraz się jej wyczerpały. Nie była w stanie skupić się na niczym. Potrafiła jedynie naciskać przycisk, uzyskując to samo połączenie.

Ricky groził, że zabije jej schorowaną matkę. Ale ona miała nad nim przewagę.

Posiadała bogactwo, które Ricky desperacko chciał odzyskać. To ona

rozdawała karty, a Ricky mógł sobie krzyczeć, ile chciał.

Bo miała wszystko, czego on chciał.

Z wyjątkiem...

Ukryła twarz w rękach. Miała do czynienia z kimś nienormalnym. Ricky był jak robot.

Głos, który usłyszała, sprawił, że prawie podskoczyła.

\* Dobrze się pani czuje? Czy mogę w czymś pomóc?

Młody sprzedawca w uniformie i krawacie, z identyfikatorem z imieniem Jason stał

przed kabiną prysznicową.

\* Ja... ja... \* Patrzyła na niego.

Miał taką miłą twarz, że prawie się rozpłakała. Myślała intensywnie. Jej plan powoli nabierał kształtu.

\* Nie czuję się dobrze. Czy ktoś mógłby mi zamówić taksówkę? \* zapytała słabym głosem.

\* Oczywiście *sprzedawca patrzył na nią z troską* a może raczej zadzwonić po karetkę?

\* Nie, taksówkę proszę, Poczuję się lepiej, jeśli dotrę do domu. Muszę się tylko położyć, \* Niedaleko jest pomieszczenie socjalne *powiedział uprzejmym głosem* może chciałaby pani skorzystać i tam poczekać na wóz?

\* Tak, poproszę. Bardzo dziękuję.

Idąc za sprzedawcą, rozglądała się uważnie w poszukiwaniu Ricky'ego. Weszli do małej stołówki, gdzie znajdowały się stoliki, krzesła, ekspres do kawy i herbaty, lodówka oraz puszka herbatników.

\* Czy życzy sobie pani czegoś *zapytał* może wody?

Wody. Kiwnęła głową.

\* Zamówię taksówkę, a potem przyniosę wodę.

\* Czy jest tu jakieś tylne wyjście? Nie sądzę, abym dała radę przejść z powrotem przez cały sklep.

Wskazał na drzwi podświetlone napisem FIRE EXIT.

*Przejdźcie służbowe* wyjaśnił \* taksówka podjedzie tutaj.

\* Jest pan bardzo uprzejmy.

Dziesięć minut później Jason zakomunikował, że wóz czeka na zewnątrz. Wypiła ostatni łyk wody. Udając bardzo chorą, powoli podeszła do drzwi i wsiadła do turkusowo\*białej taksówki. Jeszcze raz podziękowała Jasonowi za uprzejmość.

Taksówkarz, starszy mężczyzna z szopą siwych włosów, zamknął za nią drzwi.

Podawała adres matki w Eastbourne. Głęboko zapadła w siedzenie, widziała krajobraz za oknem, ale sama była niewidoczna. Kaptur kurtki nasunęła na głowę.

*Czy mam włączyć ogrzewanie?* zapytał taksówkarz.

*Nie, dziękuję* odparła.

Rozglądała się za Rickym lub wypożyczonym fordem. Nie widziała żadnego z nich.

Gdy dojechali do skrzyżowania z główną drogą, zobaczyła samochód. Drzwi kierowcy były otwarte, Ricky stał obok i rozglądał się. Jego oczy pałały wściekłością.

Opadła niżej na siedzeniu i jeszcze szczelniej zakryła twarz kapturem. Czekwała, aż dojadą na wzgórze i skręcą w prawo, zanim się podciągnęła do góry. Ricky nie patrzył za nią, obserwował parking.

*Proszę jechać jak najszybciej* poprosiła \* dam panu dobry napiwek.

\* *Zrobię, co w mojej mocy* \* odpowiedział kierowca. Taksówkarz włączył muzykę poważną w radiu. Rozpoznała Chór niewolników Verdiego. Paradoksalnie, to był jeden z ulubionych szlagierów jej mamy. Intrygująca zbieżność. A może jakiś znak?

Wierzyła w omeny. Nigdy nie była religijna tak, jak jej rodzice. Ale była przesądna.

Jakimś zbiegiem okoliczności teraz słuchała tego utworu.

\* *Ładny utwór* \* powiedziała.

\* *Mogę ściszyć.*

\* *Nie, proszę dać głośniej.* Kierowca nie protestował.

Ponownie wybrała numer matki. Równocześnie ktoś dzwonił do niej. To mogła być jedna z dwóch osób. Wyświetlił się napis „numer zastrzeżony”.

Zawahała się, zawzięcie rozmyślała. Czy to mogła być matka? Mało prawdopodobne, choć może...

Ale... wahała się. W końcu odebrała połączenie.

\* *Okej, suko, bardzo śmieszne! Gdzie jesteś?*

Rozłączyła się. Zadrzała. Znów poczuła ucisk w żołądku.

Telefon zadzwonił. Nie odebrała. Telefon dzwonił nieustannie.

Rozważała, że może powinna to rozegrać sprytniej, i czekała na kolejny sygnał, ale telefon się nie odzywał.



13 września 2001

Ronnie nie zdawał sobie sprawy, jak zniszczone są tereny wokół WTC. Myślał, że ma świadomość spustoszenia, gdyż był tutaj w miniony wtorek i oglądał relacje telewizyjne. To, co zobaczył teraz, przeraziło go doszczętnie.

Minęło południe. Miał kaca po wczorajszej popijawie z Borysem. Czuł mdłości z powodu pyłu. W powietrzu unosił się ten sam cuchnący smród, który powitał go dwa dni temu w Brooklynie. Jednakże był o wiele intensywniejszy. Ulicą jechały karetki i wojskowe wozy. Syreny wyły. Roznosił się nieustanny ryk i świst helikopterów wiszących tuż nad wieżowcami.

Przynajmniej czas spędzony z Borysem nie poszedł na marne. Ronnie zaczął

postrzegać go jako swojego zbawiciela. Fałszerz, którego mu polecił, mieszkał niedaleko jego miejsca zakwaterowania. Ronnie spodziewał się obscurnego lokalu w jakimś zaułku, gdzie spotka zasuszonego staruszka z lupą okularową i palcami poplamionymi atramentem. Tymczasem zastał schludne biuro w odrestaurowanym budynku, w którym siedział młody Rosjanin w bardzo drogim garniturze. Wyglądał na bankiera albo prawnika.

Ronnie z góry zapłacił pięć tysięcy dolarów i młody człowiek obiecał mu wyrobić paszport i wizę. Ronniemu zostało niecałe trzy tysiące netto. Jeżeli będzie rozsądny, to wystarczy mu na jakiś czas. Miał nadzieję, że rynek znaczków wyjdzie z dołka, chociaż dzisiejsze wiadomości podały spadek na giełdzie światowej.

Wszystko wydawało się małym piwem, jeśli jego plan się powiedzie.

W poprzek drogi stała bariera. Szlaban podnosił się jedynie dla konwoju samochodów. Dwóch młodych żołnierzy pełniących straż obserwowało go. Mieli na sobie zakurzone mundury i hełmy sił GL Trzymali broń w gotowości, jakby zamierzali znaleźć coś do odstrzału w Nowej Walce z Terroryzmem.

W tłumie turystów stała grupka młodych Japończyków, którzy robili zdjęcia wszystkiego, co się dało. To znaczy fotografowali zakurzone sklepy, fruwające kartki papieru, płatki popiołu, które zalegały ulicę aż do kostek. Ronnie miał wrażenie, że szarego pyłu jest jeszcze więcej niż we wtorek.

Jednak „duchy” były mniej szare.

Dzisiaj wyglądały bardziej jak zszokowani ludzie.

Kobieta o ciemnych włosach, ubrana w luźną bluzę i japonki, płakała. Machała fotografią, na której był wysoki, przystojny mężczyzna w garniturze. Nic nie mówiła.

Jedynie patrzyła na twarze ludzi. Milcząco błagała, by ktoś przypomniał sobie tego mężczyznę. By powiedział: „Tak, pamiętam gościa, widziałem go. Dobrze się trzymał, wychodził z budynku...”.

Zanim dotarł do żołnierzy, zobaczył tablicę, na której było przypięte mnóstwo zdjęć.

W większości były to zdjęcia portretowe, kilka było zrobionych na tle flagi amerykańskiej. Zdjęcia były włożone w foliowe koszulki, opatrzone nazwiskami oraz ręcznie wykonanym napisem: „Czy widzieliście tę osobę?”.

*Przykro mi, proszę pana, ale nie może pan dalej przejść* żołnierz był uprzejmy, ale stanowczy.

*Przyszedłem pomóc przy odgruzowywaniu* udając amerykański akcent, powiedział Ronnie. *Słyszałem, że poszukują ochotników.* Pytająco spojrzął na żołnierzy, ostrożnie zerkając na ich broń. Potem zaczął zduszonym głosem: \* Moja rodzina była we wtorek w Południowej Wieży.

\* Twoja i większości ludzi z Nowego Jorku, bracie \* powiedział starszy z żołnierzy.

Uśmiechnął się bezradnie, tym wiele mówiącym uśmiechem „wszyscy jesteście w tym samym gównie”.

Koparka, potem buldożer przejechały z łoskotem. Jeden z żołnierzy wskazał mu drogę.

\* Skręć w pierwszą ulicę w lewo, a niedaleko zobaczysz miasteczko namiotowe.

Dadzą ci ekwipunek i powiedzą, co masz robić. Życzę szczęścia.

*Dzięki* powiedział Ronnie \* też wam się przyda.

Schylił się i przeszedł pod barierką. Po kilku krokach zobaczył obraz zniszczeń.

Przypominał krajobraz w Hiroszynie po wybuchu bomby atomowej.

Nie był pewien, ale skręcił w lewo. Po jakimś czasie po jego prawej stronie pojawiła się rzeka Hudson. Na jej brzegu, tuż przed gruzami, było rozłożone miasteczko namiotowe.

Minął przewrócony samochód terenowy. Obok leżała zniszczona kurtka strażacka.

Miała charakterystyczne żółte lamówki. Jeden z rękawów był oderwany i leżał w pewnej odległości. Jakiś strażak w niebieskiej koszulce siedział na wysypisku, głowę oparł na ręce. W drugiej trzymał butelkę wody. Patrzył, jakby zastanawiał się, czy może się jeszcze napić.

Ronnie rozpoznał nowe odgłosy pracy dźwigu, frezarek, wiertarek, buldożerów.

Czasem słyhać było śpiew ptaków i różne sygnały komórek. Do jednego z namiotów stała kolejka ludzi. Niektórzy mieli robocze ubrania i kaski. Inni stali w kolejkach do prowizorycznych stołów. Tutaj też poczuł inne zapachy, na przykład grillowanych kurczaków i burgerów.

W tym chaosie nagle znalazł się przy stoisku, gdzie ktoś podał mu butelkę wody, potem otrzymał maskę na twarz. A w namiocie roześmiany długowłosa hipis przydzielił mu niebieski kask, latarkę i zapasowe baterie.

Wepchnął swoją bejsbolówkę do kieszeni, nałożył maskę i kask. Nie chciał pary skarpetek, bielizny i butów roboczych. Podążał za ludźmi w stronę przyciemnionego szkieletu budynku. Policjant w brudnej kamizelce kuloodpornej pchał wózek, na którym leżały plastikowe worki z ciałami.

Ronnie zobaczył ptaka, który latał tuż nad zniszczonym budynkiem. Potężna ściana budowli wznosiła się pod niebezpiecznym kątem. Wyglądała jak krzywa wieża w Pizie. Szkło wypadło z okien, które mimo wszystko pozostały nietknięte.

Czterdzieści lub pięćdziesiąt pięter biurowych się zawaliło.

Potykał się o dachy rozwalonych samochodów policyjnych i podwozie spalonego do połowy wozu strażackiego. Co chwilę słyhać było sygnały komórek wydobywające się spod gruzów. Wtedy natychmiast podbiegała jakaś grupa ludzi, którzy szaleńczo odkopywali gruz i krzyczeli. Wszędzie było pełno ratowników z owczarkami niemieckimi, labradorami i rottweilerami, które obwąchiwały teren.

Szedł dalej. Minął przewrócone, zakurzone krzesło, na którego oparciu wisiała damska marynarka. Z oparcia zwisała słuchawka telefonu. Zobaczył coś błyszczącego. Podchodząc bliżej, zauważył, że to obrączka ślubna. Obok dostrzegł

zgnieciony zegarek. Ludzie wyciągali coś z gruzów, a potem odkładali. Zatrzymał się i obserwował. Próbował zrozumieć, co się dzieje. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma logiki w tych działaniach. Umundurowani ludzie wkładali do ogromnych czarnych worków przedmioty, które znaleziono. Odkrył, że przed nim leży coś na kształt fragmentu rozbitej

figury woskowej. Ze wstrętem stwierdził, że była to ludzka dłoń. Śniadanie podjechało mu do gardła. Odwrócił się i łyknął wody. Czuł, jak suchy pył rozpuszcza się w ustach. W jednym z miejsc gruzowiska zobaczył tablicę z napisem: „Boże błogosław nowojorskich strażaków i policjantów”.

Ponownie spotkał ludzi, którzy krążyli z fotografiami w rękach. Mężczyźni, kobiety, dzieci w różnym wieku. Wmieszali się w tłum mundurowych.

Minął przypalony hydrant. Musiał uważać ze względu na przemieszczający się pod nogami grunt. Wygięty żuraw dźwigu wyglądał jak martwy tyranozaur. Przeszedł

obok dwóch mężczyzn ubranych w zielone fartuchy chirurgiczne. Obok pracował

policjant. Miał kask z lampką górniczą oraz przypięty do pasa sprzęt do wspinaczki i szlifierką kątową ciął gruz.

Amerykańska flaga powiewała nad gruzami, jakby właśnie ktoś odkrył to miejsce.

Panował totalny chaos. Pozornie niekontrolowany. Ronnie pomyślał, że to bardzo dobrze.

Obejrzał się za siebie. Za nim rozciągała się niekończąca kolejka. Ronnie ustąpił

miejsca. Ludzie przeszli obok niego. Wówczas ukradkiem \* i z odrobiną żalu \*

upuścił swoją komórkę na kupę gruzu i podeptał ją. Podeszedł kilka kroków i wyciągnął portfel. Sprawdził zawartość. Wyciągnął banknoty jednodolarowe i wetknął je do tylnej kieszeni dżinsów.

Pozbył się pięciu kart kredytowych, karty ubezpieczenia, legitymacji członkowskiej samochodowego klubu Brighton i Hove. Po chwili namysłu włożył do portfela prawo jazdy.

Nie był pewien, czy może zapalić. Dyskretnie wyciągnął papierosa, wsadził do ust i zasłonił ręką płomień zapalniczki. Jednakże zamiast zapalić papierosa, zaczął

przypalać swój portfel. Potem wrzucił go do gruzów i podeptał.

Teraz mógł już naprawdę zapalić. Gdy skończył, schylił się i wyciągnął portfel.

Potem po śladach wrócił po komórkę. Zaniósł wszystko do jednej z prowizorycznych przechowalni odzyskanych rzeczy.



\* Znalazłem to \* powiedział.

\* Proszę wrzucić do worka. Wszystko będzie sprawdzane później \*  
odpowiedziała mu policjantka.

\* Czy to pomoże w identyfikacji zaginionych? \* upewniał się Ronnie.

\* Dlatego tu jesteśmy *zapewniła kobieta*. Mnóstwo ludzi zaginęło od wtorku.

Bardzo dużo.

Ronnie pokiwał głową.

*Taa*. Potem, żeby się ponownie upewnić, zapytał: \* Ktoś ewidencjonuje te rzeczy?

\* Oczywiście. Wszystko będzie spisane, kochany. Każda cholerna rzecz. Każdy but i klamra paska. Jeżeli znajdziesz cokolwiek, to przynieś do nas.

*Każdy z nas stracił tutaj kogoś z rodziny* dodała policjantka po chwili i szerokim gestem wskazała na gruzowisko. \* Cholera, wszyscy straciliśmy tutaj naszych ukochanych.

Ronnie potrząsnął głową i odszedł. Poszło łatwiej, niż się spodziewał.

Październik 2007

To tu *powiedziała Abby* za latarnią w lewo. *Spojrzała przez tylne okno. Nie widziała nigdzie samochodu Ricky'ego. Ale mógł przyjechać krótszą drogą.* Proszę skrócić w lewo i okrążyć ten budynek.

Taksówkarz wykonał jej prośbę. Znajdowali się niedaleko college'u Eastbourne w spokojnej willowej dzielnicy. Abby uważnie obserwowała zaparkowane samochody.

Z ulgą stwierdziła, że Ricky nie przyjechał.

Kierowca jechał szeroką ulicą, gdzie stały bliźniaki z czerwonej cegły. Na końcu, w niskim budynku o zupełnie odmiennym stylu od pozostałych, mieszkała jej matka.

Był wybudowany tanim kosztem w latach sześćdziesiątych. Owiewany przez ostatnie cztery dekady słonym wiatrem kanału morskiego był bardzo zniszczony.

Taksówkarz zaparkował tuż za volvo. Licznik wskazywał trzydzieści cztery funty.

Abby podała kierowcy dwa banknoty dwudziestofuntowe.

*Potrzebuję pańskiej pomocy* powiedziała. \* Daję pieniądze teraz, żeby pan wiedział, że nie zamierzam zwać. Proszę zatrzymać resztę i nie wyłączać licznika.

Kiwnął głową, wyglądał na zaniepokojonego. Znowu spojrzała za siebie, ale nie była już niczego pewna.

\* Wejść do tego budynku. Jeśli nie wrócę w ciągu pięciu minut, proszę zadzwonić pod numer dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem i wezwać policję. Proszę im powiedzieć, że zostałam wewnątrz zaatakowana.

\* Czy mam iść z panią?

\* Nie, dzięki, poradzę sobie.

\* Ma pani problemy z chłopakiem? Mężem?

\* Tak. *Otworzyła drzwi i wysiadła; obserwowała ulicę.* Dam panu mój numer.

Jeśli zobaczy pan szarego, czterodrzwiowego forda focusa, a za kierownicą będzie siedział koleś w bejsbolówce, proszę natychmiast zadzwonić do mnie.

Dość długo mężczyzna szukał pióra, a potem w niezwykle wolnym tempie zapisywał numer.

Gdy skończył, wbiegła do ciemnego wnętrza komunalnego budynku. Czuła się dziwnie, ponieważ w tym miejscu nic się nie zmieniło.

Linoleum na podłodze, które pewnie znajdowało się tu od zawsze, było idealnie wyczyszczone. Te same metalowe przegródki na korespondencję, z których wystawały reklamy pizzy oraz chińskiego i tajskiego jedzenia na wynos. Unosił się silny zapach środków do polerowania i gotowanych warzyw.

Spojrzała na skrzynkę mamy. Z niepokojem zobaczyła, że wystawało z niej kilka kopert. Największa koperta zawierała upomnienie dotyczące przedłużenia umowy korzystania z kabłówki.

Sprawdzanie poczty było jedną z codziennych rozrywek matki, która fanatycznie (a zarazem fantastycznie) rozwiązywała krzyżówki i konkursy. Wiele prezentów i wyjazdów wakacyjnych, które Abby przypadło w dzieciństwie, pochodziło z nagród różnych konkursów. Również dużo rzeczy, które miała jej matka, było trofeami gazetowych konkurencji.

Więc dlaczego teraz nie zabrała poczty?

Z sercem na ramieniu biegła do mieszkania matki. Po drodze słyszała dobiegające zza drzwi innych lokali dźwięki programu telewizyjnego. Zapukała, potem otworzyła drzwi swoim kluczem, nie czekając na zaproszenie.

\* Cześć, mamó!

Słyszała odgłosy prognozy pogody.

\* Mamó! \* krzyknęła głośniej.

O rany, ale się porobiło. Ostatni raz była tutaj dwa lata temu. Jej matka przeżyje szok, gdy ją zobaczy. Teraz nie zastanawiała się nad tym.

\* Abby? \* Matka była kompletnie zaskoczona.

Wbiegła spieszenie do salonu. W ogóle nie zarejestrowała panującej tam wilgoci i smrodu ludzkiego ciała. Jej matka, chuda jak patyk, siedziała na kanapie. Włosy miała bardziej rzadkie i siwe niż ostatnio. Ubrana była w kwiecisty szlafrok i kapcie z pomponami. Na kolanach trzymała starą tackę ozdobioną różami, na której stał otwarty pudding ryżowy.

Po podłodze wały się gazety. W szerokoekranowym sonym, który był jedną z jej wygranych, prezentowano prognozę pogody. Telewizor stał na

kolejnej nagrodzie konkursowej \* metalowym stoliku na kółkach.

Tacka upadła na podłogę, a jej matka miała minę, jakby zobaczyła ducha. Abby podbiegła do niej i wzięła ją w ramiona.

*Kocham cię, mamó* powiedziała. \* Tak bardzo cię kocham. Mary Dawson zawsze była drobną kobietą. Teraz wydawało się, że jeszcze bardziej się skurczyła. Miała miłą twarz, piękne, bladoniebieskie oczy i więcej zmarszczek niż ostatnio. Abby mocno ją przytulała. Płakała, a łzy spływały na włosy matki, które nieświeżo pachniały. Ale to był zapach jej matki.

Kiedy dziesięć lat temu zmarł na raka prostaty jej ojciec, Abby liczyła, że matka pozna jeszcze kogoś. Lecz gdy zachorowała, te nadzieje się rozwiały.

\* Co się dzieje, Abby? *zapytała, a potem się ożywiła.* Dostałyśmy się do programu This Is YourLifel Dlatego przyjechałaś?

Abby roześmiała się. Mocno tuliła matkę. Od dawna się nie śmiała.

*Chyba nie nadają już tego programu* powiedziała.

\* Tam nie ma żadnych nagród, dziecko.

\* Tęskniłam za tobą, mamó! \* Abby znów się roześmiała.

\* Też tęskniłam za tobą. Czemu nie powiedziałaś mi, że wracasz z Australii? Kiedy przyjechałaś? Gdybym wiedziała, że wybierasz się do mnie, ogarnęłabym się.

Abby nagle spojrzała na zegarek. Upłynęły trzy minuty. Niespodziewanie podskoczyła.

\* Wrócę za momencik!

Spiesznie wybiegła. Dokładnie się rozglądała. Podbiegła do taksówki i otworzyła drzwi od strony pasażera.

\* Będę za chwilę. Nasza umowa jest taka sama. Proszę dzwonić, jeśli go pan zobaczy.

\* Jeśli się pojawi, dam mu popalić!

\* Wystarczy, jak pan zadzwoni! Wróciła do matki.

\* Mamó, nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśnić. Zadzwonię po ślusarza, żeby wymienił zamek w drzwiach, założył dodatkowy łańcuch i porządny wizjer. Musi to zrobić dzisiaj.

\* O co chodzi, Abby?

Abby podniosła telefon. Nie wiedziała, jak wygląda podsłuch, ale nie zobaczyła niczego niepokojącego. Potem oglądała słuchawkę, która wyglądała normalnie.

Przecież nie wiedziała wszystkiego.

*Masz jeszcze jakiś inny telefon?* zapytała.

\* Masz kłopoty, prawda? O co chodzi? Jestem twoją matką, musisz mi powiedzieć!

Abby uklękła, żeby posprzątać rozpackany na dywanie pudding ryżowy.

\* Kupię ci nowy telefon komórkowy. Proszę, nie używaj już więcej tego telefonu.

Wycierając dywan, przypomniała sobie, że zabrały go z domu rodzinnego w Hollingbury. Miał czerwony kolor. Obrazowanie tworzyły wzory złożone z zielonych, brązowych i żółtych róż. Teraz był wystrzępiony w niektórych miejscach.

Jego widok dobrze jej zrobił. Przypomniała sobie dzieciństwo.

\* Wszystko w porządku, Abby?

\* Tak, wszystko jest okej.

*Może jestem chora, ale nie głupia. Jesteś przerażona. Jeśli nie możesz powiedzieć wszystkiego własnej matce, to komu powiesz?* Matka pokręciła głową.

\* Proszę, zrób, co mówię. Masz książkę telefoniczną?

\* W środkowej szufladzie w dolnej części. \* Matka wskazała na drewnianą komodę.

\* Później ci wszystko wyjaśnię, teraz nie mam czasu. Dobrze? \* Podeszła do komody i znalazła książkę telefoniczną. Była dość stara, ale Abby niezrażona odnalazła rozdział „Ślusarze”.

Po telefonie poinformowała matkę, że po południu ktoś przyjdzie wymienić zamek.

\* Czy ty masz jakieś kłopoty, Abby?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Nie chciała martwić matki.

\* Chyba ktoś mnie śledzi. Chce się ze mną umówić, może nawet ciebie w to zaangażować. To wszystko.

Matka nie uwierzyła w tę historię.

\* Nadal spotykasz się z tym Dave'em?

Abby wrzuciła ścierkę do zlewu i pocałowała matkę.

\* Tak.

\* Nie był miły dla mnie.

\* Dla mnie był dobry.

\* Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Nie miał ambicji, ale był uczciwy. I mądry.

\* Wiem o tym.

\* Pamiętasz, co zwykle powtarzał? Śmiał się ze mnie, gdy wysyłałam rozwiązania konkursowe. Mówił, że życie nie polega na otrzymywaniu tego, czego się chce.

Polega na radości z posiadania tego, co się ma. *Popatrzyła na córkę.* A ty jesteś zadowolona z tego, co masz?

Abby oblała się rumieńcem. Ucałowała matkę w oba policzki.

\* Niedługo wrócę. Kupię ci nową komórkę. Czy ktoś dzisiaj przyjdzie do ciebie?

\* Nie \* po chwili odpowiedziała matka.

\* A ta sąsiadka z góry, która wpada czasami?

\* Doris?

\* Może mogłaby przyjść i posiedzieć z tobą do czasu aż wrócę?

*Jestem chora, ale nie jestem inwalidką* odparowała matka.

\* Tak na wypadek, gdyby on przyszedł.

\* Czy nie powinnaś mi jednak powiedzieć wszystkiego? \* Matka kolejny raz spojrzała na nią pytająco.

\* Później. Obiecuję ci. Gdzie ona mieszka?

\* Na pierwszym piętrze pod czwórką.

Abby prędko wybiegła na schody. Znalazła mieszkanie i zadzwoniła.

Usłyszała szcęk otwieranych zamków. Życzyłaby sobie, żeby jej matka miała choć jeden taki. W drzwiach stanęła posągowa, siwusińska kobieta o charakterystycznej urodzie częściowo zasłoniętej przez ciemne okulary wielkości maski do nurkowania.

Była ubrana w elegancki, dżersejowy kostium.

\* Witam \* zaczęła z akcentem z wyższych sfer.

\* Jestem Abby Dawson, córka Mary.

\* Córka Mary! Ona tyle opowiadała o pani. Sądziłam, że jest pani nadal w Australii!

\* Otworzyła drzwi i przyjrzała się Abby z bliska. *Proszę się nie gniewać* wyjaśniła \* ale dobrze widzę tylko na jedno oko.

\* Przykro mi *powiedziała Abby to straszne. Czuję, że powinna być bardziej uprzejma, ale czas naglił.* Czy mogłabym prosić panią o przysługę? Muszę wyjść na chwilę, a bardzo martwię się o matkę. Były chłopak robi mi piekło, to długa historia.

Boję się, że zrobi krzywdę mamie. Czy mogłaby pani przyjść do niej i

poczekać do mojego powrotu?

\* Oczywiście. Może lepiej będzie, jeżeli ona przyjdzie do mnie?

\* Może, ale ma przyjść ślusarz, żeby wymienić zamek.

*Nic się nie martw. Zejdę tam za kilka minut. Zabiorę moją laskę.* Potem, udając groźny ton, dodała: \* Jeśli ten mężczyzna się pojawi, to pożałuje.

Abby wróciła do matki. Wyjaśniła, co robiła.

\* Nikomu nie otwieraj drzwi, dopóki nie wrócę.

Potem pobiegła do taksówki i usiadła na tylnym siedzeniu.

*Muszę znaleźć sklep, w którym sprzedają komórki* poinformowała kierowcę.

Sprawdziła zawartość kieszeni. Miała jeszcze osiemdziesiąt funtów. Powinno wystarczyć.

Ostrożnie zaparkował za wozem kempingowym. Począł, aż ruszą, i zachowując bezpieczną odległość, jechał za nimi. Był ciekaw, gdzie Abby się udaje.

Włączył podsłuch, który miał na siedzeniu pasażera. Przesłuchał rozmowę Abby ze ślusarzem. Zapamiętał numer. Cieszył się, że ma podsłuch przy sobie. Zadzwoił do ślusarza i odwołał zamówienie. Powiedział, że starsza pani zapomniała o umówionej wizycie lekarskiej. Dodał, że zadzwoni później i umówi się na inny termin. Potem zatelefonował do matki Abby i w imieniu ślusarza gęsto przeproszał za spóźnienie.

Tłumaczył się nagłym wezwaniem w firmie. Poinformował ją, że ktoś niedługo przyjedzie, choć może nie zdąży do dzisiejszego popołudnia. Zapytał, czy mógłby przyjść jutro rano. Matka Abby zgodziła się na ten termin.

Kierowca jechał niezwykle powoli, więc Ricky nie miał problemów ze śledzeniem jej. Po około dziesięciu minutach taksówka w końcu zatrzymała się przed sklepem z telefonami. Ricky skręcił raptownie w zatoczkę i obserwował Abby, która wbiegła do sklepu.

Wyłączył silnik, wyciągnął marsa. Był wściekle głodny. Usadowił się i czekał.

Październik 2007

Coś dręczyło inspektora Stephen'a Curry'ego. Właśnie wrócił ze spotkania w wydziale środowiskowym, które jego zdaniem za bardzo się przeciągnęło.

Spotkanie było tak długie, że trwało aż do lunchu. Omawiano wiele spraw. Na przykład kwestię dwóch nielegalnych obozowisk Romów w Hollingbury i Woodingdean. Rozmawiano na temat młodocianych gangów, które prowadzą proceder „happy slapping”. Polega on na tym, że niespodziewanie atakują przypadkowych ludzi i to filmują. Potem umieszczają nagrania na portalach typu Bebo lub MySpace. Niektóre pobicia miały miejsce w szkołach. Zostały opisane w gazecie „Argus”. Artykuły zrobiły ogromne wrażenie na dzieciach i zatroskanych rodzicach.

Dochodziła czternasta trzydzieści. Miał jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Poza tym musiał wyjść wcześniej, ponieważ dziś była jego rocznica ślubu. Solennie obiecał Tracy, że na sto procent wróci o normalnej porze do domu.

Usiadł do komputera, przejrzał dzisiejsze raporty zdarzeń, które zaszły w okolicy w ciągu kilku minionych godzin. Doszedł do wniosku, że nie musi nigdzie interweniować. Do wszystkich nagłych zdarzeń wysłano patrole, więc nie było opóźnień. Nie było też żadnych wypadków, które mogłyby zagrozić siłom policyjnym. Tylko zwykłe, mało znaczące wykroczenia kryminalne.

Przypomniał sobie rozmowę z Grace'em. Otworzył notatnik i przeczytał nazwisko i adres. Przed chwilą rozmawiał z mającym poranną zmianę sierżantem Johnem Morleyem z wydziału środowiskowego,

więc to do niego zadzwonił. Poprosił, by wysłał kogoś pod wskazany adres i sprawdził Katherine Jennings.

Morley przytrzymał słuchawkę ramieniem i sięgnął po pióro. Na biurku leżały akta przestępcy aresztowanego na nocnej zmianie. Przerzucił świstki papieru, na jednym z nich zapisał wcześniej numer rejestracyjny pewnego samochodu, a teraz spisał nazwisko i adres kobiety.



Sierżant był młody i bystry. Ogolony na łyso jak skinhead, ubrany w kamizelkę kuloodporną wyglądał naprawdę groźnie. Podobnie jak reszta kolegów, był

przepracowany, ponieważ brakowało personelu.

\* Czy są jeszcze jakieś inne powody, dla których ten palant Spinella ją niepokoił?

Mnie się też naprzykrzał.

\* Wiem coś o tym! \* dorzucił Curry.

Morley właśnie zapisywał szczegóły w swoim notatniku, gdy zadzwonił telefon.

Dyżurny z posterunku w południowej części miasta prosił, by objął dowodzenie nad sprawą niecierpiącą zwłoki. Zaginęła ośmioletnia dziewczynka. Zniknęła ze szkoły, ale nie wyszła z rodzicami.

W ciągu kilku minut zrobił się młyn. Morley skontaktował się przez radio z inspektorem będącym aktualnie na służbie. Potem przez radiotelefon poinformował

policjantów z wydziału środowiskowego, którzy pracowali w terenie. Wykonując rozliczne telefony, pobiegł do graciarni, gdzie znajdowało się mnóstwo biurek, pudeł, rzędy wieszaków na marynarki i służbowe nakrycie głowy oraz kaski. Wśród bałaganu wyłowił swoje.

Nie przerywając rozmów telefonicznych, szykował się do wyjścia razem z posterunkowymi, którzy zgłosili się na popołudniową zmianę.

Kilku policjantów przechodziło przez jego biuro. Z powodu zamieszania, jakie się zrobiło, na podłogę spadła kartka z nazwiskiem i adresem Katherine Jennings.

Dziesięć minut później do biura weszła policjantka pomocniczych sił MSA i położyła na biurku Morleya kilka kopii z informacją o różnorodnych dyrektywach, które powinien rozpowszechnić w oddziale. Gdy

wychodziła, zauważyła skrawek papieru na podłodze. Zatrzymała się, podniosła go i w poczuciu obowiązku wyrzuciła do kosza na śmieci.

Październik 2007

Świeże powietrze i tłuste śniadanie podziałały jak panaceum na kaca. Roy Grace ponownie poczuł się prawie jak człowiek. Szedł Church Street i wszedł na wielopoziomowy parking.

Włożył kartę do parkomatu. Jak zawsze skrzywił się, gdy zobaczył kwotę do zapłacenia. Idąc na poziom, gdzie stał jego samochód, rozmyślał o Terryem Biglowie.

Może robił się sentymentalny, ale żał mu było Biglowa, lecz nie jego kompana.

Biglow miał przynajmniej swój styl. Był jednym z ostatnich adeptów dawnej szkoły przestępczej, w której szanowało się policję.

Biedaczyna wyglądał, jakby miał już niedługo pożegnać się z tym światem. O czym myśli taki człowiek jak on, będąc jedną nogą w grobie? Przejmuje się tym, że zmarnował życie, nie zrobił nic pożytecznego? Zniszczył niezliczoną liczbę ludzi, a został zupełnie z niczym. Nawet zdrowie go opuściło.

Otworzył samochód, wsiadł i zajrzał do notatnika. Przeglądając listę spotkań, zadzwonił do Glenna Bransona i powiedział mu, że Ronnie miał drugą żonę, Lorraine. Poprosił, by zabrał Belle Moy i sprawdził Klingerów \* przyjaciół

Ronniego, których wskazał mu Terry Biglow. Stephen Klinger zajmował się obecnie sprzedażą antyków na dużą skalę, więc łatwo będzie go odszukać.

Gdy skończył, zadzwoniła Cleo.

\* Jak tam pana kac, nadinspektorze Grace? \* zapytała. Dziwnie się poczuł, choć jednocześnie sprawiło mu to przyjemność.

Sandy zawsze nazywała go Grace, a teraz czasami Cleo też tak mówiła.

\* Kac? Skąd wiesz?

\* Wczoraj dzwoniłeś z pubu o wpół do dwunastej w nocy i bełkotałeś coś o dozgonnej miłości do mnie.

\* Na serio?

\* Aha, kłopoty z pamięcią. Musiałeś nieźle zaszaleć.

\* Masz rację. Po pięciu godzinach słuchania o nieszczęściach Glenna

Bransona każdy by się schlał.

\* Wygląda, że jego małżeństwo się kończy.

\* Chyba tak.

*Proszę... zrób mi przysługę* powiedziała pełnym słodczy głosem.

\* Dobra, ale jaką?

\* Chodzi mi o godzinę z twojego życia pomiędzy siedemnastą a osiemnastą.

\* Co mam zrobić?

\* Po południu muszę wziąć udział w koszmarnej sekcji. Koleś popełnił samobójstwo w ogrodowej szopie. Strzelił sobie w usta z dubeltówki kalibru dwanaście.

Koronerowi nie podobają się okoliczności tego zdarzenia. Zażyczył sobie patologa, więc nasz dobry znajomy Theobald przybędzie. A to oznacza, że nie mogę zabrać Humphreya na trening.

\* Psi trening?

\* Tak, więc pomyślałam, że to będzie dobra okazja, żebyście się lepiej poznali i może zaprzyjaźnili.

\* Cleo, mam na głowie bardzo ważną... Ostro mu przerwała.

\* Sprawę dotyczącą morderstwa kobiety, która nie żyje od dziesięciu lat. Jedna godzina niczego nie zmieni. Proszę tylko o jedną godzinę. To pierwszy dzień nowego kursu i chcę, żeby Humphrey był tam od początku. Wiem, że mi nie odmówisz, bo jesteś taki kochany, kotku. Poza tym szykuję pyszną nagrodę!

\* Nagrodę?

\* Tak. Psi trening zaczyna się o piątej i kończy o szóstej. Umowa stoi. Zabierasz Humphreya na kurs, a ja przygotuję smażone krewetki i przegrzebki w tajskim sosie.

Natychmiast połknął haczyk. Smażone krewetki i przegrzebki w wykonaniu Cleo były jednym z najlepszych dań w jej kulinarnym repertuarze. Dałby się za nie pokroić.

Zanim zdążył coś powiedzieć, Cleo dodała:

*Mam również butelkę białego wina cloudy bay, które włożyłam do lodówki specjalnie dla ciebie...* zrobiła pauzę i szepnęła kuszącym głosem \* i...

\* I?

Nastąpiła długa przerwa. Słysać było jedynie brzęczenie w telefonie.

Co znaczy „i”? zapytał.

Wysil wyobraźnię powiedziała jeszcze bardziej uwodzicielskim tonem.

\* Masz na myśli coś konkretnego?

\* Och, mnóstwo rzeczy... Mamy zaległości do nadrobienia z wczorajszej nocy, no i jest dzisiejsza. Dasz radę, mimo kaca?

\* Postaram się.

\* To dobrze. Ty zrobisz przysługę Humphreyowi, a ja tobie. Zgoda?

\* Mam przynieść jakieś herbatniki?

\* Dla psa?

\* Nie, dla ciebie.

\* Chrzań się, Grace. Grace się uśmiechnął.

\* Aha, jeszcze jedna rzecz. Nie zaczynaj z nim. Humphrey lubi obgryzać twarde przedmioty.

Październik 2007

Umierał z głodu. Miał ochotę na jeszcze jednego batona. Ale nie ryzykował wyjścia do sklepu, by nie stracić Abby z oczu. Cholera, minęło ponad pół godziny, odkąd tam weszła. Co ta dziwka tam robiła? Pewnie nie mogła się zdecydować, jaki kolor wybrać.

Taksówka będzie ją kosztowała majątek! Czyimi pieniędzmi za nią zapłaci?

Oczywiście jego pieniędzmi.

Zachowywała się tak celowo, bo wiedziała, że ją śledzi? Ale zapłaci za to. Zapłaci za wszystko.

Będzie skamlała i błagała, zanim z nią skończy.

Jakiś cień pojawił się przy oknie samochodu. Zobaczył, że policjant nachyla się do jego auta. Opuścił szybę.

*Czekam na matkę* wyjaśnił. \* Jest niepełnosprawna, będzie tu za chwilę.

Informacja nie zrobiła wrażenia na chudym młodzieńcu o posępnej twarzy.

\* Parkuje pan tutaj już od pół godziny.

*Doprowadza mnie do szaleństwa* powiedział Ricky. *Cierpi na demencję. To na razie początek choroby.* Zastukał w zegarek. \* Muszę zawieźć ją do szpitala. Proszę dać mi jeszcze kilka minut.

\* Pięć minut \* powiedział policjant i odszedł. Zatrzymał się przed samochodem z przodu. Wypisał mandat.

Ricky obserwował głośną wymianę zdań pomiędzy policjantem a rozsierdzoną właścicielką samochodu obok, która właśnie przyszła. Potem wrócił do przerwanej obserwacji. Zauważył, że minęło kolejne dwadzieścia minut.

Chryste, jak długo będziesz kupowała ten cholerny telefon?

Minęło kolejne dziesięć minut. Niespodziewanie taksówka ruszyła i wmieszała się w ruch uliczny.

Ricky trochę się zagapił. Czyjej nie zauważył? A może policjant kazał odjechać taksówkarzowi z miejsca postoju?

Podążył za taksówką. Przed nim jechało kilka samochodów. Wóz

kierował się w stronę morza, a potem skręcił w prawo. Zachowując dystans, jechał w tym samym co taksówkarz kretyńskim, geriatrycznym tempie. Pewnie żółw mógłby ich wyprzedzić.

Jechali nabrzeżem na wzgórze, aż dotarli do parku przyrody okolonego terenami rolniczymi. Piękne urwisko klifowe Beachy Head, ulubione miejsce samobójców, rozciągało się przed nimi.

Piętrowy autobus jechał tuż za nim. Kierowca pokazywał mu, że powinien przyspieszyć.

\* No dalej, idioto! *krzyczał przez szybę* naciśnij na gaz!

Jechał z tą samą prędkością. Minał pub, potem znalazł się na krętej drodze do Birling Gap, a następnie dotarł do wioski East Dean. Poruszając się w tym agonialnym tempie, dojechał do Seaford, potem Newhaven, skąd odpływały promy, aż w końcu do Peacehaven. W pewnej odległości na drodze stał młody, długowłosy mężczyzna i dziewczyna. Oboje machali rękami. Ricky odkrył ze zdziwieniem, że nagle w taksówce zapaliło się światło z napisem „wolny” i taksówkarz się zatrzymał.

Ricky też się zatrzymał, za nim zrobił się niezły korek. Obserwował młodych ludzi, którzy wsiedli do wozu.

Taksówka była pusta. Śledził auto, w którym nie było Abby!

Cholera, cholera, cholera.

Och, ty mała zdziro, teraz to naprawdę mnie wkurzyłaś.

Październik 2007

Lala o czerwonych włosach, w skąym ubraniu, z nogami aż do szyi i cyckami wylewającymi się ze stanika mrugnęła do Grace'a.

Roy odebrał kartkę, a wtedy mrugnęła drugim okiem. Uśmiechnął się, a ona zaczęła śpiewać Happy Birthday!, naśladując znaną piosenkarkę.

*Wspaniale!* powiedział \* dla kogo to jest?

Detektyw Esther Mitchell była, bez wątpienia, najpiękniejszą i najdowcipniejszą policjantką w całym Sussex.

\* Dla Willisa *powiedziała z werwą* kończy czterdziestkę.

Grace znów się uśmiechnął. Baz Willis miał nadwagę i był śmierzącym leniem. Był

również znany z molestowania kobiet i nikt nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek awansuje na detektywa. Zatem kartka, którą Grace przeczytał, wybitnie pasowała do Willisa. Znalazł wolne miejsce i podpisał się na niej. Potem oddał z powrotem.

\* Organizuje imprezę. Dziś wieczorem w barze Black Lioa Grace skrzywił się. Pub Black Lion w Patcham nie był ostatnio jego

ulubionym. Wizja kolejnej nocy spędzonej w tym miejscu była ponad jego siły. Poza tym miał bardziej atrakcyjną propozycję na wieczór.

\* Dzięki, wpadnę, jeżeli będę mógł \* podziękował.

\* Będzie podstawiony autobus, chcesz, żeby ci zająć miejsce?

*Nie, dziękuję* odpowiedział i popatrzył na zegarek. Musiał wyjść w ciągu pięciu minut, żeby zawieźć tego cholernego Humphreya na psi trening. Uśmiechnął się do niej. Esther promieniowała pozytywną energią i była bardzo lubiana. Nie tylko ze względu na swój wygląd. Poza tym pracowała tu od niedawna.

\* Aha, nadinspektorze, Pewe prosił mnie, żebym ustaliła z panem szczegóły jego wyjazdu do Australii.

\* Co?

\* Przepraszam, ale razem z detektywem Robinsonem pracujemy z nim przy nierozwiązanych sprawach z archiwum.

\* Powiedziałaś „do Australii”?

\* Tak. Kazał mi sprawdzić, z jakimi liniami lotniczymi policja w Sussex ma umowę na klasę biznesową.

\* Klasa biznesowa!? *oburzył się*. On myśli, że gdzie pracuje? W kancelarii prawniczej?

Uśmiechnęła się, trochę zakłopotana.

\* Sądziłam, że wie pan o tym.

\* Muszę się ewakuować *odparł* wstąpię po drodze do jego biura.

\* Uprzedzę go.

\* Dzięki, Esther.

Patrzyła na niego, gdy wychodził. Posłała mu spojrzenie, które wyrażało myśl: Też go nie lubię.

Pięć minut później Grace wkroczył do biura Cassiana Pewe'a, który siedział za biurkiem w eleganckiej koszuli i bez wątpienia prowadził prywatną rozmowę. Grace w ogóle nie zwrócił uwagi na jego prywatność. Po prostu zabrał jedno z krzeseł od konferencyjnego stołu, klapnął wprost przed biurkiem i popatrzył na niego wilkiem.

*Złotko, oddzwonię później* powiedział Pewe, bacznie obserwując Grace'a. Odłożył słuchawkę i rozpromienił się. \* Roy! Jak dobrze cię widzieć!

\* O co chodzi z tą Australią? \* Grace uciał to wylewne powitanie.

\* Właśnie miałem ci powiedzieć. Dowiedziałem się, że istnieją powiązania między sprawą, którą zajmuje się oddział w Melbourne, a twoją Operacją Dingo. Co za zbieg okoliczności, przecież dingo to australijski pies, prawda?

\* Jakie powiązania? Poza tym czemu każesz sprawdzać nasze umowy lotnicze? Tym zajmują się w wydziale pomocniczym MSA.

\* Moim zdaniem ktoś powinien pojechać do Australii, Roy. Myślałem, że może ja...

\* Nie wiem, jak pracuje się w stołecznej, ale tak na przyszłość, Cassian, to zapamiętaj sobie jedną rzecz. My wydajemy pieniądze na utrzymywanie porządku, a nie na duperele. Latamy klasą ekonomiczną, rozumiesz?

\* Oczywiście, Roy *Pewe uśmiechnął się lizusowsko* to po prostu męczący lot, zwłaszcza jeżeli potem trzeba cały dzień pracować.

\* Zgadza się, ale nie jesteśmy biurem podróży.

Gdybym mógł decydować o sposobie twojej podróży do Australii, nadinspektorze Cassianie Pewe, to kazałbym ci iść tam piechotą, pomyślał Grace i zapytał:



\* Powiesz mi w końcu, na czym polega to powiązanie z moją sprawą?

\* Mam informację na temat Lorraine Wilson, drugiej żony Ronniego. To cię chyba interesuje? Informacja wiąże się z Ronniem Wilsonem. Może zaprowadzić cię do niego.

\* Jasno widać, że nie jesteś na bieżąco. Ronnie Wilson zginął jedenastego września w WTC.

*Prawdę mówiąc* powiedział Cassian Pewe \* mam dowód, że tak się nie stało.

Październik 2007

Ricky jechał za taksówką główną ulicą Peacehaven. Miał ochotę wyskoczyć z wozu przy najbliższym postoju i wypytać kierowcę o Abby.

Ale czy on mógł coś wiedzieć? Ta mała spryciula dała mu pewnie spory napiwek, kazała siedzieć przez godzinę, a potem spadać. Nie szukał zainteresowania policji, która mogłaby zatrzymać go za napaść. W tej chwili miał ważniejsze sprawy na głowie. Kilka rzeczy musiał przemyśleć.

Abby wiedziała, że nagrał rozmowę z jej matką, ale nie знаła sposobu, w jaki to zrobił. Prawdopodobnie sądziła, że założył podsłuch.

Nareszcie zrozumiał!

Z tego powodu kupiła matce nowy telefon!

Zdał sobie sprawę, jak niebezpieczna była Abby. W takim razie, co zrobiła ze swoim telefonem? Wybrał jej numer.

Po dwóch sygnałach usłyszał niepewny głos jakiegoś młodzieńca.

\* Co jest?

\* Kurwa, a ty kto jesteś?! \* Ricky wrzasnął, nie licząc na odpowiedź. Połączenie się urwało. Ponownie wybrał numer. Po sekundzie połączenia ktoś się rozłączył.

Ta suka pozbyła się telefonu. Czyli teraz miała jakiś nowy. Wystawiasz moją cierpliwość na próbę. Gdzie jesteś?

Radar wyświetlił, że jedzie zbyt szybko, ale nie zwrócił na to uwagi. Gdzie mogła pojechać przez tę godzinę? Co robiła przez ten czas?

Po kilku kilometrach Ricky ledwo dostrzegł, że taksówka skręciła w stronę przystani, mijając eleganckie rezydencje Sussex Square. Za chwilę dojadą do ulicy, na której mieszkała Abby. Ricky zatrzymał się, wyłączył silnik, musiał się zastanowić.

Gdzie schowała towar? Nie potrzebowała wiele miejsca, wystarczyła koperta A4.

Paczka, którą chciała wysłać pocztą, była jedynie pułapką. Po co? Żeby śledził

kuriera? A ona mogła wszystko uratować i zniknąć? Wiedział, że popełnił błąd, wysyłając jej wiadomość. Chciał ją przycisnąć, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo była przebiegła.

Wysyłając pustą przesyłkę, chciała dać mu coś do zrozumienia. Liczyła, że pojedzie za kurierem, a wtedy ona schowa paczkę w depozycie? Może nie zdążyła jeszcze niczego zdeponować? Może już wybrała zawartość depozytu?

Jeśli nie było drugiego depozytu, może ukryła to gdzieś w mieszkaniu?

Spędził noc, przeszukując jej rzeczy, wywalił wszystkie ciuchy. Zabrał jej paszport.

Przynajmniej ta mała dziwka nie mogła wyjechać z kraju.

Gdyby był drugi depozyt, to znalazłby klucz albo jakiś kwit. Przeszukał każdy centymetr mieszkania, przesuwając meble, zrywał deski podłogowe. Rozkręcił nawet telewizory, rozpruł tapicerkę, zdemontował wentylatory, rozebrał na części całe oświetlenie w mieszkaniu. Z czasów, gdy zajmował się narkotykami, pamiętał, jak policja potrafiła rozpracować mieszkanie. Znał wszystkie schowki sprytnych dilerów.

Mogła również zostawić to u przyjaciółki. Ale, jak sprawdził, nazwisko na kopercie było fikcyjne. Podejrzewał, że nie kontaktowała się tutaj z nikim. Skoro nawet matce nie powiedziała, że wróciła, wątpił, by chciała się z kimś zaprzyjaźnić.

Coraz bardziej upewniał się, że nadal to coś było w mieszkaniu. Każdy, choćby był

nie wiem jak sprytny, ma piętę achillesową. Każdy łańcuch jest tak silny, jak jego najsłabsze ogniwo. Oddział maszeruje w takim tempie, w jakim najwolniejszy żołnierz da radę.

Matka Abby była zarówno jej najsłabszym ogniwem, jak i najwolniejszym żołnierzem.

Teraz już wiedział, co musi zrobić.

Październik 2007

Renault van zaparkowany przed domem Abby nie chciał zapalić. Akumulator słabł.

Ricky już myślał, że samochód nie pojedzie, lecz wtedy silnik zapalił i prychnął dymem.

Odjechał nim na parking, a przed domem zaparkował wypożyczonego forda. Gdy Abby wróci, pomyśli, że siedzi w środku. Uśmiechnął się na samą myśl. Choć pewnie Abby nie pojawi się w mieszkaniu w najbliższej przyszłości. Żaden z wypożyczonych samochodów nie miał zaświadczenia, że należał do kogoś z mieszkańców. Więc pewnie dostanie mandat. Może założą, mu blokadę? Jakże to miało, do cholery, znaczenie?

Włożył urządzenie skanujące rozmowy telefoniczne do vana. Pojechał w stronę Eastbourne. Po drodze zatrzymał się jedynie, by kupić burgera i colę. Czuł się o wiele lepiej. Prawie znów kontrolował sytuację.

o osiemnastej trzydzieści rozpoczęło się czwarte spotkanie zespołu, który pracował

przy Operacji Dingo. Roy Grace zaczął czytać aktualny raport. Zawahał się jednak, gdy zobaczył, że Glenn Branson dziwnie na niego patrzy. Poruszał nosem, jakby dawał mu jakieś znaki.

*Jakiś problem?* zapytał Grace.

Wtedy zauważył, że pozostali też podejrzliwie na niego patrzą.

*Pachniesz jakoś kwaśno, szefie* powiedział Glenn \* proszę się nie obrażać za tę osobistą uwagę. To nie jest standardowy zapach twojej wody kolońskiej, jeśli mogę zauważyć. Czy usiadłeś na czymś osobliwym?

Grace zrozumiał w przerażeniu, o czym mówił Glenn.

\* Och, przepraszam. Właśnie wróciłem z psiego treningu. W samochodzie ten mały gnój mnie obrzygał. Myślałem, że udało mi się to sprać.

Bella Moy wyszperła w torebce perfumy.

*Powinny pomóc* uznała.

Grace zastanawiał się, ale po chwili spryskał spodnie, koszulę i

marynarke.

*Teraz pachniesz, jakbyś wrócił z burdelu* skomentował Norman Potting. *No pięknie, dziękuję bardzo.* Bella popatrzyła na niego z oburzeniem. *Nie, żebym był ekspertem* Potting w kiepski sposób usiłował uratować sytuację \*

ale czytałem ostatnio, że Koreańczycy jedzą psy.

\* Wystarczy, Norman *odparował Grace stanowczo i wrócił do raportu.* Bella, czego dowiedziałaś się o Joannie Wilson? Czy kiedykolwiek wyjeżdżała do Stanów?

Mój informator nie znalazł niczego.

*Skontaktowałam się z biurem prokuratora okręgowego w Nowym Jorku. Godzinę temu dostałam emaila od nich.* Dowiedziałam się, że przed jedenastym września napływ ludności był kontrolowany przez urząd imigracyjny. Od tych wydarzeń sytuacja się zmieniła. Wydział imigracyjny połączył się z urzędem celnym.

Przeczytałam, że jeśli ktoś nie przedłużał pobytu, to nie będzie żadnych śladów jego obecności. Policjant, z którym rozmawiałam, sprawdził dokumenty z lat dziewięćdziesiątych. Nie starała się o wizę. Nie ma również innej możliwości sprawdzenia, czy tam w ogóle była.

\* Dzięki. EJ, jak ci idzie z drzewem genealogicznym? Wytropiłaś jakichś krewnych Joanny Wilson?

\* Zdaje się, że nie miała ich za dużo. Znalazłam jej brata przyrodniego, który chyba nie jest pewien swojej płci. Podaje się za Mitzi Dufors, ma około sześćdziesięciu lat, nosi skórzane, obcisłe, krótkie spodnie nabijane ćwiekami i jest fanem piercingu.

Pracuje jako drag queen w klubie gejowskim w Brighton. Nie potrafił powiedzieć żadnych ciepłych słów o swojej zmarłej przyrodniej siostrze.

*Jak można wierzyć słowom faceta w średnim wieku, który nosi skórzane szorty?*

zauważył Norman Potting.

*Norman!* Grace wzrokiem ciskał gromy.

*Nie jesteś modowym guru,* Norman ostro włączyła się Bella. Norman obruszył się jak nadąsane dziecko.

\* Coś jeszcze o przyrodnim bracie?

\* Powiedział, że rok przed wyjazdem do Ameryki Joanna odziedziczyła mały domek po matce w Brighton. Uważa, że sprzedała go, by mieć pieniądze na zrobienie kariery.

\* Musimy sprawdzić, o jaką kwotę chodzi i co się z nią stało. Dobra robota, EJ.

Grace napisał kilka uwag, po czym zwrócił się do Glenna.

\* Czy ty i Bella byliście u Klingerów? Branson uśmiechnął się.

\* Trafiliśmy na dobry moment. Stephen Klinger był nawalony jak stodoła i bardzo rozmowny. Powiedział, że nikt nie lubił Joanny Wilson, bo była puszczalska. Dała Ronniemu niezłe popalić, a potem nikt mu nie pomógł, gdy go opuściła i wyjechała do Stanów. Potwierdził, że Ronnie ożenił się ponownie. Cierpliwie czekał na uprawomocnienie się swojego rozwodu, by ożenić się z Lorraine. Po jego śmierci Lorraine była niepokieszona. Tym bardziej że zostawił ją w finansowych tarapatach.

Grace znowu coś zanotował.

\* Zabrano jej samochód, a potem zajęto dom. Wygląda na to, że Wilson był

człowiekiem słabego charakteru, nie miał żadnego majątku. Wdowa została eksmitowana z eleganckiej rezydencji w Hove i przeniosła się do wynajmowanego mieszkania. Rok później w listopadzie dwa tysiące drugiego roku popełniła samobójstwo, skacząc z promu płynącego na trasie Newhaven\*Dieppe. *Umilkł na chwilę.* Widzieliśmy się również z panią Klinger, która powiedziała mniej więcej to samo co mąż.

*Czy ktoś z krewnych Lorraine może potwierdzić jej stan psychiczny?* zapytał

Grace.

\* Tak, siostra pracuje jako stewardesa w British Airways. Rozmawiałem z nią. Była w pracy i nie mogła swobodnie mówić. Umówiłem się z nią na jutro. Właściwie zgodziła się z wersją Klingera. Powiedziała, że poleciała z Lorraine do Nowego Jorku, jak tylko wznowiono loty. Tydzień spędziły na poszukiwaniach. Podobnie jak miliony innych ludzi włączyły się z jego fotografią.

\* Więc ona jest przekonana, że Ronnie zmarł jedenastego września?

*Bez wątplenia* stwierdził Glenn *był w Południowej Wieży na spotkaniu z człowiekiem, który się nazywał Donald Hatcook. Wszyscy, którzy pracowali na tym samym piętrze co Donald Hatcook, zginęli na miejscu.* Popatrzył do notatek. \*

Prosiłeś, żebym sprawdził Chada Skeggsa?

\* No i co?

\* Interesuje się nim policja w Brighton, postawiono mu zarzuty napaści połączonej z czynem nierządym na młodej kobiecie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Wersja dziewczyny jest następująca. Wyszli z klubu, potem poszli do niej, a następnie on ją pobił jak w sadomasochistycznym scenariuszu. Może podobała się jej gra wstępna, ale nie zakończenie. To była paskudna napaść, pojawił się zarzut gwałtu.

Zadecydowano, że ta sprawa nie będzie ścigana z oskarżenia publicznego, więc nie ściągnano kołosa z Australii. Sądzę, że już nigdy nie zobaczymy go w Anglii, chyba że jest bardzo głupi.

Grace odwrócił się do detektywa Nicholla.

\* A ty, co masz?

Cóż rozpoczął \* znalazłem coś bardzo interesującego. Przeprowadziłem ogólnokrajowe poszukiwania, które jedynie potwierdziły naszą wiedzę. Doszedłem do wniosku, że taki sprytny biznesmen pewnie miał jakieś ubezpieczenie na życie.

Odkryłem, że Ronnie Wilson miał polisę na półtora miliona funtów w agencji Norwich Union.

\* W takim razie wdowa nie wiedziała o tym \* stwierdził Grace.

\* Myślę, że wiedziała *powiedział Nick Nicholl*. Wypłacono jej całą sumę w marcu dwa tysiące drugiego roku.

*Podczas gdy w rozpaczy gnieździła się w wynajętym mieszkaniu?* zdziwił się Grace.

*Jest coś jeszcze* kontynuował Nicholl \* w lipcu dwa tysiące drugiego roku, dziesięć miesięcy po śmierci męża, Lorraine otrzymała dwa i pół miliona dolarów odszkodowania za jedenastego września.

\* A trzy miesiące później skoczyła z promu \* zauważyła Lizzie Mantle.

\* Rzekomo wyskoczyła z promu *powiedział Nick Nicholl*. W dokumentach policji Sussex nadal figuruje jako osoba zaginiona. Sprawdziłem akta, z których wynika, że śledczy pracujący nad tą sprawą nie byli przekonani, że popełniła samobójstwo. Sprawa trafiła do archiwum.

*Dwa i pół miliona dolarów, przeliczając po obecnym kursie, to prawie dwa miliony funtów* obliczył Norman Potting.

*Umarła w nędzy, mając ponad trzy miliony funtów?* zastanowiła się głośno Bella.

*Za taki szmal mogłabyś kupić mnóstwo drażetek maltesers* dodał Potting.

*Pieniądze, zdaje się, nie były złożone w banku* wyjaśnił Nick Nicholl, podnosząc trzymane w rękach dwie teczki. \* Bardzo szybko doszedłem do

tych informacji dzięki pomocy Steve'a.

Pomachał ręką w podziękowaniu do trzydziestojednoletniego detektywa, który siedział na końcu stołu. Był ubrany w dżinsy i koszulę bez krawata.

Steve Mackie mówił cicho, ale stanowczo i miał nienaganne maniery, które Grace cenił.

\* Mój brat pracuje w holdingu finansowym HSBC. Od razu odpowiedział na moją prośbę.

Nick Nicholl wyjął dokumenty z jednej z teczek.

*To są zaświadczenia wspólnego rachunku Ronniego i Lorraine Wilsonów z dwutysięcznego roku. Pokazują narastający debet i jedynie okazjonalne, niewielkie wpłaty.* Włożył dokumenty do teczki i wyciągnął kolejne z drugiej.

\* To jest bardziej zajmujące. To jest wyciąg z konta bankowego założonego tylko na nazwisko Lorraine Wilson w grudniu dwa tysiące pierwszego.

\* Pewnie na polisę ubezpieczeniową? \* odpowiedziała Lizzie Mantle.

Nick Nicholl kiwnął głową, czym zaimponował Grace'owi. Zwykle ów młody człowiek nie był pewny siebie, a teraz świetnie sobie radził.

\* Tak, zostały zdeponowane w marcu dwa tysiące drugiego.

*Tak szybko je wypłacono?* dziwiła się Lizzie Mantle. *Myślałam, że jeśli nie znaleziono ciała, to obowiązuje okres siedmiu lat oczekiwania, zanim dana osoba zostanie uznana za zaginioną.* Mówiąc, celowo unikała wzroku Grace'a. Wiedziała, jak osobiście podchodzi do tych spraw.

*To była międzynarodowa umowa z inicjatywy burmistrza Giulianiego* wyjaśnił

Steve Mackie \* zrezygnowano z tego okresu, by szybciej wypłacić odszkodowania rodzinom ofiar.

Nick Nicholl położył kilka dokumentów bankowych przed sobą, rozkładając je w wachlarz.

\* Dochodzimy do najbardziej interesującej rzeczy. Cała suma, półtora miliona funtów, została wypłacona gotówką trzy miesiące później.

*Co ona zrobiła z tą forszą?* dopytywał się Grace. Nick Nicholl podniósł rękę.

\* Jej siostra była dokumentnie zszokowana, gdy jej powiedziałem. Opowiadała, że Lorraine żyła tylko z tego, co otrzymywała od niej i przyjaciół.

\* A co z odszkodowaniem za jedenastego września? \* zaciekał się Grace.



\* Wpłynęło na jej konto w lipcu dwa tysiące drugiego roku *Nicholl* trzymał w ręku potwierdzające to dokumenty i powtórzyła się ta sama historia. Pieniądze zostały wybrane w gotówce na kilka tygodni przed jej samobójstwem.

Wszyscy pograżyli się w rozmyślaniach. Glenn Branson stukał długopisem po zębach. Lizzie Mantle coś zapisywała, a potem podniosła wzrok.

*Nie wiemy, na co poszły te pieniądze* stwierdziła. \* Czy powiedziała komuś w banku, czemu potrzebuje takiej gotówki? Pewnie zadano jej to pytanie, skoro wypłacała miliony.

\* Bank ma obowiązek sprawdzać klientów, by mieć pewność, że nie wypłacają dużych sum pod przymusem *powiedział Mackie*. Podobno odpowiedziała, że bank nie zapewnił jej pomocy po śmierci męża, więc byłaby szalona, gdyby zostawiła te pieniądze u nich.

*Cwana babka* stwierdziła Lizzie.

*Czy widzicie tu pewien związek?* zapytał Norman Potting. \* Pierwsza żona Wilsona dziedziczy dom, mówi przyjaciołom, że wyjeżdża do Ameryki, a potem kończy w kanale spływowym. Druga żona otrzymuje pieniądze i też kończy w kanale.

Grace kiwnął w jego stronę. Zdecydował się powiedzieć, co wie dzięki uprzejmości Cassiana Pewe'a.

\* Mam coś, co może rzucić światło na śledztwo *powiedział Grace*. W zeszłym miesiącu policja w Geelong w Australii znalazła ciało kobiety w bagażniku samochodu zatopionego w rzece. Raport biegłych mówi, że nie żyła od dwóch lat.

Miała implanty piersi, których numery prowadzą do dokumentów szpitala Nuffield w Woodingdean z lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Osobą, która miała implanty o takim numerze seryjnym, była Lorraine Wilson.

Zrobił pauzę, by dotarły do nich podane wiadomości.

*W takim razie przepłynęła kanałem La Manche do Australii, a potem wskoczyła do rzeki?* ironizował Glenn Branson \* a trzy miliony kapuchy schowała w kostiumie kąpielowym.

\* To nie wszystko *ciągnął Grace* była w czwartym miesiącu ciąży. Australijska policja nie była w stanie odczytać DNA matki, nie znaleziono DNA ojca. Obecnie rozpoczęto poszukiwania w bazie danych

DNA Zjednoczonego Królestwa. Czekamy na wynik. Mam nadzieję, że jutro będziemy coś wiedzieć.

*No to mamy problem, Houston* powiedział Norman Potting.

*A może jakiś trop* poprawił go Grace. \* W kostnicy w Melbourne powiedzieli, że prawdopodobną przyczyną śmierci było uduszenie. Lorraine Wilson miała złamaną kość gnykową.

\* Prawdopodobnie z tego samego powodu zmarła Joanna Wilson \* powiedział Nick Nicholl.

\* Doskonale *ucieszył się* Grace jesteś dzisiaj w szczytowej formie. Cieszę się, że bezsenne noce nie przytępiły ci umysłu.

Nicholl zarumienił się zadowolony.

*Ronnie Wilson nieźle sobie poczynął jak na nieboszczyka* skonstatował Norman Potting \* udusił obie żony.

\* Nie mamy na to dowodów, Norman *zauważył* Grace, *choć zaintrygowało go to*

ale skoro wydano trzy miliony w gotówce w ciągu kilku miesięcy, ktoś musiał o tym wiedzieć. Glenn i Bella, zajmiecie się tym. Jeszcze raz pomówcie z Klingerami.

Sprawdźcie wszystkie sprawy, w jakie Wilsonowie byli zaangażowani. Na co wydawali pieniądze? Może uprawiali hazard? Kupili dom za granicą albo jacht?

Ponad trzy miliony funtów to kupa kasy.

Branson i Bella pokiwali głowami.

\* Steve, czy korzystając z pomocy brata, możesz sprawdzić, co się stało ze spadkiem Joanny Wilson? Wiem, że mówimy o wydarzeniach sprzed dziesięciu lat i pewnie nie ma już żadnych dowodów. Proszę, zrób, co będziesz mógł.

Grace spojrział w notatki i kontynuował:

\* Jutro lecę do Nowego Jorku, może się czegoś dowiem. Polecę w nocy w czwartek, wrócę w piątek. Chciałbym, żeby w tym czasie Norman i Nick polecili do Australii.

Norman się rozpromienił, a Nick zmartwił.

\* Macie rezerwację na jutro wieczór. Będziecie tam w piątek rano miejscowego czasu. Będziecie mieli cały dzień na prowadzenie śledstwa. Potem, dzięki różnicy czasu, również w piątek złożycie raport na naszym spotkaniu. Martwisz się czymś, Nick? żal ci się odrywać od ojcowskich

obowiązków? Nick zaprzeczył głową.

\* Możesz jechać?

Pokiwał głową z większym entuzjazmem.

\* Byliście już kiedyś w Australii?

\* Nie, ale mam kuzyna w Perth \* wyjaśnił Nick.

\* To tak samo daleko z Melbourne jak z Brighton \* zauważyła Bella.

\* Nie będę miał czasu wstąpić do niego?

*Nie wybierasz się na wczasy. Jedziesz tam w konkretnym celu zbeształ go Grace.*

Nick Nicholl potaknął.

*Śladem nieżyjącej kobiety ekscytował się Norman Potting. A może i martwego mężczyzny? Grace miał przecucie.*

Październik 2007

ioy Grace zadzwonił do Cleo zaraz po zakończeniu spotkania. Powiedział, że trochę się spóźni, bo musi skończyć robotę. Potem przyjedzie do domu i spakuje się.

W Nowym Jorku był już kilka razy. Dwa razy wybrał się razem z Sandy. Najpierw na zakupy bożonarodzeniowe, a potem z okazji piątej rocznicy ślubu. Pozostałe wyprawy zawsze miały charakter oficjalny, ale bardzo lubił odwiedzać to miasto.

Cieszył się na myśl o spotkaniu z dwoma przyjaciółmi, Dennisem Bakerem i Patem Lynchem.

Poznał ich sześć lat temu, gdy wybrał się do Nowego Jorku w sprawie morderstwa.

Był tam dwa miesiące przed atakami na WTC. Dennis i Pat pracowali na Brooklynie.

Byli jednymi z pierwszych policjantów, którzy pośpieszyli z pomocą po atakach na WTC. Grace nie miał wątpliwości, że to właśnie oni wśród wszystkich funkcjonariuszy z Nowego Jorku są najbardziej kompetentni, by pomóc mu odkryć, czy Ronnie Wilson rzeczywiście zginął tego okropnego dnia.

Cleo była cudowna i słodziutka. Najbardziej jak potrafiła. Zapewniała go, że ma bardzo seksowną niespodziankę. Znał jej seksowne niespodzianki, dlatego postanowił szybko skończyć pracę, a potem odświeżyć się po udziale w psim kursie i tym jak mały Humphrey obrzygał samochód.

Zaczął od e\*maili. Odpisał na te najbardziej pilne, a resztę zostawił na podróż samolotem. Zabrał się do papierkowej roboty, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Cassian Pewe, z wyrazem bólu na twarzy, nie czekał na zaproszenie. Wkroczył do biura i stanął wprost przed biurkiem Gracea. Miał przewieszoną przez ramię marynarkę, odpiętą koszulę i poluźniony węzeł eleganckiego krawata.

\* Roy, przepraszam, że przeszkadzam, ale czuję się dotknięty. Grace podniósł palec, dając do zrozumienia, że kończy czytać okólnik. Potem spojrzał na niego.

\* Zraniony? To przykre. A czym?

\* Właśnie się dowiedziałem, że wysyłasz detektywów Nicholla i Pottinga do Melbourne. Czy to prawda?

\* Tak, zgadza się. Pewe walnął się w piersi.

\* A ja? Ja zacząłem tę pracę. Czy nie powinienem też pojechać?

\* Przepraszam, co masz na myśli, mówiąc „ja zacząłem”? Myślałem, że wykonałeś jedynie rozmowę telefoniczną.

Roy zaczął rozpaczliwym tonem, jakby Grace był jego najlepszym kumplem od zawsze \* z mojej inicjatywy śledztwo ruszyło.

Grace był zirytowany jego podejściem i nagłym wtargnięciem.

\* Tak, doceniam to. Ale musisz zrozumieć, Cassian, że tutaj w Sussex pracujemy jako jeden zespół. Ty zajmujesz się sprawami z archiwum, a ja aktualnymi śledztwami. Informacja, którą mi podałeś, jest bardzo cenna i doceniam twój wkład w tę sprawę.

Teraz odpieprz się i pozwól mi pracować, miał ochotę powiedzieć, ale nie zrobił tego.

\* Dziękuję. Sądziłem tylko, że też powinienem pojechać do Australii.

\* Lepiej będzie, jak popracujesz tutaj *powiedział Grace* taka jest moja decyzja.

*Pożałujesz jej*, Roy odpysknął Pewe, popatrzył gniewnie i jak burza wypadł z biura Grace'a.

Październik 2007

Był wtorek, godzina ósma wieczorem. Ricky przyczaił się w vanie. Z tego samego punktu obserwacyjnego, który obrał już wcześniej, obserwował mieszkanie matki Abby. Mimo ciemności dobrze widział wejście do budynku i tylne wyjście awaryjne.

Ricky zmarzył do szpiku kości. Chciał, by to wszystko się skończyło. Żeby już nie musiał oglądać gęby Abby i mógł spieprzyć z tego zakazanego, wilgotnego miejsca do jakiegoś ciepłego kraju.

W ciągu minionych trzech godzin nie zobaczył ani jednego człowieka. Dom opieki w Eastbourne miał opinię, że mieszkają tam umarlaki albo prawie nieżywi. Dziś wieczorem miał wrażenie, że chyba nie ma tam żywej duszy. Latarnia rzucała światło na opustoszały chodnik. Marnowanie energii, pomyślał. Ktoś powinien zainteresować się tym miejscem ze względu na zbędną emisję gazów cieplarnianych.

Abby była w środku, w ciepłym pokoju mamy. Miał przecucie, że spędzi tam całą noc. Choć nie zaryzykowałby opuszczenia stanowiska, by pójść do pubu na drinka.

Dwie godziny temu zarejestrował sygnał z jej nowego telefonu komórkowego, gdy dzwoniła na nową komórkę mamy. Dzięki tej rozmowie miał zeskanowane obydwie numery. Gdy testowały nowe aparaty, słyszał włączony telewizor w tle. Rozpoznał

bohaterów telenoweli, którzy kłócili się w samochodzie.

Ta mała dziwka i jej matka siedziały sobie w przytulnym gniazdku przed telewizorem, z komórkami w rękach, które kupiły za jego pieniądze.

Skaner mrugał intensywnie. Abby obdzwaniała domy opieki. Szukała miejsca dla matki na cztery tygodnie, zanim będzie mogła zamieszkać w tym właściwym.

Pytała o opiekę pielęgniarstwa, lekarzy, pory jedzenia, składniki posiłków, czy jest basen, sauna, o położenie domu, czy wyjazdy dostosowane są do wózka inwalidzkiego i czy są prywatne łazienki. Przedstawiała niekończącą się, bardzo szczegółową listę pytań.

Na swoje nieszczęście on już jakiś czas temu miał okazję się przekonać, jak bardzo była skrupulatną dziwką.

Z czyich pieniędzy za to zapłaci?

Wysłuchał informacji na temat trzech miejsc, w których Abby zaplanowała spotkania jutro rano. Przypuszczał, że zostawi matkę samą w domu. Przecież miał przyjść ślusarz.

Kiedy z nią skończy, nie będzie potrzebowała żadnego domu opieki. Kaplica będzie miejscem jej odpoczynku.

Październik 2007

Następnego dnia o ósmej dwadzieścia inspektor Stephen Curry i sierżant Lan Brown weszli do małej sali konferencyjnej na posterunku policji w Sussex. Curry ścisnął

notatkę z informacjami, które poda na porannym spotkaniu, gdzie omówi wszystkie przestępstwa popełnione w ich rejonie w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin.

Tuż za nimi wszedł sierżant Morley. Następnie pojawiła się pełna energii funkcjonariuszka, o krępej budowie ciała i włosach obciętych na jeża, sierżant Mary Gregson.

Mieli robotę do wykonania. Curry zaczął od najistotniejszych wydarzeń. Student muzułmanin został ciężko pobity na tle rasistowskim przy restauracji na Park Road.

Wracał na uniwersytet. Na Lewes Road wydarzył się wypadek z udziałem motocyklisty i pieszego. Przy Whitehawk Broadway doszło do brutalnego napadu. W

Preston Park pobito młodego mężczyznę na tle homofobii.

Curry szczegółowo omawiał każde zdarzenie, miejsca przestępstw. Upewniał się, że nie popełnił żadnego błędu. Nie chciał, by nadinspektor zwrócił mu uwagę podczas spotkania o 9.30.

Następnie zajęli się osobami zaginionymi i wyznaczyli kierunki śledztw. Mary przedstawiła szczegóły zwolnienia za kaucją gościa, który miał wyjść z aresztu po południu. Przypomniała, że Curry o 11.00 ma spotkanie z sądowym prawnikiem na temat podejrzanego, którego aresztowali po serii napaści i kradzieży torebek.

Niespodziewanie inspektor coś sobie przypomniał.

\* John, wczoraj prosiłem, żebyś sprawdził pewną kobietę na Kemp Town. Nie widziałem sprawozdania na naszej liście. Jak ona się nazywała? Katherine Jennings?

Czy ktoś tam był?

Morley spłonął rumieńcem.

\* O Boże, przepraszam, szefie. Zapomniałem. Sprawa z Gemmą Buxton



pochłonęła mnie całkowicie. Zaraz tam kogoś poślę.

*Dziękuję* powiedział Curry i popatrzył na zegarek. Cholera, była 9.05.  
Szybko się poderwał. \* Do zobaczenia.

\* Miłego spotkania z szefem \* Mary zuchwale się roześmiała.

\* Masz szansę na sukces! \* dodał Morley.

\* Z zespołem, który ma taką beznadziejną pamięć? *odparował* nie sądzę.

Październik 2007

Ricky spał niespokojnie. Zdrzemnął się po kilku piwkach, które kupił w pubie naprzeciwko. Budził się za każdym razem, gdy zobaczył jakieś światła lub usłyszał

przejeżdżający samochód, czyjeś kroki albo trzaśnięcie drzwi. Usadowił się na siedzeniu pasażera, więc nie wyglądał jak pijany kierowca, co mogłoby zainteresować dociekliwych policjantów. Wychodził na zewnątrz jedynie, by się wysikać.

Ponownie ruszył się o szóstej rano w poszukiwaniu jakiegoś baru, gdzie mógłby zjeść śniadanie. Po godzinie powrócił do punktu obserwacyjnego.

W jaki sposób doprowadził się do takiej sytuacji? Nieustannie zadawał sobie to pytanie. Jak mógł dać się wystrychnąć na dudka takiej krowie? Rozegrała to koncertowo. Cudownie odgrywała rolę seksownej zdziry. Pozwalała mu na wszystko i udawała, że jej się to podoba. Może rzeczywiście jej się podobało? Cały czas delikatnie go podpytywała. Kobiety są przebiegłe. Wiedzą, jak manipulować mężczyznami.

Popęnił cholerną pomyłkę, gdy powiedział jej o wszystkim. Chciał jej zaimponować.

Sądził, że zrobi na niej wrażenie.

A tymczasem pewnego dnia, gdy był naszprycowany i zalany w sztok, ona go obrobiła i zniknęła. Szaleńczo potrzebował skradzionych rzeczy. Nie miał forsy. Po uszy tonął w długach. Interesy mu nie szły. To była jego jedyna szansa. Trafiła mu się okazja, a ona mu ją spieprzyła.

Miał nad nią przewagę. Świat, w którym się poruszała, był mniejszy, niż jej się zdawało. Każdy, do kogo by się zwróciła, zacząłby zadawać jej pytania. Pewnie miała świadomość tego i dlatego jeszcze tutaj tkwiła. Poza tym jej sytuacja się skomplikowała, odkąd on pojawił się w Brighton.

O 9.30 taksówka zatrzymała się przed drzwiami wejściowymi, kierowca wysiadł i nacisnął dzwonek. Chwilę później pojawiła się Abby. Była sama. Doskonale, pomyślał.

Wybierała się na pierwsze spotkanie w jednym z domów opieki. Zostawiła matkę samą. Instrukcje były nadal te same. Nie otwierać nikomu,

tylko ślusarzowi.

Obserwował, jak Abby odjeżdża w taksówce. Na razie się nie ruszał. Wiedział, że kobiety są nieprzewidywalne. Mogła wrócić, bo na przykład zapomniała czegoś. Nie śpieszył się. Abby nie wróci szybciej niż za godzinę, dwie, trzy lub więcej. Musiał być cierpliwy i upewnić się, kiedy droga będzie wolna. Nie będzie potrzebował wiele czasu.

Październik 2007

Glenn Branson nacisnął dzwonek. Cofnął się o kilka kroków, żeby być widocznym w kamerze. Żelazne skrzydła bramy drgnęły, a potem cichutko się otworzyły. Detektyw wszedł do służbowego samochodu, przejechał między potężnymi filarami na podjazd.

Opony zapiszczały na żwirze. Zaparkował za srebrnym sportowym mercedesem i również srebrnym mercedesem klasy S.

*Nieźle się mają, co?* powiedział, wskazując na oba samochody. Bella Moy potaknęła. Powoli wracała do równowagi. Sposób jazdy Glenna ją przerażał. Lubiła Glenna i nie chciała go urazić. Gdyby jednak mogła wrócić do biura autobusem albo pieszo maszerując po rozżarzonych węglach, na pewno tak by zrobiła.

Wspaniały dom częściowo naśladował styl gregoriański, a po części greckiej świątyni. Świadczył o tym rząd kolumn na całej szerokości przed wejściem. Ari podobały się taki dom, pomyślał Glenn. To zabawne, ale gdy się poznali, pieniądze w ogóle ją nie interesowały. Wszystko zmieniło się obecnie, gdy Sammy ma osiem lat i chodzi do szkoły. Poznała inne matki, pozazdrościła eleganckich samochodów i wystrzałowych domów.

Jednakże Glennowi też podobały się takie domy. Uważał, że mają swoją atmosferę.

W mieście było wiele takich wytwornych posiadłości. Odnosiło się wrażenie, że mieszkają w nich zwykli, porządni obywatele. Ale czasami niektóre z nich były tak imponujące, iż można było podejrzewać, że nie powstały z uczciwych pieniędzy.

*Chciałabyś tu mieszkać, Bella?* zapytał Glenn.

*Przyzwyczaiłabym się.* Uśmiechnęła się tęsknie.

Ukradkiem popatrzył na nią. Była miłą kobietą o pogodnej twarzy okolonej burzą brązowych włosów. Nie miała obrączki. Ubierała się dość nieciekawie, jakby nie zależało jej na wyglądzie; widząc ją, Glenn miał ochotę poprawić jej wizerunek.

Dzisiaj włożyła białą bluzkę, granatowy sweter, czarne spodnie, traktory i zieloną budrysówkę.

Nigdy nie opowiadała o swoim życiu prywatnym. Często zastanawiał się, czy ma do kogo wracać. Może czekał na nią jakiś facet, kobieta albo współlokatorzy? Ktoś kiedyś wspomniał, że Bella opiekuje się starszą matką, ale ona nic nie mówiła na ten temat.

*Gdzie mieszkasz?* zapytał, gdy wysiadali z auta. Podmuch wiatru rozwiewał połę jego żółtego płaszcza.

*W Hangleton* odpowiedziała.

\* Racja.

Okolice pasowała do niej. Hangleton było spokojną dzielnicą wschodniej części miasta, podzieloną przez autostradę i pole golfowe. Ludzie mieszkali tam w małych domkach z uroczymi ogrodami. W tak cichej i spokojnej okolicy Bella mogła mieszkać ze starszą matką. Wyobraził sobie smutną Bellę, która opiekuje się wątłą staruszką i przeżuwa swoje drażetki. Wyglądała jak opuszczone, zamknięte w klatce zwierzątko.

Zadzwoił ponownie. Wpuściła ich filipińska pokojówka. Podążali za nią przez oranżerię z widokiem na patio z ogromnym basenem i kortem tenisowym.

Poproszono ich o zajęcie miejsc w fotelach przy marmurowym stole i napojach. Po chwili weszli Stephen i Sue Klingerowie.

Stephen miał około pięćdziesiątki. Był wysoki, szczupły, miał falujące siwe włosy, a jego policzki pokrywały fioletowe pijackie żyłki. Nosił garnitur w tenisowe prążki i bardzo luksusowe mokasyny. Po przywitaniu z Glennem natychmiast spojrzał na zegarek.

\* Obawiam się, że będę musiał wyjść za chwilę \* oświadczył. Jego głos był

stanowczy, beznamiętny. To był zupełnie inny człowiek niż ten, z jakim spotkali się ostatnio. Zapewne wczoraj jego rozmowność wynikała z zakrapianego lunchu.

\* Nie ma sprawy, proszę pana. Chcemy zadać tylko kilka pytań panu i pańskiej żonie.

Jesteśmy wdzięczni za ponowne poświęcenie nam czasu.

Spojrzał z podzięką na Sue Klinger, która odwzajemniła się wymuszonym uśmiechem. Była niezłą laską. Czterdziestką ze świetną figurą. Ubrana była w brązowy markowy dres i nowiuteńkie adidas.

Jej wzrok wyświecił neon „Chodź do łóżka”, który uchwycił dwukrotnie, ale go zignorował. Otworzył notatnik. Postanowił skupić się na wzroku

Stephena Klingera.

Pokojówka przyniosła kawę i wodę.

*Może pan powiedzieć jeszcze raz, jak długo znaliście się z Ronniem Wilsonem?*

zapytał Branson.

Klinger na sekundę spojrzął w lewo.

*Znamy się od młodości* odpowiedział \* jakieś dwadzieścia siedem, nie, trzydzieści siedem lat.

\* Wczoraj powiedział nam pan, że wasze stosunki z Joanną były napięte, czy z Lorraine były lepsze? \* chciał się upewnić.

Klinger ponownie spojrzął w lewo, zanim odpowiedział.

Glenn przeprowadzał neurologiczny eksperyment, którego nauczył się od Grace'a.

Czasem był pomocny przy orzekaniu, czy ktoś mówił prawdę, czy kłamał. Mózg ludzki jest podzielony na dwie półkule. Jedna przechowuje pamięć długotrwałą, a druga działa na bieżące potrzeby. Po zadaniu pytania oczy ludzi niezmiennie wędrują do półkuli, której używają. Niektórzy mają pamięć długotrwałą po prawej, inni po lewej stronie.

Teraz przypuszczał, że Stephen Klinger, zwracając oczy w lewo, nie skłamał. Jeśli będzie patrzył w prawo, to prawdopodobnie będzie kłamał. To nie była niezawodna technika, ale mogła być jakimś wskaźnikiem.

Branson pochylił się nad stołem i zapytał.

\* Czy sądzi pan, że Ronnie Wilson mógł zabić obie żony? Wzrok Klingera był

szczerzy, podobnie jak jego małżonki. Jego oczy nawet nie drgnęły, gdy odpowiadał.

*Nie, Ronnie nie. Miał charakter, ale...* Wzdrygnął się i pokiwał głową.

*Miał dobre serce* dodała Sue. \* Interesował się wszystkimi. On nie mógłby nikogo zamordować.

\* Mamy informacje, którymi chcielibyśmy się podzielić z państwem. Za kilka dni podamy oświadczenie do prasy.

Brandon spojrzął na Bellę, dając jej możliwość kontynuowania rozmowy. Wolała się przysłuchiwać.

Nalał sobie mleka do kawy i powiedział:

\* Zdaje się, że Joanna Wilson nigdy nie dojechała do Ameryki. Jej ciało znaleziono w kanale spływowym w Brighton w piątek. Leżało tam od dłuższego czasu, przyczyną śmierci było uduszenie.

Obydwoje byli szczerze zdumieni.

\* Cholera! \* krzyknęła Sue.

\* Chodzi o tę wzmiankę w poniedziałkowym wydaniu „Argusa”? \* zainteresował się Stephen.

Bella przytaknęła.

\* Sugerujecie, że Ronnie miał z tym coś wspólnego? \* zapytał.

\* Jeśli państwa to interesuje, powiem, o co chodzi *rzekł Branson*.

Wczoraj dowiedzieliśmy się, że odnaleziono ciało Lorraine Wilson.

*W kanale?* Sue zbladła.

\* Nie, w rzece niedaleko Melbourne w Australii.

Klingerowie siedzieli w ciszy pełnej osłupienia. Zadzwoił telefon, ale nikt z nich nie ruszył się, by odebrać. Glenn popijał kawę.

\* Melbourne? *w końcu odezwała się Sue* Australia?

*W jaki sposób przepłynęła kanałem La Manche do Australii?* zapytał zdumiony Stephen.

Telefon przestał dzwonić.

\* Raport kostnicy mówi, że nie żyje od dwóch lat. Więc wygląda na to, że nie popełniła samobójstwa, skacząc z promu w dwa tysiące drugim roku.

\* Więc zamiast do kanału La Manche wskoczyła do rzeki w Australii? \* zapytał

Stephen.

\* Nie sądzę *odpowiedział Glenn* została uduszona, jej ciało znaleziono w bagażniku samochodu \* wyjaśnił, choć część informacji zataił.

Klingerowie siedzieli w milczeniu. Przetrawiali informacje, które właśnie usłyszeli.

\* Kto to zrobił? Dlaczego? Sugerujecie, że ta sama osoba zabiła Joannę i Lorraine? \*

Stephen przerwał ciszę.

\* Nie możemy tego stwierdzić, ale występują podobieństwa w sposobie zamordowania tych kobiet.

*Ale kto chciał zabić Joannę i Lorraine?* odezwała się Sue, nerwowo obracając bransoletkę na ręce.

*Czy wiedzieliście, że Joanna odziedziczyła dom po matce, który sprzedała na krótko przed śmiercią?* zapytał Glenn. \* Otrzymała za niego prawie sto siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów. Obecnie ustalamy, co się stało z pieniędzmi.

\* Pewnie zaraz poszły na jego długi *stwierdził Stephen*. Lubilem tego gnojka, ale forsa się go nie trzymała. Zawsze kombinował, ale nigdy sobie dobrze nie radził.

Wyżej srał, niż dupę miał.

*Jesteś zbyt ostry, Stephen* Sue zwróciła się do męża. *Ronnie miał dobre pomysły*. Popatrzyła na policjantów i stuknęła się w czoło. \* Ciągle coś kombinował. Wymyślił zatyczkę do butelek do wina. Starał się to opatentować, ale ubiegła go firma VacuVin i załapała rynek.

\* Tak, ale oni zrobili zatyczki z plastiku *powiedział Stephen* a Ronnie zamierzał

je wykonywać z mosiądzu, głupi gnojek. Nie wiedział, że metal wchodzi z winem w reakcję?

\* Swego czasu uważałeś, że to był niezły pomysł, prawda?

\* No, ale później już nie inwestowałem w żaden z jego pomysłów.

Pomogłem mu dwa razy i z obydwu interesów nic nie wyszło. \* Wzruszył ramionami. \* Trzeba czegoś więcej niż dobrego pomysłu, żeby robić biznesy. \*

Spojrzał na zegarek, był trochę zdenerwowany.

\* Szanowni państwo *zaczęła Bella* czy wiedzieliście, że Lorraine otrzymała znaczącą sumę pieniędzy na kilka miesięcy przed swoją upozorowaną śmiercią?

*Skądże* Sue energicznie pokręciła głową \* pierwsza bym o tym wiedziała. Ronnie zostawił biedactwo w strasznych tarapatkach. Musiała wrócić do pracy na lotnisku Gatwick. Nie mogła zaciągnąć żadnego kredytu z powodu wyroków Ronniego.

Nawet nie mogła zaoszczędzić pieniędzy na samochód. Sama pożyczalam jej pieniądze na bieżące wydatki.

\* Zapewne państwo się zdziwią *powiedział Glenn* ale Ronnie miał polisę ubezpieczeniową w Norwich Union, którą wypłacono Lorraine Wilson w kwocie półtora miliona funtów w marcu dwa tysiące drugiego roku.

Widać było, że są autentycznie zszokowani. Glenn kontynuował.

\* Ponadto w lipcu dwa tysiące drugiego roku pani Wilson otrzymała odszkodowanie w wysokości dwóch i pół miliona dolarów dla rodzin ofiar z jedenastego września. W

przeliczeniu daje to kwotę prawie dwóch milionów funtów.

Nastąpiła długa chwila ciszy.



\* Nie wierzę, po prostu w to nie wierzę *Sue kręciła głową* pamiętam rozmowy z policjantami po tym, jak zniknęła. Nie byli przekonani, że popełniła samobójstwo, skacząc z promu, choć nie podali powodów swoich wątpliwości. Może wiedzieli coś, a my nie. Ale Stephen i ja oraz wszyscy jej znajomi byliśmy przekonani, że nie żyje, i nigdy potem nie mieliśmy z nią żadnego kontaktu.

*Jeśli to, co mówicie, jest prawdą, to...* Stephen urwał zdanie w połowie.

*Gdy przyznano jej pieniądze, wybrała je gotówką w różnych nominałach przed swoim zniknięciem w listopadzie dwa tysiące drugiego roku* powiedziała Bella.

*Gotówka?* jak echo powtórzył Stephen.

*Czy Wilsonowie, albo raczej Ronnie, mogli być szantażowani?* zapytał Glenn.

*Lorraine i ja przyjaźniłyśmy się* powiedziała Sue. \* Sądzę, że by mi o tym wspomniała. Wiedziała, że może mi zaufać.

\* Jednak nie na tyle, by powiedzieć o sumie rzędu prawie czterech milionów funtów?

\* ironizował Glenn.

\* Jest jedna rzecz *Stephen podniósł palec* może Ronnie ją wprowadził w tajniki swojego biznesu. On handlował znaczkami.

*Znaczkami?* zdziwił się Glenn. \* Takimi pocztowymi? Stephen pokiwał głową.

\* Ale bardzo drogimi. Zawsze sprzedawał za gotówkę. Uważał, że w ten sposób fiskus nie będzie się go czepiał.

*Za prawie cztery miliony funtów można by kupić mnóstwo znaczków* zauważyła Bella.

Stephen pokręcił głową.

\* Niekoniecznie. Pewnego razu w barze otworzył portfel i pokazał mi jeden znaczek.

Za ten znaczek zapłacił pięćdziesiąt kawałków. Miał kupca, który płacił sześćdziesiąt.

Choć znając jego szczęście, pewnie dał mu tylko czterdzieści.

\* Czy wiedzą państwo, gdzie Ronnie Wilson handlował znaczkami?

\* Jest kilku okolicznych handlarzy, z którymi kontaktował się przy małych biznesach.

Czasem robił interesy w miejscu zwanym Hawkes przy Queen's Road.

Miał też kontakty w Londynie i oczywiście w Nowym Jorku. Jest też handlarz, który mieszka przy Dyke Road, zapomniałam, jak się nazywa. Na pewno ktoś w Hawkes zna jego nazwisko \* powiedziała Sue.

Glenn zapisał informację.

\* Mówił, że ten rynek jest bardzo mały. Jeśli ktoś sprzedaje coś na dużą skalę, wszyscy o tym wiedzą. Więc jeśli kupiła znaczki za sporą sumę, ktoś będzie o tym pamiętał.

\* I pewnie *dodała Bella* ktoś będzie pamiętał, jeśli je sprzedała.

Październik 2007

Duncan Troutt, teraz już stuprocentowy policjant, został wysłany na swój pierwszy w życiu patrol. Był dumny, dość pewny siebie, choć prawdę mówiąc, trochę się denerwował, żeby czegoś nie schrzanić.

Miał około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Był drobny, ale ćwiczył sylwetkę. Od dłuższego czasu trenował sztuki walki. Zdobył wiele dyplomów w kick\*boxingu, taekwondo i kung\*fu. Sonia, jego dziewczyna, dała mu w prezencie oprawiony w ramki plakat z napisem: „I choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo sam jestem największym skurwysynem w tej dolinie”.

Akurat teraz, o dziesiątej rano, „największy skurwysyn tej doliny” stał na skrzyżowaniu Marine Parade i Arundel Road we wschodniej części miasta Brighton i Hove. Nie znajdował się w żadnej dolinie, nawet nie w małej rozpadlinie. Ulice o tej porze były bardzo spokojne, ale w godzinach szczytu ruch uliczny sięgał aż po horyzont. Ogólnonarodowe badania wykazały, że najwięcej pieszych ginie właśnie w tym mieście. Troutt został ostrzeżony, że w jego rewirze panuje w newralgicznych godzinach komunikacyjne piekło.

Usłyszał sygnał krótkofalówki. Z podekscytowaniem odebrał telefon i rozpoznał głos sierżanta Morleya.

\* Wszystko w porządku, Duncan?

\* Tak, panie sierżancie. Na razie w porządku.

Rewir Troutta rozciągał się od Kemp Town do Whitehawk, gdzie w przeszłości mieszkało zarówno wiele rodzin przestępczych, jak i porządnych obywateli. Był to dobrze prosperujący obszar społeczności zamieszkującej domy jednorodzinne, mieszkania do wynajęcia i tanie hotele. Egzystowała tam również największa w Wielkiej Brytanii wspólnota gejowska. Funkcjonowało też wiele restauracji, pubów, sklepów, szkół i szpitali.

*Musisz sprawdzić kobietę zdenerwowaną pewnym wydarzeniem* Morley przedstawił mu szkic sytuacji.

Troutt wyciągnął nowiutki notes i zapisał informacje, nazwisko Katherine Jennings i adres.

\* Polecenie otrzymałem od inspektora, ale sądzę, że to sprawa z górnej

półki, chyba rozumiesz, co mam na myśli?

\* Oczywiście, sierżancie. Jestem blisko tego miejsca, więc zaraz tam pójde.

Dumnie podążył ruchliwym nabrzeżem, z którego skręcił w lewo.

Pod wskazanym adresem znalazł ośmiopiętrowy blok, przed którym stała ciężarówka firmy budowlanej. Przeszedł obok szarego forda focusa z mandatem wetkniętym za wycieraczkę przedniej szyby wprost do głównych drzwi. Ustąpił jednak mężczyznom, którzy nieśli dużą płytę gipsową. Potem spojrzął na listę mieszkańców.

Przy numerze dwudziestym dziewiątym była pusta rubryka. Policjant nacisnął

dzwonek, ale nikt nie odpowiadał.

Na dole listy mieszkańców wpisano nazwisko dozorca. Drzwi były otwarte, więc zdecydował się wejść. Na windzie był ogromny napis „Nieczynna”. Musiał pójść pieszo. Usiłował ominąć zakurzone folie na schodach. Trochę się denerwował, że świeżutko wyczyszczone buty zaczynały pokrywać brud. Słyszał uderzenia młotem i wiercenie wiertarką tuż nad sobą. Na piątym piętrze musiał zmierzyć się z przeszkodą stworzoną z rozłożonych materiałów budowlanych.

W końcu znalazł się na ósmym piętrze, wprost przed drzwiami Katherine Jennings.

Trzy zamki w drzwiach oraz panoramiczny wizjer rozbudziły jego ciekawość. Dwa zamki nie były niczym niezwykłym ze względu na częste włamania w Brighton. Ale trzy już tak. Przyjrzał się im z bliska. Nie zauważył niczego szczególnego, oprócz tego, że były solidne.

Coś cię niepokoi, szanowna pani, pomyślał, nim zadzwonił do drzwi.

Nikt nie otwierał. Cierpliwie próbował kilka razy, ale bezskutecznie.

Postanowił

pomówić z dozorcą.

Gdy zszedł na parter, natknął się na dwóch mężczyzn. Pierwszy miał około trzydziestu lat, miły wygląd, był ubrany w kombinezon z wytłoczonym na piersiach napisem „Stanwell Maintenance”. Nosił pas z narzędziami. Starszy z nich, mężczyzna około sześćdziesiątki o słowiańskich rysach twarzy, miał spodnie robocze i brudny sweter. Trzymał staroświecką komórkę i miał zaczerniałe paznokcie. Obaj popatrzyli na Troutta z niepewnym uśmiechem.

\* Chwała Bogu, że pan przyszedł tak szybko. Starszy wyłączył telefon.

\* Ledwo co zadzwoniłem! \* Gardłowy głos zabrzmiał wręcz jak zarzut.  
\* Dzwonił pan do mnie?  
\* W sprawie windy.  
\* Przepraszam, pan jest...  
\* Dozorczą.  
\* Obawiam się, że nie pomogę *powiedział Troutt* ale byłbym szczęśliwy, gdyby zechciał pan powiedzieć, co się stało.

*To bardzo proste* wyjaśnił ten młodszy. \* Ktoś grzebał przy silniku. Jakiś wandal, sabotażysta. Przecięto kabel telefoniczny i alarmowy.

Troutt bardzo się zainteresował. Wyciągnął notes i pisał.

\* Proszę o szczegóły.

\* Cholera, mogę panu pokazać. Zna się pan na takich mechanizmach?

Troutt wzruszył ramionami.

\* Zobaczymy.

\* Pokażę panu maszynownię.

\* W porządku, ale najpierw chciałbym pomówić z panem.

Fachowiec pokiwał głową.

\* Pójdę przestawić swojego vana. Cholerni dzielnicowi są jak gestapo. Gdy wyszedł, Troutt zwrócił się do dozorky.

\* Podobno pod numerem osiemdziesiątym drugim mieszka tutaj Katherine Jennings.

\* Tak, od kilku tygodni, wynajęła na krótko.

\* Może mi pan o niej coś powiedzieć?

\* Nie rozmawiałem z nią za dużo. Oprócz ostatniej niedzieli, kiedy utknęła w windzie. Ma dużo forsy.

\* Jak pan sądzi, kto zepsuł windę? Miejscowi chuligani? Albo ktoś z nią związany?

Dozorca się wzdrygnął.

\* Może nie chciała się przyznać, że ma problem. Może chroni siebie albo firmę?

Troutt pokiwał głową, choć nie zrozumiał za wiele. Postanowił wyrobić sobie zdanie po obejrzeniu maszynowni.

\* Więc nie wie pan, czym się zajmuje? Dozorca pokręcił głową.

\* Mężatka? Dzieci?

\* Mieszka sama.

\* Nie wie pan, gdzie się wybrała?

\* Zajmuję służbówkę od strony podwórka. Nie widzę mieszkańców,

chyba że mają jakiś problem. Ona ma problem z policją?

*Nie, skądże Troutt uśmiechnął się powinienem się przedstawić, jestem posterunkowy Troutt. Jestem jednym ze stróżów prawa w tej okolicy.*

Wyciągnął  
odznakę.

Dozorca spojrzał na nią z powątpiewaniem.

*Mam nadzieję, że pojawi się pan tu w piątek i sobotę wieczorem. W zeszły piątek smarkacze podpalili kosz na śmieci zrzędził.*

*Po to tutaj jesteście solennie obiecał policjant.*

\* Uwierzę, jak zobaczę.

Październik 2007

Sie ma, stary druhu, jeszcze nie pojechałeś?

Grace stał w skarpetkach w hali południowego terminalu lotniska Gatwick, jego buty oddalały się od niego na przenośniku taśmowym. Przy uchu trzymał telefon.

\* Jak dotąd pojechały tylko moje pieprzone buty. Strasznie mnie to wkurza. Za każdym razem trzeba zdejmować coraz więcej ciuchów. Tylko dlatego, że jakiś świr chciał podpalić sznurówki pięć lat temu! Muszą sprawdzić bagaż podręczny. Jest zbyt duży jak na obecne przepisy. To oznacza, że będę musiał znowu poczekać. Cholerna strata czasu!

\* Miałeś ciężką noc?

Grace uśmiechnął się na wspomnienie nocy z Cleo.

\* Nie. Była o wiele lepsza niż poprzednia. Ponieważ żaden palant nie wylewał przy mnie swoich żalów.

Glenn zignorował tę kąśliwą uwagę.

\* I żaden pies nie narzygał na ciebie?

Grace był ubrany w garnitur, ponieważ chciał wyglądać oficjalnie. Nie przerywając rozmowy, usiłował zasnurować, odzyskany już, prawy but. Nie dał rady na stojąco, więc usiadł.

\* Nie, jedynie narzygał na podłogę.

\* Dobrze się czujesz? Jakoś dziwnie mówisz.

\* Wszystko dobrze. Usiłuję tylko włożyć te cholerne buty. Dzwonisz z czymś ważnym czy tylko tak chciałeś pogadać?

\* Wiesz coś na temat znaczków? \* zapytał Branson.

\* Priorytetowych czy zwykłych?

\* Bardzo śmieszne.

\* Coś ci powiem *powiedział* Grace mój ojciec kolekcjonował koperty ostemplowane w pierwszym dniu obiegu znaczka. Dawał mi je, gdy byłem chłopcem.

Teraz są bezwartościowe. Po śmierci ojca matka powiedziała, żebym je sprzedał, ale nie dostałbym za nie złamanego grosza. Jeśli myślisz o jakimś hobby, może zacznij zbierać motyle. A co powiesz na kolekcjonowanie numerów lokomotyw?

\* Ha, ha! Skończyłeś? Grace odchrząknął.

\* Posłuchaj, Bella i ja byliśmy u Klingerów, kapujesz? Mówiliśmy o tej gotówce, ponad trzech milionach funtów. Sądzę, że kupiła za nie znaczki.

\* Serio?

Grace dał sobie spokój z butem i zamyślił się. Przypomniał sobie wtorkową rozmowę z Terryem Biglowem.

\* Serio. Stephen Klinger powiedział, że świat handlujących drogimi znaczkami jest bardzo mały. Wszyscy się znają.

\* Masz listę tych handlarzy?

\* Kilka nazwisk mam.

\* Posłuchaj, Glenn. Każda zorganizowana grupa nie lubi nikogo dopuszczać do swoich sekretów, chronią się nawzajem. Idź i złap ich za jaja, rozumiesz?

\* Mhm.

\* Powiedz, że chodzi o morderstwo. Jeśli zatają jakieś fakty, będą oskarżeni o utrudnianie śledztwa. Powtarzaj im to do znudzenia.

\* Tak jest, szefie. Miłego lotu. Pozdrów ode mnie Wielkie Jabłko. Baw się dobrze.

\* Wyślę ci kartkę.

\* I nie zapomnij o znaczku.



Październik 2007

Bella skontaktowała się przez radio z jednym z członków Operacji Dingo i poprosiła, by zebrał listę osób zajmujących się handlem znaczkami w okolicy Brighton i Hove.

Potem wraz z Glennem pojechali do sklepu dla hobbystów wskazanego przez Stephena Klingera, na Quenns Road.

Lokal Hawkes wyglądał, jakby był od zawsze. W witrynie, niezmiennie od lat, choć czasami uaktualnianej, były klasery z monetami, medale, koperty pierwszego dnia obiegu w plastikowych koszulkach i stare pocztówki.

Spiesznie weszli do środka, ponieważ akurat zaczął siąpić kapuśniaczek. Zobaczyli dwie młode, piękne blondyny. Branson zawsze myślał, że handel znaczkami był

domeną mężczyzn.

Kobiety rozmawiały, w ogóle nie zauważyły ich wejścia, jakby nie zależało im na sprzedawaniu czegokolwiek. Glenn i Bella cierpliwie czekali, aż skończą. W sklepie panował bałagan. Większość powierzchni zajmowały prowizoryczne stoły, na których stały kartonowe pudła wypełnione starymi, pikantnymi pocztówkami; na niektórych były zdjęcia dawnego Brighton.

Kobiety przerwały paplaninę i popatrzyły na nich. Branson wyciągnął swoją legitymację.

\* Jestem detektyw Branson z wydziału policji w Brighton, a to detektyw Moy.

Chcielibyśmy porozmawiać z właścicielem, a może już mamy z nim do czynienia?

\* Tak *odpowiedziała starsza. Była uprzejma, ale z dystansem* nazywam się Jacqueline Hawkes. O co chodzi?

\* Czy zna pani Lorraine i Ronniego Wilsonów?

Kobieta zdziwiła się i spojrzała na tę drugą.

\* Ronnie Wilson? Moja mama handlowała z nim wiele lat temu. Ja również pamiętam go dobrze. Zawsze się targował. On nie żyje, prawda? Z tego co pamiętam, zginął jedenastego września.

*Tak* pośpieszyła Bella, która nie chciała, by rozmowa potoczyła się w tym kierunku.

*Czy był grubą rybą? Z najwyższej półki?* zapytał Branson. \* To znaczy, czy sprzedawał drogie znaczki?

\* Nie, nie tutaj *kobieta potrząsnęła głową* nie zajmujemy się taką sprzedażą.

Prowadzimy sprzedaż detaliczną.

\* To znaczy jaką?

\* Na małą skalę. Sprzedajemy znaczki za kilkaset funtów. Chyba że jest jakaś okazja, wtedy możemy się skusić.

*Czy Lorraine Wilson była tu kiedykolwiek?* zapytał.

*Tak, była* kobieta odparła po namyśle \* ale nie pamiętam dokładnie kiedy. Chyba krótko po tym, jak on zmarł. Miała kilka znaczków męża. Kupiliśmy je, ale nie za dużą sumę. Tylko kilkaset funtów, o ile pamiętam.

\* Czy wspominała o jakimś większym interesie? Czy chciała wydać większą sumę?

\* Co to znaczy „większą” sumę?

\* Setki lub tysiące.

*Nigdy.* Pokiwała głową.

\* Gdyby ktoś chciał kupić znaczki za tysiące funtów, co by pani zrobiła?

\* Skierowałabym go na aukcję do Londynu i liczyła, że odpali mi jakąś prowizję.

\* Czy w tej okolicy jest ktoś, kto mógłby przeprowadzić taką transakcję?

Kobieta wzruszyła ramionami.

\* Jest tylko jedna osoba, która prowadzi handel na skalę, o jakiej mówicie. To Hugo Hegarty. Postarzał się, ale nadal handluje.

\* Ma pani jego adres?

\* Tak, zaraz podam.

Dyke Road płynnie przechodziła w Dyke Road Avenue. Łączyła prawą część miasta z południową dzielnicą Downs i stanowiła granicę między częściami Brighton a Hove. Było tam kilka sklepów, biur, restauracji, ale przede wszystkim bardzo eleganckie wille.

Bella cieszyła się, że było tłoczno na drodze, więc Glenn musiał jechać w zółwym tempie. Liczyła numery domów.

*Będzie po lewej stronie* powiedziała.

Wjechali na elegancki podjazd, który wydawał się obowiązkowy w tej okolicy. W

przeciwieństwie do domu Klingerów nie było tu elektrycznej bramy, tylko drewniana, zresztą pewnie niezamykana od lat. Na podjeździe stało

mnóstwo aut, więc Branson zaparkował przy chodniku. Tym samym blokował pas dla autobusów, ale nie znalazł innego rozwiązania.

Przed nim stał stary kabriolet bmw, równie stary saab, brudny, szary aston martin i golfy. Glenn zastanawiał się, czy Hegarty zajął się również handlem samochodami.

Stanęli na ganku i zadzwonili.

Gdy otworzyły się imponujące, dębowe drzwi, Glenn Branson się zdumiał.

Mężczyzna, który stanął w drzwiach, był sobowtórem jego ulubionego aktora Richarda Harrisa. Był tak zszokowany, że zapomniał języka w gębie podczas wyciągania legitymacji służbowej.

Mężczyzna miał wyrazistą twarz, ale trudno było określić jego wiek. Mógł mieć sześćdziesiątkę lub być dobrze po siedemdziesiątce. Miał siwe, skołtunione włosy.

Był ubrany w sweter do krykieta, sportową koszulę i spodnie dresowe.

\* Jestem detektyw Branson, a to detektyw Moy z komendy głównej w Sussex.

Chcielibyśmy porozmawiać z panem Hegartym. Czy to pan?

\* To zależy, z którym Hegartym chcecie mówić *uśmiechnął się wymijająco* z jednym z synów czy ze mną?

*Z panem Hugo Hegartym* wyjaśniła Bella.

*To ja* zerknął na zegarek \* za dwadzieścia minut wychodzę na tenisa.

\* Zajmiemy panu jedynie kilka minut *powiedziała Bella*. Chcemy porozmawiać na temat człowieka, z którym robił pan kiedyś interesy. Chodzi nam o Ronniego Wilsona.

Mężczyzna się zaniepokoił.

\* Ronnie? Dobry Boże! Przecież on nie żyje, wiecie o tym? Hugo Hegarty zawahał się, zanim dodał trochę przyjemniejszym tonem:

\* Wejdziecie? Jest taki paskudny dzień.

Weszli do przestronnego holu z dębową boazerią, gdzie na ścianach wisały obrazy olejne. Idąc za Hegartym, znaleźli się w również obitym dębiną gabinecie, w którym stała kremowa skórzana kanapa i należący do kompletu rozkładany fotel z podnóżkiem. Z głównego okna rozciągał się widok na basen, olbrzymi trawnik, krzewy, kwietniki i dach domu sąsiadów za ogrodzeniem. Na piętrze słychać było ryk odkurzacza.

W pokoju panował porządek. Na półkach rozstawiono trofea golfowe, na biurku zaś fotografie. Na jednej z nich widać było ładną, siwą kobietę. Pewnie jego żonę. Na pozostałych zobaczyli młodzieńców, dziewczęta i dziecko. Obok zdjęć leżały podkładki do pisania, a przy nim spoczywało ogromne szkło powiększające.

Wskazał, by usiedli na kanapie. Sam usadowił się w fotelu.

*Biedny, stary Ronnie. Jak zawsze przegrany, i tyle. Miał pecha, że był tam wtedy.*

Zaśmiał się nerwowo. \* W czym mogę panom pomóc?

Branson zauważył grube, poważnie wyglądające katalogi ze znaczkami firmy Stanley Gibbons i wiele innych wydawnictw filatelistycznych na regale.

\* Prowadzimy śledztwo, które ma związek z panem Wilsonem wyjaśnić. Handluje pan cennymi znaczkami, zgadza się?

Hegarty pokiwał głową. Skrzywił się w lekceważący sposób.

\* Teraz już nie za dużo. Są ciężkie czasy. Obecnie bardziej zajmuję się nieruchomościami, udziałami, akcjami niż znaczkami. Trzymam rękę na pulsie.

Nawet mówiąc tę nudną kwestię, miał błysk w oku, co bardzo podobało się Bransonowi; Richard Harris miał taki sam, dzięki czemu był tak interesujący.

\* Mówił pan, że robił duże interesy z Ronniem Wilsonem?

*Nie bardzo, tylko okazjonalne.* Hegarty wzruszył ramionami. \* Ronnie nie był łatwym partnerem w interesach.

\* To znaczy?

\* Mówiąc oględnie, jego towar był niewiadomego pochodzenia. Zawsze dbałem o reputację, mam nadzieję, że mnie rozumiecie?

Branson robił notatki.

\* Uważa pan, że jego towar pochodził z nieuczciwego źródła?

*Niektórych z jego rzeczy nie kupiłbym za żadną cenę. Zawsze się zastanawiałem, skąd brał niektóre znaczki i czy rzeczywiście zapłacił za nie tyle, ile się chwalił.*

Umilkł na chwilę. *Miał pojęcie o tym biznesie, sprzedałem mu kilka interesujących rzeczy. Zawsze płacił gotówką od ręki. Ale... na chwilę zawiesił głos* \* mówiąc szczerze, nie lubiłem go. Dbam o moich klientów.

Często powtarzam, że można robić z kimś tysiące interesów, ale zawalić można tylko raz.

Glenn uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Bella przejęła głos w dyskusji.

\* Panie Hegarty, czy pani Lorraine Wilson kontaktowała się z panem po śmierci męża?

Hegarty zawahał się przez moment, patrzył na nich nieufnie, jakby niespodziewanie usłyszał, że nastąpiła hossa na giełdzie.

*Tak* powiedział w końcu stanowczo.

\* Może nam pan powiedzieć, czego chciała od pana?

\* Sądzę, że teraz to nie ma znaczenia. Ona też nie żyje od dłuższego czasu.

Przyrzekłem jej, że dochowam tajemnicy.

Wspominając słowa Grace'a, Branson odezwał się najbardziej oględnie, jak potrafił: \* Mamy do czynienia z morderstwem, panie Hegarty.

Potrzebujemy wszystkich informacji, jakich może nam pan udzielić.

Hegarty popatrzył zszokowany.

\* Morderstwa? Nie miałem pojęcia. O mój Boże. A kto jest ofiarą?

\* Obawiam się, że nie możemy zdradzać szczegółów.

\* Oczywiście *powiedział Hegarty, który wyraźnie zbladł*. Muszę to przemyśleć \*

milczał przez chwilę. \* Myślę, że przyszła do mnie w lutym albo marcu dwa tysiące drugiego roku. A może to było w kwietniu? Mogę sprawdzić w notatniku.

Powiedziała, że mąż zostawił jej koszmarnie długi i że zabrano jej dom. Szczerze mówiąc, to okrutne tak nachodzić wdowę.

Oczekiwał potwierdzenia, ale napotkał jedynie ciszę, więc kontynuował.

\* Powiedziała mi, że otrzyma pieniądze z polisy ubezpieczeniowej.

Obawiała się jednak, że wierzyciele też położą na nich łapę. Chciała zamienić gotówkę na znaczki.

Sądziła, zresztą całkiem słusznie, że w ten sposób ukryje pieniądze. Czegoś nauczyła się od męża.

\* Ile miała pieniędzy? \* zapytała Bella.

\* W pierwszej części było tego z półtora miliona. Kilka miesięcy później przyszła z jeszcze większą sumą, odszkodowaniem za stratę rodziny w ataku na WTC.

Branson ucieszył się, że sumy pieniędzy zgadzały się z wcześniejszymi informacjami. Hegarty najprawdopodobniej mówił prawdę.

*Poprosiła, żeby zamienił pan całą sumę na znaczki?* zapytał.

*Poszło łatwiej, niż sądziłem* powiedział. *Kupowałem w jej imieniu.*

*Rozesłałem w świat wieści, że kupuję znaczki dla anonimowego kolekcjonera. To częsta praktyka. W ostatnich latach Chińczycy wariowali z radości, gdy kupowali znaczki dobrej jakości. Niestety niektórzy handlarze opychali im także chłam* ostrzegawczo podniósł palec \* nawet ci szanowani.

\* Czy może nam pan dostarczyć listę znaczków, które sprzedał pan Lorraine Wilson?

\* zapytała Bella.

\* Tak, ale to mi zajmie trochę czasu. Najpierw zagram w tenisa, a potem zacznę poszukiwania. Czy możecie wrócić w porze popołudniowej herbaty?

*Oczywiście* powiedział Branson.

*Prosilibyśmy również* kontynuowała Bella \* o listę osób, którym Lorraine Wilson sprzedała później znaczki, gdy potrzebowała gotówki.

\* *Mogę znaleźć nazwiska kilku kupców* powiedział i indywidualnych kolekcjonerów, takich jak ja. Nie zostało nas już wielu. Obawiam się, że kilku już nie żyje.

*Czy zna pan jakichś handlarzy albo kolekcjonerów w Australii?* zapytała.

*W Australii?* zmarszczył brwi \* *chwilczkę.* Oczywiście, że tak. Ronnie znał

gościa, który wyjechał z Brighton w połowie lat dziewięćdziesiątych. Nazywał się Chad Skeggs. Zawsze robił duże interesy przez Internet z Melbourne i wysyłał mi katalogi. Teraz też.

\* Czy kupował pan znaczki od niego? \* zapytał Glenn.

\* Nie, był nieuczciwy. Kiedyś mnie oszukał. Kupiłem od niego australijskie znaczki sprzed tysiąc dziewięćset trzynastego roku. Nie były w takim stanie, jak zapewniał

przez telefon. Gdy zwróciłem mu uwagę, powiedział, że bym podał go do sądu. \*

Rozpaczliwie podniósł rękę. \* Nie były warte takiej sumy, i on o tym wiedział.

Powinienem zapłacić jedynie kilka kawałków. Dziwię się, że ten łobuz jeszcze jest w grze.

*Zna pan poza nim kogoś w Australii?* zapytała Bella.

\* Pełną listę podam wam po południu. Możecie być koło czwartej?

\* Oczywiście, proszę pana \* zapewnił Branson.

Gdy wstali, Hegarty pochylił się tajemniczo, jakby chciał im coś powiedzieć na ucho.

\* Pewnie nie możecie mi pomóc *zaczął* ale kilka dni temu złapał mnie radar na Old Shoreham Road. Czy moglibyście szepnąć słowo komuś na ten temat?

*Obawiam się, że nie powiedział* zdumiony Branson.

*W porządku. Tak tylko spytałem.* Smutno się uśmiechnął.

Październik 2007

Abby usiadła w taksówce. Przeczytała cytat, który otrzymała SMS\*em. Bardzo podniósł ją na duchu.

„Pamiętaj... Pracuj tak, jakbyś nie potrzebowała pieniędzy. Kochaj tak, jakby nikt nigdy cię nie zranił. Tańcz, jakby nikt na ciebie nie patrzył”.

Kierowca też podniósł ją na duchu. Powiedział, że był bokserem. Nigdy nie odnosił

szczególnych sukcesów, ale teraz trenuje młodzież, zachęca ją do uprawiania sportu.

Miał typową dla boksera spłaszczoną twarz. Jakby rozpędził się i z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę walnął twarzą w ścianę. Podczas jazdy z trzeciego domu opieki, który odwiedziła, zwierzył się jej, że miał też chorą matkę, jednakże nie stać go było na umieszczenie jej w takim domu.

Abby nie miała czasu zastanawiać się nad odpowiedzią na piękny cytat, więc odpisała tylko:

„Do zobaczenia wkrótce! Bardzo tęsknię za tobą. Xxxxxxxx”.

Tuż po pierwszej Abby wróciła przed dom matki. Po wyjściu z taksówki rozejrzała się, ale nie dostrzegła żadnych śladów Ricky’ego. Poprosiła, by taksówkarz poczekał

na nią i nie wyłączał taksometru. Dwa domy opieki, które odwiedziła, były okropne.

Trzeci był w porządku, dlatego że był bezpieczny. Mieli wolne miejsce. Abby postanowiła przywieźć tu matkę jak najszybciej.

Musiała spakować jedynie kilka rzeczy. Jej matka była bardzo powolna, więc sama ją spakuje i wsadzi do auta. Mamie oczywiście to się nie spodoba, ale jakoś wytrzyma kilka tygodni. Tam będzie bezpieczna. Abby nie mogła liczyć na jej „nową”

opiekunkę Doris, której nazwiska nawet nie znała.

Gdy jej matka będzie bezpieczna, ona wprowadzi w życie plan, który wymyśliła w ciągu ostatnich kilku godzin. Najpierw musi wyjechać stąd jak najdalej. Następnie znaleźć kogoś, komu zaufa.

Ilu ludziom mogła zaufać? Powierzyć wszystko, co ma, i wierzyć, że nie



uciekną z jej fortuną? Tak jak ona zrobiła.

Taksówkarz wydawał się miłym człowiekiem. Jemu mogłaby zaufać. Czy mógłby przytrzymać Ricky'ego? Czy musiałby prosić kolegów o pomoc? W takim razie musiałaby powierzyć swój los facetowi, którego zna od pół godziny, albo grupie, której nie zna w ogóle. To byłoby chyba zbyt ryzykowne.

Teraz nie miała wielu innych możliwości. Zapłaciła za wynajem mieszkania za trzy miesiące z góry, z czego zostały jej jeszcze dwa. Mocno też nadszarpnęła swoje finanse, płacąc z góry za pokój matki w domu opieki Bexhill Lawns. Miała jeszcze trochę gotówki na koncie. Wystarczyłoby, gdyby zaszła się gdzieś w jakimś tanim hotelu. Potem musi tylko dobrać się do środków finansowych i unikać Ricky'ego.

Dziękowała Bogu, że przez przypadek nie złożyła jeszcze posiadanego majątku w depozycie.

Abby wiedziała, że Ricky jest „czarodziejem” elektroniki. Chwalił się jej, że ma układ z recepcjonistami wszystkich najlepszych hoteli w Melbourne. Podobno mieli mu przemycać plastikowe karty od pokoi gości, którzy się wymeldowali. Zawierały one informacje, gdzie mieszkali i jaka była zawartość ich kart kredytowych. Ricky miał chętnego kupca na takie informacje. Powiedział jej, że taki szwindel z *jak się wyrażał* bazą danych przynosił mu więcej pieniędzy niż uczciwy interes.

Weszła do budynku. Wcześniej dwukrotnie dzwoniła do matki. Najpierw o 10.30, gdy matka poinformowała ją, że ślusarz dzwonił, iż przyjdzie o 11.00. A potem godzinę temu, gdy matka powiedziała, że ślusarz przyszedł.

Z konsternacją stwierdziła, że nadal może otworzyć drzwi starym kluczem. Nie było również żadnych śladów pracy fachowca. Krzyknęła z niepokojem i wbiegła do salonu.

Ze zdumieniem odkryła, że nie było dywanu. Czerwony dywan z czasów jej dzieciństwa, z którego wczoraj zmyła warstwę puddingu ryżowego, zniknął. Na parkiecie pozostały jedynie plamy po starym impregnacie, którym był zabezpieczony.

Jej świat rozleciał się, gdy skojarzyła fakt braku nowego zamka w drzwiach i dawnego dywanu. Wszystko poszło źle.

*Mamo! Mamo!* krzyczała, na wypadek gdyby matka była w łazience, ubikacji lub sypialni.

Gdzie jest Doris? Przecież obiecała, że zajmie się mamą przez cały ranek! W panice sprawdziła wszystkie pokoje. Potem, skacząc po dwa stopnie,

dotarła do mieszkania sąsiadki. Mocno zapukała do drzwi.

Po chwili, która trwała wieczność, usłyszała znajomy szczepek łańcuchów i drzwi uchyliły się na kilka cali. Doris nieufnie spojrzała przez grube szkła, potem uśmiechnęła się i otworzyła drzwi.

\* Witam, kochanie!

Abby natychmiast się uspokoiła. Wesoły nastrój Doris sprawił, że uwierzyła, iż jej matka jest bezpieczna.

\* Och, witam. Nie wie pani, co się wydarzyło na dole?

\* Ze ślusarzem?

\* Tak. \* Odetchnęła, więc jednak przyjechał.

\* Cóż, pracuje, złotko. To bardzo miły człowiek. Czy coś się stało?

\* Sprawdziła pani jego legitymację, jak prosiłam?

\* Tak, kochana, miał legitymację firmową. Mam powiększające szkła, więc przeczytałam.

W tym momencie zadzwonił telefon Abby. Zobaczyła nowy numer matki. Popatrzyła na Doris.

\* W porządku, dziękuję. Doris podniosła palec.

\* Och, coś mi się przypała na kuchence. Wróć, jeżeli będziesz czegoś potrzebować.

Po wyjściu z mieszkania Doris Abby odebrała telefon. Usłyszała drżący, przerywany głos mamy. Mówiła, jakby czytała scenariusz.

Abby zaczęła \* Ricky chce z tobą pomówić. Poproszę go. Proszę, zrób wszystko, co chce.

Potem się wyłączyła.

Abby szaleńczo wybierała jej numer. Za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka. Nagle zadzwonił ktoś z zastrzeżonego numeru. To był Ricky.

Październik 2007

*Gdzie jest moja mama?* wrzasnęła Abby, zanim Ricky zdążył coś powiedzieć \*

gdzie ona jest, ty gnojku?! Gdzie ona jest!?

Drzwi od jednego z mieszkań otworzyły się na korytarz. Jakaś kobieta spojrzała na Abby i z trzaskiem zamknęła je z powrotem.

Była zrozpaczona, że tak głupio zostawiła matkę pod opieką tej starej kobiety. By mieć trochę prywatności, zeszła na schody.

\* Chcę z nią mówić. Gdzie ona jest?

*Twoja mama czuje się dobrze, Abby* powiedział \* czuje się jak pączek w maśle.

Mówię to na wypadek, gdybyś się martwiła o los dywanu.

Trzymała słuchawkę ramieniem i pobiegła do mieszkania matki. Zamknęła drzwi za sobą. Popatrzyła na pusty parkiet salonu. Łzy płynęły jej po policzkach. Trzęsa się, czuła początek ataku paniki.

\* Dzwonię na policję, Ricky *powiedziała* nie dbam o nic, rozumiesz? Zadzwoń na policję.

*Nie sądzę, Abby* odparł Ricky spokojnie \* jesteś zbyt cwana, żeby to zrobić. I co im powiesz? Ukradłam pewnemu człowiekowi wszystko, co miał. Teraz on mnie znalazł i przetrzymuje moją matkę? Musisz wszystko wyjaśnić. Dzisiaj, gdy pieniądz rządzi światem, musiałabyś się wytłumaczyć ze znaczących sum i posiadanych dóbr.

Jak wyjaśniłabyś to, biorąc pod uwagę twoją posadę kelnerki z Melbourne?

Abby krzyknęła.

\* Już mi nie zależy, Ricky. Kapujesz?

Po krótkiej chwili ciszy Ricky się odezwał:

\* Okej, ale nie sądzę, żebyś potrafiła działać impulsywnie. Przecież ty i Dave od dawna to planowaliście, prawda? Nie powiedział ci, jak masz mnie wyruchać?

\* To nie ma nic wspólnego z moją matką. Przywieź ją z powrotem, to pogadamy.

\* Nie, to ty oddaj mi wszystko, co zabrałaś, i wtedy pogadamy. Atak paniki się nasilał. Ciężko oddychała. Bolała ją głowa. Czuła, że za chwilę umrze. Potykając się, dotarła do kanapy i opadła na wyściełaną poręcz.

\* Rozłączam się *wyszeptała* dzwonię na policję.

Mimo wszystko czuła się winna. Ricky też słyszał nutę poczucia winy w jej głosie.

\* Ta... a potem co?

\* Nie obchodzi mnie to. Cholera, nie obchodzi! *krzyczała jak dziecko w napadzie złości, za każdym razem głośniejsze* cholernie mnie to nie obchodzi!

\* A powinno. Ponieważ policja może znaleźć staruszkę, która popełniła samobójstwo, i córkę złodziejkę z jej bajeczką na temat skradzionych pewnemu facetowi rzeczy, podczas gdy nikt nie będzie w stanie potwierdzić jej prawdomówności. Tak chcesz to załatwić, szczeniario? Uspokój się, a ja wypiję herbatę z twoją mamusią i potem oddzwonię.

\* Nie, poczekaj! \* *krzyknęła*. Rozłączył się.

Wtedy przypomniała sobie, że taksówkarz czeka z włączonym licznikiem.

Październik 2007

Grace, czekając na bagaż przy ruchomej taśmie, posłał krótką wiadomość Cleo na temat podróży. Obliczył, że w Anglii powinien być kwadrans po szóstej po południu.

Za chwilę rozpocznie się wieczorne spotkanie zespołu Operacji Dingo.

Zadzwoił do Lizzie Mantle, by dowiedzieć się, co nowego, ale jej numer biurowy i komórki nie odpowiadały. Spróbował dodzwonić się do Glenna Bransona, który odpowiedział po chwili.

\* Znów na ziemi?

\* Tak, dzwonię się zameldować. Pewnie się cieszysz?

\* Pewnie, ale gdzie jesteś? Wylądowałeś na JFK?

\* Nie, na Newark. Czekam na torbę.

\* Niektórzy to się mają, wymknąłeś się do Nowego Jorku, a nas zostawiłeś z tym gównem.

\* Posłałbym cię do Australii, ale w twojej obecnej sytuacji nie byłoby to za mądre.

\* W mojej obecnej sytuacji, im dalej jestem od Ari, tym ona jest szczęśliwsza.

Daruj sobie te opowieści, pomyślał Grace. Zrobiłby wszystko dla tego człowieka, którego bardzo lubił. Jednak zawsze się denerwował, dając komuś dobre rady. Co on do cholery wiedział? Jakim przykładem było jego małżeństwo? Postanowił nic nie radzić.

\* Coś nowego? \* zapytał.

\* Cóż, ciężko pracowaliśmy w ciągu ostatnich kilku godzin, podczas gdy ty się wylegiwałeś, chlałeś szampana i oglądałeś filmy wideo.

\* Leciałem w bydlęcych warunkach, miałem skurcze, walczyłem z listeriozą i zakrzepicą. A moje słuchawki były zepsute. Poza tym reszta się zgadza.

\* Jest ciężko, Roy. Tak mówią, co nie?

\* No, no. Ta rozmowa kosztuje fortunę, więc skończ te głupie gadki. Branson krótko streścił wizytę u pani Hawkes i Hugo Hegarty'ego. Grace słuchał w skupieniu.

\* Więc chodzi o znaczki! Wszystko wydała na znaczki!

\* Zgadza się. To było wygodne. Psy policyjne wyczuwają dużą gotówkę. Prawie cztery miliony zajęłyby dużo miejsca. A znaczki jedynie dwie koperty A4.

\* Masz jakiś pomysł, co z nimi zrobiła?

\* Nie, jeszcze nie. Poza tym byliśmy u siostry Lorraine Wilson.

\* I co powiedziała?

\* Sporo.

Rozległ się hałas i ruszyła taśma z bagażami. Obok Grace'a rozpychały się dwa olbrzymy i staruszka, która zrzuciła swój bagaż na nogi Grace'a. Cofnął się z dala od tłumu rojącego się wokół taśmy z torbami. Stał z boku, ale nadal obserwował bagaże.

Z lat pracy na lotnisku Gatwick pamiętał, jak często zdarzają się kradzieże z taśmociągu bagażowego.

\* Straszny hałas tam u ciebie \* powiedział Branson.

\* Ale dobrze cię słyszę. Mów.

\* Po pierwsze, ona i siostra pojechały do Nowego Jorku natychmiast, gdy wznowiono loty po jedenastym września. Poszły do hotelu W, gdzie zatrzymał się Ronnie Wilson.

\* W? zdziwił się Grace a co to jest?

\* Nazwa.

\* Tylko „W”?

\* Stary, z księżycy się urwałeś? Musisz mnie zatrudnić na cały etat jako doradcę do spraw stylu. W należy do sieci hoteli. Takich mega, niesamowicie eleganckich hoteli.

\* Cóż, moja pensja nie pozwala mi na poznawanie „mega, niesamowicie eleganckich hoteli”.

\* Nie wierzę, że nie słyszałeś o tym miejscu.

\* No widzisz, poznałeś kolejną z moich tajemnic. Jest jeszcze coś, o czym chciałeś mi powiedzieć, poza tym, że powinienem znać ten hotel?

\* Całkiem sporo. Wilson zostawił tam kilka swoich rzeczy. Personel nie wspomina go dobrze. Jego karty kredytowe były nieważne.

\* Nie wzięli poprawki, że zginął?

\* Sądzę, że nie wiedzieli o tym. Zamówił noclegi na dwie noce i otwarty rachunek. W każdym razie jego paszport i bilet powrotny do Anglii zostały w sejfie.

Grace z ulgą dostrzegł swój bagaż.

\* Jedną chwileczkę *szybko chwycił torbę* w porządku, mów dalej.

\* Poszły do miejsca o nazwie Pier 92, gdzie nowojorska policja urządziła coś w rodzaju centrum żałoby dla rodzin ofiar. Ludzie przynosili rzeczy codziennego użytku, np. grzebień, by można było rozpoznać DNA. Wystawiono również osobiste rzeczy, które znaleziono. Lorraine niczego nie znalazła, ponieważ na tym etapie śledztwa policja nie uzyskała jeszcze żadnych informacji na temat Wilsona.

Grace zatańczył torbę w ustronne miejsce. Rozległ się komunikat przez megafon, więc musiał poczekać, by dalej rozmawiać.

\* Co się stało z pieniędzmi, które otrzymała Lorraine?

\* Powiem ci później, będę musiał biec na spotkanie.

\* Poproś detektyw Mantle, żeby zadzwoniła do mnie.

\* Powiem. Najpierw musisz coś usłyszeć. Nastąpił ogromny przełom w śledztwie!

Lorraine wyłudziła piętnaście tysięcy od policji w Pier 92. Rozdzielali zasiłki tym, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji finansowej.

\* Niezła sumka. Ale przecież znalazła się w koszmarnych tarapatach finansowych, no nie?

\* Zgadza się. Kilka tygodni po powrocie do Anglii otrzymała telefon. Ekipy ratownicze miały portfel i prawo jazdy Ronniego Wilsona, a jego komórkę znaleziono między gruzami w okolicach WTC. Zdjęcia tych rzeczy wysłano, by Lorraine mogła je zidentyfikować.

\* A ona mogła to zrobić.

\* No właśnie. Wtedy zainkasowała forszę z polisy ubezpieczeniowej i odszkodowanie.

Jej siostra była zdumiona, gdy mówiliśmy jej o tym. Bardziej niż zdumiona. Była zszokowana.

\* Może udawała?

\* Nie sądzę, Bella też tak uważa. Była zdumiona i wściekła. Powiedziała, że wydała prawie wszystkie oszczędności, żeby pomóc Lorraine. Było to już po tym, jak Lorraine otrzymała te bająćskie sumy.

\* Więc siostry nie były między sobą szczerze?

\* Wygląda na to, że szczerłość była jednostronna. Ale teraz będzie najlepsze. Spodoba ci się.

Rozległ się kolejny komunikat. Grace wrzeszczał, by Roy się wstrzymał z

dalszymi informacjami, bo on nic nie słyszy.

\* Laboratorium przysłało wyniki DNA płodu, który nosiła Lorraine Wilson. Chyba mamy ojca.

*Kto to jest?* zapytał podekscytowany Grace.

\* Jeśli się nie mylimy, to nikt inny, a sam Ronnie Wilson.

Grace milczał, czuł przyływ adrenaliny. Przeczucie go nie zawiodło.

\* Jakie jest prawdopodobieństwo?

\* Pokrewieństwo. Mamy ślad ojca. Biorąc pod uwagę, kto jest matką, hipotezy, że ktoś inny może jeszcze być ojcem, są mało prawdopodobne.

\* Skąd wzięli DNA Ronniego?

\* Z grzebienia, który przywiozła wdowa do Nowego Jorku. Profil został odesłany z powrotem do brytyjskiej policji i w ten sposób znalazł się w ogólnonarodowej bazie danych.

\* Z tego wynika, że *zaczął* Grace nasz przyjaciel Wilson zostawił zamrożoną spermę. Jego żona, jeszcze wtedy, jak się okazuje, żywa zrobiła z niej użytek. Albo...

*Osobiście wolę wersję „albo”* powiedział Branson.

*Z miejsca, gdzie stoję, wersja „albo” wydaje się prawdopodobna* dokończył

Grace.

\* Stoisz cholernie blisko, stary. Nieważne, czy doszedłeś tam w butach, czy nie.



Październik 2007

Abby usłyszała uporczywy sygnał telefonu. Uświadomiła sobie, że to dzwoni jej telefon. Usiadła, musiała przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Telefon wciąż dzwonił.

Czuła chłód na twarzy, choć była bardzo spocona. Siedziała w ciemności. Jakieś cienie przesuwały się wokół niej. Coś skrzypnęło, gdy się poruszyła. Była na kanapie w mieszkaniu swojej matki. O Boże, jak długo spała?

Ze strachem rozglądała się dookoła. Bała się, że Ricky wrócił. Zobaczył światło telefonu. Lęk pogłębił się, gdy zobaczyła napis: „Numer zastrzeżony”. Była 18.30.

Odebrała telefon.

\* Tak?

\* Przemyślałaś wszystko? \* zapytał Ricky.

Czuła panikę. Gdzie on, do cholery, był? Musi się szybko stąd wynosić. Jest łatwym celem. Czy znał miejsce jej pobytu? Czy czekał na zewnątrz?

Milczała, musiała pozbierać myśli. Nie włączała światła na wypadek, gdyby czatował

na dworze. Za oknem było wystarczająco jasno, by mogła sprawdzić, kto tam jest.

\* Jak się czuje mama? \* dopytywała się, jej głos drżał.

\* Dobrze.

\* Jest kompletnie nieodporna. Jeśli będzie jej zimno, dostanie zapalenia płuc...

Ricky przerwał jej wywód.

\* Mówiłem ci już, że ma się jak pączek w maśle.

Abby nie podobała się ta jego gadka.

\* Chcę z nią porozmawiać.

\* Oczywiście. A ja chcę odzyskać to, co ukradłaś. Więc się rozumiemy. Zwrócisz mi te rzeczy albo powiesz, gdzie są, a twoja matka wróci do domu.

\* Niby dlaczego mam ci zaufać?

\* I kto to mówi! *szdyził* Ricky. Czy ty w ogóle znasz znaczenie słowa „zaufanie”?

*Posłuchaj, co się stało, to się nie odstanie* powiedziała \* oddam ci to, co mam.

\* To, co masz? *ryknął*. Co to znaczy? Ja chcę wszystko. Taka jest umowa.

\* Nie. Mogę ci oddać tylko to, co mam.

\* Dlatego depozyt był pusty, tak? Wszystko już puściłaś?

*Nie wszystko* blefowała.

\* Ty bezduszna dziwko. Pozwolisz, żebym zabił twoją matkę, pozwolisz? Wolisz, żebym ją zabił, niż oddać mi moje rzeczy! Tak je kochasz.

\* Tak *powiedziała* masz całkowitą rację. I rozłączyła się.

Październik 2007

Potykając się o skórzany puf, idąc po omacku, dotarła do łazienki. Narzygała do zlewu. Z jej brzucha dobiegały dziwne dźwięki. Nerwy miała w strzępach.

Spłukała umywalkę, obmyła twarz i włączyła światło. Oddychała głęboko. Proszę, Boże, spraw, żeby kolejny atak paniki mnie ominął. Kurczowo trzymała się umywalki, płakała. Bała się, że Ricky wtargnie do mieszkania w każdej chwili.

Musi się stamtąd wydostać i nie zapomnieć, dlaczego to robi. By poprawić standard życia matki. Tylko o to chodziło. Tylko jej pieniądze pozwolą matce godnie przeżyć resztę jej dni. Musiała się tym zająć.

Wiedziała, że Dave czeka na wiadomość, że mogą swobodnie wyjechać. Musi wykonać tylko jedną transakcję i zapewnić matce lepszy byt. A potem wsiądzie w samolot i poleci do życia, o którym marzyła.

Ricky był wstrętny, był sadystą, despotą. Wiedziała, że musi stawić mu czoło.

Pokazać siłę. To był jedyny sposób na takiego drania. Ale Ricky nie był głupi. Chciał

odzyskać wszystko. Nie zawaha się poświęcić staruszki.

Boże, proszę cię, pomóż.

Teraz musiała zadzwonić. Z sercem w gardle, bojąc się, że popełnia błąd, pobiegła piętro wyżej. Z mieszkania Doris zadzwoniła. Telefon odebrał wyrażający się wytwornie mężczyzna.

\* Czy może pan Hugo Hegarty?

\* We własnej osobie.

*Przepraszam, że dzwonię tak późno, panie Hegarty* powiedziała Abby. \* Mam kolekcję znaczków, które chciałabym sprzedać.

\* Doprawdy? *odpowiedział zamyślony Hegarty.* Czy byłaby pani łaskawa mi o nich opowiedzieć?

Szczegółowo opisała każdy znaczek. Tak się z nimi zżyła, że jak zdjęcia utrwaliły się w jej pamięci. Kilka razy jej przerywał, by dopytać się o detale.

Gdy skończyła, Hegarty poczuł się bardzo nieswojo.



Październik 2007

Ricky siedział w vanie na kempingu, którego adres znalazł w Internecie. Rozmyślał.

Deszcz mocno uderzał o dach. Nikt po ciemku nie włączył się po tej błotnistej okolicy i nie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

Pole namiotowe było idealnie schowane w zalesionym terenie. Oddalone o kilka kilometrów od Eastbourne, na obrzeżach wioski Alfriston, niedaleko wiejskiej drogi i kortów tenisowych.

Teraz pora roku i pogoda nie sprzyjały grze w tenisa oraz biwakowaniu. Ricky nie musiał martwić się o wścibskich sąsiadów. Właściciel kempingu też nie należał do ciekawskich. Podjechał z dwoma chłopakami, którzy wykłócali się w samochodzie, skasował piętnaście funtów za trzy noce i poinformował Ricky'ego, gdzie są toalety i prysznice. Zostawił swój numer telefonu i powiedział, że wróci jutro, na wypadek gdyby pojawił się jakiś amator kempingu.

Na polu namiotowym był zaparkowany tylko jeden samochód, z holenderską rejestracją, ale Ricky wybrał oddalone miejsce. Na stacji benzynowej kupił jedzenie, wodę, mleko, by mogli przetrwać kilka dni. Otworzył puszkę piwa. Wypił potężny łyk, chcąc uspokoić nerwy. Zapalił papierosa i mocno zaciągnął się kilka razy.

Uchylił okno, chciał strzepnąć popiół na zewnątrz, ale wiatr wwiął go z powrotem, wprost na jego twarz. Zamknął okno i poczuł jakiś nieprzyjemny zapach, który wpadł do środka.

Palił papierosa i pił piwo. Był poruszony rozmową z Abby, faktem, że się rozłączyła.

Tym, że nie rozumiał jej poczynań.

Obawiał się słów, które powiedziała. Te parę wyrazów wciąż tłukło mu się w głowie.

Oddam ci to, co mi zostało.

Ile zostało? A może blefowała? Do tej pory potrzebowała pewnie jedynie kilku tysięcy. Musiała blefować.

Musi wzmóc czujność. Abby będzie musiała przedstawić dowody.  
Pewnie myśli, że jest twardzielką, ale on swoje wie.

Skończył papierosa, wyrzucił niedopałek za okno i znów poczuł smród.  
Zapach się nasilał. Z całą pewnością pochodził ze środka furgonetki. Tak  
zalatywała uryna.

O kurwa, nie!

Staruszka się posikała.

Pstryknął światło, wygramolił się ze swojego siedzenia i poszedł na tył  
vana. Kobieta wyglądała absurdalnie. Głowa wystawała znad zwiniętego  
dywanu. Wyglądała jak brzydka, wykluwająca się poczwarka.

Delikatnie oderwał taśmę z jej ust. Nie chciał jej mocniej zranić. Bardzo  
cierpiała, a Ricky bał się, żeby mu nie umarła.

\* Złałaś się?

Przerażone oczy patrzyły na niego.

\* Jestem chora *powiedziała słabym głosem* nie potrafię kontrolować  
funkcji fizjologicznych, przepraszam.

Ogarnęła go panika.

\* Czy to oznacza, że zrobisz jeszcze coś innego? Zawahała się, a potem  
przepraszająco kiwnęła głową.

\* No ładnie *powiedział* po prostu świetnie.

Październik 2007

Glenn Branson szedł do swojego biura. Spotkanie grupy związanej z Operacją Dingo skończyło się o osiemnastej trzydzieści. Niespodziewanie zadzwonił telefon, wyświetlił się nieznany miejscowy numer.

*Detektyw Branson* odpowiedział, a potem natychmiast rozpoznał elegancki głos.

\* Och, detektywie, proszę wybaczyć późną porę.

\* Nie ma sprawy, panie Hegarty. Czym mogę służyć? \* Glenn nadal szedł w stronę biura.

\* Może pan rozmawiać?

\* Swobodnie.

\* Przekłeta rzecz się stała *powiedział Hugo Hegarty*. Pamięta pan i pańska urocza koleżanka listę, którą dałem wam po południu? Opisy znaczków, które kupiłem dla Lorraine Wilson w dwa tysiące drugim roku?

\* Tak.

\* Cóż, nastąpił dziwny zbieg okoliczności. Jestem w tym interesie zbyt długo, żeby wierzyć w takie przypadki.

Glenn wszedł do biura.

\* Aha.

\* Przed chwilą zadzwoniła do mnie młoda kobieta. Była zdenerwowana. Pytała, czy mógłbym pomóc jej sprzedać kolekcję cennych znaczków, które posiada. Spytałem o szczegóły. Gdy opisała je dokładnie, okazało się, że to te same, które kupiłem dla Lorraine Wilson. No, może kilka sprzedała wcześniej.

Glenn usiadł przy biurku, chłonał informacje, które usłyszał.

*Jest pan pewny, że to nie pomyłka?* zapytał.

\* To rzadkie znaczki, pożądane, bo tworzą kolekcję, oraz kilka pojedynczych. Czy znaki szczególne tych znaczków są te same? Tego nie pamiętam. Ale coś panu powiem. Wspomniała dwa Plate 77 Penny Reds, których cena sięga stu sześćdziesięciu tysięcy funtów. Była mowa o kilku Plate 11 Penny Blacks, których wartość waha się pomiędzy dwunastoma a trzynastoma tysiącami funtów za każdy.

Znacząca liczba Tuppenny Blues i całe mnóstwo innych rzadkich

znaczków. Można by mówić o przypadku, gdyby miała jeden lub dwa z wymienionych, ale ona ma te wszystkie.

\* To rzeczywiście nie wygląda na zbieg okoliczności.

Mówiąc szczerze powiedział Hegarty \* gdybym dzisiaj nie sporządzał tej listy dla państwa, nie pamiętałbym tych znaczków tak dokładnie.

\* Wygląda na to, że mamy szczęście. Dziękuję, że informuje mnie pan o tym. Czy pytał pan tę kobietę, skąd wzięła znaczki?

Hegarty ściszył głos, jakby bał się być podsłuchanym.

\* Powiedziała, że odziedziczyła je po ciotce z Australii. Ktoś poznany na przyjęciu w Melbourne polecił jej mnie jako osobę zajmującą się obrotem znaczkami.

\* Pana, a nie jakiegoś handlarza w Australii?

\* Powiedziano jej, że dostanie lepszą cenę w Anglii lub Ameryce.

Przeprowadziła się tutaj, ponieważ opiekuje się chorą matką, i najpierw zadzwoniła do mnie. Ma przyjść jutro rano o dziesiątej. Wtedy wypytam się o szczegóły.

\* Jest pan zainteresowany kupnem? \* Branson spojrzał w notatki. Prawie zobaczył

błysk w oczach Hegarty'ego.

\* Powiedziała, że bardzo się śpieszy, a to sprzyja kupującemu. Niewiele osób w tym kraju miałoby gotówkę, by zapłacić za nie w całości. Zwykle sprzedaje się je na kilku aukcjach. Chcę się upewnić, że nie są kradzione. Nie chciałbym wydać forsy, a za kilka godzin zobaczyć policję na progu domu. Dlatego dzwonię do pana.

Oczywiście. Hugo Hegarty nie był sumiennym obywatelem, jedynie chronił swój tyłek, pomyślał Glenn Branson. Taka jest ludzka natura, więc nie mógł go obwiniać.

\* Proszę mi powiedzieć, jaka jest w przybliżeniu wartość tych znaczków?

\* Dla kupującego czy sprzedającego? \* Był bardzo przebiegły.

\* Dla obu.

\* Cały katalog około cztery i pół miliona. Gdybym sprzedawał, podałbym taką cenę.

\* Funtów?

\* Tak, funtów.

Branson zdziwił się. Lorraine Wilson otrzymała niecałe cztery miliony, a teraz ich cena wzrosła?



\* A jako kupujący?

Nagle Hegarty stał się powściągliwy.

\* To zależy od ich stanu, muszę się im przyjrzeć. Branson myślał intensywnie.

\* Przyjdzie jutro o dziesiątej? Tak?

\* Tak.

\* Jak się nazywa?

\* Katherine Jennings.

\* Zostawiła panu adres lub telefon?

\* Nie.

Detektyw podziękował i rozłączył się. Wpisał na monitorze podane nazwisko.

W ciągu kilku sekund skojarzył kobietę.

Październik 2007

Roy Grace siedział z tyłu nieoznakowanego samochodu marki Ford Crown Victoria.

Jechali w stronę Lincoln Tunnel. Zastanawiał się, czy wytrawni podróżnicy potrafią rozpoznać miasto po jego ruchu ulicznym.

W Londynie słyszy się nieustanny ryk silników benzynowych, klekot diesli i szmer autobusów najnowszej wersji Volvo. W Nowym Jorku słychać jedynie hamowanie opon na karbowanych, popękanych, wyboistych drogach i dźwięk klaksonów. Na przykład teraz ktoś trąbił z wielkiego tira, który stał tuż za nimi.

Detektyw śledczy Dennis Baker, który prowadził, spojrział w lusterku na Grace'a i powiedział:

\* Pieprz się, dupku!

Grace się uśmiechnął, Dennis w ogóle się nie zmienił.

\* Chryste, dupku, czego chcesz ode mnie? Gdzie mam jechać, kutasie? Jezu!

Detektyw śledczy Pat Lynch, który świetnie znał sposób bycia kolegi, odezwał się:

\* Dobrze cię widzieć, bracie. Dawno cię nie było, za długo!

Roy czuł się podobnie. Lubił tych gości od chwili, gdy ich poznał, sześć lat temu.

Został oddelegowany do Nowego Jorku, by przesłuchać pewnego bankiera, którego kumpla znaleziono uduszonego w Kemp Town. Bankier nigdy nie został oskarżony.

Zmarł kilka lat później z przedawkowania narkotyków. Roy pracował z Dennisem i Patem przy tym śledztwie i nadal utrzymywali kontakt ze sobą.

Pat miał dżinsowe spodnie i marynarkę, kremową koszulę i biały podkoszulek. Był

szczupły, miał ospowatą twarz i fryzurę grzecznego chłopca. Jego mocno zarysowana szczęka, niczym u filmowego twardziela, nie pasowała do delikatnego i wrażliwego charakteru. Pracował kiedyś jako doker przy przeładunkach i nadal był w świetnej kondycji fizycznej.

Dennis miał grubą, czarną kurtkę z nadrukowanym napisem „Wydział

Zabójstw Spraw Przedawnionych”, odznakę policyjną na niebieskiej koszuli oraz dżinsy. Był

niższy od Pata, silniejszy, bystrzejszy i trenował sztuki walki. Dawno temu uzyskał

najwyższy, dziesiąty dan w karate shotokan i stał się swego rodzaju legendą nowojorskiej policji w związku z ulicznymi bójkami.

Obydwaj akurat pełnili służbę na posterunku w Brooklynie, gdy o 8.46 11 września pierwszy samolot uderzył w WTC. Byli dosłownie o dwa kilometry, więc natychmiast ruszyli mostem Brooklyńskim w stronę Południowej Wieży. Kilka następnych tygodni spędzili, porządkując gruzy WTC, które opisywali jako

„wnętrzości bestii”. Odnalezione rzeczy składali do centrum żałoby Pier 92 i spraw kryminalnych.

W konsekwencji ci obydwaj niegdyś niesamowicie wysportowani mężczyźni rozchorowali się na astmę i zaczęli mieć problemy emocjonalne. Zostali przeniesieni z brutalnego świata nowojorskiej policji do spokojniejszej pracy w biurze prokuratora okręgowego.

Pat przybliżył Grace’owi obecny charakter ich pracy, w której głównie przewozili i przesłuchiwali gangsterów. Jak nikt znali amerykański półświatek. Pat stwierdził, że mafia nie ma już takich wpływów jak kiedyś. Gangsterzy łatwiej idą dzisiaj na współpracę. Kto nie chciałby się dogadać, wiedząc, że grozi mu dwudziestoletni wyrok?

Grace liczył, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin pomogą mu znaleźć kogoś, kto znał Ronniego Wilsona lub mu pomógł.

Grace był coraz bardziej pewny, że Wilson umyślnie zniknął po 11 września, musiał

tylko znaleźć na to dowody.

\* Wyglądasz młodziej niż ostatnio *powiedział Pat, zmieniając temat* pewnie jesteś zakochany.

*A co z twoją żoną? Nadal się nie odnalazła?* zapytał Dennis.

*Tak* krótko uciął Grace. Nie chciał mówić na temat Sandy.

*On tylko ci zazdrości* powiedział Pat. \* Bardzo chciałby się uwolnić od swojej!

Grace roześmiał się. Otrzymał wiadomość. Przeczytał: „Miło, że dotarłeś. Tęsknię.

Już nikt nie będzie rzygał na ciebie. XXX”.

Grace ucieszył się, tęsknił za Cleo. Wtedy coś sobie przypomniał.

\* Panowie, jeśli mamy pięć minut, czy moglibyśmy wstąpić do sklepu Toys R Us?

Moja córka chrzestna chce dostać na Boże Narodzenie lalkę Bratz.

*To ten największy na Times Square. Możemy się tam zatrzymać, a potem pojedziemy do hotelu W, skąd zaczniemy śledztwo* zaproponował Pat.

*Dzięki.* Grace patrzył przez okno. Mijali walące się domy podparte rusztowaniami. Dymy unosiły się z otworów wentylacyjnych metra.

Był pogodny, jesienny, bezchmurny dzień. Przechodnie chodzili poubierani w ciepłe płaszcze i kurtki. Im bliżej Manhattanu, tym większy był ruch uliczny. Mężczyźni o smutnych twarzach pędzili w garniturach i poluźnionych krawatach. W większości rozmawiali przez komórki, a w drugiej ręce obowiązkowo trzymali kubek kawy.

*Pat i ja odwaliliśmy kawał dobrej roboty dla ciebie* powiedział Dennis.

*To prawda* potwierdził Pat. \* Teraz pracujemy w biurze prokuratora, ale z radością pomożemy ci się rozejrzeć.

\* Dzięki, panowie. Rozmawiałem z kolegą z oddziału FBI w Londynie \* odparł

Grace. \* Wie, że jestem tutaj i jakie mam plany. Jeśli moje przeczucia się sprawdzą, rozpoczniemy oficjalne śledztwo w Nowym Jorku.

Dennis zatrąbił, gdyż samochód jadący przed nimi nagle włączył światła awaryjne, zatrzymał się, a kierowca zaczął się rozglądać.

\* Kurwa, dupku, ruszaj się!

\* Zarezerwowaliśmy ci pokój w hotelu Marriott, tuż obok WTC. Stamtąd będzie blisko do miejsc, które chcesz sprawdzić.

*Wczujesz się w atmosferę okolicy* dodał Dennis. \* Dowiesz się, jak bardzo zniszczono ten teren. Teraz wszystko jest nowe. Zobaczysz, jak odnawiają ten obszar.

\* Wiecie, że nadal znajdują ludzkie szczątki, choć minęło sześć lat? *odezwał się Pat.* W zeszłym miesiącu znaleziono części ciała na dachu Deutsche Bank. Nikt nie ma cholernego pojęcia, z jaką siłą uderzyły te samoloty.

*Naprzeciwko Centrum Medycznego ustawiono osiem ciężarówek chłodni* powiedział Dennis. *Stoją w tym miejscu od sześciu lat. Zebrano tam dwadzieścia tysięcy niezidentyfikowanych części ciała. Dasz wiarę?*

*Dwadzieścia tysięcy!*

Potrząsnął głową.

*Mój kuzyn zginął* Pat kontynuował *wiedziałaś o tym? Pracował w kancelarii u Fitzgeralda. Uniósł nadgarstek, żeby pokazać srebrną bransoletkę. \* To jego inicjały: „TJH”. Wszyscy w rodzinie noszą ją na pamiątkę.*

*\* Każdy stracił wtedy kogoś powiedział Dennis i gwałtownie skręcił, by ominąć kobietę, która nieprawidłowo przechodziła przez jezdnię. Cholera, paniusiu, chcesz się puknąć z błotnikiem mojego auta? Może innym razem!*

*Tak czy inaczej zaczął Pat \* dowiedzieliśmy się co nieco przed twoim przyjazdem. Sprawdziliśmy hotel, gdzie zatrzymał się twój Ronnie Wilson. Nadal jest tam ten sam kierownik. Umówiliśmy cię z nim na spotkanie. Ucieszył się, ale nam nie powiedział nic nowego. Niektóre rzeczy Wilsona pozostały w hotelu, na przykład paszport, bilety, bielizna. Obecnie znajdują się w jednej z przechowalni rzeczy ofiar z jedenastego września.*

*Niespodziewanie zadzwonił telefon Grace’a, który przeprosił i odebrał.*

*\* Roy Grace, słucham?*

*\* Siemka, stary, gdzie jesteś? Rozkoszujesz się lodami na szczycie Empire State Building?*

*\* Bardzo śmieszne. Teraz stoję w korku.*

*\* No dobra. Mam kolejne nowiny. My urabiamy ręce po łokcie, podczas gdy ty się świetnie bawisz. Pamiętasz Katherine Jennings?*

*Grace myślał przez chwilę. Czuł się zmęczony. Po długiej podróży samolotem jego mózg nie pracował tak sprawnie jak zwykle, ale przypomniał sobie. To było nazwisko, które podsunął mu reporter gazety „Argus” Kevin Spinella. On posłał je dalej do Steve’a Curry’ego.*

*\* Co z nią?*

*\* Usiłuje sprzedać kolekcję znaczków wartą mniej więcej cztery miliony funtów.*

*Zwróciła się do Hegarty’ego. Nie widział ich jeszcze, rozmawiał z nią tylko telefonicznie. Jest pewien, że mimo kilku braków to kolekcja znaczków, którą kupił*

*dla Lorraine Wilson w dwa tysiące drugim roku.*

*\* Powiedziała, skąd wzięła znaczki?*

*Branson powtórzył historyjkę opowiedzianą przez kobietę handlarzowi, a potem dodał:*

*\* Jest jakieś śledztwo związane z Katherine Jennings?*

*Tak powiedział Grace. Milczał, rozmyślał o poniedziałkowej rozmowie*

ze Spinellą. Dziennikarz wspominał, że kobieta była wzburzona. Czy posiadanie znaczków wartych cztery miliony funtów może sprawić, że będziemy wzburzeni?

Grace pomyślał, że byłby raczej zrelaksowany. Tak długo, jak długo byłyby bezpieczne. Więc dlaczego była zdenerwowana? Z pewnością coś poszło źle.

\* Musimy ją obserwować, Glenn. Dobrze, że znamy jej adres.

*Zdaje się, że opuściła gniazdko* odpowiedział Branson \* ale jest umówiona na jutro z Hegartym. Ma przynieść znaczki.

\* Doskonale *powiedział Grace* skontaktuj się z Lizzie. Powiedz jej o naszej rozmowie. Zasugeruj, że dobrze byłoby zgarnąć ją z domu Hegarty'ego \* popatrzył

na zegarek \* masz dużo czasu, żeby to zorganizować.

Glenn Branson też spojrział na zegarek. Rozmowa z Lizzie Mantle nie będzie krótką pogawędką. Poza tym musi napisać raport i wyjaśnić, dlaczego inwigilacja Jennings będzie potrzebna w śledztwie Operacji Dingo. Musi przygotować się na spotkanie śledczych. Nie chce robić tego w domu, więc czeka go kolejna kłótnia z Ari. Ale to nic nowego.

Grace skończył rozmowę i pochylił się do przodu.

*Chłopaki* powiedział \* możecie mi zorganizować listę osób, zajmujących się w Nowym Jorku obrotem znaczkami?

\* Czyżby nowe hobby? \* zażartował Dennis.

\* Nie, nowy element śledztwa \* odparował Grace.

\* Cholera, człowieku! *Pat zwrócił się do niego* nadal nie masz poczucia humoru?

*Chyba nie.* Grace uśmiechnął się sardonicznie.

Październik 2007

stewardesa omawiała procedury bezpieczeństwa.

*Stek bzdur, ten pokaz* powiedział Norman Potting, który siedział z tyłu samolotu obok Nicka Nicholla.

Młody sierżant był przerażony wizją lotu, ale nie chciał przyznać się do tego szefowi.

Uważnie słuchał wszystkich wskazówek. Odwrócił twarz, by nie czuć nieświeżego oddechu Pottinga. Spoglądał w górę, skąd powinny spaść maski tlenowe.

*Zwróć uwagę na układ tych szelek. Wiesz, o czym nam nie mówią?*

Potting był

niezrażony brakiem reakcji Nicholla.

Nicholl potrząsnął głową. Teraz obserwował i starał się zapamiętać poprawną kolejność zapinania kamizelki ratunkowej.

*Zapewniam, że mogą cię uratować tylko w kilku sytuacjach. Bo oni nie mówią najważniejszej rzeczy* ciągnął Potting. \* Pasy bezpieczeństwa są skonstruowane tak, by nie naruszyć żuchwy w razie wypadku. Wtedy łatwiej zidentyfikować ofiary.

\* Wielkie dzięki \* zamruczał Nicholl. Patrzył na stewardesę.

\* Kamizelka ratunkowa, śmiechu warte *kontynuował Potting*. Wiesz, ilu pasażerów szczęśliwie przeżyło katastrofy lotnicze?

Nick Nicholl rozmyślał o żonie Julie i ich synku Liamie. Może już nigdy ich nie zobaczy.

*Ilu? Przełknął ślinę.*

*Zero, nikt...* Potting uformował literę „o” z kciuka i palca wskazującego.

Zawsze musi być ten pierwszy raz, Nicholl wciąż powtarzał sobie tę myśl. Chwytał

się jej w myślach jak tonący brzytwy.

Potting zaczął czytać magazyn tylko dla panów, który kupił na lotnisku. Nicholl studiował tabliczki informacyjne, sprawdzał wyjścia, ucieszył się, że przed nim były tylko dwa rzędy. Był również zadowolony, że siedzi z tyłu. Pamiętał raporty dziennikarskie z pewnej katastrofy samolotowej, w której

maszyna się złamała i pasażerowie z ogona przeżyli.

*Rany!* zasapał Potting.

Nicholl spojrział w dół. Kolega gapił się na otwartą rozkładówkę.

Blondyna ze sztucznym biustem leżała rozłożona na czterech stronach pisma.

Miała czarne, aksamitne rękawiczki. Była ślicznie wygolona.

Wyeksponowane wargi sromowe wyglądały jak pączki kwiatów między nogami.

Stewardesa przechodziła, sprawdzała, czy pasażerowie są poprawnie zapięci.

Zatrzymała się na moment przy Nichollu i Pottingu, a potem poszła dalej.

Nick był zażenowany.

*Norman* wyszeptał \* może to odłożysz?

\* Ufam, że znajdziemy podobne w Melbourne! *powiedział Potting*. Może zaszalejemy trochę. Uwielbiam Bondi Beach.

\* Bondi Beach jest w Sydney, a nie w Melbourne. Chyba zawstydziliś też stewardesę.

\* Nie przejmuj się, jest w porządku, mówię ci! \* Potting machnął ręką w powietrzu.

Stewardesa wracała. Spojrzała na nich przelotnie. Nie było mowy o chłodnym spojrzeniu, towarzyszył jej jedynie pośpiech.

\* Sądziłem, że jesteś szczęśliwy w małżeństwie, *Norman* \* powiedział Nicholl.

\* Dzień, w którym przestanę się oglądać za babami *wyjaśnił Norman* będzie dniem, w którym poproszę kogoś, żeby mnie wywiózł do lasu i zastrzelił. \*

Uśmiechnął się.

Przewrócił stronę. Nicholl odetchnął z ulgą. Jego zadowolenie nie trwało długo.

Następna strona była jeszcze gorsza.



Październik 2007

Abby jechała pociągiem do Brighton. Czuła ucisk w gardle i żołądku. Trzęsła się.

Usiłowała nie płakać. Chciała się pozbierać. Martwiła się o matkę. Gdzie ten gnojek ją wywiózł?

Była 8.30. Dwie godziny temu przerwała rozmowę z Rickym. Potem wybierała numer matki. Słyszała głos automatycznej sekretarki.

Nie była pewna, jakie leki powinna przyjmować matka. Na pewno antydepresanty, na skurcze mięśni, zaparcia, zgagę, lecz Ricky nie będzie się tym przejmował. Bez tych lekarstw stan jej zdrowia na pewno się pogorszy. Będzie miała huśtawki nastroju, od euforii po głęboką depresję. Abby przeklinała swoją głupotę, że zostawiła matkę.

Powinna była zabrać ją ze sobą.

Ricky, zadzwoń, proszę; zadzwoń do mnie.

Gorzko żałowała, że się rozłączyła. Pewnie nie myślała logicznie. Ricky wiedział, że to ona pierwsza spanikuje, a nie on. Ale to on musi zadzwonić do niej, ponieważ wąta, chora staruszka nie była jego celem.

Taksówką podjechała do swojego mieszkania. Trzymając się nieoświetlonych miejsc, podążyła w stronę budynku. W blasku latarni zobaczyła samochód Ricky'ego, wynajętego forda focusa. Miał blokadę na kole i zatknięty za wycieraczkę mandat z ostrzeżeniem, że nie wolno go zlekceważyć.

Ostrożnie szła w kierunku domu. Rozglądała się dookoła, sprawdzała, czy nikt jej nie śledzi. Wyciągnęła mandat z za wycieraczki. Dzięki włączonej latarce przeczytała godzinę wystawienia kary. 10.03. Więc tym samochodem nie wywiózł matki.

Pewnie zamierzał wrócić. Może już tam był? Było to jednak mało prawdopodobne, ponieważ zapewne znalazł jakieś lokum w mieście.

Okna jej mieszkania były zasłonięte. Podeszła do drzwi, nacisnęła dzwonek do mieszkania Hassana. Miała szczęście, był w domu. Usłyszała jego głos.

\* Cześć, tu Katherine Jennings spod osiemdziesiąt dwa. Przepraszam, że przeszkadzam, ale zapomniałam klucza. Możesz mi otworzyć?

\* Nie ma sprawy!

Usłyszała brzęczenie, popchnęła drzwi i weszła. Zobaczyła stos reklam wepchniętych do skrzynki pocztowej. Postanowiła ich nie ruszać, by nie zostawiać śladów pobytu.

Na drzwiach windy znajdował się olbrzymi napis „Nieczynna”. Szła schodami wśród przyciemnionych świateł, na każdym piętrze nasłuchiwała, czy nie słychać czyichś kroków, żałowała, że nie ma przy sobie gazu. Na trzecim piętrze poczuła zapach świeżo pociętego drewna, na kolejnym nerwy zaczynały jej puszczać i przez chwilę zastanawiała się, czy nie poprosić Hassana o pomoc.

W końcu dotarła na górę. Ponownie nasłuchiwała. Na ostatnim piętrze były jeszcze dwa lokale, ale nigdy nie spotkała żadnego ich mieszkańca. Nic nie słyszała.

Ogarniała ją całkowita cisza. Podeszła do hydrantu przeciwpożarowego umieszczonego we wnęce ściany i zaczęła rozwijać wąż gaśniczy. Po rozsypłaniu kilku pętli zobaczyła klucze, które tam ukryła. Po chwili znalazła się na swoim półpiętrze.

Stała w ciszy, bała się. Czy Ricky był w jej mieszkaniu?

Oczywiście, że nie. Był w jakiejś norze, gdzie uwięził jej matkę. Zachowywała się jak zwykle. Cichutko przekręcała klucz w zamku, nie chciała, by ktoś ją usłyszał.

Ogarnął ją mrok, gdy tylko weszła do środka. Zostawiła uchylone drzwi, wyłączyła latarkę. Potem mocno zatrzęsnęła drzwi, by obudzić go na wypadek, gdyby spał.

Następnie jeszcze raz trzasnęła, ale towarzyszyła jej tylko cisza.

Świeciła latarką w przedpokoju. Plastikowa torba z narzędziami, którymi ją straszył, nadal leżała na progu łazienki dla gości.

Nie włączała świateł, na wypadek gdyby Ricky był gdzieś na zewnątrz. Sprawdziła wszystkie pokoje. Natknęła się na swój gaz pieprzowy na stolyczku w salonie i wsadziła go do kieszeni. Przypomniała sobie, że nie założyła łańcuchów przy drzwiach, pędem pobiegła, by to naprawić.

Była głodna i spragniona. Napiła się coli i zjadła jogurt brzoskwiniowy. Poszła do łazienki dla gości i zapaliła światło. Nie było tam okna, więc czuła się bezpiecznie.

Otworzyła drzwi do składziku, gdzie stała pralka i suszarka. Na szafce z lewej strony leżały jej narzędzia. Wyciągnęła młotek, dłuto i wróciła do łazienki.

Ostatni raz z dumą spojrzała na swoje dzieło, a potem pewnie umieściła dłuto w fudze i uderzyła w nie młotkiem. Potem waliła tak jeszcze wiele razy.

W ten sposób odbiła kilka płytek i sięgnęła do schowka pod fałszywą ścianę. Poczła ulgę, gdy poczuła pod palcami kopertę z folią bąbelkową, którą sama tam umieściła.

Właściciel budynku nie będzie zachwycony bajzłem, który zrobiła. Gdyby miała czas, jako pilna uczennica swego ojca mogłaby to wszystko naprawić. Ale teraz kilka zniszczonych kafelków naprawdę nie było jej problemem.

Zmieniła bieliznę, ponownie spakowała walizkę, włączyła Internet, by sprawdzić tanie hotele w Brighton i Hove.

Wybrała hotel, który jej odpowiadał, i zamówiła taksówkę.

Październik 2007

Staruszka okazała się większym problemem, niż Ricky się spodziewał. Stał w maleńkim aneksie kuchennym, za którym znajdowały się szatnia i sanitariaty. Starsza pani była już tam od kwadransa.

Wyszedł przed drzwi. Stał na deszczu. Zastanawiał się, czy zabicie staruszki nie jest najlepszym wyjściem z sytuacji. Z ciekawością spoglądał na samochód z holenderską rejestracją. Okna były zasłonięte, ale światła włączone. Miał cholerną nadzieję, że nikt nie będzie chciał skorzystać z toalety. Chociaż staruszka była wystarczająco zastraszona, by nie odważyć się komukolwiek poskarżyć.

Minęło kolejne pięć minut. Popatrzył na zegarek. Była 21.30. Trzy godziny temu Abby się rozłączyła. Może przemyślała swoje zachowanie? Opamiętała się?

Zdecydował, że teraz jest dobry moment.

Włączył komórkę i posłał jej zdjęcie, które dopiero co zrobił. Fotografie, na której ze zwiniętego dywanu wystawała głowa jej matki.

Dołączył tekst: „Jak pączek w maśle”.

Październik 2007

Roy siedział z Patem i Dennisem przy drewnianym stole w ogromnym holu Chelsea Brewing Company, którego właścicielem był kuzyn Pata. Po prawej stronie rozciągał

się długi, drewniany bar, za którym widoczne były rzędy błyszczących, miedzianych kadzi oraz połączenia nieskazitelnych stalowych rur i przewodów. Idealnie czyste wnętrze, olbrzymia powierzchnia drewnianej podłogi sprawiały wrażenie muzeum, a nie świetnie prosperującego przedsiębiorstwa.

Wizyta w tym miejscu była obowiązkową atrakcją podczas pobytów Grace'a w Nowym Jorku. Pat był niezmiernie dumny z sukcesu kuzyna i faktu, że amerykańskie piwo może śmiało konkurować z brytyjskim.

Przed policjantami stało sześć próbek różnego rodzaju piw. Kufle stały na podstawkach z nazwami. Kuzyn Pata, również Patrick, był

przysadzistym mężczyzną około czterdziestki noszącym okulary i teraz przybliżał

Royowi proces powstawania każdego z prezentowanych napojów.

Wykończony Roy nie słuchał uważnie. Był długo na nogach, choć niczego konkretnego nie wskórał. Za sukces można uznać jedynie kupienie lalki Bratz dla chrześnicy. Jego zdaniem lalka wyglądała jak Barbie. Ale z drugiej strony, czy znał

gust dziewięcioletnich dziewczynek?

Kierownik hotelu W nie dodał niczego szczególnego do tego, co Roy wiedział.

Wspomniał jednak, że Ronnie oglądał film porno na płatnych stronach o jedenastej w nocy.

Odwiedzili kilku filatelistów, ale nikt nie znał Wilsona ani nie rozpoznał go na zdjęciu.

Gdy kuzyn Pata podjął ulubiony wątek dotyczący naukowych opisów piwa, Grace spoglądał przez okno. W ciemnościach widział żaglowce w porcie i jeszcze dalej, za rzeką Hudson. To miasto jest niezmiernie rozległe. Mnóstwo osób przyjeżdża tu i odjeżdża stąd. Podobnie jak w innych wielkich miastach, codziennie spotyka się tu tysiące ludzi. Czy miał szansę spotkać

kogoś, kto pamiętałby faceta sprzed sześciu lat?

Musi próbować. Pukać do wszystkich możliwych drzwi. Jak za starych dobrych czasów w policji. Istniały znikome szanse odnalezienia śladów Ronniego. Ostatnie dowody wskazują, że bardziej prawdopodobny był jego wyjazd do Australii. Podczas gdy Patrick wyjaśniał sposób osiągnięcia delikatnego smaku słoðu w piwie Sunset Red Ale, Grace usiłował ustalić strefy czasowe.

Była siódma wieczorem. W Australii było o dziesięć godzin później w porównaniu z Wielką Brytanią. To ile to będzie w porównaniu z Nowym Jorkiem, który jest o pięć godzin do przodu... nie, chyba do tyłu w porównaniu z Wielką Brytanią? Boże, w głowie kręciło mu się od tych obliczeń.

Cały czas jak automat uprzejmie potakiwał głową. Nie spał od szesnastu godzin. Miał

nadzieję, że Norman i Nick zajrzeli już na posterunek policji w Melbourne i rozpoczęli dochodzenie, czy Ronnie Wilson pojawił się w Australii od września 2001

roku.

Nagle przypomniał sobie o czymś. Ukradkiem wyciągnął notatnik i przeglądając kilka kartek, natrafił na rozmowę z Terryem Biglowem. Przejrzał listę znajomych i przyjaciół Wilsona. Chad Skeggs. Wyemigrował do Australii. W związku z tym, co powiedział mu Branson, i prawdopodobieństwem pobytu Wilsona w Australii, odnalezienie Chada Skeggsa powinno być nadrzędną sprawą dla Pottinga i Nicholla.

Patrick nareszcie skończył i detektywi wzniesli kufle.

*Dzięki, koledzy, jest mi bardzo miło powiedział Grace. \* Pozwólcie, że ja zapłacę.*

*\* Jesteś u mojego kuzyna odparł Pat nie martw się o forszę.*

*Kiedy jesteś z nami w Nowym Jorku, jesteś naszym gościem dodał Dennis \* ale cholera, chłopie, gdy przyjedziemy do Anglii, lepiej zaciągnij jakiś kredyt.*

Roześmiali się.

*\* Mówiłem ci, że po jedenastym września zaistniał termin „feelgood dogs”? \**

niespodziewanie odezwał się Pat.

Grace potrząsnął głową.

\* Przeprowadzano psy na gruzowisko, no wiesz, do „wnętrzości bestii”, by robotnicy mogli je głaskać.

*Stąd wzięła się nazwa „fellgood dogs”* dodał Dennis.

*To był taki rodzaj terapii* wyjaśnił Pat. \* Wszystkich spotkało coś okropnego.

Odkryto, że głaszcząc psy, ludzie czują się lepiej. Mają kontakt z żywą, szczęśliwą istotą.

\* To miało sens *podsumował Dennis* wydarzenia jedenastego września obudziły wiele dobrego w ludziach.

*Ale drani też nie zabrakło* przypomniał mu Pat. \* W centrum Pier 92 rozdawaliśmy odszkodowania tym najbardziej potrzebującym.

Dawaliśmy od dwóch i pół tysiąca do piętnastu tysięcy dolarów, ale \* aż nim wstrząsnęło \* szuje szybko dowiedziały się o tej akcji. Wtedy doszło do wielu matactw. Ludzie przychodzili i mówili, że stracili bliskich, podczas gdy z ich rodziny nikt nie zginął.

\* Ale dopadliśmy ich *wyznał Dennis z ponurą satysfakcją* później wszystkich dopadliśmy. Zajęło nam to trochę czasu, ale załatwiliśmy wszystkich drani.

*Przynajmniej jakieś dobro pojawiło się potem na ulicach* zauważył Pat. \*

Powróciła dusza tego miasta. Ludzie stali się trochę bardziej uprzejmi wobec siebie.

\* A niektórzy się wzbogacili \* podkreślił Dennis.

\* Na pewno. \* Pat pokiwał głową. Dennis nagle zachichotał.

\* Moja żona Rachel ma wujka w Garment. Wujek ma firmę, w której haftują okolicznościowe motywy na tekstylnych pamiątkach. Kilka tygodni po atakach jedenastego września zajrzałem do niego. To był taki niewysoki Żyd. Miał

osiemdziesiąt dwa lata, ale nadal pracował czternaście godzin dziennie. Był

najmilszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jego rodzina uciekła tutaj przed holocaustem. Wszystkim pomagał. Tak czy inaczej, gdy wtedy wstąpiłem, był

tam ogromny ruch. Wszędzie pełno pracowników. Koszulki, swetry, czapeczki, mnóstwo rzeczy, które ludzie haftowali, prasowali, szyli i rozciągali.

Łyknął piwa i pokiwał głową.

\* Musiał zatrudnić dodatkowych pracowników. Wręcz nie dawał rady z

zamówieniami. Wszystkie rzeczy, które robili, upamiętniały bliźniacze wieże.

Zapytałem go, czy to dobry interes. Usiadł w środku tej roboty, popatrzył na mnie i uśmiechnął się. A potem stwierdził, że biznes nigdy nie szedł tak dobrze. \* Dennis skrzywił się. \* Bo wiecie co? Ktoś zawsze skorzysta na czyjejś tragedii.





## 2 listopada 2001

Loraine leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. Tabletki nasenne, które przepisał lekarz, działały na nią wręcz jak podwójne espresso.

Mały, gówniany, przenośny telewizor w salonie był włączony. Jedna z niewielu rzeczy niezajętych przez komornika. Bo nie był wzięty na kredyt. Wyświetlano jakiś stary film. Nie знаła tytułu, ale nie wyłączała telewizora. Ekran traktowała jak fototapetę, dodatkowe światło, zgiełk życia, towarzystwo.

Steve McQueen i Faye Dunaway grali w szachy w łóżku zasłanym elegancką pościelą, przy nastrojowym świetle. Scena była bardzo erotyczna. Skupiała wszystkie niuanse chemii pomiędzy nimi.

Ona i Ronnie też grali w gry. We wczesnych latach małżeństwa, gdy szaleli za sobą, bawili się odważnie. Grali w rozbierane szachy. Ronnie jakoś zawsze potrafił

rozebrać ją do rosołu, podczas gdy sam pozostawał w pełnym rynsztunku. Grali w rozbierane scrabble.

Nigdy więcej, pociągnęła nosem.

Na niczym nie potrafiła się skupić. Tylko rozmyślała o Ronniem.

Tęskniła za nim.

Jeśli udawało się jej dłużej usnąć, śniła na jego temat. W snach był żywy, uśmiechnięty, powtarzał jej, że jest głupią krową, bo uwierzyła, że zginął.

Nadal dostawała drgawek na widok koperty, którą otrzymała pod koniec września.

Było tam zdjęcie Ronniego i komórka. Najgorsza była fotografia portfela. Czyżby spalił się na śmierć?

Przeszyła ją ogromna fala żalu. Rozpłakała się.

Przytulona do poduszki wypłakiwała żal z serca.

*Ronnie* mamrotała \*kochany Ronnie. Tak bardzo cię kochałam.

Chwilę później uspokoiła się, położyła i skupiła na ekranie telewizora.

Wówczas w przerażeniu dostrzegła, że drzwi sypialni się otwierają i pojawia się w nich jakaś postać. Zobaczyła wysoki, czarny cień, którego twarz ukryta była pod kapturem wiatrówki. Kroczył w jej kierunku.

Przestraszona sięgnęła po coś, czego mogłaby użyć jako broni. Butelka wody upadła na podłogę. Usiłowała krzyknąć, ale tylko słaby szept wydostał się z jej ust, na których spoczęła czyjaś dłoń.

Usłyszała głos Ronniego. Ściszony, ale wyraźny.

\* To ja! *oznajmił*. To ja, Lorraine! Kochanie, nic mi nie jest! Cofnął rękę, odchylił głowę, ściągnął kaptur.

Włączyła nocną lampkę. Gapiła się z niedowierzaniem. Wpatrywała się w ducha, który zapuścił brodę i ogolił głowę. Ów duch miał zapach Ronniego, jego włosów i wody kolońskiej. Obejmował jej twarz dłońmi takimi jak u Ronniego.

Patrzyła na niego z konsternacją, radością i emocjami, które stopniowo rosły.

\* Ronnie? To ty, prawda?

\* Pewnie, że ja.

Miała otwarte usta. Wpatrywała się w niego, potrząsała głową. Milczała.

\* Powiedzieli, że zginąłeś.

\* To dobrze *powiedział* niech tak zostanie.

Pocałował ją. Pachniał papierosami, alkoholem i trochę czosnkiem. Dla niej był to najpiękniejszy zapach świata.

\* Przysłali mi zdjęcia twojego portfela i komórki.

\* Cholera! Wspaniale! Znaleźli je! Cholera, to zajebicie \* ucieszył się jak dziecko.

Ta reakcja zdziwiła ją. Żartował? W tym momencie wszystko ją szokowało. Dotknęła jego twarzy, łyzy płynęły jej po policzkach.

\* Nie mogę uwierzyć *powiedziała, pieściła jego policzki, dotykała nosa, uszu, głaskała czoło* ale to ty. To naprawdę ty.

\* Tak, gapciu.

\* Jak... jak ci się udało przeżyć?

\* Cały czas myślałem o tobie i nie chciałem cię zostawić.

\* Czemu nie zadzwoniłeś? Byłeś ranny?

\* Długo by opowiadać.

Przytuliła go i pocałowała, jak za pierwszym razem. Potem odchyliła twarz, promieniała.

\* To naprawdę ty!

Rozsunął jej szlafrok i dotknął piersi. Implanty Lorraine najpierw doprowadzały go do szału. Nie interesowały go, zresztą podobnie jak wszystko swego czasu. Lecz dzisiaj Ronnie, jako ta zjawka, był zupełnie innym mężczyzną. Był adonisem z najszcześniejszych lat ich małżeństwa.

Czyżby umarł i zmartwychwstał?

Rozbierał się. Zdjął adidas, zrzucił spodnie. Miał potężną erekcję.  
Zrzucił kurtkę, sweter, skarpetki. Odsunął pościel i zadarł jej koszulę nocną.

Gra wstępna zawsze była jego mocną stroną. Palcem zwilżonym w ustach rozpalał jej cipkę. Całował piersi i pieścił.

jego kutas, wielki i twardy jak skała, wbił się głębiej.

*Ronnie!* krzyknęła radośnie.

*Szszsza!* natychmiast zatkał jej usta \* mnie tu nie ma. Jestem duchem.

Objęła jego głowę, mocno przytulała, czuła najeżoną brodę, chciała poczuć go jak najgłębiej w sobie.

*Ronnie!* dyszała mu do ucha, miała orgazm, podobnie jak i on.

Leżeli w milczeniu, ciężko oddychali. W telewizji nadal prezentowany był ten sam film. Wentylator pracował rytmicznie, czasem cicho klekotał.

\* Nie wiedziałam, że duchy potrafią być tak podjarane *wyszeptala*. Mogę cię przywoływać codziennie?

*Musimy pogadać oznajmił.*

Październik 2007

Duncan Troutt w drugim dniu swojej służby jako świeżo upieczony policjant czuł się trochę zakłopotany. Spodziewał się większych atrakcji niż wczorajsze. Przez większość dnia udzielał wskazówek zagranicznym studentom, uczył się obowiązków w swoim rejonie. Na przykład przedstawił się kierownikowi restauracji indyjskiej, który ostatnio został napadnięty. Rabunek nagrano kamerą i film umieszczono w Internecie.

Kręcąc się po okolicy, około dziewiątej rano postanowił złożyć wizytę Katherine Jennings, licząc na spotkanie. Przeczytał w raporcie, że policjant z nocnej zmiany był

u niej dwukrotnie, o siódmej i dziesiątej wieczorem. Ani razu jej nie zastał. Telefon do informacji nie przyniósł efektu, ponieważ nie znaleziono żadnego numeru telefonu przypisanego do jej nazwiska i adresu.

Idąc, obserwował domy i patrzył, czy samochody nie mają oznak włamań. Mewy zaskrzeczały tuż nad nim. Kiedy na nie spojrział, zobaczył ciemne i groźne niebo.

Ulice wciąż były mokre od wczorajszego deszczu. Teraz znowu chyba będzie padać.

Nim podszedł do wejścia budynku 29, dostrzegł forda focusa z blokadą na kole.

Przypomniał sobie, że już wczoraj zauważył ten samochód. Zwrócił uwagę na mandat na przedniej szybie. Przeszedł przez

ulicę, wyjął papier z za wycieraczki, strzepnął krople deszczu i przeczytał dzień i godzinę wystawienia mandatu. Wczoraj o 10.03 rano. Czyli samochód stał tu od ponad dwudziestu czterech godzin.

Mandat można było prosto wytłumaczyć. Ktoś nie wiedział, że na tej ulicy mogą parkować jedynie mieszkańcy. Może był to porzucony, skradziony samochód. Jednak największe znaczenie miało miejsce zaparkowania. Blisko mieszkania kobiety, którą miał sprawdzić. Jednak ona rzekomo zniknęła, może tylko chwilowo.

Zadzwoił do policyjnej bazy danych, by sprawdzili ten samochód. Potem do mieszkania Katherine Jennings. Podobnie jak wczoraj, nikt nie

odpowiedział.

Zdecydował, że wróci później, a tymczasem udał się na spacer wzdłuż przystani. Po kilku minutach odezwało się jego radio. Ford focus pochodzi z wypożyczalni samochodów Avis. Podziękował dyżurnemu i rozważał podane informacje.

Wypożyczający samochody często naruszają zasady drogowe. Może ktoś, kto wynajął ten wóz, nie chciał sobie zawracać głowy odblokowywaniem auta? A może nie miał czasu.

Ale nadal istniała niewielka szansa, że może mieć to związek z Katherine Jennings.

Powoli zaczynał padać deszcz. Troutt zadzwonił do przełożonego, sierżanta Iana Browna, i zgłosił spostrzeżenia związane z samochodem. Poprosił, żeby sprawdzono, kto w firmie Avis wypożyczył owego forda.

*To pewnie nic wielkiego, proszę pana* usprawiedliwił się, nie chcąc wyjść na głupka.

*Masz zupełną rację, sprawdzając takie szczegóły* zapewnił go sierżant. \*

Większość policyjnych sukcesów polega na sprawdzaniu detali. Nikt cię nie ochrzani za bycie zbyt skrupulatnym. Natomiast zgubić coś ważnego byłoby niewybaczalne!

Troutt podziękował i szedł dalej. Pół godziny później sierżant zadzwonił do niego.

\* Samochód wypożyczył Australijczyk Chad Skeggs z Melbourne. Troutt schronił się pod zadaszeniem, nie chcąc, by deszcz nakapał na jego notatki i pilnie zapisał nazwisko. Przeliterował je, by się upewnić.

*Kojarzysz z czymś tego gościa?* zapytał sierżant.

\* Nie, proszę pana.

\* Ja również \* odparł sierżant. Jednocześnie, na wszelki wypadek, postanowił wpisać to nazwisko do raportu.

Październik 2007

Abby siedziała w milczeniu w taksówce i wpatrywała się w wyświetlacz komórki.

Kopertę wcisnęła pod sweter. Ciasno zapięła pasek spodni, tak by koperta nie wypadła i była niewidoczna. Pod koszulkę wcisnęła także gaz pieprzowy.

Kierowca skręcił w prawo obok pomnika Królowej Wiktorii i jechał w kierunku Drive, gdzie po obu stronach drogi stały eleganckie apartamentowce. Nic szczególnego nie zwróciło jej uwagi. Prawdę mówiąc, prawie nic nie widziała. Przed oczami miała tylko jeden obraz, który rozpałał jej wyobraźnię.

Zdjęcie matki, której głowa wystaje ze zwiniętego dywanu, a pod spodem napis:

„Jak pączek w maśle”.

Była bliska załamania. Przeżywała huśtawkę nastrojów, od ślepej furii wobec Ricky’ego po przerażający lęk o matkę. Miała poczucie winy.

Była zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się nad tym. Prawie całą noc nie spała.

Nasłuchiwała. Słuchała nieustannego ruchu na nabrzeżu, odgłosu dźwięków dobiegających z okien hotelu. Sygnałów syren, ciężarówek, autobusów, alarmu samochodowego, porannych śpiewów mew. Odliczała każdą godzinę, minutę, sekundę.

Czekała na telefon od Ricky’ego.

Mógł chociaż przysłać SMS. Ale nic nie otrzymała. Znała ten rodzaj psychologicznych zagrywek. Uwielbiał takie czasowe zagrywki. Przypomniała sobie ich drugą, sekretną randkę. Była głupia albo naiwna, bo pozwoliła mu się związać.

Ten gnój związał ją nagą, prawie doprowadził do orgazmu wibratorem, potem dał

klapsa i zostawił samą z zakneblowanymi ustami w zimnym pokoju. Wrócił po sześciu godzinach i ją zgwałcił.

Twierdził, że tego właśnie chciała.

Kompletnie się zagubiła w tym, czego ona chciała, czy, mówiąc

precyzyjnie, Dave chciał. Znalezienie odpowiedzi zajęło jej sporo czasu.

Skonstatowała, że Ricky nie ma żadnych hamulców. Był zdolny zabić jej matkę, byle tylko odzyskać swoje znaczki. Potem pewnie i ją zabije. Będzie miał z tego niezłą uciechę.

Właśnie wyobrażała sobie katusze matki, gdy zajechali przed imponujący dom Hegarty'ego.

Zapłać kierowcy, rozejrzała się wokół przez tylną i przednią szybę. W niedalekiej odległości zobaczyła furgonetkę telekomunikacji. Fachowcy coś naprawiali.

Niepozorny, niebieski samochód był zaparkowany na chodniku. Nie dostrzegła śladów Ricky'ego ani jego forda focusa.

Kilka razy sprawdziła numer domu, przeklinając samą siebie, że nie zabrała parasola.

Mknąc w deszczu przez otwartą bramę, minęła samochody na podjeździe i wbiegła na ganek. Wydobyła pakunek, poprawiła ubranie i zadzwoniła.

Chwilę później siedziała na kremowej kanapie w gabinecie Hegarty'ego. Handlarz był ubrany w luźną, kratkowaną koszulę, jasne sztruksy i skórzane, domowe pantofle.

Siedział za biurkiem i szczegółowo

badał każdy znaczek. Używał ogromnego, oprawionego w szylkret szkła powiększającego.

Zawsze był podekscytowany, gdy oglądał znaczki. Było w nich coś tajemniczego.

Były takie maleńkie, stare, delikatne i nadal wartościowe. Były czarne, niebieskie, czerwone. W większości przedstawiały popiersie królowej Wiktorii. Choć były także i w innych kolorach, z głowami innych władców.

Żona Hegarty'ego była przystojną, świetnie ubraną kobietą około sześćdziesiątki.

Włosy miała starannie uczesane. Przyniosła Abby filiżankę herbaty, herbatniki i wyszła.

Postawa handlarza męczyła Abby. Dave powiedział, że Hugo Hegarty zaoferuje jej najlepszą cenę i nie będzie dociekliwy. Musiała trzymać się tego planu. Jednak towarzyszyło jej złe przeczucie, którego nie umiała określić.

Musiała szybko sprzedać te znaczki. Im szybciej zdeponuje pieniądze w banku, tym łatwiej będzie jej negocjować z Rickym. Gdy były w jej rękach, miał na nią haka.



Gdyby chciał rzeczywiście zagrać ostro, poszedłby na policję. Wtedy wszyscy by wpadli. Był wystarczająco mściwy, żeby to zrobić, wołał to, niż zostać oszukanym.

Bez znaczków niczego jej nie udowodni. W tym czasie ona bezpiecznie ukryje pieniądze i załatwi jakiegoś administratora majątku w jednym z banków w Panamie.

Raju podatkowym, który rządzi się swoimi prawami.

Jakkolwiek patrzeć, jej majątek był w większości zdobyty nieuczciwie.

Popełniła błąd, że czekała. Powinna była je sprzedać w Anglii albo w Nowym Jorku.

Ale Dave chciał poczekać, aż upewni się, że Ricky nie zna miejsca jej pobytu. Teraz ten plan spalił na panewce.

Niespodziewanie zadzwonił telefon Hegarty'ego.

*Słucham?* powiedział. Nagle ton jego głosu się zmienił. Niepewnie zerkając na Abby, odezwał się: \* Proszę chwileczkę poczekać. Może pan? Muszę przejść do innego pokoju.

Glenn Branson siedział przy biurku, trzymał słuchawkę telefonu i czekał, aż Hegarty się odezwie.

\* Przepraszam pana *zaczął po dłuższej chwili Hegarty* młoda dama jest teraz w moim gabinecie. Sądzę, że w związku z nią pan dzwoni?

\* Całkiem możliwe. Dopiero co sprawdzałem poranne raporty i znalazłem cenną informację. Oczywiście może ją przeceniam, ale wczoraj podał pan nazwisko Chada Skeggsa?

\* Tak \* nie wiedząc, jakie będzie następne pytanie, wahając się, Hegarty w końcu odpowiedział.

\* Jest raport, z którego wynika, że jakiś Australijczyk z Melbourne wypożyczył samochód na to nazwisko. Auto widziano naprzeciw mieszkania Katherine Jennings.

\* Och, naprawdę? Jakież to interesujące. Bardzo interesujące!

\* Sądzi pan, że coś łączy te osoby?

\* W rzeczy samej, detektywie. To tak, jakby połączyć gnijącą rybę z nieprzyjemnym zapachem.



## 2 listopada 2001

Wcześniej rano Lorraine wsłuchiwała się w chrapanie Ronniego. Radość i ulga, że żyje, powoli zaczynały przeradzać się w złość.

Gdy się obudził, nalegał, by zasłony w sypialni i żaluzje w kuchni były opuszczone.

Lorraine zaatakowała, jak mógł zostawić ją w takim położeniu. Przecież mógł

wykonać tylko jeden, szybki telefon.

Wyjaśnić wszystko. Wtedy ona nie przechodziłaby przez piekło aż do wczoraj.

Rozpłakała się.

*Nie mogłem ryzykować przytulił ją \* musisz to zrozumieć, maleńka. Jeden telefon z Nowego Jorku na twoim billingu pociągnąłby lawinę pytań. A ja musiałem mieć pewność, że dobrze odegrasz rolę wdowy.*

*\* Cholernie dobrze odgrywałam przetarła oczy i wyciągnęła papierosa powinnam dostać pieprzonego Oscara.*

*\* Po wszystkim dostaniesz jednego.*

Mocno chwyciła jego owłosiony nadgarstek i przybliżyła do twarzy.

*\* Przy tobie czuję się tak bezpiecznie, Ronnie. Proszę, nie odchodź.*

Możesz się tu ukrywać.

*\* Ta, pewnie.*

*\* Możesz! Pokręcił głową.*

*Nie możemy zrobić czegoś, by nie stracić domu? Powiedz, ile forsy dostanę?*

Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła.

*\* Mam polisę ubezpieczeniową w Norwich Union na półtora miliona funtów.*

Znajdziesz pieniądze w depozycie bankowym. Klucz jest w moim biurze. Będą też wypłacać odszkodowania rodzinom ofiar z jedenastego września. Firmy ubezpieczeniowe będą płacić, nawet jeśli ciała nie zostały odnalezione. Nie będą czekać ustawowych siedmiu lat.

*\* Półtora miliona! Mogłabym pójść z polisą do banku. Nie zabiorą mi domu.*

*\* Możesz spróbować, ale wiem, że ten gnojek powie ci, iż nie wiadomo,*

kiedy otrzymasz polisę, bo firmy ubezpieczeniowe zawsze chcą się wywinąć.

\* Wywinąć?

\* Będzie dobrze. Nie denerwuj się. Będą wypłacać odszkodowania za wrzesień.

Możesz dostać dwa i pół miliona dolarów.

\* Dwa i pół miliona dolarów? Pokiwał głową, podrajcowany.

Patrzyła na niego, szybko obliczała w głowie.

\* To będą prawie dwa miliony funtów? Czyli razem prawie cztery miliony funtów?

\* Plus minus, zgadza się. Bez podatku. Za rok udreki. Siedziała w milczeniu. W

końcu zaczęła z lekkim przestraczem.

\* Jesteś niewiarygodny.

\* Jestem żywy.

\* Dlatego cię kocham. Zawsze w ciebie wierzyłam. Wiesz o tym?

\* Wiem. \* Pocałował ją.

\* Jesteśmy bogaci!

\* Prawie. Będziemy. Ostrożność nie zawadzi...

\* Dziwnie wyglądasz z brodą.

\* Tak?

\* Jakoś młodziej.

\* Mniej martwy niż stary Ronnie?

\* Wczoraj byłeś przeciwieństwem umarlaka. \* Uśmiechnęła się.

\* Długo czekałem na tę chwilę.

\* A teraz mówisz, że mamy czekać jeszcze rok? Może dłużej?

\* Odszkodowania będą wypłacane tym, którym jest najtrudniej. Ty jesteś w takiej sytuacji.

\* Pewnie najpierw wypłacą Amerykanom.

\* Nie sądzę. \* Potrząsnął głową.

\* Prawie cztery miliony funtów! \* rozmarzyła się i strzepnęła popiół.

\* Kupisz sobie mnóstwo sukienek.

\* Musimy zainwestować.

\* Mam plan. Najpierw musimy spieprzyć z tego kraju, a ty... Poszedł na korytarz i wrócił z małą torbą. Wyciągnął brązową kopertę, którą przesunął w jej kierunku.

\* Nie jestem już Ronnie Wilson. Musisz się do tego przyzwyczać.

Nazywam się David Nelson, a ty nie będziesz już Lorraine Wilson.

W kopercie były dwa paszporty, jeden australijski. Z trudnością rozpoznała siebie.

Miała okulary i ciemne, krótko obcięte włosy. Zobaczyła podpis \* Margaret Nelson.

\* Mamy wizę pobytową na pięć lat w Australii.

\* Margaret? *spytała* dlaczego Margaret?

\* Może być Maggie.

\* Muszę się nazywać Margaret albo Maggie? \* Kręciła nosem.

\* Tak.

\* Jak długo?

\* Na zawsze.

*Wspaniale!* stwierdziła. \* Nawet nie mogę wybrać własnego imienia.

\* Nie wybierałaś również po urodzeniu, głupia krowo.

*Margaret Nelson!* przeczytała głośno, ale z powątpiewaniem.

\* Nelson to pierwszorzędne nazwisko.

\* A to co? \* Wyciągnęła drugi paszport.

Rozpoznała siebie, ale starszą o dwadzieścia lat, z siwymi włosami. W dokumencie widniało nazwisko Anity Marsh. Patrzyła z zakłopotaniem.

\* Wszystko obmyśliłem. Najlepiej będzie, jeżeli znikniesz. Ludzie pamiętają atrakcyjne kobiety, zwłaszcza faceci. Nie pamiętają drobnych staruszek, które są prawie niewidzialne. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, kupisz dwa bilety na nocny prom Newhaven\*Dieppe. Jeden na swoje nazwisko, a drugi na Anitę Marsh.

Zarezerwujesz kabinę na nazwisko Anity Marsh. Rozumiesz?

\* Może zapiszę?

\* Nie. Musisz zapamiętać. Będę z tobą w kontakcie. Zostawisz notatkę o planowanym samobójstwie. Napiszesz, że nie możesz żyć beze mnie, czujesz się żałośnie, pracując na Gatwick, życie jest do dupy. Lekarz potwierdzi tę wersję, ponieważ zapisywał ci antydepresanty.

\* Nie będzie musiał kłamać.

\* Wejdiesz na pokład jako Lorraine Wilson. Będziesz wyglądać niezwykle pięknie, zadbasz, by wielu ludzi cię zauważyło. Zostawisz ciuchy do przebrania w kabinie Anity Marsh. Potem w barze udawaj smutną, że się upijasz i chcesz być sama. Prom płynie ponad cztery godziny, więc będziesz miała sporo czasu. Gdy będziecie w połowie kanału, powiesz barmanowi, że idziesz na pokład. Zamiast tego popędzisz do kabiny i przebierzesz się za

starszkę Anitę Marsh. Następnie wyrzucisz za burtę paszport, komórkę i ubranie, które miałaś na sobie.

Lorraine patrzyła ze zdumieniem.

\* W Dieppe wsiądziesz w pociąg do Paryża. Podrzesz paszport Anity Marsh i kupisz bilet do Melbourne na nazwisko Margaret Nelson. Będę tam czekał na ciebie.

\* Cholera, pomyślałaś o wszystkim, tak?

Nie wyczuwał, czy jest zadowolona, czy się wkurza.

\* No cóż, nie miałem nic więcej do roboty.

\* Obiecuj mi jedną rzecz. Nie utopisz tej forszy w jakimś planie.

\* Nie ma mowy. Odebrałem staranną lekcję, kochanie. Dużo myślałem. Jak wejdiesz w długie, to się z nich nie wywiniesz. Teraz jesteśmy wolni, możemy zacząć od nowa. Najpierw w Australii, a potem gdzieś indziej będziemy rozkoszować się słońcem. Mnie się to podoba! Możemy zdeponować pieniądze w banku i żyć z odsetek.

Patrzyła podejrzliwie. Wskazał na kopertę.

\* Jest coś jeszcze.

Otworzyła małą bąbelkową kopertę. Leżało tam luzem kilka znaczków.

*To pomoże ci przeżyć* wyjaśnił \* będziesz miała na wydatki. Kup sobie coś miłego. Ten znaczek z tysiąc dziewięćset jedenastego roku, Somerset House One Pound, jest warty piętnaście tysięcy. Ten z tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku One Penny, około pięciu tysięcy. Zanieś je do pewnego gościa, który zapłaci za nie dobrą cenę. Gdy otrzymasz już wielką forszę, pójdiesz do niego i zamienisz ją na znaczki. On jest uczciwy, złoży najlepszą ofertę.

\* Ale on nie wie o niczym?

*Na Boga, nie!* Urwał kawałek z gazety „Hello”, która leżała na kuchennym stole, i napisał nazwisko „Hugo Hegarty”, jego adres i numer telefonu. \* Będzie mu miło, gdy wspomnisz o mnie. Byłem jego dobrym klientem.

\* Otrzymałam wiele kondolencji w ciągu ostatnich kilku tygodni.

\* Chętnie przeczytam, co ludzie pisali o mnie.

\* Miłe rzeczy. *Gorzko się roześmiała.* Sue mówiła, że powinnam pomyśleć o pogrzebie. Sugerowała, że duża trumna nie będzie potrzebna. Wystarczy malutka, na portfel i komórkę.

Ryknęli śmiechem. Ocierała łzy, znów zaczęła płakać.

*Przynajmniej teraz możemy się z tego śmiać* powiedziała \* miło, prawda?  
Podszedł do niej i mocno ją przytulił.

\* No, to miłe.

\* Czemu Australia?

\* Jest wystarczająco daleko. Tam możemy być anonimowi. Poza tym mam tam kumpla, który wyemigrował kilka lat temu. Ufam mu. Zamieni znaczki z powrotem na forszę i o nic nie będzie pytał.

\* Kto to?

\* Chad Skeggs.

Zdumiona spojrzała na niego, jakby poraził ją piorun.

\* Ricky Skeggs?

\* No. Chodziłaś z nim, zanim związałaś się ze mną, zgadza się?

Kochanki nazywały go Ricky. Jakby to był specjalny przywilej. Chad był w interesach, dla kumpli, ale Ricky dla lasek. Zawsze był bardzo dokładny.

*To jedno imię* powiedziała \* dwie wersje imienia Richard.

\* Wszystko jedno.

\* Nie, nie wszystko jedno, Ronnie. A ja z nim nie chodziłam. Poszłam tylko na jedną randkę. Próbował mnie zgwałcić, pamiętasz? Mówiłam ci o tym.

\* A tak, gwałt to była jego wersja gry wstępnej.

\* Mówię poważnie. Na pewno ci o tym opowiadałam. Na początku lat dziewięćdziesiątych miał porsche. Pewnej nocy zabrał mnie...

\* Pamiętam to czarne porsche dziewięćset jedenaście targa. Wtedy handlowałam samochodami. Przerobiliśmy je po fatalnym wypadku. Zmontowaliśmy tył z przodem innego samochodu. Opchnęliśmy tanio. To auto było śmiertelną pułapką!

\* I sprzedałeś je kumplowi?

\* Wiedział o wszystkim, nie jeździł szybko. Kupił go dla szpanowania i podrywania takich głupich lasek jak ty.

\* Po kilku drinkach w barze sądziłam, że wybierzemy się coś zjeść. Tymczasem pojechaliśmy w kierunku Downs. Powiedział, że pozwala laskom, które przerznął, nazywać się Rickym. Rozpiął spodnie i kazał mi ssać. Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje.

\* Prymitywny gnojek.

\* Poprosiłam, żeby zawiózł mnie do domu. Próbował wyciągnąć mnie z auta.

Powiedział, że jestem niewdzięczną dziwką i że pokaże mi prawdziwe

bzykanko.

Nacisnęłam na klakson, nadjechał jakiś samochód. Ricky spanikował i odwiózł mnie do domu.

\* I?

\* Nie odzywał się, a potem ja wysiadłam. Czasem spotykałam go, ale zawsze z inną kobietą. Potem ktoś mi powiedział, że wyemigrował do Australii. Chyba nie tak dawno temu.

Ronnie milczał. Lorraine zgasła papierosa i zapaliła nowego. W końcu Ronnie się odezwał: \* On jest w porządku. Tej nocy musiał być wkurzony. Ma rozbuchane ego, zawsze takie miał. Z wiekiem złagodniał, zobaczysz.

Lorraine nic nie mówiła.

*Będzie dobrze, kochanie* zapewniał \* pracuję nad tym. Ilu ludzi ma szansę na zupełnie nowy początek?

\* Nowy początek? *zapytała*. Kim się staniemy, skoro będziemy uzależnieni od człowieka, który chciał mnie zgwałcić?

*A masz lepszy plan?* Ronnie stracił panowanie nad sobą. \* No powiedz, czy masz lepszy plan?

Lorraine patrzyła na niego. Był zupełnie inny niż przed wyjazdem do Nowego Jorku.

Nie tylko fizycznie. Oprócz brody i łysej głowy coś jeszcze się zmieniło. Był bardziej asertywny, stanowczy. Może z powodu długiej nieobecności postrzegala go zupełnie inaczej.

\* Nie \* odpowiedziała, ponieważ nie miała lepszego planu.



Październik 2007

Abby czekała na Hegarty'ego. Podmuchała i wypła troszkę herbaty. Potem zjadła herbatnika. Nie jadła śniadania i potrzebowała porcji cukru. Miała wrażenie, że Hegarty znikł na bardzo długo.

*Przepraszam* zagał uprzejmie. Ponownie usiadł za biurkiem i oglądał znaczki. \*

Są doskonałej jakości \* zauważył. \* Bardzo rzadkie. To porządna kolekcja.

\* Dziękuję \* Abby się uśmiechnęła.

\* Chce je pani sprzedać?

\* Tak.

\* Jaką cenę pani proponuje?

*Cena katalogowa wynosi ponad cztery miliony funtów* odparła.

\* Tak, zgadza się, ale obawiam się, że nikt nie zaoferuje pani ceny katalogowej.

Każdy kupujący będzie domagał się marży. Oczywiście im lepsze pochodzenie znaczków, tym mniejsza marża.

\* Czy kupi je pan *zapytała* za obniżoną cenę?

\* Proszę mi wyjaśnić, w jaki sposób weszła pani w posiadanie tych znaczków?

Powiedziała pani, że to spadek po ciotce?

\* Tak.

\* Mieszkała w Sydney w Australii? Pokiwała głową.

\* Jak się nazywała?

\* Anne Jennings.

\* Czy może mi pani pokazać jakiś dowód potwierdzający pani słowa?

\* O co panu chodzi?

\* Na przykład o testament pani krewnej. Może mogłaby pani poprosić prawnika ciotki, żeby wysłał stosowny faks do mnie? Nie wiem, która tam jest teraz godzina. \*

Spojrzał na zegarek. \* Środek nocy. Więc może to pani zrobić jutro rano.

\* Ile może pan zapłacić za tę kolekcję?

\* Mając uczciwy dowód otrzymania spadku, myślę że około dwóch i pół

milionu.

\* A bez tych dowodów? Teraz?

\* Obawiam się, że nie pracuję na takich warunkach. \* Uśmiechnął się krzywo.

\* Mówiono mi, że jest pan człowiekiem, do którego powinnam się zwrócić.

\* Proszę więcej nie przychodzić do mnie, ale dam ci pewną radę, młoda damo.

Podziel tę kolekcję na mniejsze części. Inaczej ludzie zaczną się tobą interesować. W

Brytanii jest tylko kilku poważnych kupców. Jedną część zanieś do jednego, drugą do innego. A może spróbujesz za granicą. Targuj się z nimi. Nie musisz akceptować ich cen, jeśli nie będą ci odpowiadać. Sprzedawaj dyskretnie, wtedy nikt cię nie namierzy.

Ostrożnie, z atencją pozbierał znaczki, włożył z powrotem do koszulek.

\* Czy może mi pan polecić jakichś angielskich handlarzy? \* zapytała cicho.

\* Niech pomyślę... *Recytował nazwiska, które Abby zapisywała, potem dodał po chwili zamyślenia: Oczywiście jest jeszcze ktoś.*

\* Kto?

\* Słyszałem, że Chad Skeggs pojawił się w mieście. \* Zmierzył ją spojrzeniem.

Spłonęła czerwienią. Poprosiła, by zamówił taksówkę. Hegarty odprowadził Abby do drzwi. W pomieszczeniu panował lodowaty chłód. Abby nie potrafiła zebrać myśli.

\* To nie tak, jak pan myśli \* skłamała.

\* W tym problem z Chadem Skeggsem *odparował* nigdy nic nie wiadomo.

Po jej wyjściu natychmiast zadzwonił do detektywa Bransona. Nie miał zbyt wielu nowych informacji poza nazwiskiem ciotki Anne Jennings. Jeśli chodzi o Chada Skeggsa, to niewiele mógł pomóc.

Październik 2007

Abby otworzyła tylne drzwi taksówki. Była głęboko poruszona rozmową z Hegartym.

Ponuro spojrzała na Road Dyke Avenue.

Samochód brytyjskiej telekomunikacji oraz małe, niebieskie auto nadal parkowały na jezdni. Otworzyła drzwi, usiadła i zamknęła je za sobą.

*Do Grand Hotelu?* zapytała kobieta taksówkarz.

Abby kiwnęła głową. Celowo podała niewłaściwy adres, gdy dzwoniła z biura Hegarty'ego. Nie chciała, by wiedział, gdzie się zatrzymała. Wsiądzie gdzieś po drodze.

Rozmyślała. Ricky nie dzwonił. Dave się mylił. Sprzedaż znaczków okazała się trudniejsza, niż zapewniał, i zajmie więcej czasu.

Zadzwoił jej telefon. Wyświetlił się numer matki. Była oszalała ze strachu, mocno przycisnęła telefon do ucha, nie chciała, by kobieta usłyszała rozmowę.

*Mamo!* zawołała.

Głos matki brzmiał, jakby była zdezorientowana i zestresowana. Miała krótki, przerywany oddech.

*Abby, proszę, muszę wziąć lekarstwa, zaczynam...* przerwała, oddychała nerwowo, potem westchnęła \* mieć kurcze. *Proszę...* Nie powinnaś była zabierać...

To nie w porządku. \* Abby usłyszała kolejne westchnienie.

Rozmowa się urwała.

Abby jak obłąkana wybierała numer, ale słyszała jedynie głos automatycznej sekretarki.

Trzęsa się, wpatrywała w telefon, ale Ricky nie oddzwaniał. Zamknęła oczy. Ile jeszcze matka może znieść? Na ile jeszcze może ją narazić?

Drań. Ty draniu.

Ricky był cholernie sprytny. Na razie wygrywał. Wiedział, że tak łatwo nie sprzeda znaczków i dlatego nadal je ma. Miała zamiar wcisnąć mu trochę forsy, mówiąc, że całą resztę ma Dave. Teraz jej plan wziął w łeb.

Nie wiedziała, co robić.

Czekała na dzwonek telefonu.

Musiała szybko wykonać jedną rzecz. Skrócić cierpienia matki, nawet za cenę umowy z Rickym i oddania mu wszystkiego, czego chciał. Albo przynajmniej w większości.

Przemknęła jej pewna myśl. Pochyliła się w stronę taksówkarki i zagadnęła.

\* Zna pani jakichś handlarzy znaczkami?

Na identyfikatorze przeczytała: „Sally Bidwell”.

\* Przy Queen’s Road, nazywa się Hawkes. Chyba jeden jest w Shoreham. Jestem pewna, że jest też w Lanes na Prince Albert Street \* tłumaczyła Sally Bidwell.

\* Proszę mnie zawieźć na Queen’s Road *poprosiła Abby* to chyba najbliższy adres.

\* Jest pani kolekcjonerem?

\* Tylko amatorem \* wyjaśniła Abby, odpięła pas.

\* Zawsze myślałam, że to męskie hobby.

*Tak* uprzejmie zgodziła się Abby.

Wyciągnęła kopertę, spojrzała do środka na zawartość, szukała mniej wartościowych znaczków. Wyciągnęła cztery z maltańskim krzyżem, które były warte około tysiąca funtów. Sięgnęła też po znaczki, które przedstawiały Sydney Harbour Bridge, każdy o wartości czterystu funtów. Ułożyła je osobno, a resztę starannie schowała pod swetrem.

Taksówka zatrzymała się przed domem Hawkes. Abby zapłaciła, wysiadła, starannie osłaniała znaczki pod płaszczem. Obok przejechał autobus. Wtedy przelotnie dostrzegła małe, niebieskie autko Peugeota czy Renault. Pasażer rozmawiał przez telefon. Samochód był bardzo podobny do tego, który widziała przed domem Hegarty’ego. A może już wpadła w paranoję?

W środku nie było żadnych klientów. Kobieta z długimi blond włosami siedziała przy stole i czytała lokalną prasę. Abby spodobał się niechlujny wygląd sklepu. Nie robił

dobrego wrażenia. W takim miejscu z pewnością nikt nie zapyta o pochodzenie znaczków.

*Mam znaczki, które chciałabym sprzedać* powiedziała.

\* Ma pani je przy sobie?

Abby wyciągnęła znaczki. Kobieta rzuciła na nie okiem.

\* Ładne *powiedziała przyjaznym tonem*. Dawno nie widziałam tych z Sydney Harbour. Proszę pozwolić mi sprawdzić kilka rzeczy. Czy mogę zabrać je na zaplecze?

\* Dobrze.

Kobieta zabrała znaczki i usiadła przy biurku, oglądała je przez ogromne szkło, wręcz płytę powiększającą. Abby obserwowała ją przez otwarte drzwi.

Zerknęła na pierwszą stronę gazety „Argus” i przeczytała tytuł: „DRUGA ZAMORDOWANA KOBIETA MA ZWIĄZEK Z OFIARĄ Z 11 WRZEŚNIA”.

Zobaczyła zdjęcia umieszczone poniżej i zamarła.

Na mniejszym przedstawiona była piękna, ale wyzywająca blondyna pod trzydziestkę. Kusząco wpatrywała się w obiektyw, jakby chciała rznąć się z gościem, który robił jej zdjęcie. Pod spodem był podpis „Joanna Wilson”. Na większej fotografii była również atrakcyjna blondyna, ale z kręconymi włosami i nieco starsza.

Miała miły uśmiech. Emanowała bogactwem. Widać było, że jest forsiasta, ale brakuje jej klasy. Przeczytała: „Lorraine Wilson”.

Między nimi było zdjęcie mężczyzny, od którego Abby nie potrafiła oderwać oczu.

Całkowicie się zafiksowała. Patrzyła na jego twarz i podpis „Ronald Wilson”. Potem na twarz i znów na podpis.

Przeczytała początek artykułu:

„Pięć tygodni temu znaleziono ciało 42\*letniej kobiety w bagażniku samochodu w rzece na obrzeżach Geelong niedaleko Melbourne w Australii. Została zidentyfikowana jako Lorraine Wilson, wdowa po Ronaldzie Wilsonie, biznesmenie z Brighton, który jako jeden z 67 brytyjskich obywateli zginął podczas ataków na WTC”.

Szybko przeczytała jeszcze raz. Czuła, jakby ktoś zgasił w niej nadzieję. Czytała dalej: „W zeszłym tygodniu robotnicy pracujący przy budowie nowego osiedla w centrum Brighton znaleźli w niespławnym kanale szczątki szkieletu Joanny Wilson (29). Była pierwszą żoną Wilsona. Dziś rano tę informację dla gazety „Argus” potwierdziła detektyw Elizabeth Mantle.

Policja w Sussex pragnie rozwiązać zagadkę związaną ze śmiercią Lorraine Wilson.

Dowody śledztwa wskazują na fakt, że utopiono ją w rzece Barwon dwa lata temu.

Nasza gazeta informowała w listopadzie 2002 roku, że Lorraine Wilson popełniła samobójstwo, skacząc z promu Newhaven\*Dieppe, choć biuro koronera nie potwierdziło oficjalnie faktu jej śmierci.

Detektyw Mantle zapowiedziała, że policja wznawia śledztwo w sprawie fałszywego samobójstwa”.

Abby patrzyła na fotografię. Najczęściej jej wzrok spoczywał na mężczyźnie. Czuła, że podłoga usuwa się jej spod nóg. Zrobiła kilka kroków w lewo, o mało co się nie przewróciła. Chwyciła się stołu. Miała wrażenie, że świat wiruje wokół niej.

*Dobrze się pani czuje? Halo?* zapytał jakiś głos znikąd. Świetnie uczesana kobieta stała w drzwiach. Przeszła obok Abby, jakby obsługiwała karuzelę w lunaparku.

*Może pani usiądzie?* zasugerowała.

Karuzela trochę zwalniała. Abby trzęsła się i pociła jednocześnie.

*W porządku szepnęła; wpatrywała się w gazetę.*

*Niezła historia.* Kobieta wskazała ruchem głowy artykuł. Potem dodała ze smutkiem: \* Też handlował znaczkami, znałam go.

\* Ach.

Abby uporczywie wpatrywała się w zdjęcie. Ledwo słyszała kobietę, która oferowała jej dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt za znaczki. Wzięła gotówkę w banknotach pięćdziesięciofuntowych i wepchnęła je do kieszeni.

Październik 2007

Abby szła jak ogłuszona. Dzwonił jej telefon, a ona nie miała dość sił, by go odebrać.

*Tak, słucham?* rzuciła w końcu.

Dzwonił Ricky. Prawie go nie słyszała ze względu na głośny ruch na ulicy.

*Poczekaj* poprosiła. Schroniła się pod daszkiem. \* *Przepraszam, co mówiłeś?*

\* *Martwię się o twoją mamę.*

Nie mogła odpowiedzieć od razu. Musiała przełknąć łzy. Uspokoić oddech.

*Proszę westchnęła* \* *powiedz mi, gdzie ona jest, Ricky, albo przywieź ją do mnie.*

\* *Ona potrzebuje lekarstw, Abby.*

\* *Przywiozę je, tylko powiedz, gdzie jest.*

\* *To nie takie proste.*

Autobus zatrzymał się w korku, tuż obok niej. Ryk silnika powodował, że nic nie słyszała ani nie mogła mówić. Biegając w deszczu, skryła się pod inną markizą sklepową. Nie spodobał się jej zwrot „To nie takie proste”.

Nagle w panice pomyślała, że jej matka nie żyje. Skurcz ją zabił, a Ricky dopiero teraz zadzwonił... Nie powstrzymała łez. Przeżyła szok, czytając artykuł, a teraz jeszcze to. Grunt osuwał się jej spod nóg.

\* *Jak się czuje? Proszę, powiedz mi, że z nią wszystko dobrze.*

\* *Nie, nie jest dobrze.*

\* *Ale żyje?*

\* *Jeszcze tak. Ricky się rozłączył.*

*Nie!* płakała. \* *Proszę, nie!*

Stała przed drzwiami sklepu. Nie przejmowała się, czy ktoś ją obserwuje. Deszcz i płacz prawie ją oślepiły. Ale nie tak bardzo, by nie dostrzegła brązowego samochodu, który zbliżał się powoli.

Dwóch mężczyzn siedziało w środku, pasażer rozmawiał przez telefon. Jeden był

łysy, a drugi obcięty na jeża. Byli wojskowymi, a może policjantami?

Patrzyli na nią w ten sam sposób, jak mężczyźni z niebieskiego samochodu, gdy wchodziła do sklepu Hawkes. Ukrywając się, wyostrzyła spostrzegawczość. Czuła, że coś jest nie w porządku z tymi samochodami.

W każdym siedział pasażer, który mówił przez telefon. Patrzyli na nią, gdy przejeżdżali obok.

Czy Hugo Hegarty zadzwonił na policję? Czy była obserwowana?

Obydwa samochody przepychały się w korkach w południowej części miasta. Czy były jeszcze jakieś inne? W północnej części? A może ktoś śledził ją pieszo?

Na ślepo rozglądała się dookoła. Potem sprintem pobiegła na północ. Skręciła w lewo, w uliczkę obok śmierzących kubłów. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła wąską drogę pomiędzy domami. Zerknęła przez ramię, ale nie widziała nikogo, więc wbiegła między domy. Powoli przestawało padać. Myślała intensywnie. Znała tę okolicę jak własną kieszeń. W poprzednim wcieleniu mieszkała niedaleko Seven Dials.

Biegła. Co jakiś czas sprawdzała, czy ma pakunek i pieniądze. Oglądała się za siebie.

Przyśpieszyła, gdy znalazła się na trzypasmowej alei wśród szeregowców. Kilkoro ludzi spacerowało, więc mogli ją zauważyć. Bieg i padający deszcz sprawiły, że zaczęła myśleć jaśniej.

Abby dotarła na wzgórze, skręciła w prawo, gnała obok kolejnego szeregu domów i znalazła się na stacji. Stała w cieniu, obserwowała samochody, potem pobiegła do Buckingham Road za stacją. Potem znów biegła w dół, przecięła kolejną główną ulicę, New England Hill, i znowu do góry. Przedzierała się przez labirynt ulic z szeregowcami i gąszcz reklam agentów nieruchomości.

Dopadła ją kolka, więc zatrzymała się na chwilę. Musiała iść, uspokoić oddech, strasznie się pociła. Deszcz przestał padać. Wiał wiatr, który oziębiał twarz.

Teraz oceniała sytuację bardziej trzeźwo. Jakby artykuł w gazecie zresetował jej zapchany twardy dysk. Celowo trzymała się bocznych uliczek. Nieustannie sprawdzała, czy nie jedzie za nią brązowy albo niebieski samochód z dwoma mężczyznami. Nic szczególnego nie widziała.

Czy Ricky czytał „Argusa”? Czy ten artykuł ukazał się też w innych gazetach? Z

pewnością go czytał. Gdziekolwiek był, miał dostęp do mediów.



Przystanąła obok kiosku i przejrzała inne gazety. W żadnej nie znalazła podobnego artykułu. Kupiła „Argusa” i długo przyglądała się fotografii na pierwszej stronie.

Była kompletnie zdezorientowana.

Jak wryta stała na ulicy. Jeszcze raz przeczytała całą historię. W ten sposób poznała luki z przeszłości Dave’a. Zrozumiała chwile ciszy, wymijające odpowiedzi, zmiany tematu, gdy wracała do niewygodnych pytań. Przypomniała sobie, jak Ricky ją pytał

o przeszłość Dave’a.

Ile on wiedział na jego temat?

Zrobiła kilka kroków i usiadła na mokrych schodach, schowała twarz w dłoniach.

Nigdy nie bała się tak bardzo jak teraz. Obawiała się nie tylko o matkę, ale o całą przyszłość.

„Życie jest grą”, powtarzał Dave. Przypominał jej. Ta sytuacja zaczynała być grą.

Życia nie obchodzą ofiary, Abby. W życiu liczą się zwycięzcy i pokonani.

Oczy zaszyły jej mgłą. W uszach i sercu dźwięczał żaloszny głos matki. Wybrała jej numer, ale Ricky nie odebrał.

Ricky, proszę, zadzwoń. Ubijemy interes.

Chwilę później wstała, szła wzdłuż torów kolejowych trasy Londyn\*Brighton.

Doszła do kasy biletowej stacji Preston Park. To była mała, podmiejska stacja, gdzie panował ruch w godzinach szczytu, ale przez resztę dnia było pusto. Jeśli policja ją śledziła, widziała niedaleko Brighton Station, to pewnie tam będą jej oczekiwać. Mało prawdopodobne, że wybiorą się tutaj.

Życie jest grą.

Czytała rozkład jazdy. Usiłowała ustalić dojazd do Eastbourne, omijając stację Brighton, a potem na lotnisko Gatwick. Nowy plan powoli się krystalizował.

Zabrzączał telefon. Miała nadzieję, że to wiadomość od Ricky’ego, ale się pomyliła.

Przeczytała:

„Milczenie jest złotem? X”.

Nie odpowiedziała na jego ostatnią wiadomość, więc teraz napisała:

„Problemy. x”.

Po jakimś czasie, gdy wsiadała do pociągu, otrzymała następującą wiadomość: „Miłość jest jak rzeka, która znajduje nowe ujścia, gdy natrafi na przeszkody”.

Zajęła miejsce, żaden cytat nie przychodził jej do głowy, więc odpisała tylko: „x”.

Ponuro patrzyła na kredowe skały, gdy pociąg ruszył ze stacji. Ogarnął ją porażający strach.

Październik 2007

We wnętrzu hotelu Marriott panowała chłodna aura spokoju, jak zauważył Grace, odchodząc od recepcji. Poza tym czuć było wokół atmosferę świeżości. Lampki na stolikach wyglądały jak odwrócone kieliszki do martini. Na czarnych stołach stały wazony, z których wyrastały wytworne i doskonałe kwiaty, jakby były zaprojektowane, a nie wyhodowane.

Trudno było uwierzyć, że to miejsce 11 września było całkowicie zniszczone.

Dawało poczucie stabilności, niezniszczalności, które zawsze było i będzie.

Przeszedł obok grupy elegancko ubranych biznesmenów, którzy poważnie rozmawiali. Pat Lynch czekał na niego na środku holu. Odbiegał strojem od innych.

Miał zieloną kamizelkę kuloodporną, czarną koszulkę, dżinsy i wysokie buty. Grace dostrzegł wybrzuszenie w miejscu, gdzie z pewnością miał broń. Machał ręką.

\* Gotowy? Dennis zaparkował na zewnątrz. Możemy ruszać.

Poszli w kierunku obrotowych drzwi. Po wyjściu z hotelu świat zmienił się gwałtownie. Na zewnątrz panował dżdżysty październikowy poranek. Ruch drogowy powoli przemieszczał się kilkoma pasami jezdni. Wyszedł wprost na betoniarkę.

Elegancki portier z mało eleganckim plastikowym okryciem na służbowej czapce otwierał drzwi żółtej taksówki trzem japońskim biznesmenom.

Gdy szli do samochodu, Dennis wskazał na ogromną przestrzeń nieba. Z jednej strony była otoczona kilkoma drapaczami chmur, z drugiej gęstą zabudową centrum Nowego Jorku. Para albo dym wydobywał się z niskiego, zielonego budynku, który wyglądał jak kanał erupcyjny. Przed nimi rozciągał się prowizorycznie wyglądający most.

\* Widzisz tę przestrzeń, kolego? \* Pat wskazał w górę. Grace kiwnął głową.

\* Tu stały wieże *zerknął na zegarek* pół godziny wcześniej jedenastego września patrzyłbyś na WTC. Nie widziałbyś nieba, tylko te piękne wieże.

Stanął na rogu ulicy i wycelował ręką w kierunku szerniałego kolosa, który z prawej strony przypominał wieżowiec. Jego boki zasłaniały ogromne płachty ciemnego materiału, jak gigantyczne, czarne żaluzje.

\* Mówiłem ci o budynku Deutsche Bank, gdzie niedawno jeszcze znaleziono ciała?

To tutaj. W zeszłym roku w sierpniu zginęło tu dwóch strażaków. Obydwaj byli tutaj we wrześniu i przeżyli. A zmarli w tym miejscu sześć lat później.

\* Bardzo przygnębiające *powiedział Roy* ironia losu.

\* Straszna ironia. Czasem myślę, że jakieś fatum ciąży nad tym miejscem.

Dotarli do samochodu. Brązowy van firmy wysyłkowej UPS usiłował zaparkować tuż przed nimi. Dennis, który siedział za kierownicą, wesoło pomachał w stronę Grace'a.

\* Witam. Co słyhać? \* Potem spojrział na samochód UPS, który już drugi raz usiłował wjechać na krawężnik, niebezpiecznie blisko skrzynki pocztowej, i jechał

dalej. \* Hej, proszę pani, jedzie pani samochodem, nie wołami.

Auto było coraz bliżej skrzynki pocztowej.

*Cholera, paniusiu!* krzyknął Dennis. \* Uważaj na skrzynkę! Zniszczenie skrzynki pocztowej to przestępstwo federalne!

\* Sprawdzamy handlujących znaczkami? \* Pat chciał wrócić do meritum.

\* Mam kolejnych sześciu na liście.

*Jeśli się nam nic nie uda, poszerzymy poszukiwania* powiedział Pat. \* Dennis i ja zajmujemy się tym.

\* Dzięki, panowie.

\* Nie ma sprawy.

Jechali obok Ground Zero. Grace patrzył na stalowe ogrodzenie, betonowe barierki, prowizoryczne pomieszczenia i biura, dźwigi, rzędy wysokich słupów oświetleniowych. Mijali rozległy teren, prawie nie do ogarnięcia. Miał w pamięci wspomnienia dwóch mężczyzn, którzy opisali to miejsce jako „wnętrza bestii”.

Teraz była to bardzo milcząca bestia. Nie czuł tego hałasu, który zawsze tu panował.

Mimo prac budowlanych miejsce to emanowało pietyzmem i ciszą.

\* Wiesz co, myślałem o tej babce z Australii? Tej z rzeki. \* Pat znowu skierował się w stronę Grace'a.

\* Masz jakiś pomysł?

\* Pewnie. Było gorąco, tak? Babka wskoczyła do rzeki, bo nie wiedziała, że na dnie jest samochód z otwartym bagażnikiem. Zanurkowała wprost do bagażnika i złamała kręgosłup. Pod wpływem uderzenia kłapa się zamknęła. Cała historia!

\* Rozumie się samo przez się! \* Dennis wyszczerzył się.

\* No właśnie *dorzucił Pat* bułka z masłem.

*Chcesz, żebyśmy rozwiązali tę sprawę za ciebie, przyślij nam tylko akta* powiedział Dennis.

Grace nie zwracał uwagi na ich przekomarzanie się. Rozmyślał o informacjach, które podał mu Glenn Branson w rozmowie telefonicznej, zanim wyszedł z hotelu.

Powiedział mu, że Hawkes zapłaciła dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt funtów Katherine Jennings za kilka znaczków, ponieważ Hegarty odmówił współpracy. Po wyjściu ze sklepu policjanci stracili ją z oczu.

Czyżby zorientowała się, że jest śledzona? \* zastanawiał się Grace.

Nieprawdopodobne, jego zespół był znakomity. Choć wszystko się może zdarzyć.

Kolejna myśl, która przyszła mu do głowy, była związana z samochodem wypożyczonym przez Chada Skeggsa. Nie wróciła do domu w tym czasie, gdy stał

tam ten samochód. Czyżby uciekała przed Chadem Skeggsem?

Hawkes powiedziała Glennowi, że Katherine Jennings była przestraszona i zdenerwowana. Jutro sprawdzą w Melbourne, czy ktoś dzwonił do Anne Jennings, która niedawno zmarła, oraz czy rzeczywiście miała tak znaczny majątek.

Zdaje się, że instynkt Kevina Spinelli nie zawiódł w przypadku Katherine Jennings.

Dennis gwałtownie zahamował. Roy wyjrzał przez okno, zastanawiał się, gdzie przyjechali. Właśnie przechodził mężczyzna o wschodniej urodzie w stroju szefa kuchni i w bejsbolówce odwróconej do tyłu. Zatrzymali się w wąskiej uliczce, po której obu stronach stały domy z czerwonawobrazowego piaskowca z rzędami jaskrawych markiz nad sklepami. Jedna z nich głosiła: „Abe Miller i Spółka \*

znaczk/monety”.

Dennis zatrzymał się tuż przy zakazie postoju. Wyciągnął olbrzymi karton z niechlujnie napisanym hasłem „Policja” i położył na kierownicy.

Cała trójka udała się do sklepu.

Przytulne wnętrze przypominało dawne kluby dla dżentelmenów. Ściany wyłożono drewnianymi, błyszczącymi panelami. Znajdowały się tam dwa skórzane fotele oraz puszysty dywan. Unosił się zapach świeżo wypolerowanych mebli. Potwierdzeniem, że znaleźli się we właściwym miejscu, były drogocenne znaczki w szklanej gablotce i pod oszkloną ladą.

Gdy weszli, zza ukrytych w boazerii drzwi wyszedł uśmiechnięty mężczyzna około pięćdziesiątki. Miał stosowny do miejsca, w którym pracował, trzyczęściowy garnitur i paskowany krawat. Był prawie łyśy, z wyjątkiem grzywki przystrzyżonej na wzór mnichów, która wyglądała dość komicznie. Patrząc na niego, trudno było określić, gdzie kończy się jego potrójny podbródek, a zaczyna szyja.

*Witam panów* powitał ich uprzejmie wysokim głosem. Grace spodziewał się, że usłyszy taki właśnie tembr \* *jestem Abe Miller. W czym mogę dzisiaj panom pomóc?*

Dennis i Pat pokazali swoje odznaki, przedstawili Roya Grace'a. Abe Miller pozostał

niewzruszenie układowy, nie okazał rozczarowania, mimo że nie byli potencjalnymi nabywcami.

Według Grace'a Miller był zbyt stary i niedołączy, by zajmować się delikatnymi i cennymi znaczkami lub monetami. Pokazał mu trzy zdjęcia Ronniego Wilsona.

Podeksycytowany zauważył, że Miller go rozpoznał. Kilka razy spoglądał na fotografię.

\* *Uważa się, że był w Nowym Jorku jedenastego września* \*  
podpowiedział Grace.

\* *Widziałem go potaknął zamyślony Miller* niech sobie przypomnę \*  
podniósł

palec \* *jestem pewien, że widziałem tego człowieka. A wiecie czemu?* \*  
Kolejno patrzył na policjantów.

\* *Nie.* \* Grace potrząsnął głową.

\* *Ponieważ był pierwszą osobą po atakach na WTC, która do mnie przyszła.*

*Nazywa się Ronald Wilson* powiedział Grace. \* *Ronald albo Ronnie.*

\* *Nie kojarzę tego nazwiska. Ale sprawdzę na zapleczu. Proszę dać mi dwie minuty.*

Zniknął za tajemniczymi drzwiami. Gdy wrócił, trzymał staroświecką

kartotekę, w której notatki sporządzone były atramentem.

*To tutaj powiedział, położył księgę i czytał środa, dwunastego września dwa tysiące pierwszego roku. Ponownie spojrzął na całą trójkę. Kupiłem od niego cztery znaczki, wszystkie w doskonałym stanie. Uśmiechnął się radośnie. Za każdy zapłaciłem dwa tysiące dolarów. Zrobiłem dobry interes. Spojrzął do notatek.*

\* Kilka tygodni później sprzedałem je z zyskiem. Nie powinien był ich sprzedawać.

Cóż, wtedy wszyscy myśleliśmy, że nastąpi koniec świata.

Abe Miller zmarszczył brwi.

\* Powiedział pan, że nazywa się Ronald Wilson?

*Tak* odpowiedział Grace.

\* Nie, proszę pana. To nie jest jego nazwisko. Mnie podał inne. Mam zapisane: David Nelson. Tak, to był David Nelson.

\* Czy podał swój adres albo telefon? \* zapytał Grace.

\* Nie, proszę pana, nie podał.

Natychmiast po wyjściu Grace zadzwonił do Glenna Bransona. Nakazał, by Norman Potting i Nick Nicholl priorytetowo zajęli się sprawdzeniem, czy David Nelson wyjeżdżał do Australii w 2001 roku.

Był zadowolony ze spotkania. Jedna rzecz go niepokoiła. Czy Ronnie Wilson nadal używał tego nazwiska i czy w ogóle wyjeżdżał do Australii? Może przybrał inne?

Godzinę później przyjechali do Zakładu Medycyny Sądowej. Zadzwonił

rozgorączkowany Glenn Branson.

\* Nowe fakty!

\* Mów.

\* Wcześniej mówiłem, że zgubiliśmy Katherine Jennings, pamiętasz? Wymknęła się nam. Mamy ją. Godzinę temu wkroczyła na posterunek przy John Street.

\* Co? Czemu? \* Informacje były elektryzujące.

\* Mówi, że jej matka została porwana. Drobna, chora staruszka. Facet grozi, że ją zabije.

\* Rozmawiałeś z nią?

\* Nie, ktoś z ich kryminalnego. Dowiedział się, że oskarżonym o porwanie facetem jest nikt inny tylko Chad Skeggs.

\* O cholera!

\* Myślałem, że się ucieszysz?

\* I co teraz?

\* Posłałem Bellę i Linde Buckley z policji sądowej, żeby ją przywiozły.

Zobaczę się z nią zaraz po przyjeździe.

\* Zadzwoń do mnie.

\* Kiedy wracasz?

\* O szóstej, czyli o jedenastej w nocy twojego czasu. Głos Bransona nagle się zmienił.

\* Stary, chyba będę musiał zacumować u ciebie dzisiaj. Ari jest wściekła. Wczoraj wróciłem po północy.

\* Powiedz jej, że jesteś policjantem, a nie cholerną niańką.

\* Ty jej powiedz. Mam cię z nią połączyć?

*Klucz jest tam, gdzie zawsze powiedział Grace pośpiesznie.*



Październik 2007

Telefon Abby milczał. Czuła, jakby straciła kontakt ze światem. Minęły prawie trzy godziny od ostatniego połączenia z Rickym.

Ponuro patrzyła przez okno. Ścisnęła plastikową torbę, do której wrzuciła wszystkie lekarstwa matki, jakie znalazła w łazience i sypialni. Powiedziała Doris, że umieściła matkę w domu opieki ze względu na stan jej zdrowia. Obiecała, że zadzwoni z informacją o nowym adresie i poda numer telefonu. Doris było przykro, że straciła sąsiadkę. Dodała, że matka to szczęściara, ponieważ ma taką kochaną, opiekuńczą córkę.

Co za ironia, pomyślała Abby.

Rozpogadzało się. Duże chmury szybko płynęły, jakby się im gdzieś śpieszyło.

Zapowiadało się miłe, wietrzne, jesienne popołudnie. W taki dzień jak ten kiedyś chodziła na samotne spacerunki wzdłuż wybrzeża przy klifach w kierunku Rottingdean, małej wioski niedaleko Brighton.

Jej matka też lubiła spacerować. Czasem wybierali się całą rodziną w niedzielne popołudnia na wycieczki. Uwielbiała przyplływ, fale wyskakujące na falochron.

Wtedy prysznic był zapewniony.

W dzieciństwie była szczęśliwa. Był to okres, zanim zaczęła poznawać domy, w których pracował jej ojciec. Zanim zobaczyła ludzi, którzy są inni i żyją innym życiem.

Czy to był punkt zwrotny w jej życiu?

Gdy pociąg dojeżdżał z powrotem do Brighton, podziwiała łagodne wzgórze Downs na horyzoncie. Tam mieszkali jej przyjaciele, którzy nie wiedzieli, że przyjechała.

Bardziej niż kiedykolwiek chciała ich zobaczyć. Otworzyć przed nimi serce. Oni nie byli zaangażowani w tę historię, więc mogliby jej coś sensownego doradzić.

Obawiała się jednak, że na takie spotkanie było już za późno.

Przyjaciele byli częścią jej życia, a nie grą. Niestety czasem trzeba odłożyć stare powiązania do lamusa, choćby wymagało to największych poświęceń.

Chciało się jej płakać. Bolał ją żołądek. Nic nie jadła oprócz herbatnika w domu Hegarty'ego. Colę wypila na stacji Gatwick. Miała zbyt ściśnięty żołądek, by jeść.

Proszę, zadzwoń.

Mijali wioskę Hassocks. Potem wjechali w tunel Clayton. Wsłuchiwała się w stukot kół. Patrzyła na swoje blade, przerażone odbicie w szybie.

Za tunelem, po prawej stronie, rozpościerały się zielone wzgórza Mili, a po lewej biegła droga do Londynu. Z konsternacją zauważyła, że nie odebrała połączenia.

Cholera.

Nie było numeru.

Za chwilę telefon odezwał się ponownie, dzwonił Ricky.

\* Strasznie się martwię o twoją matkę, Abby. Obawiam się, że długo nie pociągnie.

\* Ricky, proszę, pozwól mi z nią pomówić!

*Nie sądzę, żeby była w stanie rozmawiać po chwili milczenia* zawyrokował

Ricky.

*Gdzie jesteś?* zapytała Abby, mimo że ogromnie się bała. \* Przyjadę do ciebie, spotkam się gdziekolwiek, dam ci wszystko, co chcesz.

\* Dobra, Abby, zgoda. Spotkamy się jutro.

*Jutro?!* wrzasnęła. \* Nie ma mowy, do cholery! Spotkamy się teraz.

Proszę...

muszę zawieźć ją do szpitala.

\* Spotkamy się, kiedy mi pasuje. Wystarczająco już napsułaś mi krwi.

Poczuj, jak to jest.

\* Taka staruszka nie może psuć ci krwi, Ricky. Na miłość boską. Przecież to tylko starsza pani, która nie zrobiła ci nic złego. Weź mnie i puść ją.

Pociąg zwalniał, gdyż wjeżdżał na stację Preston Park. Postanowiła, że wysiądzie.

\* Mam ją, a nie ciebie. To pech!

\* Zamienimy się miejscami.

\* Bardzo zabawne.

\* Proszę, pozwól mi ją zobaczyć, Ricky.

\* Jutro!

*Nie! Nie! Proszę, dzisiaj. Mama może nie dożyć jutra* zaczynała

histeryzować.

\* Byłoby fatalnie, no nie? Umierać ze świadomością, że córka jest złodziejką.

\* Wielki Boże, jesteś bezdusznym gnojem!

*Będzie ci potrzebny samochód* powiedział Ricky, który zignorował ostatnią uwagę \* wysłałem na twój adres kluczyki od forda. Przesyłka dojdzie jutro rano.

\* Ma nałożoną blokadę \* powiedziała.

\* To musisz wypożyczyć inny wóz.

\* Gdzie się spotkamy?

\* Zadzwoń rano. Samochód wypożycz wieczorem. Oczywiście masz znaczki, tak?

\* Spotkajmy się teraz, proszę... Wyłączył się. Pociąg szarpnął i zatrzymał się.

Abby wysiadła. Niepewnie szła do wyjścia. Jedną ręką kurczowo trzymała torebkę i kopertę z folią bąbelkową, a drugą poręcz, zanim wysiadła na peron. Był kwadrans po szesnastej.

Muszę to wszystko jakoś ogarnąć, pomyślała. Jezu, ale jak?

Zbierało się jej na wymioty. Po wyjściu ze stacji skierowała się w stronę postoju taksówek. Z przerażeniem skonstatowała, że nie ma żadnych. Zaniepokojona patrzyła na zegarek. Zadzwoiła do jednej z firm. Potem do kolejnej, którą wcześniej już próbowała wywołać. Usłyszała męski głos: „SouthEast Philatelic, czym mogę służyć”. Tego adresu nie podał jej Hugo Hegarty.

\* Mówi Sarah Smith *powiedziała* właśnie jadę do państwa, tylko czekam na taksówkę. O której godzinie zamykacie?

*O siedemnastej trzydzieści* odpowiedział mężczyzna. Po koszmarnej kwadransie przyjechała taksówka.

Październik 2007

Sala przesłuchań na posterunku w Sussex składała się z dwóch części. W jednej, wielkości małego salonu, był stolik i krzesła, a druga, jeszcze mniejsza, służyła wyłącznie do obserwacji.

W większym pokoju usiedli Glenn Branson, Bella Moy i bardzo zdenerwowana Katherine Jennings. Były tam trzy krzesła obrotowe z czerwoną tapicerką oraz podręczny stolik. Branson i Abby pili kawę, Bella sączyła wodę.

W przeciwieństwie do większości ponurych pokojów przesłuchań ten był wyjątkowo jasny i miał widok z okna.

*Nie przeszkadza pani, że będziemy nagrywać rozmowę?* Glenn wskazał na kamery umieszczone na ścianach. \* To standardowa procedura.

Nie dodał, że czasem nagrania poddaje się analizie psychologicznej. Sporo można się dowiedzieć, czytając język ciała.

\* W porządku \* ledwie wyszeptała.

Branson przyglądał się jej. Mimo zmęczonej twarzy, głęboko zatroskanej jakimś bólem, była niezwykle piękną kobietą. Miała krótko przystrzyżone włosy. Z

pewnością były farbowane, ponieważ brwi były znacznie jaśniejsze. Była klasyczną piękną o wysoko umieszczonych kościach policzkowych, gładkim, pięknie wysklepionym czole, świetnie ukształtowanym, troszkę zadartym, nosie. Wiele nieszczęśnic wydałoby tysiące funtów na operację plastyczną, by mieć taki nos. Miał

rozeznanie, ponieważ Ari też chciała taki mieć, więc zdążył już osiąść niezłą wiedzę na ten temat. Najciekawszym elementem jej urody były szmaragdowe, hipnotyzujące, kocie oczy. Choć patrzyła ponuro, nadal błyszczały.

Znała się na modzie. Miała markowe dzinsy, dobre, choć wytarte, i zakurzone buty do kostek, koszulę i elegancką, długą marynarkę. Prezentowała klasę. Gdyby była wyższa o kilka centymetrów, mogłaby być modelką.

Branson chciał zacząć przesłuchanie, kiedy nagle młoda kobieta

podniosła rękę i złożyła oświadczenie.

\* Jennings to nie jest moje prawdziwe nazwisko, jak podałam. Muszę to wyjaśnić.

Nazywam się Abby Dawson.

*Dlaczego używa pani innego nazwiska?* delikatnie zapytała Bella.

*Posłuchajcie, moja matka umiera, jest w okropnym niebezpieczeństwie.*

*Czy moglibyśmy tylko... tylko...* podparła głowę dłońmi \* czy musicie pytać o wszystko? Nie możemy pomówić o tym później?

\* Teraz musimy ustalić wszystkie fakty, Abby *powiedziała Bella* więc o co chodzi z tym nazwiskiem?

*Ponieważ...* wzruszyła ramionami *wróciłam do Anglii, bo uciekłam przed chłopakiem. Sądziłam, że jeżeli będę używać innego nazwiska, tak łatwo mnie nie znajdzie.* Ponownie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z przymusem.

\*

Myliłam się.

\* Okej, Abby *wtrącił Glenn* proszę nam dokładnie opowiedzieć, co się stało.

Musimy wiedzieć wszystko o tobie, twojej matce i mężczyźnie, który ją porwał.

Abby wyciągnęła chusteczkę z zamszowej, brązowej torebki i wytarła oczy. Glenn zastanawiał się, jaka jest zawartość koperty, która leżała obok niej.

\* Odziedziczyłam kolekcję znaczków. Nie znałam się na znaczkach. Tak się złożyło, że chodziłam z Rickym Skeggsem, który siedzi w tym biznesie już od wielu lat.

\* Czy on ma związek z Chadem Skeggsem? \* zapytał Glenn.

\* To ta sama osoba.

*Chad i Ricky to zdrobnienia od imienia Richard* wyjaśniła Bella.

\* Nie wiedziałem.

\* Poprosiłam Ricky'ego, by ocenił wartość tych znaczków *kontynuowała Abby.*

Powiedział, że kilka jest cennych, ale większość to kopie rzadkich okazów, więc są bezwartościowe. Powiedział, że mógłby wyciągnąć kilka tysięcy dolarów australijskich za cały zestaw.

*Okej* powiedział Glenn. Jej rozbiegane oczy go zaniepokoiły. Postanowił coś sprawdzić. \* Wierzyła mu pani?

\* Nie miałam powodu, by mu nie wierzyć *odpowiedziała Abby* tylko że ja

nie jestem zbyt ufną osobą *znów wzruszyła ramionami* taki mam charakter. Więc zrobiłam zdjęcia wszystkich znaczków, zanim mu je oddałam. Później zauważyłam kilka drobnych różnic w ich wyglądzie. Pokłóciliśmy się. Powiedział, że mam urojenia.

*Sprytne posunięcie z pani strony* pochwaliła Bella. Zdenerwowana Abby zerkała na zegarek, piła kawę.

\* W każdym razie po naszej rozmowie przeczytałam artykuł w gazecie, którą znalazłam w mieszkaniu Ricky'ego, o aukcji znaczków w Londynie. Prezentowany był znaczek Plate 77 Penny Red za cenę miliona sześciuset funtów. Porównałam go z moim znaczkiem i wyglądały bardzo podobnie, więc Ricky go nie sprzedał. Ale wtedy spanikowałam, że Ricky będzie chciał opchnąć na lewo mój spadek.

\* Dlaczego pani tak pomyślała? \* zapytał Glenn.

\* Gdy mówił o znaczkach, zawsze był nieprzyjemny. Po prostu wiedziałam, że chce mnie oszukać. *Wzruszyła ramionami*. Kilka dni później przesadził z kokainą, która zwała go z nóg. Zresztą wciągał działkę codziennie. Usiadłam przy jego komputerze i znalazłam kilka e\*maili do handlarzy, w których oferował sprzedaż moich znaczków. Był bardzo sprytny. Podzielił je na pojedyncze sztuki, by nie tworzyły kolekcji.

*Rozmawiała z nim pani?* zapytał Glenn.

*Nie.* Pokręciła głową. \* Mówił, że znaczki można bardzo łatwo ukryć. Są znakomite do prania pieniędzy i bezpiecznie można je przewozić po całym świecie.

Nawet celnicy, gdyby znaleźli je u kogoś, to nie potrafiliby ocenić ich wartości.

Mówił, że najlepszym miejscem dla znaczków są książki w twardej oprawie, ponieważ będą je chronić przed zniszczeniem. Przeszukałam jego półki i znalazłam moją kolekcję.

Bella uśmiechnęła się. Branson obserwował jej mimikę. Było w niej coś nieszczerzego. Nie mówiła całej prawdy. Nie miał pojęcia, jakie fakty przemilczała.

Widać było, że jest sprytna.

\* I co było potem? \* zapytał.

\* Uciekłam. Wzięłam znaczki, spakowałam się i wymknęłam z domu, po czym poleciałam pierwszym lotem do Sydney. Bałam się. Myślałam, że polecą za mną. On jest klasycznym sadystą. Przez Los Angeles i Nowy Jork dotarłam do Anglii.

*Dlaczego nie zgłosiła się pani na policję w Melbourne i nie opowiedziała tej historii?* spytał Glenn.

*Zastraszył mnie* powiedziała \* on jest bardzo pomysłowy. Świetnie oszukuje.

Powiedział, że policję okręci sobie wokół palca. A potem wróci i mnie skrzywdzi.

Zresztą już raz tak zrobił.

Glenn i Bella wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Znali powiązania Chada Skeggsa z policją w Brighton.

\* Teraz potrzebuję prędko je spieniężyć *powiedziała*. Moja mama jest ciężko chora. Cierpi na stwardnienie rozsiane. Muszę mieć pieniądze, by opłacić jej pobyt w domu opieki.

Ostatnie zdanie zwróciło uwagę Glenna. Nie potrafił wskazać na coś konkretnego, ale wypowiedziała je w dziwny sposób. Jakby się usprawiedliwiała. Podejrzanie niepewnie bąknęła słowo „muszę”. Gdyby ktoś coś ci zabrał, byłoby oczywiste, że musisz to odebrać. Przecież masz do tego prawo.

*Sugeruje pani, że utrzymanie matki w domu opieki będzie kosztowało fortunę?*

zauważyła Bella.

*Ona ma dopiero sześćdziesiąt osiem lat, choć wygląda na starszą* wyjaśniła Abby.

*Może żyć jeszcze ze dwadzieścia lat. Nie wiem, ile to będzie kosztować. Wypiła łyk kawy. A jakie to ma znaczenie? Jeśli szybko czegoś nie zrobimy, ona umrze.*

Ukryła twarz w dłoniach i załkała.

Detektywi spojrzeli po sobie.

\* Czy spotkała pani kiedyś Davida Nelsona?

\* Davida Nelsona? *Zmarszczyła brwi, wytarła oczy, potrząsnęła głową.*

*To nazwisko coś mi mówi. Zawahała się, ale potem dodała: Sądzę, że Ricky wspominał to nazwisko.*

Branson kiwnął głową. Wiedział, że Abby kłamie.

*Czy znaczki są teraz w Anglii?* zapytał.

\* Owszem.

\* Gdzie?

\* Bezpieczne.

Tak, teraz mówiła prawdę.





Październik 2007

Nick Nicholl chciał jedynie się wyspać. Jednakże miał problem. Była 8.30 rano, a słońce mocno świeciło. Siedział z tyłu policyjnego samochodu marki Holden i zmierzał z lotniska do centrum Melbourne. Jechali szeroką autostradą, która przypominała te amerykańskie, z tą różnicą, że kierowca, detektyw Troy Burg, siedział po prawej stronie.

Wiele znaków drogowych było podobnych do angielskich. Niektóre tylko miały inne kolory, ograniczenie prędkości zaś podawane było w kilometrach. Zaintrygowała go wmontowana w deskę rozdzielczą czarna skrzynka z mnóstwem błyszczących przycisków, zwłaszcza dotykowy ekran systemu nawigacyjnego. Wyglądała jak dziecięcy komputer w wersji dla dorosłych. Choć Liam był jeszcze malutki, Nick już rozglądał się za grami edukacyjnymi dla niego.

Tęsknił za nim i Julie. Wizja weekendu w Australii w towarzystwie cholernego Normana Pottinga napełniała go grozą.

Dobroduszny inspektor George Fletcher, który siedział z przodu, po wymianie grzeczności szybko przeszedł do sedna sprawy. Jego mało rozmowny kolega prowadził w milczeniu. Obydwaj mieli na sobie świeżo wyprasowane białe koszule, krawaty we wzorki i ciemne spodnie.

Potting miał na sobie garnitur, który wyglądał jak z demobilu. Gdy tylko wyszedł z samolotu, zapalił fajkę. W związku z tym w wozie roznosił się cuchnący odór stęchłego materiału, tytoniu i alkoholu. Mimo długiej podróży wydawał się jednak nadzwyczajnie rześki. Takiego usposobienia młody detektyw szczerze mu zazdrościł.

*Więc tak zaczął Fletcher \* nie mieliśmy za dużo czasu, ale rozpoczęliśmy szeroko zakrojone śledztwo. Najpierw intensywnie szukaliśmy Davida Nelsona wśród imigrantów, którzy przyjechali do Australii po jedenastym wrześniu dwa tysiące pierwszego roku. Jest jeden gość, który szczególnie pasuje do waszego opisu.*

Szóstego listopada dwa tysiące pierwszego roku David Nelson przyleciał do Sydney z Cape Town. Data urodzin pasuje do podanego opisu.

\* Podał adres? \* zapytał Norman Potting.

\* Przyjechał z australijskim paszportem i pięcioletnią wizą pobytową,

więc nie potrzebowaliśmy takiej informacji. Musimy jeszcze sprawdzić w archiwum, czy starał się o prawo jazdy i czy wypożyczał samochody na to nazwisko. Może też namierzemy jego adres.

\* Wobec tego może być gdziekolwiek?

\* Tak, Norman *odezwał się Nick Nicholl*. Wiemy też, że miał w Melbourne starego kumpla Chada Skeggsa. Może zaczepił się tutaj i nadal mieszka. Jeśli sądzicie, że zniknął i wylądował w innym kraju, trzeba by znaleźć jakiegoś wiarygodnego informatora.

*To cenna uwaga* zauważył Potting. Niechętnie przyznał rację koledze. Nie chciał, by ten chłopaczek przewyższył go przy innych.

*Sprawdzamy też, czy miał NIP* powiedział Troy Burg.

\* NIP?

\* Numer Identyfikacji Podatkowej, który jest potrzebny przy zatrudnieniu.

\* Legalnym zatrudnieniu? Burg uśmiechnął się gorzko.

\* Mamy jeszcze inny trop *powiedział George Fletcher*. Lorraine Wilson popełniła samobójstwo nocą we wtorek dziewiętnastego listopada dwa tysiące drugiego roku, zgadza się?

*Rzekomo* stwierdził Potting.

\* Cztery dni później, dwudziestego trzeciego listopada, Margaret Nelson przyjechała do Sydney. To może być nieistotna informacja, ale wiek się zgadza.

\* To nie jest popularne nazwisko \* *powiedział Nicholl*.

\* Nie jest *zgodził się Fletcher* ale nie jest też jakieś niespotykane.

*Powinniście zobaczyć nasze notatki, to sprawdźcie, czy wam się przydadzą* *powiedział Troy*.

*Jeśli są tam informacje na temat piwa i napoju tottie, mnie się przydadzą* zachichotał Potting \* jak je nazywacie: tinnies?

\* Masz na myśli dziewczęta czy piwo? \* Fletcher porozumiewawczo mrugnął.

Na horyzoncie widać było kilka drapaczy chmur.

\* Jutro będzie niespodzianka. George przyrządzi kolację. Jest geniuszem kulinarnym.

Powinien być kucharzem, nie gliną \* *ożywił się Burg*.

\* Ja nie umiem ugotować nawet jajka *pochwalił się Potting* nigdy nie umiałem.

*Na pewno chciałbyś wszystkiego spróbować* powiedział Fletcher. Nick Nicholl jęknął w duszy na samą myśl.

*Mamy program waszego pobytu* powiedział Fletcher. \* Jeśli chcecie z czegoś zrezygnować, to powiedzcie. Zabierzemy was nad rzekę Barwon, gdzie znaleziono ciało pani Wilson. Możecie też zobaczyć samochód, jest na policyjnym parkingu.

\* Jak nazywał się właściciel samochodu, w którym została znaleziona? \* zapytał

Nick Nicholl.

\* Numer rejestracyjny był fałszywy, numer seryjny przebity. Samochód nie dostarczy wielu informacji. Pomyślałem, że będziecie chcieli zobaczyć szczątki ciała pani Wilson, więc zabierzemy was do patologa.

*Brzmi nieźle* rozpływał się Potting \* ale wolałbym zacząć od Chada Skeggsa.

\* Właśnie jedziemy do niego \* wyjaśnił Burg.

\* Lubicie czerwone wino? *spytał Fletcher.* Australijski shiraz? Jest piątek, więc może chcielibyście zjeść lunch w naszym ulubionym miejscu?

Nick Nicholl niezmiernie pragnął napić się kawy, a nie jakiegokolwiek alkoholu.

*Sie wie* powiedział Potting.

*Wobec tego George zapozna was ze smakiem shiraz* rzucił Troy Burg.

*A ty nie?* zapytał Potting.

*W niedzielę* wyjaśnił Fletcher. \* Jutro Troy jest zajęty.

\* Zabiorę was nad rzekę w niedzielę *powiedział Troy* i pokażę, gdzie znaleziono auto.

*Nie możemy jutro?* Nicholl zaniepokoił się, nie chciał tracić cennego czasu.

*Zwykle w soboty jest zajęty* objaśnił Fletcher. \* Powiedz im, co robisz w soboty, Troy.

\* Gram na banjo na weselach \* po chwili milczenia wyznał zaczerwieniony australijski detektyw.

\* Żartujesz? \* spytał Potting.

\* Ma duże wzięcie \* dodał Fletcher.

\* Tak się relaksuję.

*A co grasz?* zainteresował się Potting. \* *Duelling Banjos* z filmu *Wybawienie!*

Widziałeś go w ogóle?

\* Mhm, widziałem.

\* Mam na myśli scenę, gdy któryś z wieśniaków przywiązał do drzewa i zgwałcił

jednego z mieszczuchów. Wtedy słycać muzykę graną na banjo.

Burg pokiwał głową.

\* Taki szlagier powinno się grać na ślubach, a nie marsza weselnego \*  
zawyrokował

Potting. \* Gdy mężczyzna się żeni, spotyka go taki koniec. Po ślubie żona wiąże go do drzewa i rżnie.

George Fletcher uśmiechnął się ze zrozumieniem.

*Wiecie, czemu kobiety są podobne do huraganu?* Potting czuł, że jest na fali.

Nie wiedzieli.

*Chyba to słycałem* zamamrotał Burg.

\* Gdy przychodzą, są mokre i rozszalałe, a gdy odchodzą, zabierają ci dom i samochód.

Nick Nicholl był nieszczęśliwy. Dowcip słycał w samolocie. Mijali domy, sklepy, tramwaj, który przejechał tuż przed nimi. Wjechali na most. Poniżej ukazała się rzeka Yarra, a potem minęli budynek o symetrycznym kształcie, który wyglądał jak galeria sztuki. Wreszcie dojechali do kipiącego energią centrum.

Troy Burg skręcił w lewo i zaparkował w wąskiej, ocienionej uliczce przed domem z szyldem „Sprzedaż alkoholu”. Nick Nicholl zauważył, że budynek był wykończony pięknym wykuszem, podobnie jak sklepy w antykwarycznej dzielnicy Brighton Lanes. Na wystawie sklepowej wyłożono stare znaczki i monety. Nad wejściem złoty napis wykonany staromodną czcionką głosił: „Chad Skeggs, aukcjoner, skup i sprzedaż krajowych i zagranicznych monet i znaczków”.

Po wejściu zabręczał dzwonek. Za oszkloną ladą pełną znaczków i monet stał

szczupły, opalony, młody mężczyzna. Miał tlenione włosy postawione na irokeza i monstrialny złoty kolczyk. Był ubrany w koszulkę z nadrukiem przedstawiającym deskę windsurfingową oraz wyblakłe džinsy. Przywitał się z nimi, jakby byli starymi kumplami.

George Fletcher pokazał mu swoją legitymację.

- \* Czy jest pan Chad Skeggs?
- \* Nie, kolego, Chad jak zwykle robi gdzieś interesy.

Norman Potting położył zdjęcie Ronniego Wilsona, obserwował oczy chłopaka.

Nigdy nie opanował techniki Grace'a w rozpoznawaniu kłamców, ale widać było, że chłopak coś wie.

- \* Widziałeś kiedyś tego człowieka? \* zapytał.
- \* Nie, kolego. \* Australijczyk dotknął nosa i tym się zdradził.
- \* Popatrz jeszcze raz. \* Potting wyciągnął kolejne dwa zdjęcia.
- \* Nie \* ponownie dotknął nosa, był jeszcze bardziej zakłopotany.
- \* A ja myślę, że widziałeś \* stanowczo oświadczył Potting.
- \* Jak się nazywasz? \* do rozmowy wkroczył George Fletcher.
- \* Skelter *usłyszał* Barry Skelter... \* Zawiesił głos, jakby nie był pewny.
- \* No dobra, Barry *Fletcher wskazał na Pottinga i Nicholla* ci dżentelmeni

są detektywami z Anglii, pomagają nam w śledztwie związanym z morderstwem.

Rozumiesz?

- \* Śledztwo w sprawie morderstwa? Kapuję.

\* Zatajanie informacji w sprawie morderstwa jest przestępstwem, Barry. Fachowo nazywa się utrudnianiem czynności operacyjnych. W śledztwie o morderstwo grozi za to kara minimum pięciu lat więzienia. Jeśli nie spodobasz się sędziemu, możesz dostać od dziesięciu do czternastu lat. Chcę tylko, żebyś miał jasność sytuacji.

Rozumiesz?

Skelter nagle zmienił zdanie.

- \* Mogę zobaczyć te zdjęcia jeszcze raz? Potting pokazał zdjęcia.

\* Nie mogę przysiąc, ale zdaje mi się, że to jeden z klientów pana Skeggsa. Teraz sobie przypomniałem.

*Czy nazwisko David Nelson jeszcze coś ci przypomni?* zasugerował Potting.

\* David Nelson? O tak, David Nelson! Oczywiście. Trochę zmienił się przez ostatnie lata, dlatego nie poznałem go od razu. Rozumiecie, o co mi chodzi?

\* Cały czas cię rozumieliśmy *skomentował Potting* a teraz zerknijmy do książki klientów. Myślę, że nas rozumiesz, no nie?

Po wyjściu Norman Potting odwrócił się do Georga Fletchera.

*Dziesięć do czternastu lat powiedział \* tak to u was jest?*

\* Cholera *powiedział Fletcher* nie wiem. Wymyśliłem to, ale się udało.  
Pierwszy raz, odkąd wylądował w Australii, Nick Nicholl się uśmiechnął.

Październik 2007

krajobraz zmienił się gwałtownie. Nicholl zobaczył błyszczące wody oceanu na horyzoncie. Po obu stronach drogi, którą jechali, stały bielone domy. Ten obrazek przypomniawszy mu pejzaż z jego ostatnich wojaży na Costa del Sol w Hiszpanii.

*Port Melbourne* wyjaśnił George Fletcher. \* W tym miejscu rzeka Yarra wpada do dzielnicy Hobsons Bay, gdzie są luksusowe nieruchomości. Mieszka tu bogata społeczność młodych bankierów, prawników, ludzi mediów i tym podobnych. Zanim założą rodzinę, kupują niezłe mieszkanie z widokiem na zatokę, a potem przenoszą się do czegoś bardziej komfortowego.

\* Jak ty \* Troy zażartował z kolegi.

\* Jak ja. Z tą różnicą, że nigdy nie udało mi się zrealizować nawet tego pierwszego kroku.

Zaparkowali przy kolejnym sklepie z alkoholem, weszli do eleganckiego bloku i George zadzwonił do dozorczy.

Drzwi zabręczały, więc weszli do środka, gdzie leżał kosztowny dywan i czuć było zimną bryzę klimatyzacji. Po dłuższej chwili pojawił się łysy trzydziestolatek ubrany w T\*shirt, luźne spodenki i plastikowe cracsy.

*W czym mogę pomóc?* zapytał.

*Chcielibyśmy porozmawiać z jednym z lokatorów, panem Nelsonem z mieszkania numer pięćdziesiąt dziewięć* wyjaśnił George, uprzednio się legitymując.

*Mieszkanie pięćdziesiąt dziewięć?* odezwał się wesoło. *Macie mnie* zabręczał pękiem kluczy \* właśnie tam szedłem. Kilku sąsiadów skarżyło się na nieprzyjemny zapach. Sądzą, że to z tego mieszkania. Nie widziałem pana Nelsona od kilku dni, nie odbiera również poczty.

Potting zmarszczył brwi. Doniesienia sąsiadów o wstrętnym zapachu zwykle nie oznaczały nic przyjemnego.

Windą pojechali na piąte piętro. Gdy wysiedli, poczuli jedynie zapach wykładziny.

Ale gdy zbliżyli się do mieszkania Wilsona, zapach zmienił się

diametralnie.

Norman Potting był przyzwyczajony do tego nieprzyjemnego zapachu. Nick Nicholl mniej. Mdły smród rozkładającego się ciała.

Dozorca rzucił detektywom wymowne, choć pełne nadziei spojrzenie, po czym otworzył drzwi. Smród był jeszcze większy. Nick Nicholl zatkał nos chusteczką.

W mieszkaniu było okropnie gorąco ze względu na wyłączoną klimatyzację. Nicholl rozglądał się dookoła. Podobał mu się mały pokój. Białe dywaniki na podłodze i ładne, drewniane meble. Nieoprawione akty wisiały na ścianie, niektóre przedstawiały kobiece biodra, inne były abstrakcyjne.

Odór gnijącego mięsa roznosił się w przedpokoju. Nick czuł się wyjątkowo źle.

Podązał za kolegami do dużej sypialni. Olbrzymie łóżko było w nieładzie. Pusta szklanka stała na stole. Budzik był wyłączony.

Weszli do kolejnego małego pomieszczenia, gdzie na biurku leżał dysk twardy, klawiatura, myszka. Komputera nie było. Kilka starych niedopałków pozostało w popielniczce. Z okna rozpościerał się widok na sąsiedni budynek. Na biurku wałało się też mnóstwo rachunków.

George Fletcher podniósł jeden z nich wydrukowany czerwonymi literami.

\* Energia elektryczna *stwierdził* ostateczne upomnienie wysłane kilka tygodni temu. Dlatego jest tu tak gorąco. Pewnie wyłączyli mu prąd.

*Miałem telefony od właścicieli na temat pana Nelsona* wtrącił dozorca. \*  
Zalega z opłatą.

\* Długo? \* spytał Burg.

\* Od kilku miesięcy.

Nick Nicholl wzrokiem szukał zdjęć rodzinnych, ale nie znalazł. Przeglądał regały, na których obok katalogów ze znaczkami stały tomiki poezji miłosnej i zbiory cytatów.

Kolejną częścią mieszkania była duża przestrzeń łącząca salon, jadalnię i balkon, na którym znajdował się zestaw do grillowania oraz leżaki. Przez okno widać było kort tenisowy sąsiada, a dalej zatokę. Nick mógł sobie mgliście wyobrazić przemysłowy rejon nabrzeża.

Wszedł za pozostałymi do sympatycznej, choć małej kuchni. Smród był coraz intensywniejszy. Słyszał bzyczenie much. Kubek z pleśnią w środku stał na ociekaczu. Zgniły owoc leżał w metalowym koszyku. Szeroka, ciemna



plama rozpościerała się przed elegancką, srebrną lodówką.

George Fletcher otworzył jej dolne drzwi. Wstrętna woń była porażająca. Patrzyli na rozkładające się kawały mięsa.

*Lunchu nie będzie, panowie* powiedział Fletcher.

*Chyba ktoś uprzedził pana Nelsona, że wpadniemy* zasugerował Troy Burg.

*Wyjechał na dobre.* Fletcher zamknął drzwi.

*Sądysz, że zwiął?* spytał Norman Potting.

*Nie sądzę, by szybko wrócił. Chyba nie poszedł pobiegać?* odparował Fletcher.

Październik 2007

kapitan dumnie poinformował pasażerów, że dzięki odpowiednim wiatrom samolot wylądował o dwadzieścia minut wcześniej. Grace znalazł się na Gatwick o 5.45.

Zawsze w czasie nocnych lotów upijał się wódką. Liczył, że alkohol zwali go z nóg.

Procenty działały, ale tylko przez jakiś czas. Potem odczuwał ból głowy. Niczym kania deszczu, pragnął wody. Na śniadanie nie miał w ogóle ochoty.

Jeśli szybko odbierze bagaż, to może zdąży pojechać do domu, wziąć prysznic i zmienić ubranie przed porannym spotkaniem. Niestety, szczęście go opuściło.

Samolot przyleciał wcześniej, ale opóźnienie taśmy transportującej zniwelowało jego radość. Dopiero o 6.40 odebrał bagaż i udał się na parking. Poranek był chłodny.

Zadzwoił do Glenna, by dowiedzieć się nowości.

*Roy, czy wybierasz się do domu?* jego kolega zaczął dość dziwnie.

\* Nie, prosto do roboty. Co nowego?

Branson najpierw zaczął od rewelacji Normana Pottinga z Sydney. Policja odkryła, że paszporty na nazwiska Davida i Margaret Nelson były fałszywe. Nelson uciekł z mieszkania. Potting i Nicholl sprawdzają sąsiadów i znajomych Nelsona w celu uzyskania informacji na jego temat.

Potem przeszedł do Katherine Jennings. Czekala na telefon od Chada Skeggsa, który miał podać czas i miejsce spotkania na wymianę znaczków za matkę. Wspomniał, że mają dwie jednostki, około dwudziestu ludzi jest gotowych do akcji.

\* Są uzbrojeni? \* zapytał Grace.

\* Nie ustaliliśmy, czy Skeggs jest uzbrojony *odpowiedział*. Jeśli tak, to ściągniemy pomoc.

*Dobrze się czujesz, stary?* zapytał Grace. \* Jesteś jakiś zestresowany. Chodzi o Ari?

\* Właściwie to martwię się o ciebie \* powiedział Branson po chwili.

\* O mnie?

\* Dokładnie o twój dom. Grace poczuł ukłucie.

\* O co ci chodzi? Spałeś tam w nocy?

\* Tak, dzięki, jestem wdzięczny.

Grace zastanawiał się, czy Branson nie rozbił czegoś. Może jego ukochaną, zabytkową szafę grającą, przy której zawsze coś majstrował?

\* Pewnie to nic takiego, ale gdy wychodziłem rano, przysięgłbym, że widziałem Joan Major, która jechała obok twojego domu. Było ciemno, więc mogłem się pomylić.

\* Joan Major?

\* No, jeździ takim małym fiatem mpv. Wyróżnia się, bo niewiele jest takich samochodów.

Glenn Branson miał niezwykły dar obserwacji. Jeśli ją widział, to z pewnością była ona. Grace wsiadł do autobusu, telefon trzymał przy uchu. Zaintrygowała go wizyta archeologa sądowego na jego ulicy, ale żaden powód nie przychodził mu do głowy.

\* Może odwoziła dziecko do szkoły?

\* Wątpię. Mieszka w Burges Hill. Może chciała ci coś zostawić?

\* Bez sensu.

\* Może zdarzyło się coś ważnego i chciała się z tobą zobaczyć.

\* O której wyszedłeś?

\* Około szóstej czterdzieści pięć.

\* Nie przychodzi się na pogawędki o takiej porze. W pilnych sprawach się dzwoni.

\* No tak, ty zadzwoniłbyś.

Grace powiedział, że będzie w biurze na spotkaniu. Jednakże gdy wsiadł do samochodu, postanowił najpierw zajrzeć do domu, zwłaszcza że nie było korków na drodze. Coś nie dawało mu spokoju.

Październik 2007

Abby była już na nogach od dwóch godzin, gdy o ósmej zadzwonił telefon. W nocy nie spała. Leżała jedynie na twardym materacu i małej poduszce, wsłuchując się w ruch drogowy na nabrzeżu, rozlegające się co jakiś czas wycie syren, ryki pijanych chuliganów i trzaski zamykanych drzwi samochodowych.

Szaleńczo niepokoiła się o matkę. Czy wytrzymała kolejną noc bez lekarstw? Czy stres i skurcze nie spowodowały ataku serca albo udaru? Czuła się kompletnie bezradna. Ricky wiedział o tym, więc będzie się nią bawił.

Ale Ricky wiedział również, jak potrafi być przebiegła. Znał ją z czasów Melbourne, no i miał świadomość obecnych wydarzeń. Nie pójdzie mu z nią tak łatwo. Za grosz jej nie ufał.

Wszystkie domysły spełzły na niczym. Nic nie potrafiła przewidzieć. Postanowiła tylko, że jedna rzecz nie będzie podlegała żadnym negocjacom. Musi zobaczyć matkę żywą.

Czy mogła ufać policji? Co się stanie, gdy ich zobaczy i spanikuje?

Czy mogła mu wierzyć, że odbierze matkę? Jeśli w ogóle żyła? Okazał się totalnym gnojem. Porwał chorą staruszkę i zadawał jej cierpienia.

Na wyświetlaczu zobaczyła znany jej napis „Numer zastrzeżony”.

Odebrała telefon.

Październik 2007

Grace patrzył z niedowierzaniem. Na własnym podjeździe rozpoznał zaparkowany samochód Joan Major. Ale drugie auto zdumiało go jeszcze bardziej. Był to jeden z vanów wydziału śledczego policji w Sussex.

Za samochodem Joan Major stał jasnobrazowy ford mondeo. Po tablicy rejestracyjnej rozpoznał samochód firmowy wydziału kryminalnego. Co tu się dzieje, do cholery?

Wysiadł z samochodu i pobiegł do domu. Wszędzie panowała cisza.

*Halo? Czy ktoś tu jest?* krzyknął. Bez odpowiedzi.

Wszedł do kuchni, żeby sprawdzić, czy automatyczny dozownik pożywienia działał

odpowiednio. Złota rybka Marlon miała się bardzo dobrze.

Wtedy zobaczył kolejny obrazek trudny do zrozumienia.

Joan Major i dwóch oficerów, których znał, spacerowali po jego trawniku. Pani archeolog trzymała wielkie jak wiosło urządzenie elektryczne. Na szyi miała zawieszony jakiś wyświetlacz. Jeden ze śledczych, który szedł po jej prawej stronie, w skupieniu przyglądał się ekranowi. Drugi zaś zapisywał coś w notesie.

Oszołomiony Grace wybiegł tylnymi drzwiami.

\* Hej! Przepraszam! Joan, na miłość boską, co ty robisz?

\* Och, dzień dobry, Grace. Mhm, przypuszczałam, że wiesz, że tu będziemy. \*

Zażenowana zaczerwieniła się.

\* Nie miałem pojęcia, że was zastanę. Może mi wyjaśnisz, o co chodzi? Wskazał na ich sprzęt. Co tu się, u diabła, dzieje?

\* To GPR.

\* GPR?

\* Radar do penetracji gruntu.

\* A co ty robisz?

Zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Grace czuł się jak w złym śnie, zwłaszcza że kątem oka dostrzegł policjanta, którego szczególnie nie lubił. Ogólnie biorąc, w swojej karierze Grace dogadywał się ze wszystkimi dość

dobrze. Ale jeśli ktoś go drażnił, potrafił się nieźle wkurzyć. Tak jak w tej chwili, gdy popatrzył na wchodzącego przez bramę młodego detektywa Alfonsa Zafferone'a. Grace naprawdę go nie cierpiał.

Zafferone był ponurym, ale przystojnym dwudziestolatkiem o latynoskiej urodzie i błyszczących, rozwichrzonych włosach. Miał na sobie modny płaszcz nieprzemakalny i jasnobrązowy garnitur. Choć był dobrym detektywem, nie przykładał się do pracy. Kiedyś Grace ostro skrytykował go w swoim raporcie.

Teraz Zafferone maszerował przez jego trawnik. W ręce trzymał papier, którego treść Grace znał doskonale.

*Dzień dobry, nadinspektorze. Miło pana widzieć* lizusowsko zaczął Zafferone.

\* Powiesz mi, co jest grane?

\* Nakaz rewizji. \* Zafferone pomachał papierem.

\* Ogrodu?

*Domu też.* A potem dodał z ociąganiem: \* Proszę pana. Grace zadrzał z wściekłości. To się nie dzieje na serio. Nie ma mowy.

\* Czy to jakiś żart? Kto, do cholery, wam go dał?

*Nadinspektor Pewe.* Zafferone uśmiechnął się, jakby nadszedł jego moment chwały.

Październik 2007

Cassian Pewe siedział w swoim biurze i czytał policyjne akta, gdy raptem drzwi gwałtownie się otworzyły i do pokoju wpadł Roy Grace z wściekłym wyrazem twarzy. Zatrzasnął drzwi za sobą, oparł ręce na biurku Pewe'a i gniewnie spojrzał mu w oczy. Pewe cofnął się na krześle, a ręce złożył w obronnym geście.

Roy wybąkał \* dzień dobry.

\* Jak śmiałeś? *Grace wrzeszczał.* Jak, do cholery, śmiałeś? Poczekaleś, aż wyjadę, i zrobiłeś to. Obrzydliwie mnie upokorzyłeś przed sąsiadami i chłopakami z firmy.

\* Roy, uspokój się, pozwól, że wyjaśnię...

\* Uspokój się? Kurwa, nie zamierzam się uspokoić. Łeb ci urwę i zrobię z niego wieszak.

\* Grozisz mi?

\* Tak, ty gnido. Leć do Alison Vosper, żeby ci nosek wytarła, a ty się przytul do jej łona i wypłacznij albo zrób, co tam jeszcze macie w repertuarze.

\* Sądziłem, że gdy będziesz nieobecny, rewizja przebiegnie mniej boleśnie.

\* Dopadnę cię, Pewe. Szczerze tego pożałujesz.

\* Nie podoba mi się twój ton, Roy.

\* A mnie się nie podobają skradający się policjanci z nakazem przeszukania. Masz ich odwołać, do cholery.

*Przykro mi.* Pewe zrobił się bardziej odważny, pewien już, że Grace nie zamierza go uderzyć. \* Jestem po rozmowie z rodzicami twojej żony. Nie podobają mi się niektóre wątki śledztwa związanego z jej zniknięciem. Uważam, że nie wypełniono wszystkich procedur w śledztwie.

Uśmiechnął się. Grace nigdy nie myślał, że może kogoś tak bardzo znienawidzić jak Cassiana Pewe'a w tej chwili.

\* Serio? A co takiego nowego powiedzieli ci jej rodzice?

\* Ojciec miał wiele do powiedzenia.

\* Wspominał ci, że jego ojciec był w RAFie podczas wojny?

*Tak, wspominał* powiedział Pewe.

\* Opowiadał o nalotach bombowych, w których brał udział?

\* Ze szczegółami. To było fascynujące. Niezwykła postać. Należał do Dywizjonu Bombowego „Dambusters”, który zrzucał bomby skaczące w Niemczech.

Nadzwyczajny człowiek.

*Ojciec Sandy jest nadzwyczajny* potwierdził Grace \* ponieważ kompletnie buja w obłokach. Jego tata nigdy nie był w sześćset siedemnastym Dywizjonie Bombowym „Dambusters”. Był w lotnictwie mechanikiem, a nie strzelcem. Nie brał udziału w ani jednym ataku.

Pewo milczał, czuł się nieswojo. Grace wyszedł z jego biura i pomaszerował wprost do szefa. Stanął przed biurkiem Skerritta i poczekał, aż ten skończy rozmowę telefoniczną.

\* Jack, muszę z tobą pogadać.

*Jak było w Nowym Jorku?* zapytał Skerritt kurtuazyjnie i usadził go w fotelu.

*W porządku* powiedział Grace. \* Mam dobre wiadomości. Przygotuję raport, ale dosłownie przed chwilą wróciłem.

\* Operacja Dingo idzie do przodu. Zdaje się, że dzisiaj szykuje się jakaś większa akcja.

\* Tak, ale...

\* Czy detektyw Mantle przejmuje dowodzenie, czy zajmiesz się tym osobiście?

*Dzisiaj wszyscy będą potrzebni* powiedział Grace. \* Liczba ludzi uzależniona jest od miejsca spotkania.

\* O czym chcesz pogadać? \* przypomniał Skerritt.

\* Nazywa się Pewe.

*Ja go tutaj nie ściągnąłem.* Skerritt popatrzył porozumiewawczo.

*Wiem* Grace wiedział o niechęci Skerritta do Pewe’a, prawie takiej samej jak jego.

\* W czym problem?

Grace przedstawił sytuację. Gdy skończył, Skerritt patrzył z niedowierzaniem.

\* Nie wierzę, że zrobił coś takiego za twoimi plecami. W aktualnych śledztwach czasem to pomaga. Ale w tym wypadku nie podoba mi się sposób załatwienia sprawy. Kiedy Sandy zaginęła?

\* Ponad dziewięć lat temu.



\* Idziesz na poranną odprawę? \* zapytał i popatrzył na zegarek.

\* Tak.

\* Powiem ci, co zrobię. Pomówię z nim. Przyjdź do mnie po spotkaniu.

Grace podziękował i wyszedł. Zamykając drzwi, widział, że Skerritt sięga po słuchawkę telefonu.

Październik 2007

O9.15 Abby jechała czarną terenową hondą, którą wypożyczyła wczoraj. Podążała na wzgórza w kierunku Sussex House, ściśle według instrukcji Ricky'ego. Czowała, że zaraz zwymiotuje, dygotała.

Oddychała rytmicznie, brała głębokie oddechy. Starła się uspokoić i nie dopuścić do kolejnego ataku paniki. Po symptomach wiedziała, że niewiele brakuje, by się kompletnie rozpadła.

Jak na ironię depozyt Southern Security był zaledwie o kilometr od miejsca spotkania. Zadzwoiła do Glenna Bransona i rozdygotanym głosem oświadczyła, że zbliża się do bramy. Zapewnił ją, że będą w pobliżu.

Zatrzymała samochód przed potężną, stalową bramą i zaciągnęła hamulec ręczny. Na siedzeniu pasażera spoczywała torba z lekarstwami matki oraz koperta. Walizkę zostawiła w hotelu.

Glenn Branson również się pojawił i przyjacielsko pomachał ręką. Gdy brama się otworzyła wystarczająco szeroko, wjechała do środka. Branson dał jej znak, by zaparkowała przed kubłami na śmieci, potem przytrzymał otwartą bramę.

*Dobrze się czujesz?* zapytał.

Pokręciła posępnie głową. Opiekuńczo objął ją ramieniem.

*Wszystko będzie dobrze* zapewnił. \* *Myślę, że jesteś silną kobietą.*

*Bezpiecznie wrócisz ze swoją matką. Dostaniemy też twoje znaczki. Myśli, że wybrał*

*odpowiednie miejsce, ale się pomylił. Jest głupi.*

\* *Czemu?*

*Przepuścił ją przez bramę.*

\* *Wybrał to miejsce, żeby cię przestraszyć. Taki ma cel, a nie powinien. Jesteś już wystarczająco wystraszona. Nie przemyślał tego dobrze. Ja bym tak nie postąpił.*

\* *A jeśli zobaczy kogoś z pańskich ludzi?* \* *spytała, starając się dotrzymać mu kroku.*

\* *Nie zobaczy, dopóki się nie ujawnimy. Wkroczymy dopiero wtedy, gdy będziesz w niebezpieczeństwie.*

*On ją zabije* powiedziała. \* *Jest mściwy. Jeśli coś pójdzie źle, tak robi.*

\* Rozumiem. Masz znaczki? Pokazała mu kopertę.  
*Nie chciałaś ich zostawić na posterunku policji.* Uśmiechnął się. \* Mądra decyzja.

Październik 2007

Gdy Grace wkroczył do biura Skerritta po odprawie, Cassian Pewe już tam był.

Mężczyźni nawet nie spojrzeli na siebie.

Szef skinął ręką, by Grace usiadł.

*Roy, Cassian przyznał, że popełnił błąd. Policjanci zostali odwołani zaczął*

Skerritt.

Grace popatrzył na Pewe'a, który uparcie wpatrywał się w blat stołu jak skarcone dziecko. Wyglądał, jakby niczego nie żałował.

\* Wyjaśnił mi, że chciał ci tylko pomóc.

\* Pomóc mi?

\* Uważa, że plotkuje się i snuje aluzje na temat zniknięcia Sandy. Tak sugerowałeś, Cassian?

\* Tak, mhm, proszę pana \* Pewe mruknął niechętnie.

\* Nigdy nie słyszałem żadnych insynuacji \* powiedział Grace.

\* Z całym szacunkiem, Roy *wtrącił Pewe* ale sporo ludzi uważa, że śledztwo przeprowadzono w pośpiechu, a ty zbyt wcześnie je zakończyłeś. Chcą znać twoje powody.

\* Na przykład kto?

\* Nie mogę tego ujawnić, to byłoby nie w porządku. Moim zdaniem trzeba powrócić do sprawy, posłużyć się nowoczesnymi technikami, byś mógł całkowicie oczyścić się z zarzutów.

Grace musiał ugryźć się w język. Był oszołomiony jego bezczelnością, ale teraz nie mógł obrzucić go wyzwiskami. Musiał wyjść w ciągu kilku minut, by pojechać w miejsce spotkania Abby Dawson, które miało się odbyć o 10.30.

\* Jack, może wrócimy do tego później? Nie podoba mi się to wszystko, ale teraz muszę wyjść.

\* Właśnie, pomyślałem, że dobrze byłoby, gdyby Cassian pojechał razem z tobą. Z

pewnością będzie nieocenionym członkiem twojego zespołu podczas tej akcji \*

zwrócił się do Pewe'a. \* Nie mylę się, prawda? Jesteś doświadczonym negocjatorem przy odbijaniu zakładników?

\* Tak, jestem.

Grace nie wierzył w to, co usłyszał. Boże, dopomóż wszystkim biednym zakładnikom, jeżeli będzie negocjował Pewe, pomyślał.

\* Rozumiem \* ograniczył się jedynie do takiego stwierdzenia.

\* Uważam, że dobrze będzie, gdy przyjrzy się, jak pracujemy w Sussex. Jasno widać, że inaczej realizujemy pewne sprawy niż stołeczna. Może to będzie dobra lekcja dla ciebie, Cassian, by zobaczyć jednego z naszych najlepszych policjantów w akcji. \* Popatrzył na Grace'a w bardzo wymowny sposób.

Ale Roy nie miał ochoty się uśmiechać.

Październik 2007

Minęło sporo czasu, odkąd Abby była tu po raz ostatni. Wolniutko jechała przez zielone łąki i bezkresne ścierniska. Krajobraz wydawał się jej nienaturalnie jaskrawy, być może było to spowodowane ogromnym zdenerwowaniem. Niebo było jak sklepienie szaleńczej niebieskości, po której przemykały z rzadka chmury. Patrząc w górę, miała wrażenie, jakby patrzyła przez przyciemniane okulary.

Mocno trzymała kierownicę. Mimo że samochód był ciężki, bardzo odczuwała podmuchy wiatru. W gardle miała gulę, a w brzuchu czuła kamienie.

Na piersiach miała przymocowany mały mikrofon, który przeszkadzał jej przy każdym ruchu. Zastanawiała się, czy detektyw Branson albo któryś z jego kolegów słyszy jej głębokie oddechy.

Początkowo detektyw sugerował, że powinna mieć słuchawkę w uchu, żeby mogła dobrze słyszeć wskazówki, ale Abby wyjaśniła, że Ricky mógłby przechwycić sygnał, więc byłoby to zbyt ryzykowne. Mikrofon na piersiach też umożliwi podsłuch detektywom. Miała ich wezwać jedynie w chwili zagrożenia.

Abby zapomniała, jak się modli, ale teraz szeptała: \* Boże, spraw, żeby moja mama żyła. Proszę Cię, pomóż mi przez to przejść. Proszę Cię, nie opuszczaj mnie.

Stare alfa romeo pojawiło się niedaleko niej. W aucie siedziało dwóch mężczyzn, jeden, zdaje się, rozmawiał przez telefon. Skręciła ostro w lewo i pojechała za nimi.

Minęła hotel i ujście rzeki Seven Sisters. Alfa zahamowała, by przepuścić vana przejeżdżającego przez most, potem znów przyśpieszyła. Jechali na wzgórze.

Po kilku minutach alfa ponownie zwolniła i przy znaku informacyjnym skręciła w prawo.

Tablica informacyjna wskazywała drogę A259 prosto do centrum i w prawo w stronę plaży. Skręciła w prawo za alfą, która jechała okropnie wolno. Abby popatrzyła na zegarek i zegar w samochodzie. Zegar spóźniał

się o minutę, ale jej zegarek wskazywał dobry czas. Była 10.25, pozostało jej tylko pięć minut. Miała ochotę ich wyprzedzić, bała się, że się spóźni.

Zadzwonił jej telefon, wyświetlił się napis „Numer zastrzeżony”.

Odpowiedziała przez głośnik zamontowany przy zapalniczce w aucie, policjanci też mogli słyszeć rozmowę.

\* Słucham \* powiedziała.

\* Gdzie ty, kurwa, jesteś? Spóźniasz się.

*Już dojeżdżam, Ricky. Jeszcze nie ma dziesiątej trzydzieści a potem dodała nerwowo \* a może jest?*

\* Mówiłem ci, że jeśli nie zjawisz się do dziesiątej trzydzieści, twoja matka zginie.

\* Ricky, proszę cię, za chwilę tam będę.

\* Lepiej się, do cholery, pośpiesz.

Zobaczyła z ulgą, że alfa skręciła w lewo, zjechała na bok i stanęła. Choć nie chciała, ruszyła pełnym gazem.

Grace obserwował, jak honda przyśpieszyła, Cassian Pewe zaś uruchomił wewnętrzną linię.

\* Obiekt pierwszy właśnie odjechał. Jest trzy kilometry od celu.

\* Obiekt drugi nawiązał z nią kontakt. Przechodzimy do stanowiska czwartego \*

odparł współdowodzący policjant ze Scotland Yardu.

\* Przechodzimy do stanowiska czwartego *potwierdził Pewe, popatrzył na mapę wojskową rozłożoną na kolanach bez odbioru. Potem zwrócił się do Grace'a: Jedź, jak tylko zniknie z pola widzenia.*

Grace włączył silnik. Gdy honda zniknęła za wzniesieniem, ruszył.

*Roy, to prawda, co powiedział szef. Zrobiłem to, by cię chronić* powiedział Pewe, uprzednio sprawdziwszy, czy wyłączył głośnik.

*Przed czym? gorko zapytał Grace.*

\* Insynuacje cię zniszczą. Nie ma nic gorszego niż cień podejrzeń w firmie.

\* Gównno prawda.

\* Jeśli tak, to nie ma o czym mówić. Nie chcę się znowu kłócić.

\* Czyżby? Szczerze mówiąc, to nie wiem, co kombinujesz. Z jakiegoś powodu ubzdurałeś sobie, że zamordowałem żonę, zgadza się? Naprawdę sądzisz, że zakopałem ją w ogrodzie? Dlatego sprawdzałeś ogród? Szukałeś szczątków?

\* Użyłem georadaru, by dowieść, że jej tam nie ma. Żeby przeciąć spekulacje.

\* Nie wierzę ci, Cassian.



Październik 2007

Abby zmierzała w kierunku szczytu przylądka. Po prawej stronie rozpościerała się równina, gdzieniegdzie rosły krzaki. Był też gęsty zagajnik, który kończył się tuż nad klifowym urwiskiem, typowym dla Wysp Brytyjskich. Po lewej stronie rozciągał się widok na pola uprawne. W oddali widziała wijącą się asfaltową drogę. Wyglądała, jakby specjalnie dla niej została pomalowana.

Detektyw Branson powiedział wcześniej, że Ricky źle wybrał miejsce spotkania, ale nadal nie wiedziała dlaczego. Uważała, że to było sprytne posunięcie. Z tego miejsca mógł widzieć wszystko.

Na linii horyzontu pojawił się budynek, na którym majaczył szyld hotelu lub pubu.

Gdy podjechała bliżej, znalazła się obok szarego budynku z czerwonym dachem. Ów szyld głosił: „Beachy Head Hotel”.

Przyjeźdź dokładnie o 10.30 do parku Beachy Head Hotel i czekaj na moje wskazówki, taką informację zostawił jej Ricky.

Miejsce wyglądało na opuszczone. Na wiacie umieszczono znak z informacją: „Samarytanie zawsze ci pomogą”, a pod spodem dwa numery telefonów. Obok stał

pomarańczowożółty van z opuszczoną szybą. Nieco dalej furgonetka firmy telekomunikacyjnej. Dwóch mężczyzn w kaskach i kurtkach odbłaskowych naprawiało linię telegraficzną. Dwa mniejsze auta stały zaparkowane przy tylnym wejściu do hotelu. Abby doszła do wniosku, że pewnie należą do personelu.

Skręciła w lewo, zaparkowała na końcu placu, wyłączyła silnik. Po chwili zadzwonił telefon.

*Świetnie się spisałaś* powiedział Ricky. \* Malownicza przejażdżka, co nie?

\* Gdzie jesteś? *Rozglądała się we wszystkich kierunkach.* Gdzie jest moja mama?

\* Masz znaczki?

\* Mam.

- \* Matka rozkoszuje się widokiem.
- \* Chcę ją zobaczyć.
- \* A ja znaczki.
- \* Najpierw muszę wiedzieć, że mama żyje.

\* Podam jej telefon.

Po długiej chwili milczenia, którą wypełniał jedynie jęk wiatru, Abby usłyszała słaby i drżący głos mamy.

\* Mamo!

*Czy to ty, Abby?* mówiła jak duch. *Proszę, Abby, proszę.* Zaczęła płakać.

\*

Abby?

\* Idę po ciebie, mamo, kocham cię.

\* Muszę zażyć tabletki. Proszę cię, Abby, czemu nie pozwalasz mi ich zażyć?

Te słowa bardzo zabolą Abby. Wtedy znów odezwał się Ricky.

\* Włącz silnik, będę mówić ci, co masz robić. Włączyła.

\* Dodaj gazu, chcę słyszeć dźwięk silnika. Zrobiła, jak sobie życzyła.

Diesel głośno klekotał.

\* Teraz wyjedź z parku i skręć w prawo. Za niecałe sto metrów po lewej stronie zobaczysz drogę, skręć w nią.

Po wyjeździe z parku spostrzegła drogę, więc skręciła w lewo. Samochód podskakiwał na wyboistej powierzchni. Koła zapadały się w żwirze i błocie, a potem znów łapały przyczepność na trawie. Teraz zrozumiała, dlaczego chciał, by wypożyczyła terenówkę. Choć nie bardzo wiedziała, czemu musiał to być samochód z silnikiem wysokoprężnym. Jedynie oszczędność paliwa przychodziła jej do głowy.

Po prawej zauważyła znak ostrzegawczy: „Brzeg klifu”.

\* Widzisz krzewy i drzewa przed tobą?

W odległości ponad stu metrów widziała gęsty zagajnik i ostry brzeg klifu. Drzewa i krzewy przechyliły się pod wpływem wiatru.

\* Tak.

\* Stań.

Abby zatrzymała wóz.

\* Zaciągnij hamulec, ale nie wyłączaj silnika. Rozejrzyj się. Jesteśmy niedaleko.

Tylne koła mojego wozu są tuż nad urwiskiem. Jeśli zrobisz coś źle,

zwołnię ręczny.

Zrozumiałaś?

*Tak.* Gardło miała ściśnięte, z trudem wydobywała głos.

\* Nie dosłyszałem.

\* Powiedziała „tak”.

Słyszała jednostajny łoskot wiatru. Coś się poruszyło w zagajniku.

Najpierw pojawił

się Ricky w swojej czapeczce i wełnianej kurtce. Serce Abby podskoczyło, gdy zobaczyła matkę. Małeńka, krucha, dezorientowana postać wciąż ubrana w różowy szlafrok, który falował na wietrze. Siwe włosy też powiewały. Chwiała się, więc Ricky mocno trzymał ją pod rękę.

Abby patrzyła przez przednią szybę, płakała. Oddałaby wszystko, żeby móc teraz przytulić mamę.

A potem zabić Ricky’ego. Miała ochotę wcisnąć gaz i rozgnieść go na miazgę.

Ponownie zniknęli między drzewami. Szarpał matkę, a ta się potykała. Całkowicie zniknęli w zaroślach.

Abby z trudem się powstrzymywała, by nie wysiąść z auta i nie pobiec za nimi. Nie zrobiła tego. Była przekonana, że Ricky spełni swoją groźbę i zabije matkę. Pewnie nawet ucieszyłby się z tego powodu.

Miał wypaczony umysł, więc może bardziej zależało mu na tym niż na odzyskaniu znaczków?

Gdzie był detektyw Branson i jego ludzie? Muszą być gdzieś blisko, przecież ją zapewniał. Pewnie są dobrze ukryci, ponieważ nie widziała żywej duszy.

Miała nadzieję, że Ricky również.

Oni mieli podsłuch, słyszeli wszystkie jego słowa. Nie podjadą do zagajnika, żeby go zgarnąć. Nie mogą ryzykować, że zrzuci z klifu samochód.

Przecież chodzi tylko o kilka znaczków, cholera.

*Zadowolona?* Usłyszała ponownie głos Ricky’ego w telefonie.

\* Mogę z nią pomówić? Mam znaczki.

\* Posłuchaj mnie dobrze, bo powiem to tylko raz, zrozumiałaś?

\* Tak.

\* Nie zgasisz silnika, telefon położysz na siedzeniu, żebym go słyszał.

Wysiądziesz z samochodu i zostawisz drzwi szeroko otwarte. Weźmiesz

znaczkę i pójdziesz dwadzieścia kroków w moją stronę. Ja podejść do ciebie, zabiorę znaczkę, a potem odjadę twoim samochodem. Ty podejdziesz do vana, skąd będziesz mogła zabrać matkę. Ale musisz uważać. Kapujesz?

\* Tak.

\* Gdy będziesz szła do vana, dokładnie obejrzę znaczkę. Jeśli będą trefne, natychmiast staranuję wóz z twoją matką w środku. Jasne?

\* Tak, znaczkę będą ci się podobać.

\* To dobrze *powiedział* więc nie będzie kłopotów.

Nie chciała wykonywać żadnych podejrzanych ruchów, ale ostrożnie rozejrzała się dookoła. Widziała jedynie łąkę, w oddali ceglany budynek, który przypominał punkt obserwacyjny. Wokół niego było kilka ławek i krzaków, ale żadnego śladu człowieka.

Gdzie byli policjanci?

*Wysiądź z auta i rób, co ci każę* zarządził Ricky.

*Drzwi się zamykają!* krzyczała do słuchawki, bo wiatr był tak silny, że drzwi same się zatrzaśniały.

\* Zablokuj je czymś.

\* Czym?

\* Ty głupia kobieto, musi coś być w samochodzie. Jakaś książka, cokolwiek. Drzwi muszą być otwarte, obserwuję cię.

Otworzyła drzwi, z bocznej kieszeni wyjęła dokumenty wypożyczenia samochodu i pomachała nimi w górę. Wysiadła. Wiatr był tak mocny, że prawie ją przewrócił.

Drzwi trzasnęły. Szarpnęła, żeby je otworzyć, a potem zaklinowała plikiem papierów.

Chwyła kopertę.

Wiatr boleśnie smagał ją w twarz, bolały ją uszy, ubrania się rozwiewały. Ostrożnie odmierzała dwadzieścia kroków w stronę zagajnika. Rozglądała się, była przerażona, ale jednocześnie okropnie wściekła.

Nie widziała nikogo z wyjątkiem Ricky'ego, który szedł do niej zamasyście.

Chwył torbę i ponuro się uśmiechnął.

\* Cholera, w samą porę. \* Miał satysfakcję, chciwie wyrwał jej kopertę.

Wtedy Abby, z całą siłą i nagromadzonym jadem, kopnęła go w krocze. Kopniak był

tak solidny, że nawet ją zabolalo.

Październik 2007

Ricky poczuł powiew wiatru na twarzy. Oczy wyszły mu na wierzch. Skręcał się z bólu, Abby walnęła go w twarz najmocniej jak umiała. Przewrócił się. Jeszcze raz kopnęła go w czuły punkt, jednak zdążył chwycić jej prawą nogę, przekręcił i mimo bólu przyciągnął ją do siebie.

\* Ty pieprzona...

Przestał, gdy usłyszał ryk silników. Oboje usłyszeli. Ricky zobaczył, że beżowy van, podskakując na drodze, zbliża się w ich kierunku. Zza hotelu wyłoniło się sześciu policjantów w kamizelkach kuloodpornych.

Ricky zerwał się na równe nogi.

\* Ty dziwko! Mieliśmy umowę! \* wrzasnął chrapliwie.

\* Tak jak kiedyś ty z Dave'em? \* odkrzyknęła.

Ścisnął znaczki, podbiegł do hondy. Abby, nie zważając na ból stopy, biegła do zagajnika. Słyszała warkot silników, odwróciła się. Zobaczyła dwóch mężczyzn w beżowym vanie. Między drzewami zaś spostrzegła drugiego, białego vana.

Ricky był oślepiiony bólem i wściekłością. Wgramolił się do hondy, włączył bieg, zwolnił ręczny, zanim jeszcze zamknął drzwi. Ja ci jeszcze pokażę, dziwko.

Przyśpieszył i postanowił, że pojedzie wprost do zagajnika, nawet gdyby miał

również spaść z urwiska. Po prostu, by żałowała tego, co zrobiła.

Nagle oślepiły go jakieś światła. Zahamował, koła zaczęły buksować, a on przeklinał.

Szarpał kierownicą w prawo, chciał ominąć vana, który całkowicie zatarasował mu dojazd do celu. Gwałtownie skręcił hondą, która uderzyła w tylny zderzak vana, tak że odpadł. Ze zdumieniem zobaczył, że dwa małe samochody, które, jak sądził, należały do personelu hotelu, jechały wprost na niego. Miały włączone światła i syreny.

Docisnął pedał gazu, przez chwilę nie wiedział, co robić. Kręcił się i obracał. Jeden z samochodów zablokował mu wyjazd. Gwałtownie skręcił obok niego, spadł na stromy nasyp, przejechał przez rów i wpadł na

asfaltową drogę. Z konsternacją zauważył, że z prawej strony wyjechało auto zmierzające wprost na niego.

\* Kurwa, cholera!

Był mocno spanikowany, skręcił w lewo i nacisnął na gaz.

Jedynymi niezablokowanymi przez drzewa drzwiami w starym, zardzewiałym vanie były drzwi kierowcy. Zaniepokojona Abby otworzyła je. Była ostrożna ze względu na ustawienie samochodu. Zmarszczyła nos, kiedy poczuła cuchnący odór kału, tytoniu i niemytych ciał ludzkich.

*Mamo? Mamo?* zawołała.

Nikt nie odpowiadał. Była bliska paniki. Wspięła się na przednie siedzenie. Przez chwilę, gdy patrzyła na posępne wnętrze auta, myślała, że nie ma tam matki.

Widziała jedynie jakiś sprzęt elektroniczny, pościel i zapasowe koło. Van kołysał się na wietrze, w środku odczuwała drżenie przedmiotów. Nagle usłyszała słaby, nieśmiały głos.

\* Abby, czy to ty?

W tym momencie, bez cienia wątpliwości, były to najmiłsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszała w życiu.

\* Gdzie jesteś?

*Tutaj.* Głos matki pobrzmiwał nutą zdziwienia, jakby chciała powiedzieć: „a gdzie mam być?”.

Abby wyciągnęła szyję za tylne siedzenie, gdzie matka leżała zawinięta w dywan i tylko głowa jej wystawała. Wskoczyła do tyłu, van znowu rezonował, upadła na metalową podłogę i pocałowała wilgotny policzek matki.

\* Dobrze się czujesz, mamo? Mamo? Mam lekarstwa. Zawiozę cię do szpitala.

Abby dotknęła jej czoła. Było gorące i wilgotne.

\* Jesteś bezpieczna, nie ma go. Przyjechała policja. Zabieram cię do szpitala.

*Myślę, że twój ojciec tu był chwilę temu, dopiero co poszedł wyszeptać matce.*

Majaczyła z powodu gorączki i braku lekarstw.

*Bardzo cię kocham, mamo* powiedziała Abby i uśmiechnęła się przez łzy.

*Już dobrze* powiedziała matka. \* Przecież czuję się jak pączek w maśle.

Cassian Pewe ściszył telefon i odwrócił się do Grace'a. \* Obiekt drugi

jest w samochodzie obiektu pierwszego. Wraca. Możemy ją przechwycić, ale mamy towarzystwo z tyłu.

Grace włączył silnik. Obydwaj nie mieli zapiętych pasów. Była to powszechna praktyka podczas obserwacji. Wygodna, gdyż swobodnie można było wyskoczyć z samochodu w razie potrzeby. Jednakże słysząc raport, Grace postanowił je zapiąć.

Już sięgał, gdy Pewe powiedział:

\* Widzę go.

W odległości około czterdziestu metrów Grace zobaczył czarną hondę, która szybko zjeżdżała z krętego wzgórza. Słychać było pisk opon.

\* Widzimy obiekt drugi \* podał Pewe przez radio.

\* Najważniejsze jest bezpieczeństwo *informował dowodzący ze Scotland Yardu.*

Jeśli jest taka potrzeba, musisz włączyć swój samochód do akcji, Roy.

Pewe siedział przerażony. Grace skręcił alfą, ustawił się bokiem i zablokował wąską drogę. Tylko że to Pewe siedział od strony nadjeżdżającej terenówki. Jeśli auto nie zahamuje, on odczuje to uderzenie.

Ricky mocno zaciskał ręce na kierownicy. Opony piszczały, gdy zjeżdżał ostrym zakrętem w lewo. Nie mógł nigdzie uciec. Gdyby wypadł z drogi, znalazłby się na urwistym nasypie. Mimo wszystko szarpnął w prawo. Zobaczył kasztanową alfę, która stała w poprzek drogi. Mężczyzna o blond włosach gapił się wytrzeszczonymi oczami.

Nacisnął hamulec. Samochód zatrzymał się o kilka metrów od drzwi alfy. Włączył

bieg wsteczny. Słyszał wycie syren. W oddali widział dwa policyjne rangę rovery zjeżdżające ze wzgórza. Zrobił trzy razy nawrotkę, ostro dodał gazu i odjechał w przeciwnym kierunku. W lusterku widział, że alfa jechała za nim. Tuż za nią dwa rangę rovery. Zastanawiał się, co jest przed nim. Przecież za zagajnikiem było urwisko.

Przypomniał sobie o opuszczonej, bocznej drodze. Był pewny, że policja nie wpadnie na ten ślad, więc będzie bezpieczny. Ta suka nie powinna była nigdy, przenigdy z nim zadzierać.

Roy szybko dojechał do hondy, wręcz siedział jej na ogonie. Pewe meldował przez radio, że zbliżali się do Beachy Head Hotel.

Honda zaskoczyła ich i skręciła w prawo. Zjechała z drogi, pędząc przez łąkę oddzielającą ją od klifu. Grace skrzywił się, ponieważ zawieszenie jego ukochanej alfy zupełnie nie nadawało się do takiej jazdy. Słyszał i czuł

zgrzyt, gdy rura wydechowa uderzyła o ziemię i coś odpadło, ale był zbyt zajęty śledzeniem hondy, by się nad tym zastanawiać.

W akcji brało udział mnóstwo samochodów. Ciężarówka telekomunikacji blokowała drogę. Obok stał tłum policjantów. Między innymi dwóch na motorach.

\* Obiekt drugi zmierza w stronę zagajnika, gdzie stoi beżowy van. Przetnij mu drogę.

Obiekt pierwszy jest w vanie z matką \* usłyszeli przez radio.

*Roy, to tutaj. Jedzie w tamtą stronę.* Pewe pokazał ręką. Grace widział zagajnik, gdzie stał beżowy van.

Obiekt 2 przyśpieszał.

Grace zredukował bieg, nacisnął na gaz. Alfa poszła do przodu. Podobnie jak przed chwilą zaczęła zawieszaniem o jakąś nierówność terenu tak, że obaj mężczyźni uderzyli głowami w dach.

*Sorry* powiedział Grace ponuro. Zbliżał się do hondy.

Po swojej zewnętrznej stronie Grace zobaczył cienką balustradę na brzegu klifu.

Przelotnie rzucił okiem na obiekt 2, którym był mężczyzna z potężną brodą i w bejsbolówce. Po prawej stronie balustrada się kończyła, pozostawiając jedynie krzaki przed niestrzeżonym urwiskiem. Grace przebił się przez zarośla. Miał nadzieję, że krzaki nie kryją jakiejś pułapki, w którą oni niespodziewanie wpadną. Zwolnił, zastanawiał się, jak zmusić hondę do zmiany kierunku. Zagajnik i beżowy van gwałtownie zamajaczyły na horyzoncie.

Obiekt 2 chyba czytał w jego myślach, ponieważ bez ostrzeżenia skręcił w prawo i uderzył w stronę pasażera alfy. Pewe wrzasnął i alfa znalazła się niebezpiecznie blisko brzegu.

Zagajnik był coraz bliżej. Honda popchnęła ich znowu. Jeszcze raz uderzyła w tył

wozu policyjnego, a alfa szaleńczo podskoczyła na nierównym gruncie. Wtedy honda ponownie ich stuknęła. Byli coraz bliżej brzegu.

*Roy!* skomlał Pewe, trzymał się pasa i był przerażony.

To oni byli zablokowani. Grace przyśpieszył, ale honda również. W odległości mniejszej niż dwieście metrów jawił się zagajnik. Grace postanowił natychmiast przeciąć drogę hondzie. Był przed nią, ale zamiast nacisnąć pedał hamulca, zaciągnął



ręczny.

Efekt był natychmiastowy, bardzo dramatyczny, nie o taki mu chodziło.

Tył

samochodu szarpnął i auto ślizgało się bokiem. Honda uderzyła w tył alfy, która zaczęła się kręcić. Siła uderzenia sprawiła, że honda obróciła się w lewo i uderzyła w beżowego vana. Grace, niczym szmaciana lalka, bezładnie został wyrzucony w powietrze. Grzmotnął o ziemię i poczuł każdą kość w ciele. Kilka razy został

przekręcony, jakby katapultował się z jakiejś kapryśnej karuzeli. W końcu zatrzymał

się na mokrej trawie, twarzą do dołu i z ustami pełnymi błota.

Nie wiedział, czy żyje, czy jest martwy. Bębenki w uszach mu pękały. Przez chwilę odczuwał ciszę, jedynie wiatr skowyczał. Po chwili usłyszał okropny wrzask, ale nie umiał zlokalizować, skąd dobiega.

Mozolnie stanął na nogach i znów się przewrócił. Świat wokół niego wirował.

Powoli wstał, chwiał się na nogach, miał zawroty głowy, wzrokiem analizował

sytuację. Maskę hondy przechyloną pod dziwnym kątem była wpasowana w tył

beżowego vana. Kierowca hondy wydawał się oszołomiony. Usiłował wypchnąć drzwi, podczas gdy dwaj policjanci je otwierali. Spod vana unosił się dym. Pozostali policjanci biegli w stronę zdarzenia.

Wówczas znowu usłyszał krzyk. Gdzie, do diabła, był jego samochód? Nagle ogarnęła go porażająca groza. Nie! O Jezu, nie! Po raz kolejny usłyszał krzyk, dochodził z brzegu klifu. Zatoczył się nad

urwisko, ale natychmiast się cofnął. Całe życie cierpiał na lęk wysokości i najzwyczajniejsze spojrzenie w dół wymagało od niego ogromnego wysiłku.

\* Poooooooooooooooooooooooooooooocy!

Czuł okropny ból, ale mimo wszystko doczołgał się do urwiska. Zobaczył podwozie swojego samochodu, które spoczęło w gąszczu drzew nad skałami i wodą. Przód auta był zwrócony w stronę klifu, tył podskakiwał jak na trampolinie. Dwa koła nadal się kręciły. Zobaczył strome zbocze długości około sześciu metrów, które kończyło się trawiastym brzegiem, a potem przechodziło w pionowe, kilkusetmetrowe urwisko wprost na kamienie i fale wody. Grace spanikował i wycofał się w bezpieczniejsze miejsce. Wtedy

ponownie usłyszał krzyk.

\* Pomocy! Na Boga, pomóżcie mi! Pomocy!

Grace rozpoznał, że to krzyk Cassiana Pewe'a, ale nie widział go.

Walcząc ze strachem, ponownie doczołgał się do brzegu, spojrzął w dół i zawołał:

\* Cassian!? Gdzie jesteś?

\* Och, pomóż mi. Proszę cię, Roy, pomóż mi.

Grace rozpaczliwie obejrzał się, ale wszyscy pracowali przy vanie i hondzie, która zaczęła płonąć. Patrzył w dół.

\* Spadam, na miłość boską, spadam!

Przerażenie w głosie mężczyzny pchnęło Grace'a do akcji. Wziął głęboki oddech, pochylił się i uchwycił gałęzi, sprawdził, czy wytrzyma jego ciężar. Wtedy powoli się opuścił. Jego skórzane buty ślizgały się na mokrej trawie, czuł, że ręka, którą trzymał

gałąź, mocno się naciąga. Jedynie ta gałąź, którą trzymał prawą ręką, powstrzymywała go od upadku na strome urwisko i odejścia w zapomnienie.

Gałąź

zaczynała mu się wymykać z rąk. Grace był bardzo wystraszony.

\* Proszę, pomóż mi! Spadam! \* znów krzyknął Pewe.

Przestraszony Grace szybko chwycił kolejną gałąź i mocno przyłgnął do niej, ponieważ podmuchy wiatru prawie zwiewały go z klifu. Opuścił się ponownie.

Nie patrz w dół, powtarzał sobie.

Stukając czubkiem buta, wyrobił punkt oparcia w śliskiej ścianie.

Chwycił kolejną gałąź. Wtedy zrównał się z brudnym, częściowo wygiętym podwoziem auta. Koła przestały się kręcić, ale auto kołysało się jak huśtawka.

\* Cassian, gdzie jesteś, do cholery? \* krzyknął, starając się nie patrzeć do dołu.

Wiatr tłumiał słowa.

\* Pod spodem, widzę cię, pośpiesz się! \* W głosie Pewe'a słyhać było paniczny strach.

Niespodziewanie gałąź, którą trzymał Grace, wysunęła mu się z rąk. Myślał, że już po nim. Szaleńczo rzucił się w kierunku innej, chwycił ją, ale ta się złamała. Grace spadał. Ześlizgiwał się trawiastym zboczem. Udało mu się pochwycić jakiś konar z bardzo ostrymi liśćmi. Elastyczna gałąź, raniąc

go, prześlizgnęła się jedynie przez dłoń. Nagle lewą ręką złapał odgałęzienie, które wydawało się solidniejsze, dzięki czemu uratował swoje cenne życie.

Pewne znowu krzyczał.

Grace zobaczył ogromny cień nad sobą. To był jego samochód. Wyglądał jak jakaś grzęda kilka metrów nad nim. Niebezpiecznie się kołysał. Pewne wisiał głową w dół.

Nogi miał zaplątane w pas bezpieczeństwa. Jedynie to chroniło go przed upadkiem.

Grace spojrzął poniżej i natychmiast tego pożałował. Znajdował się dokładnie na skraju pionowego urwiska. Przez chwilę obserwował, jak woda obija się o skały.

Czuł ogromny ciężar spoczywający na rękach i ostre, bezustanne podmuchy wiatru.

Wystarczyłaby tylko jedna pomyłka i by się ześlizgnął.

Mimo porażającego strachu zaczął prawą stopą wykopywać oparcie.

Niespodziewanie gałąź w prawej ręce się obluzowała. Mocniej kopał w mokrą, kredową skałę. Po chwili mógł spokojnie oprzeć w niej stopę.

Pewne znowu wrzeszczał.

Pomoże mu, ale najpierw musi ocalić własne życie. Martwy nie pomoże nikomu.

\* Royyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyy!

Lewą stopą też wyrobił małe wgłębienie, więc mógł spokojnie się oprzeć, choć nie czuł się szczególnie bezpiecznie.

\* Spadam, Roy! Boże, pomóż mi się stąd wydostać. Proszę, nie pozwól mi spaść, nie pozwól mi umrzeć.

Roy popatrzył w górę, uważał na każdy swój ruch, w końcu zobaczył twarz Pewe'a jakieś trzy metry nad sobą.

\* Uspokój się! *krzyknął*. Nie ruszaj się!

Usłyszał głośny trzask łamanych gałęzi. Wzrok powędrował w górę. Zobaczył, że samochód przechylił się gwałtownie. Obniżył się o kilka centymetrów, kołysząc jeszcze mocniej. Cholera. Cała ta kupa złomu pewnie spadnie mu na głowę.

Ostrożnie wyciągnął krótkofalówkę, cholernie uważał, żeby jej nie upuścić, i wezwał

pomoc. Zapewniono go, że helikopter z pomocą jest już w drodze.

Jezuu, wieki im to zajmie.

*Proszę, nie pozwól mi umrzeć!* łkał Pewe.

Grace ponownie popatrzył w górę. Obserwował pas bezpieczeństwa, który dość dobrze oplatał stopy Cassiana. Wiatr sprawiał, że drzwi pasażera były otwarte. Potem przypatrywał się ruchom samochodu. Niestety gałęzie były naciągnięte, trzeszczały i łamały się. Słyszał okropne dźwięki. Jak długo jeszcze wytrzymają? Kiedy wyciągną samochód na brzeg urwiska, który był tak stromy jak podjazd skoczków narciarskich?

Pewnie tylko pogarszał sytuację, ponieważ chciał się podciągnąć, ale nie miał na to najmniejszych szans.

*Cassian, przestań się ruszać!* wrzasnął, prawie ochrypł. \* Uspokój się. Potrzebuję pomocy, żeby cię wydostać. Sam nie dam rady. Nie mogę ryzykować, że samochód spadnie.

\* Proszę, nie pozwól mi umrzeć, Roy! \* Pewnie płakał i rzucał się jak ryba na haczyku.

Nadszedł kolejny silny podmuch wiatru. Grace mocno trzymał gałąź, gdyż wiatr go nie oszczędzał. Nie poruszył nawet palcem, nim wściekłe uderzenia powietrza nie zelżały.

\* Nie pozwolisz mi umrzeć, Roy, prawda? \* dopytywał się Pewe.

\* Wiesz co, Cassian? *odkrzyknął Grace.* Teraz to właściwie bardziej się martwię o ten cholerny samochód.

Październik 2007

Grace wypił łyk kawy. Był poniedziałek, godzina 8.30, właśnie rozpoczęło się piętnaste spotkanie członków grupy Operacji Dingo. Na czole miał plaster, pod którym kryła się rana zszyta pięcioma szwami. Nadgarstki pokrywały mu bąble.

Wszystkie kości okropnie bolały.

*Mówi się, że teraz to już czeka cię tylko Mount Everest, Roy!* zażartował ktoś z obecnych.

*I że nadinspektor Pewe wybiera drogę kariery jako akrobata na linie w cyrku.*

Grace nie potrafił powstrzymać uśmiešku, choć w głębi duszy i ciała nadal był

przerażony i wcale nie było mu do śmiechu. Dobrze chociaż, że złapali Chada Skeggsa. Abby Dawson i jej matka są bezpieczne i jakimś cudem nikt nie został

poważnie ranny w tej akcji. Jednak wciąż pewien wątek pozostawał nierozwiązany.

Prowadzili

śledztwo w sprawie dwóch zamordowanych kobiet, a podejrzany był na wolności.

Pojawił się jednak promyk słońca w dochodzeniu.

*Mamy pewien trop w Australii* kontynuował Grace. \* Rano rozmawiałem z Normanem. Spotkali się z pewną kobietą. Twierdzi ona, że była bliską przyjaciółką Maggie Nelson, którą my uważamy za Lorraine Wilson.

\* Mamy pewność, że Ronnie i Lorraine Wilsonowie stali się Davidem i Margaret Nelsonami, Roy? \* spytała Bella.

\* Policja z Melbourne przekopała tony praw jazdy, oświadczeń podatkowych i informacji z biura imigracyjnego. Wszystko się zgadza. Dziś wieczorem spodziewam się faksu od nich.

Bella coś zapisała, a potem otworzyła torebkę drażetek. Grace spojrzął na notatki i mówił dalej: \* Kobieta nazywa się Maxine Porter. Jej były mąż to mafioso. Obecnie odsiaduje długi wyrok za uchylanie się od płacenia podatków i pranie brudnych pieniędzy. Rok temu porzucił ją dla młodszej

kobiety, jakieś trzy miesiące przed aresztowaniem.

Dlatego była rozmowna, bo mogła sobie poużywać na tej młodszej. Według niej David Nelson pojawił się w towarzystwie podczas Bożego Narodzenia dwa tysiące pierwszego roku. Chad Skeggs przedstawił go odpowiednim ludziom, którzy wydają się śmietanką świata przestępczego Melbourne. Nelson najwyraźniej wyrobił sobie pozycję, handlując znaczkami.

\* Jak miło *powiedział Branson* tu w Anglii bandziory traktują się nożem i pistoletem, a w Australii wymieniają się znaczkami.

Wszyscy się uśmiechnęli.

*Nie sądzę* powiedział Grace. \* W ciągu minionych dziesięciu lat było trzydzieści siedem strzelanin między gangami w Melbourne. Więc nie jest tak różowo.

Podobnie jak w Brighton i Hove, pomyślał.

\* Wracając do sprawy *kontynuował Lorraine*, to znaczy Maggie Nelson, zwierzyła się koleżance, że jej mąż ma romans, a ona nie wie, co robić. Nie była szczęśliwa w Australii, ale razem z mężem spalili wszystkie mosty w Anglii, więc nie mieli gdzie wracać. Sądzę, że istotne jest, iż mówiła „oboje”, a nie tylko on.

*Kiedy miała miejsce ta rozmowa?* zapytała Emma\*Jane Boutwood.

\* Między czerwcem dwa tysiące czwartego a kwietniem dwa tysiące piątego roku.

Widać kobitki miały sobie dużo do powiedzenia. Obaj mężowie mieli romanse, to miały o czym gadać.

Wziął łyk kawy i popatrzył w notatki.

\* Wtedy w czerwcu dwa tysiące piątego roku Maggie Nelson zniknęła. Nie pojawiła się na lunchu z Maxine Porter. Gdy Maxine zadzwoniła, David Nelson poinformował

ją, że żona go opuściła. Spakowała swoje rzeczy i wróciła do Anglii.

*Działał według ustalonego planu* powiedziała Lizzie Mantle. \*

Przyjaciołom w Anglii powiedział, że pierwsza żona pojechała do Ameryki. Znajomym w Australii wyznał, że żona wróciła do Anglii, i wszyscy mu uwierzyli?!

\* Wygląda na to, że nie wszyscy \* zawyrokował Grace.

\* To czemu Maxine nie poszła na policję? *spytała Bella*. Przecież musiała coś podejrzewać.

*Ponieważ w jej świecie ludzie nie chodzą na policję* wyjaśniła Lizzie

Mantle.

*Tak jest* dodał Grace i krzywo się uśmiechnął. \* Wydaje się, że świat przestępczy jest tam bardziej zdominowany przez mężczyzn niż tutaj. Jutro znów będziemy ją przesłuchiwać. Ma przygotować listę znajomych i przyjaciół Nelsonów.

\* *Wspaniale oświadczyła Bella i połknęła kolejną drażetkę.* Chyba że zwiął za granicę...

*Też o tym myślałem* powiedział Grace. \* Ale może uda nam się ustalić miejsca jego ulubionych spotkań, może miał jakieś gniazdka uciech, do których wzdychał?

\* Coś mamy *pochwalił się Branson.* To znaczy Bella i ja.

\* No to dawaj.

\* Długo rozmawialiśmy ze Skeggsem w piątek i sobotę. Przesłuchaliśmy również Abby Dawson w mieszkaniu jej matki w Eastbourne wczoraj rano. Oddaliśmy jej znaczki, które odzyskaliśmy z samochodu Skeggsa. Podjąłem pewne środki ostrożności, to znaczy je skopiowałem. Ona podpisała papier, że będzie je wystawiać jedynie na jakichś wystawach, ale ich nie sprzeda.

*Świetnie* powiedziała detektyw Mantle.

\* Dziękuję. A teraz do rzeczy. Bella i ja sądzimy, że Abby Dawson nie mówi prawdy.

Mówi tylko to, co chce, żebyśmy wiedzieli. Nie podoba mi się jej wersja sposobu wejścia w posiadanie tych znaczków. Twierdzi, że odziedziczyła je po ciotce z Sydney, która nazywała się \* przejrzał notatki i znalazł właściwe nazwisko \* Anne Jennings. Sprawdzimy to. Ale ta wersja nie zgadza się z zeznaniami Skeggsa.

\* A on jest człowiekiem z zasadami, który zawsze mówi prawdę \* ironizował Grace.

\* Nie zaufałbym mu, nawet gdyby chodziło tylko o pięć funtów *odparował Glenn* zresztą z taką sumą zostałyby pewnie każdy, kto by robił z nim interesy. On jest naprawdę nieprzyjemnym gościem. Ale mówi o interesach z Wilsonem, a o to nam przecież chodzi. \* Glenn rozejrzał się dokoła.

Grace kiwnął, by kontynuował.

\* Hugo Hegarty jest pewien, że są to znaczki, które kupił dla Lorraine Wilson.

*Ale nie tak pewny, żeby zeznać to w sądzie?* wtrąciła Lizzie Mantle.

*Nie. I z tym może być problem* odparł Branson. \* Niektóre mają stemple pocztowe, w związku z tym on nie może przysiąc, że to te same, które nabył dla Lorraine Wilson w dwutysięcznym drugim roku. On nie zrobił kopii stempli. A może nie chce się w to mieszać?

\* Dlaczego nie? \* zapytał Grace.

\* Wszystkich transakcji dokonano gotówką. Podejrzewam, że nie chce wzbudzić zainteresowania policji swoimi interesami.

Grace pokiwał głową.

\* A co na to wszystko Skeggs?

\* Skeggs jest cholernie wkurzony na Abby Dawson, która ukradła jego znaczki.

Powiedział, że z tego powodu uprowadził jej matkę. Uznał, że to jedyny sposób, żeby mu je oddała \* powiedział Branson.

\* Nie próbował grzecznie o nie poprosić? Branson się uśmiechnął.

\* Zapytałem go, czy nie chciał wnieść oskarżenia o kradzież. Wtedy się zamknął.

Mamrotał coś na temat problemów, ale zaczął się wykręcać, gdy go naciskaliśmy.

Wspominał, że miałyby kłopot wykazać swoje prawo do nich. Wtedy się wygadał, że to Dave Nelson namówił ją do wszystkiego, ale więcej na ten temat z niego nie wydusiliśmy. Tak więc, mimo wcześniejszych ustaleń, Abby musi oddać nam znaczki, skoro jest poszlaka o kradzieży dokonanej tutaj albo w Australii.

\* To interesujące, co powiedział. \* Grace zamyślił się.

\* A wiesz, co ja myślę? *powiedział Branson* że chodzi o trójkąt miłosny.

*Może powiesz coś więcej?* zachęcił Grace.

\* Teraz nie bardzo, ale tak sędzę.

\* To bardzo istotne, jeśli David Nelson alias Ronnie Wilson skłonił ją do tego \*

Grace myślał głośno.

\* Przyciśniemy jeszcze Skeggsa, ale chłop nie jest rozmowny \* powiedział Branson.

\* Może ponownie obserwować tę pannę? \* zasugerowała detektyw Boutwood.

Grace potrząsnął głową.

\* Za duży koszt. Uważam, że David Nelson opuścił Australię, jeśli



mądrze kombinuje. Ale nie będzie ryzykował i nie pokaże się w Anglii.

Zakładam się, że Abby Dawson ma się z nim gdzieś spotkać.

Powiadomimy wszystkie lotniska. Jeżeli kupi bilet albo pojawi się przy kontroli paszportowej, będziemy tam.

*Dobra myśl* pochwalił Branson.

*Zgadzam się* dokończyła detektyw Boutwood.

## Listopad 2007

Był jeden z tych rzadkich jesiennych dni, kiedy Anglia prezentowała się naprawdę ładnie. Abby patrzyła przez okno na bezchmurne, błękitne niebo, a słońce ogrzewało jej twarz.

W wypielęgnowanym ogrodzie ogrodnik zbierał liście odkurzaczem. Jakiś starszy mężczyzna w płaszczu nieprzemakalnym obchodził dookoła ozdobne oczko wodne, w którym pływały karpie koi. Balkonikiem sprawdzał chodnik, jakby obawiał się min lądowych. Siwiuteńka starsza pani, ubrana w pikowany płaszcz, siedziała na ławce na małej skarpie utworzonej w dalszej części ogrodu. W skupieniu studiowała „Daily Telegraph”.

Dom opieki Bexhill Lawns był droższy niż ten, o którym Abby wcześniej myślała, jednakże stać ją było na opłacenie kosztów pobytu matki. Ale... kto tak naprawdę opłacał rachunki?

Wielką radość sprawiał jej widok matki, która była tutaj szczęśliwa. Aż trudno uwierzyć, że dwa tygodnie temu Abby weszła do vana, gdzie zobaczyła zdezorientowaną twarz wystającą ze zrolowanego dywanu. Teraz jej matka wydawała się osobą, która rozpoczęła nowe życie. Jakby wszystko, przez co przeszła, tylko ją wzmocniło.

Abby patrzyła na nią. Jak zawsze przed odjazdem, czuła ucisk w gardle. Bała się, że widzi ją po raz ostatni.

Mary Dawson siedziała na podwójnej kanapie w nieźle umeblowanym, obszernym pokoju, który wypełniały czasopisma z krzyżówkami. Abby czule położyła dłoń na jej ramieniu i spojrzała w dół.

*Czemu chcesz wygrywać?* zapytała. Niedługo miała przyjechać taksówka.

\* Można wygrać dwa tygodnie dla dwóch osób w luksusowym hotelu na Mauritiusie!

\* Przecież ty nawet nie masz paszportu! \* dobrotliwie zbeształa ją Abby.

\* Wiem, kochanie, ale przecież ty z łatwością mogłabyś mi jakiś załatwić, gdybym potrzebowała, prawda? \* Matka podejrzliwie spojrzała na córkę.

\* O co ci chodzi?

*Dobrze wiesz, o co mi chodzi.* Matka łobuzersko się uśmiechnęła.

Abby oblała się rumieńcem. Jej matka była bardzo spostrzegawcza. Od dzieciństwa niczego nie potrafiła przed nią ukryć.

*Nie przejmuj się* zapewniła matka \* nigdzie się nie wybieram. Zamiast tego można zgarnąć gotówkę.

\* Chciałabym załatwić ci paszport *oświadczyła Abby, usiadła na sofie, objęła jej kruche ramię i pocałowała w policzek i zabrać cię ze sobą.*

\* Gdzie?

\* Gdzieś, gdzie się usatkuję. \* Abby wzruszyła ramionami.

\* Żebym cię ograniczała?

*Nigdy mnie nie ograniczałaś.* Abby się roześmiała.

\* Twój ojciec i ja nigdy nie lubiliśmy podróżować. Gdy twoja ciotka Anne przeprowadziła się do Sydney, ciągle powtarzała, że tam jest uroczono i że my też powinniśmy się przenieść. Tylko że my wiedzieliśmy, iż tu są nasze korzenie. Ale jestem z ciebie dumna, Abby. Moja mama zwykła powtarzać, że jedna matka wychowa siedmioro dzieci, ale siedmioro dzieci nie utrzyma jednej matki. Ty jesteś zaprzeczeniem tych słów.

Abby powstrzymała napływające łzy.

\* Naprawdę jestem dumna z ciebie. Nie mogłabym prosić o więcej. No, może o jedną rzecz. \* Posłała jej zagadkowe spojrzenie.

\* O co? \* zapytała Abby, choć znała odpowiedź.

\* O wnuki.

\* Może pewnego dnia. Wtedy musiałabyś załatwić sobie paszport, żeby być ze mną.

Matka Abby popatrzyła na swoje krzyżówki.

\* Nie. \* Stanowczo pokręciła głową. Odłożyła pióro i kościstymi palcami mocno ścisnęła jej dłoń.

Abby była zaskoczona jej siłą.

\* Kochanie, zawsze pamiętaj o jednej rzeczy, jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się na dziecko. Najpierw musisz zapewnić dziecku korzenie, a potem dać skrzydła do latania.

## Listopad 2007

Półtorej godziny później Abby zdeponowała walizkę na lotnisku Gatwick. Zostawiła sobie jedynie kopertę, którą oddał jej detektyw Branson, i torebkę. Podeszła do stanowiska obsługi lotu i stanęła w krótkiej kolejce. Była pora obiadowa.

Roy Grace siedział w swoim biurze i przeglądał stertę raportów przesłanych faksem z Australii w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przez Normana Pottinga i Nicka Nicholla. Grace czuł się winny, że przedłużył Nichollowi pobyt, ale lista kontaktów Lorraine Wilson była zbyt atrakcyjna, żeby ją zlekceważyć.

Poza tym nadal nie znali miejsca pobytu Ronniego Wilsona.

Popatrzył na zegarek. Była trzynasta dwadzieścia. Na biurku w torbie leżał zdrowy lunch, który przyniosła mu Eleanor. Składał się z langusty, kanapki z rukwią i jabłka.

Systematycznie poddawał się rygorom Cleo, by poprawić dietę, choć nie czuł się jakoś inaczej. Gdy sięgnął do torby, zadzwonił telefon.

Dzwonił Bili Warner, który obecnie pełnił obowiązki na lotnisku Gatwick.

Znali się długo, więc nie musieli wymieniać grzeczności. Warner od razu przeszedł

do sedna sprawy.

\* Roy, jest kobieta, na którą mieliśmy uważać, ta Abby Dawson alias Katherine Jennings.

\* Słucham.

\* Zabukowała lot do Nicei na piętnastą czterdzieści pięć. Dzięki monitoringowi porównaliśmy wygląd. Zgadza się ze zdjęciem, które przysłałeś.

Miał zdjęcia z przesłuchania. Chociaż biorąc pod uwagę ochronę danych osobowych, nie powinien użyć ich bez jej zgody, nie przejmował się tym.

\* Wspaniale! *podsumował*. Cholernie wspaniale!

\* Co mamy robić?

\* Tylko obserwować, Bill. Ważne, by się nie domyśliła, że jest śledzona. Niech wsiądzie na pokład. Poślę tam dwóch policjantów i załatwię kogoś w Nicei. Dowiedz się, czy można by dopisać dwóch policjantów do listy pasażerów. Jeśli jest pełna obsada, może przekonasz obsługę, żeby kogoś usunęli?

\* Zostaw to mnie. Wiem, że tylko połowa biletów jest wykupionych. Porozmawiam z francuską policją. Powiem, że interesuje nas osoba, z którą się spotka tam na miejscu.

\* Dzięki, Bill. Będziemy w kontakcie.

Podkscytowany uderzył pięścią w stół. Potem zadzwonił do Glenna Bransona.

## Listopad 2007

kiedy cię znowu zobaczę? Powiedz, kiedy?

\* Wkrótce.

\* Co to znaczy „wkrótce”?

Leżała na nim. Z ich nagich ciał spływał pot, jak zwykle po wysiłku fizycznym.

Wyczerpany penis wtulał się w jej łono. Jej drobne piersi naciskały na jego tors.

Wpatrywała się w jego orzechowe oczy wypełnione radością, ale i surowością.

Była sprytna, cwana i nadzwyczajna. Bardzo zamożnie nadzwyczajna.

Lubiła tę przeklętą wilgotność. Gorąco, które sprawiało, że byli nieustannie spoceni.

Nalegała, by kochali się przy otwartych drzwiach jej szeregowca. W związku z tym w pokoju było chyba ze sto stopni ciepła. Drobnymi piąstkami okładała jego klatkę piersiową.

\* Kiedy cię zobaczę? Kiedy?

Odsunął jej kruczoczarne włosy ze swojej twarzy i pocałował w dziewczęce usta.

Była urocza i miała doskonałe ciało. Spodobały mu się smukłe tajskie dziewczęta, które oferowała Pattaya. Doszedł do takiego wniosku po miesiącu, który spędził w tym mieście. Czekał tam na wiadomość od Abby, która miała dołączyć do niego.

Tym razem miał fart. A wszystko zdarzyło się całkowicie nieoczekiwanie. Ona była czymś więcej niż tylko ucieleśnieniem jego fantazji. Oceniał ją na dwadzieścia pięć milionów dolarów. Mniej więcej, po przeliczeniu tajskich batów.

Spotkał tę kobietę u handlarza znaczkami w Bangkoku i zaczął niewinnie rozmawiać.

Dowiedział się, że jej nieżyjący mąż był właścicielem sieci nocnych klubów, a ona odziedziczyła je po jego śmierci. Zginął fatalną śmiercią: kiedy zabawiał się w przybrzeżne nurkowanie, jakiś turysta, jadąc

motorówką, odciął mu głowę. Chciała opchnąć kolekcję jego znaczków. W związku z tym Ronnie służył radą. Powstrzymał

ją od sprzedaży, tłumacząc, że ktoś mógł zedrzeć z niej skórę, i uzyskał za nie potrójną kwotę, niż pierwotnie jej proponowano. No i pieprzył się z nią nawet dwa razy w ciągu dnia.

Miał problem, choć to nie był zbyt wielki problem. Abby powoli zaczynała go męczyć. Nie mógł dokładnie określić, kiedy to się zaczęło. Może denerwował go sposób, w jaki zachowywała się lub patrzyła na Ricky'ego. Na pewno po dwóch spotkaniach z nim, które bardzo się jej spodobały.

Wtedy zdał sobie sprawę, do czego jest zdolna. Była kobietą bez ograniczeń. Zrobi wszystko, by stać się bogata, a on był jedynie częstką potrzebną w jej układance.

Na szczęście był sprytniejszy. Już dwa razy popełnił błąd. Woda mu nie sprzyjała.

Coś poszło źle w tym cholernym kanale spływowym w Brighton. I kto, do cholery, mógł przewidzieć niekończącą się suszę w Melbourne?

Szczęśliwie w Koh Samoi można było wypożyczyć mnóstwo łodzi. Były tanie, a Morze Południowochińskie głębokie. Należało jedynie wypłynąć około dwudziestu kilometrów od brzegu i nie było szans, żeby ciało wylądowało z powrotem na plaży.

Już zacumował pewną łódź i czekał. Była wspaniała, a zapłacił za nią w zasadzie grosze. Abby będzie zachwycona. Cóż, trzeba kalkulować, by osiągnąć cel.

Pocałował Pharę.

\* Niedługo *powiedział* obiecując.

## Listopad 2007

Po odejściu od kasy lotniczej Abby nie poszła w stronę hali odlotów, tylko skierowała się do toalety. Zamknęła się w kabinie i wyciągnęła kopertę. Otworzyła ją i wyciągnęła torebeczkę ze znaczkami. Niektóre leżały luzem, inne były w koszulkach.

Większość była kopiami tych, których tak bardzo pragnął Ricky. Ale niektóre były oryginalne i wystarczająco stare, żeby zrobić wrażenie na amatorze.

Wyjęła również kwit, który otrzymała od handlarza znaczków w SouthEast Philatelic dwa tygodnie temu. Opiewał na sumę stu czterdziestu dwóch funtów. Mówiąc szczerze, nie potrzebowała więcej. Znaczki, zdaje się, zrobiły wrażenie na laiku, jakim był w jej ocenie detektyw Branson.

Podarła znaczki i pokwitowanie, a potem spuściła w toalecie. Następnie zdjęła dzinsy, wysokie buty i grubą kurtkę. Nie będą jej potrzebne tam, gdzie się wybierała.

Z torby wyciągnęła perukę z długimi blond włosami i naciągnęła na głowę, całkowicie zmieniając wygląd. Nieporęcznie manipulując kredką i szminką, zmieniała makijaż, patrząc w podręczne lusterko. Włożyła letnią sukienkę, beżową marynarkę,

która świetnie do niej pasowała, i białe sandały. Całość dopełniła jasnymi okularami przeciwsłonecznymi marki Mark Jacobs.

Zdjęte ciuchy upchnęła w plastikowej torbie, wyszła z kabiny, poprawiła fryzurę, kopertę wyrzuciła do kosza i spojrzała na zegarek. Była trzynasta trzydzieści pięć.

Miała dobry czas. Wtedy zaterkotał telefon:

„Nie mogę się doczekać jutra. To tylko kilka godzin. XX”.

Uśmiechnęła się. To tylko kilka godzin. O tak!

Wesoło pobiegła w stronę schowków bagażowych, gdzie zdeponowała walizkę jakieś dwa tygodnie temu. Skręciła w kąt, otworzyła schowek i wyciągnęła kolejną kopertę.

Potem wepchnęła tam torbę ze starymi ciuchami i zamknęła szafkę.

Wróciła do odpraw linii British Airways i stanęła w kolejce do okienka



klasy biznes.

Była to pewna rozrzutność, ale postanowiła, że w ten sposób rozpocznie nowe życie i tak będzie je kontynuować.

Podawała paszport.

*Sarah Smith* przedstawiła się. \* Mam zabukowany lot trzysta dziewięć do Rio de Janeiro.

\* Dziękuję \* odparła urzędniczka i sprawdziła szczegóły. Zadała Abby kilka standardowych pytań i zabezpieczyła jej walizkę, która przewróciła się, gdy tylko taśma przenośnika ruszyła, a potem zniknęła z pola widzenia.

\* Czy samolot wystartuje o czasie? \* zapytała Abby. Kobieta popatrzyła na monitor.

\* W tej chwili wszystko wydaje się w porządku. Odlatuje o piętnastej czterdzieści pięć. Wejście na pokład rozpocznie się o czternastej czterdzieści. Proszę kierować się do bramki numer pięćdziesiąt cztery. Informacje w hali odlotów znajdzie pani zaraz po przekroczeniu strefy wolnościowej.

Abby podziękowała i ponownie sprawdziła czas. Musi zrobić jeszcze dwie rzeczy, ale poczeka do ostatniej chwili. Skierowała się do sektora odlotów BA i zamówiła kieliszek białego wina na uspokojenie nerwów.

Ogromnie pragnęła zapalić papierosa, ale musiała z tym poczekać. Zjadła kilka małych kanapek, usiadła przed ekranem telewizyjnym, gdzie podawano wiadomości. W myślach dokładnie przeanalizowała listę rzeczy do zrobienia.

Cieszyła się, że pamiętała o wszystkim. Aby mieć sto procent pewności, sprawdziła jeszcze, czy na pewno jej numer się nie wyświetla, gdy dzwoni do kogoś.

Tuż po czternastej czterdzieści spostrzegła, że pasażerowie zaczęli wchodzić na pokład samolotu, mimo że lot nie był ogłaszany. Podeszła w stronę toalet, gdyż chciała znaleźć bardziej ustronne miejsce. Sprawdziła, czy nikt nie podsłuchuje, i wybrała numer, który podał jej detektyw Branson, by dzwoniła w razie nagłych wypadków. Nadstawiała uszu, aby zakryć słuchawkę w razie ogłaszania czegoś przez megafon. Nie chciała zdradzać miejsca swojego pobytu.

*Wydział śledczy, detektyw Boutwood, słucham* odezwała się młoda kobieta.

*Mam informację w sprawie Ronniego Wilsona* starała się zmienić głos, udając australijski akcent najlepiej jak umiała \* jest w Koh Samui, będzie czekał na lotnisku na kogoś, kto przyleci liniami Bangkok Airways lotem

dwieście siedemdziesiąt jeden, według lokalnego czasu jutro o jedenastej rano. Zapisała pani?

\* Bangkok Airways, lot dwieście siedemdziesiąt jeden, Koh Samui, jutro o jedenastej według czasu lokalnego. Kto mówi?

Abby się rozłączyła. Była mokra od potu i drżała. Trzęsła się tak mocno, że z trudem wklepywała odpowiedź na SMS, który wcześniej odebrała. Wiele razy musiała poprawiać pomyłki, zanim skończyła. Na koniec przeczytała to sobie.

„Prawdziwa miłość nie ma szczęśliwego zakończenia, bo prawdziwa miłość nigdy się nie kończy. Nawet po rozstaniu, xx”

Ona go kochała. Nawet bardzo, ale nie poświęciłaby czterech milionów. Zwłaszcza gdy poznała jego fatalny zwyczaj mordowania kobiet, które dostarczały mu pieniądze.

Krótko po starcie, siedząc wygodnie w fotelu i sącąc Krwawą Mary z dodatkową porcją wódki, otworzyła kopertę. Miejsce obok było puste, więc nie musiała się martwić o czyjeś wścibskie spojrzenia. Odwróciła się, by sprawdzić, czy nie kręci się ktoś z obsługi, i ostrożnie wyjęła jedną z koszulek, która zawierała komplet znaczków Penny Black. Patrzyła na stanowczy profil królowej Wiktorii, niewyraźne litery, wypłowiałe kolory. Znaczki były przepiękne, ale nie doskonałe. Dave wyjaśnił

jej, że czasem niedoskonałości sprawiają, że są jeszcze cenniejsze.

Pod wpływem alkoholu zaczęła rozmyślać też o innych sprawach. A kto chciałby być doskonały?

Pierwszy raz we właściwy sposób przyglądała się znaczkom. Były naprawdę wyjątkowe i magiczne.

*Do widzenia, moje piękne. Do zobaczenia* wyszeptala i uśmiechnęła się. Ostrożnie odłożyła je z powrotem.

## Listopad 2007

Nieźle wczasy? \* zapytał Roy Grace.

\* Bardzo śmieszne. Plażę widziałem tylko z okna samolotu \* odparował Glenn Branson.

\* Koh Samui jest piękne, tak przynajmniej słyszałem.

\* Było cholernie wilgotno i cały czas lało. Jakiś mutant komar albo pajak ugryzł mnie w nogę. Strasznie spuchło, chcesz zobaczyć?

\* Nie, dziękuję, wolałabym nie oglądać żadnej części twojego ciała.

*Grace, ty skurczybyku.* Branson potrząsnął głową i roześmiał się. Siedział naprzeciwko Grace'a, jego garnitur oraz koszula wyglądały i pachniały tak, jakby nie zmieniał ich od dłuższego czasu.

\* Znów zdemolowałaś moją pieprzoną kolekcję płyt CD. Pozwoliłem ci zatrzymać się na jedną noc. Nie prosiłem, żebyś wyciągnął każdą płytę z okładki i porozrzucił

wszystkie na podłodze.

\* Chciałem poukładać je tematycznie *przynajmniej raz w jego głosie słyhać było skrucę cholera*, przepraszam. \* Wypił łyk kawy i zdusił ziewanie.

\* Jak nasz więzień? O której wylądowałaś?

*Okolo szóstej czterdzieści pięć.* Branson popatrzył na zegarek i ziewnął. \* Przez ostatnie dwa tygodnie chyba wyczerpaliśmy budżet całego wydziału śledczego na podróże zagraniczne.

Grace się uśmiechnął.

\* Czy Wilson coś powiedział?

*A co miał mówić. Wydaje się miłym facetem.* Branson wypił kolejny łyk kawy.

*O tak. To najmiłszy koleś, jakiego spotkałeś, prawda? Ma tylko drobny problem zabija żony, by nie marnować dnia.* Grace patrzył na kolegę z niekłamanym zdumieniem. Glenn, ty jesteś miłym facetem. Gdybym nie wdepnął w to gówno, może też byłbym miłym kolesiem. Ale Ronnie Wilson nie jest miłym gościem.

Świetnie mu się udaje przekonywanie ludzi, by myśleli, że jest miły.  
*No, nie to miałem na myśli.* Branson pokręcił głową.

\* Musisz pójść do domu, przespać się, wziąć prysznic i wrócić tu.

\* Tak zrobię. Ale on właściwie to całkiem sporo mówił. Miał taki filozoficzny nastrój i musiał się wygadać. Mam wrażenie, że jest zmęczony tą ucieczką. Ukrywał się przez sześć lat, dlatego zgodził się wrócić z nami. Choć wspominał coś o jakimś tajskim ptaszku. Chciał wysłać jej SMS.

\* Udzieliłeś mu ostrzeżenia, zanim zaczął mówić?

\* Taaa.

\* Dobry z ciebie człowiek.

\* To znaczy, że wszystko, co powiedział w samolocie, może być wykorzystane w sądzie.

\* Powiem ci coś. Jest nieźle wkurzony na Skeggsa. Upewniał się, że w razie aresztowania Skeggs beknie razem z nim.

\* To dobrze.

\* Z tego, co wywnioskowałem, widać, że to Skeggs pomógł mu, gdy przyjechał do Australii.

\* Tak jak przypuszczaliśmy \* powiedział Grace.

\* No tak. Potem, za jakiś czas, otrzymał przesyłkę ze znaczkami.

\* Od żony?

\* Wtedy zaczął się wykręcać.

\* Nie dziwi mnie to.

\* Tak czy owak, dał je Skeggsowi, by je sprzedał, ale Skeggs chciał go naciągnąć.

Zażądał dziewięćdziesięciu procent i groził, że go zadenuncjuje. Jednak Skeggs miał

słaby punkt, poleciał na panienkę Ronniego. Wilson związał się z nią, gdy, cytuję, jego żona odpierdoliła się od niego.

\* Kończąc w bagażniku samochodu.

\* Tak jest.

\* Tą panienką była Abby Dawson.

\* Co za przenikliwość, nadinspektorze.

\* Dobrze się wczoraj wyspałem. Więc Ronnie Wilson posłużył się nią niczym mrocznym przedmiotem pożądania? Skumał ją ze Skegsem, by zwinęła jego znaczki? Dobrze kombinuję?

\* Znakomicie.

\* Sądzisz, że zabiłby Abby po otrzymaniu znaczków?

\* Bez wątpienia, on jest jak sęp.

\* Myślałem, że przed chwilą powiedziałaś, że jest miłym facetem.

Branson uśmiechnął się, pokonany, i nagle zmienił temat.

\* Kupiłeś nowy samochód?

\* Nie. Wszystko przez firmę ubezpieczeniową. Chcą unieważnić moją polisę, ponieważ brałem udział w pościgu. Dranie, ale usiłuję się z nimi rozprawić.

Szefostwo mi pomoże, potwierdzając, że to była sprawa zawodowa. \*  
Potem wrócił

do tematu. \* Myślisz, że Abby nadal ma te znaczki?

\* Z całą pewnością.

\* Hegarty jest pewien, że znaczki, które sfotografowałaś, są bezwartościowe.

\* Nie ma cienia wątpliwości.

*Dużo myślałem o tym zaczął Grace* \* i wiem, dlaczego kopnęła go w jaja.

\* Nie rozumiem. \* Branson zmarszczył brwi.

\* Kopnęła go, ponieważ potrzebowała czasu. Wiedziała, że podaje mu gówno, a jemu wystarczyłoby kilka sekund, żeby się zorientować. Rzuciła się na niego, żebyśmy zdążyli przyjechać. Cały czas go wrabiała.

*Cwana dziwka.* Branson patrzył na Grace'a i powoli zaczynało mu coś świtać w głowie.

\* Zgadza się. Poza tym nikt nie zgłosił kradzieży znaczków, prawda?

\* Tak *spokojnie potwierdził Branson.* A co na to towarzystwa ubezpieczeniowe?

Te, które wypłaciły odszkodowanie i ubezpieczenie na życie. Nie mogą się domagać tych znaczków, skoro zostały kupione z ich pieniędzy?

*Pojawia się ten sam problem własności praw do znaczków.* Bez zeznań Hegarty'ego niczego się nie udowodni.

Obaj detektywi siedzieli w milczeniu. Glenn pił kawę.

\* Od Steve'a Mackiego słyzałem plotkę, że Pewe stara się o przeniesienie.

\* Serio, wróci do stołecznej? Życzę mu powodzenia! \* Grace się uśmiechnęła.

\* Jak sądzisz, gdzie jest ta kobieta? \* zapytał Glenn po kolejnej chwili milczenia.

\* Wiesz, co myślę? Pewnie leży gdzieś na jakiejś tropikalnej wyspie,

sący margaritę i rozkoszuje się wolnością.

Rzeczywiście tak było.

## Listopad 2007

Margarita była jednym z jej ulubionych drinków. Miała ostry i mocny smak. Barman dodał odpowiednią ilość likieru z gorzkich pomarańczy i starannie obsypał brzeg szklanki solą. Spędziła tydzień w tym hotelu, a on już pamiętał jej przyzwyczajenia.

Odpoczywała na wygodnym materacu na białej piaszczystej plaży i podziwiała widok na zatokę. Nadeszła jej ulubiona pora dnia, czyli późne popołudnie. Wściekły upał powoli ustępował i nie musiała już chronić się w cieniu parasola. Odłożyła książkę, przełknęła kolejny łyżeczek i obserwowała żółtą paralotnię, która oderwała się od drewnianego mola.

Pomarańczowo\*czzerwony spadochron powiewał na bezchmurnym niebie.

Postanowiła, że za chwilę znów pójdzie się wykąpać. Rozważała, czy kąpać się w morzu, czy w ogromnym basenie hotelowym, w którym była nieco chłodniejsza i odświeżająca woda. Musiała podjąć tak trudną decyzję!

Nieustannie rozmyślała o swojej matce, Ronniem i Rickym. Mimo gniewu na Ricky'ego i szoku w związku z Ronniem trochę ich żałowała, każdego w inny sposób.

Ale nie aż tak bardzo.

*Podoba się pani ta książka?* nagle zapytała kobieta, która odpoczywała na sąsiednim leżaku.

Kobieta wcześniej spała i Abby zdążyła dostrzec leżącą na małym białym stoliczku obok niej książkę *Restless*, którą też czytała, oraz autostopem przez Galaktykę.

*Tak* odpowiedziała \* ale wolę książki Douglasa Adamsa. Chyba czytałam wszystko, co napisał.

\* Ja też!

Był autorem ulubionego cytatu Abby, który niedawno sobie przypomniała:

„Rzadko jestem tam, gdzie chciałbym, ale prawie zawsze jestem tam, gdzie powinienem”.

Tak czuła się w tym momencie.

Wypiła odrobinę alkoholu.

*Robią tu najlepsze margarity na świecie* oznajmiła.

\* Może powinnam spróbować. Dopiero co przyjechałam, więc nie zdążyłam się jeszcze we wszystkim zorientować.

\* Jest wspaniale. To raj!

\* Też mi się tak wydaje.

\* Jestem Sarah. \* Abby się uśmiechnęła.

\* Miło mi poznać. Jestem Sandy.

## Podziękowania

Niektóre z przedstawionych wydarzeń miały miejsce 11 września. Składałam wyrazy szacunku ofiarom i rodzinom, które straciły bliskich.

Roy Grace jest bohaterem fikcyjnych powieści, ale wszędzie tam, gdzie pilnuje się prawa, możemy spotkać podobnych bohaterów. Pisząc tę książkę, zaciągnąłem dług wdzięczności wobec posterunku policji w Sussex, Nowym Jorku, biura Prokuratora Okręgowego w Nowym Jorku i policji stanu Wiktoria oraz policji w Nowej Południowej Walii.

Szczególne podziękowania składałam na ręce komendanta głównego policji w Sussex Martina Richardsa za jego uprzejmość oraz nadinspektorom Kevinowi Moore'owi i Grahamowi Bartlettowi za bezinteresowną pomoc. Osobno pragnę podziękować poprzedniemu nadinspektorowi, Dave'emu Gaylorowi, którego wskazówki były dla mnie nieocenione.

Chcę podziękować także poszczególnym osobom z posterunku policji w Sussex, które miały wpływ na kształt tej powieści, i proszę mi wybaczyć, jeżeli kogoś pominąłem. Na liście osób, którym dziękuję, są: nadinspektor Peter Coli; Brian Cook, kierownik wydziału badań naukowych; Tony Case, oficer z dowództwa wydziału kryminalnego; główny inspektor Ian Pollard; komisarz William Warner; detektyw Patrick Sweeney; inspektor Stephen Curry; komisarz Jason Tingley z biura wywiadu; inspektor Andrew Kundert; sierżant Phil Taylor, szef śledczego wydziału informatycznego; informatyk śledczy Ray Packham; posterunkowy Paul Grzegorek z biura LST; posterunkowy James Bowes; posterunkowy Dave Curtis; inspektor Phil Clarke; sierżant Mel Doyle; posterunkowy Tony Omotoso; posterunkowy Ian Upperton; posterunkowy Andrew King; sierżant Malcolm (Choppy) Wauchope; posterunkowy Darren Balcombe; sierżant Sean McDonald; posterunkowy Danny Świetlik; posterunkowy Steve Cheesman; dyżurny policji Ron King oraz rzecznik i specjalista PR Sue Heard.



Dziękuję archeologowi sądowemu Lucy Sibun. A także Abigail Bradley z firmy Cellmark Forensics. Dziękuję takim osobom, jak koroner dr Peter Dean; patolog dr Nigel Kirkham; dr Andrew Davey; MB, BS, FRCSEd, MD, FRCS Andrew Yelland; dr Jonathan Pash oraz Christopher Gebbie. Jestem winien szczególne podziękowania wspaniałemu zespołowi kostnicy Brighton i Hove. Ów zespół tworzą: Elsie Sweetman, Victor Sindon i Sean Didcott.

Mam wielki dług wdzięczności wobec oficera śledczego z biura Prokuratora Okręgowego Rackets Bureau, którym jest Dennis Bottle, oraz oficera śledczego z dochodzeniówki, a jest nim Patrick Lanigan. Jestem zobowiązany także takim oficerom w Australii, jak komisarz Lucio Rovis z wydziału zabójstw policji stanu Wiktorja; starszy sierżant George Vickers i detektyw Troy Brug z wydziału śledczego w Carlton; starszy posterunkowy Damian Jackson; sierżant Ed Pollard z biura koronera policji stanu Wiktorja; Andrea Petrie z gazety „The Age” oraz mojej australijskiej lingwistce Janet Vickers!

Gordon Campin zasługuje na kolejne podziękowania za nieocenioną wiedzę filatelistyczną, a także Colin Witham z HSBC; Peter Bailey za encyklopedyczną wiedzę na temat historii i aktualności Brighton; Peter WingateSaul, Oli Rigg i Phil White ze straży pożarnej; Robert Frankis, który kolejny raz zagiął mnie, jeśli chodzi o samochody, i Chris Webb, który troszczył się o mój komputer, gdyż maksymalnie go wykorzystywałem.

Anna\*Lisa Lindeblad to kolejna osoba, której dziękuję za bycie niestrudżonym i wspaniałym nieoficjalnym korektorem i komentatorem całej serii z Royem Grace’em, takie same podziękowania należą się Sue Ansell, której bystre oko i poprawki ustrzegły mnie przed wieloma kłopotliwymi wpadkami.

Sprawy zawodowe reprezentuje prawdziwa drużyna marzeń: Carole Blake, mój agent; Oli Munson, niesamowity rzecznik prasowy; Amelia Rowland, idealny Midas PR. By podziękować wydawnictwu Macmillan, nawet nie mam odpowiednio wystarczającego miejsca. Powiem tylko, że to ogromna radość móc wydawać u nich książki. A mieć takiego wydawcę jak Stef Bierwerth, to jak wygrać los na loterii.

Wielkie dzięki składam moim zagranicznym wydawcom. Danke! Merci! Grazie!

Gracias! Bolszoje spasiba! Dank u! Tacki Obrigado!

Jak zawsze dziękuję Helen, że jest moją opoką oraz wykazuje się wobec

mnie świętą cierpliwością i nieustanną mądrością.

W końcu muszę też pożegnać Sooty'ego i Bertie, moich psich przyjaciół, którzy odeszli do krainy Big Boneyard w niebie. Pragnę powitać Oscara, który dołączył pod moim biurkiem do Phoebe i czeka, by pogryźć na strzępki kartki rękopisu, które swobodnie wylądują na podłodze.

Peter James Sussex, England [scary@pavilion.co.uk](mailto:scary@pavilion.co.uk) [www.peterjames.com](http://www.peterjames.com)